



Lew Tolstoj

АННА КАРЕНИНА



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Lew Tołstoj

ANNA KARENINA

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

CZĘŚĆ DRUGA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

CZĘŚĆ TRZECIA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

X

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

CZĘŚĆ CZWARTA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

ANNA KARENINA

Tom pierwszy

Lew Tołstoj

CZĘŚĆ PIERWSZA

Mnie pomsta, ja oddam — mówi Pan.

I

Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób.

W domu Obłońskich zapanował całkowity zamęt. Żona dowiedziała się, że mąż ma romans z Francuzką, była guwernantką ich dzieci, i oświadczyła, że nie może mieszkać z nim pod jednym dachem. Ten stan rzeczy trwał już trzeci dzień i dawał się srodze we znaki zarówno małżonkom, jak i wszystkim członkom rodziny i domownikom Obłońskich. Wszyscy członkowie rodziny i domownicy wyczuwali, że ich współżycie nie ma sensu i że ludzie, którzy przypadkowo spotkali się w jakimś zajeździe, mają ze sobą więcej wspólnego niż oni, członkowie rodziny i domownicy Obłońskich. Pani nie wychodziła ze swoich pokoi; pana od trzech dni nie było w domu; dzieci błąkały się z kąta w kąt; Angielka pokłóciła się z klucznicą i napisała list do przyjaciółki prosząc o wyszukanie nowej posady; kucharz ulotnił się jeszcze poprzedniego dnia w czasie obiadu; kucharka gotująca na drugi stół i stangret prosili o zwolnienie.

Na trzeci dzień po kłótni z żoną księżę Stiepan Arkadjicz Obłoński — Stiwa, jak go nazywano w towarzystwie — obudził się o zwykłej porze, to jest o ósmej rano, a obudził się nie w sypialni żony, lecz na safianowej kanapie w swoim gabinecie. Obrócił na sprężynach kanapy swe zażywne, wypielegnowane ciało, jakby chciał znowu na długo zasnąć, objął mocno oburącz poduszką i przywarł do niej policzkiem; lecz naraz zerwał się, usiadł i otworzył oczy.

„Tak, tak, jakże to było? — myślał przypominając sobie sen. — Tak, jakże to było? Tak! Ałabin wydawał obiad w Darmstadcie; nie, nie w Darmstadcie, raczej coś amerykańskiego... Tak, ale we śnie Darmstadt był w Ameryce. Tak, Ałabin wydał obiad na szklanych stołach, tak, i stoły śpiewały: Il mio tesoro, ale to nie było Il mio tesoro, tylko coś ładniejszego... A jakieś małe karafeczki, karafeczki, a zarazem kobiety...” — przypominał sobie.

Oczy zabłyśły mu wesoło, zamyślił się z uśmiechem. „Tak, było przyjemnie,

bardzo przyjemnie. Wiele tam jeszcze było różnych wspaniałości, ale na jawie niepodobna tego wyrazić słowami ani nawet myślą." I — zauważywszy pasmo światła, które przeniknęło z boku jednej z sukiennych stor — rażno spuścił nogi z kanapy, po omacku wsunął je w pantofle wyhaftowane przez żonę i obszyte złotystym safianem (zeszłoroczny podarunek na urodziny), po czym, posłuszny staremu, dziewięcioletniemu przyzwyczajeniu, nie wstając wyciągnął rękę w stronę, gdzie w sypialni wisiał jego szlafrok. I wtedy nagle przypomniał sobie, że śpi nie w sypialni żony, lecz w gabinecie — i dlaczego; uśmiech znikł z jego twarzy, a czoło przecięła zmarszczka.

— Ach, ach, ach!... Aa! — jęknął przypominając sobie, co się stało I w jego wyobraźni znów zarysowały się wszystkie szczegóły nieporozumienia z żoną, cała beznadziejność sytuacji i — co było najboleśniesz — jego własna wina.

„Tak. Nie przebaczy i przebaczyć nie może. A najstraszniejsze, że ja sam jestem przyczyną wszystkiego, chociaż to nie moja wina. Na tym właśnie polega cały dramat" — myślał. — Ach, ach, ach! — powtarzał z rozpaczą, przypominając sobie najprzykrzejsze wrażenia z owej kłótni. Najgorsza była pierwsza chwila, kiedy wróciwszy z teatru, wesół i dobrej myśli, niosąc ogromną gruszkę dla żony, nie zastał żony w salonie, nie znalazł również — ku swemu zdziwieniu — w gabinecie, aż wreszcie zobaczył ją w sypialni, trzymającą ów nieszczęsny liścik, który wszystko zdradził.

Dolly, ta wiecznie zatroskana, krzątająca się i — jak mu się zdawało — ograniczona Dolly, siedziała nieruchomo, z liścikiem w rękę, i spoglądała na męża z wyrazem przerażenia, rozpacz i gniewu.

— Co to jest? Co to? — pytała raz po raz, wskazując na list.

I przy tym rozpamiętywaniu bolało Stiepana Arkadjicza, jak to nieraz bywa, nie tyle samo zdarzenie, ile — jak się zachował w odpowiedzi na słowa żony.

Działo się z nim w owej chwili to, co się dzieje z ludźmi, których niespodzianie przyłapano na jakimś uczynku nazbyt już hańbiącym. Nie potrafił dość prędko przybrać miny stosownej do sytuacji, w której znalazł się wobec żony po odkryciu przewinienia. Mógłby się być obrazić, wypierać, usprawiedliwiać, prosić o przebaczenie, a bodaj nawet zachować się obojętnie — wszystko byłoby lepsze od tego, co uczynił! Tymczasem na twarzy jego ukazał się całkiem mimo woli („refleks mózgu". — pomyślał Obłoński, który miał słabość do fizjologii) właściwy mu, zwykły, dobroduszny i dlatego niemądry uśmiech.

Tego właśnie niemądrego uśmiechu nie mógł sobie darować. Ujrawszy ów uśmiech Dolly drgnęła jakby pod wpływem bólu, wybuchnęła z właściwą sobie popędliwością potokiem okrutnych słów i wybiegła z pokoju. Od tej chwili nie chciała męża widzieć.

„Wszystkiemu winien ten głupi uśmiech — myślał Obłoński. — Ale co począć? Co począć?" — mówił sobie z rozpaczą i nie znajdował odpowiedzi.

Stiepan Arkadjicz Obłoński był człowiekiem wobec siebie szczerym: nie potrafił się okłamywać ani wmawiać sobie, że żałuje swego postępu. Nie mógł na zawołanie odczuwać skruchy, że w trzydziestym piątym roku życia, przystojny i kochliwy, nie kocha się we własnej o rok tylko młodszej żonie, matce pięciorga żyjących i dwojga zmarłych dzieci. Żałował jedynie, że nie potrafił lepiej ukryć przed nią zdrady. Rozumiał jednak całą trudność swej sytuacji i żał mu było żony, dzieci i samego siebie. Może byłby potrafił lepiej zataić swe grzechy przed żoną, gdyby się był spodziewał, że ich odkrycie tak na nią podziała. Dokładniej nigdy nie zastanawiał się nad tym zagadnieniem, miał tylko niejasne wrażenie, że żona od dawna domyśla się jego niewierności i patrzy na to przez palce. Zdawało mu się nawet, że wyniszczona, postarzała, nieładna już kobieta, zwykła, niczym się nie wyróżniająca, tyle że dobra matka i żona, powinna być pobłażliwa, chociażby z poczucia sprawiedliwości. Okazało się, że było wprost przeciwnie.

„Ach, to okropne! Aj, aj, aj! Okropne! — powtarzał i nic nie mógł wymyślić. — A tak było dotąd dobrze, takeśmy ze sobą dobrze żyli! Była zadowolona, cieszyła się dziećmi; ja w niczym jej nie przeszkadzałem, pozwalałem jej krzątać się koło dzieci i gospodarstwa, jak sama chciała. Prawda, to niepięknie, że tamta była przedtem u nas guwernantką. Niepięknie!... Jest coś trywialnego, pospolitego w zalecaniu się do własnej guwernantki. Ale co to była za guwernantka! (Żywo przypomniały mu się czarne, szelmowskie oczy m-lle Rolland i jej uśmiech.) Ale przecież, dopóki była u nas w domu, na nic sobie nie pozwalałem. A najgorsze, że ona już... Trzebaż tego było... Wszystko jak na złość! Aj, aj, aj! Ale co teraz począć, co począć?”

Nie było na to odpowiedzi, poza tą jedną ogólną, jaką życie daje na wszystkie najbardziej skomplikowane i nierozwiązalne" pytania: trzeba żyć tym, co dzień przynosi, czyli szukać zapomnienia. Szukać go we śnie już nie można, przynajmniej przed nastaniem nocy; niepodobna już wrócić do tej muzyczki, którą nuciły karafeczki-kobiety; trzeba więc szukać zapomnienia w śnie życia.

— Ano, zobaczymy — rzekł do siebie Obłoński, wstał, włożył popielaty szlafrok na błękitnej jedwabnej podszewce, zawiązał końce sznura na węzeł, nabrał jak najwięcej powietrza w szeroką klatkę piersiową i właściwym sobie rześkim krokiem, stawiając na zewnątrz stopy, które tak lekko niosły jego zażywnie ciało, podszedł do okna, podniósł storę i przeciągle zadzwonił. Na odgłos dzwonka zjawił się natychmiast stary przyjaciel, kamerdyner Matwiej, niosąc ubranie, buty i depesę. Tuż za nim wszedł fryzjer z przyborami do golenia.

— Czy są jakie papiery z biura? — zapytał Obłoński biorąc depesę i siadając przed lustrem.

— Są na stole — odpowiedział. Matwiej spoglądając pytająco i ze współczuciem na pana, a po chwili dodał z przebiegłym uśmiechem: — przychodzili tutaj z remizy.

Stiepan Arkadjicz nic nie odrzekł, tylko popatrzył w lustro na Matwieja;

spojrzenia ich, które spotkały się w lustrze, świadczyły, jak bardzo się rozumieli. Spojrzenie pana zdawało się pytać: „I po co ty mi to mówisz? Wiesz chyba?”

Matwiej włożył ręce w kieszenie, wysunął nogę w bok i w milczeniu, poczciwie, z leciutkim uśmiechem spojrzał na pana.

— Kazałem przyjść w niedzielę i — żeby przed tym terminem nie trudzili księcia pana i siebie nadaremnie — powiedział wreszcie. Najwidoczniej miał to zdanie w pogotowiu.

Obłoński rozumiał, że Matwiej po prostu zażartował, by zwrócić na siebie uwagę. Otworzył depeszę, przeczytał ją, odgadując poprzekręcane jak zwykle słowa, i twarz mu się rozpromieniła.

— Matwiej, siostra moja, Anna Arkadiwna, przyjeżdża jutro — rzekł zatrzymując na chwilę połyskliwą, pulchną rękę fryzjera, który właśnie wygalał różową dróżkę między jego długimi, kędzierzawymi bokobrodami.

— Chwała Bogu — odpowiedział Matwiej dowodząc tym, że i on tak samo jak jego pan rozumie znaczenie tego przyjazdu, wiedząc, że Anna Arkadiwna, ulubiona siostra Obłońskiego, może się przyczynić do pojednania małżonków.

— Jaśnie pani sama czy z małżonkiem? — spytał Matwiej.

Obłoński nie mógł odpowiedzieć, ponieważ fryzjer był właśnie zajęty jego górną wargą, podniósł więc tylko palec. Matwiej skinął głową do lustra.

— Sama. Przygotować pokój na górze?

— Zamelduj Darii Aleksandrownie; przygotuj tam, gdzie każe.

— Darii Aleksandrownie? — powtórzył z powątpiewaniem Matwiej.

— Tak. Zamelduj. Weź tę depeszę, oddaj i zrób, jak ci Daria Aleksandrowna powie.

„Chcesz spróbować” — domyślił się Matwiej, ale rzekł tylko:

— Słucham.

Obłoński był już umyty, uczesany i zaczynał się ubierać, gdy Matwiej, powoli stąpając i skrzypiąc z lekka butami, powrócił z depeszą w ręku. Fryzjera już nie było.

— Daria Aleksandrowna kazała powiedzieć, że wyjeżdża. Róbcie tak, powiedziała, jak księżę pan zarządzi — zameldował z roześmianymi oczyma, po czym, włożywszy ręce w kieszenie, przechylił głowę i utkwiał nieruchomy wzrok w panu.

Stiepan Arkadjicz wciąż milczał. Po chwili dobroduszny i trochę żałosny uśmiech ukazał się na jego przystojnej twarzy.

— I cóż ty na to, Matwiej? — spytał kręcąc głową.

— Nic to, proszę księcia pana; jakoś się ukształtuje — odrzekł Matwiej.

— Ukształtuje się?

— Tak jest..

— Tak myślisz? A tam kto znowu? — zapytał Obłoński słysząc za drzwiami

szelest sukni.

— To ja — energicznie odpowiedział miły głos kobiety i we drzwiach ukazała się surowa, ospowata twarz niańki, Matryony Filemonowny.

— No i cóż, Matriosza? — spytał podchodząc do drzwi. Chociaż Stiepan Arkadjicz ciężko zawinił wobec żony i sam się do tego poczuwał, prawie wszyscy domownicy, nawet niania, najbardziej oddana księżnej, byli po jego stronie.

— No i cóż? — powtórzył posępnie.

— Niech książę pan jeszcze raz pójdzie i okaże skruchę. Może Pan Bóg da... Bardzo się męczy, niebożę, aż litość bierze patrzeć, a jaki rozgardiasz w domu! Trzeba mieć litość nad dziećmi, proszę księcia pana. Niech książę okaże skruchę. Co robić? Kto piwa nawarzył...

— Ależ ona mnie nie przyjmie...

— Trzeba robić swoje. Bóg jest miłosierny, trzeba się modlić, proszę księcia pana, modlić się.

— No, dobrze, idź już — rzekł Obłoński czerwieniąc się nagle. — Podajże mi wreszcie ubranie — zwrócił się do Matwieja i energicznym ruchem zrzucił szlafrok.

Matwiej już trzymał nadstawioną niby chomąto koszulę, zdmuchując z niej niewidzialny pyłek, i z widoczną satysfakcją włożył ją na wypielegnowane ciało swego pana.

Obłoński skropił się perfumami, poprawił mankiety koszuli, machinalnym ruchem rozmieścił po kieszeniach papierosy, pugilares, zapalniczki, zegarek z podwójnym łańcuszkiem i brelokami, strzepnął chusteczkę do nosa i czując, że jest czysty, pachnący, zdrów i pomimo zmartwienia niejako organicznie wesół, przeszedł, z lekka balansując z nogi na nogę, do jadalni, gdzie już czekała kawa, a obok kawy — listy i akta z urzędu.

Przeczytał listy. Jeden z nich był bardzo nieprzyjemny, od kupca, który chciał kupić las w majątku żony. Las ów należało sprzedać; lecz teraz, przed pogodzeniem się z żoną, nie mogło być o tym mowy. Najprzykrzejsze jednak było, że w ten sposób do jego pogodzenia się z żoną jakby wmieszany był interes pieniężny. Obłoński czuł się dotknięty na samą myśl, że mógłby dla korzyści, dla sprzedaży lasu, dążyć do pojednania z żoną.

Skończywszy czytać listy sięgnął po akta, prędko przewertował dwie sprawy, wielkim ołówkiem napisał kilka uwag, odsunął papiery i zabrał się do śniadania. Popijając kawę rozwinął wilgotną jeszcze gazetę poranną i zaczął czytać.

Obłoński prenumerował i czytał pismo liberalne o tendencji nie skrajnej, lecz takiej, jakiej trzymała się większość. Mimo że nie interesowała go właściwie ani nauka, ani sztuka, ani polityka, stale podzielał w tych wszystkich sprawach poglądy większości i jej dziennika, a zmieniał je tylko wówczas, gdy zmieniała je większość. Mówiąc ściślej, nie on zmieniał poglądy, lecz one same się w nim niedostrzegalnie zmieniały.

Obłoński nie wybierał kierunku ani zapatrywań; prądy i zapatrywania przychodziły do niego same, podobnie jak nie wybierał fasonu kapelusza ani kroju surduta, lecz nosił to, co wszyscy. Żyjąc w określonym społeczeństwie i odczuwając potrzebę pewnej aktywności umysłowej, która zazwyczaj rozwija się w wieku dojrzałym, nie mógł obejść się bez zapatrywań, tak jak nie mógł się obejść bez kapelusza. Jeśli nawet miał jakiś powód, dla którego przekładał kierunek liberalny nad zachowawczy, liczący także wielu zwolenników wśród jego znajomych — to bynajmniej nie dlatego, by miał uważać tendencję liberalną za bardziej rozumną, lecz dlatego, że liberalizm był bliższy jego trybowi życia. Partia liberalna twierdziła, że w Rosji wszystko jest złe, - i w istocie Stiepan Arkadjicz miał wiele długów, a pieniędzy stanowczo za mało. Partia liberalna twierdziła, że małżeństwo jest instytucją przestarzałą, że koniecznie należy je zreformować, i w istocie życie rodzinne dostarczało Stiepanowi Arkadjiczowi mało przyjemności i zmuszało go do kłamstwa i udawania, tak niezgodnych z jego naturą. Partia liberalna twierdziła, a raczej dawała do zrozumienia, że religia jest tylko wędzidłem dla barbarzyńskiej części ludności, i w istocie Stiepan Arkadjicz nie mógł bez bólu w nogach wytrzymać krótkiego nawet nabożeństwa i nie rozumiał, na co są potrzebne te wszystkie straszne i wzniosłe słowa o tamtym świecie, skoro i na tym można by pożyć sobie bardzo wesoło. W dodatku Obłońskiemu, który lubił dobry żart, miło czasem było wprawić, w zakłopotanie jakiegoś spokojnego człowieka

powiedzeniem, że jeśli już ktoś chlubi się swymi przodkami, to dlaczego ma się zatrzymywać na Ruryku, a odżegnywać od pierwszego protoplasty — małpy? Tak więc liberalizm stał się dla niego przyzwyczajeniem; lubił swoje piśmo, jak cygaro po obiedzie, za lekką mgłę, którą mu ono wytwarzało w głowie. Przeczytał właśnie artykuł wstępny, dowodzący, że niepotrzebnie się w naszych czasach biada, jakoby radykalizm miał pochłoniąć wszystkie czynniki konserwatywne, i niepotrzebnie podnosi się krzyk, że rząd winien poczynić kroki, by zdusić hydrę rewolucji. Wręcz przeciwnie, „naszym zdaniem, niebezpieczeństwo należy upatrywać nie w rzekomej hydrze rewolucji, lecz w uporczywości tradycjonalizmu hamującego wszelki postęp itd.” Przeczytał również inny artykuł, ekonomiczny, w którym była mowa o Benthamie i Millu i gdzie robiono ukryte docinki pod adresem ministerstwa. Z właściwą sobie szybkością orientacji Obłoński rozumiał znaczenie każdej szpileczki: przez kogo, przeciw komu i dlaczego była skierowana — a to jak zwykle sprawiało mu pewną przyjemność Tęgo dnia jednak przyjemność była zatruta przypomnieniem o radach Matriony i o tym, że w domu wszystko się tak źle układa. Przeczytał również, że hr. Beust podobno wyjechał do Wiesbadenu, i wzmiankę, że już nie będzie więcej siwych włosów; przeczytał ogłoszenie, że jest na sprzedaż lekka karetka, oraz ofertę pewnej młodej osoby; wiadomości te wszakże nie dawały mu odczuwanego zazwyczaj cichego, ironicznego zadowolenia. . Po drugiej filiżance kawy z rogalem i przeczytaniu gazety wstał, strzepnął okruchy z kamizelki i prężąc szeroką klatkę piersiową uśmiechnął się radośnie, nie dlatego, by miał być w dobrym nastroju — radosny uśmiech był wywołany dobrym trawieniem.

Radosny ów uśmiech natychmiast jednak przypomniał mu o wszystkim, i Obłoński zamyślił się.

Dwa głosy dziecięce (Stiepan Arkadjicz poznał głos Griszy, młodszego synka, i Tani, starszej córeczki) rozległy się za drzwiami. Coś, co dzieci wiozły, spadło właśnie na ziemię.

— Mówiłam ci, że na dach nie można sadzać pasażerów! — wołała po angielsku dziewczynka. — Teraz masz, zbieraj!

„Wszystko się pokręciło! — pomyślał. — Biegają bez dozoru.” Podeszedł do drzwi i zawołał. Dzieci porzuciły natychmiast szkatułkę wyobrażającą pociąg i weszły do pokoju.

Dziewczynka, jego ulubienica, wbiegła śmiało, uściskała go i jak zwykle ze śmiechem uwiesiła mu się na szyi, ucieszona znajomym zapachem perfum, bijącym od bokobrodów. Wreszcie ucałowała go w pochyloną nad nią, jaśniejącą od czułości, poczerwieniałą twarz, po czym rozplotła ręce i zamierzała wybiec z pokoju, ale ojciec ją zatrzymał.

— Co robi mama? — zapytał głaszcząc delikatną, gładką szyję córeczki. — Jak się masz? — rzekł z uśmiechem do chłopczyka, który się z nim witał. .

Obłoński zdawał sobie sprawę, że chłopca mniej kocha, i zawsze starał się nie robić różnicy między dziećmi; ale chłopczyk to czuł i nie odpowiedział uśmiechem na chłodny uśmiech ojca.

— Mama? Już wstała — odpowiedziała, dziewczynka. . "Stiepan Arkadjicz westchnął. „Znowu więc nie spała całą noc" — pomyślał.

— I cóż, czy jest wesoła?

Dziewczynka wiedziała, że rodzice się poróżnili, więc matka nie mogła być wesoła, a ojciec z pewnością wie o tym i tylko udaje pytając o matkę tak, mimochodem. Zarumieniła się za ojca. On ze swej strony zaraz to zrozumiał i też poczerwieniał.

— Nie wiem — rzekła. — Mama nie kazała nam się uczyć, tylko kazała iść na spacer do babci z miss Hull.

— Idź więc, moja Tańczurko. Ale prawda, zaczekaj.— dodał zatrzymując ją i gładząc jej delikatną rączkę.

Zdjął z kominka pozostawione tam poprzedniego dnia pudełko cukierków i wybrał dla niej dwa jej ulubione. — czekoladkę i pomadkę.

— To dla Griszy? — spytała dziewczynka wskazując na czekoladkę.

— Tak, tak... — I pogłaskawszy ją raz jeszcze po ramionku, pocałował w szyję u nasady włosów i pozwolił odejść.

— Kareta zajechała — oznajmił Matwiej. — I jest jakaś petentka — dodał.

— Czy dawno czeka? — spytał Obłoński.

— Będzie z pół godzinki.

— Ileż razy kazałem ci natychmiast meldować!

— Trzeba przecie dać księciu panu wypić spokojnie kawę — odpowiedział Matwiej tym poufale gburowatym tonem, za który nie można się było gniewać.

— Proście ją. czym prędzej — rzekł Obłoński marszcząc brwi z niezadowoleniem.

Potentka, pani sztabskapitanowa Kalinin, prosiła o coś niemożliwego i bezsensownego; Obłoński jednak swoim zwyczajem poprosił ją, żeby usiadła, wysłuchał uważnie, nie przerywając, i poradził szczegółowo, do kogo i w jaki sposób ma się zwrócić. Co więcej, swym dużym, szeroko rozstawionym, pięknym i wyraźnym pismem z rozmachem i rzeczowo skreślił bilecik do osobistości, która mogła jej pomóc. Pożegnawszy kapitanową wziął kapelusz i stał przez chwilę, zastanawiając się, czy czego nie zapomniał. Okazało się, że oprócz tego, o czym chciał zapomnieć — to jest o żonie — nie zapomniał o niczym.

„Ach, tak!" Spuścił głowę; piękna jego twarz przybrała wyraz żałosny. „Iść czy nie iść?" — wahał się. I głos wewnętrzny mówił mu, że iść nie należy, że nic oprócz fałszu wyniknąć z tego nie może, że się nie da naprawić ani załatać ich wzajemnego stosunku, niepodobna bowiem znów uczynić z żony kobiety pociągającej, zdolnej wzbudzać miłość, ani z niego zrobić starca niezdolnego do miłości. Nic nie mogło z tego teraz wyniknąć oprócz kłamstwa i fałszu, kłamstwo zaś i fałsz były przeciwne jego naturze. . „Jednak trzeba będzie przecież raz; kiedyś... To tak zostać nie może" — myślał starając się dodać sobie animuszu. Wyprężył pierś, wyjął papierosa i zapalił, dwa razy pociągnął, rzucił go do konchy z perłowej masy, służącej za popielniczkę, szybkim krokiem przemierzył ponury

salon i otworzył drzwi wiodące do sypialni żony.

IV

Daria Aleksandrowna z zapadniętą, chudą twarzą i wielkimi oczyma, które przy szczupłej twarzy wydawały się przestraszone, stała w kaftaniku, z upiętymi na karku warkoczami przerzedzonych już, gęstych niegdyś i pięknych włosów, wśród rozrzuconych po pokoju rzeczy, przed otwartą szyfonierką, z której coś wyjmowała. Słyszając kroki męża przerwała swe zajęcie i patrzyła- na drzwi, na próżno usiłując przybrać wyraz surowy i wzgardliwy. Czuła, że boi się męża i lęka się tego spotkania. Przed chwilą, po raz dziesiąty w ciągu tych trzech dni, starała się powybierać swoją i dziecięcą garderobę, którą miała wziąć ze sobą do matki, i znowu nie mogła się na to zdobyć. A przecie i teraz, jak przy poprzednich próbach, mówiła sobie, że tak dalej być nie może, że musi coś przedsięwziąć, ukarać męża, okryć go wstydem, zemścić się na nim choć w części za ból, który jej zadał. Ciągłe jeszcze mówiła sobie, że go porzuci, czuła jednak, że to niemożliwe; było to istotnie niemożliwe, nie mogła bowiem odzwyczaić się od myśli, że to jej mąż, nie mogła go przestać kochać. Poza tym rozumiała, że skoro tutaj, we własnym domu, ledwie może dać sobie radę z doglądaniem pięciorga dzieci, to tam, dokąd chce je zawieźć, będzie im o wiele gorzej. Przecie już w ciągu tych trzech dni najmłodszy zdążył się rozchorować, bo go nakarmiono kiepskim rosołem, a poprzedniego dnia pozostałe dzieci musiały się obejść prawie bez obiadu. Czuła, że wyjazd jest niemożliwy, okłamując się jednak, odkładała na bok rzeczy i udawała, że wyjedzie.

Na widok wchodzącego męża zagłębiła ręce w szufladę szyfonierki jakby czegoś szukając i obejrzała się dopiero, gdy stanął tuż przy niej. Na jej twarzy, której usiłowała nadać surowy i stanowczy wyraz, widać było bezradność i udrękę.

— Dolly! — rzekł cichym, nieśmiałym głosem. Wtulił głowę w ramiona i chciał przybrać wygląd żałosny i pokorny, lecz mimo to promieniał czerstwością i zdrowiem.

Żona szybkim spojrzeniem zmierzyła od stóp do głów tę postać, od której aż biła rzeźkość i zdrowie. „Tak, on jest szczęśliwy i zadowolony — mówiła sobie. — A ja?... I ta odrażająca dobroć, za którą go wszyscy tak lubią i chwalą; nienawidzę tej jego dobroci” — pomyślała. Usta jej zacisnęły się, mięsień prawego policzka zadrgał w bladej, nerwowej twarzy.

— Czego pan sobie życzy? — powiedziała szybko jakimś obcym, głębokim głosem.

— Dolly — powtórzył z drzeniem w głosie — Anna dzisiaj przyjeżdża.

— Co mnie to obchodzi! Nie mogą jej przyjąć — zawołała.

— Ale trzeba przecież, Dolly...

— Proszę wyjść, wyjść, wyjść! — krzyknęła nie patrząc na niego, jak gdyby krzyk ten był wywołany jakimś fizycznym bólem.

Stiepan Arkadjicz- mógł zachować spokój, gdy myślał o żonie, mógł się wtedy łudzić, że wszystko się jakoś ukształtuje, jak się wyraził Matwiej, mógł spokojnie

czytać gazetę i pić kawę. Skoro jednak zobaczył wymęczoną, zbolałą twarz żony i usłyszał dźwięk jej głosu, zarazem zrezygnowany i pełen rozpacz, zabrakło mu tchu, coś go ścisnęło w krtani, a łzy błysnęły w oczach.

— Boże wielki, co ja zrobiłem! Dolly! Na miłość boską!... Przecież... — nie mógł dalej mówić, szloch uwiązał mu w gardle.

Zatrzasnęła szyfonierkę i spojrzała na niego.

— Dolly, cóż ci mogę powiedzieć?... Jedno tylko: przebac, przebac... Przypomnij sobie... Czyż dziewięć lat życia nie może odkupić jednej chwili, chwili...

Spuściła oczy i słuchała czekając, co powie, i jakby błagając go, by ją w jakikolwiek sposób przekonał.

— ...Chwili zapomnienia... — wyrzekł i chciał mówić dalej, lecz na dźwięk tego słowa, jakby, pod wpływem fizycznego bólu, znów zacisnęły się jej wargi i mięsień w prawym policzku zadrgał.

— Proszę wyjść, proszę stąd wyjść! — krzyknęła jeszcze przeraźliwiej — i nie opowiadać mi tu o swoich chwilach zapomnienia i innych obrzydliwościach!

Chciała odejść, lecz zachwiała się i uchwyciła poręcz - krzesła, żeby nie upaść. Twarz i wargi Obłońskiego jakby nabrzmiały, oczy napełniły się łzami.

— Dolly — wyrzekł głosem, który przerywało łkanie. — Na miłość boską, pomyśl o dzieciach, one nic nie zawiniły. To ja jestem winien, mnie ukar, każ mi okupić moją winę. Gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej mocy! Jestem winien, brak mi słów, aby wyrazić, jak bardzo jestem winien! Ale ty mi przebac, Dolly!

Usiadła. Słyszał jej ciężki, głośny oddech i było mu jej niewypowiedziane żal. Ona kilkakrotnie chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Czekał.

— Pamiętasz o dzieciach, żeby się z nimi bawić, ale ja naprawdę o nich pamiętam i wiem, że są teraz zgubione. — Było to z pewnością jedno ze zdań, które w ciągu tych trzech dni niejednokrotnie sobie powtarzała.

Powiedziała mu „ty”. Spojrzał na nią z wdzięcznością i zrobił ruch, jakby chciał wziąć ją za rękę, lecz ona odsunęła się ze wstrętem.

— Ja pamiętam o dzieciach i dlatego zrobiłabym wszystko w świecie, żeby je uratować; ale nie wiem sama, jak mam je ratować: czy zabierając je ojcu, czy też zostawiając z rozpustnym, tak rozpustnym ojcem... No, proszę powiedzieć, czy po tym... co zaszło... możemy żyć razem? No, proszę powiedzieć, czy to możliwe? — powtórzyła podnosząc głos. — Po tym, jak mąż mój, ojciec moich dzieci, nawiązał stosunek miłosny z guwernantką tych dzieci...

— Ale co począć? Co począć? — pytał żałośnie, sam nie wiedząc, co mówi, i coraz niżej spuszczał głowę.

— Wzbudza pan we mnie obrzydzenie i odrazę! — wołała unosząc się coraz bardziej. — Pańskie łzy — to woda! Nigdy mnie pan nie kochał, nie ma pan ani serca, ani szlachetności! Czuję do pana wstręt, obrzydzenie, jest mi pan obcy, tak, najzupełniej obcy! — z bólem i złością wypowiedziała to straszliwe dla niej słowo obcy.

Spojrzał na nią i złość, jaką wyczytał na jej twarzy, zadziwiła go i przestraszyła. Nie rozumiał, że drażni ją jego litość; wyczuwała w nim współczucie, nie miłość. „Ona mnie nienawidzi. Nie przebaczy mi” — pomyślał.

— To straszne, straszne! — zawołał.

W tej chwili w pokoju obok, przewróciwszy się zapewne, krzyknęło dziecko. Daria Aleksandrowna zaczęła nadśłuchiwać i twarz jej nagle złagodniała.

Widać po niej było, że przez parę sekund zbierała myśli, jakby nie wiedząc, gdzie się znajduje i co ma robić. Wreszcie zerwała się i poszła ku drzwiom.'

Spostrzegłszy zmianę, jaka zaszła w jej twarzy na krzyk dziecka, Obłoński pomyślał: „Kocha przecież moje dziecko. Moje dziecko... Jakże więc może mnie nienawidzić?”

— Dolly, jeszcze słówko — odezwał się idąc za nią;

— Jeśli pan pójdzie za mną, to zawołam służbę, dzieci! Niech wszyscy wiedzą, że pan jest nikczemnikiem! Wyjeżdżam dzisiaj, a pan niech tu zostanie ze swoją kochanką!

I wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Stiepan, Arkadjicz westchnął, otarł twarz i po cichu wyszedł z pokoju. „Matwiej powiada: to się jakoś ukształtuje, ale jak? Nie widzę nawet żadnej możliwości. Ach, ach, co za okropność! I jak ona trywialnie krzyczała — myślał przypominając sobie krzyk i słowa: nikczemnik i kochanka. - A może i dziewczęta słyszały! To okropnie trywialne, okropnie.” Stał przez chwilę sam, otarł oczy, westchnął, wyprostował się i wyszedł z pokoju.

Był. piątek: w jadalni zegarmistrz Niemiec nakręcał zegar. Obłońskiemu przypomniało się, jak punktualność tego łysego Niemca nasunęła mu pewnego razu powiedzenie, że Niemiec był sam jakby raz na zawsze nakręcony po to, żeby nakręcać -zegary. Uśmiechnął się, lubił bowiem dobry żart. „A może naprawdę jakoś się ukształtuje! Dobre powiedzenie: ukształtuje się — pomyślał. — Trzeba je puścić w ruch.”

— Matwiej! — zawołał. — Przygotujcie więc tam wszystko z Marią dla Anny Arkadjewny, w małej bawialni — zlecił, gdy służący się zjawił.

— Słucham. Stiepan Arkadjicz włożył futro i wyszedł na ganek.

— Czy książę pan nie będzie jadł w domu? — zapytał Matwiej, który go odprowadzał do drzwi.

— Jak wypadnie... Masz tu na wydatki — dodał wyjmując z pugilaesu dziesięciorublowkę. — Wystarczy?

— Wystarczy albo i nie, trza jakoś sobie poradzić — odrzekł Matwiej zatrzasnąwszy drzwiczki karety i cofnął się na ganek.

Tymczasem Dolly uciszyła dziecko i poznając po turkocie karety, że mąż odjechał, wróciła znów do sypialni. Było to jedyne jej schronienie przed troskami domowymi, które oblegały ją natychmiast, gdy tylko stamtąd wychodziła. Już i teraz, zaledwie weszła do dziecinnego pokoju, Angielka i Matriona zdążyły zadać w

sprawach nie cierpiących zwłoki kilka pytań, na które tylko ona mogła odpowiedzieć: „Jak ubrać dzieci na spacer? Czy dać im mleka? Czy posłać po innego kucharza?”

— Ach, dajcie mi spokój! Dajcie spokój! — rzekła i wróciwszy do sypialni usiadła na tym samym miejscu, gdzie niedawno rozmawiała z mężem, mocno zacisnęła ręce tak wychudzone, że z kościstych palców zsuwały się pierścionki, i zaczęła powtarzać w myśli całą niedawną rozmowę. „Pojechał! Ale jak zakończył sprawę z tamtą? Czyżby się z nią i nadal widywał? Czemu go o to nie.zapytałam? Nie, nie, nie możemy się pojednać. Choćbyśmy nawet mieszkali w jednym domu, będziemy sobie obcy. Na zawsze obcy! — powtórzyła nadając temu straszemu dla niej słowu specjalne znaczenie. — A ja go tak kochałam, mój Boże, jak ja go kochałam!... Jak kochałam! A i teraz — czyż go nie Kocham? Czyż nie Kocham go bardziej niż poprzednio? To straszne, a zwłaszcza że...” Nie dokończyła swej myśli, w progę bowiem stanęła Matriona.

— Niechże już księżna pani każe posłać po mojego brata — rzekła — zawsze jakoś ten obiad ugotuje; bo znowu dzieci aż do szóstej będą bez jedzenia, jak wczoraj.

— Dobrze, zaraz pójde i wydam polecenie. Czy ktoś poszedł po świeże mleko?

I Daria Aleksandrowna pogрузyła się w powszednie troski zapominając chwilowo o swym strapieniu.

Stiepan Arkadjicz uczył się dobrze w szkole dzięki zdolnościom, ale że był leniuchem i psotnikiem, ukończył szkołę jako jeden z ostatnich. Mimo hulaszczego życia, niewysokiej rangi i młodego wieku pełnił jednak zaszczytną i dobrze opłacaną funkcję naczelnika jednego z moskiewskich urzędów. Zawdzięczał ją swemu szwagrowi, Aleksemu Aleksandrowiczowi Kareninowi, zajmującemu jedno z najpoważniejszych stanowisk w ministerstwie, któremu podlegał wspomniany urząd; ale nawet gdyby Karenin nie był mu wyjednał tej posady, Stiwa Obłoński z pomocą setki innych osób — braci, sióstr, krewnych, kuzynów, wujów, ciotek — otrzymałby, jeśli nie taką samą, to inną, podobną, z co najmniej sześciu tysiącami poborów, których potrzebował, interesy jego bowiem, mimo poważnego majątku żony, były w nieładzie.

Połowa Moskwy i Petersburga była spokrewniona i zaprzyjaźniona z Obłońskim. Urodził się w środowisku ludzi, którzy albo byli, albo stali się możnymi tego świata. Jedna trzecia starców-dygnitarzy była zaprzyjaźniona z jego ojcem i pamiętała Stiwę w dziecinnej koszulce; jedna trzecia była z nim na „ty”, a jedna trzecia składała się z dobrych znajomych; szafarze dóbr tego świata, posad, koncesyj, dzierżaw itp. byli więc z nim wszyscy w przyjaźni i jako swego człowieka, nie mogli go pominąć; Obłoński nie był zmuszony specjalnie zabiegać o intratną posadę: dość byk) tylko nie odmawiać, nie być zawistnym, nie kłócić się i nie obrażać, czego, powodowany wrodzoną dobroduszością, i tak nigdy nie miał w zwyczaju. Gdyby mu powiedziano, że nie dostanie posady z takimi poborami, jakie mu były potrzebne, uważałby to za żart, tym bardziej, że nie żądał nic nadzwyczajnego: pragnął mieć tylko tyle, ile otrzymywali jego rówieśnicy, a spełniać funkcje tego rodzaju potrafił nie gorzej niż ktokolwiek inny.

Znajomi lubili Stiepana Arkadjicza nie tylko za dobre, pogodne usposobienie i niewątpliwą uczciwość; w całej jego osobie, w jego pięknej, sympatycznej powierzchowności, błyszczących oczach, czarnych brwiach i włosach, w białości i rumieńcach twarzy było coś, co po prostu fizycznie wzbudzało radość i życzliwość u ludzi, którzy go spotykali „Ach! Stiwa! Obłoński! Otóż i on!” — mówiono prawie zawsze z radosnym uśmiechem na jego widok. I jeśli nawet zdarzało się niekiedy, że z takiej rozmowy nic szczególnie radosnego nie wynikało, to w dwa, trzy dni później znów wszyscy tak samo się cieszyli przy spotkaniu.

Piastując już trzeci rok godność naczelnika jednego z urzędów w Moskwie Stiepan Arkadjicz oprócz sympatii zjednał sobie u kolegów, podwładnych, szefów i u każdego, kto miał z nim do czynienia, także i szacunek. Głównymi zaletami Obłońskiego, dzięki którym zdobył ogólny mir w urzędzie, były: przede wszystkim niezwykła wyrozumiałość w stosunku do ludzi, oparta na świadomości własnych wad; po drugie — całkowity liberalizm, nie ten znany mu z gazet, lecz ten, który miał we krwi i na zasadzie którego zupełnie równo i jednakowo traktował wszystkich, jakakolwiek była ich sytuacja majątkowa i społeczna; po trzecie — co najważniejsze — doskonała obojętność wobec spraw, które załatwiał, dzięki czemu

nigdy nie tracił równowagi i nie popełniał omyłek.

Po przybyciu na miejsce urzędowania Obłoński w asyście gorliwego portiera, który niósł za nim tekę, udał się do swego malutkiego gabinetu, przebrał się tam w mundur i wszedł do biura. Wszyscy kanceliści i urzędnicy wstali, kłaniając się wesoło i z uszanowaniem. Obłoński szybko, jak zawsze, podszedł do swojego biurka, podał rękę kolegom, usiadł, pożartował i porozmawiał dokładnie tyle, ile wypadało, po czym przystąpił do pracy. Nikt lepiej od niego nie potrafił ustalić owej granicy swobody, prostoty i oficjalnego autorytetu, która jest warunkiem przyjemnego urzędowania. Sekretarz wesoło i z szacunkiem — jak wszyscy w obecności Obłońskiego — zbliżył się z aktami i powiedział poufałym, liberalnym tonem, zaprowadzonym przez Stiepana Arkadjicza:

— Udało się nam jednak zdobyć te informacje od pen zeńskiego urzędu gubernialnego. Proszę, jeśli łaska...

— Ach, dostaliśmy je nareszcie? — rzekł Obłoński zakładając palcem akta. — A więc, panowie... — I urzędowanie się rozpoczęło.

„Gdyby oni wiedzieli — myślał, z poważnie pochyloną głową słuchając sprawozdania — jak bardzo ich prezes pół godziny temu przypominał skarconego malca!” I patrzył na czytającego roześmianymi oczyma. Do drugiej urzędowanie miało trwać bez przerwy, o drugiej — przerwa i śniadanie.

Nie było jeszcze drugiej, gdy wielkie szklane drzwi nagle się otworzyły i ktoś wszedł na salę. Wszyscy panowie siedzący pod portretem obok trójkątnego metalowego symbolu praw obejrzeli się, radzi z urozmaicenia, ale woźny stojący u drzwi natychmiast wyprosił przybysza i zaniknął je za nim.

Po przeczytaniu sprawy Stiepan Arkadjicz wstał, przeciągnął się i — składając hołd liberalizmowi epoki — wyjął na sali papierosa, po czym wrócił do swego gabinetu. Dwaj jego koledzy, zasiedziały stary służbista Nikitin i kamerjunker Hryniewicz, wyszli z nim razem. — Zdążymy skończyć po śniadaniu — rzekł Obłoński.

— Ależ na pewno! — potwierdził Nikitin.

— To musi być nie lada krętacz, ten Fomin — określił Hryniewicz jednego z uczestników sprawy, którą rozpatrywali.

Stiepan Arkadjicz na te słowa zmarszczył brwi, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest rzeczą niewłaściwą przedwcześnie wydawać sąd, i nic nie odpowiedział.

— Kto to wchodził? — spytał woźnego.

— Taki jakiś, wasza escelencjo, wlaźł bez pytania, ledwiem się odwrócił. Pytał się o waszą ekscelencję. Powiedziałem mu: kiedy panowie wyjdą, wtedy...

— Gdzież on jest?

— Chyba w sieni, bo dotychczas ciągle tutaj się przechadzał. Oto on — dodał woźny wskazując na atletycznie zbudowanego, barczystego mężczyznę o kędzierzawej brodzie, który nie zdejmując baraniej czapki, szybko i lekko wbiegał po startych stopniach kamiennych schodów. Schodzący wraz z innymi chudy

urzędnik z teczką zatrzymał się, spojrzął najpierw krytycznie na nogi biegnącego, a potem pytająco na Stiepana Arkadjicza.

Stiepan Arkadjicz stał u góry. Twarz, jaśniejąca dobroduszością nad haftowanym kołnierzem munduru, rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy poznał spieszącego przybysza.

— Naturalnie! Lewin! Nareszcie! — zawołał z przyjacielskim, nieco ironicznym uśmiechem, przyglądając się wbiegającemu na schody Lewinowi. — Że też się nie zawałałeś odszukać mnie w tej norze! — dodał i nie poprzestając na uścisku dłoni, ucałował przyjaciela. — Dawno przyjechałeś

— Dopiero co, i bardzo chciałem się z tobą zobaczyć — odparł Lewin, który z niepokojem rozglądał się dokoła, zarazem nieśmiało i gniewnie.

— No to chodźmy do gabinetu — rzekł Stiepan Arkadjicz, a wiedząc, jak bardzo przy swym gwałtownym i ambitnym usposobieniu przyjaciel jego jest nieśmiały, chwycił, go za rękę i pociągnął za sobą, jakby przeprowadzając go przez niebezpieczeństwa.

Obłoński był na „ty” prawie ze wszystkimi swymi znajomymi: z sześćdziesięcioletnimi starcami, z dwudziestoletnimi chłopcami, z aktorami, ministrami, kupcami i generał-adiutantami. Toteż wielu z tych, którzy byli z nim na „ty”, stało na dwóch krańcowo przeciwległych szczeblach drabiny społecznej i niejeden z nich zdziwiłby się wielce, gdyby mu powiedziano, że poprzez Stiepana Arkadjicza ma coś wspólnego z innymi. Obłoński był na „ty” ze wszystkimi, z którymi pijał szampana, a szampana pił z każdym, i dlatego spotykając się w obecności podwładnych ze swymi wstydliwymi „ty”, jak żartobliwie nazywał wielu spośród swych przyjaciół, potrafił z właściwym sobie wyczuciem oszczędzać podwładnym nieprzyjemnego wrażenia. Lewin nie zaliczał się do wstydliwych „ty”. Mimo to Obłoński taktownie odgadł, że Lewin przypuszcza, iż przyjaciel nie życzy sobie okazywać wobec podwładnych, jak bardzo są sobie bliscy. Dlatego zaprowadził go od razu do gabinetu.

Byli prawie równieśnikami i zaczęli sobie mówić „ty” nie przy szampanie. Lewin był kolegą Obłońskiego i przyjacielem wczesnej młodości. Lubili się bardzo mimo różnicy charakterów i upodobań, jak lubią się ludzie zaprzyjaźnieni od najmłodszych lat. Mimo to jednak, jak to często bywa z ludźmi, którzy obrali w życiu różne rodzaje działalności, każdy z nich, chociaż — biorąc na rozum — uznawał działalność drugiego, w gruncie rzeczy nią pogardzał. Każdemu z nich wydawało się, że jedynie życie, które on, sam prowadzi, jest pełnym życiem; to zaś, którym żyje przyjaciel, jest tylko cieniem. Obłoński na widok Lewina nie mógł powstrzymać z lekka ironicznego uśmiechu. Ileż to razy widział go przyjeżdżającego do Moskwy ze wsi, gdzie Lewin czymś się zajmował, ale czym — tego Stiepan Arkadjicz nigdy nie mógł dobrze zrozumieć, zresztą nie interesowało go to wcale. Lewin, gdy przyjeżdżał do Moskwy, zawsze bywał podniecony, zawsze się śpieszył, zawsze czuł się trochę skrępowany, a tym samym — zirytowany, i przeważnie wygłaszał zupełnie nowe, nieoczekiwane poglądy - Stiepan Arkadjicz wprawdzie śmiał się, ale lubił to w nim. I zupełnie tak samo Lewin właściwie gardził

miejskim trybem życia przyjaciela i jego służbą państwową, którą uważał za niedorzeczność i z której kpił. Różnica polegała na tym, że Obłóński robiąc to, co wszyscy, śmiał się dobrotliwie i nie tracił wiary w siebie, Lewin zaś — niepewnie, a niekiedy ze złością.

— Od dawna już cię oczekujemy — rzekł Stiepan Arkadjicz wchodząc do gabinetu i puszczając rękę Lewina, jakby na znak, że tutaj już niebezpieczeństwa się skończyły. — Rad jestem, bardzo rad, że cię widzę. Co porabiasz? Jak się miewasz? Kiedy przyjechałeś?

Lewin milczał spoglądając na nieznajome sobie twarze kolegów Stiepana Arkadjicza, a zwłaszcza na rękę eleganckiego Hryniewicza, który miał tak długie białe palce, tak długie żółte, zagięte na końcu paznokcie i tak olbrzymie błyszczące spinki u koszuli, że ręce te najwidoczniej pochłaniały całą uwagę Lewina i krępowały swobodę jego myśli. Obłóński spostrzegł to od razu i rzekł z uśmiechem:

— Ach prawda, pozwolą panowie, że ich przedstawię; moi koledzy: Filip Iwanowicz Nikitin, Michał Stanisławowicz Hryniewicz i — obracając się w stronę Lewina — działacz ziemstwa, nowy ich człowiek, atleta podnoszący jedną ręką pięć pudów, hodowca bydła, myśliwy, a mój przyjaciel Konstanty Dmitrycz Lewin, brat Sergiusza Iwanycza Koźnyszewa.

— Bardzo mi miło — powiedział staruszek.

— Mam zaszczyt znać pańskiego brata, Sergiusza Iwanycza — rzekł Hryniewicz podając mu swą szczupłą rękę o długich paznokciach.

Lewin spochmurniał, chłodno ucisnął podaną sobie dłoń i natychmiast zwrócił się do Obłóńskiego. Mimo że bardzo szanował swego przyrodniego brata, znanego w całej Rosji pisarza, nie cierpiał, gdy się do niego zwracano nie jako do Konstantego Lewina, lecz jako do brata znakomitego Koźnyszewa.

— Nie, nie jestem już działaczem ziemstwa. Pokłóciłem się ze wszystkimi i nie bywam już na zebraniach — rzekł zwracając się do przyjaciela.

— Tak prędko? — zdziwił się z uśmiechem Obłóński. — Jakże się to stało? Dlaczego?

— To długa historia; kiedy indziej ci opowiem. — Rozpoczął jednak opowiadać od razu: — No więc, krótko mówiąc, przekonałem się, że w ziemstwie nic się nie robi i nic zrobić nie można — wypowiedział to tak, jakby go ktoś w tej chwili obraził — Z jednej strony, to zabawka: bawią się w parlament, a ja nie jestem ani dość młody, ani dość stary, by się bawić zabawkami, z drugiej (tu zaciął się), jest to jeden sposób więcej dla powiatowej koterii, by dorobić się grosza. Dawniej bywały opiekuństwa, sądy, a teraz ziemstwo, nie jako okazją do łapówek, ale jako synekura — mówił tak gwałtownie, jakby ktoś z obecnych sprzeciwiał się jego zdaniu.

— Aha, widzę, żeś znów wszedł w nową fazę: jesteś konserwatysta — rzekł Obłóński. — Zresztą, pomówimy o tym później.

— Dobrze, później. Ale ja musiałem się koniecznie z tobą widzieć — powiedział Lewin, z nienawiścią wpatrując się w rękę Hryniewicza.

Stiepan Arkadjicz uśmiechnął się nieznacznie.

— Jak to? Mówiłeś przecież, że nigdy więcej nie włożysz europejskiego stroju?
— rzekł oglądając jego nowe ubranie, najwyraźniej od francuskiego krawca. — Tak!
Już widzę: to nowa faza.

Lewin zaczerwienił się nagle, ale nie tak, jak czerwienią się ludzie dorośli — z lekka, sami nie zdając sobie z tego sprawy — lecz jak mali chłopcy, którzy czują, że ich nieśmiałość jest śmieszna, i ze wstydu czerwienią się jeszcze mocniej, prawie do łez. I tak dziwnie było widzieć tę rozumną, męską twarz tak po dziecinnemu zmienioną, że Obłoński odwrócił wzrok.

— Więc gdzie się zobaczymy? Koniecznie, koniecznie muszę z tobą pomówić — nalegał Lewin.

Obłoński jakby się namyślał.

— Wiesz co, chodźmy na śniadanie do Gurina, tam porozmawiamy. Jestem wolny do trzeciej.

— Nie — odpowiedział Lewin po namyśle — muszę przedtem gdzieś pojechać.

No, więc dobrze, w takim razie zjedźmy razem obiad.

— Obiad? Ależ mnie nie chodzi o nic takiego, chcę tylko powiedzieć parę słów, o coś zapytać, a potem sobie pogadamy.

— Więc powiedzże od razu te twoje dwa słowa; pogadamy przy obiedzie.

No, więc te dwa słowa — zaczął Lewin — nic zresztą takiego...

Z wysiłku, który robił, żeby przewyciężyć nieśmiałość, twarz jego przybrała nagle gniewny wyraz. — Co porabiają Szcherbaccy? Czy nic się u nich nie zmieniło? — zapytał.

Stiepan Arkadjicz, który od dawna wiedział, że Lewin kocha się w jego szwagierce Kitty, uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie, a oczy błysnęły mu wesoło.

— Powiedziałeś „dwa słowa”, a ja w dwóch słowach nie mogę odpowiedzieć, ponieważ...Przepraszam cię na chwilę.

Wszedł sekretarz z aktami, zbliżył się do Obłońskiego z szacunkiem nie pozbawionym poufałości i z pewnym, właściwym wszystkim sekretarzom; skromnym "poczuciem przewagi nad szefem w znajomości spraw, zaczął w formie zapytania wyjaśniać mu jakieś trudności. Stiepan Arkadjicz, nie wysłuchawszy go do końca, położył mu przyjaźnie dłoń na rękawie.

— Nie, niech już pan zrobi tak, jak powiedziałem — rzekł, uśmiechem łagodząc upomnienie i, po krótkim wyjaśnieniu, jak — jego zdaniem — należy rozumieć sprawę, odsunął akta i zakończył: — Niech więc pan tak robi, proszę, tak właśnie, Zacharze Nikiticzu.

Sekretarz wszedł skonfundowany. Lewin w czasie tej narady zdołał zupełnie opanować zakłopotanie, stał oparty obu łokciami o poręcz krzesła, a twarz jego wyrażała żartobliwe skupienie.

— Nie rozumiem, nie rozumiem — powiedział.

— Czego nie rozumiesz? — ze zwykłym sobie wesołym uśmiechem zapytał

Obłoński biorąc papierosa. Oczekiwał od Lewina jakiegoś dziwnego wyskoku.

— Nie rozumiem tego, co wy tu robicie — rzekł Lewin wzruszając ramionami. — Jak ty możesz brać to na serio?

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie ma tu nic do roboty.

— Tak ci się tylko zdaje. Jesteśmy zawałeni pracą.

— Papierową pracą... Ty zresztą masz do tego specjalny talent.

— Czy to znaczy, że masz mi coś do zarzucenia?

— Może i tak — odparł Lewin. — Ale mimo to podziwiam twoją wspaniałość i czuję się dumny, że mój przyjaciel jest tak wielkim człowiekiem Ale nie odpowiedział na moje pytanie — dodał patrząc Obłońskiemu prosto w oczy z rozpaczliwym wysiłkiem.

— Dobrze, dobrze. Poczekaj trochę, i ty do tego dojdiesz. Łatwo tak gadać, jak się ma trzy tysiące dziesięcin w karazińskim powiecie, do tego takie mięśnie, a poza tym świeżość uczuć dwunastoletniej dziewczynki; Jeszcze i ty kiedyś do nas zapukasz. A jeśli chodzi o odpowiedź na twoje pytanie, to nic się nie zmieniło szkoda tylko, żeś tam tak dawno nie był.

— Bo co? — przeraził się Lewin.

— Ależ nic — odpowiedział tamten. — Pomówimy o tym. Ale po coś ty właściwie przyjechał?

— Ach, o tym także pogadamy później — Lewin znowu zaczerwienił się po uszy.

— No, dobrze. Ma się rozumieć — rzekł Obłoński. — Otóż widzisz, zaprosiłbym cię chętnie do siebie, ale żona nie jest całkiem zdrowa. Wiesz co, jeśli chcesz ich wszystkich zobaczyć, to spotkasz ich dziś na pewno w Ogrodzie Zoologicznym między czwartą a piątą. Kitty będzie na ślizgawce. Pojedźże tam, a ja po ciebie wpadnę i zjemy gdzieś razem obiad.

— Doskonale. A więc do widzenia.

— Tylko pamiętaj; bo ty, już ja cię dobrze znam, gotów jesteś zapomnieć albo nagle wyjechać na wieś — śmiejąc się zawołał za nim Stiepan Arkadjicz.

— Nie. Będę na pewno!

I Lewin wyszedł z gabinetu. Dopiero za drzwiami przypomniał sobie, że się nie pożegnał z kolegami Obłońskiego.

— Ale to musi być energiczny jegomość! — zauważył po jego wyjściu Hryniewicz.

— Tak, bracie — rzekł kręcąc głową Stiepan Arkadjicz — to dopiero szczęściarz! Trzy tysiące dziesięcin w powiecie karazińskim, cała przyszłość przed nim i — co za świeżość! Nie to co my.

— Książę jeszcze narzeka

— Cóż, kiedy kiepsko jest; całkiem źle — westchnął ciężko Obłoński. .

Gdy Obłoński zapytał Lewina, po co właściwie przyjechał, Lewin zaczerwienił się, a potem rozzłościł się o to na siebie, nie mógł . bowiem odpowiedzieć przyjacielowi: „Przyjechałem oświadczyć się twojej szwagierce”, chociaż właśnie w tym tylko celu przyjechał.

Rodziny Lewinów i Szczerbackich należały do starej szlachty moskiewskiej i były zawsze w bliskich i przyjaznych ze sobą stosunkach. Więzy te utrwaliły się zwłaszcza w okresie, studiów Lewina, który przygotowywał się i wstąpił na uniwersytet razem z młodym księciem Szczerbackim, bratem Dolly i Kitty. W owym czasie Lewin bywał często w domu Szczerbackich i zakochał się w ich rodzinie! Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, Konstanty Lewin był zakochany właśnie w domu, w rodzinie, a zwłaszcza w niewieściej połowie rodziny Szczerbackich. Własnej matki nie pamiętał, a jedyna jego siostra była od niego starsza, dopiero więc w domu Szczerbackich poznał to środowisko: starą, szlachecką, światłą i uczciwą rodzinę, taką, jakiej sam został pozbawiony przez śmierć ojca i matki. Wszyscy członkowie tej rodziny, zwłaszcza niewieścia jej połowa, wydawali mu się przesłonięci jakąś tajemniczą, poetyczną zasłoną. Nie tylko nie dostrzegał w nich żadnych wad, lecz domyślał się za ową poetyczną, okrywającą ich zasłoną — najwznioślejszych uczuć i najrozmaitszych doskonałości. Czemu te trzy panienki musiały jednego dnia rozmawiać po angielsku, drugiego — po francusku? Dlaczego w pewnych godzinach grały kolejno na fortepianie, którego dźwięki słyhać było na górze u brata, gdzie uczyli się studenci? Po co przychodzili ci wszyscy nauczyciele literatury francuskiej, muzyki, rysunku i tańca? W jakim celu o pewnych określonych godzinach wszystkie trzy wraz z m-lle Linon jeździły kareta aż na Twerski bulwar, ubrane w swe atłasowe szubki — Dolly w długą, Natalie w półdługą, a Kitty w zupełnie krótką, tak że widać było w całości jej kształtne nóżki w bardzo obcisłych czerwonych pończoszkach? Dlaczego przechadzały się po Twerskim bulwarze, eskortowane przez lokaja ze złotą rozetką u kapelusza? Tego i wielu innych rzeczy, które działy się w ich tajemniczym świecie, Lewin nie rozumiał, ale wiedział, że wszystko, cokolwiek się tam działo, było piękne, i kochał się właśnie w tajemniczości tego piękna.

Jeszcze jako student omal nie zakochał się w najstarszej, Dolly, lecz wkrótce wydano ją za mąż za Obłońskiego. Potem zaczął się durzyć w drugiej z rzędu, jak gdyby czuł, że powinien zakochać się w jednej z sióstr, tylko nie mógł się połapać w której. Lecz i Natalie, ledwo zaczęła bywać, zaraz wyszła za mąż za Lwowa, dyplomatę. Kitty była jeszcze dzieckiem, kiedy Lewin skończył uniwersytet. Młody Szczerbacki, który wstąpił do marynarki, utonął na Bałtyku i stosunki Lewina z rodziną Szczerbackich, mimo jego przyjaźni z Obłońskim, rozluźniły się. Kiedy jednak w tym roku na początku zimy Lewin przyjechał do Moskwy po całorocznym pobycie na wsi i spotkał znowu Szczerbackich, od razu zrozumiał, w której z trzech stymdzone mu się było zakochać.

Na pozór nie mogło być nic prostszego: Lewin, który pochodził z dobrej rodziny,

był człowiekiem raczej bogatym niż biednym i miał trzydzieści dwa lata, mógł śmiało oświadczyć się o rękę księżniczki Szczerbackiej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa uznano by go bez wahania za dobrą partię. Lewin wszakże był zakochany i dlatego wyobrażał sobie, że Kitty to taka pod każdym względem doskonałość, istota tak bardzo przewyższająca wszystko, co ziemskie, on zaś sam jest tak bardzo ziemski i pospolity, że nawet mowy być nie może, by mógł być uznany za godnego jej ręki przez nią samą czy przez innych.

Spędziwszy jak w odurzeniu dwa miesiące w Moskwie, podczas których niemal codziennie widywał Kitty w domach, gdzie zaczął bywać, aby ją spotkać, nagle zdecydował, że to się stać nie może, i wrócił na wieś.

Przekonanie Lewina o nieziszczalności jego, zamiarów opierało się na tym, że w oczach jej krewnych musi uchodzić za partię niekorzystną, niegodną prześlizgniętej Kitty i — że sama Kitty nie może go kochać. Z punktu widzenia krewnych nie miał żadnego określonego zajęcia ani pozycji towarzyskiej, gdy jego rówieśnicy — Lewin miał trzydzieści dwa lata — byli już pułkownikami, fligel-adiutantami profesorami, dyrektorami banków i kolei lub, jak Obłoński, prezesami różnych instytucji. On natomiast (wiedział aż nadto dobrze, co o nim muszą sądzić inni) był obywatelem ziemskim zajmującym się hodowlą krów, strzelaniem bekasów, stawianiem budynków, to znaczy — niezdarzonym młodzikiem zajmującym się według pojęć światowych tym właśnie, czym się zajmują ludzie do niczego niezdatni.

Tajemnicza i prześlizgnięta Kitty nie mogła kochać tak brzydkiego — jak mniemał — człowieka, a przede wszystkim takiego przeciętnego prostaka. Poza tym jego dawny stosunek do Kitty — stosunek dorosłego mężczyzny do dziecka, wynikły z przyjaźni z jej bratem — wydawał się Lewinowi jeszcze jedną przeszkodą w miłości. Brzydkiego pocziwca, za jakiego się miał, można było, jego zdaniem, lubić jak przyjaciela, ale na to, aby być kochanym taką miłością, jaką on darzył Kitty, trzeba było być człowiekiem pięknym, a przede wszystkim — niezwykłym. -

Słyszał, że kobiety nieraz kochają brzydkich, przeciętnych mężczyzn, ale nie wierzył temu, sądził bowiem po sobie, gdyż sam potrafił kochać tylko piękne, tajemnicze i niezwykłe kobiety.

Po dwumiesięcznym samotnym pobycie na wsi przekonał się jednak, że to nie jest jedno z owych zakochań, jakim ulegał w latach pierwszej młodości; że uczucie to nie daje mu ani chwili spokoju; że wprost nie będzie mógł żyć, jeśli nie rozwiąże zagadnienia — czy Kitty zostanie, czy też nie zostanie jego żoną. Doszedł do wniosku, że jego poprzednie zwątpienie było tylko wytworem wyobraźni i że nic nie wskazuje na to, by miała go spotkać odmowa. Toteż teraz przyjechał do Moskwy z mocnym postanowieniem, by oświadczyć się i ożenić, jeżeli zostanie przyjęty... Albo... Nie mógł nawet znieść myśli o tym, co się z nim stanie, jeśli się spotka z rekuzą.

VII

Po przybyciu rannym pociągiem do Moskwy Lewin zatrzymał się u swego starszego przyrodniego brata, Koznyszewa, przebrał się i wszedł do gabinetu chcąc od razu powiedzieć, po co przyjechał, i poprosić o radę. Brat jednak nie był sam. Siedział u niego znany profesor filozofii, który przybył specjalnie z Charkowa, żeby wyjaśnić powstałe między nimi nieporozumienie na temat bardzo ważnego zagadnienia filozoficznego. Profesor toczył zażartą polemikę z materialistami, a Sergiusz Koznyszew z zainteresowaniem śledził jej przebieg i po przeczytaniu ostatniego artykułu profesora napisał do niego list wyrażając mu swoje sprzeciwy i zarzucając zbyt duże ustępstwa na rzecz materialistów. Profesor natychmiast przyjechał, żeby się z nim porozumieć. Chodziło o modne zagadnienie: czy istnieje w działalności człowieka granica między zjawiskami psychicznymi a fizjologicznymi i gdzie ona przebiega?

Sergiusz Iwanowicz przywitał brata swoim zwykłym, jednakowym dla wszystkich, grzecznym, oziębłym uśmiechem i po dokonaniu prezentacji wiódł dalej rozmowę.

Malutki człowieczek w okularach, o żółtej cerze i wąskim czole, na chwilę oderwał się od dyskusji, by przywitać się z Lewinem, po czym mówił dalej, nie zwracając na niego uwagi. Lewin usiadł czekając, aż profesor wyjdzie, wkrótce jednak zainteresował się treścią rozmowy.

Natrafiał w pismach na artykuły, o których była mowa, i czytał je z zaciekawieniem, gdyż dotyczyły podstaw przyrodoznawstwa znanych mu, jako przyrodnikowi z wykształcenia, lecz nigdy nie zestawiał naukowych wniosków o pochodzeniu człowieka jako zwierzęcia, o refleksach, o biologii i socjologii — z tymi spośród zagadnień sensu życia i śmierci, które dotyczy jego samego, a które w ostatnich czasach coraz częściej zaprzątały jego umysł.

Słuchając rozmowy brata z profesorem spostrzegął, że łączyli oni zagadnienia naukowe z bardziej bliskimi człowiekowi zagadnieniami, że kilkakrotnie zbliżali się do tych właśnie zagadnień, jednocześnie jednak miał wrażenie, że ilekroć prawie już dotykali ich istoty, natychmiast cofał się z pośpiechem i znów grzęzł w dziedzinie subtelnych rozróżnień, omówień, cytatów, napomknień, powołując się na liczne autorytety, i Lewin z trudem rozumiał, o czym właściwie rozmawiają.

— Nie mogę się zgodzić — mówił Koznyszew z właściwą sobie jasnością, dokładnością w doborze słów i wyszukaną dykcją — nie mogę w żaden sposób zgodzić się z Keithem, by całe moje wyobrażenie o świecie zewnętrznym opierało się na wrażeniach. Najbardziej nawet podstawowego pojęcia: istnienie, nie zawdzięczam doznaniu, nie ma bowiem w ogóle specjalnego narządu do przekazywania tego pojęcia.

— Tak, ale oni wszyscy — i Wurst, i Knaust, i Pripasow — odpowiedzą panu, że pańska świadomość istnienia wynika z całokształtu wszystkich doznań, że jest więc rezultatem doznań. Wurst twierdzi wprost, że tam, gdzie nie ma doznań, nie ma też

i pojęcia istnienia.

— Powiedziałbym przeciwnie... — zaczął Koznyszew. Lewinowi w tej chwili znów poczęło się zdawać, że rozmawiający, ledwo zbliżywszy się do istoty sprawy, na nowo się cofają, i postanowił zadać profesorowi pytanie:

— A zatem, skoro zmysły moje zostaną unicestwione, skoro ciało moje umrze, nie będzie już żadnego istnienia?

Profesor zirytowany, jakby go ta przerwa do żywego zabolęła, obejrzał się na dziwnego interpelanta, wyglądającego raczej na burłaka niż na filozofa, po czym przeniósł spojrzenie na Koznyszewa, jak gdyby zapytując: „I po co w ogóle z nim gadać?” Koznyszew, który mówił z większą łatwością niż profesor i był mniej zaciętrzewiony mając umysł dość szeroki, by replikować uczonemu, a zarazem rozumieć prosty i naturalny punkt widzenia, z jakiego zrodziło się pytanie brata, uśmiechnął się i rzekł:

— Tej kwestii nie mamy jeszcze prawa rozstrzygać.

— Nie ma danych — potwierdził profesor i ciągnął dalej swoje wywody. — Nie — mówił — muszą podkreślić, że jeśli, jak twierdzi Pripasow, podstawą doznania jest wrażenie, to istotnie powinniśmy ściśle rozgraniczać te dwa pojęcia. Lewin już dalej nie słuchał i czekał tylko, kiedy profesor wyjdzie.

VIII

Po wyjściu profesora Sergiusz zwrócił się do brata:

— Cieszę się bardzo, żeś przyjechał. Czy na długo? A jak tam gospodarstwo?

Lewin wiedział, że starszy brat mało się interesuje gospodarstwem i że zadał to pytanie jedynie przez wzgląd na niego, toteż w odpowiedzi wspomniał tylko o sprzedaży pszenicy i pieniądzach.

Zamierzał powiedzieć bratu, że chce się ożenić, i zapytać go o radę; zdecydował się nawet na to z całą stanowczością. Gdy jednak zobaczył brata, gdy wysłuchał jego dyskusji z profesorem, a potem usłyszał ów mimowolnie protekcjonalny ton, jakim Sergiusz wypytywał go o sprawy gospodarcze (majątku po matce nie podzielili i Lewin. zarządzał zarówno częścią brata, jak i własną), poczuł, że" nie może jakoś wszcząć z bratem rozmowy o zamierzonym małżeństwie. Obawiał się, że Sergiusz nie będzie się zapatrywał na to tak, jak on by sobie tego życzył.

— A jak tam wasze ziemstwo? — zapytał Koznyszew, który bardzo się tą instytucją interesował przypisując jej doniosłe znaczenie.

— Doprawdy nie wiem...

— Jak to?... Przecie jesteś członkiem zarządu!

— Nie, już nie jestem; wystąpiłem — odpowiedział Lewin, — Nie bywam już na zebraniach.

— Szkoda — mruknął Sergiusz Iwanowicz i zasepił się. Lewin na swoje usprawiedliwienie zaczął opowiadać, co się działo na zebraniach w jego powiecie.

— Zawsze tak bywa! — przerwał mu Sergiusz. — My, Rosjanie, zawsze tak postępujemy. Może to nawet i dodatnia cecha, ta zdolność dostrzegania własnych błędów, ale my stanowczo przesadzamy, a pocieszamy się ironią, którą zawsze mamy w pogotowiu. Powiem ci tylko, że gdyby którykolwiek inny naród w Europie miał takie uprawnienia jak nasze instytucje ziemskie, to Niemcy lub Anglicy dawno by już wypracowali z nich wolność, podczas gdy my wciąż się tylko ze wszystkiego wyśmiewamy.

— Ale co począc? — zapytał Lewin ze skrucą. — To była moja ostatnia próba. Staralem się całym sercem... Nie mogę. Nie jestem zdolny.

— Zdolności ci nie brak, tylko zapatrujesz się na rzeczy nie tak, jak należy.

— Być może — odpowiedział ponuro Lewin.

— A czy wiesz, że Mikołaj jest tu znowu?

Mikołaj był to rodzony starszy brat Konstantego, a przyrodni Sergiusza, człowiek wykolejony, który strwonił większą część własnego majątku, obracał się w najdziwaczniejszym, najgorszym towarzystwie i poróżnił się z braćmi.

— Co ty mówisz?! — zawołał z przerażeniem Konstanty. — Skąd wiesz o tym?

— Prokofij widział go na ulicy.

— Tu w Moskwie? A gdzie on jest? Nie wiesz? — Lewin zerwał się z krzesła, jak gdyby zamierzał iść tam niezwłocznie. .

— Żałuję, że ci to powiedziałem — rzekł Sergiusz Iwanowicz kręcąc głową na widok wzburzenia młodszego brata. — Kazałem się dowiedzieć, gdzie mieszka, i posłałem mu jego weksel, który wykupiłem od Trubina. Oto, co mi odpowiedział.

Wyjął spod przycisku kartkę i podał bratu.

Lewin przeczytał słowa skreślone dziwnym, a tak mu bliskim pismem: „Proszę uniżenie, aby mnie zostawiono w spokoju. To wszystko, czego żądam od mych drogich braciszków. Mikołaj Lewin.”

Lewin przeczytał i nie podnosząc głowy stał z kartką w ręku przed Sergiuszem.

W duszy jego toczyła się walka: pragnął zapomnieć o nieszczęsnym bracie, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że postąpiłby źle.

— Najwidoczniej chce mnie obrazić — ciągnął dalej Sergiusz — ale to mu się nie uda. Z całego serca pragnąłbym mu dopomóc, chociaż wiem, że nic się nie da zrobić.

— Tak, tak — powtórzył Lewin. — Rozumiem i cenię twój stosunek do Mikołaja. Ja jednak do niego pojedę.

— Jedź, jeśli masz ochotę — rzekł Sergiusz. — Ale nie radzę... Naturalnie, jeśli chodzi o mnie, to odwiedzin tych się nie obawiam: nie uda mu się nas poróżnić; ale przez wzgląd na samego ciebie radzę ci — lepiej nie idź. Tu nic pomóc nie można. Zresztą, rób, jak uważasz.

— Może pomóc się już nie da, ale czuję, zwłaszcza w tej chwili — no, ale to już całkiem inna rzecz! — że nie miałbym spokoju.

— Tego znów nie rozumiem — powiedział Sergiusz Iwanowicz. — Jedno wiem — dodał — że jest to lekcja pokory. Inaczej i o wiele pobłaźliwiej zacząłem zapatrywać się na wszystko, co ludzie nazywają podłością, odkąd Mikołaj, nasz brat, stał się tym, czym jest... Wiesz, co on zrobił...

— Ach, to straszne, straszne! — powtarzał Lewin. Otrzymawszy od służącego adres brata Lewin wyszedł, zamierzając natychmiast się do niego wybrać, rozmyślił się jednak i postanowił zaczekać do wieczora. Przede wszystkim, dla osiągnięcia spokoju wewnętrznego, należało załatwić sprawę, która go sprowadziła do Moskwy. Wyszedłszy od brata pojechał więc do instytucji, w której urzędował Obłoński, i zasięgnąwszy informacji o Szczerbackich udał się tam, gdzie — jak mu powiedziano — mógł zastać Kitty.

O godzinie czwartej Lewin z bijącym sercem wysiadł z dorożki przed Ogrodem Zoologicznym i poszedł ścieżką ku torowi saneczkowemu i ślizgawce wiedząc na pewno, że zastanie tam Kitty, ponieważ widział przed bramą karetę Szczerbackich.

Był jasny, mroźny dzień. Przy wjeździe stały rzędy karek, sanek, dorożek, żandarmów. U wejścia i na oczyszczonych drózkach, pomiędzy domkami w stylu rosyjskim, o belkach szczytowych wycinanych w deseń, roilo się od dobrze ubranych ludzi; w jaskrawym słońcu połyskiwały kapelusze. Stare kędzierzawe brzozy, o gałęziach uginających się pod śniegiem, zdawały się przybrane w nowe uroczyste szaty.

Lewin szedł dróżką w stronę ślizgawki i mówił sobie: „Nie trzeba się denerwować; trzeba się uspokoić. O co ci chodzi? Czego chcesz? Milcz, głupie” — tak przemawiał do swego serca. Im bardziej usiłował zapanować nad sobą, tym bardziej brakło mu tchu. Po drodze spotkał go znajomy i zawołał na niego; Lewin go nawet nie poznał. Podeszedł do toru, gdzie szczękały łańcuchy ustawianych i wciąganych saneczek, które z łoskotem leciały w dół, i gdzie rozlegały się wesole okrzyki. Przeszedł jeszcze parę kroków, zobaczył przed sobą ślizgawkę i natychmiast wśród tłumu ślizgających się rozpoznał Kitty.

Strach i radość, które ogarnęły jego serce, zwiastowały mu jej obecność. Kitty stała na przeciwległym końcu ślizgawki, rozmawiając z jakąś panią. Zdawało się, że nie było nic szczególnego ani w jej stroju, ani w postawie, Lewin wszakże rozpoznał ją w tym tłumie z taką łatwością, jak poznaje się różę wśród pokrzyw... Oświeblała wszystko. Była uśmiechem, który opromieniał wszystko dokoła. „Czyż doprawdy wolno mi zejść tam, na lód, zbliżyć się do niej?” — pomyślał. Miejsce, gdzie stała, wydawało się Lewinowi niedostępne i święte i była chwila, że omal nie odszedł, taki ogarnął go lęk. Musiał się opanować i wytłumaczyć sobie, że przecie Kitty otaczają rozmaitego rodzaju ludzie, że przecie i on mógł przyjść tutaj tylko po to, żeby się ślizgać. Zeszedł na dół starając się nie patrzeć na nią zbyt długo, jak nie patrzy się na słońce. Ale nawet nie patrząc na nią widział ją, jak widzi się słońce.

W tym dniu tygodnia i o tej właśnie porze na ślizgawce zwykły zbierać się osoby należące do tego samego kółka i znające się nawzajem. Byli tu i zawołani mistrzowie łyżew, popisujący się swą sztuką, i tacy, którzy dopiero uczyli się jazdy trzymając się fotelików, początkujący o nieśmiałych i niezgrabnych ruchach, i mali chłopcy, i starzy ludzie zażywający ślizgawki dla higieny. Wszyscy wydali się Lewinowi wybranymi szczęśliwcami, ponieważ byli tu, w pobliżu Kitty, a tymczasem wszyscy wyprzedzali ją, doganiali i nawet rozmawiali z nią całkiem obojętnie lub zupełnie niezależnie od niej bawili się ochoczo, korzystając z doskonałego lodu i pogody.

Mikołaj Szczerbacki, stryjeczny brat Kitty, w krótkiej kurtce i wąskich spodniach, siedział z łyżwami u nóg na ławce. Ujrawszy Lewina zawołał:

— A, pierwszy na yżwiarz Rosji! Dawno- pan jest tutaj? Pyszny lód, niechże pan

przypina łyżwy.

— Kiedy nawet nie mam ze sobą łyżew — odpowiedział Lewin dziwiąc się takiej odwadze i swobodzie obejścia w obecności Kitty. Nie tracił jej z oczu ani na sekundę, chociaż wcale na nią nie patrzył. I naraz poczuł, że słońce się do niego zbliża. Była na zakręcie i posuwała się ku niemu z widocznym lękiem, ostrożnie stawiając swe wąskie stopki w wysokich bucikach. Chłopak w rosyjskim stroju mijał ją wymachując zamasyżycie rękoma i pochylając się ku ziemi. Jechała niezupełnie pewnie; wyjąwszy ręce z mufki zawieszanej na sznurze, trzymała je w pogotowiu i spoglądała na Lewina, którego poznała, uśmiechając się trochę do niego, a trochę z własnego strachu. Za zakrętem odepchnęła się sprężystą nóżką, podjechała prosto do Szczerbackiego i uchwyciwszy się go, z uśmiechem skinęła głową Lewinowi. Była piękniejsza, niż sobie wyobrażał. .

Kiedy o niej myślał, mógł ją z łatwością wywołać w pamięci całą, a zwłaszcza urok tej niewielkiej jasnowłosej główki, od której biła dziecięca pogoda i dobroć, tak swobodnie osadzonej na mocnych dziewczęcych ramionach. Dziecięcy wyraz, w połączeniu z wiotką urodą postaci, nadawał jej swoisty urok, który Lewin tak dobrze pamiętał. Co w niej jednak zawsze oszałamiało jak niespodzianka, to wyraz oczu, łagodnych, spokojnych i szczerych, a zwłaszcza uśmiech, przenoszący Lewina w zaczarowany świat, gdzie odnajdywał w sobie rzewność i miękkość i znów był takim, jakim pamiętał siebie z niewielu dni wczesnego dzieciństwa.

— Dawno pan w Moskwie? — zapytała podając mu rękę.— Dziękuję dodała, gdy podniósł chusteczkę, która wypadła jej z mufki.

— Ja... ja... niedawno, wczoraj... to jest dzisiaj... — odrzekł, ze wzruszenia nie od razu rozumiejąc jej pytanie. — Chciałem państwa odwiedzić... — zaczął, ale przypomniał sobie, w jakim celu jej szukał, więc zmieszał się i zaczerwienił. — Nie wiedziałem, że pani się ślizga, i to tak doskonale.

Spojrzała na niego uważnie, jakby chciała zrozumieć powód jego zmieszania.

— Pochwałę pana należy cenić. Przechowały się tu legendy o panu jako o najlepszym łyżwiarzu — rzekła strzepując malutką rączką w czarnej rękawiczce igielki szronu, które osiadły na mufce.

— Tak, niegdyś ślizgałem się z pasją: chciałem dojść do perfekcji.

— Zdaje się, że pan' wszystko robi z pasją — odpowiedziała z uśmiechem.— Tak bym chciała zobaczyć, jak pan się ślizga. Niechże pan weźmie łyżwy, będziemy się razem ślizgali.

„Ślizgać się razem! Czy to możliwe?” — myślał Lewin spoglądając na nią.

— Zaraz wezmę — powiedział. I poszedł po łyżwy.

— Dawno pan u nas nie był — przywitał go posługacz podtrzymując mu nogę i przyśrubowując łyżwę do obcasa. — Od czasu pana nie ma już u nas takich mistrzów. Czy tak będzie dobrze? — zapytał ściągając rzemyk.

— Dobrze, dobrze, proszę prędzej — odpowiedział Lewin, ledwo mogąc zapanować nad bezwiednym uśmiechem szczęścia" Tak — myślał. — To jest życie, to jest szczęście! Razem — powiedziała — będziemy się razem ślizgali. -Czy

powiedzieć jej teraz? Ależ ja właśnie dlatego boję się powiedzieć, ponieważ jestem szczęśliwy, szczęśliwy bodaj nadzieją... A co będzie potem?... Ale przecież trzeba! Trzeba, trzeba! Precz ze słabością!"

Lewin stanął, zdjął palto, nabrawszy rozpędu na chropowatym lodzie koło domku, wyjechał na gładki lód i pomknął bez wysiłku, jakby samą tylko wolą przyspieszając pęd i wyznaczając kierunek. Zbliżył się do niej nieśmiało, ale uśmiech jej uspokoił go znowu.

Podąła mu dłoń i sunęli obok siebie zwiększając coraz bardziej szybkość, a im szybciej mknęli, tym ona mocniej ścisnęła jego rękę.

— Z panem nauczyłabym się o wiele prędej; nie wiem dlaczego, ale mam do pana zaufanie.

— Ja również czuję się pewniejszy, gdy pani wspiera się na mnie — powiedział, ale wnet przeraził się tego, co wyrzekł, i poczerwieniał. Jakoż w istocie, ledwo powiedział te słowa, z twarzy jej znikła cała serdeczność, jakby słońce skryło się za chmurą, i Lewin ujrzał znajomą sobie grę wyrazu: na jej gładkim czole ściągnęła się fałdka, świadcząca o wysiłku myślowym.

— Czy spotkała panią jaka przykrość? Zresztą, nie mam prawa pytać — dodał prędko.

— Dlaczego?... Nie, nie spotkała mnie żadna przykrość — odparła chłodno. I zaraz spytała: — Nie widział pan m-lle Linon?

— Jeszcze nie.

— Niech pan do niej podejdzie; ona pana tak lubi.

„Co się stało! Czyżbym ją uraził?... Boże, ratuj!” — pomyślał Lewin i podbiegł do siedzącej na ławce starej Francuzki z siwymi loczkami. Uśmiechając się i pokazując swe sztuczne zęby przywitała go jak starego przyjaciela.

— Otóż i dorastamy — rzekła wskazując oczyma na Kitty i — starzejemy się. Tiny bear już dorósł! — dodała ze śmiechem, przypominając mu jego dowcip o trzech panienkach, które niegdyś przyrównywał do trzech niedźwiadków z angielskiej bajki. — Pamięta pan, że pan je tak nazywał?

Nie przypominał sobie tego zupełnie, ale m-lle Linon od dziesięciu lat stale śmiała się z tego wielce przez nią ulubionego żartu.

— Niechże pan wraca na lód. Nasza Kitty zaczęła się już wcale nieźle ślizgać, prawda?

Gdy Lewin znowu podjechał do Kitty, twarz jej nie była już surowa, oczy znów patrzyły szczerze i serdecznie; Lewinowi wszakże zdawało się, że owa serdeczność nabrała jakiegoś szczególnego, rozmyślnie spokojnego odcienia. Posmutniał. Zamieniwszy z nim kilka słów na temat starej guwernantki i jej dziwactw poczęła go wypytywać o jego życie.

— Czy naprawdę nie nudzi się panu zimą na wsi? — rzekła.

— Nie, nie nudzę się, jestem bardzo zajęty — odpowiedział czując, że Kitty narzuca mu swój spokojny ton, z którego on nie potrafi się wyłamać. Tak już

bywało na początku zimy.

— Na długo pan przyjechał? — spytała Kitty.

— Nie wiem — odrzekł z roztargnieniem. Przyszło mu na myśl, że jeśli ulegnie owemu tonowi spokojnej przyjaźni, to znowu wyjedzie z Moskwy bez żadnej decyzji, i postanowił się zbuntować.

— Jak to pan nie wie?

— Nie wiem. To zależy od pani — odrzekł i natychmiast przeraził się własnych słów.

Czy nie dosłyszała, czy też nie chciała dosłyszeć, dość, że potknęła się jakby, uderzyła dwa razy nóżką o lód i szybko się oddaliła. Podjechawszy do m-lle Linon powiedziała jej parę słów i ruszyła w stronę domku, w którym panie zdejmowały łyżwy.

— Boże, co ja zrobiłem! Panie Boże, dopomóż mi, oświeć mnie! — szeptał Lewin modlitewnie, a czując zarazem potrzebę szybkiego ruchu rozpędził się i począł kreślić na łyżwach koła pochylając się to w prawo, to w lewo.

W tej chwili jeden z młodych ludzi, najlepszy z nowych łyżwiarzy, z papierosem w ustach wyszedł na łyżwach z kawiarni, nabrał rozpędu i puścił się po schodach podskakując z łoskotem na każdym stopniu. Runął pędem aż na sam tor, nie zmieniając nawet swobodnego układu rąk, i pomknął po lodzie.

— Ach, to nowa sztuczka! — rzekł Lewin i natychmiast wbiegł na górę, żeby tę nową sztuczkę wykonać.

— Niechże pan tylko nie skręci karku. Trzeba mieć wprawę! — krzyknął za nim Mikołaj Szczerbacki.

Lewin wszedł po stopniach, wziął z góry rozpęd, na ile się dało, i pomknął w dół, utrzymując podczas tak niezwykłego dla siebie ruchu równowagę rękoma. Na ostatnim stopniu zahaczył o coś nogą, ledwo musnął ręką lód, lecz natychmiast silnym ruchem odzyskał równowagę i ze śmiechem sunął dalej.

„Najlepszy... kochany...” — pomyślała Kitty wychodząc z pawilonu wraz z m-lle Linon i patrząc na Lewina z uśmiechem tkliwej przyjaźni, jak na ukochanego brata. „Czy to istotnie moja wina? Czy naprawdę zrobiłam coś złego? Powiadają: kokieteria. Wiem, że kocham nie jego; ale tak mi zawsze z nim wesoło, taki jest pocziwy. Tylko po co on mi to powiedział?...” — myślała.

Widząc wychodzącą Kitty oraz matkę, która czekała na nią na schodkach, Lewin, zaczerwieniony od szybkiego ruchu, przystanął w zamyśleniu, po czym zdjął łyżwy i dogonił obie panie przy wyjściu z ogrodu.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę — rzekła księżna. — Przyjmujemy, jak zawsze, we czwartki.

— A zatem dzisiaj?

— Bardzo nam będzie miło widzieć pana — rzekła oschle księżna.

Oschłość ta zmartwiła Kitty; nie mogła się powstrzymać, by tego tonu nie złagodzić. Odwróciła głowę i rzekła z uśmiechem:

— Do zobaczenia.

Właśnie wtedy Obłowski, w kapeluszu na bakier, z jaśniejącą twarzą i błyszczącymi oczyma, wchodził do ogrodu jak wesoły triumfator. Kiedy jednak stanął przed teściową, ze skruszoną już i smutną miną odpowiadał na jej pytania o zdrowie Dolly. Przez chwilę rozmawiał z nią cicho i melancholijnie, po czym wyprostował się i ujął Lewina pod ramię.

— No i cóż, jedziemy? — zapytał. — Myślałem wciąż o tobie i bardzo, bardzo jestem rad, żeś przyjechał — rzekł patrząc mu znacząco w oczy.

— Jedziemy, jedziemy — odpowiedział uszczęśliwiony Lewin słysząc wciąż dźwięk głosu, który powiedział mu „do zobaczenia”, i mając jeszcze w oczach uśmiech towarzyszący tym słowom.

— Do „Anglii” — czy do „Ermitażu”?

— Wszystko mi jedno.

— Więc do „Anglii” — odrzekł Stiepan Arkadjicz wybierając raczej „Anglię”. Ponieważ był tam winien więcej niż w „Ermitażu”, uważał za niestosowne unikać tego hotelu.

— Masz dorożkę? To doskonale, bo odesłałem karecię. Przez całą drogę przyjaciele milczeli. Lewin zastanawiał się, co znaczyła u Kitty owa zmiana wyrazu twarzy, i to wmawiał sobie, że jest nadzieja, to wpadał w rozpacz i widział wyraźnie, że nadzieja ta jest szaleństwem. Czuł się jednak zupełnie innym człowiekiem, niepodobnym do tego, którym był, zanim Kitty się uśmiechnęła i powiedziała mu „do zobaczenia”.

Obłowski po drodze komponował menu obiadu.

— Lubisz chyba turboty? — rzekł do Lewina, nim wysiedli.

— Co takiego? — spytał Lewin. — Turboty? Tak, przepadam za turbotami.

W chodząc z Obłońskim do hotelu Lewin nie mógł nie zauważyć pewnej niezwykłości w wyrazie twarzy oraz całej postaci Stiepana Arkadjicza, od której biło jakby przyćmione światło. Obłoński zdjął palto i w kapeluszu na bakier wszedł na salę wydając polecenia lepiącym się niemal do niego wyfraczonym Tatarom z serwetkami pod pachą. Kłaniając się na prawo i na lewo witającym go radośnie znajomym, których — jak zresztą wszędzie — miał i tutaj, Obłoński podszedł do bufetu, przegryzł wódkę rybką i powiedział wyszminkowanej, strojnej we wstążki i koronki, ufryzowanej Francuzce, która siedziała przy kasie, coś takiego, że nawet ta Francuzka serdecznie się roześmiała. Lewin natomiast tylko dlatego nie pił wódki, że raził go widok tej Francuzki, która zdawała się cała złożona z cudzych włosów, poudre de riz i vinaigre de toilette. Oddalił się od niej spieszenie, jak od zanieczyszczonego miejsca. Całą jego duszę przepełniało wspomnienie Kitty, a oczy błyszcząły mu uśmiechem triumfu i szczęścia.

— Książę pan pozwoli tutaj, tutaj nikt nie będzie przeszkadzał — zapraszał najbardziej nadskakujący, blady, stary Tatar o szerokich biodrach i rozwiewających się nad nimi połach fraka. — Służę waszej ekscelencji — zwrócił się do Lewina, starając się na znak respektu dla Obłońskiego traktować jak najuprzejmiej także i jego gościa.

Położył w mgnieniu oka świeży obrus na już nakryty obrusem okrągły stół pod kinkietem z brązu, przysunął obite aksamitem krzesła, po czym z serwetką i kartą w ręku stanął przed Obłońskim, oczekując zleceń.

— Gdyby książę pan życzył sobie, zaraz będzie wolny osobny gabinet. Książę Golicyn zajmuje go z damą. Dostaliśmy świeże ostrygi.

— A, ostrygi...

Stiepan Arkadjicz zamyślił się.

— A może by zmienić plan, co, Kostia? — rzekł wreszcie, kładąc palec na jadłospisie. Na twarzy jego odmalowała się poważna rozterka. — Czy aby dobre są te wasze ostrygi? Powiedz no bez blagi.

— Flensfourskie, proszę księcia pana, ostendzkich nie ma.

— Niechże będą i flensburskie, ale czy świeże?

— Wczoraj dostaliśmy.

— Więc jak? może by zacząć od ostryg, a potem już zmienić cały plan? Co?

— Wszystko mi jedno. Wolałbym kapuśniak i kaszę. Ale oni tego tu nie mają.

— Kasza a la riuś, do usług? — zapytał Tatar pochylając się nad Lewinem jak niańka nad dzieckiem.

— Nie, bez żartów, zgodzę się na to, co ty wybierzesz. Ślizgałem się i chce mi się jeść. Tylko nie myśl — dodał Lewin spostrzegając na twarzy Obłońskiego wyraz niezadowolenia — że nie potrafię ocenić twojego wyboru. Z przyjemnością zjem coś

dobrego.

— Ma się rozumieć! Bądź co bądź jest to jedna z rozkoszy życia — odpowiedział Stiepan Arkadjicz. — Daj nam więc, bracie, ostryg ze dwa, nie, to za mało, ze trzy dziesiątki, zupę z jarzyn...

— Prentanier — podchwycił Tatar. Obłoński jednak nie chciał widocznie sprawić kelnerowi satysfakcji i nazywać potraw po francusku.

— Z jarzyn, rozumiesz? Następnie turbot w gęstym sosie, rozbef, ale uważaj, żeby był dobry. Potem jeszcze kapłony i jakiś kompot.

Kelner, który przypomniał sobie, że Stiepan Arkadjicz nigdy nie nazywa potraw według francuskiego menu, przestał je za nim powtarzać; natomiast dla własnej satysfakcji powtórzył całe zamówienie według karty: sup prentanier, tiurbo sos bomarsze, pulard a lestragą, maseduan de friui — po czym natychmiast, jak na sprężynach, położył jeden spis w oprawie i chwytając drugi — kartę wiń — podał go Obłońskiemu.

— A oo będziemy pili?

— Co każesz, byle niedużo... Choćby szampana — powiedział Lewin.

— Jak to? Na początek? A zresztą, może masz rację. Lubisz z białą kapslą?

— Kasze blan — podchwycił Tatar. .

— Podaj więc to z białą kapslą do ostryg, a potem zobaczymy.

— Słucham księcia pana. A jakie wino stołowe?

— Podaj Nuits, nie, lepiej klasyczne Chablis.

— Słucham księcia pana. Czy podać ser? Ten co zwykle? — Tak, parmezan A może ty wolisz inny?

— Nie, wszystko mi jedno — odrzekł Lewin nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu.

Tatar o rozwianych połach wybiegł i po pięciu minutach powrócił z półmiskiem pełnym otwartych ostryg na perłowych muszlach i z butelką, którą trzymał w palcach.

Obłoński zmiął nakrochmaloną serwetkę, wsunął ją sobie za kamizelkę -i wygodnie oparłszy rękę, zabrał się do ostryg.

— O, wcale, wcale niezłe — chwalił wydzierając srebrnym widelczykiem mlaskające małże z ich perłowych muszli i połykając jedne po drugich. — Wcale niezłe — powtarzał podnosząc wilgotne, błyszczące oczy na przemian to na Lewina, to na Tatar..

Lewin jadł ostrygi, chociaż bardziej smakowała mu bułka z serem, ale z przyjemnością patrzył na Obłońskiego.

Nawet i Tatar, odkorkowawszy butelkę i rozlewając pieniące się wino w złocone, cienkie kieliszki, z widocznym uśmiechem zadowolenia poprawiał swój biały krawat i zerkał na Stiepana Arkadjicza.

— A ty? Może nie bardzo lubisz ostrygi? — zapytał Lewina wychylając wino. —

Albo może masz jakie troski? Co?

Chciał, żeby przyjaciel był wesół. Lewin jednak był nie tyle markotny, co skępowany. Z tym, co miał na sercu, przykro mu było siedzieć w restauracji, w sąsiedztwie gabinetów, gdzie się jadało z daniami, wśród bieganiny i krzątania; całe to otoczenie — brązy, zwierciadła, lampy gazowe, Tatarzy — wszystko go drażniło. Bał się, że zbruka to, co przepełniało mu serce.

— Ja? Tak, mam swoje troski, ale poza tym, to wszystko mnie razi. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie mnie, wieśniakowi, wszystko to wydaje się dziwaczne, choćby na przykład paznokcie tego pana, którego u ciebie poznałem...

— O tak, widziałem, że paznokcie biednego Hryniewicza bardzo cię zainteresowały — rzekł śmiejąc się Stiepan Arkadjicz.

— Cóż ja na to poradzę! — odparł Lewin. — Postaw się na moim miejscu i popatrz na to. wszystko ze stanowiska mieszkańca wsi. My na wsi staramy się doprowadzić .. ręce do takiego stanu, żeby można było nimi wygodnie pracować: obcinamy paznokcie i niekiedy zakasujemy rękawy. Tymczasem tutaj ludzie umyślnie zapuszczają tak długie paznokcie, jak się tylko da, a po to, żeby już nic nie można było robić rękami, przyczepiają sobie do mankietów istne spodki zamiast spinek.

Obłoński uśmiechał się pogodnie.

— Tak, to dowód, że taki człowiek może się obejść bez ciężkiej pracy... Umysł na niego pracuje.

— Być może. Niemniej wydaje mi się to dziwaczne... Tak samo w tej chwili wydaje mi się dziwaczne, że podczas gdy my, wieśniacy, staramy się zaspokoić głód jak najprędzej, by móc wykonać swoją robotę, my tutaj z tobą usiłujemy jak najdłużej się nie najeść i dlatego jemy ostrygi.

— Ma się rozumieć — potwierdził Obłoński — ale na tym właśnie polega cywilizacja, by ze wszystkiego czerpać rozkosz.

— Jeśli to ma być. celem cywilizacji, to wolałbym być dzikusiem.

— Jesteś nim i tak. Wy wszyscy, Lewinowie, jesteście dzicy.

Lewin westchnął. Przypomniał sobie Mikołaja; ogarnął go smutek, poczuł wyrzuty sumienia i zasępił się; lecz Obłoński wnet poruszył temat, który od razu pochłonął jego uwagę.

— No i cóż, czy będziesz dzisiaj wieczorem u nich, to jest u Szcerbackich? — zapytał ze znaczącym błyskiem oczu odsuwając puste, chropowate muszelki i przysuwając ser.

— Tak, będę na pewno — odpowiedział Lewin — chociaż zdawało mi się, że księżna niechętnie mnie zapraszała.

— Co znowu! Głupstwo! To taka maniera... Dawaj no, bracie, zupeł!.. To jej maniera grande dame. Ja również tam będę, ale przedtem muszę być na próbie chóru u hrabiny Bonin. Powiedz sam, czyś ty nie dzikus? Jakże inaczej wytłumaczyć twoje nagłe zniknięcie z Moskwy? Szcerbaccy ciągle się o ciebie dopytywali, tak

jakbym ja powinien był coś o tym wiedzieć. Ja zaś wiedziałem tylko jedno: że zawsze robięś to, czego nikt nie robi.

— Tak — odrzekł Lewin panując nad wzburzeniem. — Masz rację, jestem dzikus. Ale nie mój wyjazd jest tego dowodem, tylko obecny mój powrót. Przyjechałem teraz...

— Ach, jakiś ty szczęśliwy! — przerwał znów Stiepan Arkadjicz wpatrując się w niego.

— Czemu?

— Poznają rumaki chyże po znakach, które noszą, a zakochanych młodzieńców poznają po ich oczach... — zadeklamował Obłoński. — Ty masz jeszcze wszystko przed sobą.

— A ty, czyżbyś miał już wszystko poza sobą?

— Nie, może jeszcze nie wszystko, chociaż... Ale przed tobą cała przyszłość, a ze mną bardzo różnie bywa.

— Jak to?

— Niewesoło... Zresztą, nie chciałbym mówić o sobie, a poza tym wszystkiego wytłumaczyć się nie da — odparł Stiepan Arkadjicz. — Więc po co przyjechałeś do Mo-skwy?... Ej, ty tam,, sprzątnij no! — zawołał na Tatara.

— Może się domyślasz? — zapytał Lewin nie spuszczając z przyjaciela do głębi rozjaśnionych oczu.

— Domyślam się, ale mi nie wypada pierwszemu o tym mówić. Możesz więc już z tego wnioskować, czy domysł mój jest słuszny, czy nie — odpowiedział Obłoński patrząc z wiele mówiącym uśmiechem na Lewina.

— No, więc cóż mi powiesz? — zapytał Lewin drżącym' głosem czując, jak mu w twarzy drgają wszystkie mięśnie. — Jak się na to zapatrujesz?

Obłoński powoli wypił swoją szklankę Chablis nie spuszczając wzroku z Lewina.

— Ja? — rzekł. — Niczego bym tak nie pragnął, jak tego właśnie! Tak byłoby najlepiej.-

Czy ty się nie mylisz? Czy wiesz, o czym mowa? — dopytywał się Lewin wlepiając wzrok w przyjaciela. — I sądzisz, że to możliwe?

— Sądzę, że możliwe. Dlaczegoż by miało być niemożliwe.

— Nie... Czy naprawdę przypuszczasz, że to możliwe? Nie, nie... Powiedz mi wszystko, co myślisz! A jeżeli... Jeśli mnie spotka odmowa!... Jestem nawet pewien...

— Dlaczego tak sądzisz? — I Stiepan Arkadjicz uśmiechnął się widząc podniecenie Lewina.

— Tak mi się czasem zdaje. To będzie przecież straszne i dla niej, i dla mnie.

— W każdym razie dla dziewczyny nie ma w tym nic straszego. Każda bywa dumna z oświadczyn.

— Tak, każda, ale nie ona.

Stiepan Arkadjicz uśmiechnął się. Dobrze znał to uczucie u Lewina; wiedział, że dla niego ogół dziewcząt na świecie dzieli się na dwa gatunki: pierwszy — wszystkie dziewczęta na świecie prócz niej; są to zwykłe sobie dziewczęta, mające wszelkie ludzkie niedoskonałości; i drugi gatunek — ona jedna, bez żadnej ułomności, górująca nad wszystkim, co ludzkie.

— Zaczekaj, weź trochę sosu — rzekł i przytrzymał za rękę odtrącającego sos Lewina..

Tamten posłusznie nabrał trochę sosu, ale nie dał jeść przyjacielowi.

— Nie... Pozwól, pozwól — powiedział. — Zrozum, że to jest dla mnie kwestia życia i śmierci! Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem i z nikim tak jak z tobą o tym mówić nie mogę. Przecie ja i ty jesteśmy różni we wszystkim; mamy odmienne poglądy, upodobania, właściwie — wszystko, ale wiem, że ty mnie lubisz i rozumiesz, i dlatego ja ciebie też strasznie lubię. Tylko na miłość boską, bądź zupełnie szczery.

— Mówię ci to, co myślę — odrzekł z uśmiechem Stiepan Arkadjicz. — Powiem ci więcej nawet: moja żona to zupełnie niezwykła kobieta — tu Obłoński westchnął na wspomnienie złych stosunków z żoną i po chwili milczenia mówił dalej: — Moja żona ma dar jasnowidzenia. Widzi ludzi na wskroś; ale to jeszcze nic — ona wie, co się stanie, zwłaszcza jeśli chodzi o małżeństwa. Przepowiedziała na przykład, że Szachowska wyjdzie za Brentelna. Nikt nie chciał temu wierzyć, a jednak tak się stało... Otóż ona jest po twojej stronie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To znaczy, że nie tylko cię lubi, ale powiada, że Kitty na pewno będzie twoją żoną.

Na te słowa twarz Lewina nagle rozjaśniła się uśmiechem bliskim łez rozrzewnienia.

— Tak powiada! — zawołał Lewin. — Zawsze twierdziłem, że twoja żona to cudowna istota! Ale dosyć już, dosyć o tym— dodał wstając z fotela.

— Zgoda, ale siadajże!

Lewin jednak nie mógł usiedzieć na miejscu. Przeszedł się dwa razy swym energicznym krokiem po maleńkim pokoiku, mrugając oczyma, by ukryć łzy, i potem dopiero wrócił do stołu.

— Zrozum — zaczął — że to nie jest miłość. Kochałem się już, ale teraz to co innego. To nie moje własne uczucie mną zawładnęło, ale jakaś obca siła. Przecież ja wyjechałem, bo doszedłem do przekonania, że to się stać nie może, rozumiesz, byłoby to bowiem szczęście, jakie się nie zdarza na ziemi. Ale po walce ze sobą, widzę, że niema dla mnie bez niej życia. Trzeba to raz rozstrzygnąć...

— Po co żeś wyjeżdżał?

— Ach, poczekaj! Ach, ileż myśli!... O ile rzeczy muszę zapytać!... Słuchaj! Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaką przysługę wyświadczyłeś mi tym, coś teraz powiedział. Jestem tak szczęśliwy, że aż staję się podły, o wszystkim zapominam. Dziś dowiedziałem się, że Mikołaj, mój brat... wiesz, on jest tutaj..'. Zapomniałem

nawet o nim. Zdaje mi się, że i on musi być szczęśliwy. To jakieś wariactwo. Jedno w tym tylko jest straszne... Żeniłeś się kiedyś, znasz więc to uczucie... Okropne jest to, że my, ludzie starzy, którzy mamy już za sobą przeszłość — nie w miłości, ale w grzechu — nagle zbliżamy się do istoty czystej, niewinnej. To ohydne, i dlatego — jakże tu nie czuć się niegodnym.

— No, ty masz grzechów niewiele.

— Ach, jednak — westchnął Lewin — jednak „ze wstrętem odczytując swe życie, drżę i przeklinam, i gorzko się żalę”. Tak!

— Cóż robić, tak już ten świat jest urządzony!

— Jedna tylko pociecha — jak w owej modlitwie, którą zawsze tak lubiłem, że „nie wedle mych zasług odpuść mi, lecz wedle miłosierdzia”. "I ona tak tylko może mi przebaczyć.

Lewin wychylił swój kieliszek. Przez chwilę obaj milczeli.— Jedno tylko muszę ci powiedzieć. Znasz Wrońskiego? — spytał Obłoński.

— Nie, nie znam. Dlaczego mnie o to pytasz? — Podaj no drugą butelkę — zwrócił się do Tataru, który dolewał wina i dreptał koło nich właśnie wtedy, gdy był najmniej potrzebny.

— Dlaczego miałbym znać tego Wrońskiego?

— Dlatego masz go znać, że to jeden z twoich rywali.

— Co to za jeden ten Wroński? — zapytał Lewin i twarz jego straciła ów wyraz dziecięcego uniesienia, który przed chwilą tak się podobał Obłońskiemu, a stała się gniewna i odpychająca.

— Wroński to jeden z synów hrabiego Kiryła Iwanowicza Wrońskiego i jeden z najświetniejszych okazów petersburskiej pozłacanej młodzieży. Poznałem się z nim w Twerze, kiedy byłem tam urzędnikiem, a on przyjeżdżał na pobór rekruta Bogaty, przystojny, ogromnie ustosunkowany, fligiel-adiutant, a przy tym nadzwyczaj miły, poczciwy chłopak. A nawet więcej niż poczciwy: poznałem go bliżej i przekonałem się, że jest w dodatku wykształcony i całkiem niegłupi. To człowiek, który wysoko zajdzie.

Lewin posepniał coraz bardziej i milczał.

— No, więc zjawił się tutaj wkrótce po tobie i o ile się orientuję, jest po uszy zakochany w Kitty, rozumiesz więc, że matka...

— Wybacz, ale nic nie rozumiem — przerwał Lewin, jeszcze bardziej zasępiony. I od razu stanął mu w pamięci Mikołaj i to, że o nim tak niegodnie zapomniał.

— Poczekaj, poczekaj—zawołał Stiepan Arkadjicz, z uśmiechem dotykając jego ręki. — Powiedziałem ci, co wiem, ale powtarzam, że w tej subtelnej i drażliwej sprawie szanse, o ile można się domyślać, są po twojej stronie.

Lewin wsparł mocno plecy o krzesło; twarz mu pobladała.

— Radziłbym ci jednak załatwić twoją sprawę jak najprędzej — mówił dalej Obłoński dolewając mu wina.

— Nie, dziękuję, więcej pić nie mogę — rzekł Lewin odsuwając kieliszek. — Jeszcze się upiję. A co u ciebie słychać? — spytał" chcąc widocznie zmienić temat rozmowy.

— Jeszcze słówko: w każdym razie lepiej to załatwić prędko. Dzisiaj nie radzę nic mówić. Ale jutro rano jedź z klasycznymi oświadczeniami i niechaj ci Bóg błogosławi...

— Tyle razy się do mnie wybierałeś na polowanie: przyjedźże na wiosnę — powiedział Lewin.

Teraz żałował z całego serca, że zaczął o tym mówić, i to z Obłońskim. Jego niepowtarzalne uczucie było zbrukane tą rozmową o rywalizacji z jakimś

petersburskim oficerem, a także domysłami i dobrymi radami Obłonskiego.

Ten uśmiechnął się: rozumiał aż nadto dobrze, co się działo w duszy Lewina.

— Przyjadę kiedyś na pewno — odparł. — Tak; bracie, kobieta to śruba, która wszystkim obraca. Ze mną też jest kiepsko, bardzo kiepsko. A wszystko przez kobiety. Powiedz no mi całkiem szczerze — ciągnął dalej, wyjmując z ust cygaro i sięgając po kieliszek — daj mi dobrą radę.

— A mianowicie?

— Mianowicie... Przypuśćmy, że jesteś żonaty, że kochasz żonę, ale zaplątałeś się w romans z inną kobietą.

— Wybacz, ale ja tego stanowczo nie rozumiem, tak jak na przykład nie rozumiałbym, jak mógłbym teraz, najedzony, przechodząc obok piekarni ukraść rogała.

Oczy Stiepana Arkadjicza błyszcząły mocniej niż zwykle — Czemuż by nie? Rogal czasami tak pachnie, że trudno się oprzeć.

Himmlisch ist's, wenn ich beieungen
meine irdische Begier:

Aber noch, wenn's nicht gelungen,
Hatt'ich auch recht hubsch Plaisir!

To mówiąc uśmiechnął się znacząco i Lewin także rut mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Tak, ale. żarty na bok — mówił dalej Obłonski. — Zrozum, że owa kobieta — to miłe, łagodne, kochające stworzenie, że jest biedna, samotna i że wszystko poświęciła. Teraz, gdy już jest po wszystkim, czyż można ją porzucić? Przypuśćmy, że trzeba się rozstać, -aby nie burzyć ogniska domowego, ale jakże tu nie litować się nad nią, nie zająć się jej losem, nie złagodzić go?

— Przepraszam cię, ale widzisz... Dla mnie wszystkie kobiety dzielą się na dwa rodzaje... To jest nie... raczej: są kobiety i są... Czarujących upadłych istot nigdy nie widziałem i nie zobaczę, a takie, jak na przykład ta farbowana, ufryzowana Francuzka przy kasie, to dla mnie gadziny, jak wszystkie upadłe kobiety.

— A ta z Ewangelii?

— Ach, daj pokój. Chrystus nigdy by tych słów nie wyrzekł, gdyby był wiedział, jak ludzie będą ich nadużywali. Z całego Nowego Testamentu tylko to jedno się pamięta. Zresztą mówię nie to, co myślę, ale to, co czuję. Mam wstręt do upadłych kobiet. Ty się boisz pajaków, a ja tych gadzin. Zapewne nigdy nie przeprowadzałeś badań nad -pajakami i nie znasz ich obyczajów. To samo i ja.

— Łatwo ci tak mówić. Przypominasz mi tego jegomościa z powieści Dickensa, który miał zwyczaj przerzucać lewą ręką przez prawe ramię wszystkie kłopotliwe kwestie. Ale zaprzeczenie faktu nie jest odpowiedzią. Powiedz mi, proszę, co ja mam począć? Co robić? Żona się starzeje, a człowiek jest pełen życia. Ani się obejrzyś, a już czujesz, że nie jesteś w stanie kochać żony prawdziwą miłością,

mimo całego dla niej szacunku. A tu nagle nawinie się miłość, i wówczas zginąłeś, przepadłeś z kretesem — smętnie żalił się zrozpaczony Stiepan Arkadjicz.

Lewin uśmiechnął się.

— Tak, tak, przepadłeś — powtórzył Obłoński. — I co począć?

— Nie kraść rogali.

Stiepan Arkadjicz roześmiał się.

— Ach, ty moralisto. Zrozum, że chodzi o dwie kobiety: jedna domaga się tylko swoich praw, a te prawa — to twoja miłość, której dać jej nie jesteś w stanie; druga poświęca dla ciebie wszystko i nic w zamian nie żąda. Co robić? Jak postąpić? Co za straszliwa tragedia.

— jeśli chcesz, bym ci się wyświadczył, co myślę, to ci powiem, że nie wierzę, aby tu był jakikolwiek dramat. A oto dlaczego: moim zdaniem, miłość:.. obie miłości, których definicję, jak pamiętasz, Platon daje w swej Uczcie — są dla ludzi kamieniem probierczym. Jedni rozumieją tylko jedną z nich, inni — drugą. I ci, którzy uznają tylko miłość nieplatoniczną, niesłusznie mówią o dramacie: w takiej miłości żadnego dramatu być nie może. Dziękuję uniesienie za przyjemność, moje uszanowanie — ot i cały dramat. A znów w miłości platonicznej nie może być dramatu, bo wszystko w niej jest jasne i czyste, bo...

Tu Lewin przypomniał sobie o swoich grzechach i o walce wewnętrznej, którą stoczył, więc dodał niespodziewanie:

— A zresztą, może to ty masz rację. Bardzo być może... Bo ja nie wiem, stanowczo nie wiem.

— Widzisz — rzekł Stiepan Arkadjicz — ty jesteś człowiekiem bardzo jednolitym; to twoja zaleta, a zarazem wada. Masz sam naturę z jednej bryły i wymagasz, by życie składało się ze zjawisk niezłożonych, a to się nie zdarza. Gardzisz więc służbą publiczną, ponieważ chciałbyś, aby praca zawsze odpowiadała celowi, a to się nie zdarza. Chcesz także, aby działalność człowieka zawsze miała jakiś cel, żeby miłość i życie rodzinne zawsze szły w parze. I to się również nie zdarza. Cała różnorodność, cały urok życia, całe jego piękno składa się ze światła i cieni.

Lewin westchnął i nic nie odpowiedział; był pochłonięty własnymi myślami i już nie słuchał, co mówi Obłoński.

Nagle poczuli obaj, że chociaż są przyjaciółmi, chociaż jedli razem obiad i pili wino, które powinno było ich jeszcze bardziej zbliżyć, to przecież każdy z nich myśli tylko o tym, co go osobiście interesuje, i jeden drugiego nic nie obchodzi. Obłoński nieraz już doznawał tej — ogarniającej często ludzi po obiedzie — niezwyklej obcości zamiast zbliżenia i wiedział, jak postępować w takich wypadkach.

— Płacić — zawołał i wyszedł do sąsiedniej sali, gdzie spotkał znajomego adiutanta, z którym wszczął pogawędkę . o pewnej aktorce i jej protektorze. Rozmowa ta od razu przyniosła Obłońskiemu ulgę: odetchnął po dyskusji z Lewinem, który zawsze zmuszał go do nazbyt wielkiego umysłowego i duchowego wysiłku.

Gdy nadszedł Tatar z rachunkiem na dwadzieścia sześć rubli z kopiejkami nie licząc napiwku, Lewin, którego kiedy indziej, jako mieszkańca wsi, przeraziłaby przypadająca na niego kwota czternastu rubli, teraz nie zwrócił na to uwagi, zapłacił i udał się do domu, aby się przebrać i pojechać do Szčerbackich. Tam miał się rozstrzygnąć jego los.

Księżniczka Kitty Szczerbacka miała osiemnaście lat. Dopiero tej zimy zaczęła bywać. Miała większe powodzenie w towarzystwie niż swego czasu jej obydwie siostry, większe, niż się spodziewała nawet sama księżna. Nie tylko że cała prawie młodzież tańcząca na moskiewskich balach kochała się w Kitty, ale już w ciągu pierwszej zimy trafiły się jej dwie poważne partie: Lewin, a zaraz po jego wyjeździe hrabia Wroński.

Zjawienie się Lewina na początku zimy, jego częste wizyty oraz widoczna miłość do Kitty były powodem pierwszej poważniejszej rozmowy i pierwszych sporów między rodzicami co do przyszłości ich córki. Księżę trzymał stronę Lewina, twierdząc, że nic lepszego dla Kitty nie pragnie. Księżna, zwyczajem kobiet omijając sedno sprawy, mówiła, że Kitty jest za młoda, że Lewin niczym nie okazuje, by miał poważne zamiary, że Kitty nie jest nim zajęta, i wysuwała różne inne argumenty, lecz nigdy nie wytaczała głównego, mianowicie: że spodziewa się lepszej partii dla córki, że nie ma sympatii do Lewina i nie rozumie go. Kiedy Lewin nagle wyjechał, księżna była rada i z triumfem mówiła do męża: — Widzisz, miałam rację. — Radość jej wzrosła jeszcze, kiedy zjawił się Wroński, utwierdzało ją to bowiem w mniemaniu, że Kitty powinna zrobić nie tylko dobrą, ale po prostu świetną partię.

Zdaniem matki, nie mogło być żadnego porównania pomiędzy Wrońskim a Lewinem. Matce nie podobały się dziwne i rażące wypowiedzi Lewina, nieobycie towarzyskie, które przypisywała zarozumiałości, wreszcie to jakieś w jej pojęciu dziwaczne życie na wsi i to zajmowanie się bydłem i chłopami. Brała mu również za złe, że choć kochając się w Kitty, bywał u nich przez półtora miesiąca, ciągle niby na coś czekał, podpatrywał, jakby się obawiał, czy nie zrobi im zbyt wiele zaszczytu oświadczając się o rękę ich córki — a nie rozumiał, że jeśli się bywa w domu, gdzie jest panna na wydaniu, to należy się w jakiś sposób zdeklarować. A potem nagle, bez żadnego wyjaśnienia, wyjechał. „Szczęściem, jest tak mało pociągający, że przynajmniej Kitty się w nim nie zakochała” — myślała księżna.

Wroński czynił zadość wszystkim wymaganiom matki: bardzo bogaty, inteligentny, znacznego rodu, miał przed sobą świetną karierę wojskową i dworską, a w dodatku był czarujący. Nie można było więcej pragnąć.

Wroński na balach wyraźnie asystował Kitty, tańczył z nią, bywał u nich, a więc — bez wątpienia musiał mieć poważne zamiary. Mimo to matka przez całą zimę była strasznie niespokojna i zdenerwowana.

Księżna wyszła za mąż przed trzydziestu laty, wyswatana przez ciotkę. Narzeczony, o którym już z góry wszystko było wiadome, przyjechał, zobaczył pannę i jego również obejrzano, swatka-ciotka zawiadomiła obie ostryony, jakie było wzajemne wrażenie. Wrażenie było dodatnie. Potem w oznaczonym dniu księżę oświadczył się rodzicom i został przyjęty. Wszystko poszło bardzo łatwo i prosto. Tak się przynajmniej zdawało księżnej, lecz na przykładzie swych córek przekonała

się, jak niełatwą i nieprostą rzeczą jest — na pozór tak pospolite — wydawanie za mąż córek. Ileż obaw się przeżyło, ile trudnego namysłu, ile poszło pieniędzy, ile wynikło nieporozumień z mężem, zanim wydano dwie starsze córki, Darię i Natalię. Teraz, z okazji wprowadzenia w świat najmłodszej, przeżywano te same obawy, te same wątpliwości, a z mężem wynikało jeszcze więcej kłótni niż dawniej. Stary książę, jak wszyscy ojcowie, był nader drażliwy na punkcie czci i niewinności swych córek, a poza tym — niepoczytalnie o nie zazdrosny, zwłaszcza o Kitty, swoją ulubienicę, toteż na każdym kroku robił żonie sceny za rzekome' kompromitowanie córki. Księżna, która przywykła do tego jeszcze wówczas, gdy chodziło o starsze córki, teraz czuła, że drażliwość księcia jest bardziej uzasadniona. Widziała, że w ostatnich czasach zwyczaje towarzyskie wielce się zmieniły i że obowiązki matek stały się jeszcze trudniejsze. Widziała, że rówieśnice Kitty zakładają jakieś stowarzyszenia, chodzą na jakieś kursy, swobodnie rozmawiają z mężczyznami, same jeżdżą powozem po mieście, że wiele z nich przestało dygać, a co najważniejsze — wszystkie są przeświadczone, że wybór męża jest ich rzeczą, a nie rodziców. "Dziś już nie wydaje się panien za mąż tak jak dawniej" — myślały i mówiły wszystkie młode dziewczęta, a nawet i wszyscy starzy ludzie, lecz jak obecnie wydaje się córki za mąż, tego księżna od nikogo dowiedzieć się nie mogła. Francuski zwyczaj, że rodzice stanowią o losach dzieci, nie był przyjęty: uznano go za szkodliwy. Nie był również stosowany zwyczaj angielski, uznający zupełną swobodę dziewcząt, całkiem zresztą w rosyjskim społeczeństwie niemożliwy. Rosyjski zwyczaj swatania uważano za coś potwornego, wyśmiewali go wszyscy, nawet sama księżna. Jak należy jednak wychodzić i wydawać za mąż, tego nikt nie wiedział. Kogokolwiek księżna o to zagadnęła, wszyscy mówili to samo: — Ależ na miłość boską! W- naszych czasach trzeba już raz zapomnieć o tym anachronizmie. Przecież to młodzi pobierają się, nie rodzice, więc niechaj młodzi robią, jak im się podoba. — Łatwo było tak mówić tym, którzy nie mieli córek, ale księżna rozumiała, że przy takich możliwościach zbliżenia córka jej może się zakochać, i to zakochać w człowieku, który bądź nie ze- chce się ożenić, bądź nie będzie stosowny na męża. I choć starano się niejednokrotnie przekonać księżnę, że w naszych czasach młodzież sama powinna stanowić o swym losie, nie mogła dać temu wiary, podobnie jak nie mogłaby uwierzyć, że w jakichkolwiek czasach najodpowiedniejszą zabawką dla pięcioletnich dzieci są nabite pistolety. I dlatego księżna bardziej była niespokojna o Kitty niż o starsze córki.

Obawiała się teraz, by Wroński nie ograniczył się tylko do zalotów. Zauważyła, że Kitty już się w nim kocha, lecz pocieszała się, że Wroński jest człowiekiem uczciwym i nie postąpi w ten sposób. Wiedziała zarazem, jak łatwo przy obecnej swobodzie obejścia zawrócić pannie głowę i jak lekko na ogół zapatrują się na to mężczyźni. W ubiegłym tygodniu Kitty powtórzyła matce rozmowę, którą miała z Wrońskim podczas mazura. Treść tej rozmowy nieco uspokoiła księżnę, . ale całkiem uspokoić jej nie mogła. Wroński powiedział Kitty, że i on, i brat do tego stopnia przywykli we wszystkim ulegać matce, że nigdy nie decydują się przedsięwziąć nic ważnego bez jej rady. — I teraz oczekuję przyjazdu matki z Petersburga jak osobliwego szczęścia — mówił.

Kitty opowiedziała to nie przypisując tym słowom żadnego znaczenia, ale matka zrozumiała je inaczej. Wiedziała, że stara hrabina jest oczekiwana z dnia na dzień i że będzie zadowolona z wyboru syna; wydało się jej więc dziwne, że Wroński się nie oświadcza, rzekomo obawiając się urazić matkę; tak bardzo jednak pragnęła tego małżeństwa, a zwłaszcza uspokojenia wszystkich swych obaw, że w to uwierzyła. Jakkolwiek z goryczą patrzyła na niedolę starszej córki, która właśnie zamierzała rozejść się z mężem, niepokój o rozstrzygające się losy młodszej pochłaniał wszystkie jej uczucia. Ten dzień przysporzył jej nowej troski w postaci powrotu Lewina: obawiała się, by Kitty, która — jak się jej zdawało — miała kiedyś dla niego sentyment, przez zbytek skrupułów nie odrzuciła oświadczyn Wrońskiego, i w ogóle, aby przyjazd Lewina nie powikłał i nie zahamował sprawy-tak bliskiej zakończenia.

— No i cóż, czy dawno przyjechał? — zapytała księżna po powrocie do domu.

— Dzisiaj, maman.

— Chciałabym ci powiedzieć.... — zaczęła księżna i Kitty z jej poważnej i przejętej miny odgadła, o czym będzie mowa.

— Mamo — odpowiedziała rumieniąc się i szybko zwracając się ku niej — proszę, proszę bardzo, nie mów mi nic. Ja wiem, wiem wszystko.

Kitty pragnęła tego samego co matka, lecz pobudki księżnej uraziły ją.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że gdy się dało nadzieję jednemu...

— Mamo najdroższa, na miłość boską, niech mama nic nie mówi. To takie okropne — mówić o tym.

— Już nie będę, nie — powiedziała matka widząc łzy w oczach córki — jedno tylko, moja duszko: obiecałaś, że nie będziesz miała przede mną żadnych tajemnic. Pamiętasz?

— Nigdy, droga mamo, żadnych — odparła Kitty rumieniąc się i patrząc matce prosto w oczy. — Ale teraz nie mam nic do powiedzenia. Ja... ja... gdybym nawet chciała, nie wiedziałabym, co powiedzieć i jak... Nie wiedziałabym.

„Nie, z tymi oczami nie mogłaby mówić nieprawdy” — pomyślała księżna uśmiechając się na widok jej wzruszenia i szczęścia. Uśmiechała się, ponieważ biednej Kitty to, co się teraz działo w jej sercu, wydawało się takie wielkie i ważne.

Od obiadu aż do początku przyjęcia Kitty doznawała uczucia podobnego do nastroju młodzieńca przed bitwą; serce jej biło mocno i nie mogła na niczym skupić myśli.

Czuła, że wieczór ów, kiedy Lewin i Wroński spotkają się po raz pierwszy, rozstrzygnie o jej losie. Wyobrażała ich sobie nieustannie, to każdego z osobna, to obu na raz. Gdy myślała o przeszłości, chętnie i z rozrzewnieniem zatrzymywała się na wszystkim, co ją łączyło z Lewinem. Wspomnienia z dzieciństwa i pamięć o przyjaźni Lewina ze zmarłym bratem nadawały ich znajomości osobliwy, poetyczny urok. Miłość jego, której była pewna, pochlebiała jej i cieszyła ją. O Lewinie myślała bez przymusu; do myśli o Wrońskim natomiast, choć był to człowiek o niezwyklej światowej ogładzie i wielkim spokoju, wkradało się jakieś skrepowanie, jakby jakiś fałszywy ton dźwięczał, nie w nim — był bowiem bardzo naturalny i sympatyczny — lecz w niej samej, podczas gdy z Lewinem czuła się prosta i szczerą. Za to, gdy myślała o życiu u boku Wrońskiego, widziała przed sobą perspektywę świetności i szczęścia, natomiast przyszłość z Lewinem przestaniała mgła.

Kiedy weszła na górę do swego pokoju, aby się przebrać na wieczór, i spojrzała w lustro, z radością stwierdziła, że jest to jeden z jej dobrych dni i że nie zawiodą jej siły, tak potrzebne wobec tego, co miało nastąpić. Czuła, że wygląda na pozór spokojna i że ruchy jej są wdzięczne i nieskrepowane.

O wpół do ósmej, ledwo zeszła do salonu, lokaj zaanonsował: „Konstanty Dmitrycz Lewin.” Księżna była jeszcze w swoim pokoju, a księżę także się nie ukazał. „Stało się” — pomyślała Kitty i wszystka krew spłynęła jej do serca. Spojrzała w lustro i przeraziła się własnej bladości.

Wiedziała już teraz na pewno, że Lewin dlatego tak wcześnie przyjechał, by zastać ją samą i oświadczyć się. I w tej chwili dopiero, po raz pierwszy, rzecz cała ukazała się jej z innej, zupełnie nowej strony. Teraz dopiero zrozumiała, że chodzi nie tylko o nią samą — z kim ona będzie szczęśliwa i kogo ona kocha — ale że za chwilę będzie musiała zranić człowieka, który jest jej drogi... I to zranić okrutnie. I za co? Za to, że on, najmilszy, kocha ją, że jest w niej zakochany. Ale co począć, tak trzeba. Tak być musi.

„Mój Boże, czyż naprawdę ja sama mam to mu powiedzieć? — pomyślała. — Cóż więc powiem? Czy powiem, że go nie kocham? Będzie to nieprawdą. Cóż więc powiem? Czy powiem, że kocham innego? Nie, to niemożliwe. Pójdę sobie lepiej, pójdę.”

Była już niedaleko drzwi, gdy usłyszała jego kroki. „Nie. To nieuczciwe. Czego mam się lękać? Nic złego nie zrobiłam. Co będzie, to będzie. Powiem prawdę. Nigdy mnie nie onieśmielał... Otóż i on” — rzekła sobie w duchu, widząc już jego barczystą, a pełną zakłopotania postać i błyszczące, utkwione w nią oczy. Spojrzała mu prosto w twarz, jakby błagając o litość, i podała mu rękę.

— Przyszedłem nie w porę, za wcześnie, zdaje się — zaczął Lewin rozglądając

się po pustym salonie. Skoro stwierdził, że przewidywania jego się spełniły i że nikt mu nie przeszkodzi wypowiedzieć tego, co zamierzał, twarz jego spochmurniała.

— O nie — odrzekła Krty i usiadła przy stole.

— Ale tego właśnie pragnąłem: zastać panią samą — zaczął nie siadając i nie patrząc na nią, żeby nie stracić odwagi.

— Mama zaraz nadejdzie. Bardzo się wczoraj zmęczyła. Wczoraj...

Mówiła, sama nie wiedząc, co wymawiają jej wargi, i nie spuszczając z niego błagalnego i serdecznego wejrzenia.

Spojrzał na nią: zarumieniła się i umilkła.

— Powiedziałem pani, że nie wiem, czy na długo przyjechałem, że to zależy od pani...

Coraz niżej schylała głowę, nie wiedząc sama, jaką dać odpowiedź na to, co miało nastąpić.

— Że. to zależy od pani — powtórzył. — Chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć... Po to przyjechałem... aby... być moją żoną — wypowiedział, sam nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, i skoro czuł, że najstraszniejsze jest już poza nim, zamilkł i podniósł na nią oczy.

Oddychała ciężko, nie patrząc na niego. Ogarnął ją zachwyty. Dusza jej przepełniona była szczęściem. Nie spodziewała się zupełnie, że jego wyznanie miłosne wywrze na niej tak wielkie wrażenie. Lecz trwało to tylko chwilę. Przypomniała sobie Wrońskiego. Podniosła na Lewina przejryste, prawdomówne oczy i widząc jego zrozpaczoną minę odpowiedziała szybko:

— To niemożliwe... Niech mi pan wybaczy.

Jakże była mu bliska jeszcze przed chwilą, jak pełna znaczenia w jego życiu! I jakże mu się stała teraz obca i daleka!

— Nie mogło być inaczej — rzekł nie patrząc na nią. Skłonił się i chciał odejść.

W tej samej wszakże chwili weszła do salonu księżna Gdy ujrzała ich samych i spostrzegła ich zmieszane miny, na twarzy jej odmalowało się przerażenie. Lewin skłonił się, nic nie mówiąc. Kitty milczała nie podnosząc oczu. „Bogu dzięki, odmówiła mu — pomyślała matka i twarz jej rozjaśniła się zdawkowym uśmiechem, jakim co czwartek zwykła była witać gości. Usiadła i poczęła wypytywać Lewina, jak spędza czas na wsi. Lewin usiadł znowu, czekając na przybycie gości, by wymknąć się niepostrzeżenie. W pięć minut później weszła do salonu zamężna od roku przyjaciółka Kitty, hrabina Nordston.

Była to koścista kobieta o żółtej cerze i czarnych, błyszczących oczach, chorowita i nerwowa. Lubiła bardzo Kitty i przyjaźń jej, jak zawsze przyjaźń mężatek dla panien, wyrażała się w pragnieniu wydania Kitty za mąż według swego własnego ideału szczęścia; dlatego chciała wydać ją za Wrońskiego. Lewin, którego na początku zimy często spotykała u Szczerbackich, był jej zawsze niesympatyczny. Stałym i ulubionym jej zajęciem przy tych okazjach było strojenie z niego żartów.

— Bardzo lubię, gdy spogląda na mnie z wyżyn swej wielkości, gdy urywa swą zbyt mądrą rozmowę ze mną dlatego, że jestem za głupia, lub gdy się łaskawie zniża do mego poziomu... Podobają mi się to! On się zniża... Cieszę się, że mnie nie cierpi — mawiała o nim.

Miała rację: Lewin istotnie jej nie znosił i lekceważył ją za to właśnie, z czego była dumna i co poczytywała sobie za zaletę — za jej nerwowość, za wyszukaną pogardę i obojętność wobec wszystkiego, co prostackie i zbliżone do rzeczywistego życia.

Pomiędzy Nordstonową a Lewinem ustalił się stosunek dość częsty w towarzystwie, kiedy dwie osoby zachowując pozory życzliwości lekceważą się nawzajem do tego stopnia, że nie są już w stanie brać jedna drugiej na serio i nie mogą się nawet wzajemnie obrazić.

Hrabina Nordston od razu zaatakowała Lewina.

— A, Konstanty Dmitrycz! Znów przyjechał pan do naszego rozpustnego Babilonu — rzekła podając mu malusieńką żółtą rączkę i robiąc aluzję do słów, których użył na początku zimy mówiąc, że Moskwa to Babilon. — Cóż, czy Babilon się nawrócił, czy też może pan się zdeprawował? — dodała spoglądając z uśmiechem na Kitty.

— Wielce mi pochlebia, że pani tak dobrze pamięta moje słowa — odrzekł Lewin, który zdążył odzyskać zimną krew i z przyzwyczajenia przybrał swój zwykły wobec przeciwniczki żartobliwie wrogi ton. — Widocznie robią na pani wielkie wrażenie.

— Ach, jakżeby mogło być inaczej. Wszystko sobie zapisuję... A ty, Kitty, byłaś dziś na ślizgawce?

I poczęła rozmawiać z Kitty. Jakkolwiek wydawało się Lewinowi rzeczą niestosowną wyjść w tej chwili, jednak łatwiej było popełnić taką niezręczność niż pozostać przez cały wieczór i widzieć Kitty, która co pewien czas spoglądała na niego unikając wszakże jego wzroku. Lewin chciał "właśnie wstać lecz księżna, zauważywszy jego milczenie, zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Czy na długo przyjechał pan do Moskwy? Zdaje się, że pan jest czynny w ziemstwie i że nie może pan na długo wyjeżdżać.

— Nie, proszę księżnej, już nie zajmuję się ziemstwem

— odparł. — Przyjechałem na kilka dni.

„Dzieje się z nim coś szczególnego — pomyślała hrabina Nordston wpatrując się w jego surową, poważną twarz

— nie rozpoczyna jakoś swoich wywodów, ale już ja go podjudzę: ogromnie lubię wystrychnąć go na dudka w obecności Kitty i na pewno to zrobię."

— Proszę pana — rzekła — niech mi pan wyjaśni, co to ma znaczyć — wszak pan się na tym wszystkim zna — że w naszej kałuskiej wsi wszyscy chłopci i wszystkie baby, co tylko mieli, to przepili, i teraz nam nic nie płacą Co to ma znaczyć? Pan zawsze tak chwali chłopów.

W tej chwili weszła do salonu jeszcze jakaś dama: Lewin wstał.

— Pani wybaczy, doprawdy nie znam się zupełnie na tym i nic nie potrafię pani odpowiedzieć — odparł i obejrzał się na wchodzącego tuż za damą oficera.

„To musi być Wroński" — pomyślał i chcąc się upewnić spojrzął na Kitty. Ta zdążyła już popatrzeć na Wrońskiego, po czym rzuciła okiem na Lewina. To jedno spojrzenie jej bezwiednie rozpromienionych oczu zdradziło Lewinowi, że Kitty kocha tego człowieka; zrozumiał to tak dobrze, jak gdyby mu to powiedziała słowem. Ale co to za człowiek?

Teraz, bez względu na to, czy to było dobrze, czy źle, Lewin już wyjść nie mógł: musiał się przekonać, kim był ten, którego Kitty kochała.

Bywają ludzie, którzy przy spotkaniu szczęśliwego w czymkolwiek rywala od razu zamykają oczy na wszystkie jego zalety i widzą w nim samo zło. Bywają także tacy, którzy — wręcz przeciwnie — pragną dostrzec w szczęśliwym współzawodniku te zalety, dzięki którym tamten ich pokonał, i szukają w nim, z dojmującym bólem serca, wyłącznie dobrych stron. Do tych właśnie zaliczał się Lewin. Nietrudno mu było zresztą doszukać się we Wrońskim cech dodatnich i budzących sympatię, od razu bowiem rzuciły mu się w oczy. Wroński był to niewysoki, dobrze zbudowany brunet, o twarzy, pięknej, a zarazem, dobrodusznej, nadzwyczaj przy tym spokojnej i energicznej. W rysach jego i postaci, od krótko ostrzyżonych czarnych włosów i świeżo wygolonego podbródka aż do luźnego, nowiutkiego, jak z igły munduru, wszystko było proste i wykwiłtne zarazem. Przepuściwszy wchodzącą damę Wroński podszedł do księżnej, a potem do Kitty.

W miarę jak się do niej zbliżał, piękne jego oczy nabierały szczególnie tkliwego blasku, a na usta występował ledwo dostrzegalny uśmiech, skromny i (jak się zdawało Lewinowi) zwycięski; powoli, z szacunkiem pochylił się nad nią; i podał jej

swą małą, ale szeroką dłoń.

Po przywitaniu się i zamienieniu kilku słów ze wszystkimi usiadł ani razu nie spojrzawszy na Lewina, który nie spuszczał z niego oczu.

— Panowie pozwolą, że ich zapoznam: Konstanty Dmi-trycz Lewin — rzekła księżna zwracając się w stronę Lewina — hrabia Aleksy Kiryłłowicz Wroński.

Wroński wstał i życzliwie patrząc Lewinowi w oczy uściśnił jego rękę.

— Miałem, zdaje się, tej zimy spotkać się z panem na jakimś obiedzie — rzekł uśmiechając się prosto i szczerze — ale pan niespodzianie wyjechał na wieś.

— Pan Lewin gardzi miastem i nienawidzi go, a wraz z nim nas, mieszczuchów — wtrąciła hrabina Nordston.

— Widocznie moje słowa robią na pani wielkie wrażenie, skoro je pani tak dobrze pamięta — odciął się Lewin i zaczerwienił się, gdyż uprzytomnił sobie, że już raz to powiedział.

Wroński spojrzał na Lewina i na hrabinę Nordston i uśmiechnął się.

— Pan stale mieszka na wsi?—zapytał. — Przypuszczam, że w zimie musi tam być nudno.

— Nie jest nudno, jeśli kto ma zajęcie; zresztą, ja sam ze sobą nigdy się nie nudzę — szorstko odparł Lewin.

— Lubię wieś — mówił dalej Wroński, który zauważył, ale zignorował ton Lewina.

— Spodziewam się jednak, że pan nie zgodziłby się stale mieszkać na wsi? — wtrąciła hrabina Nordston.

— Tego nie wiem: nigdy nie próbowałem mieszkać na wsi dłużej. Doznawałem niekiedy dziwnego uczucia — ciągnął dalej. — Nigdy nie tęskniłem tak za wsią, za prawdziwą wsią rosyjską, z jej łapciami i chłopami; jak pewnej zimy, którą spędziłem z matką w Nizy. Nizza, jak państwo wiecie, sama przez się jest nudna, Neapol i Sorrento też są dobre tylko na krótko, i właśnie tam szczególnie żywo przypomina się człowiekowi Rosja, a zwłaszcza nasza wieś. Zupełnie jak...

Wroński mówił zwracając się do Kitty i do Lewina i przenosząc na nich po kolei swe spokojne, życzliwe spojrzenie; mówił najwidoczniej to, co mu przychodziło na myśl.

Widząc, że hrabina Nordston zamierza coś powiedzieć, Wroński umilkł, nie dokończył zaczętego zdania i począł uważnie słuchać.

Rozmowa nie gasła ani na chwilę, toteż księżna, która zawsze miała w pogotowiu, na wypadek gdyby zabrakło tematu, dwa działa ciężkiego kalibru — klasyczne czy realne wykształcenie oraz powszechną służbę wojskową — nie miała potrzeby ich wytaczać, a hrabina Nordston nie miała sposobności droczyć się z Lewinem.

Lewin chciał, ale nie potrafił wtrącić się do rozmowy, mówił sobie co chwila: „Teraz wyjdę”, ale nie wychodził, jakby na coś czekał.

Rozmowa zeszła na temat stolików wirujących i duchów i hrabina Nordston,

będąc zwolenniczką spirytyzmu, zaczęła opowiadać o cudach, które widziała na własne oczy.

— Ach, na miłość boską, proszę pani: musi, musi pani mnie tam ze sobą zabrać! Nigdy w życiu nie widziałem nic nadzwyczajnego, chociaż szukam nieustannie — rzekł z uśmiechem Wroński.

— Dobrze, w przyszłą sobotę — odpowiedziała hrabina Nordston. — A pan, Konstanty Dmitryczu, czy pan wierzy? — zapytała Lewina.

— Po co pani mnie pyta? Przecież pani wie, co powiem.

— Ale ja chcę usłyszeć pańskie zdanie.

— Moim zdaniem — odrzekł Lewki — te wirujące stoliki są dowodem, że tak zwane kulturalne sfery stoją nie wyżej od chłopów. Oni wierzą w złe oko, w uroki, w czary, my zaś....

— A więc nie wierzy pan?

— Nie mogę wierzyć, proszę pani.

- Skoro mówię, że widziałam na własne oczy?

— Baby wiejskie także opowiadają, że widziały na własne oczy domowego skrzata.

— Więc pan sądzi, że mówię nieprawdę? — roześmiała się z pewnym przymusem.

— Ależ nie, Masza, Konstanty Dmitrycz powiada tylko, że nie może uwierzyć — wtrąciła Kitty rumieniąc się za Lewina. Zrozumiał i jeszcze bardziej zirytowany, chciał coś odpowiedzieć, ale Wroński ze swym szczerym, wesołym uśmiechem natychmiast pośpieszył z pomocą rozmowie, której groził przykry obrót.

— Więc pan stanowczo nie uznaje takiej możliwości? — zagadnął. — Dlaczegoż to? Przyjmujemy przecież, że istnieje elektryczność, o której nic nie wiemy; czemuż więc nie mogłaby istnieć nowa, dotąd nam nie znana siła, która...

— Kiedy odkryto elektryczność — przerwał szybko Lewin — odkryto tylko zjawisko; nie wiadomo było, skąd ono pochodzi i w jaki sposób działa; wieki całe minęły, zanim pomyślano o zastosowaniu go w praktyce. Tymczasem spirytyści, na odwrót, zaczęli od tego, że stoliki dla nich piszą i że duchy ich odwiedzają, a dopiero potem zaczęli utrzymywać, że to jakaś nieznaną siłą.

Wroński słuchał Lewina uważnie, tak jak w ogóle zwykł był słuchać, wyraźnie zainteresowany jego słowami.

— Tak, lecz spirytyści powiadają: „Nie wiemy jeszcze, jaka to siła, ale siła ta istnieje i działa w następujących warunkach." Niechże uczeni badają, na czym owa siła polega. Nie, nie rozumiem, czemu to nie miałyby być jakaś siła, skoro...

— A dlatego — przerwał Lewin — że jeśli chodzi o elektryczność, to za każdym razem, gdy potrzeba pan żywicę o wełnę, następuje określone zjawisko, podczas gdy tutaj — nie zawsze, więc nie jest to zjawisko przyrody.

Spostrzegłszy prawdopodobnie, że rozmowa staje się — jak na salonową konwersację — zbyt poważna, Wroński nic nie odpowiedział, tylko pragnąc zmienić

temat uśmiechnął się wesoło i zwrócił się do pań.

— A więc spróbujmy zaraz, proszę pani — zaczął. Le-win jednak chciał wypowiedzieć swoją myśl do końca.

— Myślę — ciągnął dalej — że usiłowania spirytystów, by wytłumaczyć swoje cuda istnieniem jakiejś nowej siły, są w najwyższym stopniu nieudane. Mówią wyraźnie o sile duchowej, a chcą ją poddać eksperymentom materialnym..

Wszyscy czekali, aż skończy swoje wywody — i Lewin wyczuwał to.

— A ja sądzę, że z pana byłoby doskonałe medium — przerwała mu hrabina Nordston — jest w panu coś ekstatycznego.

Lewin na te' słowa już otworzył usta, ale zaczerwienił się i zmilczał.

— No więc, księżniczko, spróbujmy stołów — zawołał Wroński. — Czy księżna pozwala?

I podniósł się szukając oczyma odpowiedniego stolika.

Kitty wstała z za stołu. Mijając Lewina napotkała jego spojrzenie. Było, go jej żal z całego serca, tym bardziej że sama była przyczyną jego cierpienia. „Jeśli możesz mi przebaczyć, przebacz — mówiły jej oczy. — Jestem taka szczęśliwa.”

„Nienawidzę wszystkich, i pani, i siebie” — odpowiedziało jego spojrzenie. Sięgnął po kapelusz, lecz nie było mu sądzone odejść. W chwili gdy miano zająć miejsca przy stoliku, wszedł- stary książę i przywitawszy panie podszedł do Lewina.

— O! — zaczął radośnie. — Dawnoś przyjechał? Nie wiedziałem, że jesteś tutaj. Cieszę się, że pana widzę.

Stary Szczerbacki mówił Lewinowi czasami ty, czasami pan. Uścisnął go i rozmawiając z nim nie zwracał uwagi na Wrońskiego, który tymczasem wstał i czekał cierpliwie, aż pan domu do niego się zwróci.

Kitty rozumiała, jak po tym, co zaszło, serdeczność ojca musi być bolesna dla Lewina. Widziała również, jak chłodno książę odpowiedział wreszcie na -ukłon Wrońskiego i z jakim dobrodusznym zakłopotaniem ten na niego popatrzył starając się zrozumieć, a nie rozumiejąc, jak można być dla niego źle usposobionym i co jest tego przyczyną — i zarumieniła się.

— Niech nam książę odda pana Lewina — zawołała hrabina Nordston — chcemy zrobić eksperyment.

— Jaki znowu eksperyment? Kręcić stoły? Wybaczcie mi, moi państwo, ale moim zdaniem, zabawniej już jest grać w pierścionek — rzekł stary książę patrząc na Wrońskiego i domyślając się, że to jego pomysł. — Pierścionek ma przynajmniej jakiś sens.

Wroński spojrzał ze zdziwieniem na księcia swym twardym wzrokiem i uśmiechnąwszy się nieznacznie, natych. miast wszczął z hrabiną Nordston rozmowę o wielkim balu, który miał się odbyć w "następnym tygodniu.

— Mam nadzieję, że pani będzie? — zapytał Kitty.

Skoro tylko stary książę się odwrócił, Lewin niepostrzeżenie wyszedł. Ostatnim wrażeniem, jakie odniósł z tego wieczoru, była uśmiechnięta, uszczęśliwiona

twarzyczka Kitty odpowiadającej Wrońskiemu na jego pytanie o bal.

Po skończonym przyjęciu Kitty opowiedziała matce swą rozmowę z Lewinem i pomimo całego współczucia, jakie w niej wzbudzał, cieszyła ją myśl, że się jej oświadczone. Nie miała wprawdzie wątpliwości, że postąpiła, jak należało, ale w łóżku długo nie mogła zasnąć. Jeden obraz nie przestawał jej prześladować: twarz Lewina o ściągniętych brwiach i spoglądających spod nich z głębokim smutkiem pocziwych oczach, gdy stał rozmawiając z jej ojcem, a patrząc na nią i na Wrońskiego. I taki ją ogarnął żal, aż się jej łzy w oczach zakręciły. Natychmiast jednak pomyślała o tym, który miał jej tamtego zastąpić. Jak żywa stanęła jej przed oczyma ta energiczna, męska twarz, ten szlachetny spokój i ta promieniejąca z całej jego postaci dobroć dla wszystkich. Przypomniała sobie, że ten, którego kocha, kocha ją nawzajem, i znów radość napełniła jej serce. Z uśmiechem szczęścia złożyła głowę na poduszce. „Żal mi go, żal, ale cóż robić! To nie moja wina!” — powtarzała sobie, głos wewnętrzny jednak mówił jej co innego. Nie wiedziała, czego żałuje: czy tego, że podbiła serce Lewina, czy też, że nie przyjęła jego oświadczyn. Ale szczęście jej było zatrute wątpliwościami. — Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! — szeptała raz po raz, aż zasnęła.

Tymczasem na dole, w małym gabinecie księcia, odbywała się między rodzicami jedna z często powtarzających się utarczek z powodu ukochanej córki.

— Co? A to! — krzyczał książę wymachując rękoma i pospiesznie otulając się w swój podbity popielicami szlafrok. — To, że nie masz ambicji ani godności, że hańbisz i gubisz córkę tym podłym, głupim swataniem!

— Ależ, na Boga żywego, zlituj się, co ja takiego zrobiłam?! — mówiła księżna omal nie z płaczem.

Szczęśliwa, zadowolona po rozmowie z córką, przyszła jak zwykle powiedzieć mężowi dobranoc i nie zamierzając mu wspominać o oświadczynach Lewina i odmowie Kitty. Napomknęła za to, że według niej sprawa z Wrońskim dobiega już końca i że rozstrzygnie się, gdy tylko przyjedzie jego matka. I wtedy właśnie, słysząc to, książę nagle wybuchnął i począł wykrzykiwać nieprzystojne słowa.

— Co zrobiłaś? Po pierwsze, zwabiasz starającego się, o czym cała Moskwa będzie gadała, i słusznie. Jeżeli urządzasz przyjęcia, to zapraszaj wszystkich, a nie tylko paru wybranych konkurencików. Zaproś tych wszystkich I a l u s i ó w (tak książę nazywał moskiewską młodzież), sprowadź tapera i niechaj sobie tańczą, lecz nie tak jak dzisiaj — samych konkurentów, żeby im córkę stręczyć! Aż mnie wstręt bierze patrzeć na to, doprawdy wstręt i postawiłaś na swoim: zawrócili dziewczynie głowę. Le-win jest tysiąc razy lepszy. A tamten — to petersburski fircyk... Ich tam hurtem fabrykują, wszystkich na jedno kopyto, a wszystko to hołota. Niech sobie będzie nawet księciem krwi, mojej córce nikogo nie potrzeba! .

— Cóż ja takiego zrobiłam?

— Właśnie to, co powiadam! - gniewnie zawołał książę.

— Wiem tylko, że jeśli ciebie będę słuchała — przerwała księżna — to nigdy nie

wydamy córki za mąż. W takim razie najlepiej wyjechać na wieś.

— Oczywiście, że lepiej wyjechać!

— Ależ pozwól, czy ja zabiegam o czyjeś względy? Bynajmniej... A młody człowiek, i to bardzo przyzwoity, po prostu zakochał się, i ona, mam wrażenie...

— Otóż to, masz wrażenie!... A jeśli ona naprawdę się zakocha, on zaś tyle będzie myślał o żeniączce, co nie przymierzając ja?... Och, niechby moje oczy tego nie widziały!... „Ach, spirytyzm! Ach, Nizza! Ach, na balu!”... — i księżę, przeświadczony, że naśladuje żonę, za każdym słowem wykonywał dyg. — Dopiero kiedy unieszczęśliwimy Katię, kiedy ona naprawdę wbije sobie w głowę...

— Ale dlaczego tak sądzisz?

— Ja nie sądzę, ja wiem: od tego mamy oczy my, a nie wy, baby. Widzę człowieka, który ma poważne zamiary, i widzę trzpiota, wiercipiętę, który chce się tylko bawić...

— No, jak ty już sobie coś ubrdasz...

— Przypomnisz sobie moje słowa, ale wówczas będzie za późno... Jak z Daszą.

— No, już dobrze, dobrze... Nie mówmy o tym — przerwała żona przypominając sobie nieszczęsną Dolly.

— Dobrze, nie mówmy... Dobranoc! Przeżegnawszy się nawzajem, małżonkowie ucałowali się i rozeszli, czując wszelako, że każde z nich zostało przy swoim zdaniu.

Księżna zrazu była niewzruszenie pewna, że tego wieczoru los Kitty rozstrzygnął się i że nie może być żadnych wątpliwości co do zamiarów Wrońskiego, lecz słowa męża ją stropiły. Wróciła do swego pokoju i czując das podobnie jak Kitty— lęk przed nieznaną przyszłością, powtórzyła kilka razy po cichu: — Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się!

Wroński nie zaznał nigdy rodzinnego życia. Matka jego, za młodu jaśniejąca świetnością w salonach, miała jeszcze jako mężatka, a zwłaszcza po śmierci męża, wiele głośnych w towarzystwie romansów. Ojca Wroński prawie nie pamiętał, wychowywał się w Korpusie Paziów .

Ukończywszy szkołę, jako bardzo młody, elegancki oficer od razu przyswoił sobie tryb życia zamożnych petersburskich wojskowych. Chociaż nawet bywał z rzadka w petersburskim wielkim świecie, jednak wszystkie jego miłosne sprawy rozgrywały się poza obrębem towarzystwa.

W Moskwie poznał po raz pierwszy — po zbyt kownym, a prostackim życiu petersburskim — urok obcowania z miłą, niewinną młodą dziewczyną z towarzystwa, która go pokochała. Nawet na myśl mu nie przyszło, że w jego stosunku do Kitty mogłoby być coś złego. Z nią przeważnie tańczył na balach, bywał u nich w domu. Mówił z nią o tym, o czym zwykle rozmawia się w towarzystwie: o różnych głupstewkach, lecz o głupstewkach, w które bezwiednie wkładał na jej intencję określony sens. Mimo że nie powiedział jej nic takiego, czego nie mógłby powiedzieć przy wszystkich, czuł, że dziewczyna staje się coraz bardziej od niego zależna, a im mocniej to wyczuwał, tym większą mu to sprawiało przyjemność i tym tkliwsze stawały się dla niej jego uczucia. Nie wiedział, że postępowanie jego wobec Kitty posiada określoną nazwę, że jest to zwykłe rozkochywanie panien, bez zamiaru małżeństwa. Nie zdawał sobie sprawy, że takie rozkochywanie jest jednym ze złych uczynków przyjętych w gronie świetnej młodzieży jego pokroju; Wydawało mu się, że on pierwszy wynalazł tę przyjemność, toteż upajał się swym wynalazkiem.

Gdyby mógł być usłyszeć, co tego wieczoru mówili jej rodzice, i spojrzeć na rzeczy z ich punktu widzenia, gdyby mu powiedziano, że Kitty będzie nieszczęśliwa, jeśli on się z nią nie ożeni, zdziwiłby się wielce i nie uwierzyłby temu. Nie mógłby uwierzyć, że coś, co jemu, a zwłaszcza jej, sprawia tak wielką a niewinną przyjemność, może być złe. Tym bardziej nie mógłby uwierzyć, że powinien się ożenić.

O żeniactwie nigdy nie myślał jako o czymś możliwym. Nie tylko nie lubił rodzinnego życia, lecz — zgodnie z powszechną opinią kawalerskiego świata, w którym się obracał - upatrywał w rodzinie, a zwłaszcza w osobie męża, coś obcego, wrogiego, a przede wszystkim śmiesznego. A jednak chociaż nawet się nie domyślał, o czym mówili jej rodzice, wyczuł wychodząc tego wieczoru od Szczerbackich, że ten duchowy tajemny związek łączący go z Kitty nabrał od dziś takiej mocy, iż należało coś przedsięwziąć. Lecz co należało i co można było przedsięwziąć, tego Wroński domyślić się nie mógł.

„To właśnie jest urocze — myślał wracając od Szczerbackich z przyjemnym jak zawsze uczuciem czystości i orzeźwienia (które po części pochodziło stąd, że przez cały wieczór nie palił), a poza tym z nowym uczuciem rozrzewnienia wobec miłości

Kitty — to właśnie jest urocze, że ani ja, ani ona nie powiedzieliśmy sobie nie powiedzieli, a przecie tak rozumieliśmy się w tej niedostrzegalnej rozmowie spojrzeń i intonacji, że dziś wyraźniej niż kiedykolwiek powiedziała mi: Kocham. I jak ładnie, jak po prostu, a przede wszystkim z taką ufnością! Czuję się sam lepszy i czystszy. Czuję, że mam serce i że jest we mnie wiele dobrego... Te śliczne zakochane oczy! Gdy powiedziała: nawet bardzo!..."

„No, więc co? No, więc nic. Mnie jest dobrze i jej jest dobrze"... — I począł się zastanawiać, gdzie spędzić resztę wieczoru.

Przebiegł myślą miejsca, dokąd by mógł się udać. „Klub? Partia bezika? Szampan z Ignatowem? Nie, nie pojedę. «Château des Fleurs»? Zastanę tam Obłońskiego, będą kuplety, kankan... Nie, mam tego dosyć. Za to właśnie lubię Szczerbackich, że u nich staję się lepszy. Pojadę do domu." Poszedł prosto do swego numeru u Dussot, kazał sobie podać kolację, potem rozebrał się i po chwili, zaledwie zdążył przyłożyć głowę do poduszki, zasnął- mocnym i jak zwykle spokojnym snem.

Nazajutrz o jedenastej rano Wroński pojechał na dworzec petersburski po matkę. Pierwszą osobą, na którą natknął się na stopniach szerokich schodów, był Obłoński, oczekujący przyjazdu siostry tym samym pociągiem. .

— A, wasza ekscelencja! — zawołał Obłoński. — A ty po kogo?

— Po mamę — z uśmiechem, jak wszyscy na widok Obłońskiego, odpowiedział Wroński ściskając mu rękę i razem z nim wszedł na schody. — Powinna dziś przyjechać z Petersburga.

— A ja czekałem na ciebie do drugiej. Dokądże pojechałeś od Szczerbackich?

— Do domu — odrzekł Wroński. — Wyznaję, że czułem się tak jakoś przyjemnie po wieczorze u Szczerbackich, że nie chciało mi się już nigdzie jechać.

— Poznają rumaki chyże po znakach, które noszą, a zakochanych młodzieńców poznają po ich oczach — wyrecytował Stiepan Arkadjicz, podobnie jak niedawno Lewinowi.

Wroński uśmiechnął się. Z miny jego można było wnosić, że się nie zapiera; od razu jednak zmienił temat rozmowy.

— A ty na kogo czekasz? — zapytał.

— Ja? Na piękną kobietę — odparł Obłoński.

— Ach, tak!

— Honny soit, qui mai y pense! Na moją siostrę Annę.

— Ach, na panią Karenin!.

— Znasz ją zapewne?

— Zdaje się, że znam. A może nie... Doprawdy, nie pamiętam — odparł z roztargnieniem Wroński łącząc mgliście to nazwisko z czymś nudnym i afektowanym.

— Za to Aleksego Aleksandrowicza, mego znakomitego szwagra, na pewno znasz. Cały świat go zna.

— Znam go z opinii i z widzenia. Wiem, że jest rozumny, wykształcony, podobno bardzo pobożny... Ale wiesz, że to nie w moim... not in my line — odpowiedział Wroński.

— Jest to doprawdy człowiek niezwykły: trochę konserwatywny, ale wielkiej zacności — zauważył Stiepan Arkadjicz — wielkiej zacności.

— No, to tym lepiej dla niego — rzekł Wroński z uśmiechem. — A, jesteś i ty — zwrócił się do wysokiego, starego lokaja matki, który stał u wejścia. — Wejdz no tutaj.

Wroński w ostatnich czasach, niezależnie od sympatii, jaką powszechnie budził Obłoński, czuł mu się specjalnie bliski, ponieważ w wyobraźni łączył go z osobą Kitty.

— No cóż, urządzamy w niedzielę kolację dla divy? — zapytał biorąc go pod rękę z uśmiechem.

— Naturalnie. Zbiorę składkę. Ach, poznałeś chyba wczoraj mego przyjaciela Lewina? — zapytał Obłoński.

— A jakże; ale jakoś prędko wyszedł.

— Miły, zacny chłop — mówił dalej Obłoński. — Nieprawdaż?

— Nie wiem dlaczego — zauważył Wroński — wszyscy moskwiczanie, z wyjątkiem oczywiście tych, z którymi rozmawiam — dodał żartobliwie — mają w sobie coś szorstkiego. Jakoś ciągle stają okoniem, gniewają się, jakby chcieli dać człowiekowi coś specjalnego do zrozumienia...

— Masz trochę racji... — odpowiedział Stiepan Arkadjicz śmiejąc się wesoło.

— No co? Czy już prędko? — zapytał Wroński urzędnika kolejowego.

— Pociąg wyszedł — poinformował go kolejarz.

O zbliżaniu się pociągu świadczyły coraz ruchliwsze przygotowania na stacji oraz obecność osób przybyłych na spotkanie podróżnych, przebiegający tragarze,, zjawienie się żandarmów i urzędników. Przez mroźny opar widać było robotników w kożuchach i miękkich filcowych butach, jak przechodzili przez szyny zakręcających torów. Rozlegał się gwizd lokomotywy i odgłos przesuwania czegoś ciężkiego.

— Nie — Obłoński miał wielką ochotę opowiedzieć Wrońskiemu o zamiarach Lewina wobec Kitty. — Nie, źle sądzisz mego przyjaciela. To człowiek nadzwyczaj nerwowy i czasami bywa nieprzyjemny, to prawda, ale za to niekiedy — przemily. To taka uczciwa, prawa natura i serce złote. Wczoraj były specjalne powody — ciągnął dalej ze znaczącym uśmiechem, zupełnie zapominając, że w przeddzień okazywał szczere współczucie przyjacielowi, i żywiąc obecnie to samo współczucie, ale tym razem dla Wrońskiego. — Tak, były powody, dla których mógł być albo specjalnie szczęśliwy, albo też specjalnie nieszczęśliwy.

Wroński przystanął i zapytał wręcz:

— Co to było? Czy może oświadczył się wczoraj twojej belle-soeur?...

— Możliwe — odpowiedział Obłoński. — Tak mi się coś wczoraj zdawało. Tak. Jeśli odszedł wcześniej, i do tego był w złym humorze, to na pewno, tak... Tak dawno się w niej kocha. Żal mi go bardzo.

— A więc to tak?!... Zresztą, sądzę, że księżniczka może liczyć na lepszą partię — zauważył Wroński i prostując ramiona zaczął się znowu przechadzać. — Cóż, nie znam go zupełnie... — dodał. — Tak, to trudna historia. Dlatego właśnie większość z nas woli znajomości z różnymi Klarami. Tu niepowodzenie dowodzi tylko, że ci nie starczyło pieniędzy, tam zaś w grę wchodzi wartość człowieka. Ale. otóż i pociąg.

Istotnie, z dala już rozlegał się gwizd lokomotywy. W kilka minut później peron zatrząsł się i dysząc opadającą na mrozie ku dołowi parą, wtoczyła się lokomotywa. Miarowo i powoli pochylała się i prostowała dźwignia środkowego koła. Opatulony i osędziały od szronu maszynista salutował. Za tendrem coraz wolniej i coraz silniej wstrząsając peronem podjeżdżał wagon z bagażem i ze skowyczącym psem, na

końcu zaś — podrygując przed zatrzymaniem się — wtoczyły się pasażerskie wagony.

Dziarski konduktor gwizdnął i wyskoczył w biegu na peron, a za nim poczęli wychodzić jeden za drugim niecierpliwi pasażerowie, wyprostowany oficer gwardii rozglądający się surowo dokoła, ruchliwy, wesoło uśmiechnięty kupczyk z torbą podróżną i chłop z workiem przerzuconym przez ramię..

Wroński, stojąc obok Obłońskiego, oglądał wagony i pasażerów i zupełnie zapomniał o matce. Podnieciło go i uradowało to, czego przed chwilą dowiedział się o Kitty. Bezwiednie rozprostował ramiona, a oczy mu zabłyśły. Poczł się zwycięzcą.

— Hrabina Wrońska jest w tym przedziale — rzekł dziarski konduktor podchodząc do Wrońskiego.

Słowa konduktora sprawiły, że ocknął się i przypomniał sobie o matce i mającym nastąpić spotkaniu. Wroński w gruncie rzeczy matki nie szanował — i nie zdając sobie z tego sprawy, nie kochał. Lecz pod wpływem pojęć środowiska, w którym się obracał, i, na skutek otrzymanego wychowania nie wyobrażał sobie, by można było zachowywać się wobec matki inaczej niż z najwyższą pokorą i szacunkiem. Tym więcej okazywał matce zewnętrznej pokory, i szacunku, im mniej w duszy kochał ją i szanował.

Wroński wszedł za konduktorem, do wagonu i przy wejściu do przedziału zatrzymał się, aby przepuścić wychodzącą damę. Jedno tylko przelotnie rzucone, spojrzenie na jej powierzchowność wystarczyło Wrońskiemu, by instynktem światowca zaliczyć ją do najlepszego towarzystwa. Powiedział pardon i już miał iść dalej, gdy poczuł, że musi raz jeszcze na nią spojrzeć: nie dlatego, że była bardzo piękna, i nie dlatego, że od całej jej postaci bił jakiś wytworny i dyskretny urok, ale ponieważ w chwili gdy go mijiała, wyraz jej ślicznej twarzy tchnął szczególnie łagodną tkliwością. Obejrzał się i zobaczył, że ona również odwróciła głowę: spojrzenie jej błyszczących, szarych oczu, które od niezwykle gęstych rzęs wydawały się ciemne, zatrzymało się na jego twarzy przyjaźnie i z uwagą, jak gdyby wyrażając uznanie, i natychmiast, wyraźnie kogoś szukając, -przeniosło się na nadchodzący tłum. W tym krótkim spojrzeniu Wroński zdążył zauważyć powściąganą żywość, która grała na jej twarzy i przelatywała od błyszczących oczu do ledwo dostrzegalnego uśmiechu wyginającego kąciki czerwonych warg... Jakby istotę jej przepełniał jakiś nadmiar, który pomimo jej woli przejawiał się to w blasku oczu, to w uśmiechu. W oczach zdołała ów blask rozmyślnie zgasić, lecz jaśniał on ciągle, wbrew jej chęciom, w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

Wroński wszedł do przedziału. Matka jego, zasuszonej staruszka uczesana w loczki, przypatrując się synowi mrużyła czarne oczy i uśmiechała się leciutko wąskimi wargami. Podniosła się z miejsca, oddała pokojówce torebkę, wyciągnęła do syna drobną, wyschlą rękę i uniósłszy jego głowę, schyloną nad jej dłoń, pocałowała go w twarz.

— Czyś dostał depeszę? Jesteś zdrow? Bogu dzięki.

— Czy mama szczęśliwie dojechała? — zapytał syn sia dając obok niej i mimo woli przysłuchując się głosowi kobiecemu, który dolatywał zza drzwi. Wiedział, że to głos damy, którą przed chwilą spotkał przy wyjściu.

— A ja jednak nie mogę się z panem zgodzić — mówił głos.

— Petersburski pogląd, proszę pani.

— Nie petersburski, ale po prostu kobiecy — odparła.

— Pani pozwoli ucałować swą rączkę...

— Do widzenia panu. Niechże pan zobaczy, czy nie ma tu gdzie mego brata, i niech go pan do mnie przyśle — rzekła nieznajoma już we drzwiach, po czym wróciła do przedziału.

— I cóż, znalazła pani brata? — zapytała Wrońska zwracając się do wchodzącej.

Wroński uświadomił sobie naraz, że to jest pani Karenin.

— Brat pani tu jest — rzekł wstając. — Niech mi pani wybaczy: nie poznałem pani, ale znajomość nasza była tak przelotna — mówił z ukłonem — że pani z pewnością mnie nie pamięta.

— Przeciwnie, poznałabym pana od razu, bośmy z matką pana, zdaje się, przez

całą drogę rozmawiały tylko o panu — odrzekła dając wreszcie w uśmiechu wyraz hamowanej żywości. — A mojego brata wciąż jeszcze nie ma.

— Zawołajże go, Alosza — powiedziała stara hrabina. Wroński wyszedł na peron i krzyknął:

— Obłóński! Tutaj!

Lecz pani Karenin nie doczekała się jego nadejścia; ujrawszy go z daleka, lekkim krokiem wyszła z wagonu i jak tylko zbliżył się do niej, stanowczym ruchem, który zachwycił Wrońskiego, objęła brata lewą ręką za szyję, szybko przyciągnęła do siebie i mocno ucałowała. Wroński patrzył nie spuszczając z niej oczu i uśmiechał się, sam nie wiedząc dlaczego. Przypomniawszy sobie jednak, że matka na niego czeka, wrócił do wagonu.

— Prawda, jaka miła? — hrabina miała na myśli panią Karenin. — Mąż umieścił ją w moim przedziale, z czego byłam bardzo rada. Cała droga zeszła nam na rozmowie. A o tobie powiadają...

— Nie rozumiem tej aluzji, maman — chłodno odpowiedział syn. — I cóż, czy idziemy?

Pani Karein wróciła do wagonu, aby pożegnać się z towarzyszką podróży.

— A więc pani spotkała syna, a ja brata — zawołała wesoło. — I wszystkie moje historyjki właśnie się wyczerpały: nie miałabym już nic więcej do opowiadania.

— Ależ nie — odpowiedziała hrabina ujmując jej rękę — w towarzystwie pani mogłabym objechać świat dokoła i nigdy bym się nie znudziła. Pani jest jedną z tych miłych kobiet, z którymi przyjemnie jest i porozmawiać, i pomilczeć. Niechże pani nie myśli o synku: niepodobna nigdy się nie rozstawać. Pani Karenin stała bez ruchu, trzymała się niezwykle' prosto, a w oczach miała uśmiech.

— Anna Arkadiewna — zwróciła się matka do Wrońskiego — ma ośmioletniego, zdaje się, synka, z którym się nigdy dotąd nie rozstawała, i teraz martwi się, że zostawiła go samego.

— Tak... Przez cały czas rozmawiałyśmy: matka pana o swoim synu, a ja o moim — rzekła pani Karenin i twarz jej znowu rozbłysła przyjaznym uśmiechem skierowanym do Wrońskiego

— Zapewne bardzo to panią znudziło — odpowiedział Wroński, w lot chwytając rzuconą mu piłeczkę kokieterii. Widocznie jednak pani Karenin nie miała zamiaru prowadzić dalej rozmowy w tym tonie. Znowu zwróciła się do starej hrabiny.

— Dziękuję pani stokrotnie. Nawet nie zauważyłam, jak mi zszedł wczorajszy dzień. Do widzenia pani!

— Do widzenia, moja duszko — odpowiedziała pani Wrońska.. — Niechże mi pani pozwoli ucałować swoją śliczną twarzyczkę. Ja, stara, szczerze mówię, że pokochałam panią.

Jakkolwiek frazes ten był zupełnie zdawkowy, pani Karenin widocznie uwierzyła w jego szczerłość i naprawdę się ucieszyła. Zarumieniona, pochyliła się z lekka, przysunęła policzek do warg hrabiny, po czym wyprostowała się i z tym samym

uśmiechem, który zdawał się wahać pomiędzy ustami a oczyma, podała Wrońskiemu rękę. Uścisnął podaną mu drobną rączkę, a energiczny ruch, którym mocno i śmiało potrząsnęła jego ręką, ucieszył go, jakby to było coś niezwykłego. Wyszła szybkim krokiem, który tak przedziwnie lekko niósł jej raczej bujne kształty.

— Bardzo sympatyczna — rzekła staruszka.

Syn był tego samego zdania. Ścigał panią Karenin wzrokiem, aż wdzięczna jej postać znikła z peronu, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. Widział przez okno, jak podeszła do brata, położyła mu rękę na ramieniu i zaczęła mu coś z ożywieniem opowiadać, zapewne coś, co z nim, Wrońskim, nie miało nic wspólnego. To go zirytowało.

— Jakże ze zdrowiem, maman? — zapytał zwracając się do matki.

— Dobrze, zupełnie dobrze. Alexandre był bardzo miły, a Marie bardzo wyładniała. Naprawdę wygląda interesująco.

I dalej zaczęła opowiadać o tym, co ją najwięcej obchodziło, o chrzcinach wnuka, na które pojechała do Petersburga, i o szczególnych łaskach cesarza dla jej starszego syna.

— Otóż i Ławrientij — rzekł Wroński patrząc przez okno — jeśli mama sobie życzy, możemy teraz iść.

Stary kamerdyner, który przyjechał z hrabiną, wszedł do wagonu i zameldował, że wszystko gotowe. Staruszka podniosła się, by opuścić przedział.

— Chodźmy, teraz nie ma tłoku — rzekł Wroński. Panna służąca wzięła torebkę i pieska, kamerdyner i tragarz resztę bagażu. Wroński podał matce ramię, lecz gdy już mieli wysiadać, obok wagonu przebiegło kilku ludzi o przerażonych twarzach. Przebiegł również zawiadowca stacji w czapce jakiegoś niezwykłego koloru. Najwidoczniej stało się coś nadzwyczajnego. Wszyscy biegli ku ostatnim wagonom.

— Co?... Co?... Gdzie?... Rzucił się!... Przejechało go!... — wołano wśród tłumu.

Powrócił i Obłoński z siostrą pod rękę — oboje także wystraszeni — i trzymając się z daleka od tłumu, stanęli u drzwiczek wagonu.

Panie weszły do środka, a Wroński ze Stiepanem Arkadjiczem poszli dowiedzieć się o szczegóły wypadku.

Okazało się, że stróż kolejowy, pijany czy też zanadto opatulony z powodu mrozu, nie dosłyszał cofającego się pociągu i został przejechany.

Zanim jeszcze Wroński i Stiepan Arkadjicz powrócili, panie dowiedziały się o wypadku od kamerdynera.

Obaj panowie widzieli zmasakrowane zwłoki.

Obłoński wyraźnie cierpiał, twarz mu drgała i zdawał się bliski płaczu.

— Ach, jakie to okropne! Ach, Anno, gdybyś ty to widziała! Ach, jakie to okropne! — powtarzał.

Wroński milczał; piękna jego twarz była poważna, lecz zupełnie spokojna.

— Ach, gdyby pani widziała — mówił Stiepan Arkadjicz do hrabiny. — I żona

jego tam jest... Aż strach patrzeć na nią... Rzuciła się na zwłoki. Powiadają, że sam jeden utrzymywał bardzo liczną rodzinę. To straszne! .

— Czy nie można by czegoś dla niej zrobić? — szepnęła pani Karenin, wzruszona.

Wroński spojrział na nią i natychmiast wyszedł z wagonu.

— Zaraz przyjdę, maman — rzekł do matki odwracając się we drzwiach.

Kiedy po paru minutach wrócił, Obłoński już rozmawiał o jakiejś nowej śpiewaczce z hrabiną, która niecierpliwie spoglądała na drzwi wypatrując syna.

— Teraz już chodźmy — rzekł Wroński wchodząc. Wyszli razem: Wroński z matką na przedzie, a za nimi pani Karenin z bratem. Przy wyjściu dogonił ich zawiadowca stacji i podszedł do Wrońskiego.

— Pan rotmistrz wręczył memu pomocnikowi dwieście rubli. Proszę mi łaskawie powiedzieć, dla kogo je pan rotmistrz przeznacza?

— Dla wdowy — odpowiedział Wroński wzruszając ramionami. — Nie rozumiem, jak można się jeszcze pytać.

— Dałeś?! — zawołał Obłoński i przyciskając ramię siostry dodał: — To bardzo ładnie, bardzo ładnie! Co za poczciwy chłopak! Moje uszanowanie pani

I na chwilę wraz z siostrą zatrzymali się szukając oczyma jej panny służącej.

Gdy wyszli z dworca, karety Wrońskich już nie było. Dokoła ludzie wciąż jeszcze rozmawiali o wypadku.

— Jaka to okropna śmierć — zauważył jakiś przechodzień — podobno przecięto go na pół.

— A ja myślę, że przeciwnie, bardzo lekka, natychmiastowa — powiedział inny.

— Że też nie zachowują środków ostrożności — rzekł trzeci.

Pani Karenin wsiadła do karety; brat ze zdziwieniem spostrzegł, że wargi jej drżą i że z trudnością powstrzymuje łzy.

— Co ci jest, Anno? — zapytał, gdy odjechali o kilkaset sążni od stacji.

— Zła wróżba — odpowiedziała.

— Co za brednie! — zawołał Stiepan Arkadjicz. — Przyjechałaś, to najważniejsze! Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak ja na ciebie liczę.

— Czy dawno znasz Wrońskiego? — zapytała.

— Tak. Wiesz, mamy nadzieję, że ożeni się z Kitty.

— Tak?! — rzekła cicho Anna. — No, ale pomówmy teraz o tobie — dodała potrząsając głową, jakby chciała wprost dotykalnie odpędzić coś, co było zbyt cenne i dokuczliwe. — Mówmy o twoich sprawach. Odebrałam twój list, i oto jestem.

— Tak, cała moja nadzieja w tobie — westchnął Stiepan Arkadjicz.

— Opowiedz mi wszystko.

I Obłoński począł opowiadać.

Przed domem pomógł siostrze wysiąść, westchnął, uściśnął jej rękę i ruszył do

biura.

Gdy Anna weszła do pokoju, Dolly siedziała w saloniku, a przy niej Inianowłosa, pulchny chłopczyk, który już teraz był podobny do ojca i z którym miała lekcję francuskiego czytania. Chłopiec czytał kręcąc w ręku i usiłując urwać ledwo trzymający się guzik od kurtki.

Matka parę razy odsuwała jego rękę, ale pulchna rączka znów powracała do guzika, aż Dolly oderwała go i włożyła do kieszeni.

— Daj pokój, Grisza — rzekła i znów wzięła się do dawno zaczętej roboty na drutach: była to kołdra, którą robiła, ilekroć trafiały się jej ciężkie chwile; i teraz także pracowała popychając nerwowo palcem drut i licząc oczka. Chociaż poprzedniego dnia kazała powiedzieć mężowi, że ją nic nie obchodzi, czy jego siostra przyjedzie, czy też nie, poleciła dla niej wszystko przygotować i z niepokojem czekała na szwagierkę.

Dolly była zmiażdżona swym nieszczęściem i całkowicie przez nie pochłonięta. Pamiętała jednak, że jej szwagierka Anna jest żoną jednej z najważniejszych osobistości w Petersburgu i stołeczną grande dame, i ze względu na to nie postąpiła tak, jak zapowiadała mężowi, to znaczy — nie zapomniała o przyjeździe jego siostry. „Ostatecznie Anna nic tu nie jest winna — myślała Dolly. — Znam ją tylko z najlepszej strony. Dawła mi zawsze dowody serdeczności i przyjaźni.” Co prawda, o ile pamiętała wrażenia z pobytu u Kareninów w Petersburgu, to dom ich się jej niepodobał. W całej treści ich rodzinnego życia był jakiś fałsz. „Ale czemuż bym nie miała jej dobrze przyjąć?! Żeby tylko nie chciała mnie pocieszać... — myślała. — Wszystkie te pocieszenia, perswazje i przebaczenia chrześcijańskie sama już tysiąc razy przemyślałam i wszystko to na nic się nie zda.”

Przez wszystkie te dni Dolly była z dziećmi sama. O swoim nieszczęściu mówić nie chciała, a z tym nieszczęściem w sercu nie mogła mówić o rzeczach obojętnych. Wiedziała, że tak czy owak zwierzy się Annie ze wszystkiego, i to cieszyła się myślą, w jaki sposób jej to opowie, to znów gniewało ją, że będzie musiała mówić o doznanym upokorzeniu z nią, jego siostrą, i wysłuchiwać z góry obmyślonych perswazji i konwencjonalnych frazesów pociechy. Oczekując lada chwila przybycia Anny i ciągle spoglądając na zegarek, Dolly, jak to nieraz bywa, właśnie przeoczyła moment przyjazdu i nie zwróciła uwagi na dzwonek.

Usłyszała dopiero szelest sukni i lekki krok we drzwiach. Obejrzała się i mimo woli na jej umączonej twarzy odbiła się nie radość, lecz zdumienie. Podniosła się i uściskała szwagierkę.

— Jak to, już przyjechałaś? — rzekła całując ją.

— Dolly, jakże się cieszę, że cię widzę!

— I ja się cieszę — odrzekła Dolly ze słabym uśmiechem, starając się odgadnąć ze spojrzenia Anny, czy ta już wie o wszystkim. „Zapewne wie” — pomyślała, gdy spostrzegła na jej twarzy wyraz współczucia. — Chodźmy, zaprowadzę cię do twego pokoju — dodała starając się odwlec chwilę wyjaśnień jak najdalej.

— To Grisza? Mój Boże, jak on urósł — rzekła Anna całując bratanka i nie spuszczać oczu z Dolly. Nagle przerwała i zarumieniła się. — Nie, pozwól mi zostać tu z tobą.

Zdjęła szal, kapelusz i potrząsała głową starając się uwolnić pasmo czarnych falujących włosów, wplątanych do kapelusza.

— Promieniejesz po prostu szczęściem i zdrowiem! — zauważyła Dolly prawie z zazdrością.

— Ja?... Tak — odpowiedziała Anna. — Mój Boże! Tania! Rówieśnica mojego Sierioży — zawołała na widok dziewczynki, która wbiegła do pokoju. Wzięła ją na ręce i pocałowała. — Śliczna dziewczynka, rozkoszna! Pokaż no mi je wszystkie.

Zaczęła wyliczać dzieci, po imieniu, pamiętając nie tylko imiona i lata, lecz również miesiąc urodzenia oraz charakter, a także choroby, które każde z nich przebyło Dolly nie mogła tego nie ocenić.

— No, więc chodźmy do nich. — rzekła. — Szkoda tylko, że Wasia teraz właśnie śpi.

Obejrzawszy dzieci, usiadły obie w salonie przy kawie. Anna sięgnęła po tackę, po czym odsunęła ją...

— Dolly — zaczęła — on mi już opowiedział...

Dolly spojrzała niechętnie na Annę; oczekiwała frazesu nieszczerego współczucia, Anna jednak nic podobnego nie powiedziała..

— Dolly, moja droga — rzekła — nie chcę ani stawać w jego obronie, ani też pocieszać ciebie; to niemożliwe. Tylko, serce moje, po prostu żal mi ciebie, żal z całej duszy!

W jej błyszczących oczach spoza gęstych rzęs ukazały się łzy. Przysiadła się bliżej do bratowej i ujęła jej dłoń w swą drobną, energiczną rękę. Dolly nie odsunęła się, ale twarz jej nie zmieniła oschłego wyrazu.

— Po tym, co zaszło, nie ma dla mnie żadnej pociechy. Wszystko stracone, wszystko przepadło!

Ledwo to powiedziała, wyraz jej twarzy nagle zmienił się, jakby zmiękł. Anna uniosła do ust szczupłą, wychudłą rękę Dolly, pocałowała ją i rzekła:

— Ale, Dolly, co robić, co robić? Jak postąpić najlepiej w tej okropnej sytuacji? Oto, nad czym powinnyśmy się naradzić.

— Wszystko skończone i nie ma na to rady — rzekła Dolly. — A najgorsze jest to — zrozum tylko — że przecież nie mogę go porzucić: dzieci... Jestem związana. Życ z nim także nie mogę; już sam jego widok jest dla mnie męką.

— Dolly najdroższa, chociaż on mi już o tym mówił, chciałabym od ciebie wszystko usłyszeć: opowiedz mi.

Dolly popatrzyła na nią pytająco.

Na twarzy Anny malowała się serdeczność i najszczerze współczucie.

— Niechże i tak będzie — zgodziła się nagle Dolly. — Ale będę opowiadała od

początku. Wiesz przecie, w jaki sposób wyszłam za mąż: dzięki wychowaniu mamam byłam nie dość że niewinna, byłam głupia; nie wiedziałam o niczym. Wiem... tak powiadają... że mężowie wyznają żonom swoją przeszłość, ale Stiwa... — poprawiła się — Stiepan Arkadycz nic mi o sobie nie powiedział. Ty mi pewno nie uwierzysz, ale ja naprawdę dotąd myślałam, że jestem jedyną kobietą w jego życiu... Tak zeszło mi z nim osiem lat. Proszę cię, zrozum, że nie tylko nie podejrzewałam go o niewierność; ale uważałam zdradę za coś niemożliwego... i nagle, pomyśl tylko, przy takich zapatrywaniach dowiedziałam się o tej całej okropności i ohydzie... Zrozum mnie, Anno! Być zupełnie pewną swego szczęścia i nagle... — mówiła dalej Dolly powstrzymując łkanie — dostać do rąk list... list pisany przez niego do kochanki, do guwernantki moich dzieci. Nie!... To zbyt okropne! — szybko wyjęła chustkę i zasłoniła nią twarz. — Rozumiiałabym jeszcze jakieś zapomnienie się chwilowe — zaczęła znowu po krótkim milczeniu — ale oszukiwać mnie tak świadomie, tak przebiegle, i to z kim? Być jednocześnie moim mężem i jej. To potworne! Ty chyba nie możesz nawet tego zrozumieć.

- O, przeciwnie, rozumiem!... Rozumiem cię, kochana Dolly, aż nadto dobrze rozumiem — mówiła Anna ściskając jej rękę. — A czy myślisz może, że on zdaje sobie sprawę, w jak okropnym jestem położeniu?. — ciągnęła dalej Dolly. — Ani trochę: jest szczęśliwy i zadowolony.

— O nie! — szybko wtrąciła Anna. — Wzbudza litość, jest przybity, skruszony...

— Gzy on jest zdolny do skruchy? — przerwała jej Dolly wpatrując się uważnie w szwagierkę.

— Tak, ja go znam. Litość mnie brała, gdy patrzyłam na niego. Obie przecież go znamy: jest" dobry, ale i ambitny, a teraz czuje się taki upokorzony. Najwięcej wzruszyła mnie (Anna odgadła, co może najbardziej podzielać na Dolly), że gnębią go dwie rzeczy: wstyd przed dziećmi i to, że kochając ciebie... tak, tak, kochając ciebie więcej niż wszystko w świecie — przerwała szybko Anna chcąc zaprzeczyć bratowej — wyrządził ci taką krzywdę, po prostu tak, jakby cię zabił.....Nie, nie, ona mi nie przebaczy" — powtarza bez ustanku.

Dolly zamyśliła się nie patrząc na Annę; słuchała wszakże jej słów.

— Tak, rozumiem, że sytuacja jego jest okropna: winowajca czuje się gorzej niż niewinny — rzekła — o ile wie, że to z jego winy stało się nieszczęście. Ale jakże mogę mu przebaczyć, jakże mogę być teraz znowu jego żoną... Po niej? Pożycie z nim będzie dla mnie udręczeniem dlatego właśnie, że miniona moja miłość do niego jest mi tak droga.

I łkanie przerwało jej słowa.

I znowu, jakby umyślnie, ilekroć już zaczynała mięknać, wracała do tego, co ją najbardziej bolało.

— Przecież ona jest młoda, przecież jest ładna — mówiła. — Czy rozumiesz, Anno, że mnie moją młodość i urodę zabrano... A kto je zabrał? On i jego dzieci. Odsłużyłam swoje i w tę służbę włożyłam całą siebie, a jemu teraz oczywiście miłsze jest młode, pospolite stworzenie. Z pewnością nieraz rozmawiali o mnie lub, co gorsza, pomijali mnie milczeniem; czy ty to rozumiesz? — I znów oczy jej

błysnęły nienawiścią. —I po tym wszystkim będzie mi mówił... I ja mam mu może wierzyć? Przenigdy! Nie... Skończyło się już wszystko, wszystko, co było dla mnie pociechą, nagrodą za tyle pracy, za moje cierpienia... Czy uwierzysz? Przed chwilą uczyłam Griszę: dawniej była to dla mnie rozkosz, a teraz męczarnia. Po co ja się staram i trudzę? Na co te dzieci? Okropne jest to, że nagle serce mi się odmieniło, i zamiast miłości i czułości dla niego mam tylko złość, tak, złość. Zabiłabym go i...

— Dolly, miła moja, rozumiem cię, lecz nie zadreńczaj się tak. Dotknęto cię tak głęboko, jesteś taka rozdrażniona, że wiele rzeczy widzisz na opak.

Dolly przycichła i przez chwilę milczały obie.

— Pomyśl ty, Anno, co począć... Pomóż mi! Przemyślałam wszystko i nic przed sobą nie widzę.

Anna wprawdzie nie potrafiła znaleźć żadnego wyjścia, lecz każde słowo, każde drgnienie twarzy bratowej znajdowało bezpośredni oddźwięk w jej sercu.

— Powiem ci tylko jedno — zaczęła. — Jestem jego siostrą, znam jego charakter, tę jego łatwość zapominania o wszystkim (zrobiła ruch, jakby coś odpędzała od czoła), tę łatwość całkowitego zapominania się, ale za to i zdolność do absolutnej -skruchy. On teraz sam nie wierzy, nie rozumie, jak mógł tak postąpić.

— O nie, on to dobrze rozumie, on to rozumiał — przerwała jej Dolly. — Ale ja... zapominasz o mnie... czyż mnie jest przez to lżej?

— Czekaj... Kiedy mi to opowiadał, przyznaję, że nie zdawałam sobie sprawy z całej okropności twojego położenia. Myślałam tylko o nim i o tym, że rodzina zaczyna się rozpadać; było mi go żal. Ale po rozmowie z tobą widzę — jako kobieta — co innego: widzę twoje cierpienie i wprost nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo mi żal. Ciebie. Ale, Dolly, moje serce... Pojmuję najzupełniej twoje cierpienie, jednej rzeczy tylko nie wiem, nie wiem... Nie wiem, ile miłości pozostało ci jeszcze w sercu. To już ty wiesz sama. Czy masz jej na tyle, żeby móc przebaczyć? Jeśli tak, to przebacz!

— Nie — zaczęła Dolly. Ale Anna przerwała jej, całując znowu jej rękę.

— Ja znam lepiej świat od ciebie — rzekła. — Znam ludzi w rodzaju Stiwy i wiem, jak patrzą na takie rzeczy. Powiadasz, że Stiwa rozmawiał z nią o tobie... Na pewno tak nie było! Tacy ludzie mogą popełnić zdradę, ale ich własne ognisko domowe i żona — to dla nich świętość. Tak jakoś bywa, że dla tamtych mają właściwie pogardę, że tamte jakoś nie są dla nich przeszkodą w życiu rodzinnym. Oni przeprowadzają taką jakąś nieprzekraczalną linię między rodziną a tamtą stroną życia. Ja tego nie rozumiem, ale wiem, że tak jest.

— Tak, ale on ją całował...

— Czekaj, Dolly kochana... Widziałam Stiwę, gdy się kochał w tobie. Pamiętam czasy, gdy przyjeżdżał do mnie mówiąc o tobie płakał: wiem, że byłaś dla 'niego uosobieniem poezji i wzniosłości, a im dłużej z tobą żył, na tym wyższym piedestale ciebie stawiał. Aż śmieliśmy się nieraz z niego, bo dodawał po każdym zdaniu: „Dolly to zdumiewająca kobieta.” Byłaś zawsze dla niego bóstwem i pozostałaś

nim, a to był tylko szal chwilowy. W duszy cię nie zdradził.

— A, jeśli ten chwilowy szal będzie się powtarzał?

— Jestem przekonana, że się nie powtórzy, to niemożliwe...

— Tak, ale czy ty byś przebaczyła?

— Nie wiem, nie mogę o tym sądzić... Nie, owszem, mogę — powiedziała po krótkim namyśle; a gdy już podsumowała sytuację i jakby zważyła ją na jakiejś swojej wewnętrznej szali, dodała: — Owszem mogę, mogę, mogę! Tak, ja bym przebaczyła. Nie byłabym już tą samą, co przedtem, ale przebaczyłabym, i to przebaczyłabym tak, jakby nigdy nic się nie stało.

— Ma się rozumieć — przerwała jej szybko Dolly, jakby wypowiadając coś, o czym już nieraz myślała. — W przeciwnym razie nie byłoby to przebaczenie. Jeśli przebaczyć, to już zupełnie, zupełnie. No, chodźmy teraz, odprowadzę cię do twego pokoju. — Przeszły razem kilka kroków, po czym Dolly objęła Annę mówiąc: — Droga moja, jakże się cieszę, żeś przyjechała. Lżej mi na duszy, znacznie lżej.

Cały ten dzień Anna spędziła w domu, czyli u Obłońskich, i nikogo nie przyjmowała, chociaż kilka znajomych osób, które już zdążyły dowiedzieć się o jej przyjeździe, tego samego dnia przybyło z wizytą. Cały ranek spędziła w towarzystwie Dolly i dzieci. Wysłała tylko bilecik do brata, prosząc go, aby koniecznie był na obiedzie w domu. "Przyjedź, Bóg jest miłosierny!" — pisała.

Obłoński zjawił się na obiad; rozmowa przy stole była ogólna i Dolly mówiła mężowi „ty”, co przedtem było wykluczone. W ich wzajemnym stosunku znać było jeszcze obcość, lecz nie było już mowy o rozstaniu i Stiepan Arkadjicz przewidywał możliwość wyjaśnień i pojednania.

Zaraz po obiedzie przyjechała Kitty. Znała już panią Karenin, ale bardzo mało, jechała więc teraz do siostry z pewną obawą, nie wiedząc, jak ją przyjmie ta petersburska światowa dama, o której wszyscy mówili z takim uznaniem. Tymczasem spodobała się Annie i od razu to wyczuła. Pani Karenin zachwycała się wyraźnie jej urodą i młodością. Kitty nie zdążyła się spostrzec, a już nie tylko czuła, że ulega wpływowi Anny, lecz była w niej zakochana, jak tylko potrafią kochać się młode panny w starszych od siebie mężatkach. Anna nie wyglądała na światową damę ani na matkę ośmioletniego syna. Gdyby nie poważny, chwilami smutny wyraz oczu, który zastanawiał i pociągał Kitty, sprawiałaby raczej wrażenie dwudziestoletniej dziewczyny, tak sprężyste były jej ruchy, tak była świeża i tyle było żywości w jej uśmiechu i spojrzeniu. Kitty była pewna, że Anna jest wprawdzie pełna prostoty i że nic nie ukrywa, ale że nosi w duszy jakiś inny, wyższy świat, świat niedostępnych dla Kitty zainteresowań, zawiłych i poetycznych.

Po obiedzie, gdy Dolly poszła do swego pokoju, Anna zerwała się z miejsca i mrugnęła wesoło na brata, który zapalał cygaro.

— Stiwa — rzekła kreśląc nad nim znak krzyża i wskazując oczyma na drzwi. — Idź i niech ci Pan Bóg dopomoże.

Zrozumiał, rzucił cygaro i znikł za drzwiami.

Po jego wyjściu Anna wróciła na kanapę, na której siedziała otoczona dziećmi. Może dlatego, że matka lubiła tę ciocię, a może same wyczuwając w niej szczególny urok, dwoje starszych, a za nimi i młodsze — jak to bywa u dzieci — jeszcze przed obiadem przylgnęły do nowej cioci i nie odstępowały jej ani na chwilę. Urządziły sobie nawet rodzaj zabawy polegającej na tym, by siedzieć jak najbliżej cioci, dotykać jej, trzymać je drobną ręką, całować ją, bawić się jej pierścionkiem lub przynajmniej skubać falbanki jej sukni.

— Dobrze, dobrze, ale siadajmy jak przedtem — i Anna usadowiła się na dawnym miejscu.

Grisza znowu więc wsunął główkę pod ramię ciotki i promieniejąc dumą i szczęściem przytulił się do jej sukni.

— Kiedyż więc odbędzie się ten bal? — zwróciła się Anna do Kitty.

— W przyszłym tygodniu. Wspaniały bal. Jeden z tych, na których zawsze bywa wesoło...

— A więc zdarzają się i takie, na których zawsze bywa wesoło? — w głosie Anny brzmiała leciutka ironia.

— To dziwne, ale tak jest. U Bobryszczewów jest zawsze wesoło, u Nikitinów również, natomiast u Mieszkowów zawsze nudno. Czy pani tego nie zauważyła?

— Nie, kochanie, dla mnie minął już ten czas, gdy mi na balach bywało wesoło — odparła Anna i Kitty ujrzała w jej oczach ten osobliwy świat, który przed nią był jeszcze zamknięty. — Znam tylko takie, na których bywa mniej nudno i które są mniej męczące...

— Jak pani może być nudno na balu?

— Dlaczego mnie nie może być nudno na balu? — spytała Anna.

Kitty zauważyła, że Anna dobrze wie, jaka będzie jej odpowiedź.

— Ponieważ pani jest zawsze najpiękniejsza ze wszystkich.

Anna potrafiła się rumienić. Zarumieniła się i rzekła:

— Po pierwsze, nigdy nie jestem najpiękniejsza, a po drugie, gdyby nawet tak było, to co mi po tym?

— Pani będzie na tym balu? — spytała Kitty.

— Sądzę, że nie' będę mogła się od tego wymówić. Masz, weź sobie ten — powiedziała do Tani, która ściągała luźny pierścionek z jej białego, smuklejszego ku końcowi, palca.

— Byłabym taka rada, gdyby pani tam była. Tak bym chciała widzieć panią na balu.

— Więc jeśli trzeba będzie tam pojechać, będę się chociaż pocieszała myślą, że sprawiam pani przyjemność... Grisza, mój drogi, nie szarp tak, i tak już jestem potargana — zwróciła się do chłopca poprawiając luźne pasmo włosów, którym się bawił.

— Wyobrażam sobie panią na balu w sukni lila...

— Dlaczego koniecznie lila? — uśmiechnęła się Anna. — No, dzieci, idźcie już, idźcie. Czy słyszycie? Miss Hull woła was na herbatę — mówiąc to, siłą odrywała od siebie dzieci i popychała je w stronę jadalni.

— A ja wiem, czemu pani zaprasza mnie na ten bal: pani się wiele po nim spodziewa i dlatego pani pragnie, żeby wszyscy byli obecni, żeby wszyscy brali w nim udział.

— Skąd pani o tym wie? Tak jest rzeczywiście!

— Szczęśliwy, szczęśliwy wiek — mówiła dalej Anna. — Znam, pamiętam ową błękitną mgłę, podobną do tej, która leży na górach w Szwajcarii... Mgła, która wszystko okrywa w tym okresie najszcześniejszym, gdy lada chwila skończy się dzieciństwo, gdy ten ogromny krąg, pełen szczęścia i wesela, przemienia się w coraz węższy szlak. Radośnie, choć z lękiem, człowiek wkracza w tę amfiladę, mimo

że zdaje się ona piękna i jasna... Któż z nas przez to nie przechodził?!

Kitty uśmiechnęła się w milczeniu. „Ale jak ona sama przez to przeszła? Tak bym chciała znać całą historię jej miłości” — pomyślała przypominając sobie niepoetyczną powierzchowność Aleksego Aleksandrowicza, męża Anny.

— Wiem coś niecoś... Brat mi mówił... Winszuję pani: bardzo mi się podoba — mówiła Anna. Spotkałam rotmistrza Wrońskiego na kolei.

— Tak, był tam? — spytała zapłoniona Kitty. — I cóż Stiwa pani mówił?

— Stiwa wypaplał mi wszystko. Bardzo bym się cieszyła... Wczoraj — mówiła dalej — jechałam z jego matką, starą panią Wrońska, która przez całą drogę nie przestawała o nim mówić. To jej ulubieniec: wiem, że matki bywają zaślepione, ale...

— I cóż jego matka pani opowiadała?

— Ach, mnóstwo rzeczy! Wiem, że to jej faworyt, ale i tak widać, że to istny rycerz... Opowiadała mi na przykład, że chciał ustąpić całą fortunę bratu, że dzieckiem jeszcze zrobił coś niezwykłego, wyratował jakąś tonącą kobietę. Słowem, bohater — uśmiechnęła się Anna przypominając sobie owe dwieście rubli, które Wroński podarował na stacji.

O tych dwustu rublach jednak nie opowiedziała; przykro jej było jakoś o tym wspominać. Czuła, że w jakiś sposób sama była w to wmieszana i że było w tym coś niewłaściwego.

— Pani Wrońska prosiła mnie bardzo, abym ją odwiedziła — mówiła Anna. Chętnie staruszkę zobaczę i jutro do niej pojedę. No, dzięki Bogu, Stiwa długo bawi u Dolly — dodała po chwili, zmieniając temat, i wstała. Kitty wydało się, że Anna była jakby z czegoś niezadowolona.

— Nie, ja pierwszy! Ja! Nie, ja! — wołały dzieci, które wypity już herbatę, a teraz rzuciły się hurmem ku cioci Annie.

— Wszystkie razem! — zawołała Anna śmiejąc się i biegnąc na ich spotkanie, po czym objęła całą gromadkę wierzgających i piszczących z uciechy dzieci i przewróciła je na kanapę.

Kiedy podano herbatę dla starszych, Dolly wyszła ze swego pokoju. Stiepan Arkadjicz nie pokazał się. Zapewne opuścił pokój żony innymi drzwiami.

— Obawiam się, czy na górze nie będzie ci za zimno — odezwała się Dolly dci Anny. Miałabym ochotę przenieść cię na dół: byłybyśmy bliżej siebie.

— Ach, nie róbże sobie ze mną ambarasu — odrzekła Anna uważnie wpatrując się w twarz Dolly i próbując odgadnąć, czy nastąpiło pojednanie, czy też nie.

— Będzie ci za jasno...

— Powiadam ci, że zawsze i wszędzie śpię jak suseł.

— O czym mowa? — zapytał Stiepan Arkadjicz wychodząc ze swego gabinetu i zwracając się do żony.

Anna i Kitty z tonu jego głosu od razu poznały, że między małżonkami nastąpiła zgoda.

— Chcę Annę przenieść na dół, ale należałoby przedtem zmienić firanki. Nikt tego nie potrafi i będę musiała sama to zrobić — odpowiedziała Dolly zwracając się do męża.

„Bóg raczy wiedzieć, czy się już zupełnie pogodzili?” — pomyślała Anna słysząc jej chłodny i spokojny ton.

— Dajże spokój, Dolly, zawsze wynajdujesz jakieś komplikacje — powiedział mąż. — Chcesz, to ja wszystko załatwię...

„Chyba się pogodzili” — pomyślała Anna, — Już ja wiem, jak ty wszystko załatwisz: polecisz Matwiejowi coś niewykonalnego, sam wyjdiesz z domu, a on wszystko zrobi na opak — sznurując ironicznie usta odrzekła z uśmiechem Dolly.

„Zgoda, zgoda, całkowita zgoda — zdecydowała Anna — Bogu dzięki” — i uradowana, że to się stało za jej sprawą, podeszła do bratowej i uściskała ją.

— Ależ bynajmniej, skąd ta pogarda, dla mnie i dla Matwieja? — powiedział Stiepan Arkadjicz uśmiechając się nieznacznie.

Przez cały wieczór Dolly traktowała męża ze zwykłą sobie lekką ironią, Obłoński zaś był zadowolony i pogodny, lecz tylko na tyle, by ten dobry humor nie wyglądał na zbyt szybkie zapomnienie winy.

O wpół do dziesiątej wesolą i przyjemną pogawędkę rodzinną przy wieczornej herbacie u Obłońskich zakłócił najbłahszy na pozór wypadek, który jednak nie wiadomo dlaczego wszystkim wydał się dziwny. Wśród rozmowy o wspólnych petersburskich znajomych Anna zerwała się:

— Mam tę fotografię w albumie — rzekła — a przy sposobności pokażę wam mojego Sieriożę — dodała z uśmiechem macierzyńskiej dumy.

Koło dziesiątej zazwyczaj mówiła synkowi dobranoc, a nieraz, przed pójściem na bal, sama kładła go do łóżeczka, więc żal ją ogarnął, że był od niej tak daleko. O czymkolwiek była mowa, Anna raz po raz wracała myślą do swego kędzierzawego

Sierioży, a wreszcie zapragnęła spojrzeć na jego fotografię i przy tym pogawędzić o nim. Skorzystawszy z pierwszego lepszego pretekstu wstała i swym lekkim, energicznym krokiem poszła po album. Schody prowadzące na górę do jej pokoju wychodziły na podest ogrzewanych wewnętrznych głównych schodów.

W chwili gdy Anna wychodziła z salonu, w przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Kto by to mógł być? — powiedziała Dolly.

— Po mnie jeszcze za wcześnie, a na kogo innego za późno - dodała Kitty.

— Zapewne do mnie z papierami — zauważył Obłoński. Anna właśnie mijając frontowe schody, kiedy lokajwbiegał na górę, by zaanonsować przybyłego, a sam przybyły stał na dole pod lampą. Spojrzawszy w dół, od razu poznała Wrońskiego i dziwna radość pomieszana z nieokreśloną obawą targnęła nagle jej sercem. Wroński stał nie zdejmując palta i wyjmował coś z kieszeni. W chwili gdy Anna zrównała się z wylotem schodów, podniósł oczy, spostrzegł ją i jakby zawstydził się czy przestraszył. Anna skinęła mu lekko głową i poszła dalej, a za nią rozległ się donośny głos Stiepana Arkadjicza, który zapraszał przybyłego na górę, oraz cichy, miękki i spokojny głos Wrońskiego, który się wymawiał.

Kiedy Anna wróciła z albumem, Wrońskiego już nie było, a Stiepan Arkadjicz opowiadał, że Wroński wstąpił tylko, aby się upewnić co do obiadu urządzanego nazajutrz dla przyjezdnej znakomitości.

— Za nic w świecie nie chciał wejść. Był jakiś dziwny — dodał Stiepan Arkadjicz.

Kitty oblała się rumieńcem: zdawało, się jej, że tylko ona jedna wie, po co Wroński przyjeżdżał i dlaczego nie wszedł na górę.

„Był u nas — pomyślała — nie zastał mnie i zgadł, że jestem tutaj; nie wszedł, bo uważał, że jest zbyt późno, a zresztą krępowała go obecność Anny.”

Wszyscy popatrzyli na siebie w milczeniu. Zaczęto przeglądać album Anny.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego ani dziwnego, że ktoś wstąpił do przyjaciela wieczorem, o wpół do dziesiątej, by omówić szczegóły projektowanego obiadu, i że nie chciał wejść do salonu; a jednak wszystkim wydało się to dziwne. Zwłaszcza dziwne i niewłaściwe wydało się to Annie.

Bal dopiero się zaczynał, gdy Kitty wchodziła z matką na szerokie, zalane światłem schody, na których ustawiono kwiaty i upudrowanych lokajów w czerwonych kaftanach. Z salonów dobiegał jednostajny, jak w ulu, szmer poruszającego się tłumu i podczas gdy Kitty i księżna poprawiały uczesanie i toaletę przed lustrem umieszczonym na podeście pomiędzy drzewkami, z sali balowej poczęły dolatywać delikatne, lecz wyraźne dźwięki skrzypiec: orkiestra rozpoczynała pierwszego walca. Jakiś staruszek cywil, który przed innym lustrem poprawiał siwą fryzurkę na skroniach i od którego bił zapach perfum, otarł się na schodach o wchodzące i usunął się, wyraźnie zachwycony urodą nieznaną Kitty. Jakiś młodzieniec bez zarostu, jeden z tych, których stary książę Szczerbacki nazywał *l a l u s i a m i*, w nadmiernie wyciętej kamizelce, poprawiając w pędzie biały krawat, ukłonił się paniom, a wyminąwszy je kłusem, zawrócił i poprosił Kitty do kadryla. Kitty przyrzekła już była pierwszego kadryla Wrońskiemu, obiecała więc młodzieńcowi drugiego. Podziwiał różową Kitty także wojskowy, który usunąwszy się z drogi stał u drzwi zapinając rękawiczki i muskając wąsa.

Mimo że strój, uczesanie i wszystkie przygotowania do balu kosztowały dużo zachodu i namysłu, Kitty w swej skomplikowanej tiulowej sukni na różowym spodzie wchodziła teraz na bal z taką swobodą i prostotą, jak gdyby ani ona, ani domownicy nie poświęcili wszystkim tym kokardkom i innym szczegółom toalety ani chwili uwagi, jakby się od razu taka urodziła, w tym tiulu i koronkach, z tą różą o dwóch listkach na czubku wysokiej fryzury.

Kiedy stara księżna przed wejściem na salę chciała poprawić córce podwiniętą w pasie wstążkę, Kitty leciutko odsunęła się od niej. Czuła, że wszystko samo przez się musi być na niej ładne i pełne wdzięku i że nie trzeba nic poprawiać.

Był to jeden z tych dni, kiedy jej się wszystko wiodło: suknia nigdzie nie uciskała, koronkowa berta nigdzie się nie obsunęła, rozetki nie zgmiotły się i żadna się nie odpruła, różowe, na wysokich obcasach pantofelki nie uwierały, lecz sprawiały radość nóżce. Gęste bandeaux jasnych włosów trzymały się na maleńskiej główce, jakby były jej własne, a trzy guziki długich rękawiczek, obcisłych, ale nie zniekształcających ręki, zapięły się wszystkie łatwo i żaden się nie urwał. Czarna aksamitka medalionu pieszczotliwie] niż zwykle okalała szyję. Cudowna była ta aksamitka, i Kitty stojąc w domu przed lustrem czuła, że ta aksamitka po prostu przemawia. Co do całej reszty można było mieć wątpliwości, lecz aksamitka była cudowna. Kitty uśmiechnęła się także i tu, na balu, spojrzawszy w lustro na swoją aksamitkę. Na obnażonych plecach i ramionach czuła chłód marmuru: bardzo lubiła to wrażenie. Oczy jej błyszczały, a czerwone wargi, świadome swego czaru, nie mogły powstrzymać uśmiechu. Nie zdążyła jeszcze wejść na salę i dotrzeć do tiulowej — zdobnej we wstążki, koronki i kwiaty — ciżby dam czekających na zaproszenie do tańca (Kitty nigdy nie stała w tej ciżbie), gdy już poprosił ją do walca najlepszy tancerz, tancerz dzierżący prym w balowej hierarchii, znakomity wodzirej balów, mistrz ceremonii, żonaty, piękny i

postawny mężczyzna, Jegoruszka Korsuński. Po odprowadzeniu na miejsce hrabiny Bonin, z którą przetańczył pierwszą turę walca, dokonywał właśnie przeglądu swojego gospodarstwa, czyli tych kilku par, które już zaczęły tańczyć, kiedy dojrzał wchodzącą Kitty. Podbiegł ku niej w osobliwych, właściwych tylko wodzirejom posuwistych podskokach, ukłonił się i nawet nie, pytając o pozwolenie, wyciągnął rękę, aby objąć jej smukłą kibić. Kitty obejrzała się komu by zostawić wachlarz; pani domu wzięła go od niej z uśmiechem.

Jak to dobrze, żeście panie punktualnie przyjechały — rzekł Korsuński obejmując jej talię — bo cóż to doprawdy za sposób spóźnić się na bal!

Zgięła lewą rękę i położyła ją na ramieniu Korsuńskiego, a małe jej nóżki w różowych trzewiczkach prędko, lekko i rytmicznie jeły poruszać się w takt muzyki po śliskiej posadzce.

— Walc z panią to odpoczynek — powiedział Korsuński przy pierwszych powolnych taktach. — Co za cudowna lekkość i precision! — Powtarzał jej to, co mówił prawie każdej dobrej znajomej.

Kitty uśmiechnęła się na tę pochwałę i ponad jego ramieniem rozejrzała się po sali. Nie była debiutantką, dla której wszystkie twarze zlewają się w jedno czarodziejskie wrażenie; nie należała również do panien, które tyle razy ciągnano na bale, że wszystkie twarze są im już znajome aż do znudzenia. Kitty do nich się nie zaliczała: była podniecona, ale zarazem panowała nad sobą na tyle, aby móc obserwować. Zauważyła, że w lewym rogu salonu skupiła się śmietanka towarzystwa. Była tam nieprawdopodobnie wydekoltowana znana piękność, żoną Korsuńskiego, Liddy, tam również była pani domu, tam świecił swą łysiną, zawsze trzymający się najlepszego towarzystwa, Kriwin. Młodzież patrzyła w tę stronę, nie mając odwagi podejść. Tam także Kitty znalazła oczyma Stiwę, a potem zobaczyła zachwycającą głowę i postać Anny w czarnej aksamitnej sukni! I on tam był. Kitty nie widziała go od owego wieczoru, kiedy dała kosza Lewinowi. Teraz spostrzegła go od razu swymi bystrymi oczyma i zauważyła nawet, że na nią patrzy.

— Może przetańczymy jeszcze jedną turę? Czy pani nie zmęczona? — zapytał Korsuński, nieco zadyszany.

— Nie, dziękuję.

— Dokąd mam panią odprowadzić?

— Zdaje się, że pani "Karenin jest tutaj... Niech mnie pan odprowadzi do niej.

— Jak pani rozkaże.

I Korsuński nie przerywając walca, tylko zwalniając kroku, skierował się wprost ku grupie skupionej w lewym rogu sali. Powtarzał co chwila: „Pardon, mesdames, pardon, pardon, mesdames”, i lawirował w morzu koronek, tiulu i wstążek nie zaczepiając nawet o piórko. W końcu okręcił swą damę tak gwałtownie, że widać było przez chwilę jej szczupłe nóżki w ażurowych pończoszках, a tren roztoczył się jak wachlarz i nakrył Kriwinowi kolana. Korsuński skłonił się, wyprostował wygorsowaną pierś i podał ramię Kitty, aby ją zaprowadzić do Anny. Kitty, zarumieniona, zdjęła tren z kolan Kriwina i czując lekki zawrót głowy obejrzała się

szukając oczyma pani Karenin. Anna nie była w sukni lila, jak tego pragnęła Kitty, ale w czarnej, głęboko- wyciętej aksamitnej toalecie, odsłaniającej jej jakby toczone ze starej kości słońcowej, rozkwitłe ramiona, pierś i okrągłe ręce o szczupłych, drobnutkich dłoniach. Cała suknia była obszyta wenecką gipiurą. Na głowie,, na - czarnych własnych — bez domieszek sztucznych — włosach miała maleńką girlandę z bratków i taką samą girlandę u czarnej wstążki paska, wśród białych koronek. Sama jej fryzura była jakby niedostrzegalna, rzucały się tylko w oczy i zdobiły ją owe kapryśne, króciutkie pierścienie kędzierzawych włosów, stale wymykających się na kark i na skronie. Na mocnej, toczonej szyi nosiła sznurek pereł.

Kitty widywała Annę codziennie, była w niej zakochana i wyobrażała ją sobie koniecznie w sukni lila, teraz jednak, ujrawszy ją w czarnej sukni, przekonała się, że nie miała dotąd pojęcia o całym uroku Anny. Zobaczyła ją teraz zupełnie inną, niż się spodziewała. Zrozumiała teraz, że Anna nie mogła być w sukni lila. Urok Anny na tym właśnie polegał, że zaćmiewała swą własną toaletę, tak że ta stawała się na niej jakby niewidoczna. Tej czarnej sukni ze wspaniałymi koronkami również nikt nie dostrzegał, tworzyła jedynie ramę; widać było tylko samą Annę, naturalną, prostą, wykwinaną, a zarazem wesołą i ożywioną.

Stała trzymając się jak zawsze niezwykle prosto i w chwili gdy Kitty zbliżyła się do ich gromadki, rozmawiała z panem domu, z lekka zwracając ku niemu głowę.

— Nie, nie rzucę kamieniem — odpowiadała mu na coś — chociaż nie rozumiem tego — wzruszyła ramionami i w tej chwili z czule opiekuńczym uśmiechem zwróciła się do Kitty. Zmierzywszy pobieżnym kobiecym spojrzeniem jej toaletę, zrobiła głową ruch prawie niedostrzegalny, lecz dla tamtej zrozumiały: była to pochwała jej stroju i urody. — Pani nawet na salę wchodzi tańcząc — zauważyła.

— To jedna z moich najbardziej niezawodnych pomocnic — rzekł Korsuński, ukłonem witając Annę, której tego wieczoru jeszcze nie widział. — Księżniczka sprawia, że każdy bal staje się piękny i wesoły. Proszę panią o jedną turę walca! — dodał i skłonił się przed Anną.

— Państwo się znają? — zapytał gospodarz.

— A kogoż my nie znamy? My z żoną — jesteśmy jak zły szeląg: wszyscy nas znają — odpowiedział Korsuński. — Proszę panią o jedną turę walca!

— Jeśli tylko można nie tańczyć, to nie tańczę — odrzekła Anna.

— Ale dzisiaj nie można — odpowiedział Korsuński W tej chwili zbliżył się Wroński.

— Cóż, jeśli nie wolno dziś nie tańczyć, to chodźmy — powiedziała Anna, nie dostrzegając ukłonu Wrońskiego, i szybko położyła rękę na ramieniu wodzireja.

„Dlaczego ona się na niego gniewa?!“ — pomyślała Kitty, dostrzegła bowiem, że Anna rozmyślnie nie odskłoniła się Wrońskiemu. Wroński podszedł do Kitty, przypominając jej o pierwszym kadrylu, i wyraził ubolewanie, że przez cały ten czas nie miał przyjemności jej widzieć. Kitty słuchając go przyglądała się z zachwytem

tańczącej Annie. Była pewna, że Wroński poprosi ją teraz do walca, a gdy tego nie uczynił, spojrzała na niego pytająco. Zaczerwienił się i pośpiesznie skłonił się przed nią; zaledwie jednak objął jej smukłą talię i zrobił pierwszy krok, muzyka nagle umilkła. Kitty spojrzała w twarz Wrońskiego, która była teraz tuż blisko... Długo potem, po kilku latach, to pełne miłości spojrzenie, którym go wówczas obdarzyła i na które on nie odpowiedział, nieznośnym wstydem paliło jej serce.

— Pardon, pardon! Walc, Walc! — zawołał z drugiego końca sali Korsuński i pochwywszy pierwszą napotkaną pannę począł z nią tańczyć.

Wroński przetańczył z Kitty kilka tur walca, po czym Kitty podeszła do matki i zaledwie zdążyła zamienić parę słów z panią Nordston, gdy Wroński znów przyszedł po nią prosząc ją do pierwszego kadryla. Podczas tego tańca nic decydującego sobie nie powiedzieli; toczyła się między nimi urywana rozmowa, to o obojgu Korsuńskich, których Wroński nader zabawnie określał jako miłe czterdziestoletnie dzieci, to o będącym w projekcie teatrze amatorskim. Tylko raz jeden obeszło ją coś żywiej: Wroński zagadnął ją o Lewina — czy jest także tutaj, dodając, że mu się on bardzo podobał. Zresztą Kitty nie spodziewała się nic więcej po kadrylu. Oczekiwała z zamierającym sercem mazura. Zdawało się jej, że wtedy wszystko się rozstrzygnie. Chociaż podczas kadryla nie prosił jej o mazura, nie była zaniepokojona. Pewna, że tego dnia, jak i na poprzednich balach, tańczyć go będzie z Wrońskim, odmówiła pięciu tancerzom oświadczając, że już jest zaangażowana. Aż do ostatniego kadryla bal wydawał się jej czarodziejskim snem, w którym wszystko było radosne: kwiaty, dźwięki i ruchy taneczne. Nie tańczyła tylko wtedy, gdy czuła się zbyt zmęczona i sama prosiła, by jej pozwolono odpocząć.

Tańcząc wszakże ostatniego kadryla z młodzieńcem, który ją nudził, a któremu nie wypadało odmówić, znalazła się vis à vis Anny i Wrońskiego. Kitty nie miała sposobności spotkać się z Anną od przybycia na bal i nagle teraz Anna znów wydała się jej zupełnie nowa i zdumiewająca. Spostrzegła w niej dobrze znane jej samej objawy podniecenia wywołanego przez sukces. Zobaczyła, że Anna upiła się jak winem zachwytem, który sama budziła. Kitty znała to uczucie, pamiętała jego objawy i zauważyła je u Anny. Znała ten migotliwy, zapalający się nagle blask oczu, ten uśmiech radosnego uniesienia, bezwiednie wyginający wargi, ten świadomy wdzięk, tę precyzję i lekkość ruchów.

„Kto jest tego przyczyną? — zadała sobie pytanie. — Wszyscy czy tylko ktoś jeden?” Nie starała się przyjść z pomocą tańczącemu z nią młodzieńcowi, który zgubił wątek rozmowy i nie potrafił go nawiązać — był więc jak na mękach — i na pozór poddając się wesołym, głośnym rozkazom Korsuńskiego, który rzucał tańczące pary to w chaîne, to znów w grand rond, poczęła obserwować, a serce jej ścisnęło się coraz bardziej. „Nie, to nie ogólne uwielbienie tak ją upoiło, ale zachwyty jednego z tancerzy. A ten jeden — czyżby to był on?” Za każdym razem, gdy mówił do Anny, w jej oczach zapalał się radosny błysk, a po czerwonych wargach przelatywał uśmiech szczęścia. Anna jakby usiłowała zapanować nad sobą i nie zdradzić owych objawów radości, lecz nie potrafiła ich ukryć. „A cóż on na to?” Kitty spojrzała na niego i ogarnęło ją przerażenie. To, co jasno jak w zwierciadle odbijało się w twarzy Anny, ujrzała w nim również. Gdzie się podział jego zawsze spokojny, stanowczy sposób bycia i pewna siebie, opanowania mina? Teraz, ilekroć zwracał się do Anny, pochylał nieco głowę, jakby chciał paść przed nią na kolana, a w” spojrzeniu jego nie malowało się nic prócz pokory i obawy. „Nie chcę pani obrazić — zdawało się mówić każde jego spojrzenie — pragnę się jedynie ratować,

lecz nie wiem jak." Twarz jego miała wyraz, jakiego Kitty nigdy dotychczas nie widziała.

Rozmawiali o wspólnych znajomych, mówili o rzeczach najbardziej błahych, lecz Kitty miała wrażenie, że każde wypowiedziane przez nich słowo rozstrzyga losy ich trojga. I rzecz dziwna, chociaż oboje mówili przecież tylko o tym, jak śmieszna jest francuszczyzna Iwana Iwanowicza, i stwierdzali, że Jelecka mogłaby być zrobić lepszą partię, słowa te miały dla nich jakieś szczególne znaczenie. Na pewno czuli to równie dobrze jak Kitty. Bal cały, cały świat — wszystko zasnuwało się w jej duszy gęstą mgłą. Jedynie surową dyscypliną wychowania podtrzymywała ją i zmuszała do wykonywania wszystkiego, czego od niej żądano. Tańczyła, odpowiadała na pytania, rozmawiała, a nawet uśmiechała się... Ale gdy miał się rozpocząć mazur, gdy zaczęto już usuwać krzesła i gdy niektóre pary przeszły z bocznych salonów do dużej sali, ogarnęła ją desperacja i zgroza: odmówiła pięciu tancerzom i teraz została bez partnera. Nie było żadnej nadziei, by ją ktoś poprosił, właśnie dlatego, że miała nazbyt wielkie powodzenie w świecie, i nikomu nawet przez myśl przejść nie mogło, że dotychczas nie ma tancerza. Trzeba było powiedzieć matce, że jest chora, i wrócić do domu. Na to nie starczyło jej sił. Czowała się zdruzgotana.

Odeszła w głąb małego saloniku i osunęła się na fotel. Zwiewna spódniczka jak obłok uniosła się wokół jej' wiotkiej figurki; lewa obnażona, delikatna, szczupła dziewczęca ręka opadła bezsilnie, tonąc w fałdach różowej tuniki; W prawej Kitty trzymała wachlarz i. szybkimi, krótkimi ruchami chłodziła rozpalone policzki. Mimo jednak pozorów motyla, który dopiero co zawisł na źdźble trawy i tylko patrzeć, jak pofrunie na rozwiniętych tęczowych skrzydełkach, rozpacz straszliwa ścisnęła jej serce.

„A może ja się mylę? Może tego wcale nie było?”

I znów uprzytomniła sobie wszystko, czego była świadkiem.

— Kitty, a to co takiego?! — zawołała pani Nordston, która cichutko zbliżyła się po dywanie. — Nic nie rozumiem! Kitty zerwała się z miejsca, dolna jej warga drżała.

— Kitty, nie tańczysz mazura?

— Nie... nie... — wyjąkała Kitty drżącym od łez głosem.

— On przy mnie prosił ją do mazura! — rzekła pani Nordston wiedząc, że Kitty zrozumie, kim są on i ona. — A ona spytała: czy pan nie tańczy z księżniczką Szczerbacką?

— Ach, wszystko mi jedno! — odparła Kitty.

Nikt, prócz niej samej, nie rozumiał jej. sytuacji, nikt nie wiedział, że wczoraj odmówiła ręki człowiekowi, którego może nawet kochała, a odmówiła, gdyż zaufała innemu.

Pani Nordston odszukała Korsuńskiego, który miał być jej tancerzem w mazurze, i kazała mu zaprosić Kitty.

Kitty tańczyła w pierwszej parze i na swoje szczęście nie potrzebowała

rozmawiać, Korsuński bowiem jako wodzirej przez cały czas biegał organizując swoje gospodarstwo. Wroński i Anna siedzieli prawie naprzeciw niej. Widziała ich dobrze swymi oczyma dalekowidza. Widziała ich także z bliska, gdy łączyli się z innymi parami, a im dłużej na nich patrzyła, tym mocniej była przekonana, że spotkała ją klęska. Widziała, że czują się sami w tej pełnej sali. I na twarzy Wrońskiego, zazwyczaj tak stanowczej i pewnej siebie, wciąż widziała ten uderzający wyraz bezradności i pokory; wyglądał jak mądry pies, kiedy coś zbroi. Anna uśmiechała się i uśmiech udzielał się także i jemu Wpadała w zamyślenie — i Wroński poważniał. Jakaś moc nadprzyrodzona przykuwała wzrok Kitty do twarzy Anny. Była zachwycająca w swej skromnej czarnej sukni, zachwycające były jej niezbyt szczupłe, kształtne ręce w bransoletach, zachwycająca — mocna szyja okolona sznurem pereł, zachwycające — faliste, nieco rozrzucone włosy, zachwycające — wdzięczne, lekkie ruchy drobnych stóp i rąk, zachwycająca — ta piękna, dysząca życiem twarz... Ale w tej piękności było coś przerażającego, coś okrutnego.

Kitty zachwycała się pięknnością Anny bardziej niż poprzednio - i cierpiała coraz boleśniej. Czuła się zupełnie zmiażdżona i można to było po niej poznać. Gdy Wroński spotkawszy ją w mazurze spojrzął na nią, nie od razu ją poznał, tak była zmieniona.

— Jaki piękny bal! — odezwał się do niej, byle coś powiedzieć.

— Tak... — odpowiedziała.

W środku mazura, wykonując zawiłą figurę świeżo ułożoną przez Korsuńskiego, Anna stanęła w kole, wybrała dwóch panów, po czym skinęła na jedną z pań i na Kitty. Kitty podeszła patrząc na Annę z lękiem: ta przyjrzała się jej zmrużonymi oczyma, po czym ścisnąwszy jej rękę uśmiechnęła się. Gdy zauważyła, że Kitty odpowiada na jej uśmiech jedynie spojrzeniem pełnym rozpaczy i zdumienia, odwróciła się od niej i zaczęła wesoło rozmawiać z inną damą.

„Tak, jest w niej coś obcego, szatańskiego, ale zachwycającego” — pomyślała Kitty.

Anna nie chciała zostać na kolacji, mimo próśb pana domu.

— Niech pani zostanie — począł nalegać Korsuński i wziął ją pod rękę tak, że rękaw jego fraka zakrył jej nagie ramię. — Jaki ja mam pomysł do kotyliona! Un bijou!

I powoli sunął naprzód, usiłując pociągnąć ją za sobą. Pan domu uśmiechał się z aprobatą.

— Nie, nie zostanę — odpowiedziała Anna z uśmiechem. Pomimo uśmiechu zarówno Korsuński, jak i pan domu zrozumieli ze stanowczego tonu odpowiedzi, że pani Karenin nie zostanie dłużej.

— Nie, i tak już w Moskwie na tym jednym waszym balu tańczyłam więcej niż w Petersburgu w ciągu całej zimy — dodała i obejrzała się na Wrońskiego, który stał obok niej. — Muszę odpocząć przed podróżą.

— Więc pani stanowczo jutro wyjeżdża? — zapytał Wroński.

— Myślę, że tak — odpowiedziała, jakby zdziwiona obcesowością tego pytania; nie mogła wszakże zapanować nad przelotnym uśmiechem, a niepohamowany blask jej oczu sparzył go jak płomień.

Pani Karenin nie została na kolacji i pojechała do domu.

Tak, jest we mnie coś wstrętnego, coś, co odpycha — myślał Lewin idąc pieszo do brata po wyjściu od Szczerbackich. — Bo też wcale się do obcowania z innymi nie nadaję. Pycha — powiadają... Nie, nawet pychy we mnie nie ma. Gdybym miał choć pychę, nie byłbym się znalazł w takiej sytuacji." I Lewin wyobrażał sobie, że Wroński — ów szczęśliwy, dobry, mądry i spokojny młody człowiek — na pewno nigdy w życiu nie był w tak straszliwej sytuacji jak on, Lewin, tego wieczoru. „Tak, jego musiała wybrać, tak być powinno i na nikogo i na nic skarżyć się nie mogę. Sam jestem wszystkiemu winien. Jakim prawem przypuszczałem, że ona zechce połączyć swój los z moim? Któż ja jestem? Czym jestem? Ot, marny człowiek, nikomu i na nic niepotrzebny." Przypomniawszy sobie swego brata Mikołaja i z radością zatrzymał się na tej myśli. „Czyż nie ma on słuszności, że' wszystko na tym świecie jest złe i wstrętne? Wątpię, czyśmy wszyscy sprawiedliwie sądzili i dziś jeszcze sądzimy Mikołaja. Naturalnie, ze stanowiska Prokofija, który go widział w obdartym futrze i pijanego, jest to człowiek godny pogardy; ale ją go znam z innej strony. Znam jego duszę i wiem, że my obaj jesteśmy do siebie podobni. A tymczasem ja, zamiast pojechać na poszukiwanie go, wybrałem się na obiad, a później — tam..." Lewin przystanął i w świetle latarni odczytał adres brata, który miał w pugilaresie, po czym zawołał dorożkę. Jadąc do Mikołaja, przez całą drogę odtwarzał sobie żywo w pamięci wszystkie znane mu wydarzenia z jego życia! Przypomniawszy sobie, jak na uniwersytecie i przez cały rok następny brat, pomimo szyderstw kolegów, żył jak mnich ściśle przestrzegając obrzędów religijnych, nabożeństw, postów i unikając wszelkich uciech, a przede wszystkim kobiet. I potem nagle — jak gdyby wybuchł w nim jakiś paroksyzm — począł się zadawać z najohydniejszymi ludźmi i pogrążył się w najbardziej wyuzdanej rozpuście. Lewin przypomniał sobie historię z chłopcem, którego Mikołaj wziął ze wsi na wychowanie i którego w przystępie złości tak zbił, że wytoczono mu sprawę sądową o okaleczenie.' Przypomniawszy sobie dalej historię z szulerem, do którego Mikołaj przegrał pewną sumę i wystawił mu weksel, a potem zaskarżył go do sądu, dowodząc, że padł ofiarą oszustwa (to były właśnie pieniądze zapłacone następnie przez Sergiusza Koznyszewa), i przypomniał sobie, jak brat spędził kiedyś noc w cyrkule za burdę pijacką. Przypomniawszy sobie jeszcze skandaliczny proces wszczęty z Sergiuszem o rzekome niewypłacenie należnej części spadku po matce, a wreszcie ostatnią sprawkę, kiedy to Mikołaj przyjął jakąś posadę rządową w zachodnich guberniach i tam dostał się pod sąd za pobicie wójta... Wszystko to było wprawdzie niesłychanie obrzydliwe, Lewinowi wszakże nie wydawało się wcale aż tak ohydne, jak się wydawać mogło tym, co nie znali całej historii Mikołaja i nie znali jego serca.

Lewin pamiętał, jak wówczas, gdy Mikołaj przeżywał okres pobożności, postów, mnichów, cerkiewnych nabożeństw, gdy w religii szukał oparcia i hamulca dla swej żywiołowej natury, nie tylko nikt go nie podtrzymał, ale wszyscy, nawet on sam, Konstanty, natrząsali się z niego. Dokuczano mu, przezywano Noem, mnichem; gdy zaś puścił sobie wodze, nikt się nim nie zajął, wszyscy się od niego odsunęli ze

zgrozą i wstrętem.

Lewin czuł, że Mikołaj w najgłębszych pokładach duszy, pomimo całej ohydy swego życia, nie bardziej błądził niż ci, którzy nim pogardzali. Nie z własnej winy urodził się z nieposkromionym charakterem i jakby nieco zacieśnionym umysłem, mimo to zawsze chciał być dobry. „Powie mu wszystko, co myślę, zmuszę, by i on mi wszystko powiedział, i dowiodę mu, że kocham go i rozumiem” — postanowił Lewin zajeżdżając o jedenastej w nocy przed wymieniony w adresie hotel.

— Na piętrze, dwunasty i trzynasty pokój — odrzekł portier na pytanie Lewina.

— Czy jest w domu?

— Zapewne tak:

Drzwi dwunastego numeru były do połowy uchylone, szedł stamtąd wraz ze smugą światła gęsty dym słabego i lichego tytoniu i rozbrzmiewał nie znany Lewinowi głos. Natychmiast jednak poznał, że brat tam jest: usłyszał jego pokastywanie.

Gdy Lewin stanął w progu, nieznamy głos mówił:

— Wszystko zależy od tego, czy się tę sprawę poprowadzi rozumnie i czy się ją dobrze obmyśli.

Konstanty Lewin zajrzał i zobaczył młodego człowieka w kazakinie, z ogromną szopą włosów na głowie. Młoda, z lekka ospowata kobieta, w wełnianej sukni bez mankiecików i kołnierzyka, siedziała na kanapie. Brata nie było widać. Konstantemu serce ścisnęło się z żalu na myśl, że jego brat przebywa w środowisku tak bardzo obcym. Nikt nie usłyszał jego wejścia. Zdejmując kalosze przysłuchiwał się młodemu człowiekowi w kazakinie, który mówił o jakimś przedsiębiorstwie.

- Niech je raz diabli wezmą, te uprzywilejowane klasy — odezwał się Mikołaj pokaśtując. — Masza, pomyśl o kolacji i daj nam wina, jeśli jeszcze jest, a jeśli nie ma, to poślij kogo.

Kobieta wstała, wyszła spoza przepierzenia i zobaczyła Konstantego.

— Jakiś pan, Mikołaju Dmitryczu — powiedziała.

— A do kogo to? — rozległ się zirytowany głos Mikołaja Lewina.

— To ja — odpowiedział Konstanty Lewin ukazując się w pełnym świetle.

— Co za ja? — jeszcze gniewniej powtórzył głos. Słysząc było, jak Mikołaj szybko się zerwał, o coś zawadził,.. I Lewin ujrzał przed sobą na progu ogromną, chudą, przygarbioną postać brata i jego wielkie, jakby wystraszone oczy, postać tak mu znajomą, a jednak zawsze niespodziewaną, schorowaną i dziwaczną.

Był jeszcze bardziej wychudły niż trzy lata temu, gdy ... Konstanty widział go po raz ostatni. Miał na sobie' krótki surdut. I ręce, i szerokie kości wydawały się jeszcze bardziej olbrzymie niż dawniej; włosy przerzedziły się i takie same jak ongi proste wąsy nawisały mu na wargi. Te same dziwne oczy naiwnie patrzyły na wchodzącego.

— Aa... Kostia! — zawołał poznając brata i w oczach jego zabłysła radość. W tejże jednak chwili obejrzał się na młodego człowieka i zrobił tak dobrze znany

Konstantemu kurczowy ruch głową i szyją, jak gdyby krawat go uwierał, i na jego wychudłej twarzy ukazał się zupełnie inny wyraz: dziki, bolesny i okrutny.

— Pisałem przecie do ciebie i do Sergiusza, że was nie znam i znać nie chcę. Czego chcesz? Czego chcecie?

Był całkiem nie taki, jakim go sobie wyobrażał Konstanty, który myśląc o nim nie pamiętał najtrudniejszych i najprzykrzejszych cech jego charakteru, tak bardzo utrudniających wszelkie z nim obcowanie. Uprzytomnił sobie to wszystko teraz, gdy zobaczył jego twarz, a zwłaszcza owo kurczowe kręcenie głową.

— Nic — odrzekł nieśmiało. — Przyjechałem po prostu, żeby cię zobaczyć.

Nieśmiałość brata ułagodziła widocznie Mikołaja. Usta mu drgnęły.

— Więc to tak?... — powiedział. — No, to wejdz i siadaj. Będziesz jadł kolację? Masza, przynieś trzy porcje. Nie, poczekaj... Czy wiesz, kto to jest? — zapytał brata wskazując młodzieńca w kazakinie. — To pan Kricki, mój przyjaciel jeszcze z Kijowa, bardzo niepospolity człowiek. Oczywiście, policja prześladowuje go, ponieważ nie jest fajdakiem.

I wedle swego zwyczaju, obrzucił wzrokiem wszystkich obecnych w pokoju. Widząc, że kobieta stojąca we drzwiach zbiera się do wyjścia, krzyknął: „Zaczekaj, mówiłem ci przecież”, i nieumiejętnie, z dobrze Konstantemu znanym przeskakowaniem z tematu na temat, począł oglądając się na wszystkich opowiadać mu historię Krickiego: jak go wypędzono z uniwersytetu za założenie stowarzyszenia pomocy ubogim studentom oraz szkół niedzielnych, jak później został nauczycielem w szkole ludowej i jak go stamtąd wydalono; jak go potem sądzono za coś;..

— Pan był na uniwersytecie kijowskim? — zapytał Konstanty Lewin Krickiego, aby przerwać kłopotliwe milcze nie, które na chwilę zapadło.

— Tak, na kijowskim — odburknął zasepiony Kricki.

— A ta kobieta — przerwał mu Mikołaj Lewin wskazując na nią — to towarzyszka mego życia, Maria Nikołajewna. Wziąłem ją z domu publicznego. — I mówiąc to znowu zrobił gwałtowny ruch szyją. — Lecz kocham ją i szanuję, i wszystkich, którzy chcą mnie znać. — dodał podnosząc głos i marszcząc brwi — bardzo proszę, żeby ją lubili i szanowali. Jest dla mnie jak żona, zupełnie jak żona... Teraz już wiesz, z kim masz do czynienia. A jeśli ci się zdaje, że tobie to przynosi ujmę, to fora ze dwora.

I znów wzrok jego pytająco obiegnął dokoła. .

— Nawet nie rozumiem, dlaczego by mi to miało przynosić ujmę... .

— W takim razie, Masza, każ podać trzy porcje, wódki i wina... Nie, zaczekaj... Nie, nie trzeba... Idź.

Widzisz więc — ciągnął dalej targany nerwowym skurczem Mikołaj marszcząc z wysiłkiem czoło. Widać było, że nie może się zdecydować, co powiedzieć ani co zrobić. — Popatrz... — wskazał w kącie jakieś małe żelazne sztabki związane sznurkami. — Widzisz to? To zaczątek nowego dzieła, do którego przystępujemy. A to dzieło — to stowarzyszenie wytwórcze...

Konstanty prawie nie słuchał. Wpatrywał się w schorowaną, suchotniczą twarz brata i czuł coraz większą litość. Nie mógł się przymusić do słuchania tego, co mu brat opowiadał o stowarzyszeniu, bo widział, że jest to dla Mikołaja tylko kotwica zbawienia, stanowiąca ratunek przed pogardą dla samego siebie. A Mikołaj mówił dalej:

— Wiesz, że kapitał ciemnieży robotnika. Robotnicy, u nas — chłopci, dźwigają cały ciężar pracy, a znajdują się w takich warunkach, że gdyby nie wiem jak harowali, nigdy nie będą mogli wydobyć się ze swego bydlęcego położenia. Wszystkie zyski z pracy zarobkowej, za które mogliby polepszyć swą dolę, pozwolić sobie na odpoczynek, a co za tym idzie na kształcenie się, wszystkie nadwyżki zabierają kapitaliści, Obecny ustrój społeczny tak się ułożył, że im ciężej oni będą pracowali, tym bardziej będą się bogacili kupcy i właściciele ziemscy, oni zaś pozostaną zawsze bydlętem roboczym. Trzeba zmienić ten porządek rzeczy — zakończył i pytająco spojrzął na brata.

— Tak, naturalnie — odpowiedział Lewin przypatrując się rumieńcom, które wystąpiły na twarzy Mikołaja poniżej wystających kości policzkowych.

— Zakładamy więc spółdzielnię ślusarską, gdzie i wytwórczość, i zyski, a co najważniejsze, narzędzia pracy — wszystko będzie wspólną własnością— A gdzie ją zakładacie? — zapytał Konstanty. — We wsi Wozdriemie, w guberni kazańskiej.

— Ale dlaczego na wsi? Po wsiach, zdaje się, i tak jest dużo pracy. Na co wiosce spółdzielnia ślusarska?

— A na to, że chłopci są obecnie takimi samymi niewolnikami, jakimi byli dawniej, i dlatego to właśnie tobie i Sergiuszowi Iwanyczowi jest niemiło, że ktoś chce ich z tego niewolnictwa wyzwolić — odparł Mikołaj Lewin, podrażniony sprzeciwem.

Konstanty westchnął oglądając tym czasem pokój, ciemny i brudny. Westchnienie to zdało się jeszcze bardziej rozjątrzać Mikołaja.

— Znam ja te wasze, twoje i Sergiusza, arystokratyczne poglądy. Wiem, że on całą siłę swego rozumu oddaje na usprawiedliwienie istniejącego zła.

— Ależ nie, a zresztą, co tu ma do rzeczy Sergiusz? — z uśmiechem wtrącił Konstanty.

— Sergiusz? A właśnie że ma! — wykrzyknął nagle Mikołaj Lewin na wspomnienie Sergiusza. — Właśnie on!... Zresztą, co tu gadać... Jedno tylko... Po coś ty do mnie przyszedł? Gardzisz tym — pięknie, idźże więc sobie z Bogiem, idź!

— krzyczał Mikołaj zrywając się z krzesła. — Idź, idź!

— Ależ ja bynajmniej nie gardzę — nieśmiało perswadował Konstanty. — Przecież ci nawet nie przeczę.

W tej chwili powróciła Maria Nikołajewna; Mikołaj obejrzał się na nią gniewnie. Podeszła spiesźnie do niego i coś mu zaczęła szeptać.

— Jestem niezdrów, łatwo się irtuję — rzekł Mikołaj uspokajając się i ciężko dysząc. — Po co zresztą mówisz mi o Sergiuszu i o jego artykule. To takie brednie, takie łgarstwa, takie zakłamanie. Co może napisać o sprawiedliwości człowiek, który nie ma o niej pojęcia? Czytał pan ten artykuł? — zwrócił się do Krickiego, znów siadając za stołem i chcąc zrobić miejsce odsunął na bok do połowy nabite papierosy.

— Nie czytałem — ponuro odburknął Kricki nie mając widocznie ochoty brać udziału w rozmowie.

— Dlaczego? — zapytał rozdrażniony z kolei na Krickiego Mikołaj Lewin..

— Dlatego że nie uważam za potrzebne tracić czas na takie, rzeczy.

— Przepraszam, skąd pan wie, że to będzie strata czasu? Dla wielu artykuł ten jest niedostępny, bo nie dorośli do niego. Ale ja — to co innego: przejrzałem jego myśli na wylot i wiem, dlaczego ten artykuł jest słaby.

Wszyscy zamilkli. Kricki powoli wstał i wziął czapkę.

— Nie chce pan zostać na kolacji?... Więc żegnam! Niech pan jutro przyjdzie ze ślusarzem.

Ledwo Kricki wyszedł, Mikołaj uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

— Też do niczego — rzekł.— Już ja to widzę... W tej chwili Kricki stanął znowu we drzwiach i poprosił go na korytarz.

— Cóż tam znowu? — zapytał Mikołaj i wyszedł za nim. Zostawszy, sam na sam z Marią, Lewin zwrócił się do niej:

— Pani od dawna już jest z moim bratem?

Już drugi rok. Zdrowie jego bardzo się pogorszyło: dużo pije — odpowiedziała.

— Pije? Jak" to — pije?

— Wódkę pije, a to mu szkodzi,

— Czy dużo? — spytał Lewin szeptem.

— Tak— odpowiedziała oglądając się lękliwie na drzwi, w których właśnie stanął Mikołaj.

— O czym rozmawialiście? — zagadnął Mikołaj marszcząc brwi i patrząc wystraszonymi oczyma to na niego, to na nią. — O czym?

— Tak, o niczym... — pośpieszył z odpowiedzią zmieszany Konstanty.

— Jeśli nie chcecie powiedzieć, to nie mówcie. A tobie w ogóle z nią rozmawiać nie warto; to dziewczka, a tyś jaśnie pan — mówił z ponownym skurczem szyi. — Jak widzę, wszystko zrozumiałeś i należycie oceniłeś, a teraz z ubolewaniem spoglądasz na moje przewinienia — tu podniósł głos.

— Mikołaju Dmitryczu! Mikołaju Dmitryczu! — szepnęła znowu kobieta podchodząc do niego.

— No, już dobrze, dobrze!... I cóż z tą kolacją?... Otóż i ona — dodał na widok lokaja, który wszedł z tacą. — Tu, tutaj postaw — zawołał gniewnie i natychmiast sięgnął po wódkę, napełnił kieliszek i chciwie wypił. — Chcesz? Napij się! — zwrócił się do brata, od razu rozweselony. — No, dość już o tym Sergiuszu. Mimo wszystko cieszę się, że cię widzę. Co tu gadać, bądź co bądź nie jesteśmy sobie obcy. No, wypijże! Opowiedz, co porabiasz? — ciągnął dalej, żując łapczywie kawałek chleba i nalewając sobie drugi kieliszek. — Jak ci się powodzi?

— Mieszkam sam jeden na wsi, tak jak dawniej: gospodaruję — odparł Konstanty, z przerażeniem przyglądając się żarłoczności, z jaką Mikołaj jadł i pił, i starając się nie okazać, że go obserwuje.

— Czemu się nie żenisz?

— Jakoś się nie złożyło — zaczerwienił się Konstanty.

— Dlaczego?! Ze mną koniec! Zmarnowałem życie. Powiedziałem to już i raz jeszcze powtarzam, że gdybym był dostał moją część wtedy, gdy mi była potrzebna, całe moje życie inaczej by wyglądało.

Konstanty pospiesznie zmienił temat rozmowy.

— Czy wiesz, że twój Waniuszka jest oficjalistą u mnie w Pokrowskiem? — zapytał.

Szyja Mikołaja znów spazmatycznie drgnęła. Zamyślił się. — Opowiedzże mi, co tam słychać w Pokrowskiem. Czy dom zawsze stoi na dawnym miejscu i brzozy, i nasz pokój do nauki? A ogrodnik Filip czy jeszcze dotąd żyje? Tak dobrze przypominam sobie altankę i kanapę!... Pamiętaj, tylko nic nie zmieniaj w domu, żeń się czym prędzej i znów wprowadź to wszystko, co dawniej było. Wtedy do ciebie przyjadę, o ile będziesz miał dobrą żonę.

— Jedź do mnie najlepiej zaraz — zapraszał Konstanty. — Dopiero byśmy tam sobie życie dobrze urządzili!

— Przyjechałbym, gdybym był pewien, że nie będzie tam Sergiusza.

— Nie będzie go na pewno. Mieszkamy zupełnie osobno.

— Dobrze, ale tak czy owak musisz wybrać pomiędzy mną a nim — powiedział Mikołaj, zaglądając bratu nieśmiało w oczy.

Nieśmiałość ta wzruszyła Konstantego.

— Skoro chcesz, żebym szczerze wyznał, co o tym sędzę, to powiem ci, że w tej waszej kłótni z Sergiuszem nie stoję ani po jego, ani po twojej stronie. Żaden z was nie ma racji. Ty raczej zewnątrz, on zaś —, wewnątrz.

— A więc zrozumiałeś to, zrozumiałeś?! — zawołał z radością Mikołaj.

— Jednak osobiście, jeśli chcesz wiedzieć, bardziej cenię przyjaźń z tobą, dlatego...

— Dlaczego? Dlaczego?

Konstanty nie mógł powiedzieć bratu, że dlatego ją bardziej ceni, ponieważ Mikołaj jest nieszczęśliwy i potrzeba mu przyjaźni. Mikołaj jednak zrozumiał to i ze ściągniętymi brwiami zabrał się znów do wódki.

— Dostyc już, dostyc, Mikołaju Dmitryczu! — odezwała się Maria Nikołajewna wyciągając pulchną, obnażoną rękę po karafkę.

— Puść! Odczep się, bo cię zbiję! — wykrzyknął Mikołaj.

Maria Nikołajewna uśmiechnęła się łagodnym, dobrotliwym uśmiechem, który udzielił się również Mikołajowi, i zabrała wódkę.

— Ty może myślisz, że ona nic nie rozumie? — rzekł Mikołaj. — Rozumie to wszystko lepiej niż my -wszyscy. Prawda, że jest w niej coś dobrego i miłego?

— Pani nigdy dotąd nie była w Moskwie? — zapytał Konstanty nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Nie mówże do niej pani. Ona się tego boi. Nikt nigdy nie mówił do niej pani oprócz sędziego pokoju, gdy miała sprawę o to, że chciała opuścić dom publiczny. Mój Boże, jaki bezsens panuje na świecie! — zawołał nagle Mikołaj. — Te wszystkie nowe instytucje, te sądy pokoju, to ziemstwo — co za potworność!

I zaczął opowiadać o swych zatargach z nowymi instytucjami.

Konstanty Lewin słuchał, ale mimo że sam podzielał to zdanie i nieraz je wypowiadał, raziła go teraz, że brat odmawia racji bytu wszystkim instytucjom społecznym.

— Zrozumiemy to wszystko na tamtym świecie — rzekł żartobliwie.

— Na tamtym świecie? Ach, jak ja nie lubię tamtego świata! Nie lubię — mówił Mikołaj wpatrując się przestraszonymi, dzikimi oczyma w twarz brata. — Zdaje się człowiekowi, że dobrze byłoby uciec od całego tego paskudztwa, tej gmatwaniny swojej i cudzej, a jednak ja się boję śmierci, boję się jej straszliwie — wzdrygnął się. — Ale wypijże coś! Może chcesz szampana? Albo lepiej jedźmy gdziekolwiek? Jedźmy do Cyganów! Wiesz, bardzo polubiłem Cyganów i rosyjskie pieśni!

Język zaczął mu się plątać. Wciąż przeskakiwał z tematu na temat. Konstanty i Masza ledwo zdołali go namówić, by nigdzie nie jechał. Położyli go w końcu całkiem pijanego do łóżka.

Masza przyrzekła Lewinowi, że napisze w razie potrzeby i że będzie namawiała Mikołaja, by przeniósł się na stałe do niego na wieś.

Nazajutrz rano Konstanty Lewin wyjechał z Moskwy i pod wieczór był już w domu. Po drodze, w wagonie, rozmawiał z sąsiadami o polityce, o nowych kolejach żelaznych i tak samo jak w Moskwie, przez cały czas gnębiła go gmatwanina myśli, niezadowolenie z siebie i nieokreślony wstyd... Ale kiedy wysiadł na swojej stacji i zobaczył stangreta, ślepego na jedno oko Ignata, z podniesionym u burki kołnierzem, gdy ujrzał w przyćmionym świetle, padającym z okien stacji, swoje wystane dywanem sanie i konie o podwiązanych ogonach, w uprzęży z kóteczkami i frędzlą, gdy stangret Ignat wkładając rzeczy do sanek opowiedział mu wszystkie wiejskie nowiny: że przychodził przedsiębiorca, i że Pawa się ociełiła — Konstanty poczuł, jak powoli cały zamęt zaczyna się w nim układać, a wstyd i niezadowolenie z siebie mijają. Poczucie to już na sam widok Ignata i koni; lecz gdy włożył przywieziony z domu kozuch, gdy dobrze nim opatulony wsiadł do sanek i ruszyli, to wówczas namyślając się nad dyspozycjami, jakie wypadnie wydać w domu, i coraz to spoglądając na przyprzężonego konia (był to doniec, dawny wierzchowiec, zerwany, ale jeszcze pełen ognia), zgoła inaczej począł się zapatrywać na to, co go spotkało. Czuł się sobą i innym być nie chciał. Pragnął teraz tylko stać się lepszym niż dotychczas. Po pierwsze, postanowił odtąd nie liczyć już więcej na jakieś nadzwyczajne szczęście, które mógłby mu dać ożenek, i — co za tym idzie — nie lekceważyć tak teraźniejszości. Po drugie, nigdy już nie pozwoli się porwać niskim popędem, których wspomnienie tak go dręczyło, gdy miał się oświadczyć. Potem pomyślał o Mikołaju i postanowił, że nigdy już o nim nie zapomni, że będzie zawsze czuwał nad nim, by móc pośpieszyć mu z pomocą, gdy z nim będzie źle. Czuł zaś, że to stać się może już niedługo. Wreszcie słowa brata o komunizmie, które Lewin wówczas tak lekko potraktował, teraz skłoniły go do namysłu. Przebudowę warunków ekonomicznych uważał za niedorzeczność, zawsze jednak, ilekroć porównywał własny dostatek z nędzą ludu, miał świadomość, że jest to niesprawiedliwe. Postanowił sobie teraz, że dla zdobycia całkowitego spokoju sumienia będzie jeszcze więcej pracował niż dotychczas, a żył jeszcze mniej zbyt kownie, chociaż zawsze pracował ciężko i nie pozwalał sobie na żadne zbytki. Wszystko to wydawało się Konstantemu tak łatwe do osiągnięcia, że cała droga zeszła mu na najprzyjemniejszych marzeniach. Pełen otuchy i nadziei na nowe, lepsze życie, o dziewiątej wieczór zajechał przed dom.

Z okien pokoju Agafii Michajłowny, starej niani piastującej obecnie godność klucznicy, padało światło na zaśnieżony placyk przed domem. Agafia jeszcze nie spała. Obudzony przez nią Kuźma, zaspany i bosy, wybiegł na ganek. Wyżlica Łaska o mało nie przewróciwszy Kuźmy wypadła także; skowycząc ocierała się o kolana Lewina i stawiała na tylne łapy; chciała położyć przednie na piersi pana, lecz nie miała odwagi.

— Coś prędko, synku, wróciłeś — witała go Agafia.

— Znudziło mi się, nianiu! W gościnie dobrze, ale najlepiej w domu — odpowiedział Konstanty i przeszedł do gabinetu.

Wniesiona świeca z wolna oświetliła pokój. Wystąpiły z mroku znajome szczegóły: jelenie rogi, półki z książkami, błyszcząca powierzchnia pieca z juszka, którą od dawna należało naprawić, ojcowska jeszcze kanapa, wielki stół, na nim otwarta książka, nadtłuczona popielniczka, zeszyt zapisany jego własnym pismem. Gdy Lewin ujrzał to wszystko, na chwilę opadło go z wątpienie, czy zdoła rozpocząć to nowe życie, o którym marzył przez drogę. Wszystkie te ślady jego dotychczasowego bytowania jak gdyby osaczały go i mówiły: „Nie, nie uciekniesz od nas i nigdy nie będziesz inny; na zawsze pozostaniesz taki, jaki byłeś dotąd, z tymi wątpliwościami, z wiecznym niezadowoleniem z siebie, z daremnymi próbami poprawy i upadkami oraz wiecznym oczekiwaniem szczęścia, którego nie osiągnąłeś i które jest dla ciebie niemożliwe.”

Tak przemawiały wszakże tylko należące do niego przedmioty, inny zaś, wewnętrzny, głos, twierdził, że nie należy poddawać się przeszłości i że człowiek wszystko może ze sobą zrobić. Posłuszny temu głosowi, poszedł do kąta, gdzie leżały dwa pudowe odważniki, i aby się rozruszać, zaczął się gimnastykować. Za drzwiami zaskrzypiały czyjeś kroki; Lewin szybko postawił odważniki na miejsce.

Wszedł rządca i oznajmił, że — Bogu dzięki — wszystko w porządku, ale dodał, że gryka przypaliła się w .nowej suszarni. Wiadomość ta zirytowała Lewina. Sam postawił nową suszarnię, częściowo według własnego pomysłu. Rządca był temu zawsze przeciwny, i teraz ze skrytym triumfem oznajmił, że gryka się przypaliła. Lewin natomiast był głęboko przekonany, że jeśli się przypaliła, to tylko dlatego, ponieważ nie zastosowano środków ostrożności, które on setki razy kazał stosować. Rozgniewał się i począł robić rządcy wymówki. Zaszło za to inne, radosne wydarzenie: ociełiła się Pawa, kupiona drogo- na wystawie, najlepsza w majątku krowa.

— Kuźma, podaj no mi kozuch. A pan niech każe wziąć latarnię, pójdę zobaczyć — rzekł Lewin do rządcy.

Obara przeznaczona dla najkosztowniejszych krów była tuż obok dworu. Przeszedłszy przez podwórze Lewin ominął zaspę śnieżne koło - krzaków bzu i znalazł się przed oborą. Skoro tylko otworzyły się przymarzniałe wrota, wionęto stamtąd ciepłym oparem nawozu; krowy, zdziwione niespodziewanym światłem latarni, poruszyły się na, świeżej słomie. Mignął gładki, czarno-biały, szeroki grzbiet holenderki. Byk Berkut ze swym kółkiem w nozdrzach zamierzał się podnieść, ale rozmyślił się i tylko dwukrotnie sapnął, gdy koło niego przechodzili. Pawa, czerwona piękność ogromna jak hipopotam, odwrócona zadem, obwąchiwała cielaka zasłaniając go przed wchodzącymi.

Lewin wszedł do przegrody, obejrzał Pawę i podniósł czerwono-łacieate cielő pomagając mu stanąć na długich, chwiejnych nogach. Zaniepokojona Pawa "ryknęła, lecz uspokoiła się, skoro tylko Lewin przysunął do niej ciołkę, i ciężko westchnąwszy znów zaczęła ją lizać szorstkim jęzorem. Ciołka szukając wymienia szturchała matkę pyskiem w pachwinę i kręciła ogonkiem.

— Fiodor, poświeć no tutaj, dawaj latarnię — wołał Lewin oglądając ciołkę. — Wdała się w matkę, mimo że maść wzięła po ojcu. Bardzo ładna. Długa i rozłożysta.

Prawda, że ładna, Wasiliju Fiodorowiczu? — zwrócił się do rządcy wybacząc mu całkiem grykę, tak był ucieszony z cielęcia.

— Po kimże miałyby być brzydka? Siemion, przedsiębiorca, przychodził tu nazajutrz po wyjeździe pana dziedzica: trzeba się będzie z nim ułożyć — powiedział rządcą. — O maszynie już poprzednio mówiłem.

Już ta jedna sprawa przypomniała Lewinowi o wszystkich szczegółach dużego i skomplikowanego gospodarstwa; z obory skierował się więc prosto do kancelarii, a po rozmowie z rządcą i przedsiębiorcą Siemionem wrócił do dworu i poszedł od razu na górę do bawialni.

Dwór był duży, staroświecki, i Lewin, chociaż mieszkał sam, opalał go i zamieszkiwał w całości. Wiedział, że tak robiąc postępuje nie tylko niemądrze, ale i źle, że to sprzeciwia się jego obecnym postanowieniom, lecz dom ten był dla niego całym światem, tym światem, w którym żyli i umarli jego rodzice. Ci zaś żyli życiem, które wydawało mu się ideałem wszelkiej doskonałości i które w marzeniach pragnął rozpocząć na nowo z własną żoną, własną rodziną.

Lewin ledwie pamiętał matkę. Obraz jej był dla niego świętym wspomnieniem i jego przyszła żona winna była, w jego pojęciu, być wiernym powtórzeniem tego uroczego, świętego ideału kobiety, jakim była dla niego matka.

Nie tylko nie mógł sobie wystawić miłości do kobiety poza małżeństwem, ale wyobrażał sobie przede wszystkim rodzinę, a dopiero później kobietę, która mu tę rodzinę miała stworzyć. Stąd poglądy jego na małżeństwo w niczym nie przypominały poglądów większości jego znajomych, dla których małżeństwo było tylko jedną z wielu powszednich spraw. Dla Lewina było ono sprawą główną, od której zależało całe szczęście jego życia. I oto teraz musiał się go wyrzec!...

Gdy wszedł do saloniku, gdzie zawsze pijał herbatę, i usiadł z książką w fotelu, gdy Agafia przyniosła mu herbatę i ze zwykłym: „A ja sobie siądę, serce”, usiadła na krześle pod oknem, Lewin stwierdził, że — jakkolwiek się to mogło wydawać dziwne — nie wyrzekł się swych marzeń i bez nich żyć nie może. Z nią czy też inną — ale to się stać musi. Czytał książkę, zastanawiał się nad jej treścią, od czasu do czasu przerywał czytanie, by posłuchać, co mówi Agafia, która gawędziła bez przerwy, a jednocześnie wyobrażnia podsuwała mu różne niepowiązane ze sobą obrazy, których treścią było gospodarstwo i przyszłe rodzinne życie. Czuł przy tym, jak mu się głęboko w duszy coś ustala i harmonijnie układa.

Lewin słuchał, co opowiadała Agafia o Prochorze, który Boga się nie boi: za pieniądze, podarowane mu przez Lewina na kupno konia, bez przerwy pije, a żonę zbił prawie na śmierć... Słuchał, czytał i przypominał sobie całą kowitę przebieg myśli powstałych pod wpływem tej książki. Była to dysertacja Tyndalla o ciepłe. Przypomniało się Lewinowi, jak nieraz krytykował chełpienie się Tyndalla ze zręczności, z którą ten wykonywał swoje doświadczenia, i jak zarzucał mu brak filozoficznego poglądu na świat. I nagle z tych medytacji wynurzały się radosne myśli: „Za dwa lata będę miał w stadzie dwie holenderki (sama Pawa zapewne będzie jeszcze żyła), dwanaście młodych jałówek po Berkucie, a na pokaz można będzie dodać także i tamte trzy... Cudownie!” Zabrał się znów do książki. „Dobrze więc, elektryczność i ciepło to jedno i to samo, ale czy można w równaniu, chcąc rozwiązać zadanie, podstawić jedną wielkość zamiast drugiej? Nie można. I cóż' z tego? Łączność między wszystkimi siłami przyrody tak czy owak wyczuwamy instynktem... Jakie to będzie niesłychanie przyjemne, kiedy córka Pawy stanie się już czerwono-łacią krową i całe stado, do którego doda się jeszcze tamte trzy... Znakomicie! Wyjdzie się wtedy z żoną i gośćmi naprzeciw powracającego stada... Żona powie: — Kostia i ja pielęgnowaliśmy tę cieliczkę jak dziecko. — Że też panią

to tak interesuje — zdziwi się gość. — Wszystko, co jego zajmuje, zajmuje i mnie! — Ale kim będzie ta ona?" I Lewin przypomniał sobie wszystko, co go w Moskwie spotkało. „Cóż robić?!... To nie moja wina. Ale teraz wszystko pójdzie innym trybem. To głupstwo, że życie na to nie pozwoli lub że przeszłość stanie na przeszkodzie. Trzeba się z całych sił postarać, by żyć lepiej, daleko lepiej...” Podniósł głowę i zamyślił się. Stara Łaska, która nie całkiem się jeszcze oswoiła z powrotem pana i wybiegła, aby poszczekać na dworze z radości, wróciła teraz do pokoju merdając ogonem i wnosząc ze sobą zapach powietrza. Zbliżyła się do Lewina, wsunęła łeb pod jego rękę i żalnym skomleniem domagała się, aby ją pogłaskał.

Tyle tylko, że nie gada — odezwała się Agafia Michajłowna. — Choć to pies... Rozumie, że jej pan przyjechał i że markotno mu.

— Dlaczego markotno?

— Alboż to ja nie widzę, paniczu? Czy to ja nie znam panów? Od małego u państwa się chowałam. Nic to, nic, paniczu... Aby tylko zdrowie było dobre i sumienie czyste.

Lewin przypatrywał się jej uważnie, dziwiąc się, że tak odgadła jego myśli.

— No co, może przynieść jeszcze herbaty? — spytała i wzięwszy filiżankę wyszła.

Łaska ciągle podsuwała pysk pod jego dłoń. Pogłaskał ją, a ona zwinęła się w kółko u jego nóg, opierając łeb na wysuniętej tylnej łapie. Na znak, że teraz wszystko już jest dobrze i w porządku, otworzyła z lekka pysk, cmoknęła, ułożyła wygodniej lepkie wargi wkoło, starych zębów i zamarła w błogim spokoju. Lewin z uwagą obserwował ten jej ruch.

— Zupełnie jak ja! — powiedział sobie. — Zupełnie jak ja! Co tam!... Dobrze jest!

W czesnym rankiem po balu Anna Arkadiewna zatelegrafowała do męża, że tego samego dnia wyjeżdża z Moskwy.

— Nie, ja muszę jechać, muszę — tłumaczyła bratowej zmianę swych projektów w taki sposób, jak gdyby nagle przypomniała sobie, że w domu czeka na nią niezliczona ilość ważnych spraw. — Nie, już lepiej dzisiaj!

Stiepan Arkadjicz nie był w domu na obiedzie, ale przyrzekł, że wróci na siódmą, by odprowadzić siostrę.

Kitty również nie pokazała się, przysłała tylko bilecik, że ją boli głowa. Dolly i Anna jadły obiad same, z dziećmi i Angielką. Czy dlatego, że dzieci bywają zmienne, czy że są bardzo wrażliwe i wyczuły od razu, że Anna jest dziś nie ta sama co wówczas, gdy ją tak pokochały, i nie zwraca już na nie uwagi — dość, że nagle przestały się bawić z ciocią, miłość ich ostygła i zupełnie nie interesowały się jej wyjazdem. Anna przez cały ranek była zajęta przygotowaniem do podróży: pisała liściki pożegnalne do znajomych, notowała wydatki i pakowała rzeczy. Dolly w ogóle miała wrażenie, że Anna straciła pogodę ducha i że opanował ją ten rodzaj zatroskania, który — jak Dolly dobrze wiedziała z własnego doświadczenia — nigdy nie zjawia się bez powodu, a przeważnie pokrywa niezadowolenie z siebie. Po obiedzie Anna udała się do swego pokoju, aby się przebrać, a Dolly poszła za nią.

— Jakaś ty dzisiaj dziwna! — zauważyła.

— Ja? Tak ci się zdaje? Nie jestem dziwna, tylko — zła. To mi się czasem zdarza. Chce mi się ciągle płakać! To bardzo niemądre, ale prędko mija — pośpiesznie odpowiedziała Anna i pochyliła zarumienioną twarz nad miniaturową torebką, do której wkładała swój nocny czepeczek i batystowe chustki do nosa. Oczy jej płonęły niezwykłym blaskiem, a łzy stawały w nich co chwila. — Tak nie chciałam wyjeżdżać z Petersburga, a teraz znów stąd mi się wyjechać nie chce.

— Przyjechałaś i spełniłaś dobry uczynek — rzekła Dolly wpatrując się badawczo w szwagierkę.

Anna podniosła na nią wilgotne od łez oczy.

— Nie mów tego, Dolly! Nic nie zrobiłam ani zrobić nie mogłam. Często dziwię się, czemu Judzie jakby się zmówili, by mnie psuć... Cóż ja takiego zrobiłam i co mogłam zrobić? Znalazłaś w sercu dosyć miłości, by przebaczyć...

— Gdyby nie ty, Bóg wie, czym by się to skończyło! Jakaś ty szczęśliwa, Anno: w tobie wszystko jest czyste i jasne!

— Każdy ma w duszy swoje skeletons, jak powiadają Anglicy.

— Cóż ty masz za skeletons?! U ciebie wszystko jest takie przejrzyste.

— A jednak mam! — odpowiedziała nagle Anna niespodzianie i ledwo otarła łzy, uśmiechnęła się wesoło i przebiegle.

— Widzę, że twoje skeletons nie są ponure, tylko zabawne — zauważyła z

uśmiechem Dolly.

— Przeciwnie, ponure. Czy ty wiesz, dlaczego wyjeżdżam dzisiaj, a nie jutro? Otóż wyznam ci, bo mnie to gnębi — powiedziała Anna, stanowczym ruchem zagłębiając się w fotel i patrząc bratowej prosto w oczy.

Ku zdziwieniu Dolly, Anna zarumieniła się przy tym aż po skronie, aż po czarne faliste sploty spadające na szyję.

— Tak mówiła dalej. — Czy wiesz, dlaczego Kitty nie przyjechała na obiad? Jest o mnie zazdrosna. Ja popsułam... ja byłam przyczyną, że ów bal przyniósł jej zamiast radości cierpienie. Ale doprawdy, doprawdy, wcale nie jestem winna, albo winna bardzo niewiele — powiedziała przeciągając cieniutko wyrazy „bardzo niewiele”.

— Jakaś ty to powiedziała! Zupełnie jak Stiwa! — roześmiała się Dolly.

Anna poczuła się dotknięta.

— O nie, o nie! Ja nie jestem Stiwa — odrzekła marszcząc brwi. — Dlatego ci to mówię, że nawet przez chwilę nie zgodziłabym się na to, żeby wątpić o sobie.

Lecz w chwili gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że nie są zgodne z prawdą; nie tylko bowiem powątpiewała o sobie, ale myśl o Wrońskim wywoływała w niej niepokój; przyśpieszyła nawet, wyjazd, żeby się z nim więcej nie spotkać.

— Tak, Stiwa mówił mi, że tańczyłaś z nim mazura i że on...

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak to się zabawnie złożyło. Miałam tylko zamiar swatać i nagle wywiązało się... zupełnie coś innego. Może niechcący...

Zarumieniła się i urwała.

— O!... Oni od razu to wyczuwają! — zaczęła Dolly.

— Ale ja doprawdy byłabym w rozpacz, gdyby z jego strony było w tym coś poważniejszego — przerwała jej Anna. — I jestem przekonana, że wszystko to pójdzie w niepamięć i że Kitty przestanie mnie nie cierpieć.

— Zresztą, Anno, prawdę mówiąc, nie bardzo sobie życzę tego małżeństwa dla mojej siostry i lepiej, żeby się ono rozchwiało, skoro Wroński mógł zakochać się w tobie w ciągu jednego dnia.

— Ach, mój Boże, to byłoby takie głupie! — zawołała Anna i znów mocny rumieniec radości wystąpił na jej policzki, gdy usłyszała wypowiedzianą w słowach myśl, która ją pochłaniała. — Wyjeżdżam więc, zyskawszy wroga w Kitty, a tak bardzo ją polubiłam. Jakaż ona przemiła! Ale ty, Dolly, naprawisz to? Prawda?

Doiły ledwie mogła powstrzymać uśmiech. Kochała Annę, lecz było jej przyjemnie przekonać się, że i ona ma swoje słabostki.

— Wroga? To niemożliwe!

— Tak bardzo pragnę, byście mnie wszyscy kochali tak, jak ja was kocham, a teraz jeszcze bardziej pokochałam! — zawołała Anna ze łzami w oczach. — Mój Boże, jaka ja dzisiaj jestem głupia!

Przesunęła chustką po twarzy i zaczęła się ubierać.

Tuż przed jej odjazdem zjawił się spóźniony Stiepan Arkadjicz. Miał czerwoną, wesołą twarz i pachniał winem i cygarami.

Tkliwy nastrój Anny udzielił się również Dolly; obejmując po raz ostatni szwagierkę szepnęła:

— Wiedz, Anno, że nie zapomnę nigdy tego, co dla mnie zrobiłaś. Pamiętaj, że cię pokochałam i zawsze będę kochała jak najlepszą przyjaciółkę.

— Naprawdę, nie rozumiem za co — odrzekła Anna całując ją i starając się ukryć łzy.

— Zrozumiałaś mnie i rozumiesz. Żegnaj, moja śliczna!

No, wszystko się skończyło, Bogu dzięki!" — było pierwszą myślą Anny Arkadiewny, gdy po raz ostatni pożegnała brata, który aż do trzeciego dzwonka zagradzał swą osobą przejście w wagonie, Usiadła na swej kanapce obok Annuszki i rozejrzała się w półmroku sypialnego wagonu.

„Bogu dzięki, jutro" zobaczę Sieriożę i męża, i dobre, zwyczajne życie potoczy się po dawnemu."

Nie mogąc się otrząsnąć z niepokoju, który ją tego dnia ustawicznie trapił, Anna mimo to z przyjemnością i systematycznie instalowała się na czas podróży. Małymi, zręcznymi rękami otworzyła i zamknęła czerwoną torebkę; wyjęła z niej poduszeczkę, położyła na kolanach i starannie otuliwszy nogi pledem, wygodnie się usadowiła. Jakaś chora dama już układała się do snu. Dwie inne panie usiłowały nawiązać z Anną rozmowę; otyła starsza jejmość otulała sobie nogi i wypowiadała uwagi o ogrzewaniu wagonów. Anna odpowiedziała tym paniom parę słów i nie spodziewając się po tej konwersacji nic ciekawego, poleciła Annuszce wyjąć latarkę i przymocowała ją do poręczy siedzenia, po czym wydobyła nożyk do przecinania kartek oraz powieść angielską. Zrazu trudno jej było czytać z powodu krzątaniny i ciągłego ruchu w wagonie. Potem, gdy pociąg ruszył, niepodobna było nie przysłuchiwać się jego odgłosom; później rozproszył jej uwagę śnieg, bijący w lewe okno i przylepiający się do szyby, i widok przechodzącego owiniętego po uszy konduktora, który jeden bok miał całkiem obsypany śniegiem, i przeszkadzały rozmowy na temat strasznej zadymki na dworze. Dalej powtarzało się wszystko od nowa: te same wstrząsy i stukot: wagonu, ten sam śnieg bijący w okno, te same nagłe przejścia od parnego upału do zimna, a potem znów do gorąca, to samo majaczenie w półmroku widzianych już twarzy, te same głosy — aż wreszcie Anna zaczęła czytać i rozumieć to, co czytała. Annuszka już drzemała trzymając czerwoną torebkę na kolanach szerokimi dłońmi odzianymi w rękawiczki, z których jedna była podarta. Anna Arkadiewna czytała i rozumiała, ale czytanie, czyli obserwacja życia innych ludzi w odbiciu, nie cieszyło jej; sama miała w sobie zbyt wiele chęci życia. Czytając, jak bohaterka romansu dogląda chorego, Anną sama miała ochotę chodzić cichymi krokami po pokoju pacjenta; czytając o członku parlamentu wygłaszającym "przemówienie, pragnęła sama wypowiedzieć tę mowę; czytając, jak lady Mary konno cwałowała za gończymi, jak dokuczała bratowej i jak zadziwiała wszystkich odwagą, Anna pragnęła czynić to samo. Ponieważ nie było to jednak możliwe, usiłowała czytać, a małe jej ręce bawiły się odruchowo nożykiem.

Bohater powieści zaczynał już osiągać szczyt swego typowo angielskiego szczęścia — tytuł baroneta oraz majątek — i Anna właśnie miała ochotę wybrać się z nim razem do jego posiadłości, gdy nagle poczuła, że właściwie powinien on się wstydzić i że tak samo ona się wstydzi. „Czegóż to on ma się wstydzić? Czemu, i ja się wstydzę?" — spytała sama siebie, urażona i zdziwiona. Porzuciła książkę i zagłębiła się, w fotel, mocno ściskając oburącz nożyk do przecinania kartek. Nie było czego się wstydzić. Anna przebiegła myślą wszystkie swoje wspo. mnienia z

pobytu w Moskwie: wszystkie były dobre i przyjemne. Przypomniała sobie bal, Wrońskiego i jego zakochaną, pokorną twarz, przypomniała sobie wszystko, co między nimi zaszło. Nie było nic, czego by trzeba się wstydić. A jednak w tym właśnie miejscu łańcucha wspomnień uczucie wstydu wzrastało w niej, jak gdyby jakiś wewnętrzny głos szeptał jej na myśl o Wrońskim: „Ciepło!... Bardzo ciepło... Gorąco!!” — „Więc i cóż? — powiedziała sobie z energią, poprawiając się nieco w fotelu. — Co to ma znaczyć? Czyżbym się lękała przyjrzeć temu szczerze? I cóż w tym takiego? Czy między mną a tym oficerkiem istnieje, czy może istnieje jakikolwiek inny rodzaj znajomości niż taki, jaki łączy mnie z każdym znajomym?” Uśmiechnęła się pogardliwie i zabrała się znów do książki, ale teraz już zupełnie przestała rozumieć to, co czytała. Przesunęła nożykiem po szybie, potem przyłożyła jego gładką i chłodną powierzchnię do policzka i omal nie roześmiała się na głos pod wpływem radości, która ją nagle bez powodu ogarnęła. Miała wrażenie, że nerwy jej niby struny napinały się nawijane na jakieś kołeczki, które coraz mocniej przykręcano. Czuła, że oczy jej coraz szerzej się otwierają, że palce u rąk i nóg poruszają się nerwowo, że coś zapiera jej oddech w piersiach i że wszystkie obrazy i dźwięki w tym kołyszącym się półświecie aż ją oślepiają swą niezwykłą wyrazistością. Nieustannie ogarniały ją wątpliwości: czy wagon posuwa się naprzód, czy w tył, czy też stoi w miejscu, czy to Annuszka siedzi koło niej, czy też ktoś obcy? „Co tam wisi: futro czy jakieś zwierzę? I czy to ja jestem tutaj? Ja sama czy ktoś inny?” Bała się poddawać temu majaczeniu, ale coś ją wciągało: mogła dowolnie ulegać albo stawiać opór. Wstała, by się ocknąć, zrzuciła pled i zdjęła z ciepłej sukni pelerynkę. Na chwilę opamiętała się i zdała sobie sprawę, że chudy człowiek w długiej płóciennej bluzie z oberwanym guzikiem to palacz, że spogląda on na termometr i że za nim przez nie domknięte drzwi wtargnął wiatr i śnieg... Potem znowu wszystko się pogmatwało... Ów chłop o zbyt długim tułowiu począł coś gryźć w ścianie; staruszka wyciągnęła nogi przez całą długość wagonu i napełniła go czarnym obłokiem, potem zaś straszliwie zaskrzypiało i stuknęło, jak gdyby kogoś rozdierano na części, czerwony płomień oślepił jej oczy, aż wreszcie wszystko znikło za ścianą. Anna uczuła, że się zapada, wszystko to jednak nie było 'straszne, przeciwnie — radosne. Otulony po uszy i zasypany śniegiem człowiek krzyknął jej coś nad uchem. Wstała, oprzytomniała i zdała sobie sprawę, że dojechano do stacji i że ów człowiek to konduktor. Kazała Annuszce podać sobie zdjętą uprzednio pelerynę oraz chustkę, włożyła je i skierowała się ku drzwiom. — Jaśnie pani wychodzi? — spytała dziewczyna. — Tak, chciałabym zaczerpnąć trochę powietrza; bardzo tutaj gorąco.

I otworzyła drzwi. Zamieć i wichur porwały się ku niej i wszczęły z nią spór o te drzwi... Nawet i w tym było coś wesołego. Otworzyła je i wyszła. Zdawało się, że wiatr tylko na nią czekał: gwizdnął radośnie i chciał ją porwać, ale chwyciła się lodowatego drążka, przytrzymując suknię zeskoczyła na peron i schroniła się za wagonem. Na platformie wagonu dał silny wiatr, ale na peronie za wagonami panowało zacisze. Anna z rozkoszą chłoneła pełną piersią śnieżne, mroźne powietrze i stojąc koło pociągu rozglądała się po peronie i oświetlonej stacji.

Potęźna zamieć wypadła zza węgła stacji gwizdząc pomiędzy kołami wagonów od słupa do słupa. Wagony, słupy, ludzie, wszystko, jak okiem sięgnąć, było z jednej strony zasypane śniegiem, który kładł się coraz to grubszą warstwą. Wichura słabła na chwilę, lecz zaraz potem uderzała z taką gwałtownością, że wyglądało, jakby nic się przed nią nie miało ostać. Pomimo to jacyś ludzie przebiegali porozumiewając się wesoło i ciągle to otwierając, to zamykając jakieś wielkie drzwi. Kroki ich skrzypiały po deskach peronu. Pochylony cień człowieka prześliznął się pod nogami Anny i zaraz potem rozległy się uderzenia młotka o żelazo. — Dawaj depezę! — krzyknął gniewny głos po drugiej stronie z burzliwej ciemności. — Proszę tutaj, numer dwudziesty ósmy! — wołały jeszcze jakieś głosy i opatuleni, obsypani śniegiem ludzie przebiegali w rozmaitych kierunkach. Jacyś dwaj panowie ze świecidełkami żarzącego się papierosa w ustach przeszli obok niej. Odetchnęła mocno, raz jeszcze chcąc zaczerpnąć powietrza, i już wyjęła rękę z mufki, by ująć za poręcz i wrócić do wagonu, gdy tuż przy niej ktoś w oficerskim płaszczu przesłonił jej migotliwe światło latarni. Anna obejrzała się i od razu poznała rysy Wrońskiego. Skłonił się salutując i zapytał, czy jej czego nie potrzeba i czy mógłby jej czymś służyć. Anna wpatrywała się w niego dość długo bez słowa i chociaż stał w cieniu, widziała — a może się jej tylko tak zdawało — wyraz jego twarzy i oczu. Był to ten sam wyraz pełnego czci zachwytu, który tak silnie wstrząsnął nią w przeddzień. Nieraz powtarzała sobie w ostatnich dniach, a nawet jeszcze przed chwilą, że Wroński jest dla niej jednym z wielu setek wiecznie tych samych, wszędzie napotykanym młodych ludzi i że nigdy nie pozwoli sobie nawet myśleć o nim. Teraz wszakże, w pierwszej chwili spotkania, ogarnęło ją uczucie radosnej dumy. Nie potrzebowała pytać, po co się tu znalazł. Wiedziała to tak dobrze, jak gdyby sam jej to powiedział, że jest tutaj po to, aby być tam, gdzie ona.

— Nie wiedziałam, że i pan jedzie. Po co pan jedzie? — zapytała opuszczając rękę, którą już trzymała na poręczu... I twarz jej ożywiła się i zajaśniała niepohamowaną radością.

— Po co jadę? — powtórzył Wroński, patrząc jej prosto w oczy. — Pani wie, że jadę po to, aby być tam, gdzie i pani... Nie mogę inaczej.

W tej samej chwili wiatr przełamał jakby jakiś opór i jął sypać śniegiem z dachu wagonów, kołatać jakąś oderwaną blachą, na przedzie zaś płaczkliwie i ponuro ryknął basem gwizdek lokomotywy. Cała groza śnieżnej zawieruchy wydała się teraz Annie jeszcze o wiele piękniejsza. Wypowiedział właśnie to, czego pragnęło jej serce, a czego lękał się rozsądek. Stała w milczeniu, ale z twarzy jej wyczytał toczącą się walkę wewnętrzną.

— Raczy mi pani wybaczyć, jeśli słowa moje sprawiły jej przykrość — wyrzekł z pokorą.

Mówił z wielką kurtuazją, ze czcią niemal, z taką jednak siłą i takim naciskiem, że Anna długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

— To, co pan mówi, jest złe. Proszę, jeśli pan jest dobrym człowiekiem, niech pan zapomni o tych swoich słowach. I ja o nich zapomnę — powiedziała wreszcie.

— Żadnego słowa pani, żadnego jej ruchu nie zapomnę nigdy i zapomnieć bym nie potrafił...

— Dosyć już, dosyć! — zawołała, na próżno starając się nadać surowy wyraz twarzy, w którą Wroński chciwie się wpatrywał. Uchwyciwszy za zimny drążek Anna spieszenie weszła po stopniach do wnętrza wagonu, lecz w maleńkim przedsionku zatrzymała się próbując odtworzyć sobie w myśli to, co zaszło. Nie przypominając sobie ani jego, ani swoich słów, mimo to sercem pojęła, że ta minuta rozmowy straszliwie ich ze sobą zbliżyła. Przeraziło ją to, a zarazem napełniło szczęściem. Stała tak kilka sekund, po czym weszła dalej i usiadła na swoim miejscu. Stan nerwowego napięcia, który jej przedtem dokuczał, nie tylko powrócił, ale nawet wzmógł się jeszcze; poczuła z przerażeniem, że za chwilę zerwie się w niej coś, co było już zbyt naprężone. Nie spała całą noc. W tym napięciu nerwów i w marzeniach, które wypełniały jej wyobraźnię, nie było jednak nic przykrego ani przygnębiającego, wprost przeciwnie — wszystko było radosne, płomienne i ożywiające. Nad ranem Anna siedząc usnęła, a gdy się obudziła, był już biały dzień i pociąg zbliżał się do Petersburga. Natychmiast osaczyły ją myśli o domu, o mężu, o synku, o powszednich kłopotach dnia najbliższego i dni następnych.

W Petersburgu, skoro tylko pociąg stanął, pierwszą osobą, którą Anna dostrzegła, był mąż. „Ach, mój Boże, skąd mu się wzięły takie uszy!” — pomyślała patrząc na sztywną, imponującą postać męża, a zwłaszcza na rażące ją nagle małżowiny uszne, podpierające rondo okrągłego kapelusza. Na widok Anny podszedł do pociągu z właściwym sobie ironicznym uśmiechem na ustach wpatrując się w nią wielkimi, zmęczonymi oczyma. Jakieś niemile uczucie ścisnęło jej serce, gdy spotkała się z tym nieruchomym, znużonym spojrzeniem, jakby się była spodziewała, że mąż będzie jakiś inny. Zaskoczyło ją zwłaszcza niezadowolenie z siebie, które odczuła przy tym spotkaniu. Uczucie to znane jej od dawna, a zawsze obecne w jej stosunkach z mężem, przypominało dwulicowość i choć dotychczas tego sobie nie uświadamiała, za to teraz odczuła to wyraźnie i boleśnie.

— Jak widzisz, czuły twój mąż, czuły niczym w rok po ślubie, płonął pragnieniem ujrzenia cię — rzekł Aleksy Aleksandrowicz swym powolnym, wysokim głosem i tym tonem, którym prawie zawsze zwracał się do żony, jakby kpiąc z kogoś, kto by w ten sposób mówił naprawdę.

— Czy Sierioża zdrów? — spytała Anna.

— I to ma być cała nagroda za moje płomienne uczucie? — zapytał. — Zdrów, zdrów...

Wroński przez całą noc nawet nie próbował zasnąć. Siedział na swoim miejscu, to patrząc wprost przed siebie, to przyglądając się wchodzącym i wychodzącym. Zawsze . zaskakiwał i intrygował nieznanymi swym niewzruszonym spokojem, ale teraz wydawał się jakoś szczególnie wyniosły i opanowany. Patrzył na ludzi jak na przedmioty. Siedzący naprzeciw niego nerwowy młody człowiek, urzędnik sądu okręgowego, znienawidził go za ten wygląd. Poprosił Wrońskiego parę razy o ogień, zaczynał z nim rozmowę i nawet potracał go, byle tylko dać mu do zrozumienia, że nie jest martwym przedmiotem, ale człowiekiem. Wroński jednak nadal spoglądał na niego jak na słup od latarni, aż młodzieńcowi twarz skurczyła się grymasem złości i czuł, że to nieuznawanie go za człowieka działa na niego jak zbyt wielkie ciśnienie, tak że traci panowanie nad sobą.

Wroński nie widział nic i nikogo: czuł się po królewsku, nie dlatego, by sądził, że wywarł wrażenie na Annie — jeszcze w to nie wierzył — ale ponieważ wrażenie, jakie ona na nim wywarła, napawało go szczęściem i dumą.

Co z tego wszystkiego miało wyniknąć, nie wiedział i nawet o tym nie myślał. Czuł, że wszystkie jego siły, dotychczas rozdrobnione i chaotyczne, zwały się i z potężną energią dążą do jedyne, błogiego celu. I to mu dawało szczęście. To jedno było dla niego pewne: powiedział prawdę mówiąc jej, że jedzie tam, gdzie jest ona, bo całe szczęście życia, jedyne jego sens upatrywał teraz w tym, aby ją widzieć i słyszeć. I gdy wyszedłszy w Bołogowie z wagonu, by napić się wody selcerskiej, zobaczył Annę, w pierwszych zaraz słowach odruchowo powiedział jej to, co myślał, i rad był, że jej to wyznał, że ona teraz o tym wie i myśli. Nie spał noc całą. Po powrocie do swego wagonu rozpamiętywał nieustannie wszystkie sytuacje, w jakich miał sposobność ją widywać, każde jej słowo, a przed oczyma stawały mu obrazy tego, co się w przyszłości stać może, od których zamierało serce.

Gdy Wroński w Petersburgu wysiadł z wagonu, czuł się po bezsennej nocy rześki i wypoczęty jak po zimnej kąpeli. Czekając na wyjście Anny stanął koło swego wagonu. „Jeszcze raz ją zobaczę — myślał uśmiechając się mimo woli — zobaczę jej chód, jej twarz... Powie coś, obróci głowę, spojrzy, może się nawet uśmiechnie!” Zanim ją wszakże zobaczył, dostrzegł jej męża, któremu naczelnik stacji z ugrzecznieniem torował drogę wśród tłumu. „Ach, tak! Mąż!” Teraz dopiero Wroński po raz pierwszy uświadomił sobie wyraźnie, że mąż jest postacią nieodłączną od Anny. Wiedział, że Anna ma męża, ale nie wierzył w jego istnienie i uwierzył w nie naprawdę dopiero, gdy go zobaczył z głową i ramionami, z nogami w czarnych pantalonach, a zwłaszcza gdy zobaczył, jak ten mąż z pełnym poczuciem, że Anna jest jego własnością, spokojnie ujął jej dłoń.

Ujrzawszy Karenina, jego cerę z petersburską zdrową, jego surowo pewną siebie postać, jego okrągły kapelusz i z lekka przygarbione plecy, Wroński dopiero wtedy uwierzył w niego i doznał przykrego wrażenia, pokrewnego uczuciu, jakie ogarnia człowieka dręczonego pragnieniem, który dotarłszy wreszcie do źródła znajduje tam psa, owcę lub świnie, która wypija i zmacza wodę. Raził Wrońskiego

zwłaszcza chód Karenina, który idąc poruszał nie tylko niezgrabnymi nogami, ale i całą miednicą. Wroński uważał, że tylko on jeden ma niewątpliwe prawo kochać Annę... Ona wszakże była wciąż ta sama i widok jej znowu wpłynął na niego ożywiająco, krzepiąc go i. wzniecając szczęście w duszy. Polecił lokajowi Niemcowi, który przybiegł z wagonu drugiej klasy, by zabrał rzeczy i jechał, sam zaś podszedł do Anny. Widział pierwsze spotkanie męża z żoną i z przenikliwością zakochanego zauważył w jej zachowaniu ślad leciutkiego zakłopotania. „Nie, ona go nie kocha i kochać nie może” — zdecydował.

Zbliżając się zauważył z radością, że wyczuła jego obecność, obejrzała się bowiem i poznawszy go, znów zwróciła się do męża.

— Czy dobrze pani spała? — spytał i ukłonił się jednocześnie obojgu, pozostawiając do uznania Karenina, czy weźmie, ten ukłon również do siebie i czy pozna go lub nie pozna — jak mu będzie dogadzało.

— Dziękuję panu, bardzo dobrze.

Twarz Anny wydawała się znużona; w jej wyrazie nie znać było owej żywości migocącej to w oczach, to w uśmiechu; tylko w chwili gdy na niego spojrzała, coś błysnęło w jej oczach i chociaż płomyk ów od razu zgasł, chwila ta go uszczęśliwiła. Popatrzyła na męża, by się przekonać, czy się znają. Karenin patrzył na Wrońskiego z niechęcią i roztargnieniem; nie bardzo go sobie przypominał. Spokój i dobre o sobie mniemanie Wrońskiego trafiły tu, jak kosa na kamień, na chłodną pewność siebie Aleksego Aleksandrowicza.

— Hrabia Wroński — przedstawiła Anna.

— A! Zdaje się, że się znamy — obojętnie rzekł Karenin podając mu rękę. — W tamtą stronę jechałaś z matką, a z powrotem z synem — rzekł dobitnie, darząc rozmówców każdym słowem jak rublem. — Pan zapewne wraca z urlopu? — i nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Anny swym żartobliwym tonem: — Cóż, czy wiele łez wylano w Moskwie przy rozstaniu?

Zwracając się w ten sposób do żony Karenin dawał Wrońskiemu do zrozumienia, że pragnie pozostać z nią sam na sam, przy czym spojrzawszy na niego dotknął kapelusza: mimo to Wroński zatrzymał Annę na chwilę mówiąc:

— Mam nadzieję, że będzie mi wolno złożyć państwu wizytę?

Karenin popatrzył na niego znużonym wzrokiem.

— Bardzo nam będzie miło — odpowiedział chłodno. — Przyjmujemy zawsze w poniedziałki. — A pożegnawszy na dobre Wrońskiego rzekł do żony: — Jak dobrze się złożyło, że miałem właśnie pół godzinki czasu, żeby cię przywitać i dać ci dowód moich uczuć — dodał tym samym żartobliwym tonem.

— Zanadto podkreślasz swoją czułość, bym ją mogła bardzo cenić — odparła w tym samym tonie, przysłuchując się mimo woli odgłosom kroków Wrońskiego, który szedł za nimi. „Ale co on mnie właściwie obchodzi?” — pomyślała i zaczęła wypytywać męża, jak spędzał bez niej czas Sierioża.

— O, świetnie! Mariette powiada, że był bardzo grzeczny i że — przykro mi, jeśli cię to zmartwi — nie tęsknił za tobą... Nie tak jak twój małżonek. Ale jeszcze raz

merci, moja droga żeś podarowała mi jeden dzień... Nasz miły Samowar będzie zachwycony. (Samowarem nazywał Karenin słynną hrabinę Lidię Iwanownę, ponieważ zawsze się wszystkim przejmowała i zapalała do wszystkiego.) Pytała o' ciebie. I wiesz, jeśli wolno mi doradzać, bądź u niej dzisiaj. Ona wszystko tak bierze do serca. Teraz poza swymi zwykłymi kłopotami interesuje się pogodzeniem Obłońskich.

Hrabina Lidia Iwanowna była przyjaciółką Karenina i zarazem ośrodkiem jednego z kółek petersburskiego świata, z którym Anna była przez męża najbliżiej związana.

— Przecież pisałam do niej.

— Tak, lecz ona jest spragniona szczegółów. Odwiedź ją, moja droga, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona; Kondratij zaraz zajedzie kareta. Ja muszę być w Komitecie . Znów więc. będę jadał obiady nie w samotności — ciągnął dalej Karenin, ale teraz już serio. — Nie uwierzysz, jak ja się przyzwyczailem...

I Karenin długo ścisnął rękę żony, zanim ze znaczącym uśmiechem pomógł jej wsiąść do karety.

Pierwszą osobą, która przywitała Annę w domu, był syn. Wybiegł do niej na schody, nie zważając na wołania guwernantki, i nieprzytomny z zachwytu krzyczał:

— Mamo! Mamo! — Dopadłszy matki zawisł jej na szyi.

— Mówiłem pani, że to mama — zawołał zwracając się do guwernantki. — Ja wiedziałem!

Anna na widok syna, podobnie jak poprzednio na widok męża, doznała jakby rozczarowania. Wyobrażała go sobie piękniejszym, niż był w istocie. Musiała więc zstąpić do rzeczywistości, aby móc zachwycać się synem takim, jaki był. Lecz nawet i taki, jakim był w. istocie, był prześliczny: miał jasne kędziory, błękitne oczy i jędrne, zgrabne nóżki w obcisłych pończochach. Anna doznawała nieledwie fizycznej rozkoszy czując jego bliskość i jego pieszczoty, a moralnego uspokojenia — patrząc w jego szczere, ufne, kochające oczy i słuchając jego naiwnych pytań. Wypakowała upominki, które przysłały mu dzieci Dolly, i opowiedziała, że w Moskwie jest dziewczynka Tania i że owa Tania umie czytać i uczy już nawet młodsze dzieci.

— No i co? Czy ja jestem gorszy od niej? — zagadnął Sierioża.

— Dla mnie jesteś lepszy niż wszyscy w świecie.

— Wiem o tym — uśmiechnął się Sierioża.

Anna nie zdążyła jeszcze wypić kawy, gdy już zaanonsowano hrabinę Lidie. Była to wysoka, tęga kobieta, o niezdrowej, żółtej cerze i pięknych, zamyślonych, czarnych oczach. Anna lubiła ją, lecz tego dnia jak gdyby po raz pierwszy dostrzegła ją wraz ze wszystkimi jej wadami.

— No i cóż, moja droga, czy zawiozła pani gałązkę oliwną? — zapytała od progu.

— Tak, już po wszystkim, ale też nie było to wcale takie poważne, jakieśmy sądziły — odpowiedziała Anna. — W ogóle, moja belle-soeur jest zbyt krańcowa.

Hrabina Lidia wprawdzie interesowała się wszystkim, co do niej nie należało, lecz miała zwyczaj nigdy nie słuchać tego, co powinno ją być obchodzić, przerwała więc Annie:

— Tak, dużo jest nieszczęść i zła na świecie, a taka jestem dzisiaj wymęczona.

— Co się stało? — spytała Anna usiłując ukryć uśmiech.

— Zaczyna mnie nużyć to daremne krusznie kopii o sprawiedliwość i chwilami jestem zupełnie do niczego. Sprawa siostrzyczek (chodziło o filantropijną religijno-patriotyczną instytucję) była już na najlepszej drodze, ale z tymi panami nie sposób pracować — dodała z ironiczną rezygnacją. — Skwapliwie podjęli ten pomysł, wypaczyli go, a teraz krytykują tak płytko i tak małostkowo! Dwóch, trzech ludzi zaledwie, w tej liczbie i mąż pani, ocenia całą doniosłość tej sprawy, inni tylko szkodzą. Wczoraj pisał mi Prawdin...

Prawdin był to znany powszechnie panslawista; przebywał za granicą. Hrabina Lidia powtórzyła Annie treść jego listu.

Potem opowiedziała jeszcze o przykrościach i intrygach przeciwko zjednoczeniu kościołów chrześcijańskich i wyszła śpiesząc się wielce, tego dnia bowiem miała być jeszcze na posiedzeniu pewnego stowarzyszenia oraz w Komitecie Słowiańskim.

„Tak samo było przecież i dawniej. Czemu nie zauważyłam tego przedtem?” — zadawała sobie pytanie Anna. — A może była dziś wyjątkowo rozdrażniona? Bo to jednak w gruncie rzeczy zabawne: Lidia Iwanowna dąży przecież tylko do cnoty, jest chrześcijanką, a mimo to nieustannie się gniewa i wszystkich uważa za wrogów, ponieważ mają inne poglądy właśnie na chrystianizm i na cnotę.

Po hrabinie Lidii zjawiała się przyjaciółka Anny, żona dyrektora, i opowiedziała wszystkie miejskie ploteczki. O trzeciej pożegnała się i ona, obiecując wrócić na obiad. Aleksiej Aleksandrowicz był w ministerstwie. Resztę czasu przed obiadem Anna spędziła asystując przy obiedzie synka (Sierioża jadał osobno) i porządkując swoje rzeczy. Przeczytała wszystkie bileciki i listy, które nagromadziły się na biurku, i odpowiedziała na nie.

Nieuzasadnione zawstydzenie, którego doświadczała w podróży, oraz zamęt uczuć — znikły. Wśród zwykłych warunków życia poczuła się znów niezłomna i bez zarzutu.

Ze zdziwieniem, przypomniawszy sobie swój wczorajszy nastrój. „Co to było? Doprawdy nic. Wroński powiedział coś absurdalnego, coś, czemu łatwo położyć kres, a ja mu dałam właściwą odprawę. Mężowi tego opowiadać nie trzeba, a nawet nie można. Mówić o tym znaczyłoby przywiązywać wagę, do incydentu bez żadnego znaczenia.” Anna przypomniawszy sobie, jak pewnego razu opowiedziała mężowi, że jeden z jego podwładnych młodych urzędników niemal wyznał jej swoją miłość, i jak Aleksy Aleksandrowicz odpowiedział, że każda kobieta bywająca w towarzystwie jest na takie rzeczy narażona, lecz on najzupełniej ufa jej taktowi i nigdy nie ubliży zazdrością ani jej, ani sobie. „Wobec tego — postanowiła Anna — nie ma celu o tym mówić... A Bogu dzięki, nie ma też i o czym.”

Karenin powrócił z ministerstwa o godzinie czwartej, lecz — jak to "się często zdarzało — nie miał czasu zajrzeć do żony, od razu wszedł do' gabinetu i zaczął przyjmować oczekujących petentów oraz podpisywać papiery, które przyniósł szef kancelarii. Na obiad (u Kareninów zwykle na obiedzie bywały ze trzy osoby) zjawili się: stara kuzynka pana domu, dyrektor departamentu z żoną i pewien młody człowiek, polecony Kareninowi w drodze służbowej. Anna weszła do salonu bawić gości. Dokładnie o godzinie piątej, zanim brązowy zegar z epoki Piotra I uderzył po raz piąty, ukazał się pan domu w białym krawacie i we fraku z dwiema gwiazdami, zaraz bowiem po obiedzie musiał dokądś jechać. Każda minuta w życiu Aleksieja Aleksandrowicza była z góry zajęta i miała swoje przeznaczenie; toteż aby zdążyć wykonać to, co każdy dzień niósł ze sobą, przestrzegał jak najściślej punktualności. „Bez pośpiechu i bez wytchnienia” — było jego dewizą. Wszedłszy do salonu przywitał gości i spiesznie usiadł uśmiechając się do żony.

— Tak, tak... skończyło się moje osamotnienie... Nie uwierzysz, jak mi było nieswojo (Karenin położył nacisk aa słowie nieswojo) siadać samemu do obiadu.

Przy obiedzie zamienił kilka słów z żoną na moskiewskie tematy, nie bez ironii dopytując się o Stiepana Arkadjicza, ale przeważnie rozmowa była ogólna i dotyczyła życia światowego oraz spraw publicznych w Petersburgu. Po obiedzie Karenin spędził pół godziny z gośćmi i znów z uśmiechem uściskawszy rękę żony wyszedł, by udać się na posiedzenie Rady. Anna nie pojechała tego dnia ani do księżnej Betsy Twerskiej, która wiedząc o jej powrocie zaprosiła ją na wieczór, ani do teatru, gdzie miała na ten dzień łożę. Nie pojechała głównie dlatego, że suknia, na którą liczyła z całą pewnością, nie była jeszcze gotowa. W ogóle zajmawszy się po wyjściu gości swą garderobą bardzo się zirytowała. Przed wyjazdem do Moskwy Anna — istna mistrzyni sztuki ubierania się nie nazbyt drogo — dała krawcowej trzy suknie do przerobienia. Należało je tak zmienić, żeby ich nie można było potem poznać, a miały być odesłane już trzy dni temu. Okazało się jednak, że dwie suknie wcale nie były gotowe, trzecia zaś przerobiona nie tak, jak sobie Anna życzyła. Krawcowa przyszła się tłumaczyć i utrzymywała, że tak będzie lepiej, i Anna wówczas tak się uniosła, że na samą myśl o tym było jej później przykro. Chcąc się całkowicie uspokoić, poszła do dzieciennego pokoju i cały wieczór spędziła z synem: ułożyła go sama do snu, przeżegnała i otuliła kołderką. Rada była, że nigdzie nie pojechała i tak dobrze spędziła ten wieczór. Było jej tak lekko i spokojnie na duszy; wyraźnie uświadamiała sobie, że wszystko, co w podróży wydało się jej ogromnie ważne, było tylko jednym z błahych i zwykłych zdarzeń towarzyskiego życia i że nie ma się czego wstydzić ani przed sobą, ani w ogóle, przed kimkolwiek. Usiadła przy kominku z angielską powieścią, czekając na męża. Dokładnie o wpół do dziesiątej rozległ się dzwonek i Karenin wszedł do pokoju.

— Jesteś nareszcie! — zawołała Anna wyciągając do niego rękę.

Karenin pocałował jej dłoń i usiadł przy niej.

— Widzę, że na ogół powiodła ci się ta podróż.

— Nawet bardzo — rzekła Anna i zaczęła opowiadać wszystko od początku: o swojej podróży ze starą Wrońska, o przybyciu do Moskwy, o wypadku na stacji. Następnie opowiadała, jak z początku żal jej było brata, a później Dolly.

— Chociaż to twój brat, uważam, że dla takiego człowieka nie ma usprawiedliwienia — odezwał się surowo Aleksy Aleksandrowicz.

Anna uśmiechnęła się; zrozumiała go. Chciał przez to dowieść, że względ na pokrewieństwo nie może go powstrzymać, od wypowiedzenia szczerego sądu. Znała i lubiła ten rys charakteru męża.

— Rad jestem, że wszystko skończyło się szczęśliwie i żeś wróciła — mówił dalej. — Cóż mówią w Moskwie o nowym dekrete, który przeprowadziłem w Radzie?

Anna będąc w Moskwie nic o tym nie słyszała i zrobiło jej się przykro, że mogła tak łatwo zapomnieć o czymś, co dla niego było takie ważne.

— Tu, przeciwnie, narobiło to wiele hałasu — uśmiechnął się, zadowolony z

siebie.

Anna widziała, że mąż ma ochotę opowiedzieć jej o tej sprawie coś, co mu sprawiało przyjemność, więc zręcznymi pytaniami naprowadziła go na ów temat. Z tym samym chełpliwym uśmiechem opowiedział jej o owacjach, które mu zgotowano z powodu przeprowadzenia dekretu.

— Byłem bardzo, bardzo rad. To dowodzi, że zaczyna się u nas ustalać rozumny i zdecydowany pogląd na tę sprawę.

Drugą szklankę herbaty Aleksy Aleksandrowicz wypił ze śmietanką i zjadł kawałek chleba, po czym wstał, by udać się do swego gabinetu.

— A ty wcale nie wyszłaś? Pewno się wynudziłaś?.

— O, nie! — zapewniła Anna wstając również i odprowadzając męża przez salon do gabinetu. — Co ty obecnie czytasz?

— Czytam duc de Lille'a Poésie des enfers — odrzekł. — Znakomita książka.

Anna uśmiechnęła się, jak zwykliśmy się uśmiechać nad słabostkami naszych najbliższych, i biorąc męża pod rękę, odprowadziła go do drzwi gabinetu. Wiedziała, że mimo zajęć służbowych, które pochłaniały mu cały dzień prawie, uważał za swój obowiązek poświęcać wiele uwagi wszystkim wybitnym zjawiskom z dziedziny intelektualnej. Wiedziała również, że naprawdę interesują go dzieła polityczne, filozoficzne i teologiczne, a sztuka jest mu organicznie obca i mimo to, a raczej właśnie dlatego, nie pomija ani jednej głośnej nowości z tego zakresu i uważa za swój obowiązek czytać wszystko. W kwestiach polityki, filozofii, teologii Aleksy Aleksandrowicz miewał wątpliwości i starał się, je rozstrzygnąć, lecz gdy chodziło o sztukę i poezję, a zwłaszcza o muzykę, której w ogóle nie rozumiał, wyznawał jak najbardziej określone i niezłomne poglądy. Lubił mówić o Szekspirze, Rafaelu, Beethovenie, i znaczeniu nowych prądów w poezji i muzyce i miał je poszufladkowane jasno i konsekwentnie.

— Czytaj sobie z Bogiem — powiedziała Anna do męża u wejścia do gabinetu; na stoliku koło fotela już były przygotowane dla Karenina: świeca z abażurkiem i karafka z wodą. — A ja tymczasem napiszę do Moskwy. Znów uścisnęła i pocałowała jej rękę.

„Mimo wszystko to dobry człowiek: prawy, szlachetny i wybitny w swojej specjalności — myślała Anna po powrocie do swego pokoju, jakby broniąc męża przed kimś, kto go oskarżał i twierdził, że go nie można kochać — Ale dlaczego ma tak dziwnie odstające uszy? Może się inaczej ostrzygł.”

Dokładnie o dwunastej, kiedy Anna siedziała jeszcze przy biurku i kończyła list do bratowej, rozległy się miarowe kroki i Karenin, w pantoflach, umyty i uczesany, z książką pod pachą zjawił się w jej pokoju.

— Czas już, czas — rzekł uśmiechając się znacząco i wszedł do sypialni.

„I jakim prawem on tak na niego patrzył?” — pomyślała Anna uprzytomniając sobie spojrzenie, jakim Wroński zmierzył jej męża na dworcu.

Rozebrała się i ..weszła do sypialni... Ale na twarzy jej brak było tego ożywienia, które podczas pobytu w Moskwie iskrzyło się w jej oczach i uśmiechu;

teraz przeciwnie, płomień wydawał się zgaszony lub głęboko ukryty.

Wyjeżdżając z Petersburga Wroński pozostawił obszerne mieszkanie przy ulicy Morskiej Petryckiemu, przyjacielowi i ulubionemu koledze z pułku.

Petrycki był to młody porucznik, niezbyt świetnego rodu i nie tylko niezamożny, ale zadłużony po uszy. Wieczorami zawsze bywał pijany i często za różne i zabawne, i brzydkie sprawy siadywał na odwachu. Pomimo to koledzy i przełożeni go lubili. Gdy Wroński jadąc koło południa ze stacji był już blisko domu, ujrzał przed bramą, znajomą krytą dorożkę. Za drzwiami, w odpowiedzi na dzwonek, usłyszał głośny śmiech męski, szczebiot kobiecy i okrzyk Petryckiego: „Jeżeli to ktoś z tych łotrów, to nie puszczaj!” Nakazawszy ordynansowi milczenie Wroński po cichutku wszedł do pierwszego pokoju. Baronowa Shilton, przyjaciółka Petryckiego, siedziała przy okrągłym stole w błyszczącej atłasowej sukni lila i przyrządzała kawę napełniając jak kanarek swym paryskim szczebiotem cały pokój. Otaczali ją: Petrycki w palcie i Komierowski, który zapewne przed chwilą wrócił ze służby — w przepisowym mundurze.

— Brawo! Wroński — zawołał Petrycki wstając i z hałasem odsuwając krzesło. — Sam gospodarz! Pani baronowo, kawy z nowego imbryka dla Wrońskiego! Nie spodziewaliśmy się ciebie! Mam nadzieję, że cieszysz się z takiej ozdoby swego gabinetu? — mówił wskazując baronową. — Państwo się przecież znają?

— A jakże! — uśmiechnął się wesoło Wroński. ściskając maleńką rączkę damy. — Toż to stara przyjaźń.

— Pan wraca z podróży — rzekła baronowa — więc już uciekam. Naprawdę w tej chwili wychodzę, jeśli przeszkadzam!

— Pani jest wszędzie u siebie! — przerwał Wroński. — Jak się masz, Komierowski — dodał podając mu ozięble rękę.

— A pan nigdy nie potrafi mówić takich miłych rzeczy — droczyła się baronowa z Petryckim.

— Ja? Dlaczego nie! Po obiedzie i ja będę gadał nie gorzej od niego.

— Po obiedzie każdy to potrafi! No, więc dam panu kawy, niech pan tymczasem idzie się umyć i przebrać — to mówiąc baronowa znów usiadła i przekreśliła ostrożnie śrubkę w nowej maszynie. — Pierre, proszę mi podać kawę — zwróciła się do Petryckiego, którego nazwisko skracała w ten sposób. Stosunku swego z nim nie ukrywała. — Muszę dosypać.

— Zepsuje pani kawę.

— Nie, nie zepsuję! No, a pańska żona? — przerwała Wrońskiemu rozmowę z kolegami. — Myśmy już tutaj pana ożenili. Czy przywózł pan z Moskwy żonę?

— Nie, droga pani! Urodziłem się jako cygan i jako cygan umrę.

— Tym lepiej, tym lepiej! Podajmy sobie ręce.

I pani Shilton, nie pozwalając Wrońskiemu odejść i sypiąc żarcikami, zaczęła mu opowiadać o swoich najświeższych życiowych projektach i pytać go o radę.

— On wciąż nie chce mi dać rozwodu. Co ja mam począć? (On — to był jej

mąż.) Mam zamiar wytoczyć mu proces. Jak mi pan radzi?... Komierowski, niech pan pilnuje kawy, bo wykipi... Widzi pan, że jestem zajęta ważnymi sprawami! Chcę wyprocesować od niego zwrot mego majątku Czy rozumie pan ten absurd: ponieważ jestem mu rzekomo niewierna — rzuciła z pogardą - on rości sobie prawo do mojego majątku.

Wroński z przyjemnością słuchał wesołego szczebiotu ładnej kobiety, potakiwał, udzielał na pół żartobliwych rad i w ogóle z miejsca przybrał ton, który zawsze stosował wobec kobiet jej rodzaju. W jego petersburskim świecie wszyscy ludzie dzielili się na dwa zupełnie odrębne gatunki. Pierwszy .— niższy: ludzie pospolici, głupi, a przede wszystkim śmieszni, ludzie przekonani, że każdy mężczyzna powinien żyć z jedną kobietą, własną żoną, że panny mają być niewinne, kobiety — cnotliwe, mężczyźni — dzielni, powściągliwi i energiczni, że należy dbać o wychowanie dzieci, zarabiać na chleb powszedni, płacić długi i — różne tego rodzaju brednie. To był gatunek ludzi -staroświeckich i śmiesznych. Istniał wszakże również i inny gatunek. Byli to ludzie jak się' patrzy i do nich zaliczał się on sam, Wroński, z kolegami. Należąc do tego gatunku wypadało przede wszystkim być przystojnym, eleganckim, hojnym, odważnym, wesołym i nie rumieniąc się folgować swym namiętnościom, a "lekceważyć wszystko inne.

W pierwszej chwili wrażenia przywiezione z Moskwy, a pochodzące jakby z innego świata, sprawiły, że Wroński był oszołomiony, wnet jednak wrócił do dawnego, wesołego i przyjemnego otoczenia, jak się wsuwa nogi w stare pantofle.

Kawy się nie doczekano, opryskała wszystkich i wykipiiała; osiągnęła jednak pożądany skutek, gdyż wywołała dużo wrzawy i śmiechu i zalała kosztowny dywan oraz suknię baronowej.

— No, a teraz żegnam, bo inaczej pan się nigdy nie umyje i będę miała na sumieniu największy występki, jaki może popełnić przyzwoity człowiek: niechlujstwo. A więc pan mi radzi przyłożyć mu nóż do gardła?

— Koniecznie, i to w taki sposób, by rączka pani znalazła się jak najbliżej jego ust. Baron pocałuje rączkę i wszystko skończy się szczęśliwie — doradzał Wroński.

— A więc dzisiaj we Francuskim! — zawołała i zaszedeściwszy suknią znikła.

Komierowski .wstał również, Wroński zaś nie czekając, aż ten wyjdzie, podał mu rękę i poszedł do ubieralni. Podczas gdy się mył, Petrycki opisywał mu pokrótce zmiany, które zaszły w jego sytuacji od czasu wyjazdu przyjaciela. Jest bez grosza. Ojciec zapowiedział, że nic nie da i że nie zapłaci długów. Krawiec grozi więzieniem, inny wierzyciel — również. Dowódca oświadczył, że jeśli te skandale się nie skończą, to trzeba będzie wystąpić z pułku. Baronowej ma już powyżej uszu, zwłaszcza że stale proponuje mu pieniądze. „Ale jest jedna... pokażę, ją Wrońskiemu, cudo, śliczności, najczystszy typ wschodni, genre niewolnicy Rebeki, rozumiesz?" Z Berkoszewem sobie wczoraj nawymyślali, miał zamiar przysłać mu sekundantów, ale oczywiście nic z tego nie będzie. Na ogół jednak wszystko jest jak najlepiej i jak raijweselej. I n:'e dając koledze zagłębić się w szczegóły swej sytuacji Petrycki wysypał mu wszystkie ciekawe nowiny. Słuchając tak dobrze sobie znanych powieści Petryckiego wśród równie dobrze sobie znanych ścian i

mebli zajmowanego od trzech lat mieszkania, Wroński doznawał miłego uczucia powrotu do normalnego, beztroskiego życia w Petersburgu.

— Niemożliwe! — wołał naciskając pedał umywalni i oblewając wodą swą mocną, czerwoną szyję. — Nie może być — zdziwiła go wiadomość, że Lora porzuciła Fertinhofa i żyje teraz z Milejewem. — A Fertinhof, czy zawsze taki głupi i zadowolony z siebie? A co porabia Buzułukow?

— Ach, zdarzyła mu się wspaniała historia! — zawołał Petrycki. — Bale to przecież jego namiętność, tak że nigdy nie opuszcza żadnego dworskiego balu. Wybrał się więc na wielki bal, i to w nowym kasku. Znasz nowe kaski? Są bardzo dobre, lżejsze... Stoi więc sobie... Ale ty słuchaj!

— No przecież słucham — odpowiedział Wroński nacierając się kosmatym ręcznikiem.

— Przechodzi wielka księżna z którymś z ambasadorów i na nieszczęście Buzułukowa zaczęli rozmawiać o nowych kaskach. W pewnej chwili wielka księżna chciała pokazać ambasadorowi taki kask... Widzą, że nasz przyjaciel stoi tuż (Petrycki pokazał, jak to Buzułukow stał z kaskiem). Wielka księżna prosi go, żeby jej podał swój kask — a on nie daje. Co się dzieje? Mrugają na niego, kiwają, marszczą brwi: podajże go! On nie daje. Zdrętwiał.

Czy możesz sobie coś podobnego wyobrazić? Ten... jak mu tam, chce wziąć kask od niego... Nie daje. Wreszcie ów wyrywa mu go i podaje wielkiej księżnej. „To jest właśnie nasz nowy model” — powiada księżna do ambasadora. Odwraca kask i — wyobraź sobie tylko! — z kasku... buch! leci gruszka, cukierki, ze dwa funty cukierków. Ściągnął to ze stołu, biedaczysko! Wroński pokładał się ze śmiechu. I długo potem, mówiąc już zupełnie o czym innym, ilekroć przypominała mu się historia z kaskiem, zanosił się od śmiechu, pokazując mocne, równe zęby.

Dowiedziawszy się wszystkich nowin ubrał się przy pomocy lokaja w mundur i pojechał zameldować się w pułku. Potem zamierzał odwiedzić brata i Betsy oraz złożyć kilka wizyt. Wizyty te miały na celu nawiązanie stosunków z towarzystwem, gdzie bywała pani Karenin. Jak zawsze w Petersburgu, Wroński wyjechał z domu, by powrócić dopiero późną nocą.

CZĘŚĆ DRUGA

Pod koniec zimy odbyło się w domu Szcerbackich konsylium, które miało orzec, jaki jest stan zdrowia Kitty. i co należy zrobić, aby wzmocnić jej słabnące siły. Była chora, a z nadejściem wiosny miała się coraz gorzej. Lekarz domowy dawał jej tran, później żelazo, potem lapis, ale gdy żaden z tych środków nie pomagał i gdy na wiosnę lekarz począł zalecać wyjazd za granicę, wezwano lekarską znakomitość. Znakomity doktor, jeszcze dość młody, bardzo przystojny, zażądał przede wszystkim, by mu pozwolono zbadać chorą. Ze szczególną jakby przyjemnością podkreślał, że wstyd dziewiczy to barbarzyński przeżytek i że jest rzeczą całkiem naturalną, gdy niestary mężczyzna obmacuje młodą, obnażoną pannę. Uważał to za rzecz naturalną, gdyż codziennie to czynił, nie czując i nie myśląc przy tym — jak mu się zdawało — nic zdrożnego, dlatego też wstydlivość dziewczyny nie tylko wydawała mu się przeżytkiem barbarzyństwa, ale ponadto obrażała go osobiście.

Trzeba się było temu poddać, bo chociaż wszyscy doktorzy uczą się w takiej samej szkole i czerpią naukę z takich samych ksiązek i chociaż byli tacy, co twierdzili, że znakomitość jest kiepskim lekarzem — w domu księżnej i w kole jej znajomych nie wiadomo dlaczego wierzono, że tylko ów znakomity doktor posiada jakąś nadzwyczajną wiedzę i że on jeden potrafi uratować Kitty. Po starannych oględzinach i opukaniu przestraszonej i oszołomionej ze: wstydu pacjentki, znakomity doktor umywszy dokładnie ręce stał właśnie na środku salonu.. i rozmawiał z księciem, który słuchając go marszczył brwi i chrząkał. Będąc człowiekiem doświadczonego, niegłupim i zdrowym, nie wierzył w medycynę i złościł się skrycie na tę całą komedię, tym bardziej że kto wie, czy nie on tylko dokładnie rozumiał właściwą przyczynę choroby Kitty. „A to dopiero łgarz” — myślał książę słuchając gadaniny słynnego lekarza o symptomach choroby Kitty. Doktor ze swej strony z trudem maskował pogardę, jaką stary pan w nim budził, i z trudem zniżał się do jego poziomu umysłowego. Zdawał sobie sprawę, że ze starym nie ma co gadać i że głową rodziny jest tutaj matka, przed nią tedy miał zamiar wysypać swoje perły. W tej chwili księżna w towarzystwie domowego lekarza weszła do salonu. Książę oddalił się starając się nie okazać, jak śmieszna wydawała mu się cała ta komedia. Księżna była zbita z tropu i nie wiedziała, co robić. Poczynała się do winy wobec Kitty.

— A więc, panie doktorze, niech pan decyduje o naszym losie” — rzekła wreszcie. — Niech pan nic przede mną nie ukrywa. — „Czy jest jeszcze jakaś nadzieja?” — zamierzała dodać, lecz usta jej zadrżały i nie mogła wypowiedzieć tego pytania.

— Zaraz, proszę księżnej, muszę tylko pomówić z kolegą, a potem będę miał zaszczyt przedłożyć moją opinię.

— Czy mamy zostawić panów samych?

— Jak księżna uważa. Księżna westchnęła tylko i wyszła.

Gdy lekarze zostali sami, domowy doktor nieśmiało począł formułować swoje zdanie, mianowicie, że są to początki gruźlicy, że jednak... itd. Znakomity jego kolega słuchał, w połowie wszakże tych wywodów popatrzył na swój duży złoty zegarek.

— Tak... — powiedział. — Ale...

Domowy lekarz z szacunkiem zamilkł w środku zdania.

— Jak panu wiadomo, rozpoznać początku procesu gruźliczego nie jesteśmy w stanie; dopóki nie pojawią się kawerny, nic pewnego powiedzieć nie można. Możemy natomiast podejrzewać. Są pewne objawy: niedożywienie, podniecenie nerwowe itp. Sprawa więc tak się przedstawia: co należy zrobić, aby polepszyć odżywienie, gdy zachodzi obawa gruźlicy czynnej?

— Jednak... Jak wiadomo koledze, tego rodzaju wypadki mają zawsze moralne, psychiczne podłoże — ośmielił się wtrącić lekarz domowy ze znaczącym uśmiechem.

— Tak, ma się rozumieć — zgodził się znakomity doktor patrząc znowu na zegarek. — Przepraszam, czy naprawiono już Jauski most, czy też trzeba wciąż jeszcze objeżdżać naokoło? — zapytał. — A, już naprawiono?! Tak... W takim razie mogę tam być za dwadzieścia minut. Mówiliśmy tedy, że sprawa przedstawia się następująco: polepszyć odżywienie i doprowadzić nerwy do porządku. Jedno łączy się z drugim, należy więc podzielać na owo błędne koło jednocześnie w dwóch punktach.

— A wyjazd za granicę?

— Jestem wrogiem wyjazdów. Rozumie pan, panie kolego, jeśli to jest początek procesu gruźliczego, czego stwierdzić nie możemy, to wyjazd za granicę nie pomoże. Potrzebny jest jakiś nieszkodliwy środek, który by wpłynął na polepszenie odżywienia.

Tu znakomity doktor wyłożył swój plan leczenia wodami sodeńskimi, na wybór których oczywiście wpłynęła przede wszystkim ich nieszkodliwość. Lekarz domowy wysłuchał sławnego kolegi z uwagą i szacunkiem.

— Ale na korzyść wyjazdu za granicę przemawia, moim zdaniem, konieczność zmiany nawyków i warunków, które budzą niepożądane wspomnienia. A wreszcie... Matka ma na to ochotę.

— A w takim razie niechże sobie jadą! Byle im tylko nie zaszkodzili ci niemieccy szarlatani... Trzeba koniecznie, żeby te panie przestrzegały... no, ostatecznie cóż, niech jadą...

Znowu spojrzął na zegarek.

— O, ale już na mnie czas — powiedział i skierował się ku drzwiom.

Znakomity doktor oświadczył księżnej, że musi raz jeszcze obejrzeć pacjentkę (nakazywała mu to zwykła przyzwoitość zawodowa)

— Co takiego?! Jeszcze raz ją badać?! — zawołała przerażona księżna.

— Chodzimi tylko o pewne szczegóły, proszę księżnej.

— Bardzo proszę.

I matka wprowadziła doktora do saloniku, gdzie wychodziła Kitty.— cała w rumieńcach niedawnego zawstydzenia i z nienaturalnie błyszczącymi oczyma — czekała stojąc pośrodku pokoju. Gdy wszedł doktor, zapłonęła się na nowo, łzy nabiegły jej do oczu. Cała ta choroba zarówno jak i leczenie wydawały się jej takie głupie, a nawet śmieszne! Równie śmieszne jak sklejenie kawałków stłuczonego wazonu. Serce jej było rozbite, a chciano ją leczyć pigułkami i proszkami... Nie można było jednak ranić matki, tym bardziej że księżna i tak już winę przypisywała sobie.

— Zechce pani usiąść, księżniczko — rzekł doktor. Usiadł z uśmiechem naprzeciw Kitty, ujął ją za puls i począł znów zadawać swoje nudne pytania. Odpowiadała mu, lecz nagle zerwała się, zirytowana.

— Niech mi pan wybaczy, panie doktorze, ale te wszystkie pytania są bezcelowe... Pyta się pan po trzy razy o jedno i to samo.

Znakomity lekarz nie obraził się.

— Chorobliwe zdenerwowanie — zwrócił się do księżnej, po wyjściu córki. — Zresztą już skończyłem.

I począł naukowo wyjaśniać księżnej — jako osobie wyjątkowo inteligentnej — stan zdrowia córki, zakończył zaś wskazówkami, jak należy pić owe całkiem zbyteczne wody. Na pytanie, czy jechać za granicę, doktor pograżył się w zawile rozważania, jak gdyby rozwiązywał niezwykle trudne zagadnienie. W końcu decyzja została powzięta: jechać, ale nie wierzyć żadnym szarlatanom i ze wszystkim zwracać się do niego.

Po wyjściu doktora dała się odczuć taka ulga, jakby przytrafiło się coś pomyślnego. Matka wróciła do córki weselsza, a Kitty udawała, że jest także lepszej myśli. Teraz często, niemal ciągle, musiała udawać.

— Naprawdę, maman, jestem zdrowa. Ale jeśli mama chce jechać, to jedźmy! — I usiłując okazać zainteresowanie podróżą zaczęła omawiać przygotowania do drogi.

Zaraz potem zjawiała się Dolly. Wiedziała, że tego dnia miało się odbyć konsylium, i chociaż niedawno wstała była po połogu (w końcu zimy powiła córeczkę), chociaż miała wiele własnych zmartwień i kłopotów, zostawiła bowiem w domu niemowlę oraz starszą córeczkę, która świeżo zachorowała — przyjechała jednak dowiedzieć się o losach Kitty, mających się tego dnia właśnie rozstrzygnąć.

— I cóż? — zapytała wchodząc do salonu nie zdjawszy nawet kapelusza. — Jesteście wszyscy, jak widzę, w doskonałych humorach. Pewnie wszystko dobrze?

Usiłowano powtórzyć jej, co orzekł doktor, lecz niestety okazało się, że wprawdzie doktor mówił bardzo ozdobnie i długo, niepodobna jednak było opowiedzieć tego własnymi słowami. Ważne było tylko jedno: to, że postanowiono wyjechać za granicę.

Dolly mimo woli westchnęła. Najlepsza jej przyjaciółka, młodsza siostra, miała wyjechać, a jej własne życie było takie niewesołe. Pogodziła się wprawdzie z mężem, ale dalsze ich stosunki stały się dla niej upokarzające; spojenie rozdarcia, dokonane przez Annę, nie było trwałe i zgoda rodzinna znów zaczynała się rysować w tym samym punkcie. Nie stało się nic określonego, lecz Obłoński nigdy prawie nie bywał w domu, a i pieniędzy niemal zawsze brakowało. W dodatku księżnę Darię znów trapiły podejrzenia, że mąż ją zdradza, choć starała się je odpędzać ze strachu przed doznanymi już mękami zazdrości. Pierwszy paroksyzm, raz przeżyty, powtórzyć się wprawdzie nie mógł i nawet odkrycie nowej zdrady nie mogłoby już na nią tak podziałać jak za pierwszym razem: takie odkrycie teraz pozbawiłoby ją jedynie resztek nawyków rodzinnych, pozwalając się więc oszukiwać pogardzając mężem, a jeszcze bardziej sobą —' za tę słabość. Ponadto dręczyły ją nieustannie troski związane z liczną rodziną: to miała kłopoty z karmieniem niemowlęcia, to niańka odchodziła, to znów, jak w tej chwili, chorowało jedno z dzieci.

— Jakże się mają wszyscy twoi? — zapytała matka.

— Ach, maman, mama i tak mam dosyć swoich zmartwień!... Teraz znów Lili zachorowała i obawiam się, że to szkarlatyna. Na chwilę wyjechałam, by wpaść do was, bo później, jeśli to, broń Boże, naprawdę szkarlatyna, zamknę się w domu na dobre.

Stary książę po odjeździe doktora także wyszedł ze swego gabinetu, nadstawił starszej córce policzek do pocałowania i po krótkiej z nią rozmowie zwrócił się do żony:

— Więc jakaż zapadła decyzja? Jedziecie? A ze mną co macie zamiar zrobić?

— Myślę, Alexandre, że powinieneś zostać w domu — odpowiedziała żona.

— Jak chcecie.

— Maman, dlaczego papa nie miałby z nami pojechać? — wtrąciła Kitty. — I jemu, i nam będzie różniej.

Stary książę wstał i pogłaskał Kitty po włosach. Podniosła głowę i patrzyła na

niego usiłując się uśmiechnąć. Zawsze miała wrażenie, że z całej rodziny ojciec rozumie ją najlepiej, choć rzadko do niej się odzywa. Kitty, jako najmłodsza, była ulubienicą ojca; zdawało się jej czasem, że miłość dla niej czyni go wręcz przenikliwym. Teraz, gdy wzrok jej napotkał wejrzenie jego niebieskich, dobrotliwych oczu patrzących na nią badawczo, wydało się jej, że ojciec widzi ją na wylot i domyśla się, ile się w niej złego kryje. Rumieniąc się podniosła ku niemu twarz, oczekując pocałunku, lecz księżę poklepał ją tylko z lekka po włosach i rzekł:

— Głupie te koki! Człęk do prawdziwych włosów własnej córki dobrać się nie może, tylko musi głaskać włosy jakichś zdechłych bab. No, Doleńko — zagadnął starszą córkę — a twój frant co porabia?

— Nic papo — odparła Dolly domyślając się, że mowa o jej mężu. — Ciągłe jest w rozjazdach i prawie zupełnie go nie widuję — dodała mimo woli z ironicznym uśmiechem.

— Jak to, nie wyjechał dotąd na wieś, żeby sprzedać las?

— Nie, wciąż się tylko wybiera.

— Więc to tak! — rzekł księżę. — Więc i ja mam się zbierać do drogi? Rozkaz — zwrócił się do żony, po czym usiadł. — A ty, wiesz co, Katia — uśmiechnął się do młodszej córki — ty pewnego pięknego poranku zbudź się i powiedz sobie: przecież ja jestem zupełnie zdrowa i wesoła i znów pójdziemy wcześniej rano przejść się z ojcem po mroziku. Co?

Zdawało się, że to, co ojciec powiedział, było całkiem zwyczajne, a jednak przy tych słowach Kitty stropiła się i zmieszała jak zbrodniarz schwytyany na gorącym uczynku. „Tak, papa wie wszystko, wszystkiego się domyślił i daje mi teraz do zrozumienia, że gdy kogo spotka wstyd, to trzeba jednak ten wstyd przemóc.” Kitty nie mogła się zdobyć na odpowiedź; wyjąkała parę słów, naraz rozplakała się i wybiegła z pokoju.

— Widzisz, do czego prowadzą twoje żarty! — oburzyła się księżna. — Bo ty zawsze... — i rozpoczęła mowę oskarżycielską.

Księżę wysłuchiwał dość długo w milczeniu wyrzutów małżonki, ale twarz jego stawała się coraz bardziej chmurna.

— Ona jest taka nieszczęśliwa, niebożatko, taka biedna, a ty nie czujesz, że rani ją każda aluzja do przyczyny jej cierpienia. Ach, jak można tak się zawieść na ludziach! — Z tonu księżnej Dolly i księżę odgadli, że ma na myśli Wrońskiego. — Nie rozumiem, dlaczego prawo nie ściga takich wstrętnych, podłych ludzi.

— Wolałbym tego nie słuchać! — odezwał się posepnie księżę wstając z fotela, jakby zamierzał wyjść, zatrzymał się jednak w progu. — Są na to ustawy, mamusi; ale jeśli mnie już do tego doprowadzasz, to powiem ci, kto wszystkiemu, winien: ty, ty i tylko ty. Prawa na takich zuchów zawsze były i są! Tak, gdyby nie okoliczności, których nie powinno było być, to choć jestem stary, sam zażądałbym od tego franta satysfakcji. Tak... A teraz; lecz ją sobie i sprowadzaj do domu tych szarlatanów.

Księżę zdawał się mieć jeszcze dużo do powiedzenia, lecz usłyszawszy ton jego

głosu księżna od razu — jak zwykle w kwestiach poważnych — spokorniała i poczuła się skruszona.

— Alexandre, Alexandre! — szepnęła zbliżając się do męża i wybuchnęła płaczem.

Na widok jej łez książe zaraz złagodniał i podszedł do niej.

— Dobrze już, dobrze! — pocieszał ją. — Wiem, że i tobie jest ciężko! Cóż zrobić! Nic strasznego się nie stało... Pan Bóg jest miłosierny... Dziękuję ci... — mówił sam już nie wiedząc co i czując na dłoni mokry od łez pocałunek żony ucałował ją również, po czym wyszedł z pokoju.

Już w chwili gdy Kitty. z płaczem opuściła salonik. Dolly, wiedzona instynktem matki, wnet zdała sobie sprawę, że ma przed sobą zadanie wymagające kobiecej ręki., i rozpoczęła swe przygotowania: zdjęła kapelusz i — zakasawszy niejako w duchu rękawy — zabrała się do dzieła. Gdy matka zaatakowała ojca, starała się powstrzymać księżnę na tyle, na ile pozwalało uszanowanie, jakie była winna matce. Kiedy książe wybuchnął gniewem, milczała; wstyd jej było za matkę, dla ojca natomiast poczuła tkliwość: dobroć u niego tak szybko brała górę nad gniewem Kiedy ojciec wyszedł, postanowiła uczynić to, co było najważniejsze, najbardziej pilne: pójść uspokoić Kitty.

— Chciałam już dawno powiedzieć, maman... Mama może nie wie, że Lewin miał zamiar oświadczyć się Kitty, kiedy był tu ostatnio. Mówił o tym Stiwie.

— I cóż z tego? Nie rozumiem...

— Możliwe, że Kitty dała mu kosza. Czy nic mamie nie powiedziała?

— Nie, nic mi nie mówiła ani o jednym, ani o drugim; jest na to zbyt ambitna. Wiem tylko, że to jest powodem wszystkiego...

— Ale niech mama sobie wyobrazi, że jeśli odmówiła Lewinowi... A nie odmówiłaby mu, gdyby nie tamten... wiem to na pewno... A potem tamten zawiódł ją tak straszliwie...

Księżna tak była przerażona swą winą wobec córki, że aż ją gniew ogarnął:

— Ach, ja już nic nie rozumiem! Dzisiaj każdy chce żyć według własnego rozumu; nic się matce nie mówi, a potem — masz...

— Pójdę do niej, maman.

— A idź! Czy ja ci bronię? — odpowiedziała matka.

Dolly weszła do gabinetu Kitty; był to ładniutki, różowy pokój, z laleczkami vieux Saxe, równie młodzieńczy, różowy i wesoły jak sama Kitty jeszcze dwa miesiące temu. Dolly przypomniała sobie, z jakim staraniem w zeszłym roku urządziły wraz z siostrą ten pokój i jak im było wesoło... Serce jej się ścisnęło na widok Kitty, która z oczyma wlepionymi w róg dywanu siedziała na niskim krześle, stojącym najbliżej drzwi. Kitty podniosła oczy na siostrę, lecz chłodny; nieco surowy wyraz jej twarzy ani trochę się nie zmienił.

— Zaraz muszę wracać do domu, a jak już raz tam się zamknę, nie wolno ci będzie mnie odwiedzać — rzekła Daria Aleksandrowna siadając obok niej. — Chciałabym z tobą pomówić.

— O czym? — spytała szybko Kitty, z lękiem podnosząc głowę.

— Oczywiście o twoim zmartwieniu.

— Nie mam żadnego zmartwienia.

— Dajże spokój, Kitty! Czy naprawdę sądzisz, że ja mogę o tym nie wiedzieć? Wiem wszystko... I wierzaj mi: to takie błahe!... Wszystkieśmy przez to przechodziły.

Kitty milczała, twarz jej nadal była surowa.

— On nie jest wart, byś z jego powodu cierpiała — rzekła Daria Aleksandrowna przystępując wprost do rzeczy.

— Tak... Dlatego, że mną wzgardził — łamiącym się głosem odrzekła Kitty. — Nie mów tak! Proszę cię, nie mów!

— Któż ci to powiedział? Nikt ci przecież tego nie mówił. Jestem przekonana że był w tobie zakochany i dotychczas kocha się w tobie, ale...

— Ach, najgorsze są te kondolencje! — wykrzyknęła Kitty unosząc się nagle gniewem. Obróciła się na krześle, rumieniec wystąpił na jej twarz i poczęła szybko poruszać palcami, ściskając " trzymaną na przemian to w jednej, to w drugiej ręce klamerkę od paska. Dolly znała to przyzwyczajenie siostry, która w chwilach wzburzenia zwykła była przekładać przedmioty z ręki do ręki, i wiedziała, że Kitty potrafi w podnieceniu stracić panowanie nad sobą i nagadać wiele zbytecznych i przykrych rzeczy. Chciała ją uspokoić, ale było już za późno.

— Co, co chcesz mi dać przez to do zrozumienia? Co? — mówiła prędko Kitty. — To, że byłam zakochana w człowieku, który mnie znać nie chciał, i że umieram z miłości do niego?!... I to mówi mi siostra, której się zdaje, że... że... że współczuje ze mną!... Nie potrzebuję takiego współczucia, dość mam tej obłudy!

— Jesteś niesprawiedliwa, Kitty.

— To czemu mnie dręczysz?

— Ależ nie! Ja, przeciwnie... Widząc, że masz zmartwienie...

Kitty wszakże była zbyt wzburzona, żeby ją w ogóle słyszeć.

— Nie mam czego żałować ani się po czym pocieszać. Mam na tyle ambicji, że nigdy nie pozwolą sobie pokochać człowieka, który by mnie nie kochał.

— Ja też wcale tego nie mówię... Jedno tylko — proszę cię, powiedz mi prawdę.

— Daria Aleksandrowna wzięła siostrę za rękę: — Powiedz, czy Lewin mówił ci?...

Na wzmiankę o Lewinie opanowanie Kitty do reszty przysło: zerwała się z krzesła, cisnęła klamerkę na podłogę i zawołała, szybko gestykułując:

— Po co wtrącasz do tego Lewina? Nie pojmuję, jaki cel masz w tym, żeby mnie dręczyć? Powiedziałam już i powtarzam, że mam swoją dumę i nigdy, nigdy nie zrobię tego co ty: żeby wrócić do człowieka, który zdradził, który pokochał inną. Ja tego nie rozumiem, nie rozumiem! To ty to potrafisz, nie ja!

Po tych słowach spojrzała na siostrę i widząc, że Dolly milczy ze smutnie zwieszoną głową, Kitty zamiast — jak zamierzała — wyjść z pokoju, usiadła przy drzwiach, ukryła twarz w chustce i spuściła głowę.

Milczenie trwało ze dwie minuty, Dolly rozmyślała nad sobą. Położenie, którego była nieustannie świadoma, odezwało się szczególnie boleśnie, gdy je siostra jej wypomniała. Nie oczekiwała od niej takiego okrucieństwa i zdjął ją gniew... Naraz jednak usłyszała szelest sukni i jednocześnie wybuch długo tłumionego łkania; czyjeś ręce z dołu sięgnęły ku niej i objęły ją za szyję. To Kitty klęczała przed nią.

— Doleńko, jestem taka nieszczęśliwa! — wyszlochała ze skrucą. I urocza, zalana łzami twarzyczka ukryła się w fałdach spódnicy Darii Aleksandrowny.

Jak gdyby łyzy były tym niezbędnym smarem, bez którego nie mógł dobrze funkcjonować mechanizm uczuć siostrzanych, obie siostry po wyplakaniu się rozpoczęły wynurzenia, nie o tym wprawdzie, co je interesowało, lecz rozumiały się już teraz mówiąc nawet o rzeczach postronnych. Kitty zdała sobie sprawą, że rzucone przez nią w uniesieniu słowa o niewierności Stiwy i o braku ambicji do głębi zraniły biedną jej siostrę, że Dolly już jej to jednak przebaczyła. Dolly ze swej strony dowiedziała się wszystkiego, co chciała wiedzieć. Przekonała się, że domysły jej były słuszne, że przyczyną zmartwienia i nieutulonego żalu Kitty było to, że Lewin oświadczył się jej i że ona mu odmówiła, gdy tymczasem Wroński ją oszukał... Że gotowa jest kochać Lewina, a nienawidzić Wrońskiego, Kitty nie wspomniała o tym ani słówkiem, zwierzyła się jej tylko ze swego wewnętrznego stanu.

— Ja się wcale nie martwię — mówiła już spokojniej — ale nie masz pojęcia, jak wszystko, a zwłaszcza ja sama, wydaje mi się wstrętne, obrzydliwe, ordynarne. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie ohydne myśli przychodzą mi przy każdej sposobności do głowy.

— Jakież ty możesz mieć ohydne myśli? — uśmiechnęła się Dolly.

— Jak najbardziej, najbardziej plugawe i ordynarne... Nie potrafię ci nawet opowiedzieć. To nie melancholia ani nuda, to coś znacznie gorszego. Jak gdyby wszystko, co było we mnie dobre, przepadło, a zostało tylko to, co wstrętne. Jak by ci to powiedzieć? — ciągnęła dalej, poznając po oczach siostry, że ta nie rozumie. — Papa przed chwilą zaczął do mnie mówić... A ja miałam wrażenie, że ma na myśli

tylko jedno: że powinnam wyjść za mąż. Mama jedzie ze mną na bal, a mnie się zdaje, że wiezie mnie. tam tylko po to, by mnie czym prędzej wydać i pozbyć się z domu. Wiem, że to nieprawda, lecz nie potrafię odpędzić od siebie tych myśli. Na tak zwanych konkurentów patrzeć nie mogę; wydaje mi się, że biorą ze mnie miarę. Dawniej było mi po prostu przyjemnie wybrać się gdziekolwiek w balowej sukni, nawet zachwycałam się sobą... Teraz mi wstyd, czuję się zażenowana. No, cóż chcesz! Doktor... Więc...

Kitty zacięła się. Chciała jeszcze powiedzieć; że od czasu kiedy zaszła w niej ta zmiana, czuje nieprzewyciężony wstręt również i do szwagra, a gdy go widzi, przychodzą jej do głowy najordynarniejsze i najszkaradniejsze wyobrażenia.

— Widzisz więc, że patrzę na wszystko z najohydniejszej, najbardziej brutalnej strony — tłumaczyła Kitty. — Na tym polega moja choroba. Może to przejdzie...

— Więc nie myśl o tym wszystkim...

— Nie mogę... Tylko z dziećmi jest mi dobrze i tylko u ciebie.

— Jaka szkoda, że nie będziesz mogła teraz u mnie bywać.

— Przeciwnie, przyjadę do ciebie. Miałam już szkarlatynę i uproszę mamon, żeby mi pozwoliła.

Kitty postawiła na swoim, przeniosła się do siostry i przez cały czas trwania szkarlatyny, która istotnie wybuchła u Obłońskich, doglądała dzieci. Obie siostry skutecznie wykurowały całą szóstkę, ale Kitty wciąż niedomagała, i z początkiem wielkiego postu Szczerbaccy wyjechali za granicę.

IV

Wyższe sfery Petersburga stanowią właściwie jedno zamknięte koło: wszyscy znają się nawzajem i bywają u siebie. W tym dużym kole istnieje jednak wiele podziałek. Anna Arkadiwna Karenin miała przyjaciół i utrzymywała bliskie stosunki towarzyskie w trzech różnych kołach. Jedno z nich — to było oficjalne, urzędowe koło jej męża, złożone z jego kolegów i podwładnych, którzy w hierarchii towarzyskiej byli w najrozmaitszy i najbardziej kapryśny sposób bądź ze sobą związani, bądź od siebie odgradzeni. Anna z trudnością przypominała sobie teraz ten zbożny niemal szacunek, jaki z początku budziły w niej owe osobistości. Dziś już znała je wszystkie tak dobrze, jak się znają wzajemnie ludzie w powiatowym miasteczku. Znała ich zwyczaje i słabostki, wiedziała, kogo jaki trzewik uwiera; znała ich wzajemne stosunki i stosunek do punktu centralnego. Wiedziała, kto kogo i jak popiera i kto dzięki czemu utrzymuje się na stanowisku. Wiedziała, kto z kim i w czym zgadza się lub różni. Ów krąg oficjalnych, czysto męskich zainteresowań nigdy jednak, mimo perswazyj hrabiny Lidii, nie potrafił Anny zająć, toteż starała się go unikać.

Drugim kółkiem . bliskim Annie było to, któremu mąż jej zawdzięczał karierę. Ośrodek stanowiła tu hrabina Lidia. Była to koteria złożona ze starych, brzydkich, cnotliwych i pobożnych kobiet oraz mądrych, uczonych i ambitnych mężczyzn. Jeden z mądrych ludzi należących do tego kółka nazywał je „sumieniem petersburskiego towarzystwa”. Aleksy Aleksandrowicz miał je w wysokiej estymie i Anna, która tak dobrze umiała dostroić się do każdego, znalazła i tutaj przyjaciół zaraz na wstępie swego pobytu w Petersburgu. Teraz jednak, po powrocie z Moskwy, koteria ta wydała się jej nie do zniesienia. Miała wrażenie, że zarówno ona sama, jak i wszyscy inni coś udają, i było jej tak nudno i tak nieswojo w tym towarzystwie, że zaczęła coraz rzadziej odwiedzać hrabinę Lidię Iwanownę.

Trzecie wreszcie koło, z którym miała do czynienia, to był właściwy wielki świat, świat balów, obiadów, olśniewających toalet, świat trzymający się jedną ręką dworskiej klamki, by nie stoczyć się do poziomu półświatka, którym światowcy owi, jak im się zdawało, pogardzali, chociaż w gruncie rzeczy mieli upodobania nie tylko z nim pokrewne, ale nawet zupełnie jednakowe. Z tą sferą Anna utrzymywała stosunki przez żonę swego kuzyna, księżną Betsy Twerską. Księżna miała sto dwadzieścia tysięcy rocznego dochodu i od chwili ukazania się Anny w towarzystwie wielce ją polubiła, okazywała jej szczególne względy i wciągała ją w swoją orbitę, wyśmiewając zarazem otoczenie hrabiny Lidii Iwanowny.

— Kiedy się zestarzeję i zbrzydnę, będę taka jak ona — mawiała Betsy. — Ale dla młodej, ładnej kobiety jak ty, kuzynko, jeszcze za wcześnie na ten przytułek dla starców.

Anna zrazu unikała, na ile mogła, kółka księżnej Twerskiej, ponieważ pociągało to za sobą wydatki ponad stan i ponieważ rzeczywiście wołała koteryjkę hrabiny Lidii. Lecz po powrocie z Moskwy, przeciwnie — unikała swych cnotliwych przyjaciół i zaczęła bywać w wielkim świecie. Spotykając tam Wrońskiego

doznawała za każdym razem radosnego wzruszenia. Najczęściej widywała go u Betsy, która jako Wrońska z domu, była jego stryjeczną siostrą. Wroński ze swej strony bywał wszędzie, gdzie mógł spotykać Annę, i przy każdej sposobności wyznawał jej swą miłość. Niczym go do tego nie upoważniała, za każdym jednak widzeniem ogarniał ją ten sam ożywczy płomień, co wówczas w wagonie, gdy go po raz pierwszy ujrzała. Czuła, jak na jego widok radość rozjaśnia jej oczy i układa wargi do uśmiechu, lecz nie mogła stłumić wyrazu tej radości.

Z początku szczerze wierzyła, że bierze mu za złe zuchwalstwo, z jakim ją prześladował. Wkrótce jednak po powrocie z Moskwy na jakimś wieczorze, gdzie go wbrew spodziewaniu nie spotkała, po smutku, jaki ją ogarnął, poznała wyraźnie, że okłamywała się sama i że natarczywość Wrońskiego nie tylko nie sprawia jej przykrości, ale przeciwnie — jest jedyną rzeczą w życiu, która ją obchodzi.

Znakomita śpiewaczka występowała po raz drugi i cały petersburski wielki świat był w teatrze. Wroński ze swego fotelu w pierwszym rzędzie zobaczył kuzynkę i nie czekając antraktu poszedł do jej łoży.

— Czemuż to nie przyjechałeś na obiad? — zapytała go Betsy. — Podziwiam u zakochanych ten dar jasnowidzenia — dodała z uśmiechem, po cichu, by nikt prócz niego nie słyszał — jej nie było... Ale przyjdź do mnie po operze.

Spojrzał na nią pytająco. Betsy skinęła głową. Podziękował jej uśmiechem i usiadł obok niej.

— Kiedy sobie przypomnę twoje kpinki... — mówiła żartobliwie księżna Betsy, która ze specjalnym upodobaniem śledziła postępy tej namiętności. — Gdzie się to wszystko podziało?! Dałeś się schwytać, mój drogi...

— Niczego tak nie pragnę, jak być schwytanym — odparł Wroński ze swym pogodnym, dobrodusznym uśmiechem. — Jeśli kiedy narzekam, to tylko na to, że — skoro już mam być szczery — nie dość jeszcze jestem schwytany. Zaczynam tracić nadzieję.

— Jakąż ty możesz mieć nadzieję? — zachnęła się Betsy, urażona za przyjaciółkę. — Entendons nous ... — Lecz iskrzące się w jej oczach błyski świadczyły, że wie o tym bardzo dobrze i zupełnie tak samo jak on rozumie, jaka to mogła być nadzieja.

— Żadnej — zaśmiał się pokazując swe nieskazitelne zęby. — Przepraszam — dodał i wyjąwszy jej z ręki lornetkę, począł wpatrywać się ponad jej obnażonym ramieniem w przeciwległy rząd "łóż. — Obawiam się, że staję się śmieszny.

Wiedział doskonale, że w oczach kuzynki i całej socjety śmieszność mu nie groziła. Wiedział aż nadto dobrze, że w ich oczach rola niefortunnego wielbiciela panny na wydaniu i w ogóle kobiety wolnej może się wydawać śmieszna, natomiast rola mężczyzny, który za wszelką cenę stara się skłonić do cudzołóstwa kobietę zamężną, ta rola ma w sobie jakieś imponujące piękno i nigdy nie może być przedmiotem drwin. Uśmiechnął się więc pod wąsem chełpliwie i wesoło, opuścił lornetkę i spojrzał na kuzynkę.

— A dlaczego nie przyjechałeś na obiad? — spytała Betsy patrząc na

Wrońskiego z uznaniem.

— Muszę ci to opowiedzieć. Byłem bardzo zajęty, a wiesz czym? Stawiam sto, tysiąc na jeden, że nie zgadniesz... Godziłem męża z kimś, kto obraził jego żonę. Tak, naprawdę!

— No i jakże, pogodziłeś ich? — Prawie że tak.

— Musisz mi to koniecznie opowiedzieć — rzekła wstając. — Przyjdź, podczas następnego antraktu.

— Me mogę; jadę do Teatru Francuskiego.

— Nie dosłuchasz Nilsonki do końca? — przeraziła się Betsy, mimo że sama nie potrafiłaby odróżnić śpiewaczki Nilsson od byle chórzystki.

— Cóż robić! Mam z kimś spotkanie, także w związku z moją akcją pojednawczą.

— Błogostawieni pokój czyniący, albowiem będą zbawieni — rzekła Betsy przypominając sobie, że coś w tym rodzaju od kogoś słyszała. — Siadaj więc i opowiedz mi, jak to było. — To mówiąc usiadła znów na swoim miejscu.

Trochę to nieprzyzwoite, ale takie urocze, że mam wielką ochotę ci opowiedzieć — rzekł Wroński patrząc na nią roześmianymi oczyma. — Nazwisk nie będę wymieniał.

— Ale ja i tak je odgadnę... Tym lepiej.

— Posłuchaj więc: jedzie sobie dwóch wesołych młodych ludzi...

— Oczywiście, oficerów twojego pułku?...

— Nie powiedziałem: oficerów... Po prostu: dwóch młodych ludzi zaraz po śniadaniu...

— Chcesz powiedzieć: pod dobrą datą.

— Być może... Jadą więc w jak najróżowszych humorach do kolegi na obiad i widzą, jak mija ich w dorożce ładna kobieta, która ogląda się i tak im się przynajmniej zdawało, daje im ze śmiechem jakieś znaki. Oczywiście, oni — za nią. Pędzą co tchu. Ku ich zdumieniu ślicznotka owa zatrzymuje się przed tym właśnie domem, do którego jadą i oni. Ślicznotka wbiega napiętro. Widać tylko różane usteczka spod woalki i prześliczne maleńkie nóżki.

— Opowiadasz to z takim przejęciem, jak gdybyś sam był jednym z tych dwóch...

— A przed chwilą co mówiłaś? No, więc młodzi ludzie r/chodzą sobie do tego kolegi. Był tam obiad pożegnalny. Tu, rzeczywiście, może i piją nieco za wiele, jak zawsze na pożegnalnych obiadach... A przy stole dopytują się, kto mieszka na górze... Nikt nie wie. Tylko lokaj pana domu na pytanie, czy na górze mieszkają mamzele, odpowiada, że pełno ich tam mieszka. Zaraz więc po obiedzie młodzi ludzie udają się do gabinetu pana domu i piszą list do nieznanym. Napisali namiętny list, wyznanie miłosne, i sami niosą go na górę, chcąc osobiście wyjaśnić to, co w liście mogłoby być niezrozumiałe.

— I po co opowiadasz mi takie paskudztwa? No, i co dalej?

— Dzwonią. Służąca otwiera im drzwi. Oddają jej list i zapewniają, że obaj są tak zakochani, że gotowi są umrzeć na miejscu, pode drzwiami. Ostąpiła dziewczyna zaczyna z nimi pertraktować, gdy wtem zjawia się jegomość z baczkami w kształcie kielbasek, czerwony jak rak, oświadcza, że oprócz niego i żony nikt w ncej w domu nie mieszka, i wyrzuca ich obu za drzwi.

— Skąd wiesz, że miał, jak powiadasz, baczki w kształcie kielbasek?

— Słuchaj tylko dalej. Byłem tam dzisiaj, żeby doprowadzić do pojednania.

— No i co?

— To jest właśnie najciekawsze. Okazało się, że jest to szczęśliwa para małżeńska, radca tytularny i radczyni tytularna. Radca oskarża, a ja gram rolę rozjemcy, i to jakiego rozjemcy!... Zapewniam cię, że w porównaniu ze mną Talleyrand jest zerem.

— A na czym polegają trudności?

— Posłuchaj tylko... Przepraszaliśmy, jak należy: „Jesteśmy w rozpaczycy; zechcą państwo wybaczyć to nieszczęsne nieporozumienie.” Radca tytularny z kiełbaskami już zaczyna mięknać, ale pragnie także dać upust swym uczuciom, a jak tylko zaczyna je wypowiadać, gniew go ponosi i mówi rzeczy obrażające. Znow więc muszę puszczać w ruch cały mój kunszt dyplomatyczny: „Zgadzam się z panem, że z ich strony był to brzydki postępek, lecz proszę wziąć pod uwagę pomyłkę, młodość... Przy tym młodzi ludzie byli świeżo po śniadaniu. Pan rozumie,.. Żałują z całej duszy i proszą o darowanie im winy.” Radca tytularny znow mięknie.

„Zgadzam się, hrabio, gotów jestem przebaczyć, ale sam pan rozumie, że żonę moją, kobietę uczciwą, napastowano, obrażono w grubiański, impertynencki sposób i że uczynili to smarkacze, szubr...” Tymczasem ten smarkacz, rozumiesz, jest tam obecny, a ja mam za zadanie doprowadzić do zgody. Uciekam się więc ponownie do dyplomacji, ale cóż, kiedy sprawa dobiega końca, mój radca zaczyna się znow unosić, czerwienieje, kiełbaski się jeżą, a ja znow. jestem zmuszony sięgać po moje dyplomatyczne finezje.

— Ach, muszę to pani koniecznie opowiedzieć! — śmiała się Betsy zwracając się do znajomej, która właśnie weszła do łoży. — Mój kuzyn tak mnie ubawił!...

— A więc, bonne chance — dodała podając Wrońskiemu jedyny palec nie zajęty trzymaniem wachlarza i ruchem ramion tak zsuwając w dół wycięcie sukni, by wydać się, jak to było przyjęte, zupełnie nagą, gdy wyszedłszy ku przodowi łoży, znajdzie się W świetle gazu i w ogniu skierowanych na nią spojrzeń.

Wroński pojechał do Teatru Francuskiego, gdzie istotnie miał się zobaczyć z dowódcą pułku, który nie opuszczał ani jednego przedstawienia w tym teatrze, i pomówić o swej misji pokojowej. Zajmowała go ona i bawiła już od paru dni. Do sprawy zamieszani byli — Petrycki, którego Wroński lubił, i młody, niedawno przybyły do pułku książę Kiedrow, dobry chłopak i doskonały kompan. Przede wszystkim jednak chodziło tu o honor pułku.

Obaj należeli do szwadronu Wrońskiego.

U dowódcy pułku zjawił się urzędnik, radca tytularny Wenden, ze skargą na oficerów, którzy ubliżyli jego żonie. Młoda małżonka, jak opowiedział Wenden — żonaty od pół roku — była z matką w cerkwi; nagle na skutek wiadomego stanu zrobiło się jej niedobrze. Nie mogąc dłużej stać, wzięła pierwszego napotkanego rysaka i udała się do domu. Wówczas oficerowie poczęli ją gonić: przestraszyła się więc, poczuła się gorzej i wbiegła po schodach na górę. Wenden ze swej strony po powrocie z biura posłyszał dzwonek i nieznanym głosem; wyszedł do przedpokoju i widząc pijanych oficerów z listem wypchnął ich za drzwi. Domagał się surowego ukarania winnych.

— Nie, jak pan sobie chce — powiedział dowódca pułku Wrońskiemu zawezwawszy go do swej łoży —Petrycki staje się niemożliwy! Nie ma tygodnia bez skandalu. Ten urzędnik nie puści tego płazem, pójdzie z tym wyżej.

Wroński widział, że to brzydka sprawa i że o pojedynku nie może być mowy, rozumiał więc, że należy uczynić wszystko, by ułagodzić owego radcę i całą historię

zatuszować. Dowódca pułku poruczył to właśnie Wrońskiemu, cenił bowiem jego szlachetność i rozum, a przede wszystkim miał go za człowieka dbającego o honor pułku. Po wspólnej naradzie postanowili byli, że Petrycki i Kiedrow powinni pojechać wraz z Wrońskim i osobiście przeprosić radcę tytularnego. Dowódca pułku i Wroński — obaj zdawali sobie sprawę, że nazwisko Wrońskiego i jego fligel-adiutancka cyfra mogą się walenie przyczynić do udobruchania radcy. I rzeczywiście oba te środki częściowo dowiodły swej skuteczności, wynik akcji pojednawczej był wciąż jednak, jak to Wroński opowiadał kuzynce wątpliwy.

Po przybyciu do Teatru Francuskiego Wroński wyszedł z dowódcą pułku do foyer i zdał sprawę ze swych sukcesów i niepowodzeń. Dowódca pułku po namyśle postanowił nie wyciągać z tej historii żadnych konsekwencji, ale później — przez ciekawość — zaczął wypytywać o szczegóły widzenia z Wendenem i długo nie mógł stłumić śmiechu słysząc od Wrońskiego, jak radca, już prawie ułagodzony, raz po raz od nowa się unosił na wspomnienie szczegółów incydentu i jak Wroński — wciąż lawirując — przy ostatnim półsłówku układał Petryckiego naprzód, a sam się wycofywał.

— Paskudna sprawa, ale umrzeć można ze śmiechu. Przecież Kiedrow nie może się bić z tym panem! Więc radca tak się bardzo sierdził? — ze śmiechem dopytywał się pułkownik. — A jak się panu dzisiaj podoba Claire? Cudowna! — podziwiał nową aktorkę francuską. — Ile razy się na nią patrzy, tyle razy jest inna. Tylko Francuzi to potrafią.

Księżna Betsy opuściła teatr przed końcem ostatniego aktu. Ledwo zdążyła wejść do ubieralni, upudrować swą długą, bladą twarz, zetrzeć puder i poprawić toaletę, ledwo kazała podać herbatę w dużym salonie — gdy przed jej ogromny dom przy Wielkiej Morskiej poczęły jedna po drugiej zajeżdzać karety. Goście wysiadali na szerokim dojeździe i otyły szwajcar, który co dzień rano za szklanymi drzwiami czytał ku zbudowaniu przechodniów gazety, bezszelestnie otwierał te wielkie podwoje i usuwał się na bok, wpuszczając przybywających.

Prawie jednocześnie do obszernego salonu o ciemnych ścianach i puszystych dywanach weszli przez jedne drzwi świeżo upudrowana i uczesana pani domu, przez drugie — goście. Na rześście oświetlonym stole jaśniała w ogniach świec biel obrusu, srebro samowaru i przezroczysta porcelana serwisu do herbaty.

Pani domu usiadła przy samowarze i zdjęła rękawiczki. Goście z pomocą dystkretnych lokajów poprzysuwali sobie krzesła, dzieląc się od razu na dwie grupy: jedna przy samowarze w pobliżu Betsy, druga na przeciwległym końcu salonu, dokoła pięknej żony zagranicznego posła. Dama owa miała czarną aksamitną suknię i czarne ostro zarysowane brwi. W obu tych centrach — rozmowa — przerywana co chwila wchodzeniem nowych gości, powitaniem, roznoszeniem herbaty — jak zwykle na samym początku wciąż się rwała, jakby szukała, na czym by się zatrzymać.

— Jest doskonałą aktorką; widać od razu, że wystudiowała Kaulbacha — mówił dyplomata spośród otoczenia żony posła. — Zauważyliście państwo, jak ona upadła?

— Zlitujcie się, nie mówmy o Nilsonce! Nic nowego o niej powiedzieć się nie da — zaprotestowała ubrana w starą jedwabną suknię gruba, czerwona na twarzy blondynka bez brwi i bez szynionu. Była to księżna Miagkaja, znana ze swej bezpośredniości i prostackiego obojętności, o przewisku *enfant terrible*. Siedziała teraz pośrodku, między jedną a drugą grupą, przysłuchując się i biorąc udział w rozmowie to tu, to tam. — Już trzy osoby powiedziały mi dzisiaj ten sam frazes o Kaulbachu, jakby się wszyscy zmówili. Nie wiem doprawdy, dlaczego to zdanie tak im się spodobało.

Uwaga księżnej Miagkiej urwała rozmowę i trzeba było znaleźć nowy temat.

— Niech pan nam opowie coś zabawnego, ale niezłośliwego — podjęła znów żona posła, wielka mistrzyni wykwintnej konwersacji, zwanej przez Anglików *small-talk*, zwracając się do dyplomaty, który również nie wiedział, od czego teraz zacząć.

— Powiadają, że to bardzo trudne, że tylko złośliwość jest zabawna — rozpoczął z uśmiechem. — Ale spróbuję. Proszę o temat. Wszystko zależy od tematu. Gdy się już ma kanwę, można z łatwością na niej haftować. Często myślę, że nawet znakomici gawędziarze zeszłego stulecia byliby w kłopotcie, gdyby teraz zapragnęli powiedzieć coś mądrego. Wszystkie mądrości już nam tak obrzydły...

— I to też dawno już powiedziano... — przerwała ze śmiechem żona posła.

Rozmowa rozpoczęła się bardzo przyjemnie — ale właśnie dlatego, że była tak niezmiernie gładka, znów utknęła. Trzeba było sięgnąć po wypróbowany, niezawodny środek — obmowę.

— Czy pani nie uważa, że Tuskiewicz jest trochę w stylu Ludwika XV? — spytał dyplomata wskazując oczyma na stojącego przy stole pięknego młodego blondyna.

— Istotnie! Jest w tym samym guście co i salon. Dlatego tak często tutaj bywa.

Rozmowa utrzymała się, za pomocą bowiem aluzji poruszono właśnie to, o czym niepodobna było mówić w tym salonie, a mianowicie stosunek Tuskiewicza do pani domu.

Przy samowarze, w otoczeniu pani domu, rozmowa także przez pewien czas ważyła się pomiędzy trzema nieuniknionymi tematami: najświeższą nowiną towarzyską, teatrem i krytyką bliźnich, aż w końcu, po natrafieniu na ten ostatni, to jest na obmowę, ustaliła się.

— Słyszeliście państwo, że Maltiszczewa — matka, nie córka — sprawia sobie także kostium diable rose?

— Nie może być! Nie!... To wspaniałe!

— Dziwię się, jak przy jej inteligencji — jest przecież niegłupia — można do tego stopnia nie zdawać sobie sprawy z własnej śmieszności.

Każdy miał coś do powiedzenia, każdy krytykował i ośmieszał nieszczęsną panią Maltiszczew, i rozmowa zaiskrzyła się wesoło, jak rozgorzałe nareszcie ognisko.

Mąż księżnej Betsy, poczciwy grubas, namiętny zbieracz sztychów, dowiedziawszy się, że żona ma gości, przed wyjściem do klubu zajrzał do salonu i podszedł bez szmeru po miękkim dywanie do księżny Miagkiej.

— Jak się księżnej podobała Nilsonka? — zapytał. — Kto widział tak się skradać! Ach! jakże księżę mnie przestraszył! — zawołała. — Proszę z łaski swojej nie mówić ze mną o operze: księżę nic a nic się nie zna na muzyce. Już wolę się poświęcić i rozmawiać o majolikach i rycinach księcia. Jakiż skarb kupił świeżo księżę na tandecie?

— Jeśli księżna chce, to mogę pokazać.... Cóż, kiedy księżna na tym się nie zna.

— Proszę pokazać. Nauczyłam się tego u tych... jakże oni się nazywają?... u tych bankierów. Mają śliczne ryciny, pokazywali je nam.

— Jak to, byliście u Schutzburgów? — zdziwiła się pani domu.

— Byliśmy, ma chere. - Zaprosili nas z mężem na obiad...

— Mówiono mi, że sos na tym obiedzie kosztował tysiąc rubli — opowiadała głośno księżna Miagkaja, dobrze wiedząc, że wszyscy słuchają — a sos był wręcz obrzydliwy... Coś zielonego. Trzeba było z kolei i ich zaprosić. U mnie był sos za osiemdziesiąt pięć kopiejek i wszystkim bardzo smakował. Nie stać mnie na tysiąc rublowe sosy.

— Ona jest jedyna w swoim rodzaju! — zawołała księżna Betsy.

— Zdumiewająca! — potwierdził ktoś inny.

Efekt, jaki wywoływała księżna Miagkaja, był zawsze niezawodny, a tajemnica jego polegała na tym, że księżna mówiła rzeczy proste i mające sens, chociaż nie zawsze — jak choćby teraz — stosowne. W towarzystwie, do którego należała, tego rodzaju powiedzenia działały jak najdowcipniejszy żart. Księżna nie rozumiejąc, dlaczego tak było, zdawała sobie jednak z tego sprawę i umiała to wykorzystać.

Ponieważ podczas opowiadania księżnej wszyscy jej słuchali i rozmowa wokół żony pośła umilkła, pani domu, pragnąc zespolić towarzystwo, zwróciła się do niej:

— Czy pani naprawdę nie chce herbaty? Prosimy panią do nas.

— Dziękuję, jest nam tu bardzo dobrze — uśmiechnęła się żona pośła i znów podjęła przerwana rozmowę.

Rozmowa była bardzo zajmująca: krytykowano oboje Kareninów.

— Anna zmieniła się bardzo od powrotu z Moskwy; jest teraz taka dziwna.— zauważyła jedna z przyjaciółek Anny.

— Najważniejsza zmiana polega na tym, że przywiozła ze sobą cień, Aleksego Wrońskiego — dodała żona pośła.

— I cóż z tego? Istnieje bajka Grimma o człowieku bez cienia, człowieku, którego pozbawiono cienia; miało to być dla niego karą za coś, nigdy jednak nie mogłem pojąć, na czym ta kara polegała... Ale kobiecie musi być bez cienia przykro.

— Tak, to prawda, tylko że kobiety z cieniem zwykle źle kończą — orzekła przyjaciółka Anny.

— A bodajbyś pani pypcia dostała! — powiedziała nagle księżna Miagkaja. — Anna to przeurocza kobieta. Męża jej nie lubię, ale ją samą — bardzo.

— A dlaczego księżna nie lubi jej męża? — To taki wybitny człowiek — zainteresowała się żona pośła. — Mąż mój twierdzi, że niewiele jest takich głów w Europie.

— I mój mąż jest również tego samego zdania, ale ja się z nim nie zgadzam — rzekła księżna. — Gdyby mężowie nasi nic nam nie mówili, widziałybyśmy rzeczy tak, jak one są. Karenin, moim zdaniem, jest po prostu głupi. Mówię to po cichu... Prawda, jak wszystko od razu staje się jasne? Przedtem, gdy mi kazano uważać go za rozumnego, wciąż łamałam sobie głowę i znajdowałam, że sama jestem głupia, bo nie widzę jego rozumu. Jak tylko jednak powiedziałam sobie, ale po cichutku, szeptem: on jest głupi — od razu wszystko stało się jasne, prawda?

— Jaka księżna dzisiaj złośliwa!

— Ale gdzież tam! Po prostu nie mam innego wyjścia ktoś z nas dwojga jest głupi. No, a jak państwu wiadomo o sobie nigdy tego powiedzieć nie można.

— Nikt nie jest kontent ze swojej fortuny, każdy — ze swego rozumu — zacytował dyplomata wiersz francuski.

— Otóż to właśnie — potwierdziła szybko księżna Miagkaja zwracając się ku niemu. — Ale tu chodzi o to, że Anny wam nie oddam na pastwę. Taka urocza, taka

miła! Cóż ona może na to poradzić, że wszyscy się w niej kochają i chodzą za nią jak cienie?

— Ależ ja ani myślę jej potępiać — usprawiedliwiła się przyjaciółka Anny.

— To, że za nami nikt jak cień nie chodzi, nie- jest jeszcze powodem, byśmy miały prawo krytykować innych.

Dawszy w ten sposób porządnie po nosie przyjaciółce Anny księżna wstała i wraz z żoną zagranicznego posła zbliżyła się do stołu, przy którym toczyła się ogólna rozmowa o królu pruskim.

— Kogoście tam państwo obgadywali? — zapytała Betsy.

— Kareninów. Księżna skreśliła nam sylwetkę Aleksego Aleksandrowicza — odpowiedziała z uśmiechem żona posła siadając przy stole.

— Szkoda, żeśmy tego nie słyszeli — zauważyła pani domu spoglądając na drzwi. — A, nareszcie! — powitała uśmiechem Wrońskiego, który wchodził właśnie do salonu.

Wroński nie tylko wszystkich znał, ale tych, którzy tu byli, widywał codziennie, wszedł więc do salonu ze swobodą, z jaką się wchodzi do pokoju pełnego osób, które się dopiero co pożegnało.

— Skąd przybywam tak późno? — odpowiedział na pytanie żony posła. — Trudno, muszę się przyznać: z teatru Bouffes. Zdaje się, że byłem tam po raz setny, a zawsze z nową przyjemnością. Zachwycające! Wiem, że to wstyd, ale ja na operze drzemię, natomiast w Bouffes siedzę zawsze do ostatniej sekundy i dobrze się bawię... Dzisiaj...

Tu wymienił z nazwiska francuską aktorkę i chciał coś o niej powiedzieć, ale żona posła przerwała mu żartobliwą zgrozą:

— Proszę, niech nam pan nie opowiada o tych okropnościach!

— Dobrze, nie będę... Tym bardziej że wszyscy i tak już te okropności znają.

— I wszyscy by tam pojechali, gdyby to było tak przyjęte jak opera — dodała księżna Miagkaja.

Za wejściowymi drzwiami rozległ się odgłos kroków i księżna Betsy, wiedząc, że to pani Karenin, spojrzała na Wrońskiego. Ten spoglądał na drzwi i twarz jego nabierała dziwnego, nowego wyrazu. Z radością, uważnie, a zarazem nieśmiało patrzył na przybyłą i z wolna podnosił się z miejsca. Anna wchodziła do salonu. Trzymając się jak zwykle nadzwyczaj prosto i patrząc wprost przed siebie — szła. Szybkim, pewnym i lekkim krokiem, który ją tak różnił od innych pań z towarzystwa; przeszła niewielką przestrzeń dzielącą ją od pani domu, podała jej rękę, uśmiechnęła się do niej i wciąż z tym samym uśmiechem obejrzała się na Wrońskiego. Wroński skłonił się nisko i przysunął jej krzesło.

Anna odpowiedziała tylko skinieniem głowy, zarumieniła się i uśmiech znikł z jej twarzy. Zaraz potem, kłaniając się pospiesznie znajomym i ściskając ręce, które się ku niej wyciągały, zwróciła się do Betsy:

— Byłam u hrabiny Lidii. Chciałam wcześniej przyjechać, ale zasiedziałam się tam. Był u niej sir John. To bardzo ciekawy człowiek.

— Ach, ten misjonarz?

— Tak, opowiadał nadzwyczaj interesujące rzeczy o życiu w Indiach.

Rozmowa, przerwana przybyciem Anny, znów zawahała się jak płomień lampy, na którą dmuchnięto.

— Sir John! Tak, sir John. Widziałam go. Ślicznie mówi. Własiewa jest w nim całkiem zakochana.

— A czy to prawda, że młodsza Własiewa wychodzi za Topowa?

— Tak, podobno to już ostatecznie, postanowione.

— Dziwię się rodzicom! Mówią, że to małżeństwo z namiętnej miłości.

— Z namiętnej miłości? Jakie pani ma przedpotopowe pojęcia! Któż dzisiaj mówi o namiętnościach — odezwała się żona pośta.

— Cóż robić! Ta głupia stara moda wciąż się jeszcze nie da wykorzezić — powiedział Wroński.

— Tym gorzej dla tych, co jej hołdować nie przestają. Znam szczęśliwe małżeństwa, ale tylko z rozsądku.

— Tak, a za to jak często w małżeństwach z rozsądku szczęście ulatnia się jak dym, właśnie dlatego, że nagle pojawia się owa miłość, której nie chciano uznać — zaoponował Wroński.

— Małżeństwami z rozsądku nazywamy przecie takie, w których obie strony zdążyły się już wyszumieć, ale przed ślubem. To jest jak szkarlatyna: trzeba przez to przejść.

— W takim razie należałoby nauczyć się sztucznie zaszczepiać miłość, jak się szczepi ospę.

— W młodości kochałam się w diaczku — wyznała księżna Miagkaja. — Nie

wiem, czy mi to co pomogło.

— Nie, bez żartów, myślę, że najlepiej poznaje się miłość, gdy się najpierw popełni omyłkę, a potem ją naprawi — powiedziała księżna Betsy.

— Nawet po ślubie? — żartobliwie spytała żona poła.

— Nigdy nie jest za późno na skruchę — zacytował angielskie przysłowie dyplomata.

— Właśnie — potwierdziła Betsy — trzeba popełnić omyłkę, a potem ją naprawić. A ty co o tym myślisz, kuzynko? — zwróciła się do Anny, która z wyrazem nieustępliwości i nieznacznym uśmiechem przysłuchiwała się rozmowie.

— Ja sędzę. — odrzekła Anna bawiąc się zdjętą rękawiczką — że jeśli prawdziwe jest powiedzenie: ile głów, tyle rozumów, to również prawdziwe: ile serc, tyle rodzajów miłości.

Wroński patrzył na Annę i z zamierającym sercem oczekiwał, co powie. Po tych jej słowach odetchnął, jakby ominęło go jakieś niebezpieczeństwo.

Nagle Anna zwróciła się do niego:

— A ja dostałam list z Moskwy; piszą mi, że Kitty Szczerbacka jest bardzo chora.

— Doprawdy? — zasępił się Wroński. Anna zmierzyła go surowym spojrzeniem.

— Pana to nie interesuje?

— Przeciwnie, bardzo. Czy można wiedzieć, co mianowicie piszą?

Anna wstała i podeszła do stołu.

— Proszę o filiżankę herbaty — rzekła stając za krzesłem Betsy.

Podczas gdy Betsy nalewała herbatę, Wroński podszedł do Anny.

— Więc cóż jest w tym liście? — zapytał znowu.

— Nieraz myślę, że mężczyźni nie zdają sobie sprawy, co jest nieszlachetne, a tymczasem zawsze o tym mówią — zauważyła Anna nie odpowiadając wprost na pytanie. — Chciałam to już dawno panu powiedzieć — dodała siadając przy stoliku z albumami o parę kroków dalej, w kącie salonu.

— Niezupenie rozumiem, co pani ma na myśli — rzekł podając jej filiżankę.

Spojrzała na miejsce obok siebie na kanapie i Wroński pospieszył je zająć.

— Tak, chciałam powiedzieć panu — nie patrzyła na niego — że źle pan postąpił, źle, bardzo źle.

— A czyż ja nie wiem, że źle postąpiłem? Ale kto jest tego przyczyną?

— Dlaczego pan mi to mówi? — zapytała spoglądając surowo na Wrońskiego.

— Pani wie dlaczego. — odpowiedział zuchwale i radośnie, szukając oczyma jej wzroku i wytrzymując jej spojrzenie.

Nie on się teraz zmieszał, lecz ona.

— To tylko dowodzi, że pan jest bez serca — rzekła. Bijący wszakże z jej oczu lęk zdradzał, że Anna przejrzała serce Wrońskiego i dlatego właśnie boi się go.

— To, o czym pani przed chwilą wspominała, było omyłką, to nie była miłość.

— Pan pamięta, że zabroniłam panu wymawiać to słowo, szkaradne słowo — i mówiąc to Anna wzdrygnęła się; poczuła od razu, że powiedziawszy „zabroniłam”, zgłosiła niejako pewne prawa do osoby Wrońskiego, a tym samym zachęciła go do wyznań miłosnych. — Już dawno chciałam to panu powiedzieć — mówiła dalej, patrząc mu stanowczo w oczy i cała płonąć rumieńcem, który jej palił policzki — dzisiaj umyślnie przyjechałam, wiedząc, że pana tutaj spotkam, przyjechałam panu powiedzieć, że to się musi skończyć. Nigdy dotychczas nie rumieniłam się przed nikim, a pan sprawia, że ciągle czuję się tak, jakbym popełniła jakąś winę.

Patrzył na nią: uderzyła go nowa, uduchowiona piękność jej twarzy.

— Czego pani żąda ode mnie? — zapytał poważnie i z prostotą.

— Chcę, aby pan pojechał do Moskwy i prosił Kitty o przebaczenie.

— Pani nie chce tego naprawdę.

Widział, że Anna zmusza się do tej odpowiedzi, że nie mówi tego, co by powiedzieć chciała.

— Jeśli, jak pan twierdzi, pan mnie kocha — szepnęła — to niech pan sprawi, abym była spokojna.

Wroński rozpromienił się.

— Czyż pani nie wie, że pani jest całym moim życiem? Ale i ja nie znam spokoju, i pani go dać nie mogę. Całego siebie, miłość — tak! Nie mogę rozdzielić myśli o pani od myśli o sobie: pani i ja to dla mnie jedno. I na przyszłość nie widzą spokoju ani dla siebie, ani dla. pani... Widzę rozpacz, nieszczęście... albo też — szczęście, i to jakie szczęście!... Czyż ono nie jest możliwe? — dodał najcichszym szeptem. Ale Anna go dosłyszała.

Cała skupiła się w sobie, chcąc powiedzieć to, co powiedzieć było jej powinnością... Lecz ogarnęła go tylko spojrzeniem pełnym miłości — i nic nie rzekła.

„A więc nareszcie! — myślał w upojeniu. — Gdy już byłem bliski rozpacz i zdawało się, że tak będzie bez końca... Nareszcie! Kocha mnie... Przyznaje się do tego.” — Niechże pan to dla mnie zrobi i nie mówi tak do mnie nigdy, a będziemy przyjaciółmi — wyrzekły jej usta, podczas gdy oczy mówiły całkiem co innego.

— Przyjaciółmi nie będziemy; pani sama o tym wie. A czy będziemy najszczęśliwsiymi, czy też najnieszczęśliwsiymi z ludzi — to jest w pani mocy.

Chciała coś odpowiedzieć, ale Wroński jej przerwał:

— Tylko o jedno przecie proszę: proszę, by pani nie odbierała mi nadziei i pozwoliła dalej cierpieć jak dotąd. Jeśli i to jest niemożliwe, niech mi pani każe zniknąć, a zniknę. Jeśli obecność moja sprawia pani przykrość, nie będzie mnie pani widywała.

— Ja nie chcę pana nigdzie wypędzać.

— Niech pani tylko nic nie zmienia. Niech wszystko zostanie tak, jak było dotychczas — rzekł drżącym głosem. — Oto mąż pani!

Istotnie, w tej chwili Karenin wchodził do salonu swym spokojnym, niezgrabnym krokiem.

Spojrząwszy mimochodem na żonę i na Wrońskiego, podszedł do pani domu, dostał filiżankę herbaty przy -stole i począł mówić po swojemu, powolnie i dobitnie, zwykłym swym ironicznym tonem, jakby kpiąc z kogoś.

— Rambouillet księżnej jest w komplecie — tu obrzucił wzrokiem towarzystwo.
— Gracje i muzy.

Księżna Betsy wszelako nie cierpiała tego tonu Karenina i nazywała go sneering . Jak o wytrawna pani domu. skierowała rozmowę na poważny temat: obowiązek powszechnej służby wojskowej. Karenin zaraz dał się wciągnąć w dyskusję i zaczął całkiem poważnie bronić nowej ustawy przed atakami Betsy.

Wroński i Anna wciąż siedzieli przy małym stoliku.

— To zaczyna być nieprzyzwoite — szepnęła jedna z pań wskazując wzrokiem na Wrońskiego, Annę i jej męża.

— A co nie mówiłam?! — zauważyła przyjaciółka Anny.

Ale nie tylko te panie, lecz prawie wszyscy obecni, nawet księżna Miagkaja i Betsy — raz po raz spoglądali na oddaloną od reszty towarzystwa parę, jak gdyby to im przeszkadzało. Jeden tylko Aleksy Aleksandrowicz ani razu nie spojrzął w tę stronę i nie odrywał się od ciekawej konwersacji.

To niemile ogólne wrażenie nie uszło uwagi księżnej Betsy, podsunęła więc Kareninowi na swoje miejsce kogoś i podeszła do Anny.

— Zawsze podziwiam jasność i ścisłość określeń twego męża — powiedziała. — Kiedy o czymś mówi, najbardziej transcendentalne pojęcia stają się dla mnie dostępne.

— O tak! — potwierdziła Anna z promiennym uśmiechem szczęścia.

Nie rozumiała ani jednego słowa z tego, co mówiła Betsy. Zbliżyła się do dużego stołu i wzięła udział w ogólnej rozmowie.

Karenin odczekał pół godziny, po czym podszedł do żony i zaproponował jej wspólny powrót do domu; odpowiedziała mu nie patrząc na niego, że zostaje na kolacji. Ukłonił się wszystkim i wyszedł. Stary, gruby Tatar w błyszczącym skórzanym płaszczu, stangret Kareninów, z trudnością powstrzymywał zziębniętego lewego siwka, stojącego dęba pod gankiem. Lokaj stał przy otwartych drzwiczkach karety, a szwajcar przytrzymywał drzwi wejściowe. Pani Karenin, odczepiając pośpiesznie drobną rączką koronkę rękawa od haftki futra, z lekko pochyloną głową słuchała w zachwycie słów Wrońskiego, który ją odprowadzał.

— Pani nic nie powiedziała; dajmy na to, że i ja nic nie żądam, ale pani wie, że nie o przyjaźń mi chodzi. Jedno tylko szczęście może mnie spotkać w życiu: to słowo, którego pani tak nie lubi... Tak, miłość...

— Miłość... — powtórzyła powoli z głębi serca i nagle, w tej właśnie chwili, kiedy wreszcie odczepiła koronkę, dodała:— Dlatego nie lubię tego słowa, że dla mnie znaczy zbyt wiele, znacznie więcej, niż pan może sobie wyobrazić! — i

popatrzyła na niego badawczo.— Do widzenia!

Podążyła mu rękę, szybkim, sprężystym krokiem minęła szwajcara i wsiadła do karety.

Spojrzenie Anny, dotknięcie jej ręki przeszły Wrońskiego jak ogień. Pocałował na swej dłoni miejsce, którego ona dotknęła, i udał się do domu szczęśliwy, w przeświadczeniu, że ten wieczór bardziej zbliżył go do celu niż poprzednie całe dwa miesiące.

Karenin nie widział nic nadzwyczajnego i niestosownego w tym, że jego żona siedziała z Wrońskim przy osobnym stoliku i z ożywieniem o czymś z nim rozmawiała. Zauważył natomiast, że inne osoby w salonie uznały to za rzecz niewłaściwą i nieprzyzwoitą, dlatego i jemu wydało się to niewła ciwe. Postanowił, że należy powiedzieć o tym żonie. Po powrocie do domu poszedł, jak to zwykł był czynić, do swego gabinetu, usiadł w fotelu, otworzył w miejscu założonym nożykiem książkę o papizmie i wedle swego zwyczaju czytał do pierwszej. Chwilami tylko pocierał wysokie czoło i potrząsał głową, jak gdyby pragnąc coś od siebie odpędzić. O zwykłej porze wstał i zrobił wieczorną toaletę. Anny wciąż jeszcze nie było. Z książką pod pachą wszedł na górę. Tego wszakże wieczoru głowa jego — zamiast jak zwykle myślami i koncepcjami dotyczącymi spraw urzędowych — była zaprzątnięta myślą o żonie i o czymś przykrym, co się z nią wiązało. Wbrew przyzwyczajeniu nie położył się do łóżka, lecz założywszy splecione ręce do tyłu, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokojach. Nie mógł się położyć; czuł, że najpierw musi się zastanowić nad nowymi- warunkami, wobec których się znalazł.

Karenin powziął decyzję, by rozmówić się z żoną, i wydawało mu się to bardzo łatwe i proste; teraz jednak, gdy począł się zastanawiać nad sytuacją, jaka się wytworzyła, wydało mu się to nader trudne i skomplikowane.

Nie był zazdrosny. Zazdrość, zdaniem jego, ubliżała żonie: do żony należy mieć zaufanie. Czemu należy mieć zaufanie, czyli zupełną pewność, że jego młoda żona zawsze go będzie kochała — tego pytania nigdy sobie nie zadawał. Ponieważ nie odczuwał nieufności, miał zaufanie i mówił sobie, że mieć je należy. Teraz jednak, chociaż pozostał wierny przekonaniu, że zazdrość jest uczuciem hańbiącym i że powinno się ufać żonie — poczuł, że stoi wobec czegoś nielogicznego i bezsensownego, i nie wiedział, co począć. Stał twarzą w twarz z życiem, z możliwością, że żona kocha kogoś poza nim, i wydało mu się to całkiem bezsensowne i niezrozumiałe, ponieważ to było właśnie — samo życie. Karenin zawsze tkwił i pracował w sferach urzędowych, które miały do czynienia jedynie z odbiciem życia, więc ilekroć zdarzało mu się zetknąć z samym życiem, natychmiast się usuwał. Obecnie doznawał wrażenia, jakiego doznałby człowiek, który by spokojnie przekroczył po moście przepaść i nagle zobaczył, że most został rozebrany i że jest tam tylko otchłań. Ta otchłań to było życie rzeczywiste, mostem zaś. — życie sztuczne, jakie pędził dotąd Karenin. Po raz pierwszy postawił sobie w myśli pytanie, czy żona mogłaby pokochać innego, i myśl ta napełniła go przerażeniem. Nie rozbierając się chodził swym miarowym krokiem po dającym dźwięczny odzew parkiecie jadalni, oświetlonej jedyną lampą, po dywanie ciemnego salonu, gdzie światło odbijał tylko jego własny, niedawno malowany, wielki portret, zawieszony nad kanapą, i po gabinecie żony, gdzie paliły się dwie świece, oświetlając portrety jej krewnych i przyjaciółek oraz ładne, od dawna mu znane drobiazgi na biurku. Przez ten jej pokój dochodził do sypialni i znów zawracał.

Na każdym etapie tego spaceru, a najczęściej na parkiecie jasno oświetlonej jadalni Karenin zatrzymywał się i mówił do siebie: „Tak, trzeba to koniecznie rozstrzygnąć i położyć temu kres, wypowiedzieć swoje zdanie i powziąć decyzją...”, i szedł z powrotem. „Lecz co mianowicie wypowiedzieć? Jaką powziąć decyzję? — zapytywał sam siebie w salonie i nie znajdował odpowiedzi. — A wreszcie — mówił sobie przed wejściem do jej gabinetu — cóż się takiego stało? Nic. Rozmawiała z nim długo. Z iluż ludźmi kobieta zwykła rozmawiać w towarzystwie!... A poza tym zazdrość poniża i mnie, i ją” — rozumował wchodząc; lecz argument ten, który przedtem miał dla niego taką wagę, teraz już nic nie ważył i żadnego nie miał znaczenia. I Karenin od drzwi sypialni wracał znów do salonu, a z chwilą znalezienia się w ciemności słyszał jakiś głos, że to nieprawda i że skoro inni coś zauważyli, to niewątpliwie coś w tym być musi. I znów powtarzał sobie w jadalni: „Tak, tak, należy to koniecznie rozstrzygnąć, położyć temu kres i wypowiedzieć swoje zdanie”... I znów w salonie, zanim zawrócił, zadawał sobie pytanie: „Jak rozstrzygnąć?”, a potem zapytywał: „Cóż się takiego stało?” I odpowiadał: - „Nic”, przypominając sobie, że zazdrość jest uczuciem poniżającym żonę; lecz w salonie znowu dochodził do przekonania, że jednak coś zaszło. Myśli jego, podobnie jak i jego ciało, zakreślały doskonałe koło nie natrafiając na nic nowego. Zdał sobie z tego sprawę, potarł czoło i usiadł w gabinecie żony.

W chwili gdy wzrok Karenina padł na jej biurko, na malachitową suszkę oraz rozpoczęty liścik, rozważania jego zmieniły tok: zaczął myśleć o Annie, o tym, co ona myśli i czuje. Po raz pierwszy żywo wyobraził sobie jej życie osobiste, jej poglądy i pragnienia, i myśl, że ona może mieć i zapewne ma swoje własne osobne życie, wydała mu się tak przerażająca, że czym prędzej ją od siebie odrzucił. To była owa otchłań, w którą lękał się zapuścić wzrok. Funkcja psychiczna polegająca na wnikaniu myślą i uczuciem do duszy innej istoty była Kareninowi obca. Uważał to za szkodliwe i niebezpieczne fantazjowanie.

„A najstraszniejsze jest — myślał — że właśnie teraz, gdy moja sprawa dobiega końca (miał na myśli projekt, który w tym czasie przeprowadzał), gdy potrzebny mi jest jak największy spokój i skupienie wewnętrzne, teraz właśnie wali się na mnie ten nieuzasadniony alarm. Ale cóż robić?! Nie należę do ludzi, którzy poddają się zaniepokojeniu i popłochowi nie mając dość siły, by zajrzeć im w oczy.”

— Powinienem obmyślić, rozstrzygnąć i skończyć z tym — wyrzekł głośno.

„Kwestia jej uczuć, to, co się działo i co się dziać może w jej duszy, nie należy do mnie, to rzecz jej” sumienia i rzecz religii” — powiedział sobie czując ulgę na myśl, że znalazł rozporządzenie wykonawcze regulujące nowo powstałą okoliczność.

„A więc — mówił sobie Karenin — kwestia jej uczuć i tak dalej to rzecz jej sumienia i to mnie dotyczyć nie może. Moja powinność określona jest wyraźnie: jako głowa rodziny, obowiązany jestem nią kierować, na mnie tedy częściowo spada odpowiedzialność. Powinienem wskazać żonie niebezpieczeństwo, które dostrzegam, ostrzec ją, a nawet użyć mego autorytetu. Muszę jej to powiedzieć.”

I w głowie Karenina ułożyła się wyraźnie cała treść mającej nastąpić rozmowy z

żoną. Obmyślając to, co powie, stwierdził z pewnym żalem, że musi poświęcić tyle czasu i sił umysłowych, bez żadnego poklasku, na domowy użytek. Mimo to forma i plan przemówienia do Anny ułożyły mu się tak jasno i dobitnie jak raport. „Winienem powiedzieć i wyłuszczyć, co następuję: po pierwsze, objaśnić, jakie jest znaczenie opinii publicznej i względów przyzwoitości; po drugie, wytłumaczyć znaczenie, jakie małżeństwu przypisuje religia; po trzecie, w razie potrzeby wskazać, że syna może dotknąć nieszczęście; po czwarte, przestrzec, jakie nieszczęście jej samej zagraża.” Tu Karenin splótł palce opuszczonych w dół dłoni i wyprężył je, aż zatrzeszczały w stawach.

Ten odruch — złe przyzwyczajenie splatania rąk i trzaskania w palce — zawsze go uspokajał i przywracał mu równowagę, która teraz była mu tak potrzebna, właśnie bowiem dał się słyszeć odgłos zajeżdżającej karety. Karenin zatrzymał się na środku salonu.

Kobiece kroki rozległy się na schodach." Karenin, przygotowany do swego przemówienia, stał zaciskając splecione palce i nad słuchując, czy który jeszcze raz nie trzaśnie. Jeden staw zatrzeszczał.

Już po odgłosie lekkich kroków na schodach poznał, że to żona się zbliża, i chociaż był zadowolony z przygotowanego dyskursu, zdjął go strach przed mającą nastąpić rozmową.

IX

Anna szła ze schyloną głową, bawiąc się chwastami baszłyka. Twarz jej jaśniała ostrym blaskiem, nie było w nim wszakże radości, przypominał raczej groźny blask pożaru wśród ciemnej nocy. Na widok męża podniosła głowę i uśmiechnęła się jak zbudzona ze snu.

— Jeszcze się nie położyłeś? To istny cud! — rzekła zrzucając baszłyk, po czym nie zatrzymując się przeszła dalej, do ubieralni. — Czas już, mój drogi! — rzuciła zza drzwi.

— Anno, muszę z tobą pomówić.

— Ze mną? — zdziwiła się. Stała w progu i spojrzała na niego. — I cóż to takiego? Na jaki temat? — dopytywała się siadając. — Porozmawiajmy więc, jeśli to konieczne, ale doprawdy lepiej byłoby pójść spać.

Anna mówiła odruchowo, bez najmniejszego namysłu, i przysłuchując się sobie, sama się dziwiła, że tak potrafi kłamać. Jak proste i naturalne były jej słowa i jak prawdopodobne było, że się jej chce spać! Poczuła się jakby zakuta w nieprzenikniony pancerz kłamstwa, pewna, że pomaga jej i podtrzymuje ją jakaś niewidzialna siła.

— Anno, muszę cię ostrzec! — zaczął Karenin.

— Ostrzec? — spytała. — Przed czym?

Wejrzenie jej było tak naturalne i pogodne, że nikt, kto nie znał jej tak jak mąż, nie mógłby zauważyć nic sztucznego ani w brzmieniu, ani w treści tych słów.

Dla Karenina wszakże, który ją znał, który pamiętał, że gdy czasami kładł się spać o pięć minut później, zaraz zwracała na to uwagę i pytała o przyczynę, który przywykł do tego, że żona dzieliła się z nim natychmiast każdą radością i każdym zmartwieniem — to, że obecnie Anna nie chciała zauważyć jego nastroju, że nie chciała mu powiedzieć ani słówka o sobie, było wielce zastanawiające. Dostrzegł, że głąb jej duszy, dotychczas zawsze dla niego dostępna, dziś była przed nim zasłonięta. Nie dosyć na tym, z tonu Anny poznał, że ona bynajmniej się tym nie trapi i zdaje się wręcz mówić mu: „To prawda. Tak być powinno i tak będzie nadal.” Karenin doświadczał uczuć człowieka, który po powrocie do domu zastaje dom zamknięty. „Ale może klucz się jeszcze odnajdzie” — myślał

— Chcę cię ostrzec — zaczął cichym głosem — że przez nieopatrność i lekkomyślność możesz dać powód do plotek w towarzystwie. Twoja dzisiejsza, nazbyt ożywiona rozmowa z hrabią Wrońskim (dobitnie i nie śpiesząc się wymówił to nazwisko) zwróciła uwagę.

Mówił i jednocześnie patrzył w jej roześmiane, a przez swą nieprzenikliwość dla niego przerażające oczy, i mówiąc czuł, że słowa jego są nieskuteczne i daremne.

— Z tobą tak zawsze — odpowiedziała Anna, jakby zupełnie go nie rozumiejąc i ze wszystkiego, co powiedział, rozmyślnie biorąc pod uwagę tylko ostatnie wyrazy — raz ci się nie podoba, że jestem znudzona, to znów że jestem wesoła. Dziś nie

nudziłam się. Czy cię to razi?

Karenin drgnął i wygiął dłonie zamierzając trzaskać w palce.

— Ach, proszę cię, tylko nie trzaskaj, ja tego tak nie lubię! — zawołała Anna.

— Anno, nie poznaję cię! — cicho wyrzekł Karenin opanowując odruch; ręce jego znieruchomiały.

— Ależ co się stało? — zdumiała się tak zabawnie i szczerze. — Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Karenin milczał chwilę, pocierając ręką czoło i powieki. Spostrzegł, że zamiast tego, co postanowił uczynić, to jest zamiast ostrzec żonę przed potknięciem się towarzyskim, mimo woli z niepokojem bada jej sumienie i usiłuje przebić jakiś mur rysujący się w jego wyobraźni.

— Oto, co zamierzam powiedzieć — zaczął znów chłodno i ze spokojem — i proszę cię, byś mnie wysłuchała. Uważam, jak wiesz, że zazdrość ubliża człowiekowi i poniża go, i nigdy nie pozwolę, by uczucie to mną kierowało. Ale są pewne przepisy przyzwoitości, którym nie można bezkarnie uchybiać. To nie ja osobiście dziś zauważyłem, ale sądząc z ogólnego wrażenia wszyscy dostrzegli, że zachowałeś się nie całkiem tak, jakby sobie można było życzyć.

— Doprawdy, nic nie rozumiem — rzekła Anna wzruszając ramionami. „Jemu osobiście jest to obojętne, ale w towarzystwie coś spostrzeżono i to go niepokoi” — pomyślała — Jesteś niezdrów, mój drogi — dodała wstając i podeszła do drzwi, lecz on zrobił kilka kroków, jakby chciał ją zatrzymać.

Twarz Karenina była w tej chwili brzydka i ponura; Anna nigdy go jeszcze takim nie widziała. Zatrzymała się. i przechyliwszy głowę w tył, zaczęła szybko wyjmować szpilki z włosów.

— No, słucham cię — powiedziała spokojnie, z ironią. — I nawet słuchać będę z zainteresowaniem, bo chciałabym zrozumieć, o co chodzi.

Mówiła i dziwił ją jej własny, naturalny i spokojny, odpowiedni ton, zarówno jak i trafny dobór słów.

— Nie mam prawa wnikać we wszystkie szczegóły twych uczuć i w ogóle uważam to za rzecz bezcelową, a nawet szkodliwą — zaczął Karenin. — Grzebiąc w duszy wydobywamy nieraz to, co leżałoby tam niepostrzeżenie. Twoje uczucia to rzecz twojego sumienia. Ja wszelako mam obowiązek — wobec ciebie, wobec samego siebie i wobec Boga — przypomnieć ci o twoich powinnościach. Jesteśmy ze sobą związani; nie ludzie nas złączyli, ale Bóg.. Tylko występek może rozerwać taki związek, a występki tego rodzaju pociągają za sobą ciężką karę.

— Nie rozumiem... Ach, mój Boże, a na dobitkę tak mi się chce spać! — Anna przebierała szybko palcami szukając pozostałych we włosach szpilek.

— Anno, na miłość boską, nie mów tak — rzekł łagodnie. — Może ja się mylę, ale wierzaj mi, że to, co mówię, mówię równie dobrze dla siebie, jak i dla ciebie. Jestem twoim mężem i kocham cię.

Na jedno tylko mgnienie pochyliła głowę i szydercza iskra w jej oczach zgasła,

słowo „kocham” na nowo jednak ją oburzyło. „Kocha? — pomyślała. — Czyż on potrafi kochać? Gdyby nie znał miłości ze słyszenia, nigdy by nawet nie używał tego wyrazu. On nie wie, co to jest miłość.”

— Mój drogi, doprawdy zupełnie ciebie nie rozumiem — rzekła. — Mów wreszcie, co takiego zauważyłeś?

— Pozwól, daj mi skończyć. Kocham cię... Ale nie o mnie przecież tu chodzi: główne osoby to nasz syn i ty sama. Bardzo być może, raz jeszcze powtarzani, że słowa moje wydadzą ci się niewłaściwe i zupełnie bezpodstawne; może są wynikiem pomyłki... W takim razie przepraszam cię. Ale jeżeli sama czujesz, że mają jakieś, choćby najmniejsze podstawy, to proszę cię, zastanów się i rozmów się ze mną tak, jak ci serce podpowie...

Karenin bezwiednie mówił całkiem nie to, co sobie z góry przygotował.

— Nie mam nic do powiedzenia. A zresztą... — powiedziała nagle prędko, z trudnością powstrzymując uśmiech — doprawdy, czas już spać.

Aleksy Aleksandrowicz westchnął i nic już nie mówiąc więcej udał się do sypialni.

Gdy weszła tam z kolei Anna, leżał już w łóżku. Wargi miał surowo zaciśnięte, a oczy jego nie patrzyły w jej stronę. Położyła się na swoim miejscu oczekując, że mąż raz jeszcze się odezwie. Lękała się, że przemówi do niej, a zarazem pragnęła tego. Ale Karenin milczał. Długo czekała leżąc nieruchomo, zapomniawszy już całkiem, o mężu. Myślała o kimś innym, widziała go przed sobą i czuła, jak niepokój i występna radość napełniają jej serce... Nagle usłyszała równy i spokojny świst przez nos. W pierwszej chwili śpiący jak gdyby sam zląkł się tego dźwięku, zatrzymał się, przeczekał dwa oddechy, po czym świst rozległ się w nowych, miarowych już odstępach.

— Późno... Późno już, późno — szeptała Anna z uśmiechem. Długo leżała nieruchomo z otwartymi oczyma, których blask — zdawało się jej — sama dostrzegała w ciemnościach.

Od tego wieczoru zaczęło się dla Karenina i jego żony nowe życie. Nie zdarzyło się nic osobliwego. Anna, jak zwykle, bywała w towarzystwie, a zwłaszcza często u księżnej Betsy, i wszędzie spotykała Wrońskiego. Karenin o tym wiedział, lecz nic nie mógł na to poradzić. Wszystkie jego usiłowania, by doprowadzić do jakichś wyjaśnień, natrafiały u niej na nieprzebyty mur pogodnego niezrozumienia. Pozornie wszystko było niezmienione, lecz wewnętrzne ich stosunki zmieniły się całkowicie. Karenin, człowiek tak niezachwiany, gdy chodziło o działalność państwową, tu czuł się bezradny. Ze zwieszoną kornie głową, jak wół, czekał na uderzenie obucha, który — czuł to — był nad nim wzniesiony. Ilekroć zaczynał o tym myśleć, zdawał sobie sprawę, że trzeba by raz jeszcze spróbować, że dobrocią, czułością, namową można by ją jeszcze uratować, skłonić do opamiętania, i co dzień postanawiał się z nią rozmówić. Skoro tylko jednak zaczynał mówić, czuł, że duch przewrotności i fałszu, który ją opętał, opanowuje również i jego, tak że mówił z nią nie o tym i nie takim tonem, jakim zamierzał. Wpadał mimo woli w swój zwykły wobec niej ton, jakby podrzywając z kogoś, kto by tak mówił naprawdę. W tym tonie niepodobna było powiedzieć jej tego, co należało.

To, co przez cały prawie rok stanowiło dla Wrońskiego jedyne pragnienie jego życia, to, co zastąpiło mu wszelkie dawne pragnienia, a o dla Anny było niemożliwym, przerażającym, a przez to samo tym bardziej czarującym marzeniem o szczęściu — spełniło się. Stał nad nią blady, z drgającą dolną szczęką i błagał, by się uspokoiła. Nie wiedział, ani dlaczego rozpacza, ani jak ją ukoić.

— Anno! Anno! — prosił drżącym głosem. — Anno, na miłość boską!

Ale im głośniej przemawiał, tym niżej opuszczała swą niegdyś dumną, radosną, teraz zhańbioną głowę i cała chyliła się i nieomal zsuwała z kanapy, na której siedziała, na podłogę do nóg Wrońskiemu. Byłaby upadła na dywan, gdyby nie to, że ją trzymał.

— Boże mój, przebacz mi! — szlochała przyciskając, jego rękę do piersi.

Czuła się tak bardzo występna i winna, że nie pozostawało jej nic innego, jak korzyć się i prosić o przebaczenie, a że nie miała odtąd w życiu nikogo poza nim, do niego zwracała swe błaganie. Widok jego budził w niej uczucie poniżenia podobne do fizycznego urazu i nie była w stanie powiedzieć nic więcej. On zaś czuł w tej chwili to, co zapewne czuje morderca na widok ciała, które pozbawił życia. Ciałem, które postradało życie, była ich miłość, pierwszy jej okres. Było coś przerażającego i wstrętnego we wspomnieniu o tym, co okupiono tą straszną ceną hańby. Wstyd duchowej nagości przytłaczał ją i udzielał się także i jemu. Mimo jednak całej zgrozy, jaką odczuwa zabójca wobec ciała zamordowanego, trzeba przecież pokrajać na kawałki, ukryć te zwłoki — i morderca winien wykorzystać to, co przez morderstwo uzyskał.

Podobnie jak zabójca, gdy z wściekłością pokrewną namiętności rzuca się na zwłoki, wlecze je i kraje — tak Wroński pokrywał teraz twarz i ramiona Anny pocałunkami. Trzymała jego rękę i nie poruszała się. „Tak, te pocałunki — oto, co zostało kupione za cenę hańby. Tak, i ta jedyna ręka, która zawsze będzie do mnie należała — ręka współnika.” Uniosła ją i pocałowała. Ukląkł przed nią i chciał jej zajrzeć w twarz, lecz Anna kryła ją bez słowa. Wreszcie, jakby się przemagając, wstała i odsunęła go od siebie. Twarz jej wciąż była równie piękna, ale tym większą budziła litość.

— Wszystko skończone — wyrzekła. — Nie mam już nic prócz ciebie... Pamiętaj o tym.

— Jakżebym mógł zapomnieć o czymś, co jest moim życiem. Za jedną chwilę takiego szczęścia...

— To ma być szczęście! — powiedziała z taką odrazą i przerażeniem, że przerażenie to mimo woli udzieliło się i jemu. — Na miłość boską, ani słowa, ani słowa więcej.

Szybko wstała i odsunęła się od niego.

— Ani słowa więcej — powtórzyła i z niepojętym dla niego wyrazem zastygłej

rozpaczy rozstała się z nim. Czuła, że w tej chwili uczucia wstydu, radości i strachu przed wstąpieniem w nowe życie nie dadzą się ująć w słowa, nie chciała więc o nich mówić, by ich nie pospolitować źle dobranymi wyrazami. I później wszakże, na drugi i na trzeci dzień, nie tylko nie znalazła słów wyrażających całą zawziętość tych uczuć, lecz nie potrafiła nawet znaleźć myśli, za pomocą których byłaby w stanie zastanowić się nad tym, co się w jej duszy działo.

Mówiła sobie: „Nie, teraz nie mogę o tym myśleć; może potem, gdy będę spokojniejsza.” Spokój ów wszakże nigdy nie następował; ilekroć uprzytomniała sobie, co uczyniła, co się z nią stanie i jak powinna postąpić, ogarniało ją przerażenie i odpędzała te myśli od siebie.

„Później, później — mówiła sobie — gdy będę spokojniejsza.” Za to w snach, gdy opuszczała ją władza nad myślą, sytuacja przedstawiała się jej w całej swej potwornej nagości. Jedną zwłaszcza senna zjawia nawiedzała ją prawie każdej nocy. Śniło się jej, że była żoną ich obu, że obaj obsypywali ją pieścizotami. Aleksy Karenin płakał całując ją po rękach i mówił: „Jak dobrze jest teraz!” I Aleksy Wroński także był przy niej, i również był jej mężem. I dziwiąc się, że przedtem wydawało jej się to niemożliwe, tłumaczyła im ze śmiechem, że przecież tak jest daleko prościej i że teraz obaj są zadowoleni i szczęśliwi... Ów sen przytłaczał ją jak zmora i budziła się, przerażona.

Już w pierwszych dniach po powrocie z Moskwy Lewin, który dotąd za każdym wspomnieniem sromotnego odkosza wzdrygał się i czerwienił, rzekł sobie: „Tak samo zdrygałem się, czerwieniłem i uważałem wszystko za stracone, gdy dostałem pałkę z fizyki i nie przeszedłem na trzeci kurs. Tak samo uważałem, że przepadłem na wieki, gdy źle załatwiłem sprawę powierzoną mi przez siostrę. Tymczasem teraz, gdy minęły lata, przypominam to sobie i dziwię się, że mnie to w ogóle martwić mogło. Tak samo będzie i z obecnym zmartwieniem. Przejdzie czas i będą na to patrzył obojętnie.”

Upłynęły jednak trzy miesiące, a Lewin nie zubożał; wspomnienie rekuzy było dla niego równie bolesne jak w pierwszych dniach. Nie mógł się uspokoić, marząc bowiem od dawna o rodzinnym życiu do którego czuł się tak prawdziwie dojrzały, ciągle nie był jeszcze żonaty, a obecnie nawet był bardziej, niż kiedykolwiek oddalony od żeniaczki. Odczuwał boleśnie — jak zresztą odczuwali wszyscy z jego otoczenia — że w jego latach źle jest człowiekowi być samemu. Przypomniawszy sobie, jak przed wyjazdem do Moskwy mówił do pastucha Mikołaja, naiwnego chłopca, z którym lubił czasem pogawędzić: „No, Mikołaju, chcę się żenić”, i jak Mikołaj od razu odpowiedział z pośpiechem, niby o rzeczy, co do której nie mogło być żadnej wątpliwości: „Od dawna już czas, Konstanty Dmitryczu.” A teraz małżeństwo odsunęło się od niego na czas nieokreślony. Miejsce było zajęte. Gdy w wyobraźni stawiał tam jakąś inną znajomą dziewczynę, czuł, że to zupełnie niemożliwe. Poza tym trapiło go i zawstydzalo wspomnienie odmowy i roli, jaką przy tym odegrał. Chociaż mówił sobie, że nie ma w tym ani trochę jego winy, wspomnienie to, pospołu z innymi wstydliwymi wspomnieniami w tym samym rodzaju, sprawiało, że wzdrygał się i czerwienił. Były w przeszłości Lewina, jak to bywa u każdego człowieka, złe postęпки, z których sobie zdawał sprawę, za które sumienie powinno byłoby go dręczyć, pamięć o złych uczynkach nigdy go jednak tak nie dręczyła, jak te błahe, lecz żenujące wspomnienia. Te rany nigdy się nie zablizniały. Na równi z owymi wspomnieniami stała teraz odmowa Kitty i ta żalosna sytuacja, w której widzieli go inni owego wieczoru. Czas i praca robiły wszakże swoje. Nieznaczące, a jednak doniosłe wydarzenia wiejskiego życia coraz bardziej przesłaniały mu bolesne wspomnienia. Z każdym tygodniem rzadziej myślał o Kitty. Czekał niecierpliwie na wiadomość, że już wyszła lub właśnie wychodzi za mąż, i miał nadzieję, że to uleczy go równie skutecznie jak wyrwanie chorego zęba.

Tymczasem nadeszła wiosna, piękna, życzliwa, bez zwykłego ociągania się i bałamuctw, jedna z tych rzadkich wiosen, którą cieszą się pospołu rośliny, zwierzęta i ludzie. Piękna ta wiosna jeszcze bardziej podniosła na duchu Lewina i umocniła go w zamiarze, by wyrzec się całej przeszłości i zorganizować swoje samotne życie na niewzruszalnych i niezależnych zasadach. Chociaż zaniechał wielu spośród projektów, z którymi powrócił był na wieś, rzeczy najważniejszej, czystości życia, dochował. Nie doświadczał tego wstydu, który zwykle dręczył go po

upadkach; mógł śmiało patrzeć ludziom w oczy. Jeszcze w lutym dostał był od Marii Nikołajewny wiadomość, że zdrowie Mikołaja pogarsza się i że chory pomimo to nie chce się leczyć. Na skutek tego listu Lewin pojechał do Moskwy do brata i zdołał go nakłonić do zasięgnięcia porady lekarskiej i wyjazdu do wód za granicę. Udało mu się tak gładko namówić brata, nie rozdrażniając go, by przyjął pożyczkę, że i pod tym względem mógł być zupełnie z siebie zadowolony. Poza zajęciami gospodarskimi, wymagającymi na wiosnę szczególnej uwagi, i poza lekturą Lewin owej zimy rozpoczął jeszcze pisać dzieło o gospodarstwie wiejskim. Chodziło mu o przeprowadzenie zasady, by charakter robotnika był uważany w gospodarstwie rolnym za taką samą daną absolutną jak klimat i gleba i aby w konsekwencji wszelkie założenia wiedzy gospodarczej nie opierały się wyłącznie na danych klimatu i gleby, lecz ponadto także na określonym, niezmiennym charakterze robotnika. Tak więc Lewin pomimo osamotnienia, a może dzięki niemu, miał życie wypełnione po brzegi zajęciami i tylko z rzadka odczuwał chęć zwierzenia się z błędzących mu po głowie myśli komuś poza starą Agafią, chociaż i z nią zdarzało mu się dość często rozprawiać o fizyce, o różnych teoriach gospodarczych, a zwłaszcza o filozofii... Filozofia była ulubionym tematem rozmów starej niani.

Wiosna długo nie nadchodziła. W ostatnich tygodniach wielkiego postu pogoda ustaliła się jasna i mroźna. W dzień na słońcu bywała odwilż, a nocą temperatura dochodziła do siedmiu stopni poniżej zera; skorupa lodowa na polach była tak mocna, że jeżdżono na przełaj, bez drogi. Na Wielkanoc leżał śnieg. I nagle na drugi dzień świąt powiał ciepły wiatr, nadciągnęły chmury i przez trzy dni i trzy noce lał rześisty ł ciepły deszcz. We czwartek wiatr ucichł i nastąpiła gęsta, szara mgła, jakby kryjąc tajemnicę dokonujących się w przyrodzie przemian. W tej mgle popłynęły wody, kry lodowe zatrzeszczały i drgnęły, szybciej ruszyły mętne, spienione strugi i w samą Przewodnią Niedzielę przed wieczorem mgła się rozpełzła, chmury rozbiegły się przybierając kształt baranków, niebo się przetało i nastąpiła prawdziwa wiosna. Rankiem mocne słońce pożarło ciekłą warstwę lodu, która przez noc ścięła wody, i całe rozgrzane powietrze zadrgało od napełniających je oparów zmartwychwstałej ziemi. Zazieleniła się zeszłoroczna i nowa, strzelająca igiełkami z ziemi trawa, napęczniały pączki kaliny, porzeczek i lepkiej, pełnej pieniających się soków brzozy. Na osypanej złocistym kwieciem łozinie zahuczała wystana na zwiady, znużona lotem pszczoła. Zaniósł się od śpiewu niewidzialne skowronki nad aksamitem ozimin i nad zamarzniętym ścierniskiem; zapłakały czajki nad bagnami i nad zalanymi burą, nieskoro spływającą wodą niżami, a wysoko przeciągnęły z głośnym kłangorem klucze żurawi i gęgające stada dzikich gęsi. Zaryczało wyliniałe nierówno bydło na wygonach, krzywoniwie jagnięta poczęły wyskakiwać dokoła tracących wełnę, beczących matek. Po niezupełnie jeszcze suchych, pokrytych śladami stóp ludzkich ścieżkach rozbiegły się lekkonogie dzieci; nad stawem zaterkotały wesołe głosy bab niosących płótno, a po podwórzach zastukały topory chłopów szykujących sochy i brony. Przyszła prawdziwa wiosna.

Lewin wciągnął długie buty, po raz pierwszy w tym roku włożył nie futro, lecz sukienny kabat, po czym poszedł do gospodarstwa przeskakując strumyki wody, która na słońcu raziła blaskiem oczy, i stąpając to po lodzie, to po lepkiem błocie.

Wiosna jest porą planów i postanowień. Po wyjściu z domu Lewin — jak drzewo na wiosnę zrazu nieświadome, w którą stronę i jak rozrosną się zawarte w nabrzmiątych pączkach pędy i gałęzie — sam jeszcze dobrze nie wiedział, do czego się teraz weźmie w ulubionym gospodarstwie, czuł się jednak pełen jak najpiękniejszych planów i najlepszych zamierzeń. Przede wszystkim poszedł obejrzeć bydło. Wypuszczone na okólnik, wygrzane w słońcu krowy, połyskując gładką po wylinieniu sierścią, ryczały prosząc się w pole. Nacieszywszy się widokiem krów, które znał aż do najdrobniejszych szczegółów, Lewin kazał je wypędzić na wygon, a do okólnika wpuścić cielęta. Pastuch wesoło pobiegł przygotować się do wyjścia w pole. Baby skotarki, unosząc samodziałowych spódnic i pluskając po błocie bosymi, białymi jeszcze, nie opalonymi nogami, z prętami w ręku biegały za porykującymi, oszalałymi z wiosennej uciechy cielętami, wpędzając je na podwórze. Po nacieszeniu się młodym przychówkiem, który tego roku był niezwykle dorodny — wczesne cielęta były tak duże jak chłopskie krowy, a trzymiesięczna córka Pawy wyglądała na roczną jałówkę — Lewin kazał wynieść dla nich na dwór koryta i ponakładać świeżego siana za drabki. Tu wyszło na jaw, że w nie używanym przez zimę okólniku świeżo sporządzone w jesieni drabinki były połamane! Posłano po cieślę, zgodzonego do naprawy młocarni, lecz okazało się, że ten naprawia właśnie brony, które miały być zreperowane jeszcze w ostatki. Zirykowało to wielce Lewina. Gniewało go niewymownie, że znów powtarza się to wieczne niedbalstwo w gospodarce, z którym od tylu lat z całych sił się borykał. Dowiedział się, że niepotrzebne zimą drabinki, przeznaczone tylko dla cieląt i dlatego bardzo lekko sklecone, zostały przeniesione do stajni fornalskiej, gdzie je oczywiście połamano. Poza tym okazało się, że brony i wszystkie inne narzędzia rolnicze, które kazał obejrzeć i naprawić jeszcze zimą, do czego specjalnie najęto trzech rzemieślników, były nie naprawione, a brony naprawiano właśnie teraz, gdy już trzeba było skrudlić. Lewin posłał po rządcę i nie czekając sam poszedł go szukać. Rządca, rozpromieniony tego dnia jak wszystko dokoła, szedł właśnie z gumna w kożuszku obszytym barankiem, krusząc w ręku słomkę.

— Dlaczego majster nie jest przy młocarni?

— Chciałem zameldować jeszcze wczoraj, że należy przede wszystkim naprawić brony. Wypadnie już wnet bronować!

— A zimą coście robili?

— A panu dziedzicowi na co majster potrzebny? .

— Gdzie się podziały drabki z cielętnika?

— Kazałem poznosić na miejsce. Co począć z takimi ludźmi! — odparł rządca i machnął ręką.

— Nie z takimi ludźmi, ale z takim rządcą! — wybuchnął Lewin. — Na co ja pana trzymam? — krzyknął. Ale uprzytomniwszy sobie, że to nic nie pomoże, urwał w pół zdania i tylko westchnął. — No i cóż, czy można już siać? — spytał po chwili.

— Za Turkinem jutro, pojutrze już będzie można.

— A koniczyna?

— Posłałem Wasilija i Miskę — sieją. Nie wiem tylko, czy wszędzie przejdą, bo bardzo grząsko.

— A na ilu dziesięcinach sieją?

— Na sześciu..

— Dlaczego nie na wszystkich? — wykrzyknął Lewin. Było tym bardziej irytujące, że koniczynę siano tylko

na sześciu dziesięcinach, a nie na dwudziestu, bo zarówno z teorii, jak i na mocy osobistego doświadczenia Lewin wiedział, że koniczyna udaje się tylko w tym wypadku, gdy sieje się ją jak najwcześniej, prawie jeszcze przed zejściem śniegu, i nigdy nie mógł się o to doprosić.

— Za mało mamy ludzi. Co ja z nimi pocznę... Trzech w ogóle nie przyszło. Ot, choćby taki Siemion...

— Trzeba było wziąć ludzi od roboty przy. słomie. .

— Właśnie to zrobiłem. — A gdzie jest reszta?

— Pięciu robi kompot (miało to znaczyć „kompost”), a czterech szufluje owies, żeby się nie zagrzał.

Lewin doskonale wiedział, co znaczą słowa: „żeby się nie zagrzał”, na pewno angielski owies nasienny był już na nic, znowu więc nie wykonano czegoś, co polecił zrobić.

— Przecie jeszcze w poście mówiłem, żeby założy rury... — zawołał.

— Niech się pan dziedzic nie kłopotczy, wszystko zrobimy na czas.

Lewin machnął gniewnie ręką i poszedł do spichrza, gdzie obejrzał owies, po czym zawrócił ku stajniom. Owies jeszcze nie ucierpiał, ale parobcy przesypywali go szuflami, chociaż można go było od razu zsypać na niższe piętro spichrza. Po wydaniu odpowiednich zarządzeń Lewin zabrał stąd dwóch ludzi do koniczyny; to uśmierzyło jego złość na rządcę. Dzień był tak piękny, że nie sposób było długo się gniewać.

— Ignat! — zawołał na stangreta, który z zawiniętymi rękawami mył koło studni powóz. — Osiodłaj mi...

— Którego pan dziedzic każe?

— Niechże będzie choćby Kołpik.

— Słucham.

Podczas gdy siodłano konia, Lewin przywołał znowu kręcącego się umyślnie w pobliżu rządcę, by się z nim pojednać, i począł omawiać nadchodzące wiosenne roboty w polu i różne plany gospodarskie.

Wywózkę obornika należało zacząć wcześniej, tak aby do pierwszego sianokosu była już całkiem skończona. Pole leżące najdalej powinno być stale orane, tak aby móc je przetrzymać jako czarny ugór. Pokosy trzeba sprzątnąć całe — nie za pół trawy, tylko za pomocą najemnej siły.

Rządca bacznie słuchał i starał się przybrać taki wygląd, jakby się ze wszystkim zgadzał, lecz zachowywał mimo to swą beznadziejnie zrezygnowaną minę, którą Lewin znał tak dobrze i która tak go drażniła. Z miny tej można było wyczytać: „Dobrze, dobrze... ale będzie, jak Bóg da.”

Nic tak nie przygnębiało Lewina, jak ów ton właściwy wszystkim rządcom, jakich kiedykolwiek zatrudniał. Wszyscy oni mieli ten sam stosunek do jego projektów, toteż obecnie już się nie unosił, gryzł się tylko i czuł w sobie jeszcze większą ochotę do borykania się z tą jakąś żywiołową siłą, której nie umiał nazwać inaczej niż „jak Bóg da”, a która mu się wciąż przeciwstawiała.

— Jeśli zdążymy, Konstanty Dmitryczu — rzekł rządca.

— Dlaczegoż mielibyśmy nie zdążyć?

— Musielibyśmy koniecznie donajść przynajmniej z piętnastu ludzi. Jakoś nikt nie przychodzi... Dziś wprawdzie było paru, ale żądają po siedemdziesiąt rubli za lato.

Lewin zamilkł: znowu mu się ten żywioł sprzeciwiał. Wiedział sam, że mimo wielu wysiłków nigdy nie można było zgodzić za normalną cenę więcej niż trzydziestu siedmiu, trzydziestu ośmiu, najwyżej czterdziestu robotników. Tylu ich się godziło, nigdy więcej. Mimo to, nie mógł zaprzestać walki.

— Poślij więc pan do Sur, do Czefirówki, jeżeli tutejsi nie przyjdą. Trzeba poszukać.

— Pośłać, poślę — odparł ponuro Wasilij Fiodorowicz. — Ale poza tym konie mamy słabe.

— Dokupi się. Wiem ja dobrze — zaśmiał się Lewin — że pan by zawsze rad był zadowolić się byle czym, ale w tym roku nie pozwolę już panu robić po swojemu. Sam się wszystkim zajmę.

— Pan dziedzic już i tak nie dosypia. A jeśli o nas chodzi, to nam przecie weselej, kiedy sam gospodarz ma na nas oko...

— Więc za Brzozowym Dołem sieją koniczynę? Pojadę zobaczyć — i Lewin dosiadł małego bułanka, Kołpika, któ-rego podprowadził Ignat.

— Przez strumień pan dziedzic nie przejedzie! — krzyknął stangret.

— No, to lasem!

Dobry, dawno nie jeżdżony konik, chrapiąc przy każdej kałuży i domagając się wolniejszych cugli, w śmiałych susach przebył błotniste podwórze, i Lewin? wyjechał za bramę w pole.

Było mu już wesoło w oborze i na gumnie, ale jeszcze bardziej rozweselił się w polu. Kołyszając się łagodnie w takt idącego skroczem pocziwego konika i oddychając ciepłą, a zarazem świeżą wonią powietrza i śniegu, który w lesie osuwał

się zetlały na rozptyniętych śladach — Lewin cieszył się z każdego ze swoich drzew, z ich ożywającym mchem na korze i nabrzmiałymi pączkami. Gdy znalazł się za lasem, przed nim na ogromnej przestrzeni rozciągnęły się jak gładki aksamitny dywan oziminy, pola bez jednej łysinki lub wymokłego miejsca, tu i ówdzie tylko we wgłębieniach znaczone resztkami topniejącego śniegu. Nie rozgniewał go widok chłopskiej szkapiny i roczniaka ogierka tratującego zasiewy (kazał go spędzić na bok spotkanemu chłopu) ani z głupia frant odpowiedź przechodzącego polem chłopu Ipat, którego zapytał: „I cóż, Ipat, niedługo zaczniemy siewy?” „Wpierw trza zaorać, Konstanty Dmitrycz”, odparł Ipat. Im dalej Lewin jechał, tym było mu weselej i tym bardziej ponętne plany gospodarskie przychodziły mu do głowy. Czy nie można by na przykład obsadzić wszystkich pól łożyną, oczywiście wzdłuż linii południka, tak by śnieg pod łożynami nie leżał zbyt długo, i pociąć w ten sposób całość, co da sześć pól pod nawóz oraz trzy, zapasowe pod posiew mieszany? I czyby nie postawić nowej obory na najdalszym krańcu pól, nie wykopać stawu, a dla polepszenia gruntów nie urządzić przenośnych zagród dla bydła? Wówczas miałyby się trzysta dziesięcin pszenicy, sto — kartofli, sto pięćdziesiąt — koniczyny i ani jednej dziesięciny wyjąłowanej.

Tak sobie marząc i ostrożnie kierując konia miedzami, by nie tratować własnych zasiewów, dojechał do robotników siejących koniczynę. Wóz z nasieniem stał nie na miedzy, lecz wprost na roli, tak że koła poryły, a kopyta stratowały wschodzącą pszenicę. Obaj robotnicy siedzieli na miedzy i kurzyli, zapewne na przemian, wspólną fajeczkę. Ziemi na wozie, z którą było zmieszane 'nasienie, nie porozgniatano: była zmarznięta lub zbita w grudki.

Na widok dziedzica Wasilij podszedł do wozu, Miszka zabrał się do siania. Nie było to w porządku, lecz Lewin rzadko gniewał się na robotników. Gdy Wasilij podszedł bliżej, kazał mu tylko wyprowadzić z pola konia z wozem

— To nic, panie dziedzicu, zarośnie.

— Dużo nie gadaj i rób, co ci kazano.

— Słucham — odrzekł Wasilij i wziął konia za grzywę. — Uprawa pod siew, panie dziedzicu, przednia! — przypochlebiał się Lewinowi. — Tylko że trudno chodzić: na każdym łapciu po pudzie błota się dźwiga.

— Czemużście ziemi nie przesiali?

— Ano, rozgniatamy ją — wyjaśnił Wasilij nabierając nasion i rozcierając ziemię w dłoniach.

Oczywiście Wasilij nie był winien, że nasypano mu do wozu nie przesianej ziemi, było to jednak irytujące. Lewin nieraz z dobrym skutkiem stosował znany sobie sposób, by poskromić złość i wszystko, co mu się wydawało złe, obrócić na dobre; zastosował go i teraz. Patrzył przez chwilę, jak Miszka krocząc miesi olbrzymie kawały ziemi oblepiającej „mu nogi, po czym zsiadł z konia, wziął od Wasilij a płachtę z nasieniem i poszedł siać.

— Dokąd zasiałeś?

Wasilij pokazał znak zrobiony nogą i Lewin wziął się do rozrzucania ziemi z

nasieniem, jak umiał najlepiej. Po roli chodziło się ciężko jak w bagnie. Przeszedłszy raz tam i z powrotem, spocił się i oddał płachtę.

— Żeby mnie pan dziedzic tylko potem nie kłął za ten smug — zażartował Wasilij.

— Bo co? — spytał Lewin czując, że środek na rozdrażnienie zaczyna działać.

— Zobacz pan dziedzic, jak się ten pas latem będzie różnił. Proszę tylko spojrzeć, gdzie ja siałem zeszłej wiosny. To dopiero siew! Ja dla pana dziedzica tak się staram jak dla rodzzonego ojca. Sam nie lubię niedbałej roboty i innym nie pozwalam. Jak gospodarzowi dobrze, to i nam dobrze! Na sam widok — dodał wskazując pole — aż serce rośnie.

— Piękną mamy wiosnę, Wasilij.

— Taka wiosna, że najstarsi takiej nie pamiętają. W domu byłem, to tam mój stary też trzy ośminy pszenicy posiał. Powiada, że ją od żyta odróżnić trudno.

— Dawno już siejecie pszenicę?

— Toć pan dziedzic nas nauczył jeszcze zaprzeszłego roku. Dostaliśmy dwie miary, ćwierć sprzedaliśmy, a trzy ośminy zasiali.

— No, więc pamiętaj: rozcieraj starannie grudki i pilnuj Miszki — polecił Lewin wracając do konia. — A jak ładnie wzejdzie, dostaniesz po pięćdziesiąt kopiejek od dziesięciny.

— Dziękuję pięknie. My i tak nie mamy krzywdy u pana dziedzica.

Lewin wsiadł na konia i pojechał na pole zeszłorocznej koniczyny, a potem na inne, zorane pługiem pod jarą pszenicę.

Koniczyna rosnąca na rzysku była wspaniała; cała już ożyła i zieleniła się mocno, wyglądając spoza połamanych zeszłorocznych ździebeł pszenicy. Koń grzął aż po pęciny, każde z jego kopyt osobno cmokało, wrywane siłą z na pół odtajanej ziemi. Przez zaorane pługiem pole nie można było wcale przejechać: trzymało tylko tam, gdzie było trochę lodu, w rozmiękłych bruzdach noga końska więzła jeszcze wyżej. Orka była znakomita; jeszcze dwa dni, a już można będzie bronować i siać. Wszystko było tak udane, budziło taką radość. Wracał inną drogą, przez strumień, licząc na to, że woda już opadła, i rzeczywiście z łatwością przejechał płosząc dwie kaczkę. „Powinny już być i słonki” — pomyślał Lewin. Istotnie, gdy skręcał ku domowi, spotkał gajowego, który to potwierdził.

Wrócił do domu kłusem, by zdążyć zjeść obiad i przygotować strzelbę na wieczór.

XIV

Już blisko domu, wracając w jak najlepszym humorze, Lewin usłyszał od strony ganku dzwonki zajeżdżającego pojazdu.

„To ze stacji — pomyślał. — O tej porze właśnie przychodzi pociąg z Moskwy... Kto by to mógł być? Kto wie, czy nie Mikołaj? Mówił przecie, że albo pojedzie za granicą, albo wybierze się do mnie." W pierwszej chwili z obawą i przykrością pomyślał, że obecność brata zmąci mu na pewno wesoły wiosenny nastrój. Zaraz jednak zawstydził się, w duchu jakby otworzył ramiona i teraz już ze wzruszeniem i radością pragnął, aby to był brat. Trącił więc konia i wyjechawszy zza akacji zobaczył trójkę pocztową z kolei i podróżnego w futrze. To nie był brat. „Ach, żebyż choć jaki przyjemny człowiek, z którym, by można trochę pogawędzić" — pomyślał Lewin.

— A-a! — wykrzyknął z radością, podnosząc do góry obie ręce. — A to dopiero miły gość! Jakże się cieszę! — poznał Obłońskiego.

„Dowiem się zapewne, czy wyszła albo kiedy wychodzi za mąż" — pomyślał.

I stwierdził, że w ten uroczy dzień wiosenny wspomnienie o niej zupełnie przestało go boleć.

— A co? Nie spodziewałeś się mnie? — zapytał Stiepan. Arkadjicz, który wysiadał z sanek tryskający zdrowiem i humorem, pomimo grudek, błota nad nosem, na policzku i na brwi. — Przyjechałem odwiedzić - cię — to raz — mówić obejmując i całując Lewina — zapolować na słonki — to dwa, sprzedać las w Jerguszowie — to trzy.

— Ślicznie! Prawda, co za wiosna! Jakeś ty w ogóle na saniach dojechał?

— Na kołach jeszcze gorzej, Konstanty Dmitryczu — zauważył znajomy pocztylion.

— Bardzo, bardzo się cieszę — mówił Lewin ze szczerym, dziecięco radosnym uśmiechem.

Zaprowadził przyjaciela do gościnnego pokoju, dokąd wniesiono też jego rzeczy: worek podróżny, strzelbę w futerale i torbę do cygar, i zostawił gościa samego, by mógł się umyć i przebrać. Sam tymczasem poszedł do kancelarii, by wydać dyspozycje co do orki i co do koniczyny. Agafia Michajłowna, zawsze wielce dbała o honor domu, zasypała go w przedpokoju pytaniami na temat obiadu.

— Róbcie, jak chcecie, byle prędzej! — odrzekł i poszedł rozmówić się z rządcą.

Gdy wrócił, Obłoński, umyty, uczesany, promieniejący uśmiechem, wychodził właśnie ze swego pokoju. Poszli razem na górę.

— Jakże się cieszę, że na koniec do ciebie dotarłem! Zrozumiem wreszcie, na czym polegają te misteria, które ty tutaj odprawiasz. Wiesz, doprawdy' zazdroszczę ci! Co za dom, jak tu ładnie! Jasno, wesoło — zachwycał się Obłoński zapominając, że nie zawsze bywa wiosna i takie jasne dni jak ten. — A twoja niania, jakże urocza! Wolałbym, co prawda, ładną pokojóweczkę w fartuszkach, ale przy twoim mniszym

usposobieniu i surowym stylu życia to bardzo dobrze pasuje.

Obłoński opowiedział wiele interesujących nowin, a zwłaszcza przywiózł ciekawą dla przyjaciela wiadomość, że Sergiusz Koznyszew wybiera się tego lata do niego na wieś.

O Kitty ani w ogóle o Szczerbackich nie powiedział słowa, oddał tylko ukłony od Darii Aleksandrowny. Lewin był wdzięczny za tę delikatność i wielce rad z przyjazdu gościa. Jak zwykle, przez długi okres osamotnienia nzbierało mu się bardzo wiele myśli i uczuć, którymi nie mógł dzielić się z otoczeniem; teraz więc zwierzał się przyjacielowi i z poetycznych uciech wiosennych, i z niepowodzeń i planów gospodarskich, i z myśli i uwag na temat przeczytanych książek, a przede wszystkim z przewodniej idei dzieła, które pisał, a którego istotą, chociaż sobie tego nie uświadamiał, była krytyka wszystkich dotychczasowych dzieł o gospodarce rolnej. Obłoński, zawsze miły, rozumiejący wszystko w lot, był tym razem jeszcze więcej niż zazwyczaj sympatyczny, a ponadto Lewin zauważył w jego zachowaniu cechę, która mu pochlebiała: szacunek i pewną jakby czułość.

Starania Agafii Michajłowny i kucharza, aby obiad by' szczególnie dobry, miały ten skutek, że obaj zgłodniał przyjaciele zasiadłszy do zakąsek nasycili się chlebem z masłem, półgęskami i solonymi grzybkami i że Lewin kazał podać zupę bez pasztecików, którymi kucharz zamierza, zadziwić gościa. Gościowi wszakże, chociaż był przyzwyczajony do zgoła innych obiadów, wszystko znakomicie smakowała: i ziołowa nalewka, i chleb, i masło, a już specjalnie półgęsek i grzybki. I zupa z pokrzywy, i kura w białym sosie, i białe wino krymskie — wszystko było wyśmienite i cudowne.

— Pyszności, pyszności! — powtarzał Obłoński zapalając po pieczystym okazaścego papierosa. — Jakbym z wrzawy jakiegoś kiwającego się, hałaśliwego parostatku wysiadł u ciebie na cichy brzeg... Więc powiadasz, że robotnik rolny jako osobny czynnik powinien być przedmiotem badań i rozstrzygać o wyborze systemu gospodarczego? Jestem w tych rzeczach laikiem, ale zdaje mi się, że zarówno ta teoria, jak i jej zastosowanie wywierałyby wpływ także i na robotnika.

— Owszem, ale zważ, że mówię nie o ekonomii politycznej, lecz o nauce gospodarstwa. Dyscyplina ta powinna jak inne nauki przyrodnicze badać dane zjawiska, więc także i robotnika z jego ekonomicznym, etnograficznym...

Tu weszła do pokoju Agafia Michajłowna niosąc konfitury.

— No, Agafio Michajłowno — zwrócił się do niej Obłoński całując koniuszki swych pulchnych palców — co wy" macie tutaj za półgęski, a co za żubrówkę!... I cóż, Kostia — dodał — czy nie czas na nas?

Lewin spojrział przez okno na słońce, powoli znikające za nagimi jeszcze wierzchołkami lasu.

— Czas; czas... — zawołał. — Kuźma, niech zaprzągają do linijki! — I pobiegł na dół.

Obłoński, zeszedłszy na parter, sam ostrożnie zdjął płócienny pokrowiec z lakierowanego pudła, otworzył je i począł składać swą kosztowną, nowego systemu

strzelbę. Kuźma, który przeczuwał hojny napiwek, nie odstępował gościa i wciągał mu usługnie na nogi pończochy i buty, na co zresztą Obłoński chętnie zezwalał.

— A powiedz tam, Kostia, na wypadek gdyby przyjechał kupiec Riabinin, niech zaczeka Kazałem mu dzisiaj tu być.

— To ty Riabininowi sprzedajesz las?

— Tak jest. A ty go znasz?

— A jakże; znam go. Miałem z nim różne interesa „faktycznie i ostatecznie”.

Stiepan Arkadjicz roześmiał się, „faktycznie i ostatecznie” były bowiem ulubionymi wyrażeniami kupca.

— Tak, niesłychanie zabawnie gada... Zrozumiałaś, dokąd pan się wybiera?! — dodał klepiąc łaskę, która skomląc kręciła się dokoła Lewina i lizała mu to rękę, to strzelbę i buty.

Kiedy wyszli na ganek, linijka już czekała, — Kazałem zaprząć, choć to niedaleko. A może byśmy poszli pieszo?

— Nie, lepiej jedźmy — odrzekł Obłoński podchodząc do linijki.

Usadowił się, owinął nogi tygrysim pledem i zapalił cygaro. — Jak ty możesz nie palić! Cygaro to właściwie nie tyle przyjemność, co ukoronowanie przyjemności, jej symbol. To dopiero życie! Ach, jak tu dobrze! Tak właśnie chciałbym żyć i ja!

— A któż ci w tym przeszkadza? — uśmiechnął się Lewin.

— Nie! Jaki z ciebie szczęśliwy człowiek. Masz wszystko, co lubisz. Lubisz konie — masz konie; lubisz psy — masz psy; lubisz polowanie — masz polowanie; lubisz gospodarstwo — masz gospodarstwo.

— Może dlatego wydaję ci się szczęśliwy, ponieważ cieszę się tym, co mam, a nie tęsknię za tym, czego nie mam — odrzekł Lewin przypominając sobie Kitty.

Tamten spojrzał na niego: zrozumiał, co ma na myśli, lecz nic nie powiedział.

Lewin był wdzięczny przyjacielowi za to, że ten ze zwykłym sobie taktem nie wszczął rozmowy o Szczerbackich, domyślając się, że Lewin się jej obawia. Teraz wzięła go chęć dowiedzieć się wreszcie o tym, co go tak dręczyło, nie śmiał się jednak o nic zapytać.

— A jakże twoje sprawy? — zagadnął spostrzegłszy się, że to niepiękną z jego strony myśleć tylko o sobie.

Oczy Obłońskiego Wesóło rozbłyły: zrozumiał pytanie Lewina po swojemu.

— Cóż, kiedy ty nie uznajesz, żeby człowiek poza należną mu ordynarią mógł jeszcze dopominać się o rogale. Według ciebie jest to przestępstwo, ja zaś nie uznaję życia bez miłości. Cóż robić, takim mnie już Pan Bóg stworzył. I doprawdy, to tak niewiele szkodzi komukolwiek, a mnie sprawia taką przyjemność.

— Czyżbyś miał co nowego?

— Mam, bracie! Czy znasz ten typ kobiet osjanowskich, kobiet, jakie widuje się w snach?... Otóż takie kobiety istnieją i na jawie... i są niebezpieczne. Kobieta, uważasz, to jest taki przedmiot, że choćbyś go nie wiem jak długo studiował,

zawsze wszystko w nim będzie dla ciebie nowe.

— W takim razie czy nie byłoby lepiej nie studiować?

— O, nie! Jakiś matematyk powiedział, że rozkosz polega nie na odkryciu prawdy, lecz na jej poszukiwaniu.

Lewin słuchał w milczeniu i mimo trudu, jaki sobie zadawał, nie zdołał wniknąć w psychikę przyjaciela i zrozumieć uroku studiów nad tego rodzaju kobietami.

Miejsce ciągów było niedaleko, nad rzeczką, w niewielkim osiniaku. Dojechawszy do lasu Lewin zsiadł i zaprowadził Obłońskiego na koniec grząskiej, mchem pokrytej polanki, która już była wolna od śniegu. Sam powrócił na skraj przeciwległy, pod bliźniaczo zrosnięte dwie brzozy, i oparłszy strzelbę o rozwidlenie suchego dolnego sęcarka, zdjął okrycie, opasał się mocno i wypróbował, czy może swobodnie poruszać ramionami.

Stara, osiwiata Łaska, która szła za nogą pana, teraz siadła ostrożnie naprzeciw niego i nastawiła uszu. Słońce zachodziło za starodrzew i na blasku zorzy zarysowywały się wyraźnie rozsiane po osiniaku młode brzożki z napęczniałymi, niemal pękającymi pączkami u zwisających gałęzi.

Z gęstwiny, gdzie jeszcze pozostał śnieg, ciekła ledwo dosłyszalnie krętymi, wąskimi strumyczkami woda. Drobne ptactwo świergotało i od czasu do czasu przelatywało z drzewa na drzewo.

W przerwach głębokiej ciszy słychać było szelest poruszających się zeszłorocznych liści; to zaczynała pod nimi tajać ziemia i kiełkować trawa.

„No proszę!... Słychać i widać, jak trawa rośnie!” — pomyślał Lewin dostrzegając, jak obok żdźbła młodej trawki poruszył się ciemnopopielaty, jak gryfel, mokry liść osiny. Stał, słuchał i patrzył w dół na "wilgotną, omszałą ziemię i nad słuchującą Łaskę, to znów w górę na ścielące się przed nim morze nagich wierzchołków lub na mierzchnące niebo, pokreślone białymi pasemkami chmur. Jastrząb, łopocąc z wolna skrzydłami, przeleciał: wysoko nad dalekim lasem, za nim tak samo poszybował drugi i znikł. Ptaki coraz głośniej i niecierpliwiej świergotały w gąszczu; nie opodal zahukał puchacz. Łaska drgnęła i zrobiła ostrożnie parę kroków, po czym przechyliła łeb i jęła z uwagą nad słuchiwać. Z drugiej strony rzeczki dobiegało kukanie kukułki. Zakukała dwa razy zwykłym głosem, po czym ochrypla, zaczęła się śpieszyć i zmyliła takt.

— Jak to, już kukułka?! — zawołał Obłoński wychodząc spoza krzaku.

— Tak jest, słyszę! — odrzekł Lewin. Przykro mu było zakłócać ciszę leśną głosem, który go w tej chwili samego raził. — Teraz już niedługo.

Postać Obłońskiego znikła znów za krzakiem i Lewin widział tylko jaskrawy płomyk zapałki, a potem żarzące się światełko i błękitnawy dymek papierosa.

Czyk! Czyk! — szczęknięły kurki odwodzone przez Obłońskiego.

— A to co za. głos? — zapytał zwracając uwagę Lewina na przeciągłe kwilenie; zdawało się, że jakieś rozbrykane źrebiątko rzy cieniutkim głosem.

— Nie poznajesz? To zając, samiec. Ale przestańmy już gadać. Słuchaj, leci! — prawie krzyknął Lewin odwodząc również kurki.

Rozległ się daleki cienki świst i — w zwykłym rytmie, tak dobrze znanym myśliwemu — po dwóch sekundach drugi i trzeci; po trzecim słychać było wyraźne chrapanie: chor-chor-chor.

Lewin rozejrzał się w prawo i w lewo i oto przed nim na niewyraźnym błękitnie nieba, nad zlewającymi się z tłem delikatnymi pędami wierzchołków osin ukazał się nadlatujący ptak. Leciał wprost na Lewina i odgłos jego chrapania, podobny do miarowego naddzierania mocnej tkaniny, rozległ się tuż nad uchem myśliwego. Widać już było długi dziób i szyję ptaka. W chwili gdy Lewin złożył się do strzału, spoza krzaka, za którym stał Obłoński, wytrysła czerwona błyskawica. Słonka jak strzała opadła w dół i znów porwała się do góry. Po raz drugi zamigotał błysk, uderzył piorun, i ptak trzepiąc skrzydłami, jakby usiłując utrzymać się w powietrzu, zawisł i trwał tak przez chwilę, zanim ciężko runął na grząską ziemię.

— Czyżbym spudłował? — zawołał Obłoński, nic nie widząc poprzez dym.

— Jest — odpowiedział Lewin i wskazał na łaskę, która uniósłszy jedno ucho, jakby uśmiechnięta, wysoko machała koniuszkiem puszystego ogona i — wolnym krokiem, niby chcąc przedłużyć tę przyjemną chwilę — aportowała swemu panu zabita słonkę. — Rad jestem, że ci się udało — rzekł Lewin odczuwając przy tym jednak zazdrość, że to nie on zabił tę słonkę.

— Paskudne pudło z prawej lufy — zauważył Obłoński. nabijając broń. — Pst... leca!...

Istotnie, znowu rozległy się przenikliwe, szybko następujące po sobie świsty. Dwie goniące się swawolnie słonki nadciągnęły tuż nad głowy myśliwych ze świstem tylko, nie z chrapaniem. Rozległy się cztery strzały, słonki zrobiły nagły zwrot, jak jaskółki, i znikły z oczu.

Ciąg słonki był znakomity. Stiepan Arkadjicz zabił jeszcze dwie sztuki, Lewin dwie, z których jednej wszelako nie mógł odnaleźć. Zaczęło się ściemniać. Spoza brzózek, nisko na zachodzie, świetlista srebrna Wenus jaśniała już swym łagodnym blaskiem, a wysoko na wschodzie mienił się czerwonymi ogniami posępny Arkturus. Ponad swą głowę Lewin to chwycił, to znów gubił gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Słonki przestały już ciągnąć, postanowił jednak poczekać, aż Wenus, którą dostrzegł poniżej pewnego sęczka na brzozie, wzniesie się ponad ów sęczek i aż wszystkie gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy staną się wyraźnie widzialne. Wenus wzniosła się już ponad sęczek, wóz Niedźwiedzicy był cały wraz z dyszlem widoczny na ciemnobłękitnym tle nieba, a Lewin jeszcze ciągle czekał.

— Czy nie czas na nas? — przerwał milczenie Obłoński

W lesie było już zupełnie cicho: ani jeden ptaszek się nie ruszał.

Zostańmy jeszcze trochę — rzekł Lewin.

— Jak chcesz.

Stali teraz w odległości piętnastu kroków jeden od drugiego.

— Stiwa — niespodzianie zapytał Lewin — dlaczego nic mi nie mówisz o twojej szwagierce? Czy wyszła albo kiedy wychodzi za mąż?

Lewin czuł się w tej chwili spokojny i niewzruszony. Zdawało mu się, że żadna odpowiedź nie zdoła nim wstrząsnąć. Zupełnie się jednak nie spodziewał tego, co odpowiedział Obłoński.

— Ależ ani myślała i nie myśli o zamążpójściu; rozchorowała się i za radą

doktorów wyjechała za granicę. Zachodzi nawet obawa o jej życie.

— Co ty gadasz! — wykrzyknął Lewin. — Czy bardzo chora? Cóż jej jest? Jak się teraz miewa?...

Podczas gdy tak rozmawiali, Łaska z nastawionymi uszami to patrzyła w górę na niebo, to z wyrzutem na myśliwych.

„Znaleźli też czas na rozmowy — myślała. — A słonka sobie leci... Otóż i ona. Nie mówiłam?! Przegapią...” — tak myślała Łaska.

W tej samej jednak chwili obaj rozmawiający usłyszeli nagle świśnięcie tak przejmujące, jakby ich kto smagnął po uchu. Obaj nie zwlekając pochwycili strzelby: zamigotały dwie błyskawice i rozległy się jednocześnie dwa uderzenia gromu. Ciągająca wysoko słonka od razu złożyła skrzydła i spadła w gąszcz, gnąc pod sobą młode pędy.

— To świetnie! Wspólna — krzyknął Lewin i pobiegł z Łaską w gęstwinę szukać słonki. „Ach, prawda, co to takiego przed chwilą się stało? Coś nieprzyjemnego... — przypomniał sobie. — Tak, Kitty jest chora... — Cóż robić! Jaka szkoda” — myślał.

— A, znalazłaś?! Mądra suka — pochwalił wyjmując łasce ciepłą jeszcze słonkę z pyska i kładąc ją do prawie już pełnej torby myśliwskiej. — Znalazłem, Stiwa! — zawołał:

W drodze do domu Lewin wypytywał Obłońskiego o wszystkie szczegóły choroby Kitty oraz o projekty Szczerbackich i — chociaż wstydziliby się do tego przyznać — to, czego się dowiedział, sprawiło mu przyjemność nie tylko dlatego, że mógł mieć jeszcze jakąś nadzieję, ale także, a może jeszcze bardziej, ponieważ ta, która zadała mu tyle bólu, sama teraz cierpiała. Kiedy jednak Obłoński począł mu opowiadać o przyczynach choroby Kitty i wymówił nazwisko Wrońskiego, Lewin przerwał mu:

— Nie mam najmniejszego prawa wnikać w tajemnice rodzinne, a nawet, prawdę mówiąc, nie jestem ich ciekaw.

Obłoński uśmiechnął się nieznacznie na widok dobrze sobie znanej nagłej zmiany w twarzy Lewina, który stał się równie ponury, jak zaledwie przed chwilą był wesół, — Czyś już całkiem załatwił z Riabininem sprzedaż lasu? — spytał Obłońskiego.

— Tak, całkiem. Cena świetna — trzydzieści osiem tysięcy rubli. Osiem z góry, a reszta rozłożona na sześć lat. Miałem z tym wiele zachodu, nikt nie chciał dać więcej.

— To znaczy, że oddałeś las za darmo — chmurnie mruknął Lewin.

— Niby dlaczego za darmo? — uśmiechnął się dobrodusznie tamten, wiedząc już, że teraz nic się nie będzie Lewinowi podobało.

— Dlatego że las jest wart co najmniej pięćset rubli za dziesięcinę — wyjaśnił Lewin.

— Ach, ci wiejscy dziedzice — żartobliwie rzucił Obłoński. — Paradny jest ten wasz ton pogardy wobec nas, mieszczuchów!... Ale gdy naprawdę chodzi o zrobienie interesu, to zawsze my potrafimy go zrobić lepiej od was. Wierzaj mi, wziąłem wszystko pod uwagę i las sprzedałem korzystnie. Obawiam się nawet, czy Riabinin się nie cofnie. Przecież to nie jest las użytkowy (słowem u ż y t k o w y chciał ostatecznie przekonać Lewina), ale raczej opałowy, i z dziesięciny nie da więcej niż trzydzieści sążni, a Riabinin płaci mi po dwieście rubli.

Lewin uśmiechnął się lekceważąco. „Znam ja — pomyślał — ten zwyczaj, właściwy nie tylko jemu, lecz wszystkim mieszkańcom miasta, którzy bywając na wsi ze dwa razy na lat dziesięć, zapamiętają sobie dwa, trzy wiejskie wyrażenia i używają ich potem ni przypiął, ni przyłatał, wierząc niezachwianie, że wszystkie, rozumy zjedli. Użytkowy, tyle a tyle sążni z dziesięciny — rzucają takimi słówkami nie mając pojęcia o niczym.”

— Ja cię nie będę uczył, co i jak masz pisać w twoim biurze — powiedział — a w razie potrzeby spytam się ciebie o radę. A ty jesteś tak bardzo pewny, że posiadłeś całą mądrość, gdy chodzi o las. To rzecz trudna. Czyś ty na przykład policzył drzewa?

— Jak, to? Czy policzyłem drzewa? — zaśmiał się Obłoński wciąż usiłując

rozproszyć zły humor przyjaciela. — „Policzyć piaski i gwiazd blaski choć mógłby rozum nasz wysoki...”

— No tak, a jednak wysoki rozum Riabinina potrafi tego dokonać. I żaden kupiec nie kupi lasu nie policzywszy drzew, chyba że mu je kto, tak jak ty, oddaje za darmo. Znam dobrze twój las, co roku bywam tam na polowaniu. Wiem, że dziesięcina warta jest pięćset rubli gotówką, on zaś daje ci tylko dwieście, i to na raty. To znaczy, że podarowałaś mu ze trzydzieści tysięcy.

— Daj pokój, nie unos się — żałośnie prosił Obłoński. — A dlaczego nikt więcej od niego nie dawał?

— Dlatego że Riabinin jest w zмовie z innymi kupcami i dał odstępnę. Miałem ja z nimi wszystkimi do czynienia, znam ich dobrze. To nie kupcy, to spekulanci. Żaden z nich nie weźmie się do interesu, jeśli spodziewa się zarobku na dziesięć, piętnaście procent; każdy wyczekuje okazji, by za dwadzieścia kopiejek kupić rubla.

— Dajże pokój. Jesteś po prostu w złym humorze.

— Ani trochę — rzekł ponuro Lewin. Zajeżdżali właśnie przed dom.

Przed gankiem stała już mocno okuta żelazem i obita skórą bryczka, z mocno zaprzężonym w szeroką uprząż spasionym koniem. Na koźle zamiast furmana siedział pomocnik Riabinina; mocno krwistej kompleksji i mocno ściągnięty pasem. Sam Riabinin wszedł już był do domu i teraz powitał obu przyjaciół w przedpokoju. Był to wysoki, chuderlawy mężczyzna w średnim wieku, z wąsami, ogolonym wystającym podbródkiem i mętnymi, wypukłymi oczyma. Miał na sobie długopoły niebieski surdut z guzikami umieszczonymi poniżej siedzenia i długie pofałdowane w kostce, a gładkie na łydce buty z cholewami. Na butach miał jeszcze ogromne kalosze. Okrągłym ruchem otarł chustką twarz, dokładnie obciągnął na ramionach surdut, który i tak się z nich nie zsuwał, i z uśmiechem powitał wchodzących, wyciągając do Obłońskiego rękę w taki sposób, jakby chciał nią coś schwytać.

— A więc przyjechał pan — podał mu rękę Obłoński. To doskonale.

— Nie ośmieliłem się nie spełnić rozkazów księcia pana, chociaż drogi są nazbyt okropne. Faktycznie, całą drogę szedłem piechotą, ale stawiłem się na termin. Moje uszanowanie, Konstanty Dmitryczu — zwrócił się do Lewina usiłując schwytać także i jego rękę. Ten jednak zmarszczył brwi i dalej wyjmował z torby słonki udając, że nie widzi wyciągniętej dłoni kupca. — Panowie raczyli zabawiać się polowaniem? Co to mianowicie będzie za ptak? — dodał oglądając z lekceważeniem słonki. — Pewnie dobrze smakuje — i pokiwał niechętnie głową, jakby powątpiewając, czy skórka stanie za wyprawę.

— Czy chcesz przejść do gabinetu? — spytał przyjaciela po francusku posępnie nachmurzony Lewin. — Przejdź z nim do gabinetu, tam się rozmówicie.

— Owszem, pójść można, gdzie wola — rzekł Riabinin ze wzgardliwą godnością, jakby chcąc dać do zrozumienia, że kto inny może nie wiedzieć, jak się z kim znaleźć, lecz on sam nigdy w niczym nie napotyka trudności.

Po wejściu do gabinetu kupiec rozejrzał się z przyzwyczajenia, jakby szukając

ikony, ale znalazłszy ją nie przeżegnał się. Obejrzał szafy i półki z książkami. Z tym samym powątpiewaniem, z jakim oglądał słonki, uśmiechnął się pogardliwie i pokiwał głową z dezaprobatą. Tutaj już w żaden sposób nie mógł się zgodzić, by ta skórka warta była wyprawy.

— No i cóż, przywiózł pan pieniądze? — zapytał Obłoński. — Niech pan siada.

— O pieniądze nam nie chodzi. Przyjechałem zobaczyć się z księciem panem i pogadać.

— O czymże mamy gadać? Ale niech pan siada.

— Owszem, czemu nie — rzekł Riabinin siadając i opierając się łokciami o tylną poręcz fotela, co musiało być prawdziwą torturą. — Trzeba coś opuścić, proszę księcia pana. Inaczej byłby prawdziwy grzech. A pieniądze są przygotowane, ostatecznie, co do kopiejki. Przez pieniądze interes się nie odwlecze.

Lewin wstawił tymczasem dubeltówkę do szafy i był już w drzwiach. Na te słowa kupca zatrzymał się.

— I tak już pan wziął las za darmo — rzekł. — Za późno przyjaciel mój do mnie przyjechał, bo inaczej ja bym cenę wyznaczył.

Riabinin wstał i bez słowa, z uśmiechem zmierzył Lewina spojrzeniem.

— Konstanty Dmitrycz jest bardzo skąpy — zwrócił się do Obłońskiego — u niego ostatecznie nie sposób nic kupić. Próbowiałem targować pszenicę; ładne pieniądze dawałem.

— Po cóż mam swoje dobro oddawać panu za darmo? Przecie nie znalazłem tego na ulicy ani nie ukradłem.

— Zlituj się pan, Konstanty Dmitryczu, przecie w dzisiejszych czasach faktycznie niemożliwe jest kraść. W dzisiejszych czasach sądy są ostatecznie jawne i wszystko odbywa się szlachetnie, a nie żeby kraść. Mówiliśmy honorowo. Książę pan za drogo wycenił las, tak że nie wyszedłbym na swoje. Proszę cośkolwiek opuścić.

— Czy wasz interes jest już ubity, czy nie? Jeśli ubity, to nie ma się o co targować, a jeśli nie, to ja kupuję las - rzekł Lewin.

Z twarzy Riabinina znikł uśmiech. Wystąpił na niej jastrzębi, drapieżny i brutalny wyraz. Kościstymi palcami pośpiesznie rozpiął surdut — odstaniając wypuszczoną na spodnie koszulę, mosiężne guziki kamizelki i dewizkę od zegarka — i z pośpiechem wydobył gruby stary pugilares.

— Proszę, las jest mój — rzekł prędko, robiąc znak krzyża, i wyciągnął rękę. — Bierz pieniądze, las jest mój.

Oto jak Riabinin robi interesa, a nie, żeby grosze liczyć — marszczył brwi i wymachiwał pugilaresem.

— Ja bym się na twoim miejscu nie śpieszył — rzekł Lewin.

— Co też ty mówisz — zdziwił się Obłoński — przecie dałem już słowo.

Lewin wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami. Riabinin popatrzył na drzwi i pokręcił z uśmiechem głową.

— Wszystko to młodość, ostatecznie zwykła dziecinada. Sumieniem się świadczę, że kupuję tylko dla honoru, że to niby Riabinin, a nie kto inny, nabył ten gaiczek od Obłońskiego. A i to Bóg jeden wie, czy mi się opłaci. Na Boga, proszę mi wierzyć. Jeśli łaska, spisujemy waruneczki...

W godzinę później kupiec, otulony starannie w kaftan, zapiąwszy haftki surduta, z umową W kieszeni wsiadł na swą mocno okutą bryczuszkę i pojechał do domu.

— Oj, ci jaśnie panowie! — rzekł do pomocnika. — Wszyscy — jedno lichy.

— Wiadoma rzecz — odparł pomocnik oddając mu lejce i zapinając skórzany fartuch. — A jak tam sprawuneczek, Michale Ignatyczu?

— At...

Obłoński poszedł na górę, z odstającymi kieszeniami pełnymi banknotów, które kupiec wpłacił mu za trzy miesiące naprzód. Załatwił sprzedaż lasu, pieniądze miał, ciąg słońce był świetny, toteż Stiepan Arkadjicz wpadł w jak najlepszy humor i zależało mu specjalnie na rozproszeniu złego nastroju Lewina. Miał ochotę przy kolacji miło zakończyć dzień tak przyjemnie rozpoczęty.

Istotnie, Lewin był bez humoru i jakkolwiek usiłował być uprzejmy i serdeczny dla sympatycznego gościa, nie potrafił się przemóc. Oszłomienie wywołane wiadomością, że Kitty nie wyszła za męża, zaczęło go powoli odurzać.

Kitty wolna, Kitty chora... Chora z miłości do człowieka, "który ją zlekceważył. Zdawało mu się, że cień tej zniewagi spada na niego. Wroński wzgardził nią, ona wzgardziła Lewinem, a zatem Wroński miał prawo lekceważyć go, był więc jego wrogiem. Lewin w myśli nie formułował tego tak wyraźnie i tylko niejasno odczuwał, że jest w tym wszystkim coś, co go obraża osobiście. Złościł się teraz nie na to, co było powodem jego irytacji, ale czepiał się pierwszego lepszego pozoru. Gniewała go niemądra sprzedaż lasu, oszustwo, którego ofiarą padł przyjaciel w jego własnym domu.

— No, czy już skończyłeś? — zwrócił się na górze do Obłońskiego. — Czy podać kolację?

— I owszem. Jaki ja mam apetyt na tej twojej wsi! Coś niebywałego! — Dlaczego nie kazałeś poczęstować czymś Riabinina?

— A niech go diabli!...

— Jednak... Jak ty go traktujesz! — zgorszył się Obłoński. — Nawet mu ręki nie podałeś. Dlaczego miałoby się nie podawać mu ręki?

— A dlatego, że lokajowi nie podaje się ręki, a lokaj jest sto razy więcej wart od niego.

— Mój Boże! Jaki z ciebie wsteczник. A zespolenie wszystkich stanów? — zawołał Obłoński.

— Kto ma ochotę się zespalać, niech mu będzie na zdrowie! Ja mam do tego wstręt.

— Widzę, że jesteś zdecydowanym wstecznikiem.

— Doprawdy, nie zastanawiałem się nigdy nad tym, kim jestem. Jestem Konstanty Lewin, i tyle.

— I to Konstanty Lewin w bardzo zantym humorze — uśmiechnął się Stiepan Arkadjicz.

— Istotnie, jestem w złym humorze, a wiesz dlaczego? Wybacz, ale z powodu tej twojej głupiej sprzedaży...

Obłoński skrzywił się dobrodusznie jak człowiek, którego niesłusznie gnębią i napastują.

— Daj pokój! Czy nie tak zawsze bywa, że jak tylko ktoś coś komuś sprzeda, to zaraz po sprzedaży powiadają: „To o wiele więcej warte”. Tymczasem, póki rzecz jest na sprzedaż, nikt grosza nie daje. Nie. Widzę już, że masz zęba na tego nieszczęsnego Riabinina...

— Być może, a wiesz dlaczego? Znowś będziesz mi wymyślał od wsteczników lub użyjesz jakiego innego strasznego słowa. Ale gniewa mnie i boli, gdy widzę wszędzie dokonujące się ubożenie szlachty, do której i ja należę, a z tej przynależności jestem pomimo twego zespalania się stanów szczerze zadowolony... I ubożenie to nie jest bynajmniej rezultatem zbytelnego życia; to by nie szkodziło, przeżyć po pańsku życie to rzecz szlachecka, tylko szlachta to potrafi. Teraz chłopci w moich okolicach skupują ziemię i to mnie wcale nie gniewa! Pan nic nie robi, chłop pracuje i zajmuje miejsce nieroba. Tak być powinno i dlatego cieszę się z takiego chłopca. Boli mnie jednak, gdy stwierdzam ubożenie wskutek jakiejś — nie wiem, jak to określić — naiwności. Tu dzierżawca Polak kupuje za pół ceny od jaśnie pani, mieszkającej stale w Nizy, śliczny majątek. Gdzie indziej znowu oddają w dzierżawę kupcowi po rublu dziesięcinę wartą dziesięć rubli. A choćby i ty... Bez żadnej racji darowałeś temu krętaczowi trzydzieści tysięcy.

— Więc. cóż? Mam liczyć każde drzewo?

— Oczywiście, że liczyć. Ty ich nie rachowałeś, ale Riabinin to z pewnością zrobił. Toteż dzieci Riabinina będą miały z czego żyć i za co się kształcić, a twoje, kto wie — może nie.

— Wybacz mi, ale jest coś małostkowego w tym liczeniu. My mamy swoje zadania, oni swoje; im potrzebne są zyski. Zresztą sprawa jest już załatwiona, i koniec. Ale otóż i jajka sadzone, ulubiona moja potrawa, i Agafia Michajłowna da nam tej cudownej żubrówki...

Obłowski siadł do stołu i począł się przekomarzać z Agafią zapewniając ją, że tak smacznego obiadu i kolacji dawno już nie jadł.

— Księżę to przynajmniej pochwali — ucieszyła się — Ot, Konstanty Dmitrycz, cokolwiek mu się poda, niechby i skórę od chleba, zje tylko i pójdzie sobie... Mimo usiłowań, by się przemóc, Lewin nadal był posępny i milczący. Pragnął koniecznie zadać przyjacielowi jedno pytanie, lecz w żaden sposób nie mógł: nie znajdował ani właściwego sformułowania, ani stosownej okazji. Stiepan Arkadjicz już zeszedł na dół do siebie, rozebrał się, jeszcze raz się umył, włożył nocną koszulę z rurkowanym żabotem i położył się, a Lewin wciąż . marudził u niego w pokoju, gawędząc o rozmaitych błałostkach i nie mogąc się zdobyć na to swoje zapytanie.

— Jakie niesłychane mydła teraz fabrykują — mówił oglądając i rozwijając kawałek pachnącego mydła, które Agafia Michajłowna przygotowała, którego jednak Obłowski nie używał. — Popatrz tylko, przecież to dzieło sztuki.

— Tak, obecnie we wszystkim znać postęp — odparł Obłowski ziewając soczyście i błogo. — Choćby na przykład teatry i te wszystkie rozrywkowe... a-a-a — ziewał. — I to światło elektryczne wszędzie... a-a!

— A tak. Światło elektryczne — powtórzył Lewin. — Tak. A gdzie jest obecnie Wroński? — spytał i położył nagle mydło.

— Wroński? — odrzekł Stiepan Arkadjicz przerywając ziewanie — jest w Petersburgu. Wyjechał niedługo po tobie i potem nie był już więcej w Moskwie. I czy wiesz, Kostia — ciągnął dalej, kładąc łokcie na stole i opierając na rękach przystojną rumianą twarz, w której jaśniały, jak gwiazdy, poczciwe, wilgotne, zaspane oczy — sam byłeś sobie winien. Niepotrzebnie zląkłeś się rywala. A tymczasem, jak ci już wtedy mówiłem, nie wiem, po czyjej stronie było więcej szans. Czemuś ty nie poszedł przebojem? Mówiłem ci przecież, że... — Obłoński ziewnął samymi tylko szczękami, nie otwierając ust.

„Wie czy nie wie, że się oświadczyłem? — pomyślał Lewin patrząc na przyjaciela. — Tak, w wyrazie jego twarzy jest coś podstępnego, dyplomatycznego” — i czując, że się czerwieni, w milczeniu patrzył Obłońskiemu prosto w oczy.

— Jeśli nawet coś tam wówczas z jej strony było, to działały raczej tylko rzeczy zewnętrzne — perswadował

Obłoński. — Ten, wiesz, jego skończony arystokratyzm i świetne w przyszłości stanowisko w towarzystwie zawróciły głowę nie jej, ale matce.

Lewin sposepniał. Uraza, którą odczuł z powodu odkosza, znów ukłuła go w serce, jakby kto dotnął świeżej rany. Był wszelako we własnym domu, a powiadają, że we własnym domu nawet ściany spieszą człowiekowi z pomocą.

— Czekaj, czekaj — zawołał przerywając. — Powiadasz: arystokratyzm. Ale pozwól, że cię zapytam, na czym on polega u Wrońskiego lub u kogokolwiek innego. Co to za arystokratyzm, który upoważnia do lekceważenia mojej osoby? Ty uważasz Wrońskiego za arystokratę. Ja nie. Człowiek, którego ojciec był niczym, a wybił się dzięki intrygom, którego matka Bóg wie z kim nie miała romansu... Nie, wybacz, proszę, ale ja za arystokrację uważam siebie i ludzi takich jak ja, mogących się powołać w przeszłości na trzy, cztery uczciwe pokolenia rodzin, które osiągnęły najwyższy poziom kultury (talent i rozum to jeszcze co innego), ludzi, którzy nigdy przed nikim się nie płaszczyli, nigdy na nikogo nie liczyli, tak jak mój ojciec i dziadek. I znam wielu takich... Tobie się zdaje, że jest coś pospolitego w tym, że ja liczę drzewa w lesie, podczas kiedy ty darowujesz Riabininowi trzydzieści tysięcy. Ale ty możesz dostać dzierżawę, i kto wie co jeszcze, ja zaś tego nie dostanę, dlatego cenię to, co dziedziczne i zdobyte pracą pokoleń... To my jesteśmy arystokratami, a nie, ci, którzy mogą się utrzymać tylko dzięki darowiznom od możnych tego świata, nie ci, których da się kupić za dwadzieścia kopiejek.

— Kogóż ty masz na myśli? Zgadzam się z tobą — szczerze i wesoło odpowiedział Obłoński, chociaż wiedział, że Lewin mówiąc o tych, których można kupić za dwadzieścia kopiejek, godził także i w niego. Spodobała mu się szczerze żarliwość Lewina. — Więc kogo masz na myśli? Choć wiele z tego, co powiadasz o Wrońskim, jest niesłuszne, nie o to mi chodzi. Mówię ci wręcz: ja na twoim miejscu pojechałbym ze mną do Moskwy i...

— Nie. Nie wiem, czy wiesz, czy nie, ale mniejsza o to Wiedz, że oświadczyłem się i dostałem kosza. Wspominam obecnie księżniczkę z przykrością i zawstydzeniem.

— Cóż znowu? Co za głupstwa!

— Ach, nie mówmy już o tym. Wybacz mi, proszę, że byłem z tobą szorstki — rzekł Lewin. Teraz, skoro się całkowicie wy wnętrzył, powrócił do swego porannego nastroju. — Nie gniewasz się na mnie, Stiwa? Nie gniewaj się, proszę cię — i uśmiechnął się biorąc przyjaciela za rękę.

— Ależ nie, ani trochę, a zresztą nie ma o co. Rad jestem, żeśmy się rozmówili. Wiesz co, ciągi bywają dobre rano. Może byśmy tak pojechali? Ja bym nawet potem nie kładł się spać i prosto z polowania pojechał na stację.

— Doskonale.

Mimo że namiętna miłość do Anny wypełniła wewnętrzne życie Wrońskiego po brzegi, bieg jego zewnętrznego życia toczył się bez zmian i niepowstrzymanie dawną, zwykłą koleją towarzyskich i pułkowych stosunków i spraw. Sprawy pułku odgrywały u niego znaczną rolę nie tylko dlatego, że był doń przywiązany, ale jeszcze bardziej dlatego, że i jego w pułku lubiano, i to nie tylko lubiano, lecz szanowano i szczycono się nim. Pułk był dumny z tego, że ten człowiek o wielkim majątku, wysokim wykształceniu, człowiek bardzo zdolny, przed którym stała otworem droga do wszelkiego rodzaju sukcesów dostępnych dla ambicji i próżności, wszystko to lekceważył i ze wszystkich spraw życiowych najbardziej brał do serca sprawy pułku i życia koleżeńskiego. Wroński znał opinię, jaką cieszył się u kolegów, i nie dość, że istotnie lubił to życie, ale poczuwał się do obowiązku podtrzymania raz ustalonej o sobie reputacji.

Wroński, rzecz oczywista, nie rozmawiał nigdy z żadnym z kolegów o swej miłości, nie wygadał się z nią nawet na największych pijatykach (zresztą nigdy nie upijał się do utraty przytomności) i zamykał usta tym spomiedzy lekkomyślnych kolegów, którzy próbowali robić aluzje do jego romansu. Mimo że całe miasto o tym wiedziało, bo wszyscy mniej lub więcej trafnie domyślali się, co łączy go z panią Karenin, większość młodych ludzi zazdrościła mu właśnie tego, co było w tej miłości najprzykrzejsze, mianowicie wysokiego stanowiska Karenina, a co za tym idzie — sensacji, jaką związek ten budził w towarzystwie.

Młode kobiety, zazdrosne o Annę, którym od dawna sprzykrzyło się słuchać, jak ją zowią sprawiedliwą, cieszyły się z tego, czego się domyślały, i czekały tylko potwierdzenia ogólnych pogłosek, aby móc zwalić na nią cały ciężar swej pogardy. Te panie przygotowały, już grudki błota, by cisnąć nimi w Annę, gdy nadejdzie stosowna chwila. U większości starszych osób i u ludzi na wysokich stanowiskach przeważało niezadowolenie z przygotowującego się skandalu towarzyskiego.

Matka Wrońskiego dowiedziawszy się o romansie zrazu była rada, ponieważ, według jej pojęć, nic nie daje takiego poloru olśniewającemu już i tak młodemu człowiekowi, jak wielkoświatowy romans. Anna, która jej się bardzo podobała i która tyle mówiła o swoim synku, była jednak taka sama, jakimi — według pojęć starej hrabiny — bywają wszystkie piękne i przyzwoite kobiety, i to ją cieszyło. Ostatnio jednakże dowiedziała się, że syn jej odrzucił proponowane mu ważne dla przyszłej jego kariery stanowisko, byleby pozostać w pułku, co mu pozwalało nadal widywać panią Karenin, i że wywołało to złe wrażenie u najwyższych osobistości. Wówczas matka Wrońskiego zmieniła zdanie. Nie podobało jej się również, że jak wynikało ze wszystkiego, czego się o tym stosunku dowiedziała, nie był to ów elegancki, pełen gracji wielkoświatowy romans, któremu by przyklasnęła, lecz jakaś werterowska, desperacka — jak jej opowiadano — namiętność, która mogła pchnąć syna do popełnienia głupstwa. Nie widziała Aleksego od czasu jego niespodziewanego, wyjazdu z Moskwy i za pośrednictwem starszego syna domagała się, aby do niej przyjechał.

Starszy brat był również niezadowolony: Ten nie analizował, jaka to była miłość — wielka czy mała, namiętna czy nienamiętna, grzeszna czy niewinna (on sam, ojciec dzieciom, utrzymywał baletnicę i stąd pobłażliwość) — wiedział natomiast, że jest to miłość, która nie podoba się tym, komu należy się podobać, toteż nie pochwalał postępowania brata.

Oprócz zajęć służbowych i bywania Wroński miał jeszcze jedno zajęcie — konie, które namiętnie lubił.

Tego roku miały się odbyć zawody oficerskie z przeszkodami. Wroński zgłosił się już do wyścigu, kupił angielską klacz pełnej krwi i pomimo swej miłości do Anny, interesował się z pasją, chociaż z pasją tłumioną, mającymi nastąpić zawodami.

Obie te namiętności nie przeszkadzały sobie nawzajem. Przeciwnie, jakieś zajęcie i jakaś pasja nie związana z jego miłością były mu potrzebne dla oderwania się i wytchnienia od zbyt gwałtownych wrażeń.

W dzień wyścigu w Krasnym Siole Wroński poszedł wcześniej niż zwykle zjeść befsztyk do ogólnej sali pułkowego kasyna. Nie potrzebował przestrzegać ścisłej diety, gdyż waga jego odpowiadała właśnie ustalonej normie czterech i pół puda, ale nie wolno mu było utyc i dlatego unikał słodkich i mącznych potraw. Siedział w rozpiętym mundurze, spod którego widać było białą kamizelkę, wsparty oburącz na stole i czekając na zamówiony befsztyk patrzył w leżący na talerzu tom francuskiej powieści, by nie rozmawiać z wchodzącymi i wychodzącymi oficerami i móc spokojnie rozmyślać.

Myślał o tym, że Anna przyrzekła mu schadzkę na dziś po wyścigach. Nie widział się z nią wszelako od trzech dni i nie był pewien, czy się będą mogli tego dnia zobaczyć, ponieważ Karenin powrócił z zagranicy. Nie wiedział również, w jaki sposób o tym się dowiedzieć. Po raz ostatni widział Annę na letnisku u kuzynki Betsy. Do willi Kareninów jeździł możliwie rzadko, tego dnia jednak zamierzał tam pojechać i namyślał się, jakby to zrobić. „Powiem, naturalnie, że Betsy przysłała mnie, by się dowiedzieć, czy Anna wybiera się na wyścigi. Oczywiście, że pojedę” — postanowił Wroński podnosząc głowę znad książki... I aż mu twarz pojaśniła, gdy sobie wyobraził, jakim szczęściem będzie to spotkanie.

— Poślij kogoś do mnie do domu i każ powiedzieć, żeby natychmiast zaprzęgali trójkę do powozu — polecił służącemu, który podał mu befsztyk na ogrzanym srebrnym półmisku. Wroński przysunął go sobie i zabrał się do jedzenia.

Z sąsiedniej sali bilardowej dolatywało stukanie kul, rozmowa i śmiech. W drzwiach wejściowych ukazali się dwaj oficerowie: jeden bardzo młody o delikatnych, miękkich rysach, dopiero niedawno przybyły do pułku z Korpusu Paziów, drugi — stary oficer z bransoletą na rękę, nalany, o małych, zapłdyniętych tłuszczem oczkach.

Wroński rzucił na nich okiem, zmarszczył brwi i jakby nie dostrzegając ich, tylko patrząc z ukosa w książkę, pograżył się jednocześnie w jedzeniu i w czytaniu.

— Nabierasz sił do pracy? Co? — zapytał otyły oficer i usiadł obok niego.

— Jak widzisz — niechętnie odparł Wroński nie patrząc na niego i ocierając usta.

— A nie boisz się utyc? — rzekł tamten i podsunął krzesło młodziutkiemu koledze.

— Co takiego? — gniewnie rzucił Wroński, z grymasem obrzydzenia pokazując cały rząd równiutkich zębów.

— Nie boisz się utyc?

— Kelner! Xeresu! — zawołał Wroński nie odpowiadając na pytanie i przełożywszy książkę na drugą stronę czytał dalej.

Opasty oficer wziął kartę win i zwrócił się do młodziutkiego.

— Wybierz sam, co będziemy pili — rzekł i podał mu kartę wpatrując się w

niego.

— Może reńskie — odrzekł ten i spojrzał nieśmiało na Wrońskiego starając się ująć w palce swój ledwo sypiący się wąsik. Widząc, że Wroński się ku nim nie odwraca, wstał.

— Chodźmy do sali bilardowej — zaproponował. Tłuścioch posłusznie wstał i obaj skierowali się ku drzwiom.

W tej chwili wszedł do pokoju rosły, postawny rotmistrz Jaszwin i skinąwszy z wysoka pogardliwie głową dwóm oficerom, podszedł do Wrońskiego.

— Mam cię nareszcie! — zawołał uderzając go mocno swą wielką dłońią po epolecie. Wroński obejrzał się gniewnie, lecz natychmiast twarz jego rozpogodziła się i nabrała właściwego mu wyrazu spokojnej, niezmiennej serdeczności.

— Masz rację, Alosza — pochwalił rotmistrz donośnym barytonem. — Zjedz coś teraz i wypij jeden kieliszeczek.

— Nie chce mi się jeść.

— A otóż i dwaj nierozłączni — uśmiechnął się ironicznie Jaszwin, spoglądając na dwóch oficerów, którzy właśnie wychodzili z pokoju, po czym usiadł obok Wrońskiego, zginając pod ostrym kątem swe zbyt długie uda, nie dopasowane do wysokości krzeselka, oraz golenie w wąskich raj tuzach. — Dlaczego wczoraj nie byrażeś w teatrze w Krasnem? Numierowa była wcale niezła... Gdzie byłeś?

— Zasiedziałem się u Twerskich — powiedział Wroński.

— Aha — mruknął Jaszwin. Jaszwin, karciarz, hulaka, człowiek nie tylko bez jakichkolwiek zasad, lecz o zasadach wręcz niemoralnych, był najlepszym przyjacielem Wrońskiego w pułku. Wroński lubił go za niepospolitą siłę fizyczną, którą Jaszwin ujawniał przeważnie w tym, że mógł pić bez miary, zupełnie nie sypiać, a mimo to zawsze zachować normalny wygląd — i za dużą siłę charakteru, jaką wykazywał w stosunkach z przełożonymi i kolegami, budząc szacunek i postrach. Siła ta spełniała również swą rolę przy grze, którą Jaszwin uprawiał stawiając na kartę po kilkadziesiąt tysięcy rubli, i to z takim wyczuciem i zimną krwią — bez względu na to, ile wypił — że uchodził za najlepszego gracza w Angielskim Klubie. Wroński szanował i lubił rotmistrza, gdyż czuł, że ów przyjaźni się z nim nie dla jego nazwiska i pieniędzy, lecz dla niego samego. Z nim tylko jednym w świecie mógłby być mówić o swojej miłości. Czuł, że jeden Jaszwin, mimo pozornej wzgardy dla wszelkiego sentymentu, był w stanie zrozumieć tę przemożną namiętność, która obecnie wypełniała całe jego życie. Poza tym był przekonany, że przyjaciel na pewno nie znajduje upodobania w plotkach i skandalach towarzyskich i bierze to jego uczucie tak jak powinien, to jest wie i wierzy, że ta miłość to nie żart, nie pusta zabawa, ale rzecz serio i wielkiej wagi.

Wroński nigdy nie mówił z Jaszwinem. o swym romansie z Anną, był jednak przeświadczony, że przyjaciel, wie o wszystkim i że wszystko należycie rozumie; było mu przyjemnie widzieć to po jego oczach.

— Aha! — mruknął Jaszwin słysząc, że Wroński był u Twerskich. Czarne jego oczy błysnęły, ujął za lewy wąs i wsunął go do ust, miał bowiem ten zły nawyk.

— A ty czego dokonałeś wczoraj? Wygrałeś? — spytał Wroński rotmistrza.

— Osiem, tysięcy. Ale z trzech — figa, nigdy ich na pewno nie dostanę.

— No, to teraz możesz pozostałe na mnie przegrać — zaśmiał się Wroński.

(Jaszwin postawił znaczną sumę na Wrońskiego.)

— Na pewno nie przegram... Jeden tylko Machotin jest niebezpieczny.

I rozmowa przeszła na perspektywy obecnych wyścigów, gdyż o niczym innym Wroński nie był w stanie teraz myśleć.

— Chodźmy, skończyłem — Wroński wstał i skierował się ku drzwiom. Jaszwin podniósł się również i rozprostował swe olbrzymiej długości nogi i długi grzbiet.

— Dla mnie na obiad jeszcze za wcześnie, trzeba by jednak coś wypić. Zaraz przyjdę... Ej tam, wina! — zawołał swym słynnym na cały pułk tubalnym głosem, od którego drżały szyby. — A zresztą, nie trzeba! — huknął zaraz ponownie. — Jeśli idziesz do domu, to pójdę z tobą. I obaj wyszli z kasyna.

Wroński kwaterował w obszernej, czystej, przegrodzonej na dwie części czuchońskiej chacie. Petrycki mieszkał z nim również i w letnim obozie. Kiedy Wroński i Jaszwin weszli do chaty, jeszcze spał.

— Wstawaj, dość już tego spania — Jaszwin za przepierzeniem tarosił za ramię wtulonego nosem w poduszki, rozkudłanego Petryckiego.

Petrycki nagle zerwał się na kolana i zaczął rozglądać się wkoło.

— Był tutaj twój brat — rzekł do Wrońskiego. — Obudził mnie — niech go diabli! — i powiedział, że przyjdzie jeszcze raz. — Tu Petrycki, naciągając na siebie koc, opadł znów na poduszkę. -- Dajże mi pokój — irytował się, gdy Jaszwin przemocą ściągał z niego koc. — Zostaw mnie! — Obrócił się wreszcie i otworzył oczy. — Powiedz mi lepiej, czego mam się napić... Czuję taką obrzydliwość w ustach, że...

— Najlepiej wódki — odezwał się basem Jaszwin. — Tereszczenko, przynieś panu porucznikowi wódki i ogórków — zagrzmiał znowu, z widoczną przyjemnością przysłuchując się własnemu głosowi.

— Wódki, powiadasz... Co? — pytał Petrycki marszcząc się i przecierając oczy. — A ty będziesz pił? Już jak pić, to razem! A ty, Wroński, napijesz się? — gadał wstając i owijając się po ramiona pluszowym tygrysim pledem.

Wyszedł z za przepierzenia, wzniosł w górę ręce i zaśpiewał po francusku: „Był sobie raz król w Thule...” — Wroński, napijesz się?

— Odczep się — ofuknął go Wroński wkładając mundur podawany mu przez lokaja.

— A ty dokąd się wybierasz? — zainteresował się Jaszwin. — Otóż i twoje konie — dodał po chwili, widząc zajeżdżający powóz.

— Do stajen, a później muszę zobaczyć się z Briańskim w sprawie koni — rzekł Wroński.

Wroński istotnie obiecał był Briańskiemu, który mieszkał o dziesięć wiorst od Peterhofu, że będzie u niego i przywiezie mu pieniądze za konie. Zamierzał, o ile zdąży, wpaść także i tam, koledzy jednak zaraz odgadli, że wybiera się nie tylko do Briańskiego.

Petrycki nie przestając śpiewać zmrużył jedno oko i wydał wargi, jak gdyby chciał powiedzieć: wiemy, co to za Briański!

— Pamiętaj tylko, żebyś się nie spóźnił! — przestrzegł krótko Jaszwin i chcąc zmienić temat spytał patrząc przez okno: — Jakże ci tam moja szkapa służy? — Miał na myśli dyszlowego konia, którego niedawno Wroński od niego kupił.

— Czekać no! — zawołał Petrycki, gdy Wroński już był w progu. — Twój brat zostawił dla ciebie list i kartkę. Poczekaj! Gdzie ja to położyłem?

Wroński zatrzymał się.

— Gdzież więc są?

— Gdzie? Oto jest pytanie!— uroczyście wygłosił. Petrycki przykładając wskazujący palec do nosa.

— Powiedźże wreszcie. Nie błażnij! — rzekł Wroński z uśmiechem.

— Na kominku przecież nie paliłem, muszą gdzieś tutaj być.

— Dostyc już tych głupstw! Gdzie list?

— Naprawdę, zupełnie zapomniałem. Ale może mi się to wszystko śniło! Poczekaj no, poczekaj! Czego się złościysz? Gdybyś ty wypił wczoraj po cztery butelki na głowę, tak jak ja, to zapomniałbyś nawet, gdzie leżysz. Poczekaj, zaraz sobie przypomnę!...

Wszedł za przepierzenie i położył się na łóżku.

— Czekaj, mówię ci! Ja leżałem tak, a on stał tam, Tak-tak-tak-tak... Mam go! — i Petrycki wyjął list spod materaca, gdzie go zasunął.

Wroński wziął list oraz bilecik brata. Tego się właśnie spodziewał: list od matki zawierał wymówki, że nie przyjeżdża, a brat prosił go o chwilę rozmowy. Wroński wiedział, że obojgu im chodzi o to samo.... „Co im do tego!” — pomyślał, zmiął i wsunął między guziki munduru oba listy, by je w drodze uważnie przeczytać. W sieni spotkał się z dwoma oficerami: jeden był z jego pułku, drugi innego.

Kwatera Wrońskiego była zawsze miejscem spotkań różnych oficerów.

— Dokąd to?

— Do Peterhofu.

— A czy koń przyszedł już z Carskiego Sioła?

— Już jest, ale go jeszcze nie widziałem.

— Podobno Gladiator Machotina okulał.

— To brednie! Ale jak wy pojedziecie po takim błocie? — wtrącił drugi oficer.

— Otóż i moi zbawcy! — zawołał na Widok wchodzących Petrycki, przed którym stał ordynans trzymając tacę z wódką i kwaszonym ogórkiem. — To Jaszwin każe mi pić na wytrzeźwienie.

— Aleście nas wczoraj urządzili! — rzekł jeden z przybyłych oficerów. — Całą noc nie daliście nam spać.

— Najlepiej było pod koniec — opowiadał Petrycki. — Wołkow wylazł na dach i powiada, że mu smutno. Więc ja komenderuję: „Muzyka, marsza pogrzebowego!” I tak tam sobie zasnął na dachu przy dźwiękach tego marsza.

— Wypij koniecznie, wypij najpierw wódki, a potem wody selcerskiej i dużo cytryny — doradzał Jaszwin stojąc nad Petryckim jak matka, gdy zmusza dziecko do zażycia lekarstwa — a potem będziesz mógł wypić troszkę szampana, może z buteleczkę.

— Mądre słowa! Zaczekaj no! Wroński, napijmy się!

— Nie. Do widzenia, panowie! Dzisiaj nie będę pił.

— Boisz się, że ci przybędzie wagi? No, to napijemy się sami. Dawajże tej wody selcerskiej i tej cytryny.

— Wroński! — krzyknął ktoś, gdy ten był już w sieni.

— Co takiego?

— Może byś sobie włosy ostrzygł, bo one za dużo ważą, zwłaszcza na łysinie.

Wroński rzeczywiście zaczynał przedwcześnie łysieć. Roześmiał się wesoło, błyskając wspaniałymi zębami, nakrył łysinę czapką, wyszedł i wsiadł do powozu.

— Do stajen! — zawołał i wyjął listy, by je przeczytać, lecz po chwili rozmyślił się nie chcąc się niczym rozpraszać przed obejrzeniem konia. — „Później!...”

Tymczasowa stajnia, buda byle jak sklecona z desek, stała tuż koło placu wyścigowego; klacz Wrońskiego miano tam przyprowadzić poprzedniego dnia. Wroński jej jeszcze nie widział — w ciągu ostatnich dni sam jej nie przejeżdżał, zleciwszy ją trenerowi — nie miał więc w ogóle teraz pojęcia, w jakim stanie przyszła i w jakim jest obecnie. Zaledwie wysiadł z powozu, gdy jego stajenny (groom), tak zwany „chłopak”, który już z daleka poznał powóz, zawołał trenera. Suchy Anglik w długich butach i krótkiej kurtce, z kępką włosów pozostawioną tylko na podbródku, wyszedł naprzeciw niego niezgrabnym chodem dżokejów, kołyszając się i rozstawiając łokcie.

— Jak tam Frou-Frou? — spytał po angielsku Wroński.

— All right, sir, wszystko w porządku — odpowiedział mu głos Anglika gdzieś z głębi gardła. — Lepiej tam nie wchodzić — dodał uchylając czapki — włożyłem jej kaganiec, więc się denerwuje. Lepiej nie wchodzić, to konia niepokoi.

— Ja jednak wejść. Chcą ją obejrzeć.

— Chodźmy — wciąż nie otwierając ust rzekł Anglik i wiosłując łokciami poszedł naprzód swym jakby porozkręcany w spojeniach krokiem.

Weszli na mały placzyk przed stajniami. Dyżurny, dziarski wyelegantowany stajenny w czystej kurtce, z miotłą w ręku, wyszedł na ich spotkanie i przyłączył się do nich. W stajni stało pięć koni w osobnych boksach. Wroński wiedział, że właśnie tego dnia został przyprowadzony i że już tu stoi najgroźniejszy jego rywal, mierzący pięć werszków kasztan Machotina, Gladiator. Znacznie bardziej niż własną klacz Wroński pragnął obejrzeć tego Gladiatora, którego jeszcze nie widział. Wiedział jednak, że we- -dług etykiety przyjętej w sporcie końskim, nie tylko nie wolno mu go oglądać, ale że mu się nawet nie wypada o niego dopytywać. Gdy przechodzili korytarzem, stajenny uchylił drzwi do drugiego boksu na lewo i Wroński dostrzegł dużego złotego kasztana o białych nogach. Wiedział, że to Gladiator, toteż wiedziony uczuciem człowieka odwracającego oczy od cudzego otwartego listu, odwrócił się i podszedł do Frou-Frou.

— Tu stoi koń Mak... Mak... nigdy nie mogę wymówić tego nazwiska — rzekł przez ramię Anglik wskazując długim palcem o brudnym paznokciu boks Gladiatora.

— Machotina? Tak, to mój jedyny poważny współzawodnik — zauważył Wroński.

— Gdyby pan na nim jechał — powiedział Anglik — stawiałbym na pana.

— Frou-Frou ma więcej temperamentu, on zaś jest mocniejszy — odrzekł Wroński, z uśmiechem przyjmując pochwałę Anglika.

— Gdy chodzi o branie przeszkód, cała rzecz polega na jeździe i na pluck — zauważył Anglik.

Wroński czuł w sobie nie tylko dosyć pluck, czyli energii i brawury, lecz — co

jest znacznie ważniejsze — miał niezachwianą pewność, że pod względem tego pluck nikt. na świecie mu nie dorówna.

oti Czy pan jest naprawdę pewien, że nie należało jej jeszcze więcej wypocić?

— Nie, nie należało — orzekł Anglik. — Nie trzeba głośno mówić: klacz się niepokoi — dodał -wskazując głową na zamknięty boks, przed którym stali i z którego dobiegał odgłos przestępowania kopyt po słomie.

Otworzył drzwi i Wroński wszedł do boksu, słabo oświetlonego przez jedno okienko. Wewnątrz, przebierając kopytami na świeżej słomie, stała skarogniada klacz w kagańcu. Wroński rozejrzał się w półświele boksu i odruchowo raz jeszcze ogarnął jednym spojrzeniem wszystkie cechy swej faworytki. Była to klacz średniego wzrostu, budowy nie całkiem bezbłędnej. Kości miała wąskie i płaskie i —choć klatka piersiowa mocno wystawała ku przodowi — także dość wąską pierś. Zad był nieco ścięty, a w przednich, zwłaszcza zaś tylnych nogach zaznaczała się mocno szpotawość. Mięśnie tylnych i przednich nóg nie były zbyt rozwinięte, ale za to w popręgu klacz była niezwykle głęboka, co szczególnie uderzało teraz, przy wychudzeniu od treningu i podkasaniu brzucha. Kości nadpięcia, widziane z przodu, wydawały się nie grubsze niż palec, za to z boku wyglądały niezmiernie szerokie. Cała klacz była — z wyjątkiem żeber -- jak gdyby ściśnięta z boków i wydłużona w dół. Posiadała jednak w najwyższym stopniu zaletę pozwalającą zapomnieć o wszystkich usterkach: tą zaletą była krew, która, jak twierdzą Anglicy, mówi sama za siebie. Wydatne mięśnie rysujące się spod siatki żył, rozpiętej pod cienką, ruchomą i gładką jak atlas skórą, wydawały się mocne jak kość. Sucha głowa o wypukłych, błyszczących i wesołych oczach rozszerzała się przy chrapach i rozdęte nozdrza przeświecały różowo. Cała jej postać, a zwłaszcza głowa, miała określony wyraz: energiczny, a zarazem pieszczotliwy. Było to jedno z tych stworzeń, które tylko dlatego, zdawałoby się, nie mówią, że im na to nie pozwala mechanizm ich pyska.

W każdym razie Wrońskiemu wydało się w tej chwili, że klacz rozumie wszystko, co on patrząc na nią odczuwa.

Gdy tylko wszedł do boksu, wciągnęła głęboko powietrze i spoglądając tak dalece z ukosa, że biało od przeciwnej strony napłynęło krwią, patrzyła wypukłym okiem na wchodzących, potrząsając kagańcem i sprężyście przestępując z nogi na nogę.

— No widzi pan, jaka zdenerwowana — rzekł Anglik. — Ho, najmiłsza, ho! — przemawiał uspokajająco

Wroński podchodząc do klaczy.

Lecz im był bliżej, tym bardziej się gorączkowała. Dopiero gdy podszedł do samej głowy, nagle przycichła i mięśnie jej poczęły drżeć pod cienką, delikatną sierścią. Pogłaskał jej mocną szyję, poprawił przerzucone na drugą stronę karku pasmo grzywy i przybliżył twarz do jej rozdętych, cieniutkich jak skrzydło nietoperza, nozdrzy. Frou-Frou głośno wciągnęła i wypuściła powietrze z. napiętych chrap, drgnęła, stuliła spiczaste uszy i wyciągnęła sprężystą, czarną wargę ku Wrońskiemu, jak gdyby chciała chwycić go za rękaw. Przypomniawszy sobie

wszakże o kagańcu, potrząsnęła nim i znów zaczęła przestawiać jedną po drugiej swe toczone nóżki.

— Uspokój się, miła, uspokój! — rzekł Wroński głaszcząc ją po zadzie, i z radosnym przeświadczeniem, że koń jest w doskonałej formie, opuścił boks.

Zdenerwowanie konia udzieliło się i jemu. Czuł, jak krew napływa mu do serca i jak podobnie do Frou-Frou ma ochotę ruszać się, a nawet kąsać. Było mu jednocześnie bardzo wesoło i trochę się bał,

— Liczę na pana — rzekł do Anglika — o wpół do siódmej na placu.

— Wszystko jest w porządku — zapewnił Anglik. — A pan dokąd jedzie, my lord? — zapytał tytułując go niespodziewanie, czego prawie nigdy nie robił.

Wroński, zdziwiony bezceremonialnością tego zapytania, podniósł głowę i popatrzył na trenera tak, jak to on potrafił — nie w oczy, lecz powyżej; wnet jednak zrozumiał, że Anglik zwracał się w tej chwili nie do swego chlebodawcy, lecz do dżokeja. Odpowiedział więc:

— Muszę się jeszcze zobaczyć z Briańskim. Za godzinę będę z powrotem.

„Po raz który zadają mi dziś to pytanie?” — pomyślał i zaczerwienił się, co mu się rzadko zdarzało. Anglik spojrzał na niego badawczo i jakby zgadując, dokąd Wroński jedzie, dodał:

— Przed gonitwą należy przede wszystkim zachować spokój. Proszę unikać rozdrażnienia i wszelkich wzruszeń.

— All right — uśmiechnął się Wroński, wskoczył do powozu i kazał się wieźć do Peterhofu.

Zaledwie ujechali kilka kroków, gdy nadciągnęła od rana już grożąca deszczem chmura i lunęło jak z cebra.

„Oj, niedobrze! — pomyślał Wroński podnosząc budę powozu — już i tak było błoto, a teraz robi się prawdziwe bagno.” Był sam w zamkniętym powozie, wyjął więc list od matki oraz kartkę od brata, aby je przeczytać.

Tak, powtarzało się wciąż jedno i to samo. Wszyscy, matka, brat, wszyscy uważali, że wtrącanie się do jego sercowych spraw jest ich obowiązkiem. Budziło to w nim złość — uczucie, którego nieczęsto doświadczał. „Co im do tego? Dlaczego każdy uważa za swój obowiązek zajmować się moją osobą? I dlaczego się mnie czepiają?... Chyba — ponieważ zdają sobie sprawę, że jest w tym coś, czego pojąć nie mogą. Gdyby to była zwykła, pospolita, salonowa miłostka, zostawiliby mnie w spokoju. Czują jednak, że to coś całkiem innego, że ta kobieta nie jest dla mnie zabawką, że jest mi droższa nad życie. Tego nie są w stanie zrozumieć i to ich drażni. Jakikolwiek jest i będzie nasz los, myśmy go sami sobie stworzyli i nie skarżymy się — mówił w duchu Wroński, jednocząc w pojęciu my siebie i Annę. — Ale nie! Korci ich, żeby uczyć nas, jak żyć należy, a sami nie mają pojęcia o tym, czym jest szczęście, nie rozumieją, że bez tej miłości nie ma dla nas ani szczęścia, ani nieszczęścia, po prostu nie ma życia” — rozmyślał.

Gniewało go to wtrącanie się wszystkich, czuł bowiem, że oni, ci wszyscy, właściwie mają słuszość. Czuł, że miłość łącząca go z Anną to nie chwilowy szal,

który minie, jak mijają światowe miłości nie pozostawiając po sobie w życiu obojga innych śladów poza przyjemnym lub nieprzyjemnym wspomnieniem. Udręczała go niewymownie ich sytuacja: musieli, będąc oboje tak bardzo na widoku w towarzystwie, z największą trudnością ukrywać swą miłość, kłamać i oszukiwać. A musieli kłamać, oszukiwać, obmyślać podstępny i nieustannie zważać na innych, gdyż namiętność wiążąca ich była tak silna, że zapomnieli o wszystkim poza swoją miłością.

Żywo stanęły mu w pamięci owe często powtarzające się wypadki, gdy trzeba było uciekać się do fałszu i udawania, tak przeciwnych jego naturze. Żywo zwłaszcza uprzytomnił sobie, że Anna, jak to nieraz zauważył, również wstydzi się tego ustawicznego kłamstwa i wprowadzania w błąd. I opanował go dziwny nastrój, który często go nawiedzał, odkąd zaczął się ich romans. Była to jakaś odraza: do Karenina? do samego siebie? do całego świata? — Wroński sam dobrze nie wiedział, lecz zawsze starał się przemóc to dziwne uczucie. I teraz również otrząsnął się z niego i wrócił do swoich myśli.

„Tak, przedtem była może nieszczęśliwa, ale dumna i spokojna, teraz zaś utraciła spokój i godność, mimo że tego nie okazuje. Tak — postanowił w duchu — trzeba raz z tym skończyć.”

I po raz pierwszy zaświtała mu wyraźna myśl, że trzeba zerwać z tym ciągłym fałszem, a im prędzej — tym lepiej.

„Musimy oboje rzucić wszystko i ukryć się gdzieś samotnie z naszą miłością” — rzekł sobie Wroński.

U lewa trwała niedługo i gdy Wroński dojeżdżał do Peterhofu, słońce znowu wyrzało. Dyszlowy koń szedł ostrym kłusem, pociągając za sobą galopujące po błocie i już wcale nie trzymane w lejcach przyprzężne. Dachy letnich will i stare lipy w ogrodach, ciągnących się po obu stronach głównej ulicy, połyskiwały mokrym blaskiem; z gałęzi wesoło kapało, a z dachów spływała woda. Wroński nie myślał już teraz o tym, jak dalece deszcz popsuje tor wyścigowy, ale cieszył się, że dzięki tej ulewie na pewno zastanie Annę w domu, i to samą, wiedział bowiem, że Karenin, który niedawno powrócił z kuracji, nie -przeniósł się dotąd z Petersburga na letnisko.

W tej nadziei wysiadł z powozu nie dojeżdżając do mostku, co zawsze czynił, by nie zwracać na siebie uwagi, i szedł pieszo, dążąc nie na ganek od frontu, lecz na podwórze.

— Czy jaśnie pan przyjechał? — spytał ogrodnika.

— Jaśnie pana nie ma, ale jaśnie pani jest. Niech pan hrabia pozwoli na ganek od frontu, tam jest służba, to otworzą — informował ogrodnik.

— Nie, wejdę przez ogród.

Upewniwszy się w ten sposób, że Anna jest sama, pragnął ją teraz zaskoczyć, gdyż nie zapowiedział się na ten dzień, i z pewnością nie spodziewała się jego przybycia przed wyścigami. Podtrzymując szablę i ostrożnie stąpając po piasku ścieżki wysadzonej kwiatami, zmierzał na taras położony od strony ogrodu. Zapomniał już teraz o wszystkim, o czym rozmyślał przez drogę; sytuacja przestała mu się wydawać bolesna i zawiła, przed oczyma miał tylko jedno — że ją zaraz zobaczy, już nie w wyobraźni, ale żywą, taką, jaka jest w rzeczywistości. Już wchodził stawiając od razu całą stopę, by nie hałasować, na płytkie stopnie tarasu, gdy nagle uprzytomnił sobie coś, o czym zawsze zapominał, a co stanowiło najdokuczliwszą stronę jego stosunku do Anny — jej syna, z jego pytającym i jak się Wrońskiemu zdawało, wrogim spojrzeniem.

Chłopiec był częściej niż ktokolwiek inny zawadą w ich stosunkach. W jego obecności nie tylko oboje nie mówili nic, czego by nie mogli powtórzyć przy wszystkich, lecz wystrzegali się nawet napomknienia o rzeczach, których by Sierioża nie mógł zrozumieć. Nigdy się co do tego nie umawiali, ale tak się samo przez się ułożyło. Uważali, że oszukiwanie dziecka przyniosłoby im samym ujmę, toteż przy nim rozmawiali ze sobą jak zwykli znajomi. A jednak mimo tej ostrożności Wroński nieraz spostrzegał skierowane na siebie badawcze, nie rozumiejące spojrzenie dziecka. Chłopiec był wobec niego jakoś dziwnie lękliwy i nierówny: to serdeczny, to znów chłodny i nieśmiały. Jak gdyby dziecko czuło, że Wrońskiego i jego matkę łączy coś bardzo istotnego, czego ono zrozumieć nie potrafi.

I rzeczywiście, Sierioża czuł, że nie może tego zrozumieć, i daremnie usiłował się zorientować, jakie mianowicie uczucia powinien żywić dla tego człowieka. Z

wrażliwością każdego dziecka na objawy uczuć dostrzegał wyraźnie, że ojciec, guwernantka, niańka — nie tylko nie lubią Wrońskiego, lecz nawet, chociaż się o tym nie mówi, patrzą na niego z wyraźną odrazą i lękiem, tymczasem matka traktuje go jak najlepszego przyjaciela.

„Co to ma znaczyć? Kto to jest? Jak ja go mam kochać? Czy to moja wina, że tego nie rozumiem? I czy to znaczy, że jestem głupim albo złym chłopczykiem?” — myślało dziecko i stąd pochodziło jego badawcze, pytające, trochę może wrogie wejrzenie oraz nieśmiałość i zmienność w obejściu, które tak zbijały z tropu Wrońskiego. Obecność tego dziecka wywoływała w nim zawsze i niezmiennie ów dziwny nastrój niczym niewytłumaczonego obrzydzenia, jakiego doznawał od pewnego czasu. Obecność Sierioży budziła nie tylko u niego, ale i u Anny uczucie, jakiego doświadcza żeglarz, gdy stwierdza na busoli, że kierunek, w którym szybko zmierza, jest całkowicie rozbieżny z kierunkiem właściwym, a on okrętu zatrzymać nie może. Żeglarz wie, że każda sekunda oddala go coraz bardziej od wytyczonego szlaku, lecz uznanie, że się z nim rozminął, równałoby się stwierdzeniu, że zguba, jest nieuchronna.

Dziecko to, ze swym naiwnym poglądem na życie, było jak busola pokazująca im stopień odchylenia od prawdy, którą znali, lecz o której woleli nie wiedzieć.

Tym razem Sierioży nie było w domu. Anna zupełnie sama na tarasie czekała na powrót syna, którego na spacerze musiała zaskoczyć ulewa. Wysłała służącego i pokojówkę, by go szukali, a sama — w białej sukni z szerokim haftowanym szlakiem — siedziała wyczekując w kącie tarasu za grupą kwiatów i nie słyszała kroków Wrońskiego. Pochyliwszy głowę o czarnych kręconych włosach, przyciskała czoło do chłodnego metalu stojącej na balustradzie konewki, przytrzymując ją prześlicznymi rękoma, zdobnymi w tak dobrze znane Wrońskiemu pierścionki. Niezwykle piękno całej jej postaci, głowy, szyi, rąk, za każdym razem zdumiewało Wrońskiego jak niespodzianka. Przystanął, wpatrzony w nią z zachwytem. Nie zdążył jednak postąpić ku niej nawet kroku, gdy już odgadła jego obecność, odsunęła konewkę i zwróciła ku zbliżającemu się rozgorączkowaną twarz.

— Co pani jest? Czy pani źle się czuje? — spytał po francusku. Byłby przy niej jednym skokiem, lecz pamiętał, że ktoś mógłby ich zobaczyć; spojrzął w górę na drzwi od balkonu i poczerwieniał tak, jak zwykł się czerwienić, ilekroć sobie uświadamiał, że jest zniewolony" bać się i oglądać.

— Jestem zdrowa — odrzekła Anna podnosząc się i mocno ściskając wyciągniętą do niej rękę. — Nie spodziewałam się... ciebie.

— Mój Boże, jakie zimne ręce! — zawołał Wroński.

— Przestraszyłeś mnie — powiedziała. — Jestem sama i czekam na Sieriożę, który poszedł na spacer; będą tędy wracali.

Mimo że starała się nakazać sobie spokój, wargi jej drżały.

— Niech mi pani wybaczy, że jestem tutaj, ale nie mogłem przeżyć dnia nie widząc pani — ciągnął dalej po francusku, chcąc, jak zawsze, uniknąć zarówno niemożliwego pomiędzy nimi chłodnego po rosyjsku pani, jak i niebezpiecznego ty.

— Co mam wybaczyć?... Tak się cieszę!

— Ależ pani jest niezdrowa albo ma pani zmartwienie — mówił Wroński nie puszczając jej ręki i pochylając się nad nią. — O czym pani tak myślała?

— Ja... Zawsze o tym samym — powiedziała Anna z uśmiechem.

Mówiła prawdę. Kiedykolwiek, w jakiejkolwiek porze by ją zapytano, o czym myśli, mogłaby zawsze bez zająknięcia odpowiedzieć: o jednej jedynej rzeczy, o swym szczęściu i o swym nieszczęściu. W chwili gdy nadszedł Wroński, zastanawiała się właśnie, czemu inne kobiety, na przykład Betsy (Anna wiedziała o jej, ukrywanym przed światem romansie z Tuskiewiczem), biorą to tak lekko, a ona tak się dręczy. Ta myśl z pewnych względów dziś ją zwłaszcza prześladowała. Zagadnęła go o zawody. Odpowiedział, a widząc jej wzburzenie i chcąc ją rozerwać począł opowiadać najnaturalniejszym tonem różne szczegóły przygotowań.

„Powiedzieć czy nie powiedzieć? — wahała się Anna napotykać jego pogodne, serdeczne spojrzenie. — Taki jest szczęśliwy i taki przejęty tym dniem, że nawet tego nie zrozumie jak należy, nie uprzytomni sobie, co to dla nas znaczy.”

— Ale nie powiedziała mi pani, o czym pani myślała, gdy wszedłem — przerwał swą opowieść. — Proszę bardzo, niech mi pani powie!

Nic nie odrzekła, pochyliła tylko głowę i spojrzała na niego głęboko, pytając swymi błyszczącymi zza długich rzęs wielkimi oczyma. Ręka jej bawiąca się zerwanym liściem drżała. Wroński zauważył to i twarz jego przybrała ów wyraz pokory i niewolniczego oddania, któremu Anna nie umiała się oprzeć.

— Przecie widzę, że coś się stało. Czy mogę mieć bodaj sekundę spokoju wiedząc, że pani ma zmartwienie, którego nie mogę z panią podzielić? Niech mi pani powie, na miłość boską, co się stało? — powtórzył błagalnie.

„Nigdy mu nie przebaczę, jeśli nie oceni całej doniosłością... Lepiej nic nie mówić. Po co wystawiać go na taką próbę?” — myślała, wciąż w niego wpatrzona, czując, jak ręka jej drży coraz mocniej wraz z liściem.

— Na Boga! — powtórzył i ujął jej dłoń.

— Mam powiedzieć?.

— Tak, tak, tak...

— Jestem w ciąży — wyszeptała z wolna.

Liść w jej ręku zadygotał jeszcze gwałtowniej. Nie odwracała od Wrońskiego oczu chcąc się przekonać, jak on to przyjmie. Zbladł, chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł, puścił jej dłoń i pochylił głowę. „Zrozumiał, docenił, jakie to ważne.::” — pomyślała i z wdzięcznością ucisnęła mu rękę.

Myliła się wszakże sądząc, że zrozumiał znaczenie tej wiadomości tak, jak je pojmowała ona, kobieta. Na jej słowa Wroński dziesięćkroć mocniej odczuł ów dziwny, opanowujący go chwilami wstręt nie wiedząc do kogo. Jednocześnie jednak zdał sobie sprawę, że oto nastąpił wreszcie upragniony przez niego przełom, że niepodobna dłużej ukrywać prawdy przed mężem i należy tak czy inaczej czym prędzej skończyć z tą fałszywą sytuacją. Prócz tego wzburzenie Anny udzieliło się i

jego nerwom: rozrzewniony, spojrzął na nią z pokorą, ucałował jej rękę, wstał i w milczeniu przeszedł się parę razy po tarasie.

— Tak! — rzekł stanowczo, podchodząc do niej. — Ani ja, ani pani nigdy nie zapatrywaliśmy się na nasz związek jak na zabawkę. Teraz los nasz się rozstrzygnął. Trzeba koniecznie -- tu rozejrzał się dokoła — skończyć z tym fałszem, w którym żyjemy.

— Skończyć? W jaki sposób, Aleksy? — spytała cicho. Uspokoili się już i twarz jej jaśniała pełnym czułości uśmiechem.

— Opuść męża i połączmy nasze życie.

— Ono i tak jest złączone — powiedziała najcichszym szeptem.

— Tak... Ale zupełnie, całkowicie!

— W jaki sposób, Aleksy? Naucz mnie, jak się to robi — uśmiechnęła się smutnie nad swym położeniem bez wyjścia. — Czy bywa w ogóle jakieś wyjście w takich wypadkach? Czyż nie jestem żoną mego męża?

— Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście. Trzeba się tylko zdecydować — nalegał. — Wszystko jest lepsze od warunków, w jakich żyjesz. Przecież widzę, jak się wszystkim zadrezczasz: i opinią świata, i synkiem, i mężem...

— Ach, byle nie mężem! — rozweseliła się szczerze. — Po prostu nic o nim nie wiem, nigdy o nim nie myślę.

On właściwie nie istnieje.

— Nie mówisz- tego szczerze, Anno. Już ja cię znam: zadrezczasz się także i z jego powodu.

— Ależ on nawet nie wie...— rzekła. I nagle twarz jej spłonęła mocnym rumieńcem: policzki, czoło, nawet szyja zaróżowiły się i łzy zawstydenia stanęły jej w oczach. — I nie ma id="filepos486521">wmy więcej o nim.

Wroński już kilkakrotnie, chociaż nigdy tak energicznie jak teraz, próbował skłonić Annę, aby z nim razem rozpatrzyła poważnie swoją sytuację, zawsze jednak spotykał się z takim powierzchownym i lekkomyślnym zdaniem, jakim i dzisiaj odpowiedziała na jego propozycję. Jak gdyby w tym wszystkim było coś, z czego nie mogła lub nie chciała wyraźnie zdać sobie sprawy, jak gdyby — ledwo rozpoczynała o tym mówić — ona, ta prawdziwa Anna, uciekała gdzieś daleko w głąb siebie, a na jej miejsce zjawiała się inna, dziwna i obca mu kobieta, której nie kochał, której bał się i która stawiała mu opór. Dzisiaj jednak postanowił wypowiedzieć wszystko.

— Czy on o tym wie, czy nie wie — rzekł stanowczo i spokojnie jak zwykle — czy wie, czy nie wie, to nie nasza rzecz. My nie możemy... Pani nie może tak pozostawać dłużej, zwłaszcza teraz.

— Cóż więc, zdaniem pana, należy uczynić? — spytała znów trochę drwiąco. Przedtem tak się obawiała, czy Wroński nie potraktuje zbyt lekko wiadomości o jej ciąży, teraz znów drażniło ją, że wysnuwa stąd konieczność poczynienia jakichś kroków.

— Powiedzieć mu wszystko i opuścić go.

— Doskonale, przypuśćmy, że to "zrobię. Czy pan wie, co z tego wyniknie? Powiem z góry, jak będzie... — Tu złośliwy błysk zapalił się w jej tkliwych przed chwilą oczach. — „Więc to tak?! Pani kocha innego i nawiązała z nim pani występny stosunek? (Anna, naśladowując Karenina, położyła nacisk na wyrazie występny, tak jak uczyniłby to jej mąż.) Uprzedzałem panią o wszystkich następstwach takiego czynu ze stanowiska religii, społeczeństwa i rodziny. Pani mnie nie słuchała, a ja nie mogę narażać na hańbę nazwiska, które noszę ja... — i mój syn... — zamierzała powiedzieć, lecz z synka swojego drwić nie mogła i. — nazwiska, które noszę." I może jeszcze coś w tym rodzaju — dodała. — W ogóle mąż mój, we właściwej sobie urzędowej formie, wyraźnie i dobitnie oświadczy, że nie może mi zwrócić wolności, że poczyni natomiast odpowiednie kroki, aby nie dopuścić do skandalu. I wykona spokojnie i dokładnie wszystko, co zapowie. Oto, co z tego wyniknie. To nie człowiek, tylko maszyna, a gdy się rozgniewa, to w dodatku złośliwa maszyna — zakończyła Anna po chwili, przypominając sobie przy tym męża ze wszystkimi szczegółami: postacią, sposobem mówienia i charakterem... I potępiła go za wszystko, co w nim mogła wyszukać ujemnego, nic mu zgoła, nie przebacząc, w odwecie za tę straszliwą winę, której się sama wobec niego dopuściła.

— Ależ, Anno — rzekł łagodnym, przekonywającym tonem Wroński starając się ją uspokoić — należy mimo to powiedzieć mu wszystko, a potem kierować się tym, jak on postąpi.

— Więc jakże... Może uciec z domu?

— Czemuż by nie? Nie widzę możliwości przedłużania tego stanu rzeczy. Wszak

chodzi nie o mnie: widzę, jak pani cierpi.

— Tak, uciec z domu i zostać kochanką pana — przerwała gniewnie Anna.

— Anno, Anno — wyszeptał z łagodnym wyrzutem.

— Tak — mówiła dalej Anna — zostać kochanką pana i zaprzepaścić wszystko...

I znów chciała powiedzieć: mego synka, lecz nie zdołała wyrzec tego słowa.

Wroński nie rozumiał, jak ze swą silną, uczciwą naturą. Anna mogła znosić tę atmosferę fałszu i dlaczego nie pragnęła z nią skończyć. Nie domyślał się, że główną tego przyczyną był ów nie dopowiadany przez nią wyraz: syn. Gdy Anna myślała o synku i o jego uczuciach w przyszłości dla matki, która by porzuciła jego ojca, przejmował ją taki strach przed tym, co uczyniła, że przestawała rozumować. Była już tylko w stanie uspokajać się po kobiecemu złudnymi argumentami, grą słów, pragnąc, aby wszystko zostało po dawnemu, tak by można było zapomnieć o owym strasznym pytaniu: co się stanie z synem?

— Proszę cię, błagam — rzekła nagle zupełnie innym tonem, szczerze i czule, ujmując jego rękę — nigdy nie mów ze mną o tym!

— Ależ, Anno...

— Nigdy!... Pozostaw wszystko mnie. Wiem, jak hańbiąca, jak straszna jest moja sytuacja, ale nie tak to łatwo rozstrzygnąć, jak ci się zdaje. Pozostaw wszystko mnie cię proszę. Nigdy już nie mów ze mną o tym. Czy obiecujesz?... Nie, nie... Przyrzeknij!

- Przyrzekam ci wszystko, lecz jakże mogę być spokojny, zwłaszcza teraz, po tym, coś mi wyznała... Nie mogę być spokojny gdy ty nie masz spokoju...

- Ja?! Tak, chwilami jestem udręczona, ale to minie, jeśli ty nigdy nie będziesz mi o tym wspominał. Te rzeczy mnie dręczą tylko wtedy, kiedy zaczynasz ze mną o nich mówić.

- Ja tego nie rozumiem — rzekł Wroński.

- Wiem — przerwała — jak trudno przy twojej prawości kłamać, i żal mi ciebie. Nieraz myślę, że przeze mnie zmarnowałeś sobie życie.

- A ja myślałem, i to właśnie teraz: jak ty mogłaś tak dla mnie wszystko poświęcić! Nie mogę sobie wybaczyć, że jesteś nieszczęśliwa.

— Ja? Nieszczęśliwa? — powtórzyła zbliżając się, wpatrzona w niego z miłością, ekstatycznie uśmiechnięta. — Ja przecież jestem jak zgłodniały człowiek, któremu dano jeść. Być może, że mu jest zimno, że ma ubranie w łachmanach, może nawet się wstydzi, ale nie jest nieszczęśliwy. Ja — nieszczęśliwa? Ach nie, to właśnie jest moje szczęście...

W tej chwili usłyszała głos powracającego synka i ogarniając szybkim spojrzeniem taras zerwała się z miejsca. Wzrok jej zapłonął znajomym mu ogniem, nagłym ruchem podniosła swe piękne, pokryte pierścionkami dłonie, ujęła jego głowę, wpatrzyła się w niego przeciągle, zbliżając twarz o rozchylonych wargach do jego twarzy, prędko pocałowała go w usta, w oboje oczu i odepchnęła od siebie. Odchodziła już, lecz Wroński ją przytrzymał. — Kiedy? — zapytał cicho, patrząc w

nią jak urzeczony.

— Dzisiaj o pierwszej! — szepnęła i z ciężkim westchnieniem poszła stąpając po swoim szybko i lekko na spotkanie syna.

Seriożę deszcz zastał w parku; przeczekał go wraz z niańką w altance.

— A więc do widzenia — pożegnała Anna Wrońskiego. — Teraz już trzeba będzie wkrótce wybierać się na zawody. Betsy przyrzekła, że po mnie wstąpi. Wroński spojrzął na zegarek i spiesznie odjechał.

Kiedy Wroński na tarasie u Kareninów spojrzął na zegarek, był tak wzburzony i zaprzątnięty swymi myślami, że chociaż widział wskazówki na cyferblacie, nie rozpoznał wcale godziny. Wyszedł na drogę i stąpając ostrożnie po błocie zmierzał do swego powozu. Uczucie dla Anny pochłaniało go tak dalece, że nie zastanawiał się zupełnie, która godzina, i czy będzie jeszcze miał czas wpaść do Briańskiego. Pozostawała mu jedynie rutyna pamięci, która wskazywała, co i w jakiej kolejności należy wykonać. Podszedł do swego stangreta, drzemającego na koźle pod skośnym już cieniem rozłożystej lipy, przystanął na chwilę, by popatrzeć na mieniące się w świetle słupy muszek unoszących się nad zgrzanymi końmi, po czym obudził stangreta, wsiadł do powozu i kazał jechać do Briańskiego. Dopiero po przejechaniu siedmiu wiorst oprzytomniał na tyle, że znowu spojrzął na zegarek i przekonał się, że jest już wpół do szóstej i że się spóźnił na zawody.

Tego dnia miało się odbyć kilka biegów: gonitwa konwoju, potem dwuwiorstowy bieg oficerski, bieg czterowiorstowy i po nim gonitwa, w której brał udział Wroński. Na swoją gonitwę mógł zdążyć, lecz gdyby miał jeszcze zajechać do Briańskiego, to stanąłby na starcie zaledwie tuż przed własnym biegiem, gdy już cały dwór będzie na miejscu. To było niefortunne. Ponieważ jednak dał Briańskiemu słowo, że u niego będzie, postanowił jechać dalej i polecił stangretowi nie oszczędzać trójki.

Dojechał na miejsce, zabawił pięć minut, po czym popędził z powrotem. Szybka jazda znacznie go uspokoiła. Wszystko, co pomiędzy nim i Anną było tak bolesne, całe niedopowiedzenie pozostałe po ich rozmowie — wszystko to wywietrzało mu z głowy. Z rozkoszą i podnieceniem myślał teraz o zawodach, ó tym, że jednak zdąży. Chwilami tylko rozpalało się jaskrawym światłem w jego wyobraźni przeczucie szczęścia na myśl o dzisiejszej nocnej schadzce.

Im dalej wjeżdżał w atmosferę wyścigów, mijając powozy widzów jadących na zawody z letnisk i z Petersburga, tym wyłączenie pochłaniała go myśl o bliskim biegu.

U siebie na kwaterze nie zastał już nikogo; wszyscy byli na zawodach, a służący oczekiwał go przy wrotach. Podczas gdy się przebierał, lokaj zameldował mu, że drugi bieg już się zaczął, że wiele państwa przychodziło o niego pytać i że ze stajni dwukrotnie przybiegał groom.

Przebrawszy się bez pośpiechu (nigdy się nie śpieszył i nigdy nie tracił panowania nad sobą), pojechał do baraków. Stamtąd widać już było morze powozów, pieszej publiczności, żołnierzy, otaczających plac, i trybuny rojące się od widzów. Odbywała się zapewne druga gonitwa, Wroński bowiem u wejścia do baraków usłyszał dzwonek. Przed stajnią spotkał złotego kasztana o białych nogach, Machotinowego Gladiatora, w pomarańczowej z błękitnym derze; uszy konia w nagłowniku oblamowanym niebiesko wydawały się olbrzymie. Prowadzono go już na tor.

— Gdzie jest Cord? — zapytał Wroński stajennego.

— Jest w stajni, siodła konia.

Frou-Frou, już osiodłana, stała w otwartym boksie. Miano ją właśnie wprowadzić.

— Nie spóźniłem się?

— All right! All right! Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! — rzekł Anglik. — Niech się pan tylko nie denerwuje.

Wroński z trudem zdołał oderwać wzrok od zachwycających kształtów ulubionej klaczy, która drżała na całym cele. Spojrzawszy na nią raz jeszcze, wyszedł z baraku. Podjechał do trybun w najodpowiedniejszej chwili, by nie zwrócić na siebie uwagi. Właśnie kończył się dwuwiorstowy bieg i oczy wszystkich widzów były utkwione w kawalergardzie, który prowadził, i w lejbhuzarze tuż za nim. Obaj ostatkiem sił poganiali konie i zbliżali się do celownika. Ze środka koła i z zewnątrz wszyscy cisnęli się do słupa i ciżba żołnierzy i oficerów kawalergardów głośnymi okrzykami wyrażała radość ze spodziewanego triumfu swego dowódcy i kolegi. Wrońskiemu udało się wejść niepostrzeżenie w tłum prawie w tej samej chwili, gdy rozległ się sygnał zakończenia gonitwy i wysoki, zachlapany błotem kawalergard, który przyszedł pierwszy, opadł na siodło i popuścił cugli swemu pociemniałemu od potu i ciężko dyszącemu siwemu ogierowi.

Siwy ogier niepewnie stawiając nogi, powściągnął swe rozpędzone wielkie cielsko i oficer oglądając się wkoło, jak człowiek przebudzony z ciężkiego snu, uśmiechnął się z przymusem. Ciżba znajomych i nieznajomych wnet go otoczyła.

Wroński starannie unikał tłumy światowej elity, która z dyskretną swobodą gawędziła i przechadzała się wzdłuż trybun. Dojrzał tam i panią Karenin, i Betsy, i bratową, lecz umyślnie nie podszedł do nich, by się nie rozpraszać. Niemniej jednak spotykani co chwila znajomi zatrzymywali go opowiadając o szczegółach poprzednich biegów i zapytywali, dlaczego się spóźnił.

W momencie gdy uczestników gonitwy wezwano na trybunę dla wręczenia im nagród i wszyscy ruszyli w tę stronę, do Wrońskiego podszedł jego starszy brat Aleksander, pułkownik w aksebantach, niewysoki i równie krępy jak Aleksy. Cera jego pijackiej, prostodusznej twarzy była różowa i mimo swego czerwonego nosa był przystojniejszy od brata.

— Czyś dostał moją kartkę? — zapytał. — Nigdy cię w domu zastać nie można.

Aleksander Wroński pomimo hulaszczego, a zwłaszcza pijackiego trybu życia, z którego był znany, był wzorowym dworakiem.

I teraz, mówiąc z bratem o bardzo niemiłej dla niego sprawie, uśmiechał się, jakby żartowali o czymś błahym, ponieważ niejedno spojrzenie mogło być na nich zwrócone.

— Otrzymałem i doprawdy nie rozumiem, o co tobie może tu chodzić — odparł Aleksy.

— Chodzi mi o rzecz następującą: przed chwilą zwrócono mi uwagę, że ciebie nie ma, a poza tym są tacy, co cię widzieli w poniedziałek w Peterhofie.

— Bywają tematy, na które wolno się wypowiadać tylko tym, którzy są bezpośrednio zainteresowani. To, o co się tak troszczysz, należy właśnie do tego rodzaju rzeczy.

— Tak, ale w takim razie nie powinno się służyć w wojsku, nie...

— Proszę cię, bądź łaskaw nie wtrącać się, i basta.

Chmurna twarz Aleksego Wrońskiego pobladła, a wysunięta dolna szczęka poczęła drgać, co było u niego zjawiskiem rzadkim. Nieczęsto się gniewał, lecz gdy wpadał we wściekłość, a szczęka mu latała, stawał się — jak to nieraz bywa z ludźmi o bardzo dobrym sercu — niebezpieczny. Aleksander Wroński wiedział o tym, rzekł więc z pojednawczym uśmiechem:

— Chciałem ci tylko oddać list od matki. Odpiszże jej i nie denerwuj się przed gonitwą. Bonne chance — dodał uśmiechając się i pożegnał brata.

Wnet po nim jednak znów ktoś zatrzymał Wrońskiego przyjacielskim powitaniem:

— Nie chcesz znać przyjaciół! Jak się miewasz, mon cher! — zawołał Obłoński, który i tutaj, na tle petersburskiego szyku, nie mniej niż w Moskwie wyróżniał się rumianą twarzą i lśnącymi, dobrze wyszczotkowanymi faworytami. — Przyjechałem wczoraj i cieszę się bardzo, że będę świadkiem twego triumfu. Kiedy się spotkamy?

— Przyjdź jutro do naszego kasyna — rzekł Wroński, przeprosił go i uściskawszy w pośpiechu rękaw jego palta, odszedł ku środkowi placu, gdzie już wprowadzono konie do wielkiej gonitwy z przeszkodami.

Stajenni odprowadzali do stajen zgrzane i zmęczone konie z poprzednich biegów, a na ich miejscu pojawiały się do następnej gonitwy jeden za drugim nowe, przeważnie angielskiej rasy, z wpadniętymi brzuchami, podobne w swych kapturach do ogromnych, cudaczych ptaków. Po prawej stronie stajenny oprowadzał piękną, wysmukłą Frou-Frou, stąpającą sprężysto na elastycznych, dość długich pęcinach. Ze stojącego nie opodal kłapouchego Gladiatora właśnie zdejmowano derę. Potężne, prześliczne, idealnie prawidłowe kształty ogiera ze wspaniałym zadem i niezwykle krótkimi, jakby nasuniętymi na kopyta, pęcunami mimo woli przykuwały uwagę Wrońskiego. Zamierzał podejść do swojej klaczy, lecz znów zatrzymał go znajomy.

— A otóż i Karenin — powiedział po chwili rozmowy. — Szuka żony, a ta siedzi pośrodku trybuny. Czy widział ją pan?

— Nie, nie widziałem — odparł Wroński i nawet nie patrząc na trybunę, gdzie miała się znajdować Anna, podszedł do swojej klaczy.

Nie zdążył sprawdzić siodła, co do którego chciał wydać pewne polecenie, gdy już wezwano zawodników do trybuny dla odprawy i wylosowania numerów. Siedemnastu oficerów o poważnych, surowych, a wielu — o bladych twarzach zebrało się przed trybuną i wzięło numery. Wroński otrzymał numer siódmy. Rozległa się komenda: „Wsiadać!”

Czując, że wraz z resztą jeźdźców znajduje się teraz w centrum ogólnej uwagi, Wroński, jak zwykle w chwilach niezwykłego napięcia, poruszał się powoli i ze

spokojem podszedł do klaczy. Cord, by uczcić dzień zawodów, włożył swój odświętny strój: czarny, zapięty surdut, sztywno wykrochmalony wysoki kołnierzyk podpierający policzki, okrągły czarny kapelusz i buty ze sztylpami. Jak zawsze spokojny i godny, stał teraz przed koniem trzymając go za obie wodze. Frou-Frou drżała wciąż jak w febrze, patrząc z ukosa na Wrońskiego spojrzeniem pełnym ognia. Wroński wsunął palec pod popręg, wówczas spojrzała jeszcze bardziej z ukosa, pokazała zęby i stuliła uszy. Anglik ściągnął wargi usiłując uśmiechnąć się z tej kontroli jego siodłania.

— Niech, pan już wsiada, będzie się pan mniej denerwował.

Wroński po raz ostatni spojrzał na współzawodników; wiedział, że podczas biegu ich nie zobaczy. Dwóch jechało już do miejsca startu. Galcyn, jeden z niebezpiecznych rywali, zresztą przyjaciel Wrońskiego, dreptał dokoła gniadego ogiera, który nie dawał się dosiąść. Malutki lejbhuzar w wąskich rajtuzach, skurczony jak kot na końskim zadzie, usiłował naśladować galop angielskich dżokejów. Księżę Kuzowlew siedział blady na swej rasowej klaczy (ze stadniny Grabowskiej), którą Anglik prowadził za cugle. Wroński i wszyscy koledzy znali Kuzowlewa i właściwości jego charakteru: „słabe” nerwy i straszliwą ambicję. Wiedzieli, że Kuzowlew wszystkiego się lęka i że boi się jechać na koniu liniowym. Teraz jednak właśnie, ponieważ groziło to niebezpieczeństwem, ponieważ łatwo było skręcić kark, a przy każdej przeszkodzie stał doktor oraz furgon z lazaretu ze znakiem czerwonego krzyża i z siostrą miłosierdzia — postanowił wziąć udział w zawodach. Spojrzenia ich spotkały się. Wroński mrugnął przy tym na niego życzliwie i z uznaniem... Jednego tylko kolegi nie widział — głównego rywala, Machotina na Gladiatorze.

— Proszę się nie spieszyć — zalecał Cord Wrońskiemu — i proszę pamiętać: przed przeszkodą nie wstrzymywać i nie kierować klaczą. Niech wybiera, jak sama chce.

— Dobrze, dobrze — Wroński ujął za cugle.

— Proszę prowadzić bieg, jeśli to będzie możliwe, ale nie tracić nadziei do ostatniej chwili, nawet jeśli pan zostanie w tyle.

Frou-Frou nie zdążyła jeszcze ruszyć, gdy już Wroński zręcznym, silnym skokiem stanął w stalowym, ryflowanym strzemieniu i lekko a pewnie usadowił się ubitym mocno ciałem na skrzypiącej skórze siodła. Gdy i prawa noga była w strzemieniu, machinalnie wyrównał pomiędzy palcami podwójne wodze. W tej chwili Cord opuścił ręce. Jak gdyby zrazu nie wiedząc, którą nogą najpierw stąpnąć, Frou-Frou wyciągnęła długą szyję cugle i ruszyła kołysząc jeźdźca na swym giętym grzbiecie jak na sprężynach. Cord przyśpieszając kroku podążał za nią. Podniecona klacz naciągała wodze to z jednej, to z drugiej strony, jakby starając się oszukać jeźdźca. Wroński na próżno usiłował uspokoić ją ręką i głosem.

Zbliżali się właśnie do zatamowanej rzeczki, zdążając do miejsca, skąd mieli wystartować. Wielu jeźdźców znajdowało się przed nim, wielu za nim, gdy nagle usłyszał za sobą tętent galopującego po błocie konia i Machotina wyminął go na swym białonogim, kłapouchym Gladiatorze. Jeździec uśmiechnął się przy tym,

pokazując długie zęby, ale Wroński spojrzał na niego gniewnie. W ogóle go nie lubił, a teraz uważał za najgroźniejszego rywala; poza tym był zły, że Machotin, wyprzedzając go galopem, zdenerwował mu klacz. Frou-Frou poderwała się do galopu z lewej nogi, dała dwa susy i gniewnie targając ściągnięte cugle puściła się drobnym, trzęsącym kłusem, podrzucając jeźdźca na siodle. Zmarszczył brwi również i Cord, sadzący za koniem olbrzymimi krokami.

W zawodach brało udział siedemnastu oficerów. Miały się one odbywać przed trybunami, na torze w kształcie elipsy obwodu czterech wiorst. Na tej przestrzeni było dziewięć przeszkód: rzeczka; wielka dwuarszynowa, nieruchoma bari,era tuż przed trybuną; pusty rów; rów z wodą; wysoka pochyłość; irlandzka bankieta (jedna z najtrudniejszych przeszkód), składająca się z wału ziemnego z pozatykanym na nim chrustem, za którym znajdował się niewidoczny dla konia rów, tak że koń musiał albo za jednym zamachem przeskoczyć i wał, i rów, albo się rozbić; potem jeszcze dwa rowy — jeden z wodą, a drugi suchy. Meta znajdowała się przed trybuną. Bieg zaczynał się jednak nie na obwodzie elipsy, ale z boku, o sto sążni dalej, i już na tej przestrzeni napotykało się pierwszą przeszkodę — zatamowaną rzeczkę, szeroką na trzy arszyny, którą można było przesadzić lub przejechać w bród. Jeźdźcy wyrównywali się trzykrotnie, ale za każdym razem któryś z koni wysuwał się naprzód i trzeba było zaczynać od nowa. Doświadczony starter, pułkownik Siestrin, już się zaczynał irytować, gdy nareszcie za czwartym razem mógł krzyknąć: „Ruszaj!”, i jeźdźcy ruszyli z miejsca.

Na pstrą gromadkę jeźdźców, podczas gdy się ustawiali, skierowane były wszystkie oczy i wszystkie lornetki.

— Wystartowali! Jada! — rozległo się ze wszystkich stron po wielkiej ciszy oczekiwania.

Zarówno grupki publiczności, jak i poszczególni widzowie piesi poczęli przebiegać z miejsca na miejsca, aby lepiej widzieć. Już w pierwszej chwili biegu zwarta gromadka jeźdźców rozciągnęła się i widać było, jak po dwóch, po trzech i pojedynczo zbliżali się ku rzeczce. Widzom zdawało się, że wszyscy oni ruszyli jednocześnie, dla jeźdźców wszelako istniały różnice długości sekundy i miały duże znaczenie.

Podniecona i nazbyt nerwowa Frou-Frou zmarnowała pierwszy moment na starcie, tak że kilka koni ruszyło z miejsca przed nią, ale jeszcze zanim dopadli do rzeki, Wroński, który z całych sił wstrzymywał kładącą się na cugle klacz, z łatwością pozostawił trzech za sobą; przed nim był już tylko kasztanowaty Gladiator, którego zad pracował równo i lekko tuż przed Wrońskim, i wyprzedzająca wszystkich śliczna Diana, niosąca na wpeł żywego ze strachu Kuzowlewa.

W pierwszej chwili Wroński nie panował ani nad sobą, ani nad koniem i aż do pierwszej przeszkody, to jest do rzeki, nie zdołał kierować ruchami Frou-Frou.

Gladiator i Diana zbliżyły się ku rzece razem i prawie jednocześnie — raz w raz — uniosły się nad nią i znalazły się na drugim brzegu. Tuż za nimi, niepostrzeżenie, jakby w locie uniosła się Frou-Frou, lecz w chwili gdy Wroński uczył, że jest w powietrzu, nagle zobaczył prawie pod nogami swej klaczy Kuzowlewa, który szamotał się z Dianą na przeciwległym brzegu (Kuzowlew puścił cugle po skoku i Diana przekoziółkowała razem z jeźdźcem). O tych szczegółach Wroński dowiedział się dopiero później, teraz zaś widział tylko jedno: to, że wprost pod nogami, tam

gdzie ma stanąć Frou-Frou, może wypaść właśnie noga lub głowa Diany. Frou-Frou wszakże, jak spadający kot, zrobiła w skoku tak zręczny ruch nogami i grzbietem, że ominęła tamtego konia i pomknęła dalej.

„O, najmilsza!” — pomyślał Wroński.

Po przebyciu rzeki zapanował już całkowicie nad koniem i zaczął go powściągać, zamierzając wziąć wielką barierę po Machotinie. Dopiero na następnym odcinku, gdzie na przestrzeni dwustu sążni nie było żadnej przeszkody, chciał spróbować, czy nie uda mu się wyprzedzić rywala.

Wielka bariera stała tuż przed cesarską lożą. Cesarz, cały dwór i tłum widzów, wszyscy, patrzyli na nich — na niego i na wyprzedzającego go o jedną długość Machotina — w chwili gdy się zbliżali do czarta (tak nazywano nieruchomą, wielką barierę). Wroński czuł te skierowane na siebie ze wszech stron spojrzenia, ale nie widział nic oprócz uszu i szyi swojej klaczy, oprócz biegnącej mu na spotkanie ziemi oraz zadu Gladiatora i jego białych nóg szybko wybijających takt, a pozostających wciąż w tej samej odległości. Gladiator "uniósł się w powietrze, o nic nie stuknął, machnął krótkim ogonem i znikł sprzed oczu Wrońskiego.

— Brawo! — ozwał się czyjś głos.

W tej samej sekundzie przed oczyma Wrońskiego, tuż przed nim, mignęły deski bariery. Bez najmniejszej zmiany, tempa koń uniósł się wraz z nim, deski sprzed oczu. Wrońskiego zniknęły i tylko coś za nim stuknęło. Frou-Frou, zdenerwowana przez biegnącego na przedzie Gladiatora, uniosła się trochę zbyt wcześnie przed barierą i stuknęła o nią tylnym kopytem. Tempo jej biegu wszelako nie zmieniło się i kiedy grudka błota ugodziła Wrońskiego w twarz, wywnioskował, że od Gladiatora dzieli go znów ta sama odległość. Znowu miał przed sobą jego zad, jego krótki ogon i te nieustannie widoczne, szybko poruszające się białe nogi.

W chwili gdy Wroński pomyślał, że należałoby teraz zacząć wyprzedzać Machotina, Frou-Frou sama podchwyciła jego myśl, bez żadnej podniety przyspieszyła biegu i poczęła zbliżać się do Gladiatora z najdogodniejszej strony, czyli od strony sznura. Machotin jednak nie dawał mu bandy. Zaledwie Wroński zdążył pomyśleć, że można go także ominąć od strony zewnętrznej, a już Frou-Frou zmieniła nogę i w taki właśnie sposób zaczęła obchodzić Gladiatora. Poczynająca ciemnieć od potu przednia łopatka Frou-Frou zrównała się z zadem Gladiatora. Parę taktów galopu konie przebiegły obok siebie, ale przed przeszkodą, do której się właśnie zbliżali, Wroński, by nie zataczać zbyt wielkiego koła, zaczął pracować cuglami i szybko, na samej pochyłości, minął Machotina. Mignęła mu tylko obryzgana błotem twarz rywala. Zdało mu się nawet, że dostrzegł jego uśmiech. Wyprzedził go, ale czuł go tuż za sobą i nieustannie, bezpośrednio za plecami, słyszał miarowy galop Gladiatora i urywany dech jego nozdrzy, zupełnie jeszcze świeży.

Następne dwie przeszkody, rów i barierę, Wroński wziął z łatwością, ale znów począł go dochodzić z bliska oddech Gladiatora i jego galop. Przynaglił konia i z radością poczuł, że Frou-Frou bez wysiłku przyspieszyła biegu. Tętent Gladiatora znów począł dobiegać z poprzedniej odległości.

Wroński prowadził gonitwę, tak jak sam zamierzał i. jak mu doradzał Cord; teraz był już pewien zwycięstwa. Podniecenie jego, radość oraz czułość dla Frou-Frou nieustannie wzrastały. Miał ochotę obejrzeć się, ale nie śmiał; starał się nakazać sobie spokój i nie przynaglać klaczy, pragnąc, aby zachowała zapas siły równy temu, jakim — podług jego wyczucia — rozporządzał jeszcze Gladiator. Pozostawała jedna i to najtrudniejsza przeszkoda; gdyby ją wziął przed innymi, niewątpliwie byłby pierwszy. Zbliżał się do irlandzkiej bankiety. Zarówno on, jak Frou-Frou z daleka już widzieli bankietę i chwilowe zwątpienie równocześnie ogarnęło i jeźdźca, i konia. Poznał po. uszach Frou-Frou jej niezdecydowanie i podniósł szpicrutę, ale wnet instynktownie poczuł, że wątpliwości jego były bezpodstawne: klacz wiedziała, co jej uczynić wypada. Poderwała się ku przodowi, równiutko — tak właśnie, jak się spodziewał — uniosła się i odepchnąwszy się od ziemi, zdała się na siłę bezwładności, która przerzuciła ją daleko poza rów. I z zachowaniem poprzedniego rytmu, bez wysiłku, z tej samej nogi mknęła dalej.

— Brawo, Wroński! — rozległy się głosy grupki widzów, kolegów pułkowych i przyjaciół stojących koło rowu. Niepodobna było nie poznać głosu Jaszwinia, ale Wroński go nie dojrzał.

„O, moja cudna!” — myślał o Frou-Frou przysłuchując się temu, co się za nim działo. „Przeskoczy!” — poznał słysząc z tyłu odgłos skoku Gladiatora. Pozostawał jeszcze jeden, ostatni, rowek z wodą, szerokości dwóch arszynów. Wroński nawet nań nie patrzył, a ponieważ chciał teraz znacznie wyprzedzić współzawodnika, zaczął pracować cuglami ruchem kolistym, podnosząc i opuszczając głowę klaczy w takt jej galopu. Czuł, że koń idzie już ostatkiem sił: nie tylko szyja i łopatki Frou-Frou były mokre, lecz także na karku, na głowie i na ostrych uszach występował kroplisty pot, a oddech był urywany i krótki. Ale Wroński wiedział, że sił tych starczy' aż nadto na pozostałe dwieście sążni. Tylko stąd, że czuł się znacznie bliżej ziemi, a ruchy konia stały się jakoś szczególnie . miękkie, wnioskował, jak znacznie Frou-Frou przyspieszyła tempa. Rowek przesadziła, jakby go nie widząc, przeleciała nad nim jak ptak; w tej samej jednak chwili Wroński z przerażeniem zdał sobie sprawę, że on sam. nie nadążył za ruchem konia i że uczynił — sam nie wiedząc jak — fatalny, nie do darowania ruch opuszczając się na siodło. Położenie jego naraz się zmieniło i poczuł, że zaszło coś straszliwego. Nie zdążył jeszcze połapać się, co się stało, a już obok niego mignęły białe nogi kasztanowatego ogiera i Machotin minął go cwałem. Wroński dotykał jedną stopą ziemi i koń walił mu się na tę właśnie nogę. Ledwo zdążył ją wydobyć, gdy Frou-Frou upadła na bok, ciężko chrapiąc i robiąc, aby się podnieść, daremne wysiłki swą cienką, spoconą szyją. Zatrzepotała się u jego stóp na ziemi jak postrzelony ptak... Niezręczny ruch jeźdźca złamał jej krzyż. Wroński jednak zrozumiał to dopiero o wiele później. Tymczasem widział tylko, że Machotin szybko się oddala, on zaś chwiejąc się stoi na błotnistej, nieruchomej ziemi, a przed nim, ciężko dysząc, leży Frou-Frou i przechylając ku niemu głowę patrzy na niego swym prześlicznym okiem. Wroński, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, co się stało, ciągnął konia za uzdę. Frou-Frou znów zaczęła jak ryba rzucać się na ziemi skrzypiąc tebinkami siodła i nawet wyprostowała przednie nogi, lecz nie mogąc dźwignąć zadu wnet zachwiała się i

znów upadła na bok. Z twarzą wykrzywioną z pasji, blady, z drgającą dolną szczęką, Wroński obcasem uderzył konia w brzuch i ponownie począł ciągnąć za uzdę, lecz teraz klacz nie poruszyła się nawet; tuląc chrapy do ziemi patrzyła tylko na pana swym wymownym spojrzeniem.

— Aaa! — jęknął Wroński chwytając się za głowę. — Aaa!... Co ja zrobiłem! — wykrzyknął. — I wyścig przegrałem! I w dodatku z własnej, haniebnej, niewybaczalnej winy! I ta nieszczęsna, kochana klacz — zmarnowana! Aaa! Co ja zrobiłem!

Tymczasem zbiegł się dokoła niego tłum widzów, oficerowie jego pułku, doktor, felczer. Na nieszczęście, Wroński czuł, że jest zdrów i cały. Frou-Frou miała złamany kręgosłup, postanowiono ją więc zastrzelić. Wroński nie mógł odpowiadać na pytania ani z nikim rozmawiać. Odwrócił się i nie podnosząc czapki, która przy skoku spadła mu z głowy, opuścił tor, sam nie wiedząc, dokąd idzie. Czuł się nieszczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu spotkało go nieszczęście najboleśniej, nieszczęście niepowetowane, i to takie nieszczęście, którego sam był przyczyną.

Jaszwin podniósł jego czapkę, dogonił go, odprowadził na kwaterę i w pół godziny później Wroński całkowicie odzyskał równowagę. Wspomnienie tego wyścigu pozostało mu wszakże na długo w duszy jako najbardziej dręczące i bolesne wspomnienie jego życia.

Pozornie stosunki Karenina z żoną były takie same jak poprzednio. Jedyna różnica polegała na tym, że Karenin był jeszcze bardziej zajęty niż dawniej. Jak za lat ubiegłych, tak i tego roku wczesną wiosną wyjechał do wód za granicę, by podreperować zdrowie, nadwątlone, jak co rok, wytężoną pracą w zimie, i jak zawsze w lipcu powrócił, by natychmiast ze wzmożoną energią zabrać się do swych zwykłych zajęć. Pani Karenin, jak zawsze, wyjechała na letnisko, on zaś pozostał w Petersburgu.

Od czasu ich rozmowy po owym przyjęciu u księżnej Twerskiej Aleksy Aleksandrowicz nigdy już więcej nie mówił z żoną o swych podejrzeniach ani o swej zazdrości, a jego zwykły sposób zwracania się do niej, jakby przedrzeźniając kogoś, był w obecnych warunkach niezwykle dogodny. Karenin zdawał się tylko nieco bardziej oziębły, tak jakby miał do żony trochę żalu o tę pierwszą nocną rozmowę, od której ona się uchyliła. W jego stosunku do niej był odcień urazy, nic więcej. „Nie chciałaś się rozmówić ze mną — zdawał się zwracać w myślach do żony — tym gorzej dla ciebie. Teraz ty będziesz mnie prosiła o rozmowę, lecz ja już żadnych wyjaśnień nie zechcę. Tym gorzej dla ciebie — mówił w duchu Aleksy Aleksandrowicz, podobny człowiekowi, który by na próżno próbował ugasić pożar, aż wreszcie, rozgniewany bezowocnością swych wysiłków, powiedziałby: „Jeśli tak, to masz! Spal się cały!”

Ten rozumny, a w sprawach służbowych bystry człowiek nie pojmował całej absurdalności takiego postępowania z żoną. Nie pojmował, ponieważ zanadto się obawiał zdać sobie sprawę ze swej obecnej sytuacji. Zamknął tedy w duszy na klucz i opieczętował tę skrytkę, w której znajdowały się jego uczucia dla rodziny, tj. dla żony i syna. Troskliwy zazwyczaj ojciec, z końcem owej zimy stał się wyraźnie oziębły dla Sierioży i traktował go równie ironicznie jak żonę. Zwracał się do niego: „I cóż, młody człowieku!”

Aleksy Aleksandrowicz był przekonany i twierdził, że nigdy jeszcze nie miał tyle spraw urzędowych co tego roku; nie uświadamiał sobie, że to on sam wciąż wynajdywał dla siebie w tym roku zajęcia i że był to jeden ze środków, które pozwalały mu nie otwierać owej skrytki, gdzie leżały zamknięte uczucia dla żony i rodziny oraz myśli o nich, tym straszliwsze, im dłużej tam spoczywały. Gdyby ktoś miał prawo zapytać Karenina, co sądzi o postępowaniu żony, to łagodny i spokojny Karenin nic by nie odpowiedział, lecz bardzo by się na pytającego rozgniewał. Dlatego też, ilekroć go zapytywano o zdrowie żony, przybierał wyraz dumny i surowy. Nie chciał nic myśleć o jej postępowaniu i uczuciach, i rzeczywiście nic o nich nie myślał.

Kareninowie zajmowali na stałe willę w Peterhofie i zazwyczaj hrabina Lidia Iwanowna również spędzała tam lato, często widując się po sąsiedzku z Anną. Ale w tym roku nie chciała mieszkać w Peterhofie, nie była u Anny, a nawet dała do zrozumienia Kareninowi, że zażyłość Anny z Betsy i z Wrońskim wydaje się jej niepożądana. Aleksy Aleksandrowicz surowo ją osadził oświadczając, że jego żona

jest wyższa ponad wszelkie podejrzenia, i od tego czasu począł unikać hrabiny Lidii Iwanowny. Nie chciał widzieć, 'więc też i nie widział, że już wiele osób z towarzystwa krzywo patrzy na jego żonę. Nie chciał rozumieć i nie rozumiał, dlaczego Anna specjalnie nalegała na to, by się przenieść do Carskiego Sioła, gdzie -bawiła Betsy i skąd było blisko do letnich kwater pułku Wrońskiego. Nie pozwalał sobie myśleć o tym i nie myślał, zarazem jednak w głębi duszy — nigdy nie wypowiadając tego nawet przed sobą samym i nie mając po temu nie tylko żadnych dowodów, ale nawet podejrzenia — wiedział na pewno, że jest zdradzonym mężem, i był z tego powodu głęboko nieszczęśliwy.

Ileż' to razy w ciągu ośmiu lat szczęśliwego pożycia małżeńskiego na widok cudzych niewiernych żon i zdradzanych mężów Aleksy Aleksandrowicz zadawał sobie pytanie: „Jak można coś podobnego tolerować?! Jak można nie skończyć z taką okropną sytuacją?!” Teraz wszakże, gdy klęska zwała się na niego samego, nie tylko nie myślał, jak położyć temu kres, ale nie chciał nic wiedzieć : o własnej sytuacji. Nie chciał wiedzieć -właśnie dlatego, że była zbyt okropna, zbyt nienaturalna:

Od czasu swego powrotu z zagranicy Aleksy Aleksandrowicz był dwa razy na letnisku. Raz przyjechał na obiad, za drugim razem spędził w domu wieczór wraz z gośćmi, lecz ani razu nie nocował, jak to zwykł był czynić innymi laty.

W dniu wyścigów był bardzo zajęty. Mimo to już z rana, robiąc rozkład dnia, postanowił zaraz po wczesnym obiedzie pojechać na letnisko do żony, a stamtąd na wyścigi, na których miał być cały dwór i gdzie on też być musiał. Do żony zaś chciał wstąpić dlatego, ponieważ postanowił bywać u niej raz na tydzień dla zachowania pozorów. Poza tym tego dnia, jak co piętnastego każdego miesiąca, miał jej zawieźć, wedle ustalonego trybu, pieniądze na wydatki domowe.

Opanowanie myśli, jakie osiągnął Karenin, sprawiło, że przy rozważaniu wszystkiego, co dotyczyło żony, nie pozwolił sobie na rozmyślanie o niej samej.

Ranek ów był bardzo pracowity. Hrabina Lidia Iwanowna przysłała mu w przeddzień broszurę bawiącego podówczas w Petersburgu znakomitego podróżnika, znawcy Chin, i prosiła listownie Karenina o przyjęcie owego podróżnika, człowieka z różnych względów bardzo ciekawego i pożytecznego. Aleksy Aleksandrowicz nie zdążył przeczytać nadesłanej broszury wieczorem i dokończył ją dopiero rano. Potem zjawili się petenci, rozpoczęły się raporty, audiencje, nominacje, dymisje, wymiar gratyfikacji, rent, poborów, załatwianie korespondencji, słowem, ta, jak ją nazywał Aleksy Aleksandrowicz, powszednia robota, która zabierała mu tyle czasu. Później przyszła kolej na sprawy osobiste — wizytę doktora i plenipotentą. Plenipotent nie zajął zbyt wiele czasu, wręczył tylko potrzebną kwotę i złożył krótkie sprawozdanie ze stanu interesów, które były niezbyt pomyślne, tak się bowiem złożyło, że z powodu częstych wyjazdów — wydatki się tego roku zwiększyły i powstał deficyt. Natomiast doktor, petersburska znakomitość, osobisty znajomy Karenina, zabrał mu wiele czasu. Aleksy Aleksandrowicz nie spodziewał się go tego dnia, był więc zaskoczony, zwłaszcza że doktor począł go szczegółowo wypytywać o stan zdrowia, osłuchał klatkę piersiową, opukał i wymacał wątrobę. Aleksy Aleksandrowicz nie wiedział, że jego

przyjaciółka, hrabina Lidia Iwanowna, która zauważyła, że zdrowie jego w tym roku szwankuje, prosiła doktora, by go odwiedził i zbadał. „Niech pan to zrobi dla mnie” — powiedziała.

— Zrobię to dla Rosji, proszę pani! — rzekł doktor.

— Nieoceniony człowiek! — dodała hrabina Lidia Iwanowna.

Doktor był bardzo niezadowolony ze stanu zdrowia Aleksego Aleksandrowicza. Stwierdził znaczne powiększenie wątroby i niedostateczne odżywienie: pobyt u wód nie dał żadnego rezultatu. Przepisał jak najwięcej ruchu i jak najmniej pracy umysłowej, a przede wszystkim polecił unikać zmartwień, co było dla pacjenta równie niewykonalne, jak gdyby zabroniono mu oddychać. Wreszcie doktor pożegnał się pozostawiając Karenina z przykrym uczuciem, że coś mu dolega i że nie ma na to rady.

Wychodząc od pacjenta doktor natknął się w bramie na dobrze sobie znanego Sliudina, szefa kancelarii Karenina. Kolegowali na uniwersytecie i chociaż widywali „się rzadko, cenili się nawzajem i zachowali przyjazne stosunki. Doktor przed nikim by tak szczerze nie wypowiedział swego zdania o zdrowiu Karenina jak przed Sliudinem.

— Jakże się cieszę, że pan był u niego — rzekł Sliudin. — Jakoś z nim kiepsko i zdaje mi się... No i cóż?

— Widzi pan — wyrzekł doktor dając ponad głowę Sliudina znaki swemu stangretowi, żeby zajeżdżał, — Widzi pan — mówił dalej, biorąc w swe białe ręce palec glansowanej rękawiczki i zaczynając go wciągać. — Spróbuj no pan zerwać nienapiętą strunę — przyjdzie to panu z trudnością, lecz gdy się ją napnie aż do granicy jej wytrzymałości i naciśnie choćby tylko jednym palcem — struna pęknie. On zaś przez swą wytrwałość i sumienność w pracy jest napięty do ostatecznych granic, przy nie byle jakim nacisku z zewnątrz — zakończył lekarz podnosząc wymownie brwi. — Będzie pan na zawodach? — zagadną po chwili i zszedł do karety, która tymczasem zajechała. — Tak, tak, oczywiście, to zabiera wiele czasu... — odpowiedział na jakieś słowa Sliudina, których nie dosłyszał.

Natychmiast po wyjściu doktora, którego wizyta tak długo trwała, nadszedł znany podróżnik i Karenin, opierając się na dopiero co przeczytanej broszurze i wykorzystując swoje dawne wiadomości w tej dziedzinie, olśnił przybyłego głęboką wiedzą i szerokością światłych poglądów. Jednocześnie z podróżnikiem zameldowano gubernialnego marszałka szlachty, który przyjechał do Petersburga, i z którym trzeba było się rozmówić. Po jego odjeździe należało dokończyć codziennych zajęć z szefem kancelarii oraz pojechać do pewnej wpływowej osobistości w naglącej i poważnej sprawie. Aleksy Aleksandrowicz zdążył wrócić do domu dopiero o piątej, przed samym obiadem, który zjadł w towarzystwie Sliudina, po czym zaprosił go, by z nim razem pojechał do niego do willi i na wyścigi.

Sam nie zdając sobie z tego sprawy starał się teraz zawsze, by przy jego spotkaniach z żoną był ktoś trzeci.

Anna stała w pokoju na piętrze przed lustrem, przypinając z pomocą Annuszki ostatnią kokardę u sukni, gdy posłyszała zgrzyt kół na żwirowanym dojeździe.

„Na Betsy jeszcze za wcześnie” — pomyślała i wyrzawszy oknem zobaczyła karetę i wychylający się z niej czarny kapelusz, a pod nim dobrze znajome uszy Aleksego Aleksandrowicza. „Ależ nie w- porę! Czyżby na noc?” — pomyślała Anna to, co mogło z tego wyniknąć, wydało się jej tak okropne i potworne, że bez chwili namysłu wyszła uśmiechnięta i promienna na spotkanie przybyłych. Czując, że już się w niej budzi duch kłamstwa i fałszu, poddała mu się od razu i zaczęła mówić nie wiedząc jeszcze co powie.

— Ach, jak to miło! — powiedziała podając rękę mężowi i uśmiechem witając Sliudina, stałego w ich domu gościa. — Mam nadzieję, że zostaniesz na noc? — były to pierwsze słowa, które jej podszeptał duch kłamstwa. — A teraz pojedziemy razem. Szkoda tylko, że obiecałam Betsy... Ma po mnie zajechać.

Aleksy Aleksandrowicz słysząc imię Betsy zmarszczył brwi.

— Nie ośmielę się rozłączać nierozłącznych — rzekł swym zwykłym żartobliwym tonem. — Pojedziemy sobie we dwóch z Michałem Wasiliewiczem. Doktorzy nawet każą mi chodzić. Przejdę się trochę po drodze i będzie mi się wydawało, że jestem u wód.

— Nie ma potrzeby spieszyć się — zauważyła Anna — Może napijecie się panowie, herbaty? — i zadzwoniła.

— Proszę podać herbaty i powiedzieć Sierioży, że Aleksy Aleksandrowicz przyjechał. No i cóż, jak twoje zdrowie? Pan jeszcze wcale u mnie nie był, niech pan spojrzy, jak ładnie na tarasie — mówiła Anna zwracając się to do męża, to do Sliudina.

Wszystko to brzmiało bardzo zwyczajnie i naturalnie, lecz mówiła zbyt dużo i za prędko. Czuła to sama, zwłaszcza gdy spostrzegła po zaciekawionym spojrzeniu Sliudina, że ten jakby ją obserwuje.

Sliudin wyszedł natychmiast na taras.

Usiadła obok męża.

— Niezbyt dobrze wyglądasz — rzekła.

— Tak — odparł. — Dzisiaj był u mnie doktor i zabrał mi całą godzinę. Mam wrażenie, że przysłał go ktoś z przyjaciół: zdrowie moje jest przecież tak cenne...

— Naprawdę?! I cóż powiedział?

Zaczęła wypytywać męża o jego zdrowie, o zajęcia; namawiała, aby przeniósł się na letnisko i odpoczął.

Mówiła to wszystko wesoło, szybko i z osobliwym blaskiem oczu; lecz Karenin teraz już nie przypisywał temu jej tonowi żadnego specjalnego znaczenia. Słyszał tylko słowa i brał je w takim sensie, jaki posiadały. Odpowiadał jej również

swobodnie, choć żartobliwie. W całej tej rozmowie nie było nic szczególnego, a jednak Anna nigdy nie mogła przypomnieć sobie później tej krótkiej sceny bez dojmującego uczucia wstydu.

Wszedł Sierioża, poprzedzany przez guwernantkę. Gdyby Aleksy Aleksandrowicz pozwolił sobie na obserwowanie, to zauważyłby, że chłopiec rzucił najpierw na ojca, a potem na matkę nieśmiałe i niepewne spojrzenie. Karenin nie chciał wszelako nic widzieć, toteż nic nie widział.

— A, otóż i młody człowiek! Jak on rośnie! Doprawdy, staje się prawdziwym mężczyzną. Witaj, młody człowieku!

I podał rękę przestraszonemu chłopcu.

Sierioża, który dawniej także bywał wobec ojca nieśmiały, odkąd Karenin zaczął go tytułować młodym człowiekiem i odkąd on sam stanął przed zagadką, czy Wroński jest przyjacielem, czy też wrogiem, całkiem od ojca stronił. Obejrzał się na matkę, jakby szukając u niej ucieczki. Tylko z matką było mu dobrze. Tymczasem Aleksy Aleksandrowie, rozmawiając z guwernantką, trzymał syna za ramię, i Sierioża czuł się tak rozpaczliwie zażenowany, że — jak Anna zauważyła — był bliski płaczu.

Zarumieniła się, gdy syn wchodził, a teraz widząc jego zakłopotanie podbiegła do niego, zdjęła z jego ramienia rękę Karenina, pocałowała go i wyprowadziła na taras, skąd natychmiast powróciła.

— Jednak już czas — rzekła spoglądając na zegarek. — Co to jest, że Betsy nie nadjeżdża!...

— Tak! — odpowiedział Aleksy Aleksandrowicz, wstał, splótł ręce i trzasnął w palce. — Przyjechałem, żeby ci przywieźć pieniądze, gdyż wiem, że i słowika samym bajaniem się nie nakarmi — rzekł. — Zapewne ci już potrzeba?

— Nie, nie potrzeba... Tak, owszem, potrzeba — odpowiedziała nie patrząc na niego i rumieniąc się aż po korzonki włosów. — Ale spodziewam się, że wrócisz tu po zawodach?

— O, tak! — odrzekł. — Otóż i ozdoba Peterhofu, księżna Twerska — dodał po chwili, przypatrując się przez okno zajeżdżającemu angielskiemu powozikowi o wysoko umieszczonym miniaturowym pudle i z zaprzęgiem w szorach. — Co za szyk! Cudo!. A więc jedźmy i my.

Księżna Twerska nie wysiadała z powozu,, tylko lokaj w sztylpach, pelerynce i czarnym kapelusiku zeskoczył przed gankiem.

— Idę już, bywajcie zdrowi! — zawołała Anna i ucałowawszy syna podeszła do męża wyciągając do niego rękę. — Bardzo to miło z twojej strony, że przyjechałeś.

Aleksy Aleksandrowicz ucałował jej dłoń.

— A zatem do widzenia! Przyjedziesz na herbatę, to doskonale — rzekła Anna i wyszła, jaśniejąca pogodą i wesołością. Skoro tylko jednak mąż znikł jej z oczu, spojrzała na dłoń, której przed chwilą dotknęły jego wargi, i wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Gdy Aleksy Aleksandrowicz zjawił się na zawodach, Anna siedziała już obok Betsy na trybunie, gdzie znajdowała się śmietanka petersburskiego towarzystwa. Z daleka jeszcze dostrzegła męża. Ci dwaj ludzie, mąż i kochanek, byli dwoma ośrodkami jej życia, i bez pomocy pięciu zmysłów odczuwała ich obecność. Mąż był jeszcze daleko, a ona już wyczuła, że się zbliża, i mimo woli obserwowała go pomiędzy falami tłumu, wśród których się poruszał. Widziała, jak podchodził do trybuny to protekcyjnie odpowiadając na przypochlebne ukłony, to po przyjacielsku, z roztargnieniem witając się z równymi sobie, to starannie wyczekując spojrzenia możnych tego świata i wówczas zdejmując przed nimi z uszanowaniem wielki, okrągły kapelusz, uciskający końce uszu.

Anna знаła te wszystkie jego sposoby i wszystkie były jej wstętne. „Nic poza ambicją, nic poza karierą; to cała treść jego istoty — myślała — a wznioste ideały, umiłowanie kultury, religia — to tylko narzędzia zapewniające powodzenie.”

Z jego spojrzeń na trybunę pań (patrzył wprost na żonę, lecz nie poznawał jej w morzu muślinu, wstążek, piór, parasolek i kwiatów) Anna wywnioskowała, że jej szuka, udawała jednak, że go nie dostrzega.

— Aleksy Aleksandrowiczu! — zawołała na niego księżna Betsy. — Pan pewno nie widzi małżonki; oto jest!

Uśmiechnął się swym chłodnym uśmiechem.

— Taki tutaj blask, że aż mi się mieni w oczach — odrzekł i wszedł na trybunę. Uśmiechnął się do Anny, tak właśnie jak powinien uśmiechnąć się mąż na widok żony, z którą przed chwilą się rozstał. Przywitał się z księżną i innymi znajomymi, oddając każdemu to, co mu się należało, czyli żartując z paniami i wymieniając powitania z mężczyznami. Na dole, koło trybuny, stał właśnie znany powszechnie ze swego rozumu i wykształcenia generał-adiutant, dla którego Karenin miał wielkie uznanie; toteż od razu wszczął z nim rozmowę.

Była właśnie przerwa między biegami, nic więc im nie przeszkadzało. Generał-adiutant krytykował zawody. Karenin stawał w ich obronie. Anna słuchała wysokiego, jednostajnego głosu męża, nie tracąc ani jednego słowa, a każde wydawało się jej pełne fałszu i boleśnie raziło jej uszy.

Gdy rozpoczął się czterowiorstowy bieg z przeszkodami, Anna pochyliła się ku przodowi, nie spuszczać z oczu Wrońskiego, podczas gdy podchodził do konia i wskakiwał na siodło, a równocześnie słyszała ten wstrętny, nie milknący głos. Odczuwała dojmujący lęk o Wrońskiego, lecz o wiele bardziej dokuczał jej ów, jak się zdawało, nieprzerwany dźwięk wysokiego głosu męża o znajomych intonacjach.

„Jestem złą kobietą, jestem kobietą zgubioną — myślała Anna — ale nie lubię kłamać i nie znoszę fałszu, on zaś (mąż) żyje po prostu kłamstwem. Przecież on wszystko wie i wszystko widzi: jakież są jego uczucia, skoro potrafi rozmawiać z takim spokojem? Gdyby zabił mnie, gdyby zabił Wrońskiego, mogłabym go przynajmniej szanować. 'Ale nie, potrzebne mu są tylko kłamstwo i pozory' —

mówiła do siebie Anna nie zastanawiając się, czego właściwie żąda od męża i jakim chciałaby go widzieć. Nie zdawała też sobie sprawy, że dzisiejsze niezwykle wielomówstwo Aleksego Aleksandrowicza, które ją tak drażniło, było właśnie wyrazem jego wewnętrznego zatrwożenia i niepokoju. Jak dziecko, które uderzywszy się podskakuje, by przy pomocy ruchu mięśni zagłuszyć ból — podobnie "Aleksy Aleksandrowicz odczuwał potrzebę aktywności umysłowej, by zdławić w sobie te myśli o żonie, które mu się narzucały w obecności jej i Wrońskiego, tym bardziej że nazwisko to było na ustach wszystkich. Dziecku najłatwiej przychodzą podskoki, Kareninowi z natury łatwo było mówić mądrze i ze swobodą. Toteż teraz prawił:

— Niebezpieczeństwo jest nieodzownym warunkiem zawodów kawaleryjskich. Jeśli Anglia może się powołać w historii swych wojen na tyle brawurowych czynów dokonanych przez kawalerię, to tylko dzięki temu, że tradycyjnie pielęgnowała u siebie ten rodzaj broni, dbając i o ludzi, i o zwierzęta. Moim zdaniem sport ma olbrzymie znaczenie; my zaś, jak zwykle we wszystkim, widzimy w nim tylko to, co jest powierzchowne.

— Wcale nie powierzchowne — wtrąciła księżna Twerska. — Powiadają, że już jeden oficer złamał sobie dwa żebra.

Karenin uśmiechnął się jak zwykle uśmiechem, który tylko odślaniał zęby, lecz nic więcej nie wyrażał.

— Dajmy na to, proszę księżnej — zgodził się — że to już nie jest powierzchowne, tylko wewnętrzne. Nie o to wszakże chodzi — zwrócił się znów do generała, z którym mógł rozmawiać poważnie. — Niech pan generał nie zapomina, że do wyścigu stają wojskowi, którzy obrali sobie właśnie ten, a nie inny rodzaj działalności, a każdy zawód, zgodzi się pan generał, ma też i odwrotną stronę medalu. Wchodzi to po prostu w zakres obowiązków żołnierza. Ohydny sport bokserski lub hiszpański — toreadorów, to są objawy barbarzyństwa, podczas gdy sport celowy świadczy o postępie.

— Nie, nigdy już nie pojedę na wyścigi: zanadto się przejmuję — zawołała księżna Betsy. — Nieprawdaż, Anno?

— I ja się przejmuję, lecz nie mogłabym się oderwać — zauważyła inna dama. — Gdybym była Rzymianką, nie opuszczałabym ani jednego igrzyska.

Anna nic nie powiedziała. Patrzała nieustannie w jeden punkt, nie odejmując lornetki od oczu.

W tej chwili wzdłuż trybuny przechodził generał wysokiej rangi. Aleksey Aleksandrowicz urwał w pół zdania, podniósł się z pośpiechem, lecz z godnością, i złożył przechodzącemu głęboki ukłon.

— Pan nie bierze udziału w wyścigach? — żartobliwie zagadnął generał.

— Wyścig, w którym ja biorę udział, jest trudniejszy — zareplikował z szacunkiem Aleksey Aleksandrowicz.

Mimo że odpowiedź ta nic właściwie nie znaczyła, generał zrobił taką minę, jakby usłyszał mądre słówko od rozumnego człowieka i jakby od razu pochwycił ją

pointe de la sauce.

— Wchodzą tu w grę dwie strony —. ciągnął dalej Aleksy Aleksandrowicz — wykonawcy i widzowie. Zgadzam się, że zamiłowanie do widowisk tego rodzaju jest niewątpliwym świadectwem niskiego poziomu widzów, ale...

— Księżno, załóżmy się! — rozległo się z dołu wołanie Stiepana Arkadjicza do Betsy. — Na kogo pani stawia?

— My z Anną na księcia Kuzowlewa — odpowiedziała Betsy.

— A ja na Wrońskiego!... O parę rękawiczek...

— Zgoda!

— Jak tu ładnie, prawda?

Aleksy Aleksandrowicz na chwilą zamilkł, gdy zaczęła się dokoła niego rozmowa, lecz zaraz potem prawił dalej:

— Zgadzam się, aczkolwiek gry będące próbą dzielności...

W tej chwili jednak rozpoczął się start i wszystkie rozmowy ucichły. Aleksy Aleksandrowicz umilkł również. Cała publiczność podniosła się z miejsc, wszyscy zwrócili się w kierunku rzek.. Zawody nie interesowały Karenina, toteż nie przypatrywał się jeźdźcom, ale począł z roztargnieniem wodzić zmęczonym wzrokiem po widzach. Spojrzenie jego zatrzymało się na Annie.

Twarz jej była blada i surowa. Najwyraźniej nie widziała nic i nikogo poza jednym tylko. W rękę kurczowo ścisnęła wachlarz; wstrzymywała oddech... Karenin spojrzał na nią i odwrócił się z pośpiechem, by przyjrzeć się z kolei innym twarzom.

„Więc i ta dama, i tamte są też bardzo przejęte, to całkiem naturalne" — rzekł do siebie. Nie chciał patrzeć na Annę, lecz wzrok jego mimo woli zwracał się ku niej. Znowu wpatrywał się w jej twarz, starając się nie wyczytać z niej tego, co się tam tak wyraźnie malowało, i wbrew woli, ze zgrozą znajdował to właśnie, czego wiedzieć nie chciał.

Pierwszy upadek, Kuzowlewa nad rzeką, wstrząsnął całą -publicznością, lecz Aleksy Aleksandrowicz poznał niemylnie z bladej, triumfującej twarzy Anny, że ten, w którego ona była wpatrzona, nie spadł z konia. Gdy zaś, po wzięciu przez Machotina i Wrońskiego wysokiej bariery, następny jeździec runął na głowę i potłukłszy się stracił przytomność, a szmer grozy przeleciał po wszystkich trybunach — Aleksy Aleksandrowicz widział, że Anna tego nawet nie zauważyła i że z trudnością rozumiała, o czym mówiono dokoła. Teraz już coraz częściej, coraz bardziej badawczo wpatrywał się w żonę, i Anna, chociaż pochłonięta widokiem cwałującego Wrońskiego, poczuła jednak utkwione w nią z boku spojrzenie zimnych oczu męża.

Obejrzała się na mgnienie, popatrzyła na niego pytająco, zmarszczyła lekko brwi i znów się odwróciła. Powiedziała mu jakby: „Ach, wszystko mi jedno", i więcej już ani razu nie spojrzała w jego stronę.

Był to zły dzień dla zawodów: więcej niż połowa owych siedemnastu pospadała z koni i potłukła się. Pod koniec zapanowało wśród publiczności wzburzenie, tym

większe że i cesarz był niekontent.

Wszyscy głośno krytykowali zawody i powtarzali rzucone przez kogoś zdanie: „Brak tylko cyrku z lwami!”, a groza była tak powszechna, że gdy Wroński zwał się z konia i Anna głośno krzyknęła, nie wydało się to nikomu niezwykłe. Zaraz potem wszakże w wyrazie jej zaszła zmiana, która była już zdecydowanie nieprzyzwoita. Anna całkowicie straciła panowanie nad sobą, poczęła dygotać jak schwytany ptak; to chciała się zerwać i dokądś biec, to znów zwracała się do Betsy błagając:

— Jedźmy, jedźmy...

Ale Betsy nawet jej nie słyszała. Przechylona w dół, rozmawiała z generałem, który właśnie do niej podszedł.

Aleksy Aleksandrowicz zbliżył się do Anny i z kurtuazją podał jej ramię.

— Chodźmy już, jeśli masz ochotę — powiedział po francusku, lecz Anna przysłuchując się temu, co mówił generał, nie zauważyła wcale męża.

— On również złamał nogę, tak przynajmniej mówią — opowiadał generał. — Doprawdy, to skandal.

Anna nie odpowiadając mężowi podniosła lornetkę do oczu i patrzyła na miejsce, gdzie spadł Wroński, lecz było to tak daleko i stłoczyło się tam tyle ludzi, że nic nie można było rozpoznać. Opuściła lornetkę i uczyniła ruch, jakby zamierzała zejść z trybuny, lecz w tej samej chwili przy-galopował oficer i raportował coś cesarzowi. Anna wychyliła się i słuchała. — Stiwa! Stiwa! — poczęła wołać na brata.

Obłoński wszakże nie słyszał jej wołania. Porwała się znów do wyjścia.

— Raz jeszcze proponuję ci moje ramię, jeśli masz zamiar wyjść — powtórzył Karenin i dotknął jej ręki.

Anna z odrazą odsunęła się i nie podnosząc na niego oczu powiedziała:

— Nie, nie, daj mi spokój. Zostanę tutaj. . Spostrzegła teraz, że jakiś oficer biegnie przez plac do

trybun z tego właśnie miejsca, gdzie Wroński spadł z konia Betsy dawała mu znaki chustką. Oficer przyniósł wiadomość, że jeździec się nie potłukł, lecz koń ma złamany kręgosłup.

Usłyszawszy to Anna osunęła się na swoje miejsce i zakryła twarz wachlarzem. Aleksy Aleksandrowicz widział, że żona płacze i że nie tylko nie może powstrzymać łez, ale nawet zapanować nad łkaniem, które nią wstrząsało. Zastłonił ją sobą, dając jej czas, by się uspokoiła, a po chwili rzekł znowu:

— Po raz trzeci proponuję ci moje ramię. —' Anna patrzyła na niego i nie wiedziała, co powiedzieć. Księżna Betsy przyszła jej z pomocą:

— Nie, panie drogi, ja przywiozłam tu Annę i obiecałam ją odwieźć.

— Księżna wybaczy — powiedział z uprzejmym uśmiechem, lecz patrząc jej w oczy z całą stanowczością — ale widzę, że Anna źle się czuje, i życzę sobie, aby

pojechała ze mną.

Anna trwoźnie obejrzała się dokoła, posłusznie wstała i położyła rękę na ramieniu męża.

— Poślę do niego, żeby się dowiedzieć, a potem dam ci znać — szepnęła Betsy.

Schodząc z trybuny Karenin jak zwykle rozmawiał ze spotkanymi znajomymi i Anna musiała jak zwykle odpowiadać i rozmawiać, ale była na pół przytomna i szła pod rękę z mężem jak we śnie.

„Czy rzeczywiście się nie potłukł? Czy to prawda? Przyjdzie czy nie? Czy zobaczę go dzisiaj?” — myślała.

W milczeniu wsiadła do mężowskiej karety i w milczeniu wyjechali z szeregu powozów na drogę. Mimo tego, co sam przed chwilą widział, Aleksy Aleksandrowicz jednak nie dopuszczał do siebie myśli o prawdziwej sytuacji żony. Dostrzegł tylko objawy zewnętrzne; stwierdził, że zachowywała się niewłaściwie, i uważał za swój obowiązek zwrócić jej na to uwagę. Było mu wszelako niezmiernie trudno powiedzieć jej to tylko i nic poza tym. Otworzył usta, by zwrócić uwagę żonie, jak niestosownie się zachowywała, lecz mimo woli wyrzekł coś całkiem innego:

— Jakiż my mamy, mimo wszystko, pociąg do tych barbarzyńskich widowisk. Zauważyłem...

— Co takiego? Nic nie rozumiem — przerwała pogardliwie Anna.

Poczuł się dotknięty i od razu przystąpił do rzeczy:

— Muszę ci powiedzieć...

„To już decydująca rozmowa” — pomyślała Anna z przestraszeniem.

— Muszę powiedzieć, że dzisiejsze zachowanie się pani było niewłaściwe — ciągnął dalej po francusku.

— Cóż ja zrobiłam niewłaściwego? — zapytała podniesionym głosem Anna zwracając się twarzą do męża i patrząc mu prosto w oczy już bez dotychczasowej sztucznej pogardy, lecz z udaną stanowczością, pod którą z trudem, ukrywała trwogę.

— Proszę nie zapominać... — przestrzegał Karenin wskazując otwarte przednie okienko, za którym siedział stangret.

Podniósł się nieco i zasunął szybę.

— I cóż niewłaściwego pan znalazł? — powtórzyła Anna.

— Desperację, której nie potrafiła pani ukryć, gdy jeden z jeźdźców spadł z konia.

Czekał na odpowiedź, lecz Anna milczała patrząc przed siebie.

— Prosiłem już, by pani tak się zachowywała w towarzystwie, żeby nawet złe języki nie mogły nic pani zarzucić. Był czas, gdy mówiłem o naszym wzajemnym wewnętrznym stosunku, obecnie już o tym nie mówię. Obecnie chodzi mi tylko o stosunek zewnętrzny. Zachowywała się pani niewłaściwie, i życzyłbym sobie, aby się to więcej nie powtórzyło.

Anna nie słyszała nawet połowy słów męża. Odczuwała przed nim strach. Zaprzętnięta była myślą, czy to prawda, że Wrońskiemu nic się nie stało. Czy to o nim mówiono, że jest zdrow i cały, że koń złamał kręgosłup? Gdy Karenin umilkł, uśmiechnęła się tylko z udaną ironią, a nie odpowiedziała mu nic, ponieważ nie słyszała tego, co mówił. Aleksy Aleksandrowicz zrazu zaczął śmiało, lecz zaledwie sam jasno uświadomił sobie, o czym mówi, wnet i jemu udzielił się lęk, którego doświadczała Anna. Potem spostrzegł jej uśmiech i uległ dziwnemu złudzeniu:

„Śmieje się z mych podejrzeń... Tak, zaraz powie mi to, co wówczas: -że podejrzenia moje są bezpodstawne i że to śmieszne z mojej strony.”

Teraz, gdy groziło mu wyjaśnienie całej prawdy, gorąco pragnął, aby — jak i wówczas — żona odpowiedziała mu ironicznie, że podejrzenia jego są śmieszne i na niczym nie oparte. To, o czym i tak wiedział, było tak przerażające, że gotów był uwierzyć we wszystko, co Anna powie. Ale wyraz jej twarzy, przestraszony i smutny, nie obiecywał mu już teraz nawet kłamstwa.

— Może się mylę — rzekł w końcu. — W takim razie proszę o przebaczenie.

Nie, pan się nie myli — odparła Anna powoli po francusku, patrząc z desperacką odwagą w zastygłą twarz męża — nie myli się pan. Byłam istotnie w rozpaczy, bo inaczej być nie mogło... I teraz słucham pana, ale myślę o nim. Kocham go i jestem jego kochanką. Nie znoszę pana, boję się, nienawidzę... Niech pan ze mną robi, co pan chce.

I osuwając się w kąt karety, rozszlochała się zasłaniając twarz rękoma. Aleksy Aleksandrowicz nie poruszył się, patrzył wciąż przed siebie, lecz jego cała twarz nagle przybrała uroczystą, trupa sztywność i pozostała tak niezmienną, aż przybyli do willi. Gdy kareta zatrzymała się, obrócił znieruchomiłą twarz do żony:

— Więc tak! Ale żądam zachowania pozorów przyzwoitości do czasu — głos jego drgnął — aż poczynię odpowiednie kroki zabezpieczające mój honor i aż o nich panią zawiadomię.

Wysiadł pierwszy i pomógł jej zejść, po czym, ze względu na obecność służby, uściśnął w milczeniu jej rękę, wsiadł z powrotem do karety i wrócił do Petersburga.

Zaraz potem nadszedł od księżnej Betsy lokaj i przyniósł Annie bilecik.

„Posłałam do Aleksego zapytać o zdrowie. Odpisał mi, że jest zdrow i cały, ale w rozpaczy.”

„A zatem o n przyjdzie! — pomyślała Anna. — Jak dobrze zrobiłam, że powiedziałam wszystko.”

Spojrzała na zegarek. Pozostawały jeszcze trzy godziny. Wspomnienie szczegółów ostatniej schadzki rozpało jej krew.

„Mój Boże, jak jasno! To okropne/ale lubię widzieć jego twarz i lubię to fantastyczne światło... Mąż! Ach, tak... Bogu dzięki, że z nim wszystko skończone.”

Jak wszędzie, gdzie gromadzą się ludzie, tak i w małym, niemieckim uzdrowisku, dokąd wyjechali Szczerbaccy, utartym zwyczajem odbywała się jakby krystalizacja przyjezdnego towarzystwa, wyznaczająca każdemu określone i niezmiennie miejsce. Podobnie jak niezmiennie i w określony sposób cząsteczka wody przybiera na mrozie właściwy sobie kształt śniegowego krystalu, tak właśnie każdy nowo przybywający od razu trafiał na właściwe miejsce.

Fürst Szczerbacki samt Gemahlin und Tochter i ze względu na zajmowane mieszkanie, i ze względu na nazwisko, a także i na znajomych, których znaleźli u wód, skryształizowali się od razu i zajęli określoną i z góry wyznaczoną pozycję.

U wód bawiła tego roku prawdziwa niemiecka Fürstin, wobec czego krystalizacja towarzystwa odbyła się w sposób jeszcze bardziej przyspieszony. Księżna Szczerbacka zapragnęła koniecznie przedstawić córkę niemieckiej księżnej i zaraz nazajutrz po przyjeździe dopełniła tej ceremonii. Kitty, w swej sprowadzonej z Paryża, bardzo skromnej — a więc bardzo strojnej — letniej sukni, dygnęła nisko i z wdziękiem. Księżna powiedziała: „Spodziewam się, że róże powrócą niedługo na tę śliczną twarzyczkę”, i życie Szczerbackich od razu potoczyło się po wytkniętych szlakach, z których zboczyć już nie było można. Poznali więc i rodzinę angielskiej lady, i niemiecką hrabinę, i jej syna rannego w czasie ostatniej wojny, i uczonego Szweda, a wreszcie monsieur Canut i jego siostrę. Stałym towarzystwem Szczerbackich, które dobrało się samo, była jednak pewna dama z Moskwy, Maria Jewgieniewna Rtiszczewa z córką, do której Kitty nie czuła sympatii, ponieważ tamta również zachorowała z miłości. Należał do tej samej socjety także i moskiewski pułkownik, którego Kitty znała od dzieciństwa i zawsze widywała w mundurze i epoletach, a który tutaj, ze swymi maleńkimi oczkami, odsłoniętą szyją i kolorowym krawacikiem, był niezwykle śmieszny, a poza tym nużący, gdyż nie można się go było pozbyć. Kiedy to wszystko ustaliło się na dobre, Kitty zaczęła się mocno nudzić, zwłaszcza że księżę wyjechał do Karlsbadu, ona zaś została z matką sama. Znajomymi osobami nie interesowała się nie oczekując od nich żadnych nowych wrażeń. Co ją przede wszystkim i najgłębiej u wód zajmowało, to jej własne obserwacje i domysły na temat nieznanomych. Kitty już z natury zawsze przypisywała ludziom, zwłaszcza tym, których nie znała, wszystko, co najpiękniejsze. I teraz snując domysły, kto kim jest, w jakim do kogo pozostaje stosunku i jacy to w ogóle ludzie, obdarzała ich w wyobraźni jak najwymyślniejszymi i najwznioślejszymi charakterami, a potem szukała potwierdzenia domysłów w swych spostrzeżeniach.

Spośród takich osób interesowała ją zwłaszcza pewna młoda Rosjanka, która przyjechała do wód z chorą rosyjską damą, madame Stahl, jak ją tu ogólnie nazywano. Madame Stahl należała do wyższej socjety; była tak poważnie chora, że nie mogła wcale chodzić, i tylko w rzadkie pogodne dni ukazywała się publicznie w swoim wózku. Owa madame Stahl nie tyle z powodu choroby, ile przez pychę, jak twierdziła księżna, nie utrzymywała żadnych stosunków z Rosjanami. Pielęgnowała

ją młoda panna, która prócz tego, jak spostrzegła Kitty, znała bliżej wszystkich ciężko chorych, a tych było wielu w uzdrowisku, i opiekowała się nimi w sposób jak najbardziej naturalny. Według spostrzeżeń Kitty panienka ta nie była krewną madame Stahl i nie była też jej płatną opiekunką. Pani Stahl nazywała ją Warieńką, inni zaś — „m-Ile Warieńką”. Pomijając już to, że Kitty z zaciekawieniem badała stosunek tej panienki do pani Stahl i do innych nieznanym osobom, czuła, jak to nieraz bywa, niczym nie wytłumaczoną do niej sympatię, a z wzajemnych spojrzeń wiedziała, że i ona tamtej się podoba.

M-Ile Warieńką była nie tyle nie pierwszej młodości, ile raczej istotą jakby w ogóle bez młodości: można jej było dać lat dziewiętnaście równie dobrze jak trzydzieści. Jeśli chodzi o poszczególne rysy, była pomimo niezdrowej cery raczej piękna niż brzydka i mogłaby nawet uchodzić za całkiem dobrze zbudowaną, gdyby nie zbytnia chudość oraz nieproporcjonalnie do jej średniego wzrostu wielka głowa. Prawdopodobnie dla mężczyzn była pozbawiona uroku. Przypominała piękny kwiat, już przekwitły i bez zapachu, mimo że zachował jeszcze wszystkie płatki. Poza tym nie mogła podobać się mężczyznom, ponieważ brakowało jej tego, czego Kitty posiadała aż nadto: hamowanego temperamentu i świadomości własnego uroku.

Wyglądała zawsze zajęta pracą, której celowość była niewątpliwa, i zdawało się, że dlatego już nic poza tym interesować jej nie może Kitty poczuła do niej specjalną sympatię, właśnie ponieważ Warieńką była jej przeciwieństwem; czuła, że w osobie Warieńki, w jej trybie życia znajdzie wzór tego, czego Obecnie z utęsknieniem szukała: ' jak stwarzać sobie w życiu zainteresowania, jak żyć z godnością, nie mając nic wspólnego ze wstrętnym dla niej, czysto światowym stosunkiem panny na wydaniu do mężczyzn, stosunkiem, który wydawał się jej obecnie haniebnym- wystawianiem towaru czekającego na kupców. Im dłużej przyglądała się swojej nieznanym przyjaciółce, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że panna Warieńka jest tą właśnie doskonałą istotą, jaką ona — Kitty — sobie wyobraziła, i tym goręcej pragnęła ją poznać.

Dziewczęta spotykały się kilka razy na dzień i przy każdym spotkaniu oczy Kitty zdawały się pytać: „Kim pani jest? Czym pani jest?. Wszak prawda, że pani jest ową uroczą istotą, którą ja sobie wyobraziłam? Ale, na miłość boską, niechaj pani nie myśli — dodawało jej spojrzenie — że osmielam się narzucać ze swoją znajomością. Po prostu zachwycam się panią i lubię panią.” „I ja również panią lubię. Pani jest bardzo, bardzo, miła. Gdybym tylko miała nieco więcej czasu, lubiłabym panią jeszcze bardziej” — odpowiadało Kitty spojrzenie nieznanym panny. I rzeczywiście, Kitty sama widziała, że panna Warieńka jest zawsze zajęta: albo zabiera od źródła dzieci jakiejś rosyjskiej rodziny, albo też niesie pled dla którejś z chorych i otula ją nim, albo stara się zająć czymś rozdrażnionego kuracjusza, albo wybiera i kupuje dla kogoś ciastka do kawy.

Wkrótce po przyjeździe Szczerbackich zjawily się rano u źródła jeszcze dwie osoby, które zwróciły na siebie powszechną uwagę połączoną z antypatią. Był to przede wszystkim bardzo wysoki, przygarbiony mężczyzna z olbrzymimi rękami, w za krótkim, nie dopasowanym do wzrostu, starym palcie. Spojrzenie jego czarnych

oczu było naiwne, a zarazem przerażające. Towarzyszka jego, ospowata, niebrzydka kobieta, ubrana była bardzo źle i bez gustu. Rozpoznając w nich Rosjan Kitty zaczęła już układać sobie o nich w wyobraźni piękną i rozczulającą powieść; księżna jednak dowiedziawszy się z kurlisty, że to Mikołaj Lewin i Maria Nikołajewna, wytłumaczyła córce, jaki z tego Lewina zły człowiek, i wszystkie rojenia Kitty na temat tych dwojga rozwiały się od razu. Nie tyle z uwagi na słowa matki, ile że był to brat Konstantego, para owa stała się nagle dla Kitty przedmiotem antypatii. Ten drugi Lewin, ze swym nawykiem kurczowego wstrząsania głową, budził w niej wstręt nieprzezwykły.

Zdawało się jej, że w jego wielkich, strasznych oczach, śledzących ją uporczywie, maluje się wyraz nienawiści i szyderstwa, toteż starała się unikać spotkań z Mikołajem.

Był słotny dzień: deszcz padał całe rano, chorzy tłoczyli się z parasolami w krytej galerii.

Kitty przechadzała się z matką i moskiewskim pułkownikiem, który wesoło paradował w swym europejskim surduciku, kupionym we Frankfurcie w sklepie z gotowym ubraniem. Przechadzali się po jednej stronie galerii starając się nie spotkać Lewina, który spacerował po drugiej. Warieńka, w swej ciemnej sukni i czarnym kapeluszu z opuszczonym rondem, chodziła wzdłuż całego deptaka pod rękę z niewidomą Francuzką. Za każdym razem, gdy dziewczęta się mijały, rzucały na siebie przyjazne spojrzenia.

— Mamon, czy ja mogę zacząć z nią rozmowę? — spytała Kitty, która obserwowała nieznaną przyjaciółkę i zauważyła, że ta stanęła przy źródle, gdzie łatwo się mogły osobiście zetknąć.

— Owszem, jeśli tak bardzo sobie tego życzysz. Dowiem się tylko przedtem, kto to taki, i sama pierwsza do niej podejść — odparła matka. — Co ty w niej osobliwego znalazłaś? Zapewne jest panną do towarzystwa. Jeśli chcesz, zapoznam się z madame Stahl. Znałam jej belle-soeur — dodała księżna, dumnie podnosząc głowę.

Kitty wiedziała, że księżna jest obrażona na panią Stahl za to, że ta jakby unikała z nią znajomości, toteż nie nalegała.

— Ach, jakaż ona czarująca! — zawołała przyglądając się Warieńce, która podawała właśnie Francuzce szklanekę. — Niech mama patrzy, jakie to wszystko u niej jest naturalne i sympatyczne.

— Bawią mnie twoje engouements — rzekła księżna, — Nie, lepiej zawróćmy — dodała na widok Lewina zbliżającego się do nich wraz ze swą damą i doktorem Niemcem, z którym głośno i gniewnie o czymś rozmawiał.

Księżna i Kitty właśnie zawracały, gdy naraz rozległy się już nie podniesione głosy, ale krzyki. Lewin przystanął i krzyczał, doktor również się zdenerwował. Poczęto się dokoła nich skupiać. Księżna z córką szybko się oddaliły, pułkownik zaś przyłączył się do tłumu, aby dowiedzieć się, o co chodzi.

Po paru minutach dogonił swoje panie.

— Cóż się tam stało? — zapytała księżna.

— Wstyd i hańba! — odrzekł pułkownik. — Jednej tylko rzeczy człowiek się zawsze obawia: spotkania Rosjan za granicą. Ten wysoki pokłócił się z lekarzem, nagadał mu impertynencji i zamierzył się na niego laską za to, że doktor leczył go nie tak, jak on chciał. Wstyd doprawdy przed ludźmi!

— Ach, jakie to przykre — rzekła księżna. — I jak się to skończyło?

— Chwała Bogu, wdała się w to ta... ta w kapeluszu podobnym do grzyba, też, zdaje się, Rosjanka — objaśniał pułkownik.

— M-Ile Warieńka? — wykrzyknęła uradowana Kitty.

— Tak jest. Ona jedna nie straciła głowy, wzięła tego pana pod rękę, po prostu zabrała go stąd.

— Widzi mama — zwróciła się Kitty do matki — a mama się dziwi, że ja się nią zachwycam.

Począwszy od następnego dnia Kitty śledząc dalej swą nieznajomą sympatię zauważyła, że m-Ile Warieńka jest już z Lewkiem i jego towarzyszką na tej samej stopie, co z innymi swymi proteges. Zbliżała się często do nich, gawędziła, z nimi i służyła Rosjance, nie znającej żadnego obcego języka, za tłumacza.

Kitty. zaczęła jeszcze usilniej błagać matkę, by pozwoliła jej nawiązać znajomość z Warieńką. I jakkolwiek księżnej było trochę nieprzyjemnie pierwszej okazać chęć poznania pani Stahl, która pozwalała sobie na jakieś fomy, zasięgnęła jednak wiadomości o Warieńce. Doszedłszy na podstawie szczegółów do przekonania, że w tej znajomości nie może być nic złego, choć i nic specjalnie dobrego, sama zbliżyła się do Warieńki, by zawrzeć z nią. znajomość.

Upatrzwszy chwilę, kiedy córka poszła do źródła, a Warieńką zatrzymała się przy sklepie z pieczywem, księżna podeszła do niej.

— Pozwoli pani, że się jej przedstawię — rzekła że swym pełnym dostojemstwa uśmiechem. — Moja córka jest w pani wprost zakochana. Pani z pewnością nie zna mnie.. Jestem...

— Sympatia ta jest więcej niż wzajemna, proszę księżnej — odpowiedziała skwapliwie Warieńką.

— Jakie dobrodziejstwo wyświadczyła pani wczoraj naszemu nieszczęsnemu rodakowi! — mówiła dalej księżna, Warieńką zarumieniła się.

— Nie przypominam sobie. Zdaje się, że. nie zrobiłam nic takiego — odparła.

— Jak to, przecie pani uchroniła tego pana Lewina od nieprzyjemności.

— Ach, księżna o nim mówi... Sa compagne zawołała mnie, a ja postarałam się go uspokoić. To bardzo chory człowiek. Był niezadowolony z doktora. Przywykłam opiekować się chorymi tego rodzaju.

— Tak, słyszałam, że pani mieszka w Mentonie ze swoją ciotką, m-me Stahl, zdaje się... Znałam jej belle-soeur...

— Ona nie jest moją ciotką. Nazywam ją mamą, chociaż nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Pani Stahl mnie wychowała — odpowiedziała Warieńka rumieniąc się znowu.

Wszystko to mówiła z taką prostotą, szczerą i otwartą wyraz jej twarzy był tak sympatyczny, że księżna zrozumiała, dlaczego Kitty polubiła tę Warieńkę.

— A cóż będzie z tym Lewinem? — zapytała.

— Pan Lewin wyjeżdża.

W tej chwili wróciła od źródła Kitty, rozpromieniona z radości, że matka rozmawia z jej nieznajomą sympatią.

— Widzisz, Kitty, twoja gorąca chęć poznania m-lle...

— Warieńki — z uśmiechem wtrąciła tamta — wszyscy mnie tak nazywają.

Kitty zarumieniła się z radości i długo w milczeniu ścisnęła dłoń swej nowej przyjaciółki. Dłoń ta nie odwzajemniała uścisku i spoczywała nieruchomo w ręce Kitty, -ale podczas gdy dłoń pozostała bierna, twarz m-lle Warieńki opromieniła się spokojnym, radosnym, choć nieco smutnym uśmiechem, który odsłaniał jej wprawdzie duże, ale śliczne zęby.

— I ja od dawna tego pragnęłam — rzekła.

— Ale pani jest taka zajęta...

— Ach, przeciwnie... nie jestem niczym zajęta — zaprotestowała Warieńka, musiała jednak zaraz opuścić swe nowe znajome, bowiem biegły ku niej dwie dziewczynki, córeczki jednego z rosyjskich kuracjuszy.

— Warieńka, mama cię woła! I Warieńka poszła za nimi.

Szczegóły, których księżna dowiedziała się o pochodzeniu Warieńki, o jej stosunku do madame Stahl oraz o samej madame Stahl, były następujące:

Madame Stahl, o której jedni powiadali, że maltretowała swego męża, a drudzy, że to on ją zadręczał swym niemoralnym żydem, była zawsze chorowita i egzaltowana. Gdy już po rozejściu się z mężem powiła pierwsze dziecko i gdy dziecko to natychmiast po urodzeniu umarło, krewni, znając jej wrażliwość i obawiając się, że ta wiadomość może ją zabić, zamienili dziecko, kładąc na jego miejsce córeczkę nadwornego kucharza, która tej samej nocy urodziła się w tym samym domu w Petersburgu. Była to właśnie Warieńka. Madame Stahl dowiedziała się z biegiem czasu, że dziewczynka nie jest jej córką, lecz wychowywała ją nadal, zwłaszcza że wkrótce potem cała rodzina Warieńki wymarła.

Od dziesięciu przeszło lat madame Stahl mieszkała bez przerwy za. granicą, na południu, nie opuszczając nigdy łóżka. Byli tacy, co mówili, że madame Stahl zdobyła sobie - w towarzystwie stanowisko, jako osoba pełna cnót i wysoce religijna; inni dowodzili, że istotnie jest kobietą o wysokim poziomie duchowym, za jaką uchodzi, że żyje wyłącznie dla dobra bliźnich. Nikt nie wiedział, jaką wyznawała religię: katolicką, protestancką, czy też prawosławną. Jedno tylko było pewne — to, że utrzymywała bliskie stosunki z najwyższymi osobistościami wszystkich kościołów i wyznań.

Warieńka przebywała z nią stale za granicą i każdy, kto znał madame Stahl, znał i lubił m-llę Warieńkę, jak ją ogólnie nazywano.

Po zebraniu tych wszystkich informacji księżna nie znalazła nic zdrożnego w znajomości córki z Warieńką, tym bardziej że ta miała doskonałe maniere i odebrała staranne wychowanie, mówiła świetnie po francusku i po angielsku, a nade wszystko — ponieważ wyraziła jej z polecenia pani Stahl ubolewanie, że choroba pozbawia jej opiekunkę przyjemności zapoznania się z księżną. Po zawarciu znajomości z Warieńką Kitty była coraz bardziej pod jej urokiem i co dzień znajdowała w niej nowe zalety.

Księżna dowiedziawszy się, że przyjaciółka jej córki ładnie śpiewa, zaprosiła ją, by przyszła im coś zaśpiewać wieczorem.

— Kitty grywa, mamy nawet fortepian, co prawda nieszczególny, ale pani w każdym razie sprawi nam ogromną przyjemność — mówiła księżna ze swym sztucznym uśmiechem, który był w tym wypadku szczególnie przykry dla Kitty, zauważyła bowiem, że Warieńka wcale nie ma ochoty śpiewać. Przyszła jednak wieczorem i przyniosła ze sobą zeszyt z nutami. Księżna zaprosiła także panią Rtizzczew z córką oraz pułkownika.

Warieńka przyjęła obecność nieznanomych osób z całkowitą obojętnością i podeszła natychmiast do fortepianu. Nie umiała sama sobie akompaniować, lecz biegle śpiewała z nut. Akompaniowała jej Kitty, która dobrze grała. — Ależ pani ma niezwykły talent — rzekła księżna,, gdy Warieńka prześlicznie odśpiewała pierwszą

pieśń.

Pani Rtiszczew i jej córka chwaliły również Warieńkę i gorąco dziękowały.

— Niech pani spojrzy — zauważył pułkownik wyjrząwszy oknem — ile osób zebrało się, żeby posłuchać pani śpiewu. — Istotnie, pod oknami stała spora gromadka słuchaczy.

— Bardzo się cieszę, że sprawiłam państwu przyjemność — z prostotą odpowiedziała Warieńka.

Kitty była dumna z nowej przyjaciółki. Zachwycała się jej artyzmem, jej głosem, jej powierzchownością, najbardziej jednak całym jej zachowaniem i tym, że. Warieńka najwidoczniej nie przywiązywała żadnej wagi do swego śpiewu i była zupełnie obojętna na pochwały; Zdawała się jakby tylko zapytywać: czy mam jeszcze śpiewać, czy też może już będzie dosyć?

„Gdybym to ja była na jej miejscu — medytowała Kitty — jakżebym była dumna! Jakbym się cieszyła widząc ten tłum pod oknami! A ja to absolutnie nic nie obchodzi i kieruje nią jedynie chęć zrobienia przyjemności mamam, inaczej by w ogóle odmówiła. I co ona ma w sobie takiego? Skąd bierze tyle siły, aby o nic nie dbać, być spokojną i niezależną? Jakżebym chciała dowiedzieć się, na czym to polega, i nauczyć się tego od niej” — myślała wpatrując się w jej spokojną twarz. Księżna poprosiła Warieńkę, aby jeszcze coś zaśpiewała, i ta, stojąc wyprostowana przy fortepianie i wybijając na nim takt swą chudą, śniadą ręką, odśpiewała drugą pieśń, tak samo pewnie, wyraźnie i pięknie jak pierwszą.

Kancona włoska była następnym utworem w zeszycie. Kitty odegrała wstęp i obejrzała się na przyjaciółkę.

— Może byśmy to opuściły — zaproponowała Warieńka rumieniąc się.

Zalęknione i pytające spojrzenie Kitty zatrzymało się badawczo na jej twarzy.

— Dobrze weźmy co innego — odpowiedziała prędko, przewracając kartki, domyśliła się bowiem od razu, że z pieśnią tą związane jest jakieś wspomnienie.

— Nie — Warieńka przytrzymała z uśmiechem nuty — nie, zaśpiewajmy także i to. — I równie pięknie, chłodno i spokojnie jak poprzednio odśpiewała włoską pieśń.

Gdy skończyła, wszyscy znów jej dziękowali; wreszcie udali się na herbatę, a Kitty z Warieńką wyszły przed dom do ogródka.

— Z tą piosenką łączy się dla pani jakieś wspomnienie, prawda? — zagadnęła Kitty. — Niech pani nie mówi jakie — prędko dodała — niech pani powie tylko, czy prawda?

— Dlaczegoż bym nie miała powiedzieć? Owszem, powiem — odrzekła Warieńka i nie czekając na zachętę dodała: — tak, i to wspomnienie było niegdyś bardzo bolesne. Kochałam kogoś i śpiewałam mu to.

Kitty w milczeniu, z rozrzewnieniem popatrzała na Warieńkę szeroko otwartymi oczyma.

— Kochałam go i on mnie również kochał, ale jego matka nie zgodziła się na to

małżeństwo, i ożenił się z inną.. Teraz mieszka niedaleko od nas i czasem go spotykam. Pani nie przypuszczała, że w moim życiu także była jakaś miłość? — zapytała Warieńka i w jej pięknej twarzy ledwo zatlił się płomyk, który — Kitty to wyczuła — opromieniał ją niegdyś całą.

— Jak to, nie przypuszczałam?! Gdybym była mężczyzną, to poznawszy panią nie mogłabym już kochać innej.

Nie rozumiem tylko, jak on mógł dla dogodzenia matce zapomnieć o pani i unieszczęśliwić panią. Nie miał chyba serca!

— Ach, nie! To bardzo dobry człowiek, a ja nie jestem bynajmniej nieszczęśliwa, przeciwnie — jestem szczęśliwa. Więc nie będziemy już dzisiaj więcej śpiewały? —. dodała po chwili, zdążając ku domowi.

— Jaka pani urocza! Jaka pani urocza — zawołała Kitty przystając i całując przyjaciółkę. — Ach, gdybym choć trochę była do pani podobna'!

— Dlaczego by pani miała być do kogoś podobna? Tak, jak jest, jest dobrze — łagodnie, ze znużonym uśmiechem odparła Warieńka.

— Ależ nie, wcale nie jestem dobra. Niechże mi pani powie.:. Niech pani zaczeka: posiedźmy sobie jeszcze trochę — prosiła Kitty sadowiac ją znów obok siebie na ławce. — Niech pani powie, czy to nie jest obrażające, że ktoś zlekceważył pani miłość, że nie chciał...

— Ależ on wcale nie zlekceważył. Wierzę, że mnie kochał, ale był uległym synem.

— Tak, lecz gdyby postąpił z panią w ten sposób nie na życzenie matki, ale z własnej woli... — mówiła Kitty czując, że zdradziła swą tajemnicę i że świadczy o tym jej twarz płonąca rumieńcem wstydu.

— To byłby zły uczynek, takiego człowieka bym nie żałowała — powiedziała Warieńka, która domyśliła się oczywiście, że Kitty ma teraz na myśli już nie ją, lecz siebie.

— A ta zniewaga?! — dopytywała" się Kitty. — Wszak zniewagi niepodobna zapomnieć, niepodobna,.. — tu przypomniała sobie spojrzenie, które rzuciła Wrońskiemu na ostatnim balu, w chwili gdy muzyka przestała grać walca.

— Cóż to za zniewaga? Przecie pani nic złego nie zrobiła!

— Gorzej niż coś złego, coś, czego się wstydzę! Warieńka przecząco potrząsnęła głową i położyła dłoń na ręce Kitty.

— Jakiż to wstyd? — spytała. — Przecież pani oczywiście nie powiedziała . człowiekowi, któremu pani była obojętna, że go pani kocha?

— Oczywiście, że nie. Nigdy mu nie powiedziałam ani słowa, ale on i tak o tym wiedział. Nie, nie, bywają spojrzenia, całe zachowanie... Choćbym żyła sto lat, nigdy tego nie zapomnę.

— I cóż stąd? Nie rozumiem. Chodzi tylko o to, czy pani go jeszcze kocha, czy też nie — rzekła Warieńka:nazywając rzeczy po imieniu.

— Nienawidzę go! Nie mogą sobie darować...

— Czego nie może pani darować?

— Wstydu, zniewagi...

— Mój Boże, gdyby wszyscy byli tacy przeczuleni! Niema przecież ani jednej panny, która by czegoś podobnego nie doświadczyła. A zresztą, to wszystko jest takie błahe....

— A cóż jest ważne? — Kitty ze zdumieniem i ciekawością wpatrywała się w mówiącą.

— Ach, bardzo wiele rzeczy — odparła tamta z uśmiechem.

— A więc co na przykład?

— Ach, bardzo wiele ważniejszych rzeczy — Warieńka . nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W tej chwili rozległ się z okna głos księżnej:

— Kitty, chłodno już! Albo weź szal, albo wracaj do pokoju.

— Prawda, już czas! — rzekła Warieńka wstając. — Muszę jeszcze wstąpić do m-me Berthe; bardzo mnie o to prosiła.

Kitty trzymała ją za rękę i wpatrywała się w nią błagalnie, z namiętą ciekawością, jakby zapytując: „Więc: cóż jest to najważniejsze, co daje taki spokój? Pani to wie, niechże mi więc pani powie!” — lecz Warieńka niedomyślała się nawet, o co ją błaga spojrzenie Kitty. Pamiętała tylko, że ma być jeszcze u m-me Berthe, a potem musi zdążyć do domu, na herbatę u mamą, na godzinę dwunastą. Wróciła do pokoju, pozbierała swoje nuty i pożegnawszy się ze wszystkimi skierowała się ku wyjściu.

— Pani pozwoli, że panią odprowadzę — rzekł pułkownik.

— Naturalnie, jakżeby pani mogła wracać sama po nocy! — dodała księżna. — Poślę z panią przynajmniej, Paraszę.

Kitty wiedziała, że Warieńka na wzmiankę o konieczności odprowadzenia jej ledwo mogła powstrzymać uśmiech.

— Ależ nie, zawsze wracam sama i nigdy mi się nie złego nie przytrafia — oświadczyła wkładając kapelusz.

Ucałowała jeszcze raz Kitty i nie powiedziawszy jej, co mianowicie jest w życiu ważne, śmiałym krokiem znikła z nutami pod pachą w półmroku letniej nocy unosząc ze sobą tajemnicę, co jest ważne i co jej daje ten zazdrości godny spokój i równowagę.

Kitty poznała również panią Stahl i ta znajomość, w połączeniu z przyjaźnią dla Warieńki, nie tylko wywarła na nią ogromny wpływ, ale pocieszała ją w jej strapieniu. Znalazła pociechę, ponieważ dzięki owej znajomości otworzył się przed nią świat zupełnie nowy, nie mający nic wspólnego z jej przeszłością, świat piękny i wzniosły, z którego wyżyn można było spokojnie spoglądać na tę przeszłość. Zrobiła odkrycie, że poza życiem instynktownym, którym dotychczas żyła, istniało życie duchowe. Klucz do tego życia dawała religia, ale religia nie mająca nic wspólnego z tą, którą Kitty znała od dzieciństwa, a która polegała na bywaniu na porannych i wieczornych nabożeństwach w Przytulisku, gdzie można było spotkać znajomych, i na uczeniu się na pamięć, pod kierownictwem popa, starostowiańskich tekstów. Była to religia wzniosła, tajemnicza, związana z całym szeregiem pięknych myśli i uczuć, religia, w którą nie tylko można było wierzyć dlatego, że wierzyć kazano, ale którą można było kochać.

Kitty dowiedziała się o tym wszystkim, choć nikt tego przed nią w słowach nie wyraził. Madame Stahl rozmawiała z nią jak z miłym dzieckiem, na które patrzy się z upodobaniem, przypominając sobie własną młodość, i raz jedynie napomknęła, że we wszelkich ludzkich strapieniach pociechę dają tylko miłość i wiara, bo dla Chrystusowego miłosierdzia nie ma zmartwień błahych, po czym zaraz zmieniła temat rozmowy. Ale w każdym ruchu, w każdym słowie, w każdym niebiańskim, jak je nazywała Kitty, spojrzeniu pani Stahl, zwłaszcza zaś w całej historii jej życia, której dowiedziała się od Warieńki, słowem, we wszystkim — rozpoznawała to, „co jest ważne”, a o czym dotychczas nie wiedziała.

Chociaż charakter madame Stahl był niewątpliwie bardzo szlachetny, dzieje życia jej wyjątkowo wzruszające, a mowa wzniosła i tkliwa, Kitty jednak mimo woli spostrzegła w niej pewne rysy, które ją stropiły. Madame Stahl na przykład, wpytując kiedyś Kitty o jej krewnych, uśmiechnęła się wzgardliwie, co było sprzeczne z zasadą dobroci chrześcijańskiej. Zauważyła również, że gdy zastała raz u niej katolickiego księdza, madame Stahl starannie ukrywała twarz w cieniu abażuru i uśmiechała się jakoś osobliwie. Jakkolwiek oba te spostrzeżenia były zupełnie błahie, Kitty stropiła się i powzięła pewne wątpliwości co do madame Stahl. Za to samotna, bez rodziny, bez przyjaciół, zawiedziona w miłości Warieńka, która niczego nie pragnęła i niczego nie żałowała, była skończoną doskonałością, czymś, o czym Kitty mogła tylko marzyć. Przykład Warieńki przekonał ją, że wystarczy zapomnieć o sobie i kochać bliźnich, by osiągnąć spokój, szczęście i piękno. Taką Kitty właśnie być pragnęła i raz zrozumiałwszy, co jest najważniejsze, nie poprzestała na podziwie, lecz natychmiast z całej duszy oddała się temu nowemu, otwierającemu się przed nią życiu. Podług opowiadań Warieńki o postępowaniu madame Stahl i innych osób, które opowiadająca wymieniła, Kitty ułożyła sobie cały plan przyszłego życia. Podobnie jak siostrzenica pani Stahl, Alinę, o której Warieńka wiele jej mówiła, Kitty zamierzała odtąd wyszukiwać wszędzie dokoła siebie nieszczęśliwych, pomagać im w miarę możliwości, rozdawać

Pismo święte, czytać Nowy Testament chorym, przestępcom i konającym. Pociągała ją zwłaszcza myśl o czytaniu zbrodniarzom Nowego Testamentu, tak jak to robiła Aline. Ale wszystko to były skryte marzenia, z których nie zwierzała się ani matce, ani Warieńce.

Zresztą, zanim miał nadejść czas wykonania tych planów na wielką skalę, Kitty już teraz u wód, gdzie tyle było chorych i nieszczęśliwych, łatwo znajdowała okazję do stosowania swych zasad za przykładem Warieńki.

Księżna spostrzegła zrazu tylko, że Kitty znajduje się pod silnym wpływem swego — jak to księżna nazywała — engouement dla pani Stahl, a zwłaszcza dla Warieńki. Widziała, że Kitty nie tylko wzoruje się na jej postępowaniu, lecz bezwiednie naśladuje jej ruchy, sposób mówienia, a nawet mrugania oczyma. Następnie jednak spostrzegła, że niezależnie od tego jakby urzeczenia odbywa się — w Kitty poważny przełom wewnętrzny.

Księżna widziała, że Kitty czytuje wieczorami otrzymany od pani Stahl Nowy Testament, czego dawniej nie robiła, że unika swych światowych znajomych, a szuka towarzystwa chorych, będących pod opieką Warieńki, szczególnie zaś niezamożnej rodziny pewnego malarza Pietrowa. Kitty była wyraźnie dumna, że pełni w owej rodzinie funkcje siostry miłosierdzia. Wszystko to było piękne i księżna nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że pani Pietrow była osobą przyzwoitą i że niemiecka księżna, zauważywszy postępowanie Kitty, pochwaliła ją i nazwała aniołem pocieszycielem. Wszystko to byłoby nawet bardzo piękne, gdyby nie przesada. Księżna tymczasem widziała, że Kitty wpada w krańcowość, i zwracała córce na to uwagę.

— Il ne faut jamais rien outrer — mawiała.

Córka nic jej nie odpowiadała; myślała tylko w głębi duszy, że nie może być mowy o przesadzie tam, gdzie chodzi o chrześcijaństwo. Jak można w ogóle mówić o przesadzie w stosowaniu nauki, według której mamy nadstawiać lewy policzek, gdy kto uderzy nas w prawy, i oddawać koszulę temu, kto nam zabrał kaftan? Księżnej wszakże nie podobała się ta przesada, a jeszcze bardziej nie podobało, jej się to, że — jak wyczuwała — Kitty nie chciała jej się szczerze ze wszystkiego zwierzać. Istotnie, Kitty ukrywała przed matką swoje nowe poglądy i uczucia. Ukrywała je nie dlatego, by jej nie szanowała i nie kochała, lecz dlatego właśnie, że to była jej matka. Zwierzyłaby się była każdemu raczej niż matce.

— Jakoś Anna Pawłowna dawno u nas nie była — powiedziała księżna któregoś dnia o pani Pietrow. — Zapraszałam ją, ale wyglądała jakaś niezadowolona.

— Ja nic nie zauważyłam, maman — odparła rumieniąc się Kitty.

— Dawno u niej byłaś?

— Wybieramy się jutro razem na przejażdżkę w góry — odpowiedziała Kitty.

— No, to jedźcie — rzekła księżna wpatrując się w zakłopotaną twarz córki i usiłując odgadnąć powód jej zmieszania.

Warieńka przyszła dnia tego na obiad i oznajmiła, że pani Pietrow rozmyśliła się i że nie pojedą następnego -dnia w góry. Księżna zauważyła, że Kitty

zarumieniła się znowu.

— Kitty, czy miałaś jakieś nieporozumienie z państwem Pietrow? — zaczęła się dopytywać, gdy zostały same. — Czemu ona przestała u nas bywać i przysyłać do nas dzieci?

Kitty odparła, że nic między nimi nie zaszło i że stanowczo nie rozumie, czemu Anna Pawłowna ma jej jakby coś do zarzucenia. Mówiła szczerą prawdę. Nie wiedziała, dlaczego pani Pietrow zmieniała się w stosunku do niej, ale się domyślała. Tego wszakże powodu, którego się domyślała, nie tylko nie mogła powiedzieć matce, ale nawet samej sobie. Była to jedna z tych rzeczy, o których się wie, ale których nie można wyznać nawet przed sobą, z obawy przed zawstydzającą omyłką.

Wciąż na nowo przesuwała w pamięci wszystkie fazy swojej znajomości z tą rodziną. Przypominała sobie naiwną radość bijącą z okrągłej, dobrodusznej twarzy Anny Pawłowny przy spotkaniach; przypominała sobie poufne rozmowy o chorym, spiski mające na celu oderwanie go od zabronionej mu przez lekarzy pracy i wyciąganie go na spacer; przypominała sobie przywiązanie młodszego chłopczyka, który ją nazywał „moja Kitty” i który bez niej nie chciał iść spać. Jakie to wszystko było przyjemne! Potem przypominała sobie przeraźliwie chudą postać Pietrowa, jego długą szyję, tabaczkowy surdut, rzadkie kręcone włosy, błękitne, - pytające oczy, które zrazu przejmowały ją lękiem, i jego bolesne usiłowania, by w jej obecności udawać zdrowego i pełnego życia. Przypominała sobie, z jakim wysiłkiem na początku przewyciężała odrazę, którą — podobnie jak wszyscy suchotnicy — budził w niej chory, i z jaką trudnością zawczasu obmyślała, co mu powie. Przypominała sobie to nieśmiałe, rozrzewnione spojrzenie, jakim ją witał, i dziwną mieszaninę współczucia i zakłopotania, a później — poczucia własnej dobroci, które ją przy tym napełniało. Jakie to było przyjemne! Tak było jednak tylko na początku. Teraz, od paru dni, wszystko się nagle popsuło. Anna Pawłowna witała Kitty z udaną uprzejmością i nieustannie obserwowowała ją i męża.

Czyżby właśnie ta wzruszająca radość chorego przy spotkaniach z Kitty była powodem chłodu Anny Pawłowny?

„Istotnie — przypominała sobie Kitty — zrobiła się jakaś sztuczna i to było takie do niej niepodobne, gdy parę dni temu ona, taka zawsze dobra, odezwała się z rozdrażnieniem: «Otóż to właśnie! Wciąż czekał na panią, nie chciał bez pani pić kawy, choć okropnie osłabł.»”

„A może też było jej przykro, gdy mu wówczas dałam pled? To było coś tak naturalnego, a on to z takim zażenowaniem przyjął, tak długo dziękował, że ja sama poczułam się w końcu niezręcznie. A potem — ten mój portret, który mu się tak udał. A najważniejsze — to spojrzenie nieśmiałe i czułe!... Tak, tak, to prawda! — powtórzyła Kitty ze zgrozą. — Nie, to niepodobieństwo, to być nie może! Dn jest taki biedny!” — myślała. Wątpliwości te mąciły urok nowego życia.

Przed samym końcem kuracji Kitty powrócił do rodziny ksiązę Szczerbacki, który po Karlsbadzie jeździł do Baden i do Kissingen, do znajomych rodaków, aby zaczerpnąć, jak powiadał, rosyjskiego ducha.

Poglądy księcia i księżnej na życie za granicą były wręcz przeciwne. Księżna zachwycała się wszystkim i mimo swej ustalonej pozycji w towarzystwie rosyjskim, usiłowała za granicą wyglądać na europejską damę. Nie była nią, była rosyjską jaśnie panią — dlatego musiała ciągle udawać, i to ją trochę krępowało. Ksiązę, na odwrót, uważał, że wszystko za granicą jest złe. Życie na modłę europejską ciążyło mu, trzymał się swych rosyjskich przyzwyczajzeń i umyślnie starał się za granicą wyglądać mniej na Europejczyka, niż nim w istocie był.

Powrócił szczuplejszy, z obwisłymi workami skóry na policzkach, lecz w jak najlepszym humorze. Dobry ten humor spotęgował się jeszcze, gdy przekonał się, że Kitty całkiem wyzdrowiała. Wiadomość- o jej przyjaźni z panią Stahl i Warieńką, jak również to, co mu księżna opowiedziała o jakiejś zmianie zaszłej w córce, zaniepokoiły księcia. Obudziła się w nim zwykła zazdrość, jaką zresztą odczuwał w stosunku do wszystkiego, co pociągało córkę, a w czym on nie brał udziału: obawiał się, by nie wymknęła się spod jego wpływu do jakiejś niedostępnej mu strefy. Niemiłe te nowiny utonęły wszakże w morzu dobrodusznej wesołości, które zawsze miał w sobie i które spotęgowało się jeszcze po karlsbadzkich wodach.

Nazajutrz po przyjeździe ksiązę, w swym długim palcie, ze swymi charakterystycznie rosyjskimi zmarszczkami i nalanymi policzkami, podpartymi mocno nakrochmalonym kołnierzykiem — w doskonałym humorze wyszedł z córką przejść się po uzdrowisku.

Ranek był piękny. Schludne, wesołe domki z ogródkami, widok rumianych, wesoło pracujących, napojonych do syta piwem niemieckich posługaczek z ich czerwonymi rękami, a do tego jeszcze słońce, radowały serce. Im bardziej jednak zbliżali się do źródła, tym częściej spotykali chorych, których wygląd zdawał się jeszcze bardziej żałosny na tle codziennych warunków dobrze urządzonego niemieckiego życia. Kontrasty te już nie raziły Kitty. Jasne słońce, radosny odbłask zieleni, dźwięki muzyki — były dla niej naturalnym tłem tych wszystkich znajomych twarzy i tych zmian na lepsze czy na gorsze, które dostrzegała u kuracjuszków. Księżciu jednak światło i blask czerwcowego poranka, dźwięki orkiestry grającej wesołego modnego walca, a zwłaszcza widok rozrostłych posługaczek wydawały się czymś nieprzyzwoitym i potwornym wobec tych zebranych ze wszystkich krańców Europy i wlokących się ze znużeniem truposzów.

Chociaż idąc pod rękę z ukochaną córką doświadczał uczucia dumy i jakby nawrotu młodości, teraz jednak czuł się trochę nieswojo. Wstydził się swych energicznych ruchów, swych wielkich, nalanych tłuszczem rąk i nóg. Czuł się nieomal jak ktoś, kto znalazł się nie ubrany w towarzystwie.

— Przedstawże mnie twoim nowym przyjaciółom — mówił do córki przyciskając

łokciem jej rękę. — Polubiłem nawet to twoje paskudne Soden za to, że cię tak postawiło na nogi. Tylko smutno, smutno tu u was. A to kto taki?

Kitty wymieniała mu nazwiska wszystkich znajomych i nieznanym osobom, które spotykali. Przy samym wejściu do ogrodu natknęli się na niewidomą m-me Berthe i jej przewodniczkę i księcia ucieszył zachwytem, jaki odmalował się na twarzy starej Francuzki na sam dźwięk głosu Kitty. Z właściwą Francuzom przesadną uprzejmością m-me Berthe, rozmawiając z księciem, chwalił go za to, że ma tak uroczą córkę, i wynosiła Kitty pod niebiosa nazywając ją skarbem, perłą i aniołem pocieszycielem.

— No więc jest ona w każdym razie aniołem numer drugi — rzekł książę z uśmiechem. — Bo moja córka nazywa aniołem numer pierwszy m-lle Warieńkę.

— Och! m-lle Warieńka to. istotnie prawdziwy anioł — allez! — potwierdziła Francuzka.

W pawilonie u źródła spotkali samą Warieńkę. Szła szybko ku nim, niosąc wykwinny czerwony woreczek.

— Papa nareszcie przyjechał! — zawołała do niej Kitty. Warienka, z właściwą sobie prostotą i naturalnością, uczyniła ruch pośredni pomiędzy ukłonem a dygiem i od razu zaczęła rozmawiać z księciem, jak rozmawiała ze wszystkimi, swobodnie i bez przymusu.

— Ma się rozumieć, że znam panią, nawet dobrze znam — odezwał się książę z uśmiechem, z którego Kitty z radością poznała, że przyjaciółka podoba się ojcu. — Dokąd to pani tak śpieszy?

— Maman jest tutaj — objaśniła Warieńka zwracając się do Kitty. — Całą noc dzisiaj nie spała i lekarz radził jej wyjechać na spacer. Niosę jej robótkę.

— Więc to jest anioł numer pierwszy? — rzekł książę, gdy się oddaliła.

Kitty wyczuła, że ojciec ma ochotę zakpić trochę z Warieńki, lecz że mu się to w żaden sposób nie udaje, gdyż poczuł do niej sympatię.

— No, więc zobaczymy wszystkich twoich przyjaciół — dodał książę — a nawet i madame Stahl, jeśli mnie raczy sobie przypomnieć.

— A czy ty ją znałeś dawniej, papo? — zagadnęła Kitty widząc ze strachem, że przy tym nazwisku w oczach księcia błysnęła iskierka złości.

— Znałem jej męża i trochę ją samą, zanim jeszcze zapisała się do pietystek.

— Papo, co to znaczy pietystka? — zapytała Kitty, przerażona, że to, co ona tak bardzo podziwia w pani Stahl, ma jakąś nazwę.

— Sam dobrze nie wiem. Wiem tylko, że ona za wszystko dziękuje Bogu, nawet za każde nieszczęście. Więc i za to, że jej mąż umarł, Bogu dziękuje, i to właśnie śmiesznie wypada, ponieważ źle ze sobą żyli. A to kto taki? Jakąż on ma żalną minę! — wykrzyknął książę na widok siedzącego na ławce niepozornego kuracjusza w tabaczkowym paltocie i białych spodniach, które na jego pozbawionych mięśni nogach układały się w dziwaczne fałdy.

Pan ów ukłonił się odstawiając kędzierzawe rzadkie włosy i wysokie czoło,

nienaturalnie zaczerwienione od ucisku sławkowego kapelusza.

— To pan Pietrow, malarz — poinformowała Kitty ojca rumieniąc się. — A to jego żona — dodała wskazując Annę Pawłownę, która na ich widok jak gdyby umyślnie podążyła za dzieckiem biegającym po alei.

— Jakież on nieszczęsny, a jaką ma sympatyczną twarz! — orzekł księżę. — Czemu do niego nie podeszłaś? Chciał ci coś powiedzieć.

— Więc chodźmy! — rzekła Kitty z determinacją, zawracając w stronę chorego. — Jak się pan dzisiaj czuje? — spytała Pietrowa.

Pietrow wstał opierając się na lasce i spojrzał nieśmiało na księcia.

— To moja córka — rzekł księżę. — Pan pozwoli, że się przedstawię.

Malarz skłonił się odsłaniając w uśmiechu dziwnie błyszczące białe zęby.

— Czekaliśmy wczoraj na panią, księżniczko!

To mówiąc zachwiał się, ale natychmiast powtórzył ten ruch udając, że zrobił to naumyślnie.

— Miałam zamiar przyjść, ale Warieńka uprzedziła mnie z polecenia pani Pietrow, że państwo nie pojedą.

— Jak to, że nie pojedziemy? — zaczerwienił się Pietrow i kaszląc szukał żony oczyma. — Aneto! Aneto! — zawołał głośno i na jego cienkiej, białej szyi wystąpiły żyły jak postronki. Anna Pawłowna zbliżyła się.

— To ty zawiadomiłaś księżniczkę, że nie pojedziemy? — nie mogąc dobrać głosu wyszeptał zirytowany Pietrow.

— Dzień dobry, księżniczko! - rzekła Anna Pawłowna z wymuszonym uśmiechem, tak niepodobnym do dawnego jej sposobu bycia. — Bardzo mi przyjemnie poznać księcia — zwróciła się do niego. — Od dawna już spodziewano się księcia.

— Jakeś ty mogła zawiadomić księżniczkę, że nie pojedziemy? — ochryłym szeptem powtórzył malarz z jeszcze większą złością, najwidoczniej coraz bardziej rozdrażniony tym, że głos mu odmawia posłuszeństwa i że nie może nadać swoim słowom zamierzonego wyrazu.

— Ach, mój Boże! Sądziłam, że nie pojedziemy — odparła żona z niechęcią..

— Jakże to, kiedy właśnie... — Pietrow znów zaniósł się kaszlem i machnął ręką, zniechęcony.

Księżę uchylił kapelusza i poszedł z córką dalej.

— Och! — westchnął ciężko — och, cóż za nieszczęśliwi ludzie!...

— O tak, papo! — zawołała Kitty. — A trzeba ci wiedzieć, że mają troje dzieci, nie trzymają służącej i są prawie bez środków do życia. On dostaje coś z Akademii — opowiadała szybko, starając się ukryć zdenerwowanie wywołane dziwną zmianą stosunku Anny Pawłowny do niej.

— A oto i madame Stahl — powiedziała wskazując wózek, w którym pod parasolką, ubrane szaro i niebiesko, leżało coś obłożonego poduszkami. Była to

pani Stahl. Za nią stał ponury, rosty posługacz Niemiec, który woził chorą, a obok wózka — wysoki blondyn, szwedzki hrabia, którego nazwisko Kitty wymieniła ojcu. Kilku przechodzących kuracjuszków przystanęło, gapiąc się na chorą damę jak na coś niezwykłego.

Książę zbliżył się do leżącej i Kitty natychmiast zauważyła w jego oczach niepokojącą iskrę ironii. Podszedł do madame Stahl i bardzo uprzejmie i grzecznie wszczął z nią rozmowę, posługując się tą nieskazitelną francuszczyzną, jaką obecnie władają już tylko bardzo nieliczni.

— Nie wiem, czy raczy mnie pani pamiętać. Pozwalam sobie przypomnieć się pamięci pani i podziękować za dobroć dla mojej córki — rzekł zdejmując kapelusz i trzymając go w ręku.

— Książę Aleksander Szczerbacki, nieprawdaż — rzekła madame Stahl podnosząc na księcia swe niebiańskie oczy, w których Kitty dostrzegła teraz odcień niezadowolenia. — Bardzo się cieszę. Polubiłam córkę księcia!

— A ze zdrowiem pani wciąż kiepsko?

— Tak... Przyzwyczaiałam się już do tego — odparła madame Stahl i zapoznała księcia ze szwedzkim hrabią.

— Pani się bardzo niewiele zmieniła — rzekł Szczerbacki. — Nie miałem zaszczytu widzieć pani dziesięć czy jedenaście lat.

— Tak, Bóg zsyła nam krzyż, a wraz z nim daje siły, by go dźwigać. Nieraz człowiek dziwi się, po co wlecze jeszcze to życie. Z tamtej strony! — zwróciła się niecierpliwie do Warieńki, otulającej jej nogi pledem nie tak, jak było trzeba.

— Zapewne, aby spełniać dobre uczynki — zauważył książę z uśmiechem w oczach.

— Nie nam o tym sądzić — rzuciła pani Stahl spostrzegając na twarzy księcia odcień ironii. — Więc przyśle mi pan tę książkę, drogi panie? Bardzo panu dziękuję — zwróciła się do młodego Szweda.

— A! — zawołał Szczerbacki i powitawszy pułkownika z Moskwy, który przystanął obok nich, ukłonił się pani Stahl, po czym w towarzystwie córki i pułkownika poszedł dalej.

— Oto nasza arystokracja! — rzekł pułkownik. Usiłował powiedzieć to ironicznie, gdyż miał urazę do pani Stahl o to, że nie należał do jej znajomych.

— Zawsze ta sama — zauważył książę.

— To książę znał ją jeszcze, zanim obłożnie zachorowała?

— Tak. Stało się to za moich czasów.

— Powiadają, że od dziesięciu lat już nie wstaje...

— Nie wstaje, ponieważ ma za krótkie nogi. Jest bardzo źle zbudowana...

— Papo, to niemożliwe! — zawołała Kitty.

— Tak mówią złe języki, moje dziecko. A twoja Warieńka dobrze od niej obrywa — dodał po chwili. — Ach, te chore damy!

— O nie, papo! — sprzeciwiła się gorąco Kitty. — Warieńka ją ubóstwia. Zresztą pani Stahl robi tyle dobrego! Zapytaj, kogo chcesz. Ją i Alinę Stahl wszyscy znają.

— Być może — powiedział ksiązę przyciskając łokciem rękę córki. — Zawsze jednak jest lepiej, gdy się dobrze czyni w taki sposób, by — kogokolwiek o to spytać — nikt o tym nie wiedział.

Kitty zamilkła nie dlatego, że nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale ponieważ nawet ojcu nie chciała wyznać swych utajonych myśli. Jednak, rzecz dziwna, choć była zdecydowana nie poddać się zdaniu ojca i nie dopuszczać go do swych świętości, poczuła, że ten niemal boski obraz pani Stahl, jaki przez cały miesiąc nosiła w sercu, znikł bezpowrotnie. Tak znika zarys postaci, którą wyobraźnia upatruje w niedbale rzuconej sukni, skoro sobie uświadomimy, że suknia tylko tak się układa. Z jej rojeń pozostała jedynie kobieta o zbyt krótkich nogach, która nie wstaje tylko dlatego, że ma brzydką figurę, i która zadręcza bezbronną Warieńkę za niezręczne okrywanie ją pledem.

I żadne wysiłki wyobraźni nie mogły na nowo przywrócić dawnej madame Stahl.

Dobry humor księcia udzielił się wszystkim domownikom, znajomym, a nawet Niemcowi, właścicielowi mieszkania odnajmowanego przez Szczerbackich.

Po powrocie wraz z Kitty od źródła, gdzie zaprosił na kawę pułkownika, panią Rtiszczew i Warieńkę, książę kazał wynieść stół i krzesła do ogródka i nakryć do śniadania pod kasztanem. Weselość pana domu udzieliła się i gospodarzowi-Niemcowi, i całej służbie, która знаła hojność księcia. W pół godziny później chory doktor z Hamburga, mieszkający na piętrze, z zazdrością przypatrywał się przez okno wesołej kompanii zdrowych Rosjan, zgromadzonej pod kasztanem. Pod drgającym cieniem liści, tworzącym kółeczka, przy stole nakrytym białym obrusem — na którym stał imbryk z kawą, chleb, masło, ser, zwierzyna na zimno — siedziała księżna w stroiku ze wstążkami lila na głowie, rozdając filiżanki i chleb z masłem. Przy drugim końcu książę smacznie zajadając rozmawiał głośno i wesoło. Rozłożył dokoła siebie swoje zakupy: rzeźbione pudełeczka, kardynały, najrozmaitszych kształtów noże do przecinania kartek, których moc zakupił w różnych uzdrowiskach. Rozdawał je teraz wszystkim, nie wyłączając służącej Lieschen i gospodarza willi, z którym nieustannie dowcipkował w swej zabawnej, kiepskiej niemieczyźnie, zapewniając go, że Kitty wyleczyło nie picie wód, lecz doskonałe potrawy z jego kuchni, a zwłaszcza zupa z suszonymi śliwkami. Księżna podżartowywała z lekka z rosyjskich manier męża, ale była wesoła i tak ożywiona, jak jeszcze ani razu przez cały czas pobytu u wód. Pułkownik, jak zwykle, przyjmował żarty księcia z uśmiechem, ale co do Europy, którą, jak mu się zdawało, do kładnie poznał — podzielał zdanie księżnej. Poczciwa pani Rtiszczew pokładała się ze śmiechu przy każdym zabawnym słówku, a Warieńka aż osłabła od cichutkiego, lecz zaraźliwego śmiechu, do którego pobudzały ją żarty księcia. Kitty jej jeszcze nigdy takiej nie widziała.

Wszystko to bawiło ją, lecz nie mogła pozbyć się swoich trosk. Nie umiała rozwiązać zagadnienia, które ojciec bezwiednie jej narzucił, patrząc z humorem na jej przyjaciół i na życie, które tak bardzo polubiła. Poza tym trapiła ją zmiana w stosunkach z państwem Pietrow, która zaznaczyła się tego dnia tak wyraźnie i tak nieprzyjemnie. Wszystkim było wesoło, ale Kitty nie mogła brać w tym udziału, i to jeszcze bardziej ją męczyło. Czuła się jak niegdyś w dzieciństwie, gdy ją zamykano za karę w jej pokoju i gdy stamtąd słuchała wesołego śmiechu sióstr.

- I po co nakupiłeś takie mnóstwo tego wszystkiego? — pytała księżna z uśmiechem, podając mężowi filiżankę kawy.

— Człowiek idzie się przejść, mija jakiś sklep, a tu proszę: „Erlaucht, Exzellenz, Durchlaucht”, więc jak powiedzą mi „Durchlaucht”, to już nie mogę wytrzymać — i dziesięć talarów przepadło.

— To wszystko tylko z nudów — zauważyła księżna.

— A pewnie, że z nudów, pewnie, że z nudów... Takie nudy, mamusiu, że nie wiadomo, gdzie się podziać.

— Jak można się nudzić! Tyle ciekawych rzeczy dzieje się teraz w Niemczech — rzekła pani Rtiszczew.

— Ależ ja te wszystkie ich ciekawe rzeczy znam: supę z suszonymi śliwkami znam, kiszkę z grochem znam, wszystko znam.

— Daruje książkę, ale instytucje ich są ciekawe — wtrącił pułkownik.

— Co w nich ciekawego? Wszyscy oni są aż do obrzydliwości zadowoleni: wszystkich zwyciężyli. A z, czego ja mam być zadowolony? Nie zwyciężyłem nikogo, tylko muszę sam sobie buty ściągać i w dodatku wystawiać je sam za drzwi. Rano wstawaj, człowieku, zaraz się ubieraj i idź do salonu pić kiepską herbatę. Nie to, co w domu!... Budzę się bez pośpiechu, zirytuję się na coś, pogderam sobie, rozczmuchnę się, należycie, wszystko obmyślę, nie śpieszę się.

— Ale czas to pieniądz, niech książkę o tym nie zapomina — zaoponował pułkownik.

— Co mi tam czas! Bywa, że i cały miesiąc odda się chętnie za pół rubla, a innym razem za żadne skarby nie sprzedałoby się nawet pół godzinki. Prawda, Katia? Coś ty taka markotna?

— Ależ wcale nie, papo.

— A pani dokąd? Niechże pani jeszcze z nami posiedzi — zwrócił się do Warieńki.

— Muszę już iść do domu — odpowiedziała i znów zaniosała się od śmiechu.

Odzyskawszy powagę pożegnała towarzystwo i weszła do willi po kapelusz. Kitty udała się za nią. Już nawet i Warieńka wydawała się jej obecnie inna: nie gorsza, lecz i nie taka, jaką sobie dawniej wyobrażała. — Dawno już się tak nie śmiałam — rzekła Warieńka biorąc parasolkę i torebkę. — Jaki przemiły człowiek z pani ojca!

Kitty milczała.

— Kiedy się zobaczymy? — spytała Warieńka.

— Maman miała zamiar iść do państwa Pietrow. Czy pani nie będzie u nich? — Kitty badawczo patrzyła na Warieńkę.

— Owszem, będę — odpowiedziała Warieńka. — Są na wyjeździe, więc przyrzekłam, że pomogę im się pakować.

— To i ja przyjdę.

— Nie trzeba. Po co?

— Dlaczego pani tak mówi? Dlaczego? Dlaczego? — zawołała Kitty patrząc szeroko otwartymi oczyma na Warieńkę i chwytając za parasolkę, by przyjaciółkę zatrzymać. — Nie, niech pani zaczeka... Dlaczego?

— Tak sobie. Ojciec pani przyjechał, a zresztą przy pani oni się krępują.

— Nie, niech mi pani koniecznie powie, czemu pani nie chce, żebym często bywała u państwa Pietrow? Widzę przecie, że pani tego nie chce! Dlaczego?

— Ja tegonie powiedziałam — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Nie, bardzo, bardzo proszę, niech pani powie!

— Czy mam naprawdę wszystko powiedzieć?

— Wszystko, wszystko! Warieńka uśmiechnęła się:

— Nie ma w tym nic osobliwego, tylko to jedno, że Michał Ałeksiejewicz (tak się nazywał malarz) przedtem zamierzał wyjechać wcześniej, a teraz nie chce wyjeżdżać.

- A więc... — nagliła Kitty nachmurzona, wpatrując się w Warieńkę.

— A więc Anna Pawłowna, nie wiedzieć dlaczego powiedziała, że mąż jej nie chce wyjeżdżać, ponieważ pani tutaj bawi. Oczywiście, że to niedorzeczność, ale jednak ostatecznie pokłócili się o panią. A pani wie, jak tego rodzaju chorzy są drażliwi...

Kitty milczała i stawała się coraz bardziej chmurna, a Warieńka mówiła dalej, by ułagodzić ją i uspokoić widząc, że tamta lada chwila wybuchnie, nie wiadomo, potokiem łez czy słów.

— Więc lepiej niechaj pani tam nie chodzi... Pani to przecież rozumie... Niech się pani nie obraża...

— Dobrze mi tak! Dobrze! — poczęła szybko mówić Kitty wrywając Warieńce parasolkę i unikając jej spojrzenia.

Ta miała ochotę uśmiechnąć się patrząc na dziecinny gniew przyjaciółki, ale bała się ją urazić.

— Jak to: dobrze?! Nie rozumiem. .

— Dobrze mi tak, ponieważ wszystko to była z mojej strony tylko obłuda, wszystko było wymyślone, a nie z serca. Co mnie obchodził ten obcy człowiek? I co z tego wynikło! Stałam się powodem kłótni, bo robiłam coś, o co mnie nikt nie prosił. A to dlatego, że wszystko to jest zwykłym udawaniem! Udawaniem! Udawaniem!

— Ależ w jakim celu miałby ktoś coś udawać? — zagadnęła powoli Warieńka.

— Ach, jakie to brzydkie i głupie! Po co mi to wszystko było... To była czysta hipokryzja! — mówiła otwierając i zamykając parasolkę.

— Ależ w jakim celu?!

— Żeby przed ludźmi, przed sobą, przed Bogiem wydawać się lepszą, żeby wszystkich oszukać. Nie, teraz już nie dam się na to złapać! Być złą — owszem, ale przynajmniej nie kłamać, nie być hipokrytką, oszustką!

— Ale kto jest oszustką? — zapytała z wyrzutem Warieńka. — Pani mówi tak, jakby...

Ale Kitty już nie panowała nad sobą i nie dała jej dojść do słowa.

— Ja nie mówię tego o pani, wcale nie o pani. Pani jest doskonałością. Tak, tak, wiem, że pani jest skończoną doskonałością, lecz co ja na to poradzę, że jestem zła! Nie stałoby się nic podobnego, gdybym nie była zła! Więcniech już będę taka, jaka jestem, ale nic nie będę udawała. Co mnie obchodzi pani Pietrow? Niechaj sobie

żyją, jak im się podoba, a ją również będę żyła tali, jak chcę. Nie mogę być inna... I to wszystko jest nie to, co trzeba, nie to...

— Co mianowicie? — Warieńka nie mogła nic zrozumieć.

— Wszystko. Ja mogę żyć tylko sercem, wy zaś żyjecie według prawideł. Ja pokochałam panią ot tak, po prostu, a pani mnie zapewne tylko po to, by mnie pouczać i zbawić.

— Pani jest niesprawiedliwa — rzekła Warieńka.

— Ależ ja o nikim nie mówię nic złego. Mam na myśli tylko siebie.

— Kitty — rozległ się głos księżnej. — Chodź tutaj i pokaż ojcu swoje koraliki.

Kitty z wyniosłą miną wzięła ze stołu pudełeczko z koralikami i nie pogodziwszy się z przyjaciółką, poszła do matki.

— Co ci się stało? Czemu jesteś taka czerwona? — odezwali się ojciec i matka razem.

— Ach, nic — odrzekła Kitty. — Zaraz wrócę — i znów wybiegła.

„Ona pewnie jest tu jeszcze — myślała. — Mój Boże, co ja jej powiem? Co ja narobiłam! Co ja jej nagadałam! Dlaczego ją obraziłam? Co mam teraz począć? Co powiedzieć?”

Warieńka w kapeluszu, z parasolką w ręku, siedziała przy stole i oglądała sprężynę, którą Kitty złamała. Na widok wchodzącej podniosła głowę.

— Warieńko, proszę, proszę mi przebaczyć! — wyszeptała Kitty podchodząc do niej. — Ja już nawet nie pamiętam, co mówiłam. Ja...

— Doprawdy, nie chciałam zrobić pani przykrości — uśmiechnęła się Warieńka.

Pokój został zawarty. Jednak z chwilą przyjazdu ojca zmienił się dla Kitty ten cały świat, w którym dotychczas żyła. Nie wyparła się go, lecz zdała sobie sprawę, że łudziła się mniemając, iż może się stać tym, czym być chciała. Jakby ocknęła się i uświadomiła sobie, jak trudno bez obłudy i chępliwości utrzymać się na tej wyżynie, na którą pragnęła się wspiąć. Odczuła poza tym cały ciężar tego świata smutków, chorób i zgonów, w którym przebywała. Próby przewyciężenia się, pokochania tego świata wydały się jej zbyt męczące. Zaczęła tęsknić za świeżym powietrzem, za Rosją, Jerguszowem, dokąd, jak wiedziała z listu, Dolly z dziećmi przeniosła się już była na lato.

Sentyment jej dla Warieńki nie osłabł jednak. Żegnając się z nią, bardzo ją prosiła, by przyjechała do nich, gdy wrócą do Rosji.

— Przyjadę, kiedy pani wyjdzie za mąż — obiecywała Waria.

— Kiedy ja nigdy nie wyjdę za mąż.

— No, to ja nigdy nie przyjadę.

— W takim razie tylko po to wyjdę za mąż... Ale niech pani pamięta i dotrzyma obietnicy — rzekła Kitty.

Przewidywania domowego lekarza sprawdziły się. Kitty wróciła do domu, do Rosji, zupełnie wyleczona. Nie była już tak beztroska i wesoła jak dawniej, ale

zupełnie spokojna. Jej moskiewskie smutki stały się już tylko wspomnieniem.

CZĘŚĆ TRZECIA

Sergiusz Iwanowicz Koznyszew zamierzał odpocząć po pracy umysłowej i zamiast udać się jak zwykle za granicę, przyjechał w końcu maja do brata na wieś. Był zdania, że życie wiejskie jest najlepsze, i teraz przyjechał, by się nim rozkoszować. Konstanty Lewin bardzo się z tego ucieszył, tym więcej, że tego lata nie spodziewał się już odwiedzin Mikołaja. Wszelako, mimo miłości i szacunku, jakie żywił dla Sergiusza, czuł się z nim nieswojo, gdyż stosunek brata do wsi wprawiał go w zakłopotanie, a nawet był mu niesympatyczny. Dla Konstantego Lewina wieś była miejscem jego życia, miejscem radości, cierpień i pracy; dla Sergiusza Iwanowicza była z jednej strony wypoczynkiem po pracy, z drugiej — skuteczną odtrutką przeciwko zepsuciu. Odtrutkę tę Sergiusz zażywał z przyjemnością i ze świadomością jej pożytku. Dla Konstantego wieś była dlatego dobra, że stanowiła pole niewątpliwie pożytecznej pracy, dla Sergiusza Iwanowicza — ponieważ na wsi można, a nawet trzeba było nic nie robić. Poza tym Konstantego drażnił również stosunek Sergiusza Iwanowicza do ludu wiejskiego. Sergiusz mawiał, że kocha lud i zna go, często też rozmawiał z chłopami, bez pozy i bez afektacji, a z każdej takiej gawędy wysnuwał ogólne wnioski pochlebne dla ludu, świadczące o tym, że zna ów lud istotnie. Taki stosunek nie podobał się Konstantemu: dla niego lud był tylko głównym uczestnikiem powszechnej pracy. Mimo całego szacunku i przywiązania do ludu, które miał jakby we krwi, zapewne, jak mawiał, wessane z mlekiem mamki, prostej baby — Konstanty, będąc wraz z chłopami również uczestnikiem ogólnej pracy, czasami odczuwał zachwyty dla siły, łagodności i poczucia sprawiedliwości tych ludzi, czasem zaś, gdy wspólna sprawa wymagała innych zupełnie zalet charakteru, wpadał we wściekłość nad lekkomyślnością, niechlujstwem, pijaństwem i kłamliwością chłopstwa. Gdyby go ktoś zapytał, czy kocha lud, stanowczo nie wiedziałby, co odrzec, kochał go bowiem i nie kochał jednocześnie, tak jak ludzi w ogóle. Oczywiście, jako człowiek dobry, raczej kochał ludzi, niż nie kochał; tak samo było z ludem. Kochać jednak lub nie kochać ludu jako czegoś odrębnego nie mógł po prostu dlatego, że nie tylko stale przebywał z ludem, nie tylko wszystkie jego własne sprawy były związane z ludem, lecz — że uważał także i siebie za jego część. Nie spostrzegał w sobie ani w chłopach żadnych specjalnych zalet ani wad i nie mógł siebie przeciwstawiać ludowi. Poza tym chociaż od dawna żył wśród chłopów jako ich pracodawca i rozjemca, a zwłaszcza doradca (chłopi wierzyli mu i przychodzili do niego po radę z odległości nawet czterdziestu wiorst), nie miał jednak żadnej określonej opinii o chłopach. Na pytanie, czy zna lud, równie trudno byłoby mu odpowiedzieć jak na pytanie, czy lud kocha. Tak samo nie potrafiłby twierdzić, że zna lud, jak — że zna ludzi. Nieustannie obserwował i poznawał wszelkiego rodzaju ludzi, w tej liczbie także i ludzi-chłopów, których uważał za jednostki ciekawe i dodatnie, a ciągle znajdując w nich nowe cechy, zmieniał swoje poprzednie o nich mniemanie i stwarzał sobie nowe. Inaczej — Sergiusz Iwanowicz. Lubił on i chwalił życie wiejskie, jako przeciwieństwo do takiego rodzaju życia, jakiego nie lubił, i podobnie — kochał lud w przeciwieństwie do tej warstwy ludzi, której nie lubił; miał chłopów za jakieś

przeciwieństwo do ludzi w ogóle. W jego metodycznym umyśle wyraźnie zarysowały się określone formy ludowego bytu, po części wywodzące się istotnie wprost z życia chłopów, lecz przede wszystkim wynikające z owej metody przeciwstawiania. Nigdy też nie zmieniał ani swoich poglądów na lud, ani swej dla ludu sympatii.

Kiedy pomiędzy braćmi zachodziły różnice zdań na ten temat, Sergiusz Iwanowicz zawsze bywał zwycięzcą, dlatego właśnie, że posiadał określone pojęcie o chłopstwie, o jego' charakterze, gustach i właściwościach. Konstancy nie miał na to żadnych ustalonych i niezmiennych poglądów, toteż w tych sporach brat potrafił mu zawsze dowieść, że wikła się w sprzecznościach.

Sergiusz Iwanowicz widział w młodszym bracie zacnego chłopca, z sercem na właściwym miejscu (jak mawiał po francusku), którego umysł jednak, chociaż dość bystry, łatwo ulegał przelotnym wrażeniom i dlatego pełen był przeciwieństw. Z pobłażliwością, jaka przystoi starszemu, objaśniał niekiedy bratu właściwe znaczenie rzeczy, dyskutował z nim jednak bez przyjemności, zbyt łatwo bowiem go pokonywał.

Konstancy Lewin uważał Koznyszewa za człowieka o niezwykłym rozumie i wykształceniu, szlachetnego w najwyższym znaczeniu tego słowa, uzdolnionego do działalności dla dobra ogółu. W głębi duszy wszakże, im był starszy i im bliżej poznawał Sergiusza, tym częściej zaczynało mu przychodzić do głowy, że ten talent do działania dla dobra ogółu, którego on sam czuł się . zupełnie pozbawiony, to nie była bynajmniej zaleta, lecz przeciwnie — jakiś brak. Nie brak dobrych, uczciwych, szlachetnych chęci i upodobań, lecz brak siły życiowej, tego, co się nazywa temperamentem, owego popędu, który skłania człowieka do wybrania spośród niezliczonych otwartych dlań dróg — jednej tylko, jedynie upragnionej. Im bliżej Konstancy poznawał brata, tym mocniej przekonywał się, że zarówno Sergiusz, jak i wielu innych działaczy, mających na celu dobro ogółu, nie doszli do owej miłości ogółu z popędu serca, lecz rozsądek im poddał, że należy się tym zająć, i dlatego to uczynili. W tym przypuszczeniu umocnił się Konstancy jeszcze bardziej, gdy spostrzegł, że brat bynajmniej nie bierze goręcej do serca dobra ogółu czy nieśmiertelności duszy niż np. partii szachów lub misternego urządzenia nowej maszyny.

Poza tym Konstancy czuł się nieswojo na wsi z bratem jeszcze i dlatego, że w majątku, zwłaszcza latem, był nieustannie zajęty w gospodarstwie i nie starczyło mu nigdy długiego letniego dnia, by wykonać wszystko, co należało. Tymczasem Sergiusz Iwanowicz odpoczywał, a chociaż nie pracował nad żadnym dziełem, tak się przyzwyczał do nieustannej aktywności umysłowej, że lubił wypowiadać w pięknej, zwięzłej formie myśli, które mu się nasuwały, i — lubił mieć słuchaczy. Oczywiście, że tym słuchaczem bywał zazwyczaj młodszemu brat. Dlatego, mimo że stosunki ich były z przyjacielska proste, Konstancy czuł się skrępowany, gdy musiał zostawiać brata samego. Sergiusz lubił położyć się w trawie na słońcu i tak leżąc wygrzewać się i leniwie gawędzić.

— Nie uwierzysz — mawiał do brata — jaką rozkoszą jest dla mnie to rozleniwienie. W głowie mam pustkę, ani jednej myśli...

Konstanty Lewin wszakże nudził się siedząc i słuchając Sergiusza Iwanowicza, a nudził się zwłaszcza dlatego, że widział w wyobraźni, jak tam bez niego wożą nawóz na nie dość spulchnione pole i rozrzucają go Bóg wie jak, skoro nikt nie pilnuje. Dobrze wiedział, że nie przykręcą lemieszki w pługach, jak należy i pozdejmują je, a potem powie się, że takie pługi to kiepski wynalazek i że daleko lepsza jest Socha Andriejewna itp.

— Dajże pokój, nie łaż tak w sam upał — perswadował Sergiusz.

— Ależ nie, ja tak tylko, na minutkę, wpadnę do kancelarii — tłumaczyła się Lewin i uciekał w pole.

Zdarzyło się w pierwszych dniach czerwca, że Agafia Michajłowna, niania i gospodyni w jednej osobie, niosąc do piwnicy słoiczek ze świeżo posolonymi własnoręcznie grzybkami, pośliznęła się, upadła, i zwichnęła rękę w przegubie. Przyjechał wezwany natychmiast młody gadatliwy, świeżo upieczony doktor — lekarz ziemstwa — i obejrzał rękę. Orzekłszy, że nie jest zwichnięta, położył kompres i został na obiedzie. W czasie obiadu w sposób widoczny napawał się rozkoszą rozmowy ze sławnym Siergiejem Iwanowiczem Koznyszewem i chcąc wykazać swój światły pogląd na rzeczy opowiadał wszystkie plotki z powiatu, uskarżając się na niezadowolającą działalność ziemstwa. Koznyszew słuchał go uważnie, stawiał szereg pytań i — podniecony obecnością nowego słuchacza — rozgadał się wypowiadając kilka trafnych i ważkich uwag. Młody lekarz ocenił je okazując przy tym należyty szacunek, a wtedy Koznyszew wpadł w dobrze znany Konstantemu nastrój ożywienia, jaki go zwykle ogarniał przy błyskotliwej, interesującej rozmowie. Po wyjeździe doktora Sergiusz, Iwanowicz wyraził chęć pojechania z wędką nad rzekę. Lubił łowić ryby i jakby chlubił się tym, że potrafi lubić tak głupie zajęcia.

Konstanty, który musiał pojechać do orki i na łąki, ofiarował się podwieźć brata kabrioletem.

Była właśnie ta pora roku, przesilenie lata, kiedy urodzaj już jest przesądzony, kiedy rozpoczyna się troska o siewy na rok następny i sianokosy są bliskie, kiedy szarozielone, wykłószone już zupełnie żyto lekkim, jeszcze niepełnym kłosem faluje na wietrze; kiedy zielone owsy, z porozrzucanymi po nich kępami żółtej trawy, nierówno wschodzą z późnego siewu; kiedy wczesna hreczka już się wybija liściem, tak że ziemi nie widać; kiedy ubite na kamień przez bydło ugory już do połowy są zaorane, oprócz udeptanych na nich dróg, których socha brać nie chce; kiedy wywiezione, przyschłe z wierzchu kupy nawozu zioną o porannej zorzy zapachem pomieszanym z wonią miodowo kwitnących ziół, a po niżach stoją nieprzerwanym morzem, w oczekiwaniu kosy, pilnie ochraniające łąki, z czerniejącymi na nich stosami łodyg wypielonego szczawiu.

Był to czas, kiedy w robotach rolnych następuje krótka przerwa, zanim się zaczyną powtarzające się co rok i co rok wymagające wyteżenia wszystkich sił narodu — żniwa. Urodzaj był wspaniały. Trwały jasne, upalne letnie dni z krótkimi, obfitującymi w rosę nocami.

Aby dostać się na łąki, bracia musieli przejechać przez las. Koznyszew podziwiał nieustannie piękność zarosłego gęstwinią listowia lasu. Pokazywał bratu to ciemną od strony cienia, pstrą od żółtawych przysadek, lada chwila mającą zakwitnąć starą lipę, to szmaragdowo lśniąca tegoroczne pędy innych drzew. Konstanty Lewin nie lubił ani mówić, ani słuchać o pielenie przyrody. Słowa dla niego zdzierały piękno z rzeczy, które oglądał. Potakiwał bratu myśląc o czym innym. Skoro tylko las pozostał za nimi, całą jego uwagę pochłonął widok odłogowego pola na wzgórku. Miejscami było ono żółte od trawy, gdzieniegdzie

zbite i pocięte w kratkę, tu i ówdzie zawałone kupami nawozu; wreszcie były i kawałki zaorane. Po polu sznurem jechały wozy. Lewin policzył je i z zadowoleniem stwierdził, że wywiozą tyle, ile trzeba. Na widok łąk myśli jego zatrzymały się na sianokosie. Sprzęt siana zawsze wywoływał w nim jakieś głębokie poruszenie. Dojechali i Konstanty zatrzymał konia.

U spodu gęstej trawy leżała jeszcze poranna rosa, toteż Sergiusz nie chcąc przemoczyć nóg poprosił brata, by go dowiózł łąką aż do owego krzaku rokity, gdzie tak dobrze brały okonie. Konstanty wjechał na łąkę, choć żał mu było gnieść wysoką trawę, która mięciutko owijała się dokoła nóg końskich i kół, pozostawiając na mokrych szprychach i piastach nasionka.

Koznyszew przygotował wędki i usiadł pod rokity, Konstanty odprowadził nieco konia, przywiązał go i wszedł, w nie poruszane w tej chwili przez wiatr, olbrzymie, szarozielone morze łąki. W miejscach, dokąd sięgał zalew, jedwabista, obciążona dojrzewającym nasieniem trawa sięgała mu do pasa.

Po przejściu łąki w poprzek Lewin wyszedł na drogę, gdzie spotkał chłopa o spuchniętym oku, niosącego rojownicę z pszczołami.

— A co, złapałeś rój, Fomicz? — zapytał.

— Bogać tam złapałem, Konstanty Mitrycz! Żebym tylko swoich dopilnować! Już po raz drugi mi uciekł... Chwała Bogu, że chłopcy konno go dogнали. U pana dziedzica orzą właśnie. Odprzęgli konia i dogonili rój.

— No, co powiesz, Fomicz: zaczynać kosić czy jeszcze poczekać?

— Ano, po naszymu lepiej czekać do Piotra i Pawła. Ale pan dziedzic zawsze wcześniej kosi... Cóż, dzięki Bogu, trawa rośnie dobra. Bydło będzie miało pod dostatkiem.

— A jak tam z pogodą? Jak ci się zdaje?

— Jak Bóg da. Może i będzie pogoda.

Lewin wrócił do brata. Ten nic nie złapał, ale nie nudził się i zdawał się być w jak najlepszym humorze. Konstanty widział, że Sergiusz, rozochocony rozmową z doktorem, miał chęć pogadać; on zaś sam pragnął jak najprędzej wrócić do domu, by zarządzić wezwanie nazajutrz kosiarzy i raz wreszcie rozstrzygnąć własną niepewność co do sianokosu, która go mocno zaprzętała.

— No cóż? Pojedziemy? — zapytał.

— Dokąd się, tak śpieszysz? Zostańmy trochę. Jak ty sobie przemoczyłeś nogi! Chociaż nic nie złowiłem, ale jest tak przyjemnie! Każde polowanie ma tę dobrą stronę, że obcuje się z przyrodą. Ta stalowa woda — jakież to prześliczne! — mówił Sergiusz Iwanowicz. usz ly Te nadbrzeżne łąki zawsze mi przypominają, wiesz, tę zagadką: trawa powiada wodzie: „Pokołyszmy się, pokołyszmy...”

— Nie znam tej zagadki — odparł Lewin ponuro.

Wiesz co — powiedział Sergiusz Iwanowicz — właśnie myślałem o tobie. Sądząc z tego, co mi naopowiadał ten doktorek, to, co się u was w powiecie dzieje, nie ma najmniejszego sensu. Zresztą to całkiem niegłupi chłopak... Mówiłem ci już i jeszcze raz powtarzam: źle robisz, że nie jeździsz na zebrania i żeś się w ogóle od prac ziemstwa usunął. Jeśli porządni ludzie będą się uchylali, oczywiście wszystko pójdzie na opak. My dajemy pieniądze, a te pieniądze idą na urzędników. Tymczasem nie ma szkół, nie ma felczerów, nie ma akuszerki ani aptek, ani w ogóle nic.

— Przecież ja próbowałem — cicho i niechętnie odparł Lewin. — Nie mogę! Cóż ja na to poradzę!

— Czego mianowicie nie możesz? Wyznaję, że tego nie rozumiem. Nie posądzam cię ani o nieumiejętność, ani o obojętność; czyżby to było po prostu lenistwo?

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Próbowałem, ale widzę, że nic nie mogę zrobić — rzekł Lewin.

Nie zagłębiał się zbyt w to, co brat mówił. Na pastwisku za rzeką majaczyło coś czarnego: nie mógł rozróżnić, czy to koń bez jeźdźca, czy rządca na koniu.

— Czemuż to nie możesz nic zrobić? Próbowałeś, sądzisz, że ci się nie udało, i tak się zaraz poddajesz? Czy nie masz żadnej ambicji?

— Ambicji w ogóle nie uznaję — zawołał Lewin, mocno dotknięty słowami brata. — Gdyby mi powiedziano za lat" studenckich, że inni rozumieją rachunek całkowity, a ja nie, to wtedy mogłaby w grę wchodzić ambicja. Ale tutaj należałoby najpierw mieć przekonanie, że do tych spraw potrzebne są w ogóle jakieś specjalne zdolności, a przede wszystkim — wierzyć, że sprawy te są aż tak ważne.

— Jak to, czyżby wcale nie były ważne?! — oburzył się Sergiusz Iwanowicz, wielce urażony tym, że brat uważał za mało ważne coś, co jego, Koznyszewa, zajmowało, a zwłaszcza tym, że Konstanty najwidoczniej prawie go nie słuchał.

— Dla mnie nie są ważne, nie pociągają mnie. Cóż chcesz! — odrzekł Lewin, który wreszcie rozpoznał, że to, co spostrzegł, to — rządca, który zapewne zabierał ludzi od orki. Odwracali właśnie sochy. „Czyżby już skończyli?” — pomyślał.

— Ale posłuchaj — ze zmarszczonymi brwiami mówił starszy brat. Twarz miał rozumną i piękną... — wszystko ma swoje granice. Bardzo to ładnie być dziwakiem i szczerym, nie lubiącym zakłamania człowiekiem, wiem o tym dobrze. A jednak to, co powiedziałaś, albo nie ma wcale sensu, albo świadczy bardzo źle o tobie. Jak to, uważasz za rzecz mało ważną, że ten lud, który ty — jak sam zapewniasz — przecie kochasz...

„Nigdy tego nie twierdziłem” — pomyślał Lewin.

— ...wymiera na skutek braku pomocy?! Nieokrzese „babki” położne uśmiercają dzieci, chłopstwo kostnieje w ciemnocie i każdy pisarczyk rządzi nim,

jak chce, a ty masz w ręku środki, by temu wszystkiemu zaradzić, i nie czynisz tego, bo według ciebie to nie jest ważne?!

I Sergiusz postawił go przed dylematem: albo jest tak niedorozwinięty, że nie jest w stanie dostrzec wszystkiego, co potrafiłby działać, albo po prostu nie chce wyrzec się swego spokoju, swych ambicji i Bóg wie jeszcze czego..

Konstanty czuł, że pozostaje mu tylko ulec albo wyznać, że brak mu umiłowania spraw ogółu. Uraziło go to i sprawiło mu przykrość.

— I jedno, i drugie — rzekł stanowczo. — Nie widzę, aby można było...

— Jak to, nie można odpowiednio rozłożyć wydatków i zorganizować pomocy lekarskiej?

— Mnie się zdaje, że nie można... Nasz powiat ma cztery tysiące wiorst kwadratowych. Przy naszym nagromadzeniu podśnieżnych z astoin, naszych zamieciach, przy naszym rozkładzie prac w polu nie widzę sposobu, by dotrzeć wszędzie z pomocą lekarską. Zresztą ja w ogóle nie wierzę w medycynę.

— Ależ pozwól... To bardzo niesprawiedliwe... Przytoczę ci tysiące przykładów... No, a szkoły?

— Po co te szkoły?

— Co ty gadasz? Czyż mogą istnieć wątpliwości co do pożytku oświaty? Jeśli dla ciebie jest dobra, to równie dobra dla każdego!

Konstanty czuł się moralnie przyparty do muru, uniósł się przeto i niechcący wypowiedział główną przyczynę swojej obojętności dla spraw społecznych.

— Możliwe, że to wszystko jest bardzo dobre. Po cóż jednak mam się troszczyć o zorganizowanie punktów porad lekarskich, z których nigdy nie będę korzystał, i szkół, do których ani ja sam moich dzieci nie będę posyłał, ani chłopci swoich posyłać nie chcą? Nie jestem nawet całkiem przekonany, że je tam posyłać należy.

Sergiusza zdziwił w pierwszej chwili ten nieoczekiwany pogląd na sprawę, lecz natychmiast ułożył nowy plan ataku.

Nic nie mówiąc wyjął jedną z wędek, przerzucił ją gdzie indziej i zwrócił się z uśmiechem do brata:

— Ależ pozwól... Po pierwsze, już dziś punkt lekarski się przydał: posyłałiśmy przecież po lekarza z ziemstwa dla Agafii Michajłowny.

— Wiesz, ja myślę, że jej ręka już się nie wyprostuje...

— To jeszcze pytanie... Poza tym, robotnik, umiejący czytać i pisać tobie samemu więcej się przyda i bardziej go będziesz cenił.

— Co to, to nie — odparł stanowczo Konstanty. — Robotnik umiejący czytać i pisać jest jako pracownik daleko gorszy. A jeśli chodzi o drogi, to naprawić ich nie można, bo gdy tylko porobi się mosty, to natychmiast je porozkradają.

— Zresztą — rzekł chmurnie Sergiusz, nie lubiący sprzeciwów, a zwłaszcza kontrargumentów, które nieustannie zmieniały temat i wprowadzały wciąż nowe, nieprzewidziane wywody, tak że nie wiadomo było, na co właściwie odpowiadać — zresztą, nie o to chodzi. Pozwól więc... Czy zgadzasz się, że oświata jest dla ludu

dobrodziejstwem?

— Zgadza się — potwierdził niespodzianie Konstanty i natychmiast spostrzegł się, że powiedział nie to, co myśli. Czuł już, że skoro się raz zgodził, to teraz dowiodą mu, że wszystko, co mówił, to głupstwa nie mające żadnego sensu. Jak mu to Sergiusz udowodni, nie wiedział, lecz był przekonany, że nastąpi to zgodnie "z logiką, i czekał tylko na poparte dowodami wyłuszczenie. Proces ów wypadł daleko prościej, niż przewidywał.

— Jeśli uznajesz oświatę ludu za rzecz dobrą — rzekł Sergiusz — to, jako człowiek uczciwy, musisz mieć sympatię i serce dla tej sprawy i nie możesz odmówić swej współpracy.

— Ależ ja dotąd wcale nie uznałem tej sprawy za dobrą — wtrącił czerwieniąc się Konstanty.

— Jak to? Przecież przed chwilą sam powiedziałeś...

— To znaczy — nie uważam jej ani za dobrą, ani za możliwą.

— Skądże możesz o tym wiedzieć, skoroś nie uczynił w tym kierunku żadnego wysiłku.

— No więc, przypuśćmy — powiedział Lewin, chociaż w istocie nic podobnego nie przypuszczał — przypuśćmy, że tak jest, jak ty powiadasz. Nie wiem jednak, dlaczego bym ja miał się o to troszczyć.

— Jak to rozumiesz?

— Bo skorośmy się już o tym rozgadali, to wytłumaczże mi rzecz całą z filozoficznego punktu widzenia.

— Nie pojmuję, co tu ma filozofia do roboty — odparł Sergiusz Iwanowicz, jak się Konstantemu zdawało, takim tonem, jakby nie uznawał prawa młodszego brata do filozoficznych dyskusji. To go rozgniewało.

— Co ma do roboty? — wykrzyknął ożywiając się. — Sądzę, że podniętą we wszystkich naszych działaniach jest bądź co bądź szczęście osobiste. Tymczasem w instytucjach ziemstwa ja, jako szlachcic, nie widzę obecnie nic takiego, co mogłoby się przyczynić do mojej pomyślności. Drogi nie stały się lepsze, bo to jest niemożliwe do przeprowadzenia, ale moje konie wożą mnie i po tych złych drogach. Doktor i punkty pomocy lekarskiej są mi niepotrzebne, sędzia pokoju również. Nigdy się do niego nie zwracałem i zwracać nie zamierzam. Szkoły nie tylko nie są mi potrzebne, ale raczej, jak ci już wyjaśniłem — szkodliwe.

Dla mnie instytucje ziemstwa — to po prostu obowiązek płacenia osiemnastu kopiejek z dziesięciny, jazdy do miasteczka, noclegi z pluskwami. Muszę tam wysłuchiwać rozmaitych głupstw i paskudztw, a nie skłania mnie do tego żaden osobisty interes.

— Pozwól — przerwał z uśmiechem Sergiusz Iwanowicz — żaden osobisty interes nie służył nam jako bodziec, kiedyśmy walczyli o zniesienie pańszczyzny, a jednak byliśmy jego gorliwymi zwolennikami.

— Ależ nie — gorączkował się coraz bardziej Lewin — zniesienie pańszczyzny to

była całkiem inna sprawa. Mieliśmy w tym interes osobisty. Chcieliśmy zrzucić to jarzmo, -które dusiło nie tylko chłopów, ale i nas wszystkich, przyzwoitych ludzi... Tymczasem być powiatowym delegatem ziemstwa, dyskutować o tym, ilu potrzeba czyścicieli ustępów i jak przeprowadzić kanalizację w mieście, w którym nie mieszkam, być jednym z przysięgłych, sądzić chłopą, który ukradł szynkę, i przez sześć godzin wysłuchiwać rozmaitych głupstw, jakie plotą prokuratorzy i obrońcy... Słuchać, jak przewodniczący sądu pyta mojego durnego Aloszkę: „Panie podsądny, czy przyznaje się pan do faktu przywłaszczenia sobie szynki?” — „Niby jak?”

Konstanty już odbiegł od tematu, począł naśladować dialog przewodniczącego z durnym Aloszką i zdawało mu się, że to. wszystko należy do rzeczy. Ale Sergiusz Iwanowicz wzruszył ramionami.

— Czego chcesz przez to dowieść?

— Tego, że praw, które dotyczą mnie, moich interesów, będę bronił, ile tylko sił starczy. Kiedy u nas, studentów, zrobiono rewizję i żandarmi czytali nasze listy, byłem gotów za wszelką cenę bronić praw kultury i wolności, moich praw. Rozumiem powinność wojskową, od której zależy los moich dzieci, 'moich współbraci i mój własny. Jestem zawsze gotów dyskutować nad tym, co mnie dotyczy: ale omawiać czterdziestotysięczny budżet ziemstwa albo sądzić durnego Aloszkę — nie, tego nie potrafię, na tym się nie znam.

Konstanty mówił, jakby tama się przerwała. Sergiusz uśmiechnął się:

— A jeśli jutro będziesz musiał stawić się do sądu, czy wolałbyś, żeby to był dawny sąd karny?

— Nigdy nie będę się włączył po sądach. Nigdy nikogo nie zarżnę — po co mi sądy! Ach, wiesz — ciągnął dalej, znów odbiegając od tematu do sprawy z nim nie związanej — te nasze instytucje ziemstwa i to wszystko przypomina brzoźki, któreśmy wtykali, jak na Zielone Świątki, by naśladować las, który w Europie sam wyrasta. Czy mam wkładać zapał w podlewanie tych brzoźek? Mam w nie wierzyć?

Sergiusz Iwanowicz wzruszył tylko ramionami wyrażając w ten sposób zdumienie, skąd w ich dyskusji znalazły się brzoźki, mimo że zrozumiał od razu, co Konstanty chciał przez to powiedzieć.

— Ależ pozwól, tak nie można rozumować — zauważył. Lecz Konstanty miał teraz ochotę usprawiedliwić się z wady, do której się poczuwał, tj. z obojętności dla dobra ogólnego, ciągnął więc dalej:

— Zdaje mi się, że żadna działalność nie może być trwała, jeśli nie jest oparta na interesie osobistym. Jest to prawda ogólna, filozoficzna — wygłosił energicznie, jakby chcąc podkreślić, że na. równi ze wszystkimi i on także ma prawo powoływać się na filozofię.

Sergiusz Iwanowicz uśmiechnął się znowu. „I ten także ma jakąś filozofię na usługach własnych upodobań” — pomyślał.

— Lepiej już daj spokój filozofii — rzekł. — Przecież od wieków głównym zadaniem filozofii jest właśnie wynalezienie związku istniejącego pomiędzy dobrem ogółu a dobrem jednostki. Ale to jest właściwie nie na temat; bardziej do rzeczy

będzie, gdy poprawię twoje porównanie. Brzoźki, o które mnie chodzi, nie są bynajmniej powtykane, lecz jedne z nich są posadzone, inne dopiero posiane. Trzeba obchodzić się z nimi delikatniej. Tylko te narody mają przed sobą przyszłość i mogą rościć sobie prawo do miana narodów historycznych, które posiadają instynkt podpowiadający im, co w ich instytucjach jest ważne i istotne, i które o te instytucje dbają.

Tu Koznyszew przeniósł dyskusję w dziedzinę historyczno-filozoficzną, niedostępną dla Konstantego, i na tym terenie dowiódł mu zupełnej niesłuszności jego poglądu.

— Jeśli chodzi o to, że ci się te rzeczy nie podobają — wybacz — ale to już jest nasze rosyjskie leniwość i jaśnie-państwo. Pewien jestem, że u ciebie to tylko chwilowa omyłka i że to minie.

Lewin milczał. Czuł, że poniósł porażkę na całej linii, ale czuł przy tym, że to, co usiłował wyrazić, nie zostało zrozumiane. Nie wiedział tylko, dlaczego tak się stało: czy dlatego, że nie umiał wypowiedzieć jasno tego, co myślał, czy też dlatego, że brat nie chciał lub też nie mógł go zrozumieć. Nie zagłębiał się jednak w te myśli i nie replikując bratu począł medytować nad czymś innym, całkiem osobistym.

Sergiusz tymczasem zwinął ostatnią wędkę, odwiązał konia i pojechali.

IV

Sprawa ściśle osobista, która pochłaniała Lewina w czasie rozmowy z bratem, była następująca: poprzedniego roku pojechał kiedyś na siano-kos i pokłóciwszy się z rządcą użył swego zwykłego środka na uspokojenie: wziął od chłopów kosę i począł kosić.

Kośba tak mu się spodobała, że brał się do niej potem kilka razy. Wykosił cały trawnik przed domem; a w tym roku ułożył sobie plan, że będzie kosił cały czas razem z chłopami. Od chwili przyjazdu brata wahał się — kosić czy nie? Robił sobie skrupuły, że musiałby zostawiać brata samego całymi dniami, a poza tym obawiał się, by Sergiusz nie śmiał się z niego. Kiedy jednak przeszedł się po łące i przypomniał sobie wrażenia z kośby, już prawie postanowił, że pójdzie kosić. Po drażniącej rozmowie z bratem zamiar ów przyszedł mu znowu na myśl.

„Potrzeba mi ruchu, inaczej charakter na nic mi się zepsuje” — pomyślał i postanowił iść na kośbę, choćby to miało wypaść niezręcznie i wobec brata, i wobec chłopów.

Wieczorem Lewin poszedł do kancelarii, wydał dyspozycję co do robót i wysłał umyślnych po wsiach, by sprowadzić na dzień następny kosiarzy na Kalinową łąkę, największą i najlepszą w majątku.

— Proszę też moją kosę posłać Titowi, żeby ją wyklepał i jutro przyniósł. Być może, że ja sam także pójdę kosić — powiedział usiłując pokryć zmieszanie.

Rządca uśmiechnął się i odrzekł:

— Słucham.

Wieczorem przy herbacie Konstanty rzekł do brata:

— Tak wygląda, że pogoda się ustaliła. Jutro zaczynam sianokos.

— Bardzo lubię kosić — zauważył Sergiusz.

— Ja za tym przepadam. Kiedyś już kosiłem razem z kosiarzami i jutro mam zamiar kosić przez cały dzień.

Sergiusz Iwanowicz podniósł głowę i z zaciekawieniem spojrzał na brata.

— Jak to? Razem z kosiarzami? Przez cały dzień?

— Tak. To bardzo przyjemne — rzekł Konstanty.

— To doskonały, zdrowy ruch, ale chyba nie wytrzymasz — zauważył bez wszelkiej ironii Sergiusz Iwanowicz.

— Już próbowałem. Z początku jest bardzo ciężko, ale . potem człowiek się wciąga. Myślę, że nie zostanę w tyle...

— No, no! A jak chłopcy na to 'patrzą? Czy nie podkpiwają, że dziedzic dziwaczy?

— Nie, nie sądzę. Zresztą to taka wesoła, a zarazem trudna praca, że nie ma czasu na rozmyślanie.

— Ale jakże ty będziesz z nimi jadł obiad? Przecież nie sposób, żebyś kazał tam

sobie przysłać Château Laffitte i pieczoną indyczkę.

— Ależ nie. Przyjadę do domu w czasie ich wypoczynku w południe.

Następnego dnia Konstanty Lewin wstał wcześniej niż zwykle, lecz sprawy gospodarskie zatrzymały go nadspodziewanie długo, toteż gdy przyjechał na łąkę, kosiarze cięli już drugi rząd.

Jeszcze z górki widział w dole zacienioną, skoszoną już część łąki z szarym szeregiem kosiarzy i czarnymi pagóreczkami kaftanów pozrzuconych na początku pierwszego rzędu skoszonej trawy.

Im bliżej podjeżdżał, tym lepiej mógł rozróżnić kroczących jeden za drugim rozciągniętą linią chłopów, którzy machali kosami na rozmaity sposób. Jedni byli w kaftanach, inni w koszulach. Naliczył czterdziestu dwóch.

Posuwali się wolniutko po nierównej nizinie łąki, tam, gdzie była dawniej tama. Niektórych swoich Lewin rozpoznał. Machał tu kosą stary, przygarbiony Jermił w bardzo długiej białej koszuli. Był młody chłopak, Waśka, który służył dawniej u Lewina jako stangret; ten brał się z rozmachem do każdego rządka. Był i Tit, mentor Lewina w dziedzinie kośby, mały, chuderlawy chłopina; szedł teraz, trzymając się prościutko, na przedzie i siekł swój szeroki rząd, jakby się tylko bawił kosą.

Lewin zsiadł z konia i zostawiwszy go przy drodze zbliżył się do Tita, który wy dobył z zaskakująco drugą kosą.

— Jest gotowa, panie dziedzicu. Można się nią golić, a kosić będzie sama — rzekł Tit zdejmując z uśmiechem czapkę i podając Lewinowi kosę.

Lewin wziął ją i zaczął oglądać i próbować. Spoceni, weseli kosiarze po skończeniu swego rzędu jęli wychodzić na drogę i śmiejąc się witali dziedzica. Wszyscy nań spoglądali, lecz nikt nic nie mówił, aż stojący na drodze wysoki starzec bez zarostu, o pomarszczonej twarzy, ubrany w półkożuszek, zwrócił się do niego ze słowami:

— No, panie dziedzicu, skoroś się do tej roboty zabrał, uważajże, byś nie zostawał w tyle! — i Lewin posłyszał pomiędzy kosiarzami stłumiony śmiech.

— Postaram się nadażyć — odrzekł stając za Titem i czekając na rozpoczęcie kośby.

— Uważajże — powtórzył stary. Tit zrobił mu miejsce i Lewin poszedł za nim. Trawa była tutaj niska, przydrożna i Lewin, który dawno nie kosił i był zmieszany tyłoma skierowanymi na niego spojrzeniami, w pierwszej chwili kosił źle, chociaż mocno machał kosą. Za jego plecami rozległy się głosy:

— Źle osadzona. Rączka za wysoko. Patrzaj no, jak się musi pochylać — powiedział któryś.

— Napieraj no mocniej na piętke — rzekł drugi.

— Nic nie szkodzi, już dobrze, przyzwyczai się — dodał stary kosiarz. — Patrzcie no, już mu lepiej" idzie... Za szeroko bierzesz. Rychło się zmęczysz... Nie ma co mówić, gospodarz... Dla siebie się stara! Patrz, jaką brodę zostawiasz! Za tośmy

kiedyś brali w skórę.

Dalej trawa była już bardziej miękka, i Lewin, który wszystkiego wysłuchiwał, lecz nic nie odpowiadał, szedł za Titem starając się kosić możliwie najlepiej. Przeszli może ze sto kroków. Tit wciąż szedł naprzód, nie okazując najmniejszego zmęczenia, podczas gdy Lewin zaczął odczuwać strach, że nie wytrzyma, tak był znużony.

Czuł już, że kosi resztką sił, i właśnie chciał prosić Tita, by się zatrzymał, gdy ten sam przystanął, pochylił się, wziął garść trawy, otarł kosę i począł ją ostrzyć. Lewin wyprostował się i obejrzał na idącego tuż za nim kosiarza, który najwidoczniej również zmęczony, nie doganiając go także przystanął i jął ostrzyć kosę. Tit naostrzył obie kosy — swoją własną i Lewina, po czym ruszyli dalej.

Następnym razem powtórzyło się to samo. Tit szedł — rozmach za rozmachem, nie zatrzymując się i bez zmęczenia. Lewin podążał za nim, starając się nie pozostawać w tyle, co mu przychodziło coraz trudniej: Następową chwilą, gdy czuł, że nie ma już więcej sił, wtedy Tit zatrzymywał się i ostrzył kosy.

W ten sposób przeszli cały pierwszy rząd i ten długi rząd wydał się Lawinowi specjalnie trudny. Ale za to, gdy doszli do końca i Tit, wzięwszy kosę na ramię, począł wolna kroczyć z powrotem śladami pozostawionymi przez jego własne obcasy, a Lewin naśladowując go poszedł wzdłuż swojego pokosu — było mu nad wyraz dobrze, choć pot lał mu się strugami po twarzy i kapał z nosa, a plecy miał tak mokre, jakby wyszedł z wody. Cieszyła go zwłaszcza pewność, że wytrzyma. Jedno tylko zatruwało tę radość: rząd jego nie był prawidłowy. „Będę mniej machał ręką, a więcej pracowałem tułowiem” — pomyślał porównując rząd Tita, wyciągnięty jak pod sznurek, ze swoim, rozrzuconym i nierównym.

Tit, jak to zauważył Lewin, przeszedł ten pierwszy rząd ze specjalnym pośpiechem, chcąc zapewne wystawić dziedzica na próbę, a poza tym był to w ogóle rząd wyjątkowo długi. Następne poszły już łatwiej. Mimo to Lewin musiał wytężać wszystkie siły, by nadążyć za chłopami.

O niczym nie myślał, niczego nie chciał, prócz tych dwóch rzeczy: nie pozostać w tyle za nimi i wykazać się jak najlepszą pracą. Słyszał jedynie szcęk kos i widział poprzedzającą go wyprostowaną postać Tita, która się nieustannie oddalała. Widział wygięte półkole pokosu, powoli i faliście kłaniające się trawy i główki kwiatów tuż koło ostrza swej kosy, a przed sobą koniec rzędu, gdzie nastąpi wypoczynek. -

Nie rozumiejąc, skąd się to wzięło, poczuł nagle wśród roboty miłe wrażenie chłodu na rozgrzanych i spoconych ramionach. W czasie wecowania kos popatrzył na niebo: nadciągnęła niska, ciężka chmura i padał rześisty deszcz. Jedni z kosiarzy poszli po kaftany i powkładali je; inni, podobnie jak Lewin, poruszali z rozkoszą ramionami pod przyjemną ochłodą.

Przeszli jeszcze i jeszcze jeden rząd. Trafiały się im rzędy długie i krótkie, z trawą dobrą i lichą. Lewin stracił zupełnie poczucie czasu i naprawdę nie wiedział, czy jest jeszcze wcześnie, czy już późno. W pracy jego poczęła zachodzić zmiana, która sprawiała mu ogromną przyjemność. Zdarzały się raz po raz pośród roboty

chwile, kiedy zupełnie zapominał o tym, co robi, i odczuwał niezwykłą lekkość. W owych chwilach rząd jego stawał się tak równy i prawidłowy jak rząd Tita. Lecz zaledwie przypominało mu się, co właściwie robi, i poczynął się starać, by kosić lepiej, natychmiast odczuwał cały ciężar pracy i pokos wychodził kiepski.

Po przejściu jeszcze jednego rzędu chciał znów nawrócić, gdy Tit zatrzymał się i zbliżywszy się do starca coś mu szepnął. Obaj popatrzyli na słońce. „O czym oni gadają i czemu Tit nie zaczyna nowego rzędu?” — pomyślał Lewin. Nie zgadł, że chłopci kosili już bez przerwy cztery godziny i że nadeszła pora na śniadanie.

— Czas na śniadanie, panie dziedzicu — powiedział stary.

— Doprawdy? A więc śniadajmy.

Lewin oddał kosę Titowi i wraz z chłopami, którzy ruszyli po chleb do złożonych nie opodal kaftanów, poszedł poprzez długie rzędy skoszonego obszaru, z lekka skropione deszczem, do swego konia. Teraz dopiero doszło do jego świadomości, że źle przewidział pogodę i że deszcz zmoczy siano.

— Siano się popsuje — powiedział.

— To nic, panie dziedzicu — pocieszył go stary — w deszcz koś, a w pogodę zagrabiaj!

Lewin odwiązał konia i pojechał do dworu na kawę.

Sergiusz właśnie wstał z łóżka; Lewin wypił kawę i znów wrócił do sianokosu, zanim brat zdążył ubrać się i przejść do jadalni.

Po śniadaniu Lewin trafił do rzędu kosiarzy już nie na dawne miejsce, lecz na nowe — pomiędzy starym żartownisiem, co go na sąsiada zaprosił, a młodym chłopem, który ożenił się dopiero na jesieni i pierwszy raz wyszedł na kośbę.

Najpierw kroczył stary, wyprostowany, równo i szeroko stawiając nogi do zewnątrz i — dokładnym, równym ruchem, który, jak się zdawało, nie kosztował go więcej fatygi niż machanie rękami w marszu — odrzucał na bok, jakby dla igraszki, jednostajny, wysoki pokos. Jakby sama tylko ostra kosa, bez jego udziału, ciachała po soczystej trawie. Za Lewinem szedł młody Miszka. Włosy miał opasane powrośłem ze świeżej trawy. Sympatyczna, młodzieńcza jego twarz ściągała się konwulsyjnie z wysiłku. Lecz wystarczyło nań spojrzeć, a już się uśmiechał. Widać było, że wolałby raczej umrzeć niż wyznać, że mu ciężko.

Lewin szedł między tymi dwoma. Kiedy nastał największy upał dnia, kośba nie wydawała mu się już tak trudna. Oblewający go pot chłodził, a słońce, które paliło grzbiet, głowę i zakasana po łokieć rękę, dodawało robocie tężyzny i uporcu. Coraz częściej a częściej jęły nań nachodzić owe minuty bezwiedności, kiedy nie, myślał o tym, co robił. Kosa cięła sama. Były to chwile szczęścia. A jeszcze szczęśliwsze były chwile, gdy podchodząc do rzeki, gdzie teraz kończyły się rzędy pokosów, stary ocierał kosę mokrą, gęstą trawą, płukał ją w chłodnej, rzecznej wodzie i zaczerpnąwszy wody puszką od osetki, częstował Lewina.

— A może mojego kwasku! Dobry? Co! — pytał mrugając porozumiewawczo.

I rzeczywiście, Lewin nigdy nie pijał tak pysznego napitku, jak ta ciepła woda z pływającą po niej rzęsą, o rdzawym od puszki smaku. Natychmiast po tym następowała rozkoszna, powolna przechadzka. Ręka przytrzymywała na ramieniu kosę. Można było otrzeć spływający ciurkiem pot, odetchnąć pełną piersią i oglądać cały rozciągnięty szyk kosiarzy, a także wszystko, co się działo dokoła, w lesie i na polach.

Im dłużej Lewin kosił, tym częściej nachodziły nań chwile zapamiętania, w czasie których już nie ręce machały kosą, lecz sama kosa pociągała za sobą całe świadome siebie, pełne żywotności ciało koszącego. Jakby czarodziejskim sposobem — dokładna, poprawna robota robiła się sama przez się, chociaż nikt o niej nie myślał. To były te minuty najbardziej błogie.

Wysiłek zaczynał się dopiero wówczas, kiedy trzeba było przerywać ów nieświadomy już ruch i zacząć myśleć; na przykład, gdy należało ominąć kępkę lub nie wypielony krzaczasty szczaw. Stary czynił to bez wysiłku. Natrafiając na kępkę zmieniał leciutko ruch i — tu piętka, ówdzie końcem kosy — podcinał kępkę z obu stron króciutkimi uderzeniami. Tak czyniąc, ciągle się wszystkiemu przyglądał i obserwował wszystko, co się przed nim odsłaniało. To zrywał kogutka i zjadał go sam lub częstował Lewina, to odrzucał końcem kosy gałązkę, to oglądał gniazdko przepiórki, z którego — tuż spod ostrza — wylatywała . samiczka, to wreszcie chwycił napotkaną żmiję i podnosząc ją na kosie jak na widelcu, pokazywał

Lewinowi, po czym odrzucał na bok.

I dla Lewina, i dla młodego chłopca, który szedł za nim, te wszystkie zmiany ruchu były niełatwe. Obaj, skoro już raz chwycili rytm cięcia, zapamiętywali się i nie potrafili jednocześnie zmieniać ruchu i obserwować otoczenia.

Lewin nie spostrzegł, jak czas przemijał. Gdyby go ktoś spytał, od jak dawna kosi, powiedziała by, że od pół godziny, tymczasem już południe było blisko. W pewnej chwili, rozpoczynając nowy rząd, stary zwrócił mu uwagę na dziewczynki i chłopców, podążających ku kosiarzom ze wszystkich stron. Dzieci, ledwo widoczne w wysokiej trawie i na drogach, niosły, pochylając się na bok od wysiłku, zawiniątka z chlebem i pozatykane gałganami dzbanki z kwasem.

— Spójrzcie no, już pełzną nasze żuczki! — zawołał stary wskazując dzieci i przysłaniając ręką oczy popatrzył na słońce.

Skosili jeszcze dwa rzędy. Stary zatrzymał się.

— No, panie dziedzicu, obiad! — zawołał stanowczo. Teraz, po dojściu do rzeki, kosiarze podążyli poprzez pokosy do swoich ubrań, do miejsca, gdzie już posiadały dzieci, które przyniosły posiłek. Chłopi skupili się — jedni pod wozami, inni pod zaroślami rokity, na które ponarzu-cali trawy.

Lewin przyłączył się do nich; nie miał ochoty jechać do domu. Obecność dziedzica już dawno przestała krępować chłopów. Zabierali się do posiłku. Jedni się myli, młodszy kąpali się w rzece, inni ładzili sobie legowisko do spania lub rozwiązywali tobołki z chlebem i odwijali dzbanki z kwasem.

Stary nakruszył chleba do miski, roztał go trzonkiem łyżki, nalał z blaszanki wody, jeszcze dodatkowo nakrajał chleba i posoliwszy począł się modlić obrócony ku wschodowi.

— Ano, może mojej wodzianki, panie dziedzicu? — zaproponował klękając przed miską.

Wodzianka była tak wyśmienita, że Lewinowi odechciało się jechać na obiad do domu. Zjadł razem ze starym i rozgadał się z nim o jego domowych sprawach, które go zainteresowały w najwyższym stopniu, po czym opowiedział starym o tych swoich sprawach, które mogły tamtego zająć. Stary był mu właściwie bliższy niż brat, poczuł dla niego prawdziwą czułość, która mimo woli przejawiała się w uśmiechu. Gdy stary wstał, znów się pomodlił i legł tuż na miejscu pod krzakiem, podłóżwszy sobie trawy pod głowę, Lewin zrobił to samo i mimo natrętnych, upartych . much i żuczków, łaskoczących mu spoconą twarz i ciało, natychmiast zasnął. Obudził się dopiero, kiedy słońce przeszło na drugą stronę krzaku i zaczęło go dosięgać. Stary dawno już się był obudził. Siedział klepiąc kosy młodych kosiarzy.

Lewin obejrzał się wokół i nie poznał miejsca, na którym usnął, tak się wszystko zmieniło. Olbrzymia przestrzeń łąki była skoszona i lśniła jakimś osobliwym, nowym blaskiem w popołudniowych ukośnych promieniach słońca padających na pachnące pokosy. Wszystko było jakby zupełnie nowe: i krzaki nad rzeką, ze ściętą dokoła trawą i sama rzeka, której przedtem nie było widać, a która teraz na

zakrętach przebłyskiwała stalowo, i ruchliwy, wstający ze snu ludek, i prostopadły mur trawy tam, gdzie koszenie łąki nie było jeszcze skończone, i jastrzębie zataczające kręgi nad skoszoną łąką. Ocknąwszy się całkiem, Lewin jął obliczać, ile też dotychczas skoszono, a ile by jeszcze skosić można do końca dnia.

Jak na czterdziestu dwóch ludzi, wykonano olbrzymią robotę. Cała wielka łąka, którą za pańszczyzny trzydziestu zwykło było kosić w ciągu dwóch dni, była już ścięta; nie skoszone pozostawały jedynie kąty łąki z króciutkimi rządками. Lewin wszakże miał ochotę skosić jak najwięcej jeszcze tego samego dnia i gniewało go słońce, które tak szybko się zniżało. Nie czuł wcale zmęczenia, pragnął tylko jeszcze i jeszcze, i prędko, jak najprędzej odwalić jak najwięcej roboty.

— No co, czy udałoby się jeszcze skosić Maszkiną Górkę, jak sądzisz? — zapytał starego.

— Jak Bóg da. Słońce już nisko. Chyba jeśliby chłopcom dać wódki.

Podczas podwieczorku, gdy kosiarze znowu posiadali, a pałacy zakurzyli papierosy, stary oznajmił, że jeśli skoszą Maszkiną Górkę, dostaną wódki.

— Czemu byśmy nie mieli skosić?! No, Tit, zaczynaj! W mig skosimy! Wstawaj, wieczorem się najesz. Zaczynaj! — poczęto wołać, i chłopci kończąc dojadać chleb jęli zachodzić.

— Ano, chłopaki, trzymać się! — rzekł Tit i ruszył naprzód prawie kłusem.

— Idź, idź — dogadywał stary, z łatwością nadążając za Titem — uciekaj, bo i ciebie zetnę! Pilnuj się!

Młodzi i starzy poczęli kosić na wyprzódki. Mimo pośpiechu jednak nie psuli trawy i rządki kładły się tak samo czysto i równiutko jak przedtem. Resztkę pozostałą w kącie łąki sprzątnęły kosy w mgnieniu oka. Ostatni z kosiarzy kończyli swoje rzędy, gdy pierwsi zarzuciwszy kaftany na ramiona ruszyli na drugą stronę drogi, ku Maszkinej Górce.

Już słońce poczynąło znikać za drzewami, gdy chłopci pobrzękując blaszankami od osełek weszli do małego leśnego parowu wiodącego do Maszkinej Górki.. Trawa pośrodku była tam po pas, delikatna i mięciutka liściasta i przetykana w lesie tu i ówdzie fioletowym pszeńcem.

Po krótkiej naradzie, czy kosić wzdłuż, czy w poprzek — Prochor Jermilin, też kosiarz znakomity, olbrzymi czarny chłop, pierwszy zaczął. Przeszedł wzdłuż jeden rząd nie kosząc, zawrócił i zaczął szerokim rozmachem. Wnet poczęli się za nim wyrównywać w szereg inni, z góry wąwozikiem, a pod górę — aż do samego skraju lasu. Słońce skryło się za lasem. Rosa już padała i kosiarze mieli światło słoneczne tylko na górce, w dole zaś, gdzie zaczynała się kłębić mgła, i po drugiej stronie wąwozu posuwali się w rześkim, pełnym rosy cieniu. Praca wrzała.

Podcinana z soczystym dźwiękiem trawa pachniała korzennie i kładła się wysokimi pokosami. Przy krótkich rządach tłoczyli się ze wszech stron kosiarze; pobrzękując blaszankami i hałasując to zderzającymi się kosami, to zgrzytem osełek przy ostrzeniu kos, wciąż poganiali się wzajem wesołym krzykiem.

Lewin szedł także i teraz pomiędzy młodym chłopakiem a starym chłopem. Ten

włożył swój półkożuszek i był ciągle tak samo wesół, gotów do żartu i giętki w ruchach. Tu, w lesie, raz po raz natrafiali na rozbuchane w soczystej trawie podbrzeźniaki, które przecinano kosą. Stary wszelako, napotykając grzyb, za każdym razem schylał się, podnosił go i kładł za pazuchę. „Będę miał gościńca dla starej” — pogadywał.

Kosić mokrą, nieoporną trawę przychodziło łatwo. Za to ciężko było schodzić, to znów wspinać się po stromej pochyłości wąwozu. Stary jednak o to nie dbał. Wciąż jednakowo machając kosą, drobnym, pewnym kroczkiem obutych w wielkie łapcie nóg powoli gramolił się na stromiznę' i choć trzęsło mu się nie tylko ciało, lecz i zwisające spod koszuli portki, nie darował po drodze najmniejszej trawce ani jednemu grzybowi i zupełnie tak samo jak przedtem podżartowywał z Lewinem i chłopami. Lewin szedł za nim i nieraz zdawało mu się, że z pewnością upadnie włącząc z kosą na taki stromy pagór, na który i bez kosy trudno było się wdrapać. Nie przewracał się jednak, gramolił się do góry i czynił wszystko, co czynić należało. Czuł, że jakaś potężna siła idąca z zewnątrz nim kieruje.

Chłopi skosili Maszkiną Górkę, dokończyli ostatnich rzędów i wesoło pomaszzerowali do domu. Lewin wsiadł na konia i z żalem pożegnawszy kosiarzy pojechał do dworu. Kiedy obejrzał się, na górze już ich nie było widać we mgle, która podnosiła się z dołu. Słysząc było tylko ich szorstkie wesołe głosy i śmiech oraz szcęk zderzających się kos.

Sergiusz Iwanowicz dawno już był po obiedzie i właśnie upił w swoim pokoju wodę z cytryną i lodem, przeglądając przyniesione mu przed chwilą z poczty gazety i czasopisma, gdy Lewin wpadł do niego, z pozlepianymi od potu i splątanymi włosami, w poczerniałej, mokrej na plecach i piersi koszuli, i jął wesoło wykrzykiwać:

— Całą łąkęśmy skosili! Ach, jakie to było przyjemne, nie masz pojęcia! A cóżes ty robił przez ten czas? — Nieprzyjemna rozmowa w przeddzień całkiem mu wyszła -z pamięci.

— Rany boskie! Jak ty wyglądasz?! — powiedział Sergiusz i zrazu niechętnie obejrzał się na brata. — I drzwi, drzwi zamykaj! — zawołał. — Z pewnością wpuścisz cały tuzin.

Koznyszew nie znosił much i w swoim pokoju otwierał okna tylko w nocy, a drzwi jak najstaranniej zamykał.

— Przysięgam, że ani jednej. A jeśli nawet wpuściłem, to je wyłapię... Nie masz pojęcia, co to za rozkosz! A ty, co ty robiłeś przez cały dzień?

— Ja? spędziłem czas przyjemnie... Ale czyś ty naprawdę cały dzień kosił? Musisz być głodny jak wilk. Kuźma wszystko ci przygotował.

— Ach nie, nie jestem głodny. Tam jadłem. Ale pójdę się umyć.

— Idźże, idź, a ja zaraz do ciebie przyjdę — mówił Sergiusz i kręcił głową patrząc na brata. — Idźże już prędzej — dodał z uśmiechem i pozbierawszy książki, sam gotował się do pójścia za Konstantym. Nagle poweselał i nie miał ochoty się z nim rozstać. — A gdzie byłeś podczas deszczu?

— Jaki tam deszcz?! Ledwo nas pokropił. No, więc zaraz przyjdę. A ty dobrze spędziłeś dzień? To świetnie. — I Konstanty poszedł się przebierać.

Po pięciu minutach bracia znów się spotkali w jadalni. Choć Konstantemu zdawało się zrazu, że nie jest głodny, i chociaż siadł do stołu, po prostu żeby nie urazić Kuźmy, jednak skoro tylko skosztował jedzenia, wydało mu się ono niezwykle smaczne. Sergiusz Iwanowicz patrzył na niego z uśmiechem.

— Ach! Ale przecież jest tu do ciebie list — zawołał. — Kuźma, proszę przynieść list z dołu. Tylko uważaj, żebyś drzwi zamykał.

List był od Obłońskiego. Lewin przeczytał go na głos. Obłoński pisał z Petersburga: „Otrzymałem właśnie list od Dolly; bawi w Jerguszowie i jakoś nie może sobie dać rady. Proszę cię, pojedź do niej i dopomóż jej, poradź; wszak ty wszystko potrafisz. Będzie uszczęśliwiona, gdy cię zobaczy. Jest, biedaczka,

całkiem sama, bo teściowa z resztą rodziny nie wróciła dotąd z zagranicy."

— Doskonale! Oczywiście, muszę do niej pojechać — rzekł Lewin. — Jedźmy zresztą razem. To taka przemiła kobieta. Prawda?

— A czy to daleko?

— Około trzydziestu wiorst. Może nawet czterdzieści. Ale droga świetna. Doskonale dojedziemy.

— Z przyjemnością — rzeki Sergiusz Iwanowicz nie przestając się uśmiechać. Wygląd młodszego brata wpłynął na niego wręcz rozweselająco.

— Ale ty masz apetyt! — zauważył patrząc na jego brązowoczerwoną twarz i szyję, schylone nad talerzem.

— Świetny! Nie masz pojęcia, jak taki reżim od razu wypędza wszelkie głupstwa z człowieka. Mam zamiar wzbogacić medycynę o jeden więcej termin: Arbeitskur.

— No, ty tego chyba nie potrzebujesz. — Ja nie, ale różni nerwowo chorzy.

— Tak, to by trzeba wypróbować. Wiesz, chciałem pójść popatrzeć na ciebie tam na sianokos, ale był taki wściekły upał, że doszedłem tylko do lasu. Posiedziałem trochę i lasem przeszedłem się aż do wsi. Spotkałem tam twoją dawną mamkę i wysondowałem, co też myślą o tobie chłopci. O ile mogłem wywnioskować, nie pochwalają tego rodzaju rzeczy. Powiedziała: „To nie dla państwa zajęcie.” W ogóle, zdaje mi się, że w pojęciach chłopskich tak zwana „pańska” sfera zajęć jest zupełnie jasno określana i chłopci nie pochwalają, gdy „panowie” wykraczają poza ustalone w ich pojęciu ramy..

— Być może, ale to taka przyjemność, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zakosztowałem. I nic w niej nie ma zdroźnego. Prawda? — odrzekł Konstanty. — Cóż ja na to poradzę, że im się to nie podoba! A zresztą myślę, że to nic nie szkodzi. Co?

— W ogóle — ciągnął dalej Sergiusz — jesteś, jak widzę, bardzo zadowolony ze swego dnia.

— A tak, bardzo. Skosiliśmy całą łąkę. I z jakim przepysznyim starym chłopem tam się zaprzyjaźniłem! Pojęcia nie masz, co to była za rozkosz.

— Widzę, żeś naprawdę kontent ze swego dnia. I ja również. Po pierwsze, rozwiązałem dwa zadania szachowe; jedno z nich, bardzo przyjemne, zaczyna się od pionka... Pokażę ci później. A potem — rozmyślałem o naszej wczorajszej rozmowie.

— Co takiego? O wczorajszej rozmowie? — rzekł Konstanty, błogo mrużąc oczy i wydając głębokie westchnienie po skończonym obiedzie. - Stanowczo nie był w stanie przypomnieć sobie, o jaką wczorajszą rozmowę chodziło.

— Uważam, że masz po części rację. Różnimy się w zdaniach dopiero, gdy ty twierdzisz, że motorem działalności jest interes osobisty, podczas gdy ja sądzę, że każdy człowiek stojący na pewnym stopniu kultury powinien przekładać nade wszystko dobro ogółu. Być może, masz rację, że byłoby lepiej, by działalność

publiczna łączyła się z korzyścią jednostki. Z ciebie w ogóle natura nazbyt primesautier , jak powiadają Francuzi.. Pragniesz działalności żywiołowej, energicznej albo zgoła żadnej.

Lewin słuchał brata i stanowczo nic nie rozumiał i rozumieć nie chciał. Lękał się tylko z jego strony takiego jakiegoś pytania, z którego wyniknie jasno, że wcale nie uważał.

— No więc tak, mój miły — dodał Koznyszew dotykając jego ramienia.

— Ależ owszem, rozumie się. Zresztą, co tam! Ja się wcale przy swoim nie upieram — odrzekł Lewin z dziecinnym, zawstydzonym uśmiechem. „O czym, u licha, mogła być mowa? O co był ten spór? — rozmyślał. — Ma się rozumieć, że i on miał rację, i ja ją miałem, i że wszyst-ko jest w najlepszym porządku. Muszę tylko pójść do kancelarii wydać dyspozycje." Wstał przeciągając się z uśmiechem.

Uśmiechnął się i Sergiusz.

— Jeśli chcesz przejść się, chodź, przejdziemy się razem — powiedział nie mając ochoty rozstawać się z bratem, od którego wiało wprost świeżością i energią. — Chodź, zajdziemy też i do kancelarii, jeśli masz coś do załatwienia.

— Gwałtu, rety! — krzyknął nagle Lewin tak głośno, że Sergiusz się przeraził.

— Co ci jest?

— A cóż z ręką Agafii Michajłowny? — zawołał Lewin i palnął się w czoło. — Zupełnie o niej zapomniałem.

— Daleko lepiej.

— Muszę ja jednak wpaść do niej. Nie zdążysz nawet włożyć kapelusza, a już będę z powrotem.

I obcasy jego załomotały po schodach jak kołatka.

VII

Obłoński przyjechał do Petersburga celem wypełnienia obowiązku znanego wszystkim urzędnikom i w ich oczach zupełnie naturalnego, chociaż dla nieurzędników niezrozumiałego. Musiał mianowicie przypomnieć o swej osobie w ministerstwie. Jest to obowiązek konieczny, bez wypełnienia którego niepodobna w ogóle być urzędnikiem. Do wypełnienia go trzeba jednak mieć pieniądze. Toteż Obłoński zabrał niemal wszystkie, jakie były w domu, i spędzał wesoło czas w Petersburgu na wyścigach i podmiejskich letniskach, podczas gdy Dolly z dziećmi wyjechała na wieś, by o ile możności zmniejszyć wydatki. Wybrała się do swego posagowego majątku, Jerguszowo, tego właśnie, gdzie na wiosnę sprzedawano las, a który był położony o pięćdziesiąt wiorst od Pokrowskiego, posiadłości Lewina.

Stary wielki dwór w Jerguszowie dawno rozebrano, za to jeszcze książę kazał przebudować i powiększyć oficynę. Oficynę tę dwadzieścia lat temu, kiedy Dolly była dzieckiem, uważano za ustawną i wygodną, mimo że stała — jak wszystkie oficyny — bokiem do alei wjazdowej i była zwrócona na południe. Obecnie jednak budowla była już stara i zgniła. Jeszcze kiedy Stiepan Arkadjicz na wiosnę przyjeżdżał do majątku sprzedawać las, Dolly prosiła go, aby obejrzał dom i kazał wykonać wszystkie potrzebne reperacje. Obłoński, który — jak wszyscy grzeszni mężowie — wielce dbał o wygody żony, osobiście obejrzał cały dom i dał dyspozycje, by zrobiono wszystko, co, jego zdaniem, było najbardziej nieodzowne. A więc, jego zdaniem, należało obić na nowo kretonem wszystkie meble, zawiesić firanki, uporządkować ogród, przy stawie zrobić mostek, wreszcie posadzić kwiaty. Za to zapomniał o wielu innych naprawdę potrzebnych rzeczach, których brak miał się później stać udręką dla biednej Dolly.

Jakkolwiek Stiepan Arkadjicz bardzo się starał być troskliwym mężem i ojcem, nigdy jakoś nie umiał pamiętać, że ma żonę i dzieci. Miał gusty kawalerskie i tylko nimi się kierował. Po powrocie do Moskwy oznajmił z dumą że nie, że wszystko przygotowane, że dom będzie jak cacko i że bardzo jej radzi spędzić tam lato. Wyjazd żony na wieś dogadzał Obłońskiemu pod każdym względem; zdrowiej dla dzieci, mniej kosztów, a dla niego więcej swobody. Daria Aleksandrowna ze swej strony uważała pobyt latem na wsi za rzecz konieczną dla dzieci, a specjalnie dla córeczki, która nie mogła przyjść do siebie po szkarlatynie. Poza tym było to dla niej wybawienie od drobnych upokorzeń, jakie ją w mieście spotykały z powodu długów w składzie drzewa, w sklepie rybnym, u szewca itd. wreszcie cieszyła się na wyjazd, gdyż marzyła o ściągnięciu do siebie Kitty, która miała powrócić z zagranicy w środku lata, a której zalecono kąpiele. Kitty pisała z wód, że nic się jej tak nie uśmiecha, jak spędzenie lata. z siostrą w Jerguszowie, tak. dla nich obu pełnym wspomnień z lat dziecinnych.

Pierwsze chwile pobytu na wsi były dla Dolly niezmiernie trudne. Przebywała tam w dzieciństwie i pozostało jej wrażenie, że wieś jest ratunkiem od wszystkich przykrości, jakie niesie ze sobą miasto, że życie na wsi, chociaż nie wykwiłtne (z tym Dolly łatwo się godziła), było za to tanie i wygodne. Na wsi wszystko jest,

wszystkiego można dostać za grosze i dzieciom jest tam dobrze. Tym razem jednak, kiedy przyjechała na wieś jako pani domu, przekonała się, że wyglądało to całkiem inaczej, niż sądziła.

Zaraz nazajutrz po ich przyjeździe lunął rześisty deszcz; i nocą w pokoju dziecinnym i w korytarzu pozaciekał sufit, tak że łóżeczka przeniesiono do jadalni. Nie było kucharki czeladnej. Z dziewięciu dworskich krów, według oświadczenia skotarki, jedne były cielne, drugie — po pierwszym cielęciu, inne — stare, jeszcze inne ciężko się doily. Krótka mówiąc, mleka i masła nawet dla dzieci nie starczało. Jaj nie było wcale, a kur w ogóle dostać nie było można, tak że pieczono i gotowano wyłącznie stare, sinawe, żylaste koguty. Bab do szorowania podłóg też, nie udało się zgodzić, bo wszystkie wlas nie były przy kartoflach. Nie jeździło się zupełnie na spacer, gdyż jeden z koni cugowych — dyszlowy — narowił się i rwał. Kąpieli nie można było zażywać, gdyż cały brzeg rzeki był wydeptany przez bydło i niczym nie zasłonięty od strony drogi. Nawet przechadzki piesze były nie do pomyslenia, płot od ogrodu, bowiem był połamany i bydło wchodziło tamtędy, a wśród stada znajdował się groźny byk, który straszliwie ryczał, zapewne więc był bodliwy. Szafy do ubrań właściwie nie istniały. Te, które były, nie zamykały się, ale za to otwierały się same, kiedy się koło nich przechodziło. Nie było ani saganów, ani kotła w pralni, ani nawet deski do prasowania dla dziewcząt w garderobie.

Daria Aleksandrowna, która miał zażywać spokoju i wypoczynku, stanęła wobec tak strasznych, jak mniemała, klęsk, wpadła zrazu w rozpacz. Krzątała się ze wszystkich sił, bolała nad beznadziejnością położenia i w każdej chwili gotowa była wybuchnąć płaczem. Zarządzający — były wachmistrz, którego Stiepan Arkadjicz polubił za czasów, gdy ten był portierem w jego urzędzie, i któremu dał u siebie posadę ze względu na jego okazały wygląd i pełną szacunku postawę — nie brał najmniejszego udziału w troskach Darii Aleksandrowny, mówiąc tylko z uszanowaniem: „W żaden sposób nie można; tacy to już niegodziwi ludzie, proszę księżnej pani...” — i na tym kończyła się jego pomoc.

Zdawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. W domu Obłońskich była wszakże, jak bywa we wszystkich rodzicach, nie narzucająca się wprawdzie oczom, ale ważna i wielce pożyteczna istota — Matriona Filimonowna. Ona to wpływała kojąco na panią domu zapewniając, że wszystko się ukształtuje (było to jej powiedzenie i od niej to zapożyczył je Matwiej), a sama tymczasem, bez pośpiechu i bez nerwów — działała.

Przede wszystkim zaprzyjaźniła się z panią rządczynią. 'Zaraz pierwszego dnia piła z obojgiem herbatę pod akacjami i omawiała całość spraw. Niebawem powstał pod owymi akacjami istny klub Matriony Filimonowny, gdzie przy współdziałaniu rządczyni, sołtysa i pisarza powoli uradzano, jak usunąć powstałe komplikacje życiowe. Po tygodniu istotnie wszystko się ukształtowało. Dach naprawiono, kucharkę zgodzono (była to kuma samego sołtysa) i kupiono kury; wnet i krowy zaczęły dawać mleko. Dziury w płocie pozakładano żerdziami; stolarz sklecił magiel, a do szaf dorobiono haczyki, tak że przestały otwierać się samowolnie. Wreszcie i deska do prasowania, owinięta żołnierskim sukniem, oparta o poręcz krzesła i o komodę, ozdobiła garderobę, gdzie zapachniało nareszcie żelazkiem do

prasowania.

— No i co! — zawołała Matriona na widok deski. — A księżna pani wciąż desperowała!

Sklecono nawet łazienki ze słomianych mat i Lili zaczęła się kąpać. W ten sposób spełniła się przynajmniej część życzeń Darii Aleksandrowny: życie wiejskie stało się już wygodniejsze, choć bynajmniej nie spokojne. Spokoju z sześciorgiem dzieci być nie mogło. Jedno chorowało, drugie mogło zachorować, trzeciemu coś brakowało, czwarte zdradzało objawy złego charakteru itd., itd. Rzadko, nadzwyczaj rzadko zdarzały się okresy spokoju. Wszelako tego rodzaju kłopoty i niepokoje były dla Darii Aleksandrowny jedynym możliwym szczęściem. Gdyby ich nie było, pozostałaby sama jedna z myślami o mężu, który jej nie kochał. Poza tym, chociaż lęk przed chorobą, same choroby, a także niepokój z powodu złych skłonności dzieci — były dla matki istotnym zmartwieniem, to jednak same dzieci już teraz wypłacały się jej za ciężkie strapienia mnóstwem drobnych radości. Radości owe były tak drobniutkie, że aż niewidoczne, jak złoto w piasku, i w chwilach depresji widziała tylko sam piasek. Ale były i dobre chwile... Wówczas widziała tylko momenty radosne, samo złoto.

Obecnie, w samotności wiejskiej, coraz częściej poczyniała uświadamiać sobie te radości. Nieraz wpatrując się w nie robiła wysiłek, by dowieść sobie samej, że się myli, gdyż będąc matką jest w stosunku do dzieci zaślepiona. Mimo to jednak musiała w końcu przyznać, że ma urocze dzieci, że cała szóstka jest urocza. Każde w innym rodzaju, lecz wszystkie urocze jak rzadko. I była z ich powodu szczęśliwa i dumna..

VIII

Pod koniec maja, kiedy już wszystko było jako tako doprowadzone do porządku, przyszedł list od Stiepana Arkadjicza w odpowiedzi na skargi żony z powodu niewygód wiejskich. Przepraszał, że nie o wszystkim pomyślał, i obiecywał przyjechać, gdy tylko nadarzy się możliwość. Możliwość taka widocznie się nie nastroczyła i aż do pierwszych dni czerwca Daria Aleksandrowna pozostała na wsi sama.

Na Piotra i Pawła, co wypadło w niedzielę, Daria Aleksandrowna pojechała na nabożeństwo i zawiozła wszystkie dzieci do komunii. W czasie poufnych rozmów na tematy filozoficzne z siostrą, matką lub przyjaciółmi Dolly nieraz zdumiewała ich swym wolnomyślicielstwem w stosunku do religii. Miała jakąś swoją własną wiarę w metempsychozę, której trzymała się wiernie, niewiele się troszcząc o dogmaty kościoła prawosławnego. Natomiast w obrębie rodziny — i to wcale nie dla przykładu, lecz naprawdę ze szczerego serca — ściśle trzymała się wszystkich cerkiewnych przepisów. Toteż fakt, że dzieci już około roku nie przystępowały do komunii, mocno ją niepokoił i — z gorącą aprobatą Matriony. — postanowiła załatwić to obecnie, w ciągu lata.

Już na kilka dni przedtem obmyśliła sobie, jak poubiera dzieci. Szyto, przerabiano i prano różne sukienki i ubranka, wypuszczano obrębki i pruto falbanki, przyszywano guziki i porządkowano wstążki. Jedna z sukienek, którą dla Tani ofiarowała się uszyć Angielka, dużo krwi napsuła Darii Aleksandrownie. Angielka, podjąwszy się przeróbki, porobiła zakładki nie na właściwym miejscu, wykroiła zbyt duże pachy, słowem — zupełnie zepsuła sukienkę która tak spadała z ramion, że przykro było na Tanię patrzeć. Teraz jednak Matriona zaproponowała, by wstawić kliny i dodać pelerynkę, i to poprawiło sytuację, lecz omal nie doprowadziło do kłótni z Angielką. Do następnego ranka wszystko się na szczęście ułożyło i tuż przed dziewiątą, na którą to godzinę proszono popa, by przesunął nabożeństwo — promieniejące radością, wystrojone dzieci stały przed gankiem, koło powozu, czekając na matkę.

Do powozu, zamiast narowistego Kruka, zaprzężono za protekcją Matriony Filimonowny rządowego Kasztana. Daria Aleksandrowna, która zajęła się własną toaletą na ostatku, wyszła w białej muślinowej sukni na ganek, by wsiąść do powozu.

Czesała się tego dnia i ubierała starannie i z pewnym podnieceniem. Kiedyś ubierała się dla siebie samej, po to, aby być piękną i podobać się. Później, im bardziej posuwała się w latach, tym mniej lubiła się ubierać, widziała bowiem, jak bardzo zbrzydła. Teraz jednak znów zaczęła się ubierać z przyjemnością i wzruszeniem, bo ubierała się już nie dla siebie, nie dla własnej urody, lecz aby jako matka tak uroczych dzieci, nie zepsuć ogólnego wrażenia. Przejrzała się w lustro raz jeszcze z aprobatą. Była na prawdę ładna. Nie tak ładna, jak tego niegdyś przed balem zwykła była pragnąć, lecz dość ładna, by osiągnąć cel, o który jej obecnie chodziło.

W cerkwi nie było nikogo, prócz chłopów i zagrodników oraz ich bab, lecz Daria Aleksandrowna spostrzegła — albo tak jej się tylko zdawało — zachwyty wywołany przez jej dzieci i przez nią samą. Dzieci nie tylko były prześliczne w swoich strojnych sukienkach, ale także przemiłe, ponieważ tak grzecznie się zachowywały. Alosza co prawda stał nie całkiem spokojnie, kręcił się ciągle, by zobaczyć swą kurtkę z tyłu, ale i tak był niezwykle uroczy. Tania zupełnie jak dorosła osoba doglądała najmłodszych. A mała Lili była tak czarująco i naiwnie wszystkim zdumiona... Trudno było nie uśmiechnąć się, kiedy po komunii powiedziała po angielsku: „please some more”.

W powrotnej drodze dzieci czuły, że odbyło się coś uroczystego, i były cichutkie.

W domu też wszystko poszło dobrze, ale w czasie śniadania Grisza zaczął gwizdać, a co gorsza, nie posłuchał Angielki i za karę nie dostał placka. Gdyby się to zdarzyło w jej obecności, matka wobec uroczystego dnia zapobiegłaby karze. Teraz jednak musiała podtrzymać autorytet Angielki potwierdzając, że Grisza placka nie dostanie. To zepsuło nieco ogólny dobry nastrój.

Grisza płakał, twierdząc, że i Nikoleńka gwizdał, a jego nie ukarano, i że on sam płacze nie z powodu placka — to mu jest obojętne! — ale ponieważ boli go niesprawiedliwość. To było już nazbyt smutne i Daria Aleksandrowna postanowiła po porozumieniu się z Angielką przebaczyć Griszy. W chwili jednak gdy do niej szła, ujrzała w wielkim salonie scenę, od której oczy jej zasły łzami radości, tak że sama od razu ułaskawiła przestępcę.

Winowajca siedział w narożnym oknie sali, a obok niego stała z talerzykiem Tania, która pod pozorem, że chce dać obiad lalkom, uzyskała od Angielki pozwolenie, by zanieść swoją porcję placka do dziecinnego pokoju. Zamiast lalkom, zaniósł ją bratu. Ten, tonąc we łzach nad niesprawiedliwością wycierpianej kary, zajadał przyniesiony placek i powtarzał wśród łkań: „Jedz lepiej sama albo razem będziemy jedli...”

Na Tanie zrazu podzielała litość nad braciszkiem, potem świadomość własnej wspaniałomyślności, tak że miała również łzy w oczach, co jej nie przeszkadzało jeść swojej części.

Gdy ujrzeli matkę, przestraszyli się oboje, lecz dostrzegłszy wyraz jej twarzy zrozumieli, że postępują dobrze, roześmieli się i z ustami pełnymi ciasta jęli ocierać rękoma uśmiechnięte wargi, rozmazując w ten sposób łzy i konfitury na jaśniejszych twarzyczkach.

— Jezus Maria! Moja "nowa biała suknia! Taniu! Grisza! — broniła się matka usiłując ratować sukienkę, lecz uśmiechała się przy tym z triumfem i błogością.

Pozdejmovano dzieciom nowe stroje, dziewczynkom włożono bluzki, a chłopcom stare kurtki i kazano zaprząć do linijki — znowu, ku zmartwieniu rządcy, z Kasztanem jako dyszlowym — aby jechać na grzyby i do kąpieli. Piskliwy jęk najwyższego zachwyty wybuchł w dziecinnym pokoju i trwał aż do samego wyjazdu.

Uzbierano całą kobiałką grzybów; nawet Lili znalazła podbrzeźniaka. Dawniej

miss Hull znajdowała grzyb i dopiero go jej pokazywała, ale obecnie mała znalazła sama wielkie, kłapciate grzybsko. Podniósł się ogromny wrzask: „Lili znalazła grzyba!”

Potem dojechali aż do rzeki, postawili konie pod brzózkami i poszli do kąpieli. Stangret Terentij, po przywiązaniu do drzewa oganiających się od, much koni, sam legł, gniotąc trawę, w cieniu brzozy i kurzył swój t i u t i u ń. Z wody dochodził go nieustający, radosny dziecięcy wrzask.

Chociaż było rzeczą kłopotliwą doglądać tych wszystkich dzieci i powstrzymywać je od figłów, chociaż trudno było spamiętać te wszystkie pończoszki, majteczki, trzewiczki z nóg różnych rozmiarów i nie pozamieniać ich, a także niełatwo rozwiązywać i zawiązywać, odpinać i zapinać te niezliczone guziczki i tasiemki, Daria Aleksandrowna, która sama zawsze lubiła kąpiel i uważała ją za pożyteczną dla dzieci, nie znała większej przyjemności niż taką wspólną, z nimi wszystkimi na raz. Było dla niej prawdziwą rozkoszą przebierać rękami w tych wszystkich pulchnych nożynach naciągając na nie pończochy, brać w dłonie i zanurzać te nagie ciała, przysłuchując się to radosnym, to lęklwym piskom, widzieć te twarzązki zadyszane, z otwartymi szeroko, to przestraszonymi, to wesołymi oczyma, twarzązki jej pluskających się małych cherubinków.

Gdy już połowa dzieci była ubrana, podeszły do miejsca kąpieli i nieśmiało zatrzymały się powracające z grzybobrąnia wystrojone baby. Matriona zawołała jedną z nich prosząc ją o wysuszenie koszulki i prześcieradła, upuszczonych do wody, i Daria Aleksandrowna rozgadała się z kobietami na dobre. Baby zrazu śmiały się w kułak i nie rozumiały pytań dziedziczki, prędko wszakże oswoiły się i rozgadały, a w ogóle natychmiast wkupiły się w łaski Darii Aleksandrowny przez swój szczery podziw dla dzieci.

— Ach, ty moja ślicznotko! — zawołała jedna, potrząsając głową, wpatrzona z zachwytem w Tanie. — Jaka to białutka! jak cukier. A chuda!...

— A tak, bo była chora.

— Patrzajcie no, i tego także kąpaliście? — pytała druga o niemowlę.

— Ależ nie, ono ma dopiero trzy miesiące — z durną objaśniała księżna Daria.

— Patrzcie go!

— A ty masz dzieci?

— Miałam czworo. Zostało dwoje: chłopczyk i dziewczynka. W zapusty odstawiłam ją od piersi.

— A ile ma?

— O, już drugi roczek.

— Po cóżeś ją tak długo karmiła?

— U nas taki zwyczaj: przez trzy posty.

Ta pogawędka wielce zainteresowała Darię Aleksandrownę: jaki był poród? na co dziecko chorowało? gdzie jest jej mąż? czy często przyjeżdża?

Nie miała ochoty rozstawać się z babami, tak bardzo zajęta ją rozmowa z nimi,

tak zupełnie jednakże były właściwie ich zainteresowania. Największą przyjemność sprawiała Darii Aleksandrownie świadomość, jak te wszystkie kobiety podziwiają, że ona ma tak dużo dzieci i że są takie ładne. Baby poza tym rozśmieszyły ją bardzo, a oburzyły Angielkę, ta bowiem stała się powodem niezrozumiałego dla niej samej śmiechu. Jedna z młodych bab przyglądała się Angielce, która ubierała się ostatnia. Gdy ta włożyła na siebie trzecią halkę, młoda nie wytrzymała i zauważyła: „Patrzcie no, nakręciła, nakręciła i ciągle jeszcze jej nie dosyć!” Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem.

IX

Daria Aleksandrowna, w chusteczce na głowie, powracała otoczona całym gronem dzieci, które po wykąpaniu miały jeszcze mokre główki, i była już niedaleko domu, gdy stangret powiedział:

— Idzie ku nam jakiś pan dziedzic, zdaje się, że z Pokrowskiego.

Wyjrzała z linijki i ucieszyła się widząc znajomą postać Lewina idącego ku nim w popielatym palcie i popielatym kapeluszu. Zawsze bywała mu rada, ale teraz ucieszyła się specjalnie, mógł ją bowiem oglądać w całej glorii. Nikt lepiej od niego nie potrafiłby ocenić jej wielkości.

Dojrzwawszy ją stanął przed jednym z obrazów swego przyszłego rodzinnego życia, takiego, jakie sobie wymarzył.

— Dario Aleksandrowno, księżna wygląda niczym kwoka z kurczętami.

— Jakże się cieszę! — zawołała podając mu rękę.

— Niby księżna rada, a nie dała znać! Brat u mnie teraz gości. Dostałem słówko od Stiwy, że księżna jest tutaj.

— Od Stiwy? — powiedziała ze zdumieniem.

— Tak, pisze mi, że księżna zjechała tu na lato. Przypuszczam, że księżna mi pozwoli przyjść jej trochę z pomocą — dodał i natychmiast zmieształ się, urwał i szedł dalej obok linijki milcząc i gryząc zrywane po drodze lipowe pędy. Powodem jego zmieszania była myśl, że Darii Aleksandrownie może być niemiło przyjmować od obcego pomoc, której powinien jej udzielić mąż. I rzeczywiście, Daria Aleksandrowna nie pochwałała tej manieri męża, by rodzinne sprawy zwałać na kark obcym. Od razu wyczuła, że Lewin to rozumie. Lubiła go właśnie za to subtelne wyczucie, za tę delikatność.

— Oczywiście, zrozumiałem, co to znaczy — ciągnął dalej. — Po prostu księżna życzyła sobie mnie widzieć, z czego jestem bardzo rad. Wyobrażam sobie, że pani domu z miasta musi czuć się na wsi bardzo obco. Jeśli mogę się na coś przydać, to proszę mną rozporządzać.

— O nie! — odparła Dolly. — Z początku było naprawdę niewygodnie, lecz teraz, dzięki mojej starej niani, wszystko jest już doskonale zorganizowane — tu wskazała na Matryonę, która rozumiejąc, że o niej mowa, uśmiechała się wesoło i przyjaźnie. Znała Lewina, wiedziała, że to dobra partia dla panienka, i życzyła sobie, by to małżeństwo doszło do skutku.

— Niechże jaśnie pan siada, zmieścimy się — zaproponowała.

— Nie, wolę iść pieszo. Dzieci, kto chce się ścigać z końmi razem ze mną?

Dzieci mało znały Lewina i nie pamiętały go. Jednak w stosunku do niego nie wykazywały tej dziwnej mieszaniny nieśmiałości i wstrętu, jaką dzieci odczuwają w stosunku do wielu nieszczerych dorosłych osób, za co nieraz porządnie im się dostaje. Poza w jakiegokolwiek dziedzinie może oszukać najrozumniejszego,

najbardziej nawet przenikliwego człowieka, podczas gdy najgłupsze dziecko rozpozna i okaże wstręt do hipokryzji, choćby najkunsztowniej ukrytej. Lewin mógł posiadać wiele przywar, nie było w nim jednak ani cienia fałszu, toteż dzieci odniosły się do niego równie przyjaźnie jak matka. Na jego zaproszenie natychmiast dwoje starszych zeskoczyło z linijki i pobiegło z nim, tak jakby to była ich niańka, miss Pluli albo matka. Lili również zaczęła wyciągać do niego rączki i matka podała mu dziewczynkę. Posadził ją sobie na ramieniu i począł biec.

— Proszę się nie bać, proszę się nie bać, Dario Aleksandrowno! — wołał z wesołym uśmiechem do matki. — Nie ma mowy, żebym jej zrobił krzywdę albo ją upuścił.

Patrząc na jego zgrabne, silne, pełne troskliwej delikatności i tylko trochę skrępowane ruchy, matka uspokoiła się zupełnie i spoglądała na nich uśmiechnięta z wesołą aprobatą.

Tutaj na wsi, w towarzystwie dzieci i sympatycznej mu Doiły, Lewin wpadł w nastrój, który nawiedzał go często, a który księżna Daria specjalnie u niego lubiła — stał się po dziecinnemu wesół. Biegał z dziećmi, uczył je gimnastyki, bawił miss Hull swoją złą angielszczyzną i opowiadał Dolly o swych zajęciach na wsi.

Po obiedzie Dolly siedząc z nim na tarasie zaczęła mówić o Kitty.

— Wie pan? Kitty przyjedzie tutaj i spędzi ze mną lato.

— Naprawdę? — powiedział czerwieniąc się i zaraz, chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał: — Więc przysłać wam tu dwie krowy? Jeśli księżna już koniecznie chce się ze mną rachować, to proszę mi płacić pięć rubli miesięcznie od sztuki. O ile księżnej nie wstyd.

— Nie, dziękuję. Jużśmy sobie poradzili.

— No dobrze. W takim razie obejrzę tutejsze krowy i jeśli księżna pozwoli, dam wskazówki, jak je karmić. Wszystko zależy od paszy. .

W tym miejscu Lewin chcąc koniecznie zmienić kierunek rozmowy wygłosił o gospodarstwie mlecznym cały wykład, oparty na zasadzie, że krowa jest tylko maszyną do przeróbki paszy na mleko.

Mówił tak, a tymczasem gorąco pragnął dowiedzieć się jakichś szczegółów o Kitty, obawiając się tego zarazem. Bał się znów utracić uzyskany z takim trudem spokój.

— Owszem, ale przecież musiałby ktoś mieć nad tym wszystkim dozór. A kto ma to tutaj robić? — niechętnie odparła Daria Aleksandrowna.

Gospodarstwo tak dobrze już się za pośrednictwem Matriony zorganizowało, że nie miała ochoty nic w nim zmieniać, a poza tym nie wierzyła, by Lewin znał się na gospodarstwie wiejskim. Takie wywody jak te, że krowa jest tylko maszyną do produkcji mleka, wydawały się jej podejrzane. Zdawało jej się, że podobne teorie mogą tylko przeszkadzać w gospodarstwie. Sądziła, że wszystko jest daleko prostsze: należy tylko, jak radziła Matriona, dawać Pstrokatce i Białoszce więcej paszy i poją i dopilnować, aby kucharz nie wynosił praczce pomyj z kuchni dla jej krowy. To było zupełnie jasne, podczas gdy dowodzenia o paszy mącznej i zielonej

budziły wątpliwości i wydawały się mętne. A poza tym miała wielką ochotę
id="filepos694902"> pogawędzić z Lewinem na temat Kitty.

Kitty pisze mi, że pragnie nade wszystko spokoju i samotności — rzekła Dolly po chwili milczenia. — A jak z jej zdrowiem, czy lepiej? — zapytał wzruszony Lewin.

— Chwała Bogu, zupełnie wyzdrowiała. Co do mnie, nigdy nie wierzyłam, żeby to była piersiowa choroba.

— Ach, jakże się cieszę! — powiedział Lewin i Dolly spostrzegła, jak na jego twarzy, podczas gdy mówił, a potem patrzył na nią w milczeniu, odmalował się wyraz rozczulającej bezradności.

— Konstanty Dmitriewiczu — odezwała się księżna Daria uśmiechając się po swojemu, na pół dobrotliwie, na pół kpiąco — dlaczego pan gniewa się na Kitty?

— Ja?! — zawołał Lewin. — Ależ ja się nie gniewam. — Owszem, gniewa się pan. Dlaczego nie był pan ani u nas, ani u nich, gdy pan bawił w Moskwie?

— Dario Aleksandrownu — bronił się, czerwony aż po korzonki włosów — dziwię się nawet, że księżna, ze swą niezwykłą dobrocią tego nie wyczuwa... Czyż księżna nie ma dla mnie żadnego współczucia... Przecie księżna wie...

— Co takiego miałabym wiedzieć?

— Księżna wie, że oświadczyłem się księżniczce i że dostałem kosza — wyznał Lewin. I cała czułość, której był przed chwilą pełen, przedzierzgnęła się w uczucie gniewu za doznana od Kitty obrazę.

— Dlaczego pan myśli, że o tym wiedziałam?

— Bo wszyscy o tym wiedzą.

— Co do tego, to bardzo się pan myli: ja o tym nie wiedziałam, chociaż się domyślałam.

— No, więc teraz księżna już wie...

— Wiedziałam tylko, że zdarzyło się coś, co ją strasznie trapiło. Prosiła mnie, żebym jej nigdy o tym nie wspominała, a skoro nawet mnie o tym nie powiedziała, to tym bardziej nikomu innemu. Więc co między wami zaszło.? Niechże mi pan opowie.

— Już powiedziałem.

— Kiedy?

— Kiedy byłem u księżnej ostatnim razem.

— Wie pan, co panu powiem — oświadczyła Daria Aleksandrownu — bardzo, bardzo mi jej żal. Wszak pan cierp jedynie z powodu urażonej, miłości własnej...

— Być może — wtrącił Lewin — a jednak... Przerwała mu:

— Ale jej biednej strasznie, strasznie mi żal. Teraz dopiero wszystko rozumiem.

— Proszę mi wybaczyć, Dario Aleksandrownu — rzekł wstając. — Muszę się już pożegnać. Do widzenia.

— Ależ nie, niech pan zaczeka — i chwyciła go za rękaw — niechże pan

zaczeka. Proszę usiąść.

— Proszę, proszę, nie mówmy o tym — powiedział siadając znowu. Uczuł, jak na dnie jego serca poczyna się dźwigać z bezwładu pogrzebana, jak mniemał, nadzieja.

— Gdybym nie lubiła pana tak, jak lubię, i gdybym tak dobrze pana nie znała... — szepnęła i łzy stanęły jej w oczach.

Uczucie Lewina, na pozór martwe, budziło się coraz silniej do życia, powstawało i znów poczynało nim władać.

— Tak, już teraz wszystko rozumiem — mówiła dalej Daria Aleksandrowna. — Pan tego zrozumieć nie może. Dla was, mężczyzn, zawsze jest jasne, kogo kochacie, ponieważ jesteście wolni i możecie wybierać. Ale dziewczyna, która trwa w wyczekiwaniu, ze swym uczuciem dziewczęcej wstydlivości, dziewczyna, która widuje was, mężczyzn, tylko z daleka — może nie wiedzieć, kogo kocha, nie zdawać sobie z tego sprawy.

— Tak, jeśli jej serce nic nie mówi...

— Przeciwnie, serce może się nawet . odzywać... Ale niech pan tylko zważy: wy, mężczyźni, upatrzycie sobie jakąś pannę, bywacie w jej domu, poznajecie ją bliżej, wyczekujecie, wypatrujecie, Czy istotnie jest w niej to, co lubicie, a wreszcie, gdy przekonacie się, żeście naprawdę pokochali, oświadczacie się...

— To nie jest tak całkiem ściśle.

— Mniejsza o to. Oświadczacie się, kiedy miłość w was dojrzała lub gdy szala przechyliła się u was na stronę jednej z dwóch wybranych. A dziewczyny nikt o nic nie pyta.. Żąda się, by sama uczyniła wybór, tymczasem ona wybierać nie może, może tylko powiedzieć „tak” lub „nie”.

„Tak: wybór pomiędzy mną a Wrońskim” — pomyślał Lewin, a powracający w jego duszy do życia trup skonał po raz wtóry i już tylko boleśnie przygniatał mu serce.

. — Dario Aleksandrowno — zawołał — tak się wybiera suknię lub inny jakiś sprawunek, ale nie miłość. Wyboru dokonano, i tym lepiej, że się tak stało... Powtórzyć tego nie można.

— Pycha, nic tylko pycha! — rzekła Daria Aleksandrowna dając mu niby do zrozumienia, że pogardza nim za tak niskie uczucie, niskie w porównaniu z tym jakimś innym, dostępnym jedynie dla kobiet. — W owym czasie, kiedy się pan oświadczał, Kitty była właśnie w takiej sytuacji, że decydować nie mogła. Wahała się: pan czy Wroński. Jego widywała codziennie, a pana od dawna nie spotykała. Może, gdyby była starsza... Dla mnie na przykład na jej miejscu nie mogłoby być żadnego wahania. Był mi zawsze wstrętny i okazało się, że słusznie.

Lewin przypomniał sobie odpowiedź Kitty. Powiedziała mu: „Nie, to niemożliwe...”

— Proszę księżnej — rzekł wreszcie oschle — cenię niezmiernie zaufanie, jakim księżna mnie darzy. Uważam, że księżna się myli. Ale bez względu na to, czy mam rację, czy nie, ta duma, którą księżna tak lekceważy, sprawia, że dla mnie wszelka

nawet myśl o Katarzynie Aleksandrownie jest niemożliwa — proszę mnie zrozumieć — zupełnie niemożliwa.

— Powiem panu tylko jeszcze jedno... Pan zdaję przecie sobie sprawę, że mówię o siostrze, którą kocham jak jedno z moich własnych dzieci. Nie twierdzę, by ona pana kochała, chcę tylko wytłumaczyć, że jej ówczesna odmowa niczego nie dowodzi.

— Doprawdy! — zrywając się zawołał Lewin. — Gdyby księżna wiedziała, jaki mi to ból sprawia— Zupełnie jakby dziecko umarło, a ktoś by zaczął księżnej opowiadać, że byłoby takie a takie, że mogłoby żyć, że mogłaby się księżna nim cieszyć. A tymczasem ono umarło, umarło, umarło..

— Jaki pan śmieszny — rzekła Daria Aleksandrowna i popatrzyła na niego, nie zważając na jego wzruszenie, ze smutnym uśmiechem. — Tak, już coraz lepiej rozumiem — dodała w zamyśleniu — Więc pan tu nie przyjedzie, dokąd Kitty u nas zabawi?

— Nie, nie przyjadę. Oczywiście, nie będę unikał księżniczki, ale o ile to tylko ode mnie będzie zależało, oszczędzę jej przykrości spotykania mnie.

— Jest pan bardzo, bardzo śmieszny — powtórzyła Daria Aleksandrowna wpatrując się w niego z rozrzewnieniem. — No, więc dobrze, niech tak będzie, jakbyśmy o tym wszystkim nigdy nie rozmawiali. Czego chcesz, Taniu? — zwróciła się po francusku do córeczki, która właśnie weszła.

— Mamo, gdzie moja łopatka?

— Mówię do ciebie po francusku, mów więc do mnie tak samo!

Dziewczynka spróbowała, ale okazało się, że zapomniała, jak się to po francusku mówi. Matka odpowiedziała, po czym — w dalszym ciągu po francusku — wskazała jej miejsce, gdzie znajdowała się łopatka. Nie podobało się to Lewinowi.

W ogóle od tej chwili wszystko w tym domu, łącznie z dziećmi, wydawało się Lewinowi niesympatyczne i już wcale nie takie miłe jak przedtem.

„I po co ona gada z dziećmi po francusku? — pomyślał. — Jakie to nienaturalne, jaki w tym fałsz! I dzieci to czują. Nauczy je francuskiego, a oduczy szczerości” — rozmyślał. Nie wiedział, że Daria Aleksandrowna wielokroć łamała sobie głowę nad tą kwestią i mimo wszystko w końcu postanowiła, choćby z uszczerbkiem szczerości, w ten właśnie sposób uczyć swoje dzieci francuskiego.

— Dokąd pan się tak śpieszy? Niechże pan jeszcze zostanie.

Lewin został aż do herbaty, ale cała wesołość opuściła go i czuł się nieswojo.

Po herbacie wyszedł do przedpokoju i kazał zajeżdżać. Gdy powrócił, znalazł Dolly wzburzoną, ze zmienioną twarzą i ze łzami w oczach. Podczas jego nieobecności zdarzył się wypadek, który nagle zniweczył całe jej dzisiejsze szczęście i dumę z dzieci. Grisza i Tania pobili się o piłkę i Dolly, która wbiegła na krzyk do dziecinnego pokoju, zastała dzieci wyglądające okropnie. Tania trzymała Griszę za włosy, ten zaś, z twarzyczką zniekształconą ze złości, bił ją pięściami na chybił trafił. W sercu Dolly, gdy to ujrzała, jakby pękła jakaś struna, jakby znów

mrok zapadał nad jej życiem. Zrozumiała, że te jej dzieci, z których była taka dumna, to były nie tylko najzwyczajniejsze, ale niegrzeczne, źle wychowane dzieci, órdynarnych, zwierzęcych instynktach, że były to dzieci — złe.

Już teraz o niczym innym nie mogła myśleć ani mówić i nie mogła się powstrzymać od opowiedzenia Lewinowi o swym nieszczęściu.

Lewin widział, że jest zboląta, i starał się dodać jej otuchy przekładając, że to nie dowodzi niczego złego, że wszystkie dzieci się czubią. Wszakże mówiąc to, w głębi duszy myślał: „Nie, ja nie będę wyprawiał takich historii, nie będę ze swymi dziećmi gadał po francusku, ale za to moje dzieci nie będą takie jak te. Nie należy tylko psuć, kaleczyć charakterów dzieci, a będą urocze. Tak, moje dzieci będą urocze, nie takie jak te.”

Pożegnał się i odjechał, a Dolly go nie zatrzymywała.

W połowie lipca stawił się u Lewina sołtys z majątku jego siostry, znajdującego się o dwadzieścia wiorst od Pokrowskiego, i przywiózł ogólne sprawozdanie i raport o sianokosach. Główny dochód z majątku przynosiły zalewne łąki. Za poprzednich lat oddawano sianokos chłopom po dwadzieścia rubli za dziesięcinę. Kiedy Lewin wziął na siebie zarząd majątku, zdecydował po obejrzeniu sianokosu, że łąki są więcej warte, i zażądał od chłopów po dwadzieścia pięć rubli od dziesięciny. Chłopi nie tylko nie dali tej ceny, ale podmawiali innych nabywców. Wówczas Lewin sam pojechał do majątku i zarządził, by trawę skosić częściowo najemną siłą roboczą, częściowo za siano. Chłopi miejscowi przeszkadzali w tej innowacji, jak mogli, Lewin jednak przeprowadził swoje i od razu pierwszego roku łąki dały dochód podwójny. Poprzedniego i zaprzeszłego lata chłopi w dalszym ciągu stawiali bierny opór, a sprzęt siana odbywał się podług nowej metody. W tym jednak roku chłopi zgodzili się do koszenia za trzecią część zebranego siana. Obecnie zjawił się sołtys i oświadczył, że wszystkie pokosy są już zebrane w kopy ze względu na grożący deszcz oraz że on sam w obecności oficjalisty z majątku już siano podzielił i dla dworu postawił jedenaście stogów. Niejasne odpowiedzi sołtysa na pytanie, ile było siana na największej łące, pośpiech, z jakim dokonano podziału bez zapytania właściciela, cały ton rozmowy z chłopem nasunęły Lewinowi podejrzenie, że sprawa jest nieczysta. Postanowił pojechać i sprawdzić rzecz na miejscu.

Przybył do wsi w porze obiadowej, postawił konia u przyjaciela, starego chłopca, męża mamki jego brata, i poszedł do starego do pasieki chcąc się od niego wywiedzieć o szczegółach sprzętu siana. Rozmowny, o miłej powierzchowności, stary Parmenycz powitał radośnie Lewina, pokazał mu całe gospodarstwo, opowiedział ze szczegółami o swoich pszczołach i jak się w tym roku roiły, wszelako na zapytania gościa o sianokos odpowiadał niechętnie i niewyraźnie. To jeszcze bardziej utwierdziło Lewina w jego podejrzeniach, poszedł tedy na łąki obejrzyć stogi. Stwierdziwszy, że nie mogło się w nich mieścić po pięćdziesiąt 'wozów, a chcąc dowieść tego chłopom, polecił natychmiast sprowadzić te podwozy, które woziły siano, i jeden ze stogów przewieźć do szopy. Okazało się, że stóg miał tylko trzydzieści dwa wozy. Mimo zapewnień sołtysa, że siano zrazu posiada pewną pulchność, a potem ulega się w stogach, i mimo jego przysięg, że przy podziale wszystko szło po bożemu — Lewin oświadczył, iż ze względu na przeprowadzony bez jego wiedzy i zezwolenia podział; nie uzna, że stogi mają po pięćdziesiąt wozów. Po długiej dyskusji postanowiono, że chłopi sobie wezmą te jedenaście stogów — licząc po pięćdziesiąt wozów w stogu — jako swoją część, a część pańską wydzielili się od nowa. Te pertraktacje oraz podział kop na łące trwały do podwieczorku. Kiedy podział już ostatecznie zakończono, Lewin zlecił oficjaliście resztę dozoru, a sam usiadłszy na kopie oznaczonej gałązką rokiciny przyglądał się z przyjemnością rojącej się od ludzi łące.

Przed nim, w zakręcie rzeki, tuż za niewielkim mokradetkiem, poruszał się żwawo barwny szereg kobiet, wesoło trajkoczących dźwięcznymi głosami, a ich

śladem, na jasnozielonym odrastającym już potrawie, szybko tworzyły się szare, kręte wały z roztrzęsionego siana. Tuż za babami szli chłopi z widłami w garści i wnet z wałów urastały szerokie, wysokie, rozłożyste kopice. Na lewo, po sprzątniętej już łące klekotały wozy i wnet, podawane na widłach olbrzymimi ładunkami, znikwały kopy, a na ich miejscu stały już tylko fury, które nakładano wonnym sianem, ciężko nawisającym na końskie zady.

— Byle tylko zwieźć przy pogodzie! To mi siano! — chwalił stary, który przysiadł się do Lewina. — Istna herbata, nie siano! A uwijają się, jakby kto kaczętom pośladu sypnął! — dodał wskazując na sprzęt kopic. — Od obiadu dobrą połowę zwieźli.

— Czy to już ostatnia? — krzyknął do młodzika, który stojąc na przodku wozu i wymachując końcami konopianych lejc, przejeżdżał właśnie koło nich.

— Ostatnia, tato! — wrzasnął młodzik wstrzymując konia i z uśmiechem obejrzał się na wesołą, również uśmiechniętą, rumianą babę siedzącą w drabinach wozu, po czym popędził dalej.

— A to kto? Wasz syn? — spytał Lewin.

— Mój najmłodszy — uśmiechnął się z rozrzewnieniem stary.

— Jaki z niego zuch!

— Niczego chłopak.

— I już żonaty?

— Tak, dwa lata minęło na świętego Filipa.

— A dzieci mają?

— Jakie tam dzieci! Przez cały rok nic nie rozumiał i wstydził się — objaśniał Lewina stary. — Ale siano, siano!... Prawdziwa herbata! — powtórzył pragnąc zmienić "temat.

Lewin przyglądał się bacznie Wańce Parmenowowi i jego żonie, którzy ładowali nie opodal furę siana. Iwan Parmenow stał na drabiaku, odbierając, równając i udeptując olbrzymie ilości siana, które zrazu naręczami, później widłami podawała mu zręcznie jego młoda, ładna żona. Kobięcina pracowała bez wysiłku, zgrabnie i wesoło. Grube uleżałe siano nie poddawało się od razu, więc je wpierw wzruszała, by móc wsunąć widły. Potem szybkim, sprężystym ruchem napierała na widły całym ciężarem ciała i natychmiast, przeginając się wpół — przepasana czerwonym pasem — wyprostowywała się i prężąc obfitą pierś pod białym rąbkiem, zgrabnym ruchem zmieniała uchwyt rąk na widłach i podbijała wysoko na wóz olbrzymie naręcze siana. Iwan z pośpiechem, starając się najwidoczniej oszczędzić jej nawet minuty zbytecznego wysiłku, chwycił w szeroko otwarte ramiona podawane siano i układał je na furze. Kobieta podała resztę siana na grabiach, postrząsała z szyi okruchy, które się jej wsypały za koszulę, i poprawiwszy krasną chustkę, zsuniętą z białego, nie opalonego czoła, wlaźła pod wóz, aby go opawęzić. Iwan pokazywał jej, jak zaczepić sznur o pawęż i przy tym głośno roześmiał się z jakiegoś jej powiedzenia. W wyrazie twarzy obojga znać było mocną, młodą, niedawno rozbudzoną miłość.

Wóz był wreszcie związany. Iwan zeskoczył i podprowadził za uzdę dobrego, wypasionego konia. Kobieta wrzuciła na wóz grabie i rażnym krokiem, wymachując rękami, przyłączyła się do korowodu bab. Iwan, wyjechawszy na drogę, zajął ze swym wozem miejsce wśród innych fur. Baby, z grabiami na ramieniu, świecąc jaskrawością barw i trajkocząc dźwięcznymi, wesołymi głosami, szły za nimi. Jeden niski, dziki, babi głos podjął jakąś pieśń i śpiewał ją sam, aż powtarzającą się zwrotkę podchwyciło zgodnie od początku z pół setki rozmaitych, niskich i wysokich, donośnych głosów.

Baby ze swą pieśnią zbliżały się do Lewina, a jemu się zdawało, że to jakaś chmura brzemienista gromem wesołości sunie wprost na niego. Chmura dopadła go, ogarnęła i jego, i kopę siana, na której leżał, i inne kopy, ogarnęła wozy i całą łąkę wraz z dalekim polem — aż wszystko poruszyło się i zakołysało w takt tej dzikiej, rozhukanej pieśni, z jej pokrzykiwaniem, poświstem i pohukiwaniem. Lewin poczuł zazdrość. Zapragnął takiej zdrowej wesołości; najchętniej byłby wziął udział w tym żywiołowym wyrazie radości. Nie mogąc jednak tego uczynić, musiał i nadal leżąc przypatrywać się i słuchać. Gdy cały ludek wraz z pieśnią znikł mu z oczu i nie było go już słyszeć, Lewina ogarnęło uczucie ciężkiej melancholii nad swoim osamotnieniem, swoim fizycznym nieróbstwem i tą swoją jakąś wrogością wobec otaczającego świata.

Niektórzy spomiędzy tych właśnie chłopów, co najbardziej kłócili się z nim o siano, tacy, których on uraził, lub tacy, którzy chcieli go oszukać, ci sami chłopcy wesoło mu się kłaniali i najwidoczniej nie mieli i mieć nie mogli do Lewina żadnego żalu. Nie odczuwali żadnej skruchy ani też nawet nie pamiętali już o planowanym przez siebie oszustwie. Wszystko utonęło w morzu wesołej wspólnej pracy. Pan Bóg dał dzień i Pan Bóg. dał siły. I dzień, i siły zostały poświęcone pracy, która już sama w sobie stanowi nagrodę. A dla kogo jest ta praca? Jakie będą jej owoce? To są rozważania uboczne i znikome.

Lewin nieraz zachwycał się tym życiem, nieraz zazdrość cił ludziom, którzy je wiedli, lecz obecnie po raz pierwszy, specjalnie pod wrażeniem tego, jak Iwan Parmenow traktował swoją młodą żonę, powziął myśl, że przecież od niego tylko zależałaby zmiana. Czemu nie miałby przedzierzgnąć swego tak mu obrzydłego, beczynnego, sztucznego i egoistycznego bytowania w takie oto pracowite., czyste, pospólne, pełne uroku życie?

Stary, który z nim razem usiadł na kopie, dawno już wrócił do siebie; wszyscy się porozchodzili. Mieszkający bliżej pojechali do domu, a dalsi mieszkańcy zebrali się na łące na wieczerzę i nocleg. Nikt nie zauważył Lewina, który, wciąż jeszcze leżąc na swej kopie, patrzył, słuchał i medytował.. Zebrana na łące gromadka przez tę krótką noc prawie wcale nie spała. Zrazu przy wieczerzy słyszeć było ogólne wesołe rozmowy i śmiechy, potem znowu śmiech i pieśni.

Cały długi dzień pracy nie pozostawił na nich żadnego śladu prócz wesołości.

Tuż przed ranną zorzą wszystko ucichło i słychać było tylko niemilknące żaby w błocie i konie parskające we mgle, co podniosła się na łące przed wschodem. Lewin wreszcie ocknął się, wstał i poznał po gwiazdach, że noc już minęła.

„No, więc co mam zrobić? I jak to zrobić?” — rzekł w duchu, usiłując sam dla siebie sformułować wszystko, . co w ciągu tej krótkiej nocy przemyślał i odczuł. Bieg wszystkich jego myśli i uczuć szedł trzema odrębnymi torami. Jeden — to było wyrzeczenie się starego życia, niepotrzebnej wiedzy, nikomu na nic nieużytecznego wykształcenia. To wyrzeczenie było rozkoszą, było dla niego łatwe i proste. Inne znów myśli i wyobrażenia dotyczyły życia, którym pragnął żyć odtąd. Czuł wyraźnie, jaką prostotę, czystość i prawość niosłoby ze sobą takie życie, i był pewien, że znajdzie w nim to zadowolenie, to zaspokojenie i tę godność, których brak tak boleśnie odczuwał. Trzeci za to nurt myśli — jak dokonać tego przejścia od dawnego życia do nowego — obracał się w miejscu. W tej dziedzinie Lewin nic sobie nie mógł jasno wyobrazić. „Ożenić się? Mieć pracę? Pracować z musu? Opuścić Pokrowskie? Kupić gdzie indziej trochę ziemi? Zapisać się do jakiej gminy wiejskiej? Ożenić się z chłopką? Jakże ja to wszystko wykonam? — zapytywał sam siebie i nie znajdował odpowiedzi. — Zresztą, całą noc nie spałem, więc nawet nie mogę zdać. sobie z niczego jasno sprawy — mówił w duchu. — Wyjaśnię to sobie później. Jedno jest pewne, to, że dzisiejsza noc zadecydowała o moim losie. Wszystkie moje poprzednie rojenia o życiu rodzinnym to absurd, zupełnie nie to, co trzeba — zawyrokował. — Wszystko jest daleko prostsze i lepsze...”

„Jakież to piękne! — pomyślał patrząc na dziwaczną jakby z perłowej masy muszlę, całą złożoną z białutkich obłoczków baranków, która stanęła pośrodku nieba, nad samą jego głową. — Jakie urocze jest wszystko w tę śliczną noc. I kiedy ta muszla zdążyła się utworzyć? Niedawno patrzałem w niebo i nie było na nim nic oprócz dwóch białych smug... Tak... Równie niepostrzeżenie zmieniły się i moje poglądy na życie!”

Opuścił łąkę i poszedł gościńcem w kierunku wioski. Podnosił się wiaterek i robiło się szaro. Nastawała mroczna, pochmurna chwila, poprzedzająca zwykle świt, to całkowite zwycięstwo światła nad ciemnością.

Lewin szedł szybko, patrząc w ziemię, skulony od chłodu., „A to co? Ktoś jedzie” — pomyślał słysząc janczary u chomąt i podniósł głowę. O czterdzieści kroków jechała naprzeciw niego tym samym gościńcem zarosłym murawą, którym szedł, kareta z kuframi na dachu, zaprzężona w cztery konie. Konie dyszlowe cisnęły się do dyszla unikając kolein, ale zręczny pocztylion, siedzący na koźle bokiem, utrzymywał dyszel nad koleiną, tak że koła stale toczyły się po gładkim.

Lewin zrazu zauważył tylko to jedno i nawet nie myśląc o tym, kto jedzie, z roztargnieniem spojrzął do wnętrza karety.

W kącie drzemała staruszka, a przy oknie siedziała, najwidoczniej tylko co zbudzona, młoda dziewczyna trzymająca jeszcze oburącz wstążki od białego czepeczka. Jasna i zadumana, pełna subtelного i skomplikowanego, a obcego Lewinowi życia, patrzyła, nie widząc przechodnia, na zorzę wschodu.

W chwili kiedy zjawisko już miało zniknąć, najszczerze oczy spojrzały wprost

na niego. Poznała go i radosne zdumienie opromieniło jej twarz.

Nie mógł się omylić. Na całym świecie była tylko jedna taka para oczu i była tylko jedna na świecie istota zdolna zogniskować dla niego całą jasność i cały sens istnienia. To była ona, Kitty. Widocznie jechała ze stacji kolejowej do Jerguszowa. I nagle wszystko, co ubiegłej bezsennej nocy tak poruszyło Lewina, wszystkie powzięte przezeń postanowienia — znikły. Ze wstrętem przypomniał sobie swoje rojenia o małżeństwie z chłopką. Tam, tylko tam, w tej prędko oddalającej się po drugiej stronie gościńca karecie, była możliwość rozwiązania zagadki życia, która ostatnimi czasy tak go dotkliwie męczyła.

Nie wyjrzała po raz drugi. Scichł odgłos resorów i janczary już ledwo było słycać. Szczekanie psów oznajmiło, że kareta wjechała do wioski. Dokoła pozostały puste pola, przed nim — wieś i tylko on, samotny i obcy wszystkiemu, idący sam jeden po zaniedbanym gościńcu.

Spojrzał na niebo mając nadzieję odnaleźć tam ową muszlę, która go tak zachwycała i która uosabiała dla niego cały bieg myśli i uczuć z ostatniej nocy. Na niebie wszakże nie było już nic podobnego do owej muszli. Tam, na niedostępnej wysokości, zaszła już tajemnicza przemiana. Nie było ani śladu muszli, a połowę nieba zaścielał dywan z coraz to drobniejszych obłocznych baranków. Niebo błękitniało i jaśniało, i ciągle z jednaką czułością, ale też jednako niedostępne, odpowiadało na pytające spojrzenie Lewina.

„Nie — rzekł do siebie — jakkolwiek piękne jest to proste i pracowite życie, nie mogę do niego powrócić. Kocham ją.”

Nikt, prócz osób stojących całkiem blisko Karenina, nie wiedział, że ten na pozór w najwyższym stopniu zimny i pełen rozsądku człowiek miał pewną słabość, zupełnie sprzeczną z ogólnym układem jego charakteru. Aleksy Aleksandrowicz nie mógł patrzeć na łzy dziecka lub kobiety. Widok łez wprawiał go w stan całkowitego rozprężenia i odbierał wszelką zdolność orientacji. Szef kancelarii i sekretarz Karenina obaj znali tę jego właściwość i przestrzegali petentki, aby — o ile nie chcą popsuć z góry całej sprawy — powstrzymywały się od płaczu.' „Bo rozgniewa się i nie będzie chciał pani wcale wysłuchać” — mówili. Istotnie, zamęt wewnętrzny, jaki łzy wywoływały w Kareninie, uzewnętrzniał się w nagłym gniewie. „Nie mogę, nie mogę nic dla pani zrobić. Proszę wyjść!” — zwykł był wykrzykiwać w podobnych wypadkach.

Kiedy w drodze z wyścigów Anna oznajmiła mu o swym stosunku do Wrońskiego i zaraz potem rozpląkała się kryjąc twarz w dłoniach, Aleksy Aleksandrowicz mimo gniewu, jaki w nim wzbudziła żona, jednocześnie poczuł, że wzbiera w nim ów zamęt wewnętrzny, który łzy w nim zawsze wywoływały. Zdając sobie z tego sprawę i wiedząc, że byłoby nie wskazane w takiej chwili wypowiadać swoje uczucie, starał się powstrzymać od jakichkolwiek w ogóle oznak życia i dlatego nie poruszał się i nie patrzył na żonę. Stąd pochodził ten dziwny, trupi wyraz twarzy, który tak uderzyły Annę.

Gdy dojechali do domu, pomógł jej wysiąść z karety i opanowując się pożegnał ją ze zwykłą grzecznością, przy czym wypowiedział zdanie, które go do niczego nie zobowiązywało, a mianowicie, że da jej nazajutrz znać o swej decyzji.

Słowa, którymi Anna potwierdziła jego najgorsze przeczucia, sprawiły mu ból okrutny, tym okrutniejszy, że wzmożony owym dziwnym, jakby fizycznym, uczuciem litości wywołanej widokiem jej łez. Gdy jednak pozostał sam w karecie, ku wielkiemu swemu zdumieniu i zadowoleniu poczuł się nagle zupełnie wolny i od tego politowania, i od dręczących go ostatnimi czasy wątpliwości i mąk zazdrości. Czuł się jak człowiek, któremu wyrwano bolący od dawna ząb. Po okropnym bólu i wrażeń, że wyrywają mu ze szczęki coś olbrzymiego, większego od całej głowy, chory nagle, jeszcze nie dowierzając własnemu szczęściu, czuje, że to, co od tak dawna zatruwało mu życie, pochłaniało całą jego uwagę, naraz przestało istnieć i że znów może żyć, myśleć i interesować się nie tylko wyłącznie własnym zębem. Tego właśnie uczucia doświadczał teraz Karenin. Ból był niezwykły i straszliwy, ale obecnie już minął i można było znowu żyć i myśleć nie tylko wyłącznie o żonie.

„Bez czci, bez serca, bez religii, zepsuta kobieta! Zawszem to wiedział i widział, chociaż przez litość dla niej starałem się oszukiwać sam siebie” — pomyślał. I zdawało mu się, że zawsze to widział. Przypominał sobie teraz szczegóły dotychczasowego z nią pożycia, które dawniej nie wydawały mu się niczym zdołnym, obecnie zaś dowodziły jasno, że Anna zawsze była zepsuta. „Popełniłem omyłkę wiążąc z nią swoje życie. Omyłka ta wszelako nie była niczym złym, nie ja tedy powinienem być nieszczęśliwy. Nie ja jestem winien, lecz ona — powiedział

sobie. — Ale ona mnie już nie obchodzi. Nie istnieje dla mnie."

To wszystko, co miało spaść na nią i na syna, w stosunku do którego, tak jak i do niej, uczucia jego uległy zmianie, przestało go w ogóle zajmować. Jedyna rzecz, która go obecnie interesowała, to zagadnienie, jak w najlepszy, najprzyzwoitszy, najdogodniejszy dla siebie — a przeto i najsprawiedliwszy — sposób otrząsnąć się z tego błota, którym, padając sama, opryskała i jego, i jak w dalszym ciągu iść nadal swoją własną drogą czynnego, uczciwego i użytecznego życia.

„Nie godzi się, abym ja był nieszczęśliwy dlatego, że nikczemna kobieta popełniła przestępstwo. Muszę tylko obmyślić najlepsze wyjście z tej ciężkiej sytuacji, w której się przez nią znalazłem. I obmyślę je — obiecywał sobie zasepiając się coraz bardziej. — Nie ja pierwszy, nie ja ostatni." I w wyobraźni jego zarysował się cały szereg wypadków zdrad, jakich ostatnio padli ofiarą różni mężowie, ludzie z wyższego towarzystwa, nie mówiąc już o Menelausie, którego pamięć wskrzesiło wystawienie Pięknej Heleny. Dariałow, Połtawski, księżę Karibanow, hrabia Paskudin, Dram... Tak, i Dram również... Taki porządny, solidny człowiek... Siemionow, Czagin, Sigonin — przypominał sobie Aleksy Aleksandrowicz. — Dajmy na to, że jakieś bezsensowne ridicule okrywa tych ludzi, lecz ja sam nigdy nie widziałem w tym nic oprócz nieszczęścia i zawsze miałem dla nich tylko współczucie" — stwierdzał Karenin, mimo że nie było to prawdą. Nie tylko nigdy nie miał współczucia dla tego rodzaju nieszczęść, lecz im częściej zdarzały się wypadki niewierności żon wobec mężów, tym wyżej stawiał siebie. „Takie nieszczęście może się przytrafić każdemu. Teraz mnie się przytrafiło. Chodzi tylko o to, jak najlepiej dać sobie radę z tą sytuacją." Tu począł roztrząsać w myśli sposób postępowania ludzi, którzy znaleźli się w takim jak on położeniu. „Dariałow miał pojedynek...

Za młodych lat pojedynek specjalnie pociągał Karenina, właśnie dlatego, że był on człowiekiem fizycznie lęklwym, o czym dobrze wiedział. Nie mógł bez przerażenia wyobrazić sobie wymierzonego do siebie pistoletu i nigdy w życiu nie używał żadnej broni. Właśnie ten lęk był od młodych lat powodem, że narzucała mu się myśl o pojedyнку i że niejako przymierzał się do takiej sytuacji, w której byłby zmuszony narazić życie na niebezpieczeństwo. Sukcesy i osiągnięcie solidnego stanowiska w życiu sprawiły, że już dawno zapomniał o tym uczuciu, ale stary nawyk wziął teraz górę. Obawa własnego tchórzostwa i obecnie była w nim tak przemożna, że Karenin długo i wszechstronnie rozważał i pieścił się myślą o pojedyнку, chociaż wiedział już z góry, że w żadnym wypadku nie będzie się bił.

„Bez wątpienia, społeczeństwo nasze jest jeszcze tak niekulturalne (nie to co: w Anglii!), że wielu — a pomiędzy nimi byli tacy, o których opinię Karenin specjalnie dbał — widziałoby dobre strony pojedyunku. Jaki jednak byłby rezultat? Przypuśćmy, że wyzwę go na pojedynek" — kontynuował swój wewnętrzny monolog Aleksy Aleksandrowicz. Tu żywo wyobraził sobie noc, jaką spędził po wyzwaniu, i skierowaną ku sobie lufę pistoletu; dreszcz go przejął, zrozumiał, że nigdy nic podobnego nie uczyni. „Przypuśćmy, że wyzwę go na pojedynek. Przypuśćmy, że mnie wszystkiego nauczą — myślał dalej — że mnie ustawią, że nacisnę kurek — mówił zamykając oczy — i okaże się, że go zabiłem — rzekł do

siebie i trząchnął głową, by odpędzić te głupie myśli. — Czy to ma sens zabić człowieka po to, by wyjaśnić swój stosunek do występnej żony i do syna? Tak czy tak, musiałbym potem postanowić, co z nią począć. Lecz — co jest jeszcze prawdopodobniejsze i co z pewnością się stanie — zabity lub ranny będę właśnie ja, ja, który nic nie zawiniłem. Ja — uszkodzony — byłbym ranny lub zabity. To byłoby jeszcze bardziej bezsensowne. Lecz nie dość na tym. Wyzwanie na pojedynek będzie z mej strony uczynkiem nieuczciwym, wiadomo mi bowiem z góry, że przyjaciele moi nigdy do tego pojedynku nie dopuszczą, nie pozwolą na to, by życie potrzebnego Rosji męża stanu było narażone na niebezpieczeństwo. Cóż się tedy stanie? To, że naprzód- już przekonany o nieszkodliwym zakończeniu, byłbym chciał jedynie dodać sobie przez to wyzwanie jakiejś próżnej glorii. To byłoby nieuczciwe, to byłby fałsz oszukiwanie innych i samego siebie. Pojedynek jest nie do pomyślenia i nikt się go po mnie nie spodziewa. Celem moim winno być zabezpieczenie mego dobrego imienia, które jest mi niezbędne do prowadzenia bez przeszkód i nadal mej działalności." Służbowe czynności, które i przedtem miały dla Karenina wielkie znaczenie, nabrały obecnie w jego oczach osobliwej wagi.

Po rozważeniu i odrzuceniu pojedynku Aleksy Aleksandrowicz zabrał się do rozważania rozwodu. Było to drugie wyjście obierane przez niektórych z owych zdradzonych mężów, którzy mu się przypomnieli. Przerzucając w pamięci wszystkie wiadome mu wypadki rozwodu (było ich bardzo wiele i w najwyższym, dobrze mu znanym towarzystwie) Aleksy Aleksandrowicz nie znalazł ani jednego, gdzie by cel był taki, jaki on sam sobie stawiał. We wszystkich tych wypadkach mąż odstępował lub odprzedawał niewierną żonę, i strona, która na skutek przewinienia nie miała prawa zawierać małżeństwa, wstępowała w oparty na fikcji, niby legalny związek z nowym małżonkiem. Aleksy Aleksandrowicz. jednak zdawał sobie sprawę, że w jego wypadku otrzymanie legalnego, tj. takiego rozwodu, gdzie by tylko niewierna żona została obarczona winą, było niemożliwe. Wiedział, że skomplikowane warunki życia, w których się znajdował, nie pozwalały na uzyskanie takich drastycznych dowodów, jakich wymagała ustawa, dla stwierdzenia wiarołomstwa żony, i wiedział, że pewne wysubtelnienie tego życia nie pozwala na użycie tych dowodów, nawet gdyby one istniały. Użycie ich więcej zaszkodziłoby w opinii jemu niż jej.

Próba otrzymania rozwodu mogła jedynie doprowadzić do skandalicznego procesu, który byłby gratką dla jego wrogów, stałby się tematem obmowy i obniżyłby powagę jego stanowiska. Tymczasem głównym celem Karenina było wyświetlenie sytuacji przy wywołaniu jak najmniejszego zamętu. Celu tego nie można było osiągnąć przez rozwód. Poza tym było jasne, że w razie rozwodu, a nawet przy próbie otrzymania go, żona zrywała z mężem i pozostawała przy kochanku. W duszy jednak Karenina, mimo że obecnie odnosił się do Anny, jak mu się zdawało, tylko z pogardliwą obojętnością, pozostało w stosunku do niej jedno uczucie: nie życzył sobie, by mogła połączyć się bez przeszkód z Wrońskim, nie chciał, aby przestępstwo przyniosło jej korzyść. Już sama myśl o tym tak podrażniła Karenina, że zaledwie to sobie wyobraził, aż jęknął z wewnętrznego bólu, zerwał się i przesiadł na inne miejsce w karecie, a potem — zasepiony — długo owijał swe

łatwo ziębnące, kościste nogi w puszysty pled podróżny.

„Poza formalnym rozwodem można by też postąpić jak Karibanow, Paskudin i ten zacny Dram, to jest rozstać się z żoną” — myślał dalej, już spokojniejszy. Ale i ten krok pociągałby za sobą te same niedogodności co rozwód, czyli i wówczas jego dobre imię byłoby narażone na szwank, a co najważniejsze — separacja, tak samo jak formalny rozwód, rzucała Annę w objęcia Wrońskiego. „Nie, to niemożliwe, niemożliwe! — wykrzyknął głośno i znów. jął obracać pled na drugą stronę. — Ja nie powinienem być nieszczęśliwy, ale niechże ona i on nie będą szczęśliwi.” Zazdrość dręcząca go w okresie niepewności znikła z chwilą, gdy wyznanie żony wyrwało mu niejako zęb razem z jego bólem. Ale zazdrość ustąpiła innemu uczuciu — pragnieniu, by żona jego nie tylko nie triumfowała nad nim, lecz by spotkała ją kara za zbrodnię. Karenin nie chciał się przyznać do tego uczucia, lecz w głębi serca miał ochotę, by Anna odpokutowała za ujmę przyczynioną jego czci i spokojowi. I na nowo przetasowywał możliwości, jakie nastroczały pojedynek, rozwód i separacja, i na nowo je odrzucił, pewien, że było tylko jedno wyjście: zatrzymać żonę przy sobie, ukrywszy przed światem to, co się stało, i poczyniwszy wszystkie kroki, by przerwać występny związek, a zatrzymać ją po to zwłaszcza (do czego się sam przed sobą nie przyznawał), by ją ukarać. „Winienem oznajmić jej moją decyzję, mianowicie, że po rozważeniu trudnej sytuacji, do jakiej doprowadziła rodzinę, okazało się, iż wszystkie inne wyjścia byłyby dla obu stron gorsze niż pozorne status quo i że takowe gotów jestem z mej strony zachować, lecz pod ścisłym warunkiem, by żona ze swej strony zastosowała się do mojej woli, to jest, by zerwała z kochankiem.” Jeszcze jedna ważna okoliczność posłużyła Kareninowi jako potwierdzenie raz już powziętej decyzji. „Tylko w ten sposób — pomyślał — postępuję zgodnie z religią; tylko przy tego rodzaju decyzji nie odtrącam od siebie występnej żony, lecz daję jej możliwość poprawy i nawet — jakkolwiek ciężko by mi to przyjść mogło — poświęcam część mych własnych sił ku jej poprawie i zbawieniu.” Aleksy Aleksandrowicz dobrze wiedział, że nie może mieć na żonę żadnego moralnego wpływu i że z całej tej próby skłonienia jej do poprawy nic oprócz fałszu nie wyniknie. Mimo to i mimo że przez cały czas tych ciężkich przejść ani razu przez myśl mu nie przeszło kierować się zasadami religii — teraz, gdy jego decyzja była, jak mu się zdawało, zgodna z przepisami religii, owa sankcja religijna dla jego postanowień dawała mu pełną satysfakcję i przynosiła nawet pewną ulgę. Ucieszył się na myśl, że również i w sprawie tak życiowo ważnej nikt nie będzie mógł zarzucić mu, że postępuje niezgodnie z przepisami tej religii, której sztandar pośród ogólnej oziębłości i obojętności dźrzyżył zawsze tak wysoko. Obmyślając dalsze szczegóły Karenin nie widział nawet powodu, dlaczego jego stosunki z żoną nie miałyby pozostać nieomal takie, jak dotychczas. Niewątpliwie, nie będzie nigdy w stanie przywrócić jej swego dawnego szacunku, nie było jednak i być nie mogło żadnej racji, by miał dezorganizować swoje życie i cierpieć tylko dlatego, że Anna była złą i niewierną żoną. „Tak przejdzie czas, wszystko wyrównujący czas, i znów powrócą dawne stosunki — mówił sobie Karenin — to jest, powrócą na tyle, że życie moje nie dozna zamętu. Ona powinna być nieszczęśliwa, lecz ja nic nie zawiniłem i przeto nie powinienem być nieszczęśliwy.”

Zbliżając się do Petersburga Aleksy Aleksandrowicz nie tylko był już zupełnie zdecydowany na takie rozstrzygnięcie, lecz nawet ułożył sobie w głowie list, jaki napisze do żony. Po wejściu do portierni rzucił okiem na listy i akta przyniesione z ministerstwa i kazał podać je sobie do gabinetu.

— Proszę kazać wyprząc konie i nikogo nie przyjmować — polecił na zapytanie szwajcara, kładąc z pewną przyjemnością mocniejszy akcent na słowie „nie przyjmować”, co było u niego oznaką dobrego humoru.

Karenin przeszedł się dwa razy po gabinecie i zatrzymał się przed olbrzymim biurkiem, gdzie już uprzednio kamerdyner zapalił sześć świec, trzasnął w, palce, usiadł i począł przebierać w przyborach do pisania. Położył łokcie na stole, przechylił głowę na bok i zaczął pisać nie zatrzymując się ani na chwilę. Pisał do żony opuszczając osobisty zwrot do niej na początku listu; pisał po francusku, posługując się zaimkiem vous, który w tym języku nie ma tego charakteru oziębłości, jaki posiada po rosyjsku. „W czasie ostatniej naszej rozmowy wyraziłem zamiar powiadomienia Pani o decyzji, jaką powezmę na temat przez nas wówczas poruszony. Po dokładnym rozważeniu wszystkiego piszę obecnie w celu spełnienia tej obietnicy. Decyzja moja jest następująca: jakiegokolwiek było Pani postępowanie, nie uważam, bym miał prawo zerwać więzy, którymi nieba nas połączyły. Rodzina nie może ulec rozpadowi z powodu kaprysu, samowoli czy nawet zbrodni jednego z małżonków, i życie nasze winno toczyć się tak jak dotychczas. Jest to konieczne dla mnie, dla Pani, dla naszego syna. Jestem zupełnie przekonany, że Pani żałowała i żałuje tego, co stało się powodem niniejszego listu, i że Pani będzie współdziałała ze mną, aby wyrwać z korzeniem przyczynę naszego poróżnienia i zapomnieć o tym, co było. W razie przeciwnym sama może Pani sobie wyobrazić, jaki los oczekiwałby Panią i jej syna. Wszystko to mam nadzieję bardziej szczegółowo omówić przy osobistym spotkaniu. Ponieważ letni sezon już się kończy, prosiłbym, aby Pani jak najprędzej, nie później niż we wtorek, przeniosła się do Petersburga. Wszystkie konieczne do tych przenosin rozporządzenia będą wydane. Zwracam uwagę Pani, że wypełnieniu tej mojej prośby przypisuję specjalne znaczenie.

A. Karenin

P. S. Załączam do listu pieniądze, które mogą Pani być potrzebne na wydatki."

Odczytał list z zadowoleniem, zwłaszcza kontent był, że pamiętał o załączeniu pieniędzy. Nie było w liście ani jednego okrutnego słowa, żadnego wyrzutu, nie było jednak i pobłażliwości. A co najważniejsze, był w nim złoty most ułatwiający powrót. Złożywszy list wygładził go wielkim, masywnym nożem ze słoniowej kości i umieścił w kopercie razem z pieniędzmi. Czuł zadowolenie, które zawsze budziło się w nim przy posługiwaniu się doskonałymi przyborami do pisania, jakie posiadał. Zadzwoił.

— Oddasz to kurierowi, żeby doręczył jutro jaśnie pani w Peterhofie — powiedział i wstał.

— Słucham, wasza ekscelencjo. Gzy mam podać herbatę do gabinetu?

Aleksy Aleksandrowicz kazał podać sobie, herbatę w gabinecie i bawiąc się masywnym nożem podszedł do fotela, przy którym była przygotowana lampa i rozpoczęta książka francuska o napisach eugubińskich. Nad fotelem wisiał w owalnej, złotej -ramie piękny portret Anny, pędzla znakomitego artysty. Aleksy Aleksandrowicz spojrzał na portret: nieprzeniknione jej oczy patrzyły na niego szyderczo i bezczelnie jak w ostatni ów wieczór, gdy doszło między nimi do wyjaśnień. Wygląd doskonale oddanej przez artystę czarnej koronki na głowie, czarnych włosów i prześlicznej białej ręki, o serdecznym palcu pokrytym pierścionkami, zdał się Kareninowi również bezczelny i nieznośnie wyzywający. Popatrzył przez chwilę na portret, wzdrygnął się tak, że aż mu wargi zadygotały wydając dźwięk „brrr!", i odwrócił się. Rzucił się na fotel i otworzył książkę. Spróbował czytać, lecz nie potrafił już wskrzesić w sobie żywego przedtem zainteresowania eugubińskimi napisami. Patrzył w książkę i myślał o czym innym. Myślał jednak nie o żonie, lecz o pewnej komplikacji, jaka wynikła ostatnimi czasy w jego państwowej działalności i stała się punktem ciężkości jego służbowych zainteresowań. Czuł, że w tej chwili był w stanie głębiej niż kiedykolwiek wnikać w istotę tej komplikacji i że powstawała w jego głowie — mógł to powiedzieć śmiało, bez fałszywych złudzeń — myśl kapitalna, mogąca rozplątać całą tę kwestię, przynieść mii awans w karierze, zaszkodzić jego wrogom, a w rezultacie dać dużą korzyść państwu. Skoro tylko służący podał herbatę i opuścił pokój, Aleksy Aleksandrowicz wstał i podszedł do biurka. Posunąwszy na środek tekę ze sprawami bieżącymi, z ledwo dostrzegalnym uśmiechem zadowolenia z siebie wyjął z podstawki ołówki. i pogрузzył się w czytaniu trudnego dossier, którego specjalnie zażądał, a które miało związek z ową komplikacją. Oto na czym komplikacja polegała. W swym charakterze męża stanu Karenin miał, podobnie jak każdy wybitny urzędnik, pewien rys charakterystyczny, dzięki któremu; przy swej upartej ambicji, opanowaniu, uczciwości i pewności siebie zrobił karierę. Rys ten polegał na lekceważeniu papierowych oficjalności, uproszczeniu korespondencji, na bezpośrednim — o ile się dało — stosunku do żywych spraw, wreszcie na oszczędności. Tak się zdarzyło; że na sławetnej komisji z drugiego czerwca była postawiona sprawa nawodnienia pól guberni zarajskiej, przynależna do kompetencji ministerstwa Karenina i będąca typowym przykładem niecelowych wydatków i papierowego stosunku do spraw. Aleksy Aleksandrowicz wiedział, że zarzuty były uzasadnione. Sprawa ta zaczęła się jeszcze za jego poprzednika. Istotnie, wydano na irygację pól zarajskiej guberni najzupełniej nieproduktywnie bardzo wiele pieniędzy i cała ta historia nie mogła oczywiście doprowadzić do żadnego rezultatu. Kiedy Aleksy Aleksandrowicz rozpoczął urzędowanie, natychmiast się w tym zorientował i chciał wziąć rzecz w swoje ręce. Zrazu jednak nie czuł się dość pewny siebie. Wiedział, że sprawa ta zahaczała o mnóstwo interesów, że więc nierozsądnie byłoby ją poruszać. Później zajęły go inne sprawy i o tej po prostu, zapomniał — szła naprzód jak wszystkie sprawy, sama przez się, siłą bezwładności. (Wiele osób utrzymywało się z niej, zwłaszcza pewna bardzo porządna i muzykalna rodzina, gdzie wszystkie córki grały na instrumentach strunowych. Karenin znał ową rodzinę i nawet na ślubie jednej ze starszych córek

zastępował ojca panny młodej.) Uważał, że zaczepienie tej całej rzeczy przez wrogie ministerstwo było nielojalnością, w każdym bowiem ministerstwie istniały podobne i jeszcze znacznie gorsze sprawy, których nikt, kierując się pewnego rodzaju etykietą służbową, nie poruszał. Skoro jednak obecnie rzucano mu rękawicę, podnosił ją śmiało: żądał powołania osobnej komisji dla skontrolowania i przestudiowania prac komisji nawodnienia pól guberni zarańskiej, ale za to nie oszczędzał także i tamtych panów. Żądał ze swej strony powołania komisji specjalnej dla spraw organizacji obcoplemieńców. Sprawa ta — organizacji obcoplemieńców — wyłoniła się przypadkowo w Komitecie w dniu drugiego czerwca i Karenin energicznie ją wysuwał jako niecierpiącą zwłoki, wobec pożałowania godnego stanu obcoplemieńców. Na Komitecie stała się ona przedmiotem sporu kilku ministerstw. Ministerstwo niechętne Kareninowi dowodziło, że obcoplemieńcy znajdują się w stanie niezwykłego rozkwitu i że projektowana reorganizacja może podciąć ten rozkwit; także dowodziło, że jeśli istnieją jakieś niedociągnięcia, to tylko dlatego, że ministerstwo Aleksandra Aleksandrowicza nie przedsięwzięje kroków przewidzianych przez prawo. Obecnie Karenin miał zamiar żądać: po pierwsze, zwołania nowej komisji, która miałaby za zadanie zbadać na miejscu położenie obcoplemieńców; po drugie — jeśli okaże się, że położenie obcoplemieńców jest istotnie tak złe, jak to wynika z oficjalnych danych, które posiadał komitet, to żeby powołano jeszcze jedną komisję naukowców, która by zbadała przyczyny takiego rozpaczliwego stanu obcoplemieńców z punktu widzenia: a) politycznego, b) administracyjnego, c) ekonomicznego, d) etnograficznego, e) materialnego, . i) religijnego; po trzecie, aby zażądano od wrogiego ministerstwa sprawozdania o krokach, które to ministerstwo przedsięwzięło w ciągu ostatniego dziesięciolecia dla zapobieżenia niekorzystnym warunkom, w jakich obecnie bytują obcoplemieńcy, i wreszcie, aby zażądano od tego ministerstwa wyjaśnienia, dlaczego — jak widać z dostarczonych komitetowi informacji L. L. 17015 i 18308 z piątego grudnia 1863 roku i siódmego czerwca 1864 roku — ministerstwo postępowało wręcz sprzecznie z intencją zasadniczej i organicznej ustawy, tom..., paragraf 18 oraz uwaga do paragrafu 36. Twarz Karenina ożywiła się i nabrała rumieńca, podczas gdy szybko szkicował konspekt tych myśli. Po zapisaniu arkusza papieru wstał, zadzwonił i przesłał naczelnikowi kancelarii pisemko z prośbą o dostarczenie mu potrzebnych informacji; powstawszy przeszedł się po pokoju, znów spojrzął na portret, zmarszczył brwi i uśmiechnął się pogardliwie, po czym zabrał się do książki o eugubińskich napisach, tym razem z odnowa rozbudzonym zainteresowaniem. O jedenastej wieczór Karenin położył się spać, a kiedy leżąc w łóżku przypomniał sobie o zajściu z żoną, nie widział go już w tak czarnych jak uprzednio kolorach.

Mimo że Anna z gniewem i uporem przeczyła Wrońskiemu, gdy ten twierdził, że sytuacja jej jest niemożliwa, i namawiał ją do wyznania wszystkiego mężowi, w głębi duszy uważała swe położenie za fałszywe, nieuczciwe i całym sercem pragnęła zmiany. Wracając z mężem z wyścigów, w chwili wzburzenia wyznała mu wszystko i mimo bólu, jakiego przy tym doznała, była rada, że to uczyniła. Po odjeździe męża mówiła sobie, że jest zadowolona, bo teraz wszystko się wyjaśni i przynajmniej odtąd nie będzie kłamstwa i oszustwa. Zdawało się jej rzeczą niewątpliwą, że obecnie sytuacja jej stanie się już raz na zawsze przejrzysta. Mogła to być sytuacja nieprzyjemna, ale przynajmniej wyraźnie określona i już bez kłamstwa i niejasności. Ból, którego doznała sama i który zadała mężowi wypowiadając wówczas te słowa, będzie obecnie wynagrodzony tym, że wszystko się nareszcie ustali. Tego samego wieczoru spotkała się z Wrońskim, lecz nie mówiła mu o tym, co zaszło pomiędzy nią a mężem, mimo że dla wyjaśnienia sytuacji z pewnością należało mu to powiedzieć. Gdy się obudziła na drugi dzień, pierwszą rzeczą, która jej przyszła do głowy, były jej własne słowa wypowiedziane do męża. Wydały się jej one czymś tak okropnym, że obecnie nie mogła nawet pojąć, jak potrafiła się zdecydować na wymówienie czegoś tak dziwnego i brutalnego, ani wyobrazić sobie, co z tego wyniknie. Słowa wszakże zostały wymówione i Karenin odjechał bez żadnej odpowiedzi. „Widziałam się z Wrońskim i nic mu nie powiedziałam. W chwili gdy odchodził, chciałam go zawrócić z drogi i powiedzieć mu, ale się rozmyśliłam, ponieważ wydałoby się dziwne, dlaczego mu tego nie powiedziałam od razu. Czemu właściwie nie zrobiłam tego, mimo że miałam ten zamiar?” W odpowiedzi na to pytanie gorący rumieniec wstydu zalał jej twarz. Zrozumiała, co ją powstrzymało. Zrozumiała, że było jej wstyd. Sytuacja, która poprzedniego wieczoru zdawała się wyjaśniona, nagle nie tylko już się jej nie wydawała wyjaśniona, ale była bez wyjścia. Przeraziła się hańby, o której przedtem w ogóle nie myślała. Gdy tylko poczyniała zastanawiać się nad tym, co uczyni teraz mąż, przychodziły jej do głowy najstraszniejsze myśli... Że zaraz zjawi się administrator i wypędzi ją z domu, że hańba jej zostanie ogłoszona całemu światu. Zadawała sobie pytanie, dokąd się uda, gdy ją wypędzą, i nie znajdowała odpowiedzi.

Kiedy myślała o Wrońskim, wyobrażała sobie, że on jej nie kocha, że już mu się sprzykrzyła, że ona nie może mu się przeciw narzucić, i czuła z tego powodu wrogość do niego. Zdawało się jej, że słowa wypowiedziane do męża, które odtąd wciąż powtarzała w wyobraźni, wyrzekła do wszystkich i że wszyscy ją słyszeli. Nie śmiała patrzeć w oczy domownikom. Nie mogła się zdecydować, by zawołać pannę służącą, a tym mniej, by zejść na dół i spotkać się z synkiem i guwernantką.

Dziewczyna, która dawno już nadśluchiwała u drzwi, weszła wreszcie sama do sypialni. Anna pytająco spojrzała jej w oczy i zarumieniła się ze strachu. Służąca przeprosiła, że weszła do pokoju, lecz zdawało się jej, że słyszała dzwonek. Przyniosła suknię i list. List był od Betsy, która przypominała, że tego dnia przed

południem mają do niej przyjechać na partię krokietą Liza Mierkałowa i baronowa Sztolc ze swym wielbicielem Kałużskim i ze starym Striemowem. „Przyjedź, kuzynko, choćby po to, żeby przyjrzeć się dzisiejszym obyczajom. Czekam” — kończyła. Anna przeczytała list i ciężko westchnęła.

— Nic, nic mi nie trzeba — powiedziała do Annuszki, która przestawiała na toalecie flakony i szczotki. — Idź już, zaraz się ubiorę i wyjdę. Nic, nic mi nie potrzeba.

Annuszka wyszła. Anna jednak nie zaczynała się ubierać, lecz siedziała wciąż w tej samej pozie, z opuszczoną głową i rękoma. Od czasu do czasu całym jej ciałem wstrząsało drgnienie, jakby chciała zrobić jakiś gest lub coś powiedzieć, i nieruchomiła na nowo. Powtarzała bez ustanku: „Boże mój! Boże mój!...” Wszakże ani „Boże”, ani „mój” nie miały dla niej żadnego znaczenia. Myśl, żeby na swą sytuację szukać rady w religii, była dla niej — mimo że nigdy nie miewała wątpliwości religijnych co do wiary, w której się wychowała — równie obca jak szukanie” pomocy na przykład u Karenina. Wiedziała z góry, że mogła otrzymać pomoc od religii tylko pod warunkiem wyrzeczenia się tego, co stanowiło dla niej cały sens życia. Było jej nie tylko ciężko, lecz zaczynał ją ogarniać strach przed nowym, zupełnie dotąd nie znanym, stanem wewnętrznym. Czuła, że się w jej duszy wszystko poczyną dwoić, tak jak w zmęczonych oczach nieraz dwoją się przedmioty. Chwilami nie wiedziała, czego się lęka, a czego pragnie. Czy lęka się tego, co było, czy tego, co będzie. Czego pragnie właściwie — sama nie wiedziała.

„Ach, co ja robię?” — westchnęła czując nagle ból po obu stronach czaszki. Gdy przyszła do siebie, spostrzegła, że trzyma się za włosy w okolicach skroni i przyciska je oburącz. Zerwała się i poczęła przechadzać się po pokoju.

— Kawa podana i m a m z e l z Sieriożą czekają — powiedziała Annuszka wchodząc znów do pokoju i zastając Annę w tej samej co uprzednio pozie.

— Sierioża? Co z Sieriożą? — ożywiła się nagle Anna przypominając sobie po raz pierwszy tego ranka o istnieniu syna.

— Zdaje się, że coś zbroił — odrzekła z uśmiechem Annuszka.

— Jak to — zbroił?

— W narożnym pokoju leżały brzoskwinie. Zdaje się, że po kryjomu zjadł jedną.

Przypomnienie o synku wyrwało nagle Annę ze ślepej uliczki, w której się znajdowała. Powróciła do roli — po części zresztą szczerzej, choć mocno przesadzonej — matki żyjącej tylko dla syna, roli, którą sobie obrała w ostatnich latach, i poczuła z radością; że w sytuacji, w jakiej się znajdowała, jest przecież jedna dziedzina niezależna od stosunku jej do męża i do Wrońskiego. Tą dziedziną był syn. Jakakolwiek będzie jej sytuacja, syna opuścić nie może. Niechby nawet mąż wydał ją na hańbę i wypędził, niechby Wroński ostygł dla niej i wrócił do swego niezależnego życia (pomyślała znów o nim z goryczą i wyrzutem) — ona synka opuścić nie może. Ma w życiu cel i musi teraz działać, działać, żeby zapewnić sobie syna, by go jej nie odebrano. I nawet należy działać szybko, jak najszybciej, dopóki go jej jeszcze nie zabrano. Trzeba wziąć syna i wyjechać. Oto, co należy teraz uczynić. Musiała uspokoić się i wyrwać z tej dręczącej sytuacji. Myśl o

działaniu bezpośrednim związanym z synkiem, o tym, by zaraz z nim dokądś wyjechać, uspokoiła ją.

Szybko ubrała się, zeszła na dół i energicznym krokiem weszła do saloniku, gdzie jak zwykle czekała na nią kawa i gdzie był już Sierioża z guwernantką. Sierioża w białym ubranku stał przy stoliku pod lustrem i pochyliwszy głowę i plecy z wyrazem natężonej uwagi, który znała i który czynił go podobnym do ojca, coś robił z przyniesionymi przez siebie kwiatami.

Guwernantka wyglądała specjalnie surowo. Sierioża — jak to nieraz czynił — krzyknął przeraźliwie: „A, mama!” — i przystanął, niezdecydowany, jak postąpić: witać się z matką, a kwiaty rzucić, czy też skończyć zaczęty wianek i z nim dopiero do niej podejść.

Guwernantka po przywitaniu długo i dokładnie zaczęła opowiadać o przestępstwie, jakie popełnił Sierioża, lecz Anna jej nie słuchała. Myślała nad tym, czy wziąć ją ze sobą. „Nie, nie wezmę jej — postanowiła. — Pojadę sama z synem.”

— Tak, to bardzo źle — powiedziała i wzięwszy synka za ramię spojrzała na niego surowym, lecz nieśmiałym wzrokiem, który ucieszył i zakłopotał chłopca, po czym pocałowała go. — Niechaj go pani ze mną zostawi — rzekła do zdziwionej guwernantki i nie puszczając ręki syna usiadła za stołem nakrytym do śniadania.

— Mamo! Ja... ja... nie... — jąkał usiłując odgadnąć z jej miny, co go czeka za brzoskwinie.

— Sierioża — powiedziała, gdy tylko guwernantka wyszła z pokoju — to źle, ale więcej już tego nie zrobisz, prawda? Czy ty mnie kochasz?

Czuła, że ma łzy w oczach. „Czyż mogę go nie kochać? — mówiła sobie wpatrując się w jego przestraszone, a jednocześnie uradowane oczy. — I czy on naprawdę potępi mnie kiedyś z ojcem pospołu? Nie zlituje się nade, mną?” Łzy spływały już po jej twarzy i aby je ukryć, zerwała się i prawie wybiegła na taras.

Po burzliwych ulewach dni ostatnich pogoda ustaliła się piękna, ale chłodna. Mimo że jaskrawe słońce prześwietlało obmyte przez deszcz liście, powietrze było ostre.

Anna zadrżała i z zimna, i z wewnętrznego lęku, które w tym czystym powietrzu opadły ją z nową siłą.

— Idź już, idź do Marietki — powiedziała do Sierioży, który wyszedł za nią, i poczęła chodzić tam i z powrotem po słomianej macie tarasu. „Czy naprawdę oni mi nie przebaczą? Czy nie rozumieją, że wszystko to inaczej być nie mogło?” — pomyślała.

Zatrzymała się i spojrzawszy na kołyszące się na wietrze czubki osin z wymytmymi, mocno błyszczącymi w chłodnym słońcu liśćmi, uświadomiła sobie, że istotnie — nie przebaczą jej, że odtąd wszystko i wszyscy będą dla niej bez miłosierdzia, jak to niebo, jak ta zieloność. Wtedy znów poczuła, że w duszy jej zaczyna się rozdwojenie. „Nie trzeba, nie trzeba myśleć — powiedziała sobie. — Trzeba się wybierać w drogę. Dokąd? Kiedy? Kogo wziąć ze sobą? Tak — do Moskwy wieczornym pociągiem. Annuszka i Sierioża, i tylko najniezbędniejsze

rzeczy. Ale przede wszystkim trzeba do nich obu napisać." Weszła szybko do domu, do swego gabinetu, usiadła przy stole i napisała do męża:

„Po tym, co się stało, nie mogę dłużej pozostawać w domu Pana: wyjeżdżam i zabieram syna. Nie znam prawa i dlatego nie wiem, przy którym z rodziców winien pozostać syn, ale biorę go ze sobą, ponieważ nie mogę bez niego żyć. Niech Pan będzie wspaniałomyślny i zostawi mi go.”

Aż dotąd pisała szybko i bez przymusu, lecz odwołanie się do wspaniałomyślności, której w mężu uznać nie chciała, i konieczność zakończenia listu czymś bardziej tkliwym — sprawiły, że się zatrzymała.

„Mówić o mojej winie i mojej skruszce nie mogę, ponieważ...”

Znów zatrzymała się nie znajdując pomiędzy swymi myślami żadnego związku. „Nie — powiedziała sobie — nic nie potrzeba”, podarła list, przepisała go na nowo, już bez wzmianki o wspaniałomyślności, po czym zapieczętowała go.

Drugi list trzeba było napisać do Wrońskiego. „Oświadczyłam mężowi” — zaczęła i długo siedziała beczynn timer, nie mając siły pisać dalej. To było takie brutalne, takie niekobiece. „A zresztą, cóż ja mogę mu napisać?” — zastanowiła się. I znowu rumieniec wstydu wystąpił jej na twarz. Przypomniała sobie jego spokój, i uczucie urazy do Wrońskiego sprawiło, że porwała na strzępki arkusik z zaczęłym zdaniem. „Nic nie potrzeba” — orzekła i zamknąwszy buvard poszła na górę, gdzie oświadczyła guwernantce i służbie, że dziś jeszcze wyjeżdża do Moskwy, i zaraz zabrała się do pakowania.

Po wszystkich pokojach willi chodzili teraz stróże, ogrodnicy i lokaje, wynoszący rzeczy. Szafy i komody były pootwierane. Dwa razy biegano do sklepiku po powrozy. Na podłodze leżały gazety do pakowania. Dwa kufry, worki i zesnurowane pledy zniesiono już na dół, do przedpokoju. Kareta i dwie dorożki stały pod gankiem. Anna, która zajęta pakowaniem pozbyła się wewnętrznego niepokoju, układała właśnie na stole w swoim gabinecie rzeczy w podróżnym worku, gdy Annuszka zwróciła jej uwagę na turkot zajeżdżającego powozu. Anna spojrzawszy w okno, zobaczyła, że to kurier od męża dzwoni do drzwi frontowych.

— Idź i dowiedz się, o co chodzi — rzekła spokojnie, przygotowana na wszystko, i usiadłszy w fotelu złożyła na kolanach ręce. Lokaj przyniósł gruby list adresowany własnoręcznie przez Aleksego Aleksandrowicza.

— Kurier ma polecenie poczekać na odpowiedź — powiedział służący.

— Dobrze — odrzekła Anna i skoro tylko została sama, trzęsącymi się palcami rozerwała kopertę. Wypadła z niej paczka niezgiętych banknotów w opasce. Anna wyjęła list i zaczęła go czytać od końca. „Poczyniłem przygotowania do przenosin, przypisuję specjalne znaczenie wypełnieniu mojej prośby” — przeczytała. Przebiegła list wstecz dalej, przeczytała wszystko, a potem raz jeszcze cały list od początku. Gdy skończyła, poczuła dotkliwie zimno i wiedziała już, że zważyło się na nią tak straszne nieszczęście, jakiego się nie spodziewała.

Rano żałowała tego, co powiedziała mężowi, i pragnęła, aby te słowa były jeszcze jakby nie wymówione, i oto list uznawał słowa za niebyłe i dawał jej to, czego pragnęła. A wszakże teraz list ten wydawał się jej okropniejszy niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić.

„Ma rację, ma rację — powtarzała w myśli. — Oczywiście. On ma zawsze rację, ten chrześcijanin, ten wspaniałomyślny człowiek! Ach, jakież on nikczemny, jaki wstrętny! I tego nikt poza mną nie rozumie i nie zrozumie, a ja tego wytłumaczyć nie potrafię. Powiadają: religijny, moralny, uczciwy, rozumny człowiek, ale nie dostrzegają tego; co ja widziałam. Nie wiedzą, jak przez osiem lat dławił moje życie, dławił wszystko, co było we mnie żywe, i ani razu nie pomyślał o tym, że jestem żywą i potrzebującą miłości kobietą. Nie wiedzą, jak obrażał mnie na każdym kroku, jaki był zadowolony z siebie. Czyż nie starałam się, nie starałam ze wszystkich sił znaleźć usprawiedliwienie dla swego życia? Czyż nie próbowałam kochać go, a nie mogąc kochać męża, czyż nie kochałam synka? Lecz nadszedł czas i zrozumiałam, że nie mogę się dłużej okłamywać, zrozumiałam, że jestem żywa i nie winna temu, że Bóg mnie taką stworzył, jaka jestem — spragnioną życia i miłości, -- I cóż się dzieje teraz?... Niechby lepiej mnie zabił i jego zabił.. Zniosłabym wszystko, wszystko bym przebaczyła... Ale nie... On...”

„Że się też nie domyśliłam, co on zrobi. Oczywiście — to, co jest w zgodzie z jego nikczemnym charakterem. Słuszność będzie po jego stronie, a mnie — już i tak zgubioną — zepchnie on jeszcze niżej, jeszcze głębiej...” „Pani sama. może

sobie wyobrazić, jaki los oczekiwałby panią i jej syna" — przypomniały się Annie słowa listu. „To groźba, że zabierze mi syna, i zapewne to jest na mocy jakiegoś ich głupiego prawa dopuszczalne. Wiem dobrze, po co on mi to mówi. Nie wierzy w moją miłość dla synka albo ją lekceważy (zawsze przecie ze mnie żartował), ale wie, że synka nie opuszczę,, że go opuścić nie mogę; że bez niego nie ma dla mnie życia, nawet z tym, kogo kocham. Wie poza tym, że jeśli porzucą synka i uciekną od męża, postąpię jak najpodlejsza, najwstrętniejsza kobieta. Wie o tym, wie, że nie będę w stanie tego uczynić."

„Życie nasze winno toczyć się tak jak dotychczas" — przypomniła sobie inne zdanie listu. „Życie to było i dotąd udręką, a w ostatnich czasach — wprost potwornością. Jakież będzie ono teraz? On to wszystko wie. Wie, że nie mogę odczuwać skruchy za to, że wreszcie oddycham, że kocham, wie, że oprócz kłamstwa i oszukaństwa nic z tego nie wyniknie, ale chce mnie w dalszym ciągu dręczyć. Znam go i wiem, że jak ryba w wodzie, tak on pływa w kłamstwie i rozkoszuje się nim. Ale nie! Nie zrobię mu tej przyjemności, rozerwę pajęczynę fałszu, którą chce mnie omotać. Niech się dzieje, co chce... Wszystko jest lepsze od kłamstwa i oszustwa."

„Ale jak? Mój Boże! Mój Boże! Czy była kiedy równie nieszczęśliwa kobieta na świecie..."

— Nie, ja tę sieć rozerwę, rozerwę! — wykrzyknęła zrywając się i tłumiąc łzy. Podeszła do biurka, by napisać do męża inny list, lecz w głębi serca wiedziała już, że nie będzie miała siły nic rozerwać, że nie zdoła zmienić swego dotychczasowego położenia, mimo że było ono pełne fałszu i nieuczciwe.

Siadła przy biurku, ale zamiast pisać oparła głowę na złożonych rękach i poczęła płakać zanosząc się łkaniem, . które wstrząsało całą jej pierś, tak jak płaczą dzieci. Płakała nad tym, że jej marzenie o wyjaśnieniu, o ustaleniu jej sytuacji zostało raz na zawsze rozbite. Wiedziała już, że wszystko zostanie po dawnemu, że nawet będzie znacznie gorzej niż dotychczas. Czuła, że ta pozycja w towarzystwie, którą posiadała, a którą jeszcze tego dnia rano lekce sobie ważyła, była jej droga, że nie będzie miała siły wymienić jej na hańbiące położenie kobiety, która porzuciła męża i syna i poszła za kochankiem. Czuła, że żaden wysiłek nie uczyni jej silniejszą, niż była w istocie. Nigdy nie wyzwoli się ze swą miłością i do końca pozostanie wiarołomną żoną, żyjącą pod ustawiczną grozą przyłapania, zdradzającą męża w hańbiącym związku z człowiekiem obcym, niezależnym, z którym życia zjednoczyć nie może. Wiedziała, że tak się stanie, a było to takie okropne, że nie mogła nawet sobie wyobrazić, jak się to skończy. I płakała niepohamowanie, jak płaczą ukarane dzieci.

Usłyszała kroki lokaja i ocknęła się. Odwróciła od niego twarz i udała, że pisze.

— Kurier prosi o odpowiedź — zameldował lokaj.

— Odpowiedź? — Tak — powiedziała Anna — niech zaczeka. Zadzwoię.

„Cóż ja mogę napisać? — myślała. — Co mogę sama postanowić? Cóż ja wiem? Czego właściwie chcę? Co kocham?" Znów poczuła w duszy rozdwojenie i znów przestraszyła się tego uczucia, tak że uchwyciła się pierwszego lepszego pretekstu,

jaki jej przyszedł go głowy, by zająć się czymś, co mogłoby oderwać ją od myślenia o sobie... „Muszę się zobaczyć z Aleksym (tak w myślach nazywała Wrońskiego), on jeden może mi powiedzieć, co mam robić. Pojadę do Betsy, może go tam spotkam" — powiedziała sobie, zupełnie przy tym zapominając, że mówiła mu. wczoraj, iż nie pojedzie tego dnia do księżnej Twerskiej, wobec czego on również miał tam nie być. Podeszła do biurka, napisała do męża: „Otrzymałam pański list. A." — zadzwoniła i oddała list lokajowi.

— Nie jedziemy — rzekła do wchodzącej Annuszki.

— Wcale nie jedziemy?

— Nie. Nie rozpakowujcie aż do jutra i proszę zatrzymać karete. Pojadę do księżnej.

— Jaką suknię mam przygotować dla jaśnie pani?

Socjeta krokietowych graczy, do której także i Anna była zaproszona przez księżną Twerską, składać się miała z dwóch pań i dwóch ich wielbicieli. Damy owe były głównymi przedstawicielkami nowo powstałego petersburskiego kółka, które imitując jakąś imitację, przybrało nazwę: Les sept merveilles du monde. Należały one do koterii, aczkolwiek wyższej, lecz zdecydowanie wrogiej tej, w której obracała się Anna. Poza tym, stary Striemow, jeden z wpływowych ludzi w Petersburgu, wielbiciel Lizy Mierkałowej, był nieprzyjacielem Karenina w świecie urzędowym. Ze względu na wszystkie te okoliczności Anna uprzednio nie chciała być w tym dniu u księżnej Twerskiej i do tej właśnie odmowy odnosiły się aluzje w liściku. Obecnie jednak postanowiła pojechać z tą wizytą w nadziei spotkania Wrońskiego.

Przyjechała przed innymi gośćmi.

W chwili gdy wchodziła, lokaj Wrońskiego, o starannie rozczesanych bokobrodach, podobny do kamerjunkra, również wchodził do domu. Zdjąwszy czapkę przystanął u drzwi i czekał, aż Anna przejdzie. Anna poznała go i teraz dopiero przypomniała sobie wczorajsze słowa Wrońskiego, że nie będzie u kuzynki. Zapewne właśnie, w tej sprawie przysłał obecnie bilecik.

Zdejmując w przedpokoju okrycie słyszała, jak lokaj, który nawet literę „r” wymawiał jak kamerjunkier, powiedział oddając bilecik: „Od pana hrabiego do księżnej pani.”

Miała ochotę zapytać go, gdzie jest jego pan. Chciała cofnąć się i posłać do Wrońskiego list, prosząc, by przyjechał do niej, albo sarna pojechać do niego. Nie można było jednak uczynić żadnej z tych trzech rzeczy; już wewnątrz domu rozlegały się dzwonki . oznajmiające jej przybycie i lokaj księżnej Twerskiej robił już .pół-obrotu u otwartych drzwi, oczekując, aż Anna przejdzie do dalszych pokoi.

— Księżna pani jest w ogrodzie; zaraz tam zameldują. Może jaśnie pani pozwoli do ogrodu? — wyrzekł drugi lokaj w następnym pokoju.

Nastrój niezdecydowania, niejasności ogarnął ją tutaj zupełnie tak samo jak w domu. Gorzej jeszcze, stąd. bowiem nie można było nic przedsięwziąć ani widzieć się z Wrońskim i musiała pozostawać w obcym i tak biegunowo inaczej niż ona nastrojonym towarzystwie. A jednak... Miała na sobie toaletę, w której było jej do twarzy, jak o tym sarna wiedziała; nie była samotna, otaczało ją to środowisko uroczystego próżnowania, do którego przywykła i z którym było jej lżej niż w domu. Poza tym nie potrzebowała tutaj namyślać się nad tym — co czynić. Wszystko robiło się samo. Na widok Betsy idącej na jej spotkanie w białej toalecie, której elegancja była uderzająca, Anna uśmiechnęła się do niej jak zwykle. Księżna Twerska szła w towarzystwie Tuszkiewicza i młodej krewnej, która ku wielkiej radości rodziców z prowincji spędzała lato u możnej kuzynki.

Zapewne jednak w zachowaniu Anny musiało być coś szczególnego, skoro Betsy natychmiast to zauważyła.

— Żle spałam — odpowiedziała Anna wpatrując się w lokaja, który szedł ku nim i — o ile się orientowała — niósł bilecik od Wrońskiego.

— Tak się cieszę, żeś, przyjechała, kuzynko — rzekła Betsy. — Jestem zmęczona i chciałam właśnie wypić filiżaneczkę herbaty, zanim reszta gości się zjawi. Czy nie poszedłby pan — zwróciła się do Tuszkiewicza — wypróbować z Maszą plac krokietowy tam, gdzie przyszyżono trawę. My tymczasem nagadamy się do woli przy herbacie, we'll have a cosy chat, nieprawdaż? — uśmiechnęła się do Anny ściskając jej rękę wraz z trzymaną w niej parasolką.

— Tym chętniej, że nie mogę długo bawić, muszę koniecznie odwiedzić starą panią Wrede. Od stu lat już jej to obiecuję — rzekła Anna, dla której kłamstwo, obce jej naturze, stało się w towarzystwie czymś nie tylko prostym i naturalnym, ale nawet robiło jej przyjemność.

Po co powiedziała coś, o czym sekundę przedtem nawet nie myślała, nie potrafiłaby wytłumaczyć. Jediną jej pobudką była chęć — skoro nie miała tu spotkać Wrońskiego — zawarowania sobie swobody, by móc się z nim spotkać w jakikolwiek inny sposób. Dlaczego jednak wymieniła właśnie starą frejlinę dworu Wrede, której winna była wizytę, tak jak wielu innym osobom, Anna nie umiałaby wytłumaczyć. A jednak, jak się okazało później, nie byłaby mogła wpaść na nic lepszego, gdyby nawet obmyślała najchytrzejsze fortele celem spotkania się z Wrońskim.

— Ależ nie, za nic w świecie nie puszczę cię, kuzyneczko — odrzekła Betsy, uważnie wpatrując się w twarz Anny.— Naprawdę, gdybym cię tak nie lubiła, obraziłabym się. Wygląda, jakbyś się lękała, że towarzystwo moich gości cię skompromituje. Proszę nam podać herbatę do saloniku — poleciła przymrużając jak zwykle oczy przy zwracaniu się do lokaja. Wzięła od niego bilecik i przeczytała go. — Aleksy nous a fait faux bond — powiedziała po francusku — pisze, że nie może dzisiaj przyjść. — Mówiła całkiem zwyczajnym, naturalnym tonem, tak jakby myśli, by Wroński był w życiu Anny czymś więcej niż partnerem do krokieta, była od niej daleka.

Anna wiedziała, że Betsy wie o wszystkim, ale słysząc, jak przy niej odzywa się o Wrońskim, zawsze w danej chwili była przekonana, że księżna Twerska niczego się nie domyśla.

— A! — obojętnie przyjęła wiadomość Anna, jakby ją to mało interesowało, i ciągnęła dalej z uśmiechem: — Ale w jaki sposób mogłoby mnie towarzystwo bywające tutaj kompromitować? — Cała ta gra słów, to ukrywanie tajemnicy; miało dla Anny, jak dla każdej kobiety, wielki urok. Nie konieczność ukrywania czegoś, ale sam proces ukrywania pociągał ją. — Nie mogę być plus catholique que le pape — mówiła. — Striemow i Liza Mierkałowa to śmietanka śmietanki towarzyskiej. Poza tym są wszędzie przyjmowani, a ja — postawiła specjalny akcent na „ja” — nigdy nie byłam surowa ani nietolerancyjna. Nie mam po prostu na to czasu.

— A może nie chcesz spotkać się ze Striemowem, kuzynko? Niechże sobie z twoim mężem kruszą kopię w komitecie, nas to nic nie obchodzi. W towarzystwie jest to najmiłszy z ludzi i namiętnie lubi grać w krokieta. Przekonasz się o tym. I

mimo śmieszności jego roli podstarzałego wielbiciela Lizy, warto zobaczyć, jak sobie w tej komicznej sytuacji doskonale daje radę! Jest przemiły. Nie znasz Safony Sztolc, kuzynko? To nowy, zupełnie nowy styl.

Betsy mówiła to wszystko, tymczasem Anna widziała z jej wesołego, inteligentnego spojrzenia, że po trochu orientuje się w jej sytuacji i coś sobie układa. Były we dwie w małym saloniku,

— Muszę jednak napisać do Aleksego — Betsy siadła przy biurku, skreśliła kilka wierszy i włożyła bilecik do koperty. — Proszę go, aby chociaż przyjechał na obiad, bo inaczej jedna z pań nie będzie miała sąsiada przy stole. Zobacz, moja droga, czy dość przekonywająco napisałam? Przepraszam, zostawiam cię na chwilę samą. Zapieczętuj to, kuzyneczko, wyślij — zawołała od progu — muszę wydać jeszcze różne dyspozycje.

Bez chwili namysłu Anna siadła do stolika, na którym leżał liścik Betsy, i nie czytając go, dopisała u dołu: „Musimy się widzieć. Proszę przyjechać do ogrodu Wrede. Będę tam o szóstej.” Zapieczętowała list i Betsy po powrocie wręczyła go przy niej lokajowi.

Istotnie, podczas herbaty, którą im na stoliczku będącym tacą przyniesiono do chłodnego małego saloniku, pomiędzy obu kobietami zaczął się ów cosy chat, który obiecywała księżna Twerska, i trwał aż do przybycia gości. Panie wypowiadały swoje zdanie o mających nadejść osobach i rozmowa ich zatrzymała się na Lizie Mierkałowej.

— Bardzo jest miła i zawsze była mi sympatyczna — rzekła Anna.

— Powinnaś ją lubić, kuzynko, bo ona szaleje za tobą. Wczoraj podeszła do mnie po wyścigach i była w rozpacz, że cię już nie zastała. Twierdzi, że jesteś prawdziwą bohaterką romansu i że gdyby była mężczyzną, popełniłaby dla ciebie tysiąc głupstw. Striemow powiada, że i tak je popełnia.

— Ale proszę, powiedz mi, bo nigdy tego nie mogłam zrozumieć — powiedziała Anna po chwili milczenia tonem, który wyraźnie świadczył, że nie było to ot tak sobie zadane pytanie i że odpowiedź miała dla niej większą wagę, niż mieć była powinna — powiedz mi, co łączy właściwie Lizę z księciem Kałużskim, tak zwanym Miską? Mało ich znam. Co to takiego? Betsy z uśmiechem w oczach uważnie spojrzała na Annę.

— To ta nowa maniera — odrzekła. — Wszyscy oni przybrali ten ton. Ils ont jété leurs bonnets par dessus les moulins. Ale jest sposób i sposób!

— Tak, ale co ją łączy z Kałużskim?

Betsy nagle wybuchła śmiechem niepohamowanej wesołości, co się jej rzadko zdarzało.

— Kuzynko, wkraczasz w dziedzinę księżnej Miagkiej! To już pytanie okropnego dziecka — i znać było, że Betsy chce, ale nie może się pohamować, aż wreszcie znów wybuchnęła tym zaraźliwym śmiechem, jakim śmieją się osoby na ogół trudne do rozśmieszenia. — Należałoby ich o to zapytać — wyrzekła wreszcie, aż płacząc ze śmiechu.

— Ależ nie... Śmiejesz się, kuzynko — powiedziała Anna, która mimo woli również uległa zaraźliwemu śmiechowi — ja jednak nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Nie pojmuję w tym wszystkim roli męża.

— Męża? Mąż Lizy Mierkałowej nosi za nią pledy i jest zawsze gotów do usług. A jak tam jest w gruncie rzeczy, tego nikt wiedzieć nie pragnie. Przecież w towarzystwie nie mówi się, a nawet się nie myśli o niektórych szczegółach toalety. Tak samo jest i tu.

— Czy będziesz, kuzynko, na balu u Rolandakich? — odwróciła rozmowę Anna.

— Myślę, że nie — odrzekła Betsy i nie patrząc na przyjaciółkę ostrożnie poczęła nalewać pachnącą herbatę do przezroczystych filiżaneczek. Przysunąwszy jedną z nich Annie, wydobyła pachitosa, włożyła w srebrny ustnik i zapaliła.

— Otóż, widzisz, moja najdroższa — rzekła już bez uśmiechu, biorąc filiżankę do ręki. — Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że rozumiem ciebie i rozumiem Lizę; Liza jest jedną z tych naiwnych natur, które jak dzieci, nie rozróżniają, co złe, a co dobre, a w każdym razie Liza nie rozumiała tego, gdy była zupełnie młodziutka. Teraz wie już, że z takim nierozumieniem jest jej do twarzy, i teraz, być może, istotnie już z rozmysłem nie rozumie — wykladała Betsy z uśmiechem pełnym finezji. — Ale mimo wszystko, jest jej z tym do twarzy i teraz. Przecie na jedną i tę samą rzecz można patrzeć tragicznie, stworzyć sobie z niej udrękę, i można patrzeć na nią po prostu, a nawet wesoło. Może ty, kuzyneczko, skłonna jesteś patrzeć na rzeczy zbyt tragicznie.

— Jakżebym chciała znać innych tak, jak znam samą siebie — powiedziała poważnie Anna w zamyśleniu. — Czy jestem lepszą, czy gorszą od innych? Myślę, że gorszą. — Jakież z ciebie dziecko, kuzynko, jakie dziecko — powtórzyła Betsy. — Ależ otóż i oni.

Słysząc było najpierw kroki i męski głos, później głos kobiety i śmiech, a zaraz potem ukazali się oczekiwani goście: Safo Sztolc i aż jaśniejący od zbytku zdrowia młody człowiek, tak zwany Waśka. Znać było po nim, że służy mu odżywianie krwawą wołowiną, truflami i burgundem. Waśka skłonił się damom i spojrzął na nie, ale tylko przez sekundę. Wszedł do salonu za panią Sztolc i postępował tuż za nią, jak na sznurku, przy czym nie spuszczał z niej swych błyszczących oczu, jakby chciał ją zjeść. Safo Sztolc była blondynką o czarnych oczach. Weszła małymi, śmiałymi kroczkami, w pantofelkach na wysokich obcasach, ł mocno, po męsku, ucisnęła rękę paniom.

Anna nigdy dotąd nie spotykała tej nowej sławy i była pod wrażeniem zarówno jej urody i śmiałości obejścia, jak i ekscentryczności jej toalety. Na głowie miała Safo takie fryzjerskie rusztowanie z włosów barwy lekkiego złota — swoich i cudzych — że głowa zdawała się równie duża jak kształtny, wydatny biust, bardzo z przodu wydekoltowany. Szła z takim rozpędem, że kształt kolan i ud zarysowywał się przez suknię przy każdym ruchu. Mimo woli nasuwało się pytanie, w którym miejscu tej sztucznie z tyłu podbudowanej, kołyszącej się góry naprawdę kończyło się jej małe i kształtne, tak od góry obnażone, a z tyłu i w dole tak przykryte ciało! Betsy pośpieszyła zapoznać ją z Anną.

— Niech państwo sobie wyobrażą, żeśmy o mały włos nie przejechali dwóch żołnierzy — poczęła natychmiast opowiadając pani Sztolc mrugając, uśmiechając się i odrzucając do tyłu tren, który zrazu ułożył się zanadto z boku. — Jechałam z Waśką... Ach tak! Państwo się nie znają. — Tu wymieniając nazwisko młodzieńca przedstawiła go i rumieniąc się roześmiała się głośno ze swej omyłki, czyli z tego, że zaprezentowała go nieznanym osobie jako „Waśkę”.

Waśka raz jeszcze skłonił się Annie, ale nic nie powiedział, zwrócił się natomiast do pani Sztolc:

— Wygrałem zakład. Przyjechaliśmy pierwsi." Proszę teraz płacić — mówił z uśmiechem.

Safo poczęła się śmiać z jeszcze większą wesołością.

— Przecież nie teraz — odrzekła.

— Mniejsza o to, dostanę później.

— Dobrze, dobrze. Ach tak! — zwróciła się nagle do pani domu. — To dobre sobie.. Zupełnie zapomniałam... Przywiozłam księżnej gościa. Oto on.

Nieoczekiwany młody przybysz, którego Safo przywiozła i o którym zapomniała, był jednakże na tyle dostojnym gościem, że pomimo jego młodego wieku obie damy wstały by go powitać. Był to nowy wielbiciel pani Sztolc, który, podobnie jak i Waśka, deptał jej ciągle po piętach. Wkrótce przyjechali książę Kałużski i Liza Mierkałowa

ze Striemowem. Liza była to chuda brunetka o wschodnim, leniwym typie

twarzy i przepięknych, zagadkowych — jak ogólnie twierdzono — oczach. Rodzaj jej ciemnej toalety (Anna od razu zauważyła i umiała to ocenić) odpowiadał zupełnie jej urodzie. O ile Safo była zamaszysta i zwarta, o tyle tamta — miękka i rozplywająca się.

Annie wszakże Liza wydała się daleko bardziej pociągająca, Betsy mówiła - o niej, że Liza przybiera ton nieświadomego dziecka, lecz kiedy ją Anna zobaczyła, uczuła, że to nieprawda. Była to istotnie nie wiedząca, wprawdzie zepsuta, lecz miłą i bezbronna kobieta. Prawda, że ton jej był taki sam jak ton pani Sztolc i tak samo jak za tamtą chodziło za nią nieodstępnie, pożerając ją oczyma, dwóch wielbicieli: jeden młody, drugi już stary. Lecz było w niej coś, co ją wywyższało ponad otoczenie — miała blask diamentu czystej wody wśród szkiełek. Ów blask świecił z jej prześlicznych, istotnie nieodgadnionych oczu. Znużone a jednocześnie namiętne wejrzenie tych okolonych ciemnym kręgiem oczu uderzało swą bezwzględną szczerością. Każdy, kto w nie spojrział, wierzył, że poznał ją całą, a poznać ją — znaczyło tyle, co pokochać. Na widok Anny twarz Lizy nagle zajaśniała radosnym uśmiechem.

— Ach, jakże się cieszę, że panią widzę! — zawołała podchodząc do niej. — Wczoraj na wyścigach właśnie wybierałam się do pani, ale pani odjechała. Tak bardzo chciałam widzieć panią właśnie wczoraj. Prawda, że to było okropne? mówiła patrząc na Annę spojrzeniem, które zdawało się odślaniać całą jej duszę.

— Tak, nigdy bym się nie spodziewała, że to wywołuje aż takie wzruszenie — odrzekła rumieniąc się Anna.

W tej chwili całe towarzystwo wstało, by pójść do ogrodu.

— Ja nie pójdę — zdecydowała Liza i przysiadła się do Anny. — Pani także nie pójdzie? Co to za przyjemność grać w krokieta?

— O nie, ja tę grę lubię — odparła Anna.

— Otóż to właśnie! Jak pani postępuje; żeby się nie nudzić? Dość spojrzeć na panią, a już jest wesoło. Pani żyje, a ja się tylko nudzę.

— Jak to, pani się nudzi?! Przecież pani należy do najweselszego grona w Petersburgu — zaoponowała Anna.

— Może ci, którzy do naszego kółka nie należą, nudzą się jeszcze bardziej, ale nam, mnie na pewno, nie tylko nie jest wesoło, ale strasznie, strasznie nudno.

Safo zapaliła papierosa i odeszła z dwoma młodymi ludźmi do ogrodu Betsy i Striemow pozostali przy herbacie.

— Jak to, nudno? — wtrąciła Betsy.. — Safo opowiadała, że się doskonale wczoraj u pani bawiła.

— Ach, co to były za nudy! — westchnęła Liza Mierkałowa. — Pojechaliśmy po wyścigach całym towarzystwem do mnie. Zawsze ci sami, zawsze ci sami! I zawsze to samo. Przez cały wieczór wylegiwali się po kanapach. Cóż w tym wesołego? Nie... Niech pani mi powie, jak pani to robi, żeby się nie nudzić? — zwróciła się znowu do Anny. — Wystarczy na panią spojrzeć i od razu widać: oto kobieta, która może być szczęśliwa lub nieszczęśliwa, ale na pewno się nie nudzi. Niech pani mnie nauczycy,

jak pani to robi?

— Nic specjalnego nie robię — odrzekła Anna i zaru mieniła się pod gradem tych natrętnych pytań.

— To najlepszy sposób. — wmieszał się do rozmowy Striemow.

Striemow był to człowiek mniej więcej pięćdziesięcioletni, szpakowaty, bardzo brzydki, ale z twarzą rozumną i pełną charakteru. Liza Mierkałowa było siostrzenicą jego żony. Spędzał z nią wszystkie wolne chwile. Przy spotkaniu z Anną Karenin, żoną swego wroga na gruncie służbowym, Aleksego Aleksandrowicza, Striemow, jako człowiek obyty i rozumny, starał się być dla niej specjalnie miły.

— Nie robić nic osobliwego — podchwycił z uśmiechem . pełnym finezji — to najlepszy sposób. Dawno mówię ci, moja droga — zwrócił się do Lizy Mierkałowej — że na to, aby się nie nudzić, należy nie myśleć, że może być nudno. Zupełnie lak, jak nie należy się obawiać, że się nie zaśnie, kiedy człowiek boi się bezsenności. To właśnie powiedziała nam Anna Arkadiewna.

— Byłabym bardzo rada, gdybym istotnie to powiedziała, gdyż jest to nie tylko bardzo rozumne, ale nawet prawdziwe — uśmiechnęła się Anna.

— Więc niech pani powie, dlaczego nie można zasnąć i dlaczego niepodobna się nie nudzić?

— Żeby zasnąć, trzeba by popracować, a żeby być wesołym, również trzeba popracować.

— Po cóż bym miała pracować, skoro moja praca nikomu nie jest potrzebna? A specjalnie udawać, że coś robię — nie potrafię i nie chcę.

— Jesteś niepoprawna — rzekł Striemow nie patrząc" na nią i znów zwrócił się do Anny.

Ponieważ spotykał ją bardzo rzadko, nie mógł jej nie powiedzieć oprócz samych rzeczy zdawkowych, lecz mówił te banalności — o jej projektowanym przeniesieniu do Petersburga, o tym jak hrabina Lidia ją lubi — w sposób, z którego widać było, że stara się z całej siły być dla niej uprzejmy i okazać jej szacunek, a nawet coś więcej niż szacunek.

Wszedł Tuskiewicz i oświadczył, że całe towarzystwo oczekuje partnerów do krokieta.

— Ależ nie, niech pani zostanie — prosiła Liza Mierkałowa, gdy spostrzegła, że Anna ma już zamiar iść. Striemow przyłączył się do jej nalegań.

— Będzie to nazbyt wielki kontrast, jeśli wprost z tego towarzystwa znajdzie się pani u starej Wrede. A poza tym da jej pani tylko okazję do obmowy, podczas gdy tutaj budzi, pani zupełnie inne, jak najlepsze i całkiem nie sprzyjające obmowie uczucia.

Anna przez chwilę zastanawiała się, niezdecydowana. Pochlebne słowa tego rozumnego człowieka, naiwna, dziecięca sympatia, jaką jej okazywała Liza Mierkałowa, i całe to znajome światowe środowisko — wszystko to było takie łatwe, a oczekiwało ją coś tak trudnego, że przez chwilę zawahała się, czy nie zostać i nie

odsunąć od siebie bolesnego momentu wyjaśnień. Ale przypomniawszy sobie, co ją osamotnioną będzie oczekiwało w domu, jeśli nie zdobędzie się na żadną decyzję, przypomniawszy sobie ów straszny; nawet we wspomnieniu, własny gest, jakim chwyciła się oburącz za włosy — pożegnała się i odjechała.

Wroński, mimo pozorów lekkomyślnego światowego życia, był człowiekiem nienawidzącym nieładu. Jeszcze za młodych lat, w Korpusie Paziów, spotkała go raz upokarzająca odmowa, gdy zabrnąwszy poprosił o pożyczkę. Od tego czasu nigdy już do takiej sytuacji nie dopuszczał.

Na to, aby zawsze porządnie prowadzić swoje interesy, miał zwyczaj zależnie od okoliczności, częściej lub rzadziej, mniej więcej pięć razy do roku, skupić się i doprowadzić do zupełnej przejrzystości wszystkie swoje sprawy. Nazywał to rozrachunkiem lub faire la lessive.

Obudziwszy się nazajutrz po wyścigach dość późno, nie goląc się i nie kąpiąc wdział kitel, rozłożył na stole pieniądze, rachunki, listy i wziął się do roboty. Petrycki wiedząc, że w takich wypadkach przyjaciel jego bywał zły, po obudzeniu się zobaczywszy go przy biurku, cichutko ubrał się i wyszedł, by mu nie przeszkadzać.

Każdy człowiek, znający aż do najdrobniejszych szczegółów skomplikowanie otaczających go warunków, mimo woli przypuszcza, że ta komplikacja i trudność ich wyjaśnienia to tylko jego osobista, doraźna przypadłość. Nie domyśla się, że inni otoczeni są takimi samymi komplikacjami warunków osobistych jak i on sam. Tak właśnie zdawało się też i Wrońskiemu. Myślał nie bez ukrytej dumy i może nawet nie całkiem bezpodstawnie, że każdy inny dawno by się zaplątał i zaczął niepięknie postępować, gdyby się znajdował wśród okoliczności równie trudnych. Czuł jednak, że właśnie teraz powinien zrobić obrachunki i wyjaśnić sobie swoją sytuację, żeby nie zabrnąć.

Najpierw, jako do- rzeczy najłatwiejszej, wziął się do spraw pieniężnych. Spisał swym drobnym pismem na papierze listowym wszystkie swoje zobowiązania, podsumował je i stwierdził, że winien jest siedemnaście tysięcy rubli i parę setek, które odrzucił dla uproszczenia. Obliczywszy gotówkę i książeczkę bankową przekonał się, że ma jeszcze 1800 rubli do końca roku i że aż do Nowego Roku nie będzie miał żadnych wpływów. Przeczytał raz jeszcze listę długów i przepisał dzieląc ją na trzy kategorie. Do pierwszej należały długi, które trzeba było zapłacić natychmiast, a w każdym razie na zapłacenie których trzeba było mieć gotówkę, tak aby na żądanie móc się uiścić bez chwili zwłoki. Tego rodzaju długów było około czterech tysięcy: 1500 za konia i 2500 poręczenia za młodego kolegę Wieniewskiego, który w obecności Wrońskiego przegrał tę sumę do jakiegoś szulera. Wroński już wówczas chciał dać te pieniądze, miał je bowiem przy sobie, ale Jaszwin i Wieniewski upierali się, że oni sami zapłacą, a nie Wroński, który w ogóle wtedy nie grał. Było to bardzo pięknie, Wroński jednak wiedział, że chociaż udział jego w tej brudnej historii ograniczał się tylko do słownego poręczenia za Wieniewskiego, mimo to musi mieć w pogotowiu owe 2500 rubli, by móc je cisnąć łajdakowi i nie mieć z nim więcej do czynienia. A więc w tej najważniejszej rubryce trzeba było mieć 4000. Druga kategoria — osiem tysięcy — zawierała mniej ważne zobowiązania. Były to przeważnie długi związane ze stajnią wyścigową, zaciągnięte

u dostawcy owsa i siana, pieniądze, które był winien Anglikowi, siodlarzowi itd. Tu — na to, by uzyskać zupełny spokój, trzeba było wydać około dwóch tysięcy. Ostatnia kategoria długów — w sklepach, restauracjach i u krawca — to długi tego rodzaju, że nie warto było sobie nimi głowy zaprzętać. W rezultacie, potrzeba na wydatki bieżące przynajmniej 6000 rubli, a jest ich tylko 1800. Dla człowieka mającego 100 000 rocznego dochodu, jak szacowano ogólnie fortunę Wrońskiego, takie długi nie mogły, zdawałoby się, stanowić żadnej trudności; chodziło jednak o to, że daleko mu było do owych. 100 000. Olbrzymia ojcowska fortuna, przynosząca około 200 000 rocznie, niebyła podzielona pomiędzy braci. W chwili małżeństwa starszego brata z księżniczką Warią Czyrkow, córką dekabrysty, która nie posiadała nic zgoła, Aleksy ustąpił zadłużonemu po uszy bratu cały dochód z" majątków ziemskich ojca, zastrzegłszy sobie zaledwie 25 000 rubli rocznie. Powiedział wówczas bratu, że mu - tych pieniędzy wystarczy, aż się nie ożeni, a tego zapewne nigdy nie uczyni. Brat, który był dowódcą jednego z najkosztowniejszych pułków, nie mógł żeniąc się nie przyjąć tego podarku. Matka, która miała osobną własną fortunę, dopłacała, poza umówionymi 25 000, jeszcze 20 000 i Aleksy wszystko to wydawał. W ostatnich czasach matka, poróżniwszy się z nim z powodu jego romansu oraz wyjazdu z Moskwy, przestała mu przysyłać pieniądze. Właśnie na skutek tego Wroński, który przyzwyczał się do życia za 45 000 rocznie, a w tym roku miał tylko 25 000, był teraz w kłopotcie. Nie mógł prosić matki o pieniądze dla wydobycia się z kłopotu. Ostatni jej list, otrzymany w przeddzień, specjalnie go podrażnił napomknieniem, że matka była gotowa pomagać mu w osiągnięciu światowych sukcesów i powodzenia w karierze, ale nie w życiu gorszącym całe przyzwoite towarzystwo. Ta próba przekupienia obraziła go do głębi i jeszcze bardziej oziębiła jego uczucia dla matki. Nie mógł jednak cofnąć raz danego wspianiałomyślnego słowa, chociaż — przewidując po trochu pewne niespodzianki od strony romansu z panią Karenin — czuł teraz, że ów wielkoduszny poryw był nieco lekkomyślny, gdyż i nieżonatemu mogło się przydać owe sto tysięcy rocznego dochodu. Nie można jednak było tego odwołać. Wystarczyło sobie przypomnieć bratową, tę przemiłą, kochaną Warię, która przy lada okazji powtarzała, że pamięta o jego szlachetności i ceni ją — by zdać sobie sprawę, że niemożliwością jest odebrać to, co się raz dało. Było to taką samą niemożliwością, jak uderzyć kobietę, ukraść albo skłamać.

Jedno tylko było możliwe i konieczne, i Wroński zdecydował się na to bez chwili wahania — oto pożyczyć od lichwiarza dziesięć tysięcy, co mógł uczynić bez trudności, obciąć swoje wydatki i sprzedać konie wyścigowe. Powziąwszy tę decyzję, zaraz napisał do Rolandakiego, który nieraz proponował mu kupno jego koni. Potem posłał po Anglika i po lichwiarza i porozkładał na poszczególnych rachunkach pieniądze, które miał przy sobie; następnie napisał chłodną i szorstką odpowiedź na list matki. Wreszcie wydobył z pugilaesu trzy bileciki Anny, przeczytał je, spalił i przypomniawszy sobie wczorajszą z nią rozmowę popadł w zamyślenie.

Życie Wrońskiego można było nazwać niezwykle szczęśliwym, ponieważ posiadał on kodeks prawideł, nieomylnie określający, co należy, a czego nie należy czynić. Wobec tego, że kodeks ów obejmował bardzo niewielki zakres możliwości, a prawidła były niewątpliwe, Wroński, który nigdy nie wychodził poza ten zakres, nigdy ani przez chwilę nie wahał się wykonać tego, co należało. Prawidła te niezłomnie określały, że szulerowi trzeba zapłacić, a krawcowi — nie trzeba; że nie wolno skłamać wobec mężczyzny, natomiast okłamywać kobiety — wolno; że nie można oszukiwać nikogo — męża jednak można; że samemu nie przebacza się nikomu obrazy, natomiast obrażać innych — wolno itd. Wszystkie te prawidła mogły być niemądre, niemoralne, ale były niewątpliwe, i trzymając się ich Wroński mógł wysoko nosić głowę i czuć się spokojnym. Dopiero z okazji swego stosunku do Anny zaczął wyczuwać w ostatnich czasach, że jego regulamin nie przewidział okoliczności wyjątkowych i że przyszłość niesie ze sobą przeszkody i wątpliwości, dla których brak nici przewodniej w tym kodeksie.

Obecny jego stosunek do Anny i jej męża był dla Wrońskiego prosty i jasny, prosto i jasno określony w kodeksie, którym się kierował.

Anna była uczciwą kobietą, która podarowała mu swą miłość. Kochał ją, toteż była dla niego kobietą godną takiego samego szacunku co ślubna żona, a nawet jeszcze głębszego. Prędzej dałby sobie odrąbać rękę, niżby miał się posunąć do nieokazania jej najwyższego szacunku, na jaki kobieta liczyć może, już nie mówiąc o urażeniu jej jakimś słowem czy aluzją.

Stosunki Wrońskiego ze światowym towarzystwem były również jasne. Wszyscy mogli wiedzieć o jego romansie, mogli żywić podejrzenia, lecz nikomu nie wolno było o nich mówić. W przeciwnym razie gotów był ich zmusić do milczenia i do uszanowania nie istniejącej czci kobiety, którą kochał.

Najbardziej określony był stosunek do męża. Z chwilą gdy Anna pokochała Wrońskiego, ten uważał jedynie swoje do niej prawo za nietykalne. Mąż był tylko zbyteczną osobą i przeszkadzał. Niewątpliwie znalazł się w godnej pożalowania sytuacji, ale cóż można było na to poradzić? Mąż miał tylko jedno prawo — żądać satysfakcji z bronią w rszaku i od pierwszej chwili Wroński był na to gotów.

W ostatnich wszakże czasach powstało pomiędzy Anną i Wrońskim coś nowego, głębszego, co przerażało go swą nieuchwytnością. Zaledwie w przeddzień oświadczyła mu, że jest w ciąży, i Wroński poczuł, że ta wiadomość i to, czego Anna się po nim spodziewała, nakładało na niego coś więcej niż to, co przewidywał kodeks, którym dotąd kierował się w życiu. Toteż był zaskoczony i w pierwszej chwili, gdy oznajmiła mu o swym stanie, usłuchał serca, które podszeptało, by zażądał od niej porzucenia męża., Wypowiedział to, lecz teraz, po namyśle, widział jasno, że lepiej byłoby obejść się bez tego; mówiąc to sobie . w duchu obawiał się jednak zarazem, że byłoby to niemoralne.

„Skoro powiedziałem jej, by opuściła męża, to znaczyło, że ma pójść za mną.

Czy jestem na to przygotowany? Jakże ją zabiorę teraz, kiedy nie mam pieniędzy? Dajmy na to, że mógłbym to jakoś urządzić... Ale jakże ja ją zabiorę do siebie, będąc na służbie? Jeśli już raz tak powiedziałem, to należy być na to przygotowanym, czyli że trzeba by zdobyć pieniądze i podać się do dymisji."

Zamyślił się. Pytanie, czy podać się do dymisji, czy nie, nasunęło mu rzecz inną, ukrytą, jemu tylko wiadomą. Kto wie, czy nie była to główna, aczkolwiek utajona treść całego jego życia.

Dawnym marzeniem jego dzieciństwa i młodości, marzeniem, do którego nawet przed sobą się nie przyznawał, lecz które miało taką moc, że i teraz namiętność ta walczyła o lepsze z miłością — była ambicja. Powodzenie uwieńczyło pierwsze jego kroki w towarzystwie i w wojsku, ale przed dwoma laty popełnił gruby błąd: chcąc dowieść swej niezależności i zdobyć awans nie przyjął ofiarowanego mu stanowiska, spodziewając się, że odmowa . doda wartości jego osobie. Okazało się jednak, że był to krok nazbyt śmiały: pozostawiono go jego losowi. W ten sposób, zdobywszy chcąc nie chcąc pozycję człowieka niezależnego, zachował się bardzo mądrze i taktownie, nic nikomu na pozór nie mając za złe i nie tylko nie uważał się za pokrzywdzonego, ale pragnął jedynie, by zostawiono go w spokoju, bo mu z tym najlepiej. Właściwie jednak już od zeszłego roku, kiedy wyjechał do Moskwy, przestało mu być najlepiej. Zaczął zdawać sobie sprawę, że ta niezależność człowieka, który by wszystko potrafił, gdyby, chciał, lecz któremu nic się nie chce, już się nieco opatrzyła i wielu poczyną myśleć, że on nic innego nie potrafi, jak tylko być uczciwym i dobrym chłopcem. Romans jego z panią Karenin, który narobił tyle wrzawy i zwrócił ogólną uwagę, dodał Wrońskiemu nowego splendoru i na czas pewien zaspokoił toczącą go skrycie jak czerw ambicję, przed tygodniem jednak ów skryty głód obudził się z nową siłą. Towarzysz jego lat dzieciennych, Sierpuchowski, należący do tej samej sfery i tego samego towarzystwa, kolega z Korpusu Paziów, z którym jednocześnie skończył szkołę, z którym rywalizował w klasie, na gimnastyce, w figlach i ambitnych marzeniach, ów Sierpuchowski powrócił był właśnie z Azji Środkowej po uzyskaniu tam aż dwóch awansów i orderu, jaki rzadko nadawano tak młodym generałom.

Zaraz po jego powrocie do Petersburga uznano go za nową wschodzącą gwiazdę pierwszej wielkości. Będąc rówieśnikiem Wrońskiego i współpensjonariuszem ze szkoły, był już generałem i oczekiwał na nominację mogącą mieć duże znaczenie ogólnopaństwowe. Tymczasem Wroński był wprawdzie niezależnym, świetnym i kochanym przez prześliczną kobietę, ale — tylko rotmistrzem, któremu pozwolono być niezależnym do woli. „Oczywiście, nie zazdrozczę i nie mógłbym zazdrościć Sierpuchowskiemu, ale z jego awansów widać, że trzeba tylko uchwycić sposobną chwilę, a taki człowiek jak ja mógłby bardzo szybko zrobić karierę. Trzy lata temu miał on taką samą jak ja pozycję. Jeśli podam się do dymisji, będzie to spalenie za sobą mostów, podczas gdy pozostając w wojsku nic nie tracę. Anna sama mówiła, że nie chce żadnej zmiany w swej sytuacji... A ja, posiadając jej miłość, nie mogę przecież zazdrościć Sierpuchowskiemu!" I pokręcając z wolna wąsy, wstał od stołu i przeszedł się po pokoju. Oczy jego miały mocny blask. Poczul się w tym zdecydowanym, spokojnym

i radosnym nastroju, który opanowywał go zawsze po takim generalnym rozrachunku. Wszystko było znowu — jak i za poprzednich rozrachunków — przejrzyste i jasne. Ogolił się, ubrał, wziął zimną kąpiel i wyszedł.

A ja przyszedłem po ciebie. Twoje wielkie pranie coś długo dziś trwało — powiedział Petrycki. — Cóż, czy już koniec?

— Koniec — odrzekł Wroński uśmiechając się tylko oczami i pokręcając koniuszki wąsów Jak ostrożnie, jak gdyby po tym doprowadzeniu spraw do porządku każdy zbyt śmiały lub szybki ruch mógł ów porządek zburzyć.

— Jesteś potem zawsze jak po łaźni — zauważył Petrycki. — Przyszedłem od Hryčki — (tak przezwano dowódcę pułku). — Czekają tam na ciebie.

Wroński nic nie odpowiedział; patrzył na niego myśląc o czym innym.

— A, to u niego słyhać muzykę? — spytał nadśluchując; znajome dźwięki puzonów — polki i walce — dochodziły aż tutaj. — Cóż to za uroczystość?

— Sierpuchowski przyjechał.

— Ach, tak! Nic nie wiedziałem.

Uśmiech w oczach Wrońskiego zaznaczył się mocniej. Skoro raz postanowił, że jest szczęśliwy ze swą miłością i że poświęcił dla niej swoją ambicję, a przynajmniej narzucił sobie tę rolę, nie mógł już ani zazdrościć Sierpuchowskiemu, ani mieć mu za złe, że po przyjeździe do pułku nie jego najpierw odwiedził. Sierpuchowski był dobrym jego przyjacielem i Wroński rad był, że go zobaczy.

— Bardzo się cieszę.

Dowódca pułku Diemin kwaterował w dużym ziemiańskim dworze. Całe towarzystwo było zgromadzone na obszernym tarasie. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy Wrońskiemu na podwórzu, byli pieśniarze w letnich mundurach, zgrupowani dokoła beczutki z wódką, oraz krzepka postać rozweselonego dowódcy pułku w otoczeniu oficerów. Stojąc na pierwszym stopniu schodków tarasu wydawał jakieś rozkazy przekrzykując muzykę, która grała Offenbachowskiego kadryla, i dawał znaki stojącym na stronie żołnierzom. Grupa żołnierzy — wachmistrz i kilku podoficerów — podeszła jednocześnie z Wrońskim do tarasu. Dowódca pułku powrócił do stołu, po czym znów wyszedł na ganek z pucharem w rękę i wznosił toast: „Za zdrowie naszego byłego kolegi i walecznego generała, księcia Sierpuchowskiego. Hura!”

Tuż za dowódcą pułku wyszedł także z kielichem w rękę uśmiechnięty Sierpuchowski.

— A ty coraz to jesteś młodszy, Bondarenko — zwrócił się do stojącego tuż przed nim zuchowatego wachmistrza o czerwonych policzkach, który po odsłużeniu obowiązującego terminu nadal pozostał w wojsku.

Wroński trzy lata nie widział Sierpuchowskiego. Ten zmężniał, zapuścił bokobrody, ale pozostał jak dawniej wysmukły, zwracający uwagę nie tyle urodą, ile delikatnością oraz szlachetnością rysów i postaci. Jedyną zmianą, którą zauważył w nim Wroński, był ów spokojny, niezmienny blask, jaki bije z twarzy ludzi, którzy osiągnęli powodzenie i którzy są pewni, że ich sukcesy cieszą się

ogólnym poklaskiem. Wroński znał ten objaw i zauważył go natychmiast u Sierpuchowskiego.

Schodząc ze schodów Sierpuchowski spostrzegł Wrońskiego i uśmiechnął się radośnie. Skinął mu porozumiewawczo głową i podniósł puchar na powitanie, dając tym gestem do zrozumienia, że musi podejść najpierw do wachmistrza, który stał przed nim na bacność i już składał usta do pocałunku.

— Otóż i on! — zawołał dowódca pułku. — A Jaszwin mi oznajmił, że jesteś w jednym z twoich ponurych nastrojów.

Sierpuchowski ucałował wilgotne, świeże wargi zucha-wachmistrza i ocierając usta chusteczką podszedł do Wrońskiego.

— Jakże się cieszę! — powiedział ściskając mu rękę i odprowadzając go na stronę.

— Zajmijcie się nim! — krzyknął dowódca pułku do Jaszwina wskazując na Wrońskiego, po czym zeszedł na dół do żołnierzy.

— Czemu wczoraj nie byłeś na wyścigach? Myślałem, że cię tam spotkam rzekł Wroński przyglądając się Sierpuchowskiemu.

— Byłem, ale przyjechałem za późno. Przepraszam — dodał i zwrócił się do swego adiutanta: — Proszę kazać, by to w moim imieniu rozdzielono ...— ile wypadnie na głowę.

— I z pośpiechem wyjął z pugilaresu trzy papierki sturublów, czerwieniąc się przy tym.

— Wroński! Będiesz coś jadł czy pił? — spytał Jaszwin. — Hej, tam, dajcie panu hrabiemu jeść. A tu masz coś do picia.

Zabawa u dowódcy pułku trwała długo.

Pito wiele. Podrzucano w górę Sierpuchowskiego, później dowódcę pułku. Potem dowódca tańczył z Petryckim przed pułkowymi śpiewakami. Wreszcie dowódca pułku, nieco już osłabły, usiadł na ławce na dworze i począł przekonywać Jaszwina o wyższości Rosji nad Prusami, zwłaszcza jeśli chodzi o atak kawalerii. Zabawa na chwilę przycichła. Sierpuchowski wszedł do wnętrza domu, do toalety, żeby umyć ręce, i zastał tam Wrońskiego, który właśnie oblewał się wodą. Zdjął mundur i podstawiają czerwony, obrośnięty kark pod strumień wody z umywalni, rozcierał sobie głowę i szyję dłońmi. Umywszy się przysiadł się do Sierpuchowskiego na kanapkę i rozpoczęła się rozmowa, wielce dla nich obu interesująca.

— Wiedziałem o tobie wszystko przez żonę — powiedział Sierpuchowski. — Cieszę się, żeście się często widywali.

— To przyjaciółka Wari. Są to jedyne kobiety w Petersburgu, które chętnie widują— uśmiechnął się Wroński. Uśmiechał się dlatego, że przeczuwał, jakiego tematu dotknie ich rozmowa, i że mu to było przyjemne.

— Jedyne?— powtórzył pytająco Sierpuchowski uśmiechając się.

— A ja też miałem wieści o tobie, ale nie przez twoją żonę — odparł Wroński,

surowym wyrazem twarzy zamykając drogę do dalszych aluzji. — Cieszyłem się szczerze z twoich sukcesów, ale wcale mnie one nie zdziwiły. Oczekiwałem nawet większych.

Sierpuchowski uśmiechnął się. Widać było, że mu ta opinia sprawia przyjemność i wcale nie uważał za potrzebne tego ukrywać.

— Ja, przeciwnie, przyznaję się szczerze, oczekiwałem mniejszych. Ale i ja się cieszę, bardzo się cieszę. Jestem ambitny; to moja słaba strona i przyznaję się do niej.

— Gdyby ci się tak nie powiodło, to może byś się do niej nie przyznawał — zauważył Wroński.

— Nie . sędzę — uśmiechnął się znowu Sierpuchowski. — Nie powiedziałbym, że nie warto bez tego żyć, ale byłoby nudno. Oczywiście, mogę się mylić, zdaje mi się jednak, że mam pewne zdolności nadające się do tej sfery działania, którą sobie obrałem, i że każda władza — o ile w ogóle będę ją miał — więcej przyniesie korzyści w moim ręku niż w rękach wielu osobników, których znam — prawil dalej Sierpuchowski z promienną świadomością powodzenia. — I dlatego, im bardziej się to zbliża, tym bardziej jestem kohtent.

— Być może, że z tobą tak jest istotnie, ale nie jest tak ze wszystkimi. I ja też kiedyś tak myślałem, a tymczasem teraz żyję sobie i znajduję, że nie warto żyć tylko po to — zauważył Wroński.

— Otóż to! Otóż to! — zaśmiał się Sierpuchowski. — Właśnie od tego zacząłem, żem słyshał o tobie, o twojej odmowie... I rzeczywiście pochwalałem ją. Ale jest sposób i sposób. Sędzę, że mając rację co do samej istoty rzeczy, zrobiłeś to nie tak, jak należało.

— Co się stało, to się nie odstanie, a wiesz, że nigdy nie odżegnuję się od tego, co zrobiłem. A poza tym, jest mi z tym bardzo dobrze.

— Do czasu, ale to cię nie zadowoli na dłużej. Nie mówiłbym tego o twoim bracie. To dziecko, miłe dziecko, podobnie jak i nasz dzisiejszy gospodarz. Otóż i on! — dodał słuchając okrzyków „hura”, — Jego to bawi, ale tobie to nie wystarczy.

— Ja też nie twierdzę, że mi to wystarcza.

— Ależ nie o to tylko chodzi. Tacy ludzie jak ty są potrzebni.

— Komu?

— Komu? Społeczeństwu. Rosji potrzebni są ludzie, potrzebna partia, inaczej wszystko zejdzie na psy.

— Jak mam to rozumieć? Partia Bierieniewa przeciwko rosyjskim komunistom?

— Nie — ściągnął brwi Sierpuchowski, urażony, że ktoś podejrzewa go o taką głupotę — Tout ca est une blague. To, zawsze było i będzie. Nie ma żadnych komunistów, ale intryganci zawsze muszą wymyślić jakąś szkodliwą, niebezpieczną grupę. To stary chwyt. Nie, potrzebna jest partia, która by dała władzę ludziom niezależnym, takim jak ty i ja.

— Ale dlaczego? — tu Wroński wymienił kilka osobistości będących u władzy —

dlaczegoż to oni mieliby nie być" ludźmi, niezależnymi?

— Po prostu dlatego, że od początku nie mieli i nie mają tej niezależności materialnej, tego nazwiska i że nie urodzili się tak blisko słońca jak my. Ich można kupić pieniędzmi lub pochlebstwem. Po to, aby się utrzymać, muszą wymyślać sobie jakiś kierunek. Więc przeprowadzają tę jakąś swoją ideę, jakąś tendencję, w którą sami nie wierzą, która jest szkodliwa, a cała ta idea to tylko sposób, żeby mieszkać na koszt rządu i pobierać tyle a tyle pensji: Cela n'est pas plus fin que ca, gdy się im zajrzy w karty.. Być może, że jestem od nich gorszy i głupszy, chociaż nie widzę, dlaczego miałbym być gorszy. Mam jednak w porównaniu z nimi na pewno tę przewagę, że nas kupić jest daleko trudniej. A tacy ludzie są obecnie potrzebniejsi niż kiedykolwiek.

Wroński słuchał z uwagą. Zajmowała go nie tyle treść słów Sierpuchowskiego, ile jego stosunek do tych spraw Sierpuchowski już zamyślał walczyć z istniejącą władzą i już miał w tej mierze swoje sympatie i antypatie, podczas gdy on sam, kiedy chodziło o służbę, miał na myśli tylko interesy szwadronu. Zrozumiał, jak wielką siłą Sierpuchowskiego była jego niewątpliwa zdolność przemyślenia i rozumienia rzeczy, jego inteligencja i dar słowa, tak rzadko spotykane w środowisku, w którym przebywał. I chociaż było mu wstyd, poczuł zawiść.

— A jednak mnie osobiście brak do tego jednej, głównej rzeczy — odrzekł — brak mi żądzy władzy. Miałem ją, ale minęła.

— Wybacz, ale to nieprawda — uśmiechnął się Sierpuchowski.

— Przeciwnie, prawda, prawda... teraz, jeśli już mam być szczery — dodał.

— No tak, prawda teraz — to co innego; ale owo teraz nie będzie zawsze trwało.

— To możliwe — przyznał Wroński.

— Powiadasz: to możliwe — ciągnął dalej Sierpuchowski, jakby odgadując jego myśli — a ja ci mówię: na pewno. I dlatego chciałem się z tobą zobaczyć.

Postąpiłeś, jak należało, i rozumiem to, ale nie powinieneś przy tym się upierać. Proszę cię tylko o carte blanche ... Ach, nie może być mowy o jakiejś protekcji!... Chociaż, czemu nie miałbym udzielić tobie protekcji raz, skoro ty jej tyle razy mnie udzielałeś! Mam nadzieję, że nasza przyjaźń jest wyższa ponad to. Tak — powiedział z iście kobiecą czułością i uśmiechem. — Daj mi carte . blanche, wystąp z pułku, a ja cię niepostrzeżenie wciągnę.

— Ależ zrozum: ja niczego nie pragnę — bronił się Wroński — poza tym, żeby wszystko pozostało tak, jak było dotychczas.

Sierpuchowski wstał i zatrzymał się przed nim.

— Powiedziaoś: żeby wszystko pozostało tak, jak było dotychczas.

Rozumiem, co to znaczy. Ale posłuchaj. Jesteśmy rówieśnikami. Może zresztą, jeśli chodzi o liczbę, znałeś więcej kobiet niż ja. — Uśmiech i gestykulacja Sierpuchowskiego miały na celu uspokoić przyjaciela i zapewnić go, że dotknie bolącego miejsca delikatnie i ostrożnie. — Ale za to ja jestem żonaty i wierzaj mi, że poznając swoją jedyną żonę (jak to ktoś napisał), żoną, którą się kocha, lepiej poznaje się wszystkie kobiety, niż gdyby się ich znało tysiące.

— Zaraz idziemy! — krzyknął Wroński oficerowi, który zajrzał do pokoju i prosił ich do dowódcy pułku.

Miał teraz ochotę wysłuchać Sierpuchowskiego do końca i dowiedzieć się, co ten ma mu do powiedzenia..

— Oto więc moje zdanie: kobiety to główny kamień obrazy na drodze działalności człowieka. Trudno jest coś robić kochając jednocześnie kobietę. Dlatego jedyny sposób, by móc kochać bez przeszkód — to ożenek. Jak by ci tu... Jak ci tu wytłumaczyć dokładnie to, co myślę — mówił Sierpuchowski, który lubił porównania — czekaj, czekaj!... To tak jak na przykład — nieść fardeau robiąc jednocześnie rękoma coś innego można tylko wówczas, kiedy fardeau jest przymocowane na grzbiecie... To jest właśnie ożenek.. Oto, co poczułem, kiedy się ożeniłem. Miałem nagle wolne ręce. Ale jeśli chcesz wlec to fordeau nie żeniąc się, wówczas będziesz miał ręce tak zajęte, że nic nie zrobisz. Spójrz na Mazankowa, Krupowa: zniszczyli sobie kariery przez kobiety.

— Ale przez jakie kobiety! — zawołał Wroński pamiętając Francuzkę i aktorkę, z którymi tamci mieli romans.

— Tym gorzej! Im solidniejsza jest pozycja towarzyska kobiety — tym gorzej. Wtedy już nie tylko trzeba nieść fardeau w obu rękach, ale trzeba je komuś innemu wydzierać.

— Tyś nigdy nie kochał — powiedział cicho Wroński patrząc przed siebie i myśląc o Annie.

— Możliwe. Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałem. I jeszcze jedno: kobiety wszystkie są. większymi materialistkami niż mężczyźni. My z miłości robimy jakąś olbrzymią rzecz, a one są zawsze terre a terre.

— Zaraz, zaraz — powiedział do wchodzącego lokaja. Lokaj wszedł jednak nie po to, by ich ponownie wezwać, jak sądził Sierpuchowski; przyniósł liścik dla Wrońskiego.

— Służący od księżnej Twerskiej przyniósł dla pana rotmistrza.

Wroński rozpieczętował list i poczerwieniał.

— Rozboliła mnie głowa; pójdę do domu — rzekł do Sierpuchowskiego.

— Więc żegnaj... I cóż, dajesz mi carte blanche?

— Pogadamy o tym później; odszukam cię w Petersburgu.

Było już po piątej. Aby się nie spóźnić i nie zwracać niepotrzebnie uwagi — jego własne konie były zbyt dobrze znane w okolicy — Wroński spiesznie wsiadł do wynajętego pojazdu Jaszwina i kazał dorożkarzowi jechać co koń wyskoczy. Stara dorożkarska czteroosobowa karetka była obszerna; usiadł tedy w rogu, nogi oparł o przednie siedzenie i zamyślił się.

Mglista świadomość, że sprawy jego są teraz zupełnie przejrzyste, mglista pamięć o przyjaźni Sierpuchowskiego i jego pochlebnym zdaniu, że jest człowiekiem potrzebnym, a przede wszystkim przedsmak spotkania — wszystko to stopiło się w ogólne wrażenie radosnego poczucia pełni życia, Poczucie to było tak silne, że Wroński uśmiechnął się bezwiednie. Spuścił nogi, oparł jedną z nich na kolanie i wzięwszy ją w rękę obmacywał sprężystą łydkę, którą stłukł sobie w przeddzień, spadając z konia, po czym rozparłszy się na siedzeniu odetchnął kilka razy pełną piersią.

„Dobrze, ach, jak dobrze!” — rzekł do siebie. Nieraz już przedtem doświadczał radosnej świadomości własnego ciała, nigdy jednak jeszcze nie kochał samego siebie, nie kochał swego ciała tak jak teraz. Miły mu był ów lekki "ból w mocnej nodze, miła — świadomość poruszania się mięśni klatki piersiowej przy oddychaniu. Ten sam pogodny, chłodnawy dzień sierpniowy, który wzbudził w Annie nastrój takiej beznadziejności, jemu wydał się pobudzająco ożywczy i chłodził mu twarz i szyję, które paliły po oblewaniu zimną wodą. Zapach brylantyny, bijący z wąsów, wydał mu się w tym świeżym powietrzu specjalnie przyjemny. Wszystko, co widział przez okno karety, w tym zimnym, czystym powietrzu, przy bladym świetle zachodu, było równie wypoczęte, wesołe i krzepkie jak on sam: a więc i dachy domów, błyszczące w promieniach zniżającego się słońca, i ostre zarysy płotów i kantów budowli, i postacie z rzadka trafiających się przechodniów, i sylwetki pojazdów, i nieruchoma zieloność drzew i traw, i pola regularnie pocięte bruzdami kartofli, i ukośne cienie padające od domostw, od drzew, od krzaków i nawet od kartofli na zagonkach. Wszystko było piękne jak ładny pejzaż malarski, tylko co skończony i pokryty werniksem.

— Poganiaj, poganiaj! — krzyknął do furmana wychylając się przez okno, a kiedy ten się obejrzał, podał mu trzyrublowy papierek. Ręka dorożkarza poczęła coś majstrować przy latarni, rozległo się chłaśnięcie batem i karetka szybko potoczyła się po gładkiej szosie.

„Nic, nic nie chcę prócz tego szczęścia — myślał wpatrując się w kościany guziczek od dzwonka, umieszczony pomiędzy przednimi szybkami, i wyobrażając sobie Annę taką, jaka była, kiedy ją widział w przeddzień. — Im dalej, tym ją więcej kocham. Otóż i ogród należący do rządowej willi, w której mieszka stara Wrede. Gdzież ona?... Gdzie?... Jak ją tutaj znaleźć? I czemu wyznaczyła mi spotkanie tu właśnie? Czemu pisze do mnie w liście od Betsy?” — pomyślał dopiero teraz; lecz nie było już czasu na rozmyślanie. Kazał dorożkarzowi stanąć nie dojeżdżając do alei wjazdowej, a sam otworzywszy drzwiczki wyskoczył w biegu z karety i poszedł

aleją prowadzącą ku domowi.' Nie było tam nikogo, ale spojrzawszy w prawo zobaczył Annę. Twarz miała zasłoniętą woalką, lecz on objął radosnym spojrzeniem specjalny, jej tylko właściwy rytm chodu, pochyłość ramion i osadzenie głowy i — jakby prąd elektryczny przebiegł go całego. Z nową mocą uświadomił sobie własne ciało, począwszy od sprężystych ruchów nóg aż do poruszania się. płuc przy, oddechu. Poczul na wargach lekkie łaskotanie. Spotkali się. Ucisnęła mocno jego rękę.

— Nie gniewasz się, że cię wezwała? Musiałam cię koniecznie zobaczyć — rzekła. Poważny a surowy układ jej warg, widoczny pod woalką, wnet wpłynął na zmianę jego nastroju.

— Ja?! Miałbym się gniewać! Ale jakżeś tu przyjechała? Do kogo?

— To obojętne — odpowiedziała kładąc rękę na jego ramieniu. — Chodźmy, muszę z tobą pomówić.

Zrozumiał, że coś się stało i że spotkanie ich nie będzie radosne. W jej obecności nie miał własnej woli i jeszcze nie znając przyczyny jej niepokoju czuł już, jak się ten niepokój również i jemu udziela.

— I cóż takiego? Co? — pytał przyciskając łokciem jej rękę i usiłując wyczytać odpowiedź z wyrazu jej twarzy.

Przeszła, milcząc jeszcze kilka kroków, aby nabrać odwagi, po czym nagle przystanęła.

— Wczoraj nie mówiłam ci — rozpoczęła, szybko i ciężko oddychając — że wracając do domu z mężem, powiedziałam mu wszystko... Oświadczyłam mu, że nie mogę być dłużej jego żoną, że... Powiedziałam mu wszystko..

Słuchał, bezwiednie pochylając się ku niej, jakby chciał w ten sposób przynieść jej jakąś ulgę. Lecz gdy tylko wymówiła te słowa, nagle wyprostował się i twarz jego nabrała wyniosłego i surowego wyrazu.

— Tak, tak... Tak jest tysiąc razy lepiej! Rozumiem, jakie" to musiało być bolesne — wyrzekł.

Lecz ona nie słuchała jego słów; odczytywała jego myśli z wyrazu twarzy. Nie mogła wiedzieć, że wyraz ten należało przypisać pierwszej myśli, jaka przyszła Wrońskiemu do głowy — że obecnie pojedynek jest nieunikniony. Nigdy jej nie przychodził na myśl pojedynek i stąd zupełnie inaczej wytłumaczyła sobie ten przelotny wyraz surowości.

Gdy otrzymała list od męża, już od razu w głębi serca wiedziała, że wszystko zostanie po dawnemu: że nie będzie miała odwagi wzgardzić swoją pozycją towarzyską, opuścić syna i pójść za kochankiem. Poranek spędzony u księżnej Twerskiej jeszcze ją w tym utwierdził, lecz mimo to spotkanie z Wrońskim było dla niej nadzwyczaj ważne. Miała nadzieję, że on zmieni coś w ich położeniu i że ją uratuje. Gdyby po wysłuchaniu jej, bez chwili wahania, stanowczo i namiętnie powiedział: „Rzuć wszystko i uciekaj ze mną!" — porzuciłaby syna i poszłaby za nim. Słowa jej nie wywarły wszelako na nim takiego wrażenia, jakiego Anna oczekiwała: wydawał się tylko jakby czymś urażony.

— To nie było wcale takie przykre. Wynikło jakoś samo przez się — rzekła z rozdrażnieniem — i patrz... — wyjęła z rękawiczki list męża.

— Rozumiem, rozumiem — przerwał wzięwszy list, nie czytając go jednak i starając się uspokoić Annę. — Jednego tylko pragnąłem, o jedno prosiłem, żeby raz skończyć z tą sytuacją, tak abym mógł poświęcić życie twemu szczęściu.

— Po co mi to mówisz? — przerwała. — Czyż mogę o tym wątpić? Gdybym wątpiła...

— Kto to idzie? — powiedział nagle Wroński wskazując na zdążające w ich stronę dwie panie.

— Może to ktoś, kto nas zna — i pociągając ją za sobą, spiesznie skierował się na boczną dróżkę.

— Ach, wszystko mi jedno! — odrzekła. Wargi jej drgnęły i Wrońskiemu wydało się, że oczy Anny spoglądają na niego spod woalki z dziwnym gniewem. — Mówię ci, że nie o to chodzi... Nie mogę o tym wątpić... Ale patrz, co on mi pisze. Przeczytaj! — i znów przystanąła.

I teraz także, jak w pierwszej chwili na wiadomość o jej zerwaniu z mężem, Wroński, czytając list, nieświadomie poddał się naturalnemu wrażeniu wynikającemu ze stosunku do obrażonego męża. Obecnie, trzymając w ręku jego list, odruchowo wyobrażał sobie wyzwanie na pojedynek, które jeszcze dziś lub też jutro znajdzie w domu, a także sam pojedynek, w czasie którego z tym samym co teraz chłodnym i dumnym wyrazem twarzy wystrzeli w powietrze, a potem będzie czekał na strzał zdradzonego męża. I zaraz przebiegło mu przez głowę to, o czym mu przed chwilą mówił Sierpuchowski i o czym sam rozmyślał tego ranka — że lepiej byłoby się nie wiązać. Wiedział jednak, że p tej myśli nie powinien wspominać Annie.

Po przeczytaniu listu podniósł na nią oczy, ale wzrok jego był niezdecydowany. Anna wyczuła natychmiast, że on już przedtem sam to rozważał, i wiedziała, że cokolwiek teraz jej powie, nie powie wszystkiego, co myśli. Wiedziała również, że ostatnia nadzieja ją zawiodła. To było nie to, czego się spodziewała.

— Widzisz, co to za człowiek — powiedziała drżącym głosem. — On...

— Wybacz, ale ja się z tego cieszę — przerwał jej Wroński. — Na miłość boską, daj mi skończyć — dodał błagając ją spojrzeniem, by mu dała czas na wytłumaczenie tych słów. — Cieszę się, ponieważ to przecie nie może, absolutnie nie może pozostać tak, jak on to sobie wyobraża.

— Dlaczego nie może? — powstrzymując się od łez szepnęła Anna. Znać po niej było, że jego słowa nie mają już dla niej żadnego znaczenia. Czuła, że los jej się rozstrzygnął.

Wroński zamierzał powiedzieć, że po — nieuniknionym, zdaniem jego — pojedynku sytuacja ta nie będzie mogła trwać dalej, lecz powiedział coś zgoła innego:

— To nie może tak dalej trwać. Mam nadzieję, że go teraz opuścisz? Mam nadzieję — tu zmieszał się i poczerwieniał — że pozwolisz mi urządzić i obmyślić

nasze życie. — Jutro... — zaczął.

Nie dała mu dokończyć.

— A mój syn? — zawołała. — Widzisz, co on pisze? Musiałabym go opuścić, a ja nie mogę i nie chcę tego zrobić.

— Ależ na miłość boską, co jest lepsze: rozstać się z synem czy też trwać dalej w tej poniżającej sytuacji?

— Poniżającej — dla kogo?

— Dla wszystkich, a najbardziej dla ciebie.

— Powiedziałeś: poniżającej... Nie mów tak. Słowa takie nie mają dla mnie żadnego sensu — wyrzekła drżącym głosem. Nie chciała, aby teraz mówił jej nieprawdę. Pozostawała jej już tylko jego miłość i pragnęła móc go kochać. — Zrozum,, że dla mnie od chwili, gdy cię pokochałam, wszystko się zmieniło. Jedyne moje dobro, jedyne — to twoja miłość. Gdy ją posiadam, to czuję się tak wywyższona, nieugięta, że nic nie może mnie poniżyć. Jestem dumna z tego położenia, dlatego że... Jestem dumna... że... — Nie powiedziała, z czego mianowicie była taka dumna. Łzy wstydu i rozpaczły zdławiły jej głos. Zamilkła i rozplakała się.

Wroński również poczuł, że coś go chwyta za gardło, szczypie w nosie, i pierwszy raz w życiu był bliski płaczu. Nie mógłby powiedzieć, co go tak roztkliwiło. Było mu jej żal i czuł, że nie może jej dopomóc, a zarazem wiedział, że jest przyczyną jej nieszczęścia, że popełnił coś złego.

— Czy rozwód jest niemożliwy? — rzekł niepewnie. Zamiast odpowiedzi zaprzeczyła ruchem głowy. — Czy nie można zabrać syna, a męża jednak opuścić?

— Owszem, ale to wszystko od niego zależy. A teraz muszę do niego jechać — powiedziała oschle. Przeczucie, że wszystko zostanie tak, jak było, nie omyliło jej.

— Będę w Petersburgu we wtorek i wszystko wtedy się rozstrzygnie.

— Tak — potwierdziła. — Ale już nie mówmy o tym. Kareta, którą Anna odprawiła, każąc jej powrócić do bramy ogrodu Wrede, nadjechała. Anna pożegnała się z Wrońskim i udała się do domu.

W poniedziałek odbywało się zwykle posiedzenie komisji drugiego czerwca. Karenin wszedł do sali posiedzeń, przywitał się jak zwykle z członkami komisji i jej przewodniczącym i usiadł na swoim miejscu, kładąc rękę na przygotowane dla niego akta. W ich liczbie były także potrzebne mu informacje oraz naszkicowany projekt oświadczenia, które zamierzał odczytać. Zresztą, informacje były mu właściwie niepotrzebne. Pamiętał wszystko i nawet nie uważał za konieczne powtórzyć w pamięci tego, co powie. Wiedział, że gdy nadejdzie godzina i ujrzy przed sobą oblicze przeciwnika, daremnie usiłującego przybrać obojętny wyraz, mowa jego popłynie sama lepiej, niż mógłby ją obecnie przygotować. Treść jego przemówienia była — czuł to — tak doniosła, że każde słowo będzie miało wagę. Tymczasem, słuchając zwykłego sprawozdania, miał jak najniewinniejszą i najniezwyklejszą minę. Patrząc na jego białe, o występujących żyłach ręce, które długimi palcami tak delikatnie dotykały obu brzegów leżącego przed nim arkusza białego papieru, i na głowę pochyloną na bok z wyrazem znużenia — nikt nie przeczuwał, że za chwilę z ust jego popłyną słowa, które podniosą straszną burzę, pobudzą członków komisji do krzykliwego przerywania sobie nawzajem i zmuszą przewodniczącego do przywoływania zebranych do porządku. Kiedy sprawozdanie było skończone, Karenin oświadczył swym powolnym, cienkim głosem, że ma do zakomunikowania niektóre swoje spostrzeżenia w sprawie organizacji obcoplemieńców. Ogólna uwaga zwróciła się ku niemu. Karenin odchrząknął i nie patrząc na przeciwnika, tylko obrawszy sobie, jak to zawsze zwykł czynić, wygłaszając mowę, pierwszą lepszą siedzącą naprzeciwko niego osobę o niel, malutkiego, cichutkiego staruszka, który w komisji nigdy nie miał żadnego zdania — począł wyłuszczać swoje uwagi. Gdy rzecz doszła do zasadniczej i organicznej ustawy, przeciwnik zerwał się i począł oponować. Striemow, będący również członkiem komisji i również dotknięty do żywego, jął się usprawiedliwiać. W ogóle całe posiedzenie przybrało obrót burzliwy, lecz Karenin zatriumfował. Jego propozycja została przyjęta; mianowano trzy nowe komisje, a nazajutrz w pewnych petersburskich kołach o niczym innym nie mówiono jak o tym posiedzeniu. Sukces Karenina był większy nawet, niż on sam tego oczekiwał.

Na drugi dzień rano, we wtorek, Aleksy Aleksandrowicz obudziwszy się przypomniał sobie z zadowoleniem zwycięstwo dnia poprzedniego i mimo że chciał udawać obojętność, nie mógł ukryć uśmiechu, gdy naczelnik kancelarii pragnąc mu pochlebić powtórzył doszłe do niego nowinki o tym, co się działo na komisji.

Zajęty pracą z naczelnikiem kancelarii, Karenin całkiem zapomniał, że tego dnia był wtorek, dzień, który sam wyznaczył na powrót żony, i zdziwił się, a nawet był niemile zaskoczony, gdy służący przyszedł mu zameldować o jej przyjeździe.

Anna przyjechała do Petersburga wczesnym rankiem. Na skutek jej depeszy posłano po nią karete, toteż Aleksy Aleksandrowicz mógł być wiedzieć o jej przyjeździe. Mimo to, gdy przyjechała, nie wyszedł na jej spotkanie. Powiedziano jej, że jeszcze nie wychodził ze swych pokoi i że jest u niego naczelnik kancelarii.

Kazała mu oznajmić, że przyjechała, po czym poszła do swego gabinetu i zajęła się porządkowaniem rzeczy oczekując nadejścia męża. Lecz minęła godzina, a on nie nadchodził. Anna przeszła do jadalni pod pozorem wydania dyspozycji i umyślnie mówiła głośno, oczekując, że mąż się zjawi; nie wyszedł jednak, mimo że słyszała, jak podchodził do drzwi gabinetu odprowadzając naczelnika kancelarii. Wiedziała, że jak zwykle niezadługo wyjedzie z domu w sprawach służbowych, i chciała przedtem z nim się widzieć, tak aby stosunki między nimi zostały od razu jasno określone.

Przeszła się po salonie, po czym z determinacją skierowała się w stronę jego gabinetu. Gdy weszła, Karenin, już w mundurze, najwidoczniej gotów do wyjścia, siedział oparty łokciami o mały stolik i posepnie patrzył przed siebie. Zobaczyła go, zanim zdążył spojrzeć na nią, i poznała, że o niej myślał.

Na jej widok chciał wstać, rozmyślił się, potem poczerwieniał — czego Anna nigdy przedtem u niego nie spostrzegła — zerwał się i pośpieszył na jej spotkanie nie patrząc jej przy tym w oczy, tylko na czoło i włosy. Podszedł do niej, wziął ją za rękę i poprosił, by usiadła.

— Cieszę się bardzo, że pani przyjechała — rzekł i usiadł obok niej, pragnąc widocznie coś powiedzieć, lecz zająknął się. Parę razy usiłował przemówić, zacinał się jednak znowu. Mimo że gotując się na to spotkanie Anna wmawiała sobie, że męża lekceważy i że to on jest winien, teraz nie wiedziała, co mu rzec, i poczuła litość. Milczenie trwało dość długo. — Czy Sierioża zdrow? — zapytał i nie czekając na odpowiedź dodał: — Nie będę dziś na obiedzie, a teraz już na mnie pora.

— Chciałam wyjechać do Moskwy — powiedziała.

— Nie... Bardzo, bardzo dobrze pani zrobiła przyjeżdżając — odrzekł i znów umilkł.

Widząc, że mąż nie zdobędzie się na to, by pierwszy zaczął mówić, Anna zdecydowała się:

— Aleksy Aleksandrowiczu — powiedziała patrząc na niego i nie spuszczać oczu przed jego wzrokiem skierowanym na jej uczesanie — wiem, że jestem kobietą występna, złą kobietą, ale jestem taka sama, jaka byłam wówczas, jak już panu mówiłam... I przyjechałam, aby powiedzieć, że nic zmienić nie mogę.

— Nie pytałem panią o to — odparł z nagłą stanowczością i spojrzał jej z nienawiścią w oczy. — Tak właśnie przypuszczałem. — Pod wpływem gniewu widocznie znów odzyskał pełnię wszystkich swoich władz. — Ja jednak, tak jak wówczas pani mówiłem i jak pisałem — wyrzekł ostrym, wysokim głosem — a teraz powtarzam, nie mam obowiązku o tym wiedzieć... Ignoruję to. Nie wszystkie żony są tak dobre jak pani, by śpieszyć z oznajmieniem tak przyjemnej wiadomości mężowi. — Położył specjalny nacisk na słowo „przyjemnej”. — Ignoruję to aż do czasu, kiedy świat się o tym dowie, ignoruję, dopóki nazwisko moje nie jest zbezczeszczone. I dlatego uprzedzam panią tylko, że stosunki między nami mają pozostać takie jak dotychczas i że jedynie w razie, gdyby pani się kompromitowała, zmuszony będę poczynić kroki, aby bronić swego honoru.

— Ale stosunki między nami nie mogą pozostać takie jak dotychczas —

powiedziała Anna nieśmiałym głosem, patrząc na niego z łękiem.

Kiedy znów zobaczyła tę spokojną gestykulację, posłyszała ten przenikliwy, dziecinny i zarazem szyderczy głos, wstręt do niego zniweczył całą poprzednią litość i czuła już tylko trwogę. Za wszelką cenę chciała jednak wyjaśnić swoją sytuację.

— Nie mogę być żoną pana, skoro... — zaczęła. Zaśmiał się oziębło i złośliwie.

— Widać, że rodzaj życia, jaki pani sobie obrała, wywarł wpływ na pojęcia pani. Na tyle szanuję czy też pogardzam... i jedno, i drugie... Na tyle szanuję przeszłość pani, a pogardzam terażniejszością, że byłem daleki od tej interpretacji, którą pani nadała moim słowom.

Anna westchnęła i spuściła głowę.

— Nie rozumiem zresztą, jak przy tym braku przesądów, z jakim — ciągnął dalej gwałtownie — oznajmia pani mężowi o swojej zdradzie, nie znajdując w tym, jak się zdaje, nic zdrożnego, może pani uważać spełnianie przez żonę obowiązków małżeńskich wobec męża za zdrożne.

— Aleksy Aleksandrowiczu... Czego pan ode mnie chce?

— Chcę nie spotykać tutaj tego człowieka i chcę, aby pani prowadziła się tak, by ani świat, ani służba nie mogli pani nic zarzucić. Chcę, aby pani go nie widywała. Zdaje się, że to niewiele. I za to będzie pani miała prawa uczciwej żony nie spełniając jej obowiązków. Oto wszystko, co mam pani do powiedzenia. Teraz na mnie czas. Nie będę na obiedzie.

Wstał i skierował się ku drzwiom. Anna podniosła się również. Skłonił się i w milczeniu przepuścił ją pierwszą.

Noc, którą Lewin spędził na kopie siana, nie przeszła bez śladu: prowadzenie gospodarstwa obrzydło mu, stracił dlań wszelkie zainteresowanie. Mimo wspaniałego urodzaju nigdy jeszcze nie miał — lub zdawało mu się, że nigdy nie miał — tylu niepowodzeń ani tak złych stosunków z chłopami jak tego roku. Przyczyny, tych niepowodzeń i tej wrogości były dla niego obecnie zupełnie jasne. Urok, jaki dla Lewina miała sama praca, wynikające stąd zbliżenie z chłopami, zazdrość, jaką budzili w nim chłopci, ich życie, oraz tęsknota by zacząć żyć tak samo, tęsknota, w ową noc będąca już nie tylko marzeniem, ale zamiarem, którego szczegóły Lewin obmyślał — to wszystko tak zmieniło jego pogląd na rodzaj prowadzonego w Pokrowskiem gospodarstwa, że nie mógł się już nim tak interesować jak dotychczas. Nie mógł także nie dostrzegać swego niewłaściwego stosunku do robotników, bo to było w gruncie rzeczy sednem całej sprawy. Stada krów ulepszonej rasy, takich jak Pawa, cała ta użyźniona, pługami zorana rola, dziewięć jednakowych, obsadzonych łożyną pól, dziewięćdziesiąt dziesięcin nawozu głęboko woranego w ziemię, siewniki rzędowe itp. — wszystko to byłoby bardzo piękne, gdyby wykonywał to sam lub z towarzyszami, ludźmi czującymi podobnie jak on. Teraz wszelako widział jasno (praca nad książką o gospodarstwie rolnym, w którym głównym czynnikiem miał być robotnik, wiele mu w tym pomogła), że gospodarowanie jego było tylko zażartą i uporczywą walką pomiędzy nim a robotnikami, w której po jednej stronie — jego stronie — trwało nieustanne wyężone dążenie, aby przerobić wszystko na ład uważany za najlepszy, a po drugiej — znajdował się ład naturalny. I widział, że w tej walce, przy największym wysiłku z jego strony, a przy braku wszelkiego wysiłku i nawet zamiaru podjęcia go z drugiej strony — wynik był taki, że gospodarstwo szło, jak samo chciało, i że zupełnie na darmo niszczały piękne narzędzia, dorodne bydło i doskonała ziemia. Najważniejsze jednak było to, że nie tylko szła na marne cała w tym celu zużywana energia, lecz — jak dotkliwie wyczuwał teraz, gdy sens gospodarowania niejako obnażył się przed nim — że cel jego wysiłku nie był godziwy. O co bowiem właściwie toczyła się walka? Bronił każdego swego grosza i musiał go bronić, gdyby bowiem czujność jego choć trochę osłabła, nie starczyłoby mu pieniędzy nawet na zapłacenie robotników, oni zaś ze swej strony walczyli po prostu o to, by pracować bez pośpiechu i wygodnie, tak jak byli przyzwyczajeni. W interesie Lewina leżało, by każdy robotnik wyrobił jak najwięcej i aby przy tym uważał i starał się nie popsuć wialni, konnych grabi, młocarni, słowem — by myślał o tym, co robi. Robotnik zaś wolał pracować w sposób jak najbardziej dla siebie przyjemny, często wypoczywając, a zwłaszcza — pracować beztrosko, machinalnie, bezmyślnie. Tego lata Lewin widział to na każdym kroku. . Polecał skosić koniczynę na siano, wybierając do tego co gorsze dziesięciny zachwaszczone trawą i piołunem, a koszone mu pod rząd najlepsze nasienne, usprawiedliwiając się rozporządzeniem rządcy i pocieszając dziedzica tym, że będzie miał doskonałe siano. On wszakże wiedział, że działo się tak, ponieważ te dziesięciny były łatwiejsze do koszenia. Posyłał przetrząsacz, aby przetrząść siano — łamano go

przy pierwszym zaraz pokosie, ponieważ chłopu nie chciało się siedzieć na koźle tuż pod machającymi skrzydłami maszyny. A Lewinowi wówczas powiadano: „Niech się pan dziedzic nie kłopotczy — baby to zaraz roztrząsa.” Nowe pługi psuły się, bo robotnikowi nie przychodziło na myśl, aby w porę opuścić podniesione ostrze pługa, a zawracając pług siłą, zamęczał konie i psuł rolę. I tu również proszono go, by się nie irytował. Konie wypasały pszenicę, ponieważ żaden z robotników nie chciał być nocnym stróżem i mimo że był wyraźny rozkaz, by tego nie robić, robotnicy stróżowali w nocy kolejno, wobec czego Wańka po całodziennej pracy zasnął, a potem przyznał się sam ze skrucą do winy, powtarzając przy tym: „Jak wola pana dziedzica.” Trzy najlepsze ciołki zmarnowano wypuszczając je nie pojone na koniczynowy potraw, a potem za nic nie chciano wierzyć, że rozdepto je od koniczyny, i na pociechę opowiadano Lewinowi, że u sąsiada w trzy dni poszło w ten sposób sto dwadzieścia sztuk bydła. To wszystko działo się nie dlatego, by ktokolwiek był dziedzicowi nieżyczliwy albo chciał szkodzić gospodarstwu — przeciwnie, Lewin wiedział, że go lubiano i uważano za „prostego” pana (co jest najwyższą pochwałą), ale robotnicy postępowali tak jedynie dlatego, że lubili pracować wesoło i beztrosko; a jego interes był im nie tylko obcy i niezrozumiały, lecz z natury rzeczy sprzeczny z ich własnymi najślusznieszymi interesami. Lewin był już od dawna niekontent ze swego stosunku do gospodarstwa. Widział, że jego łądz przepuszcza wodę, lecz nie mógł znaleźć, a nawet nie szukał miejsca przecieku okłamując się, być może, rozmyślnie. Obecnie jednak nie mógł się dłużej oszukiwać. Prowadzone przezeń gospodarstwo nie tylko już nie budziło w nim zainteresowania, ale czuł do niego wstręt i nie mógł się nim dłużej zajmować.

Dołączyła się jeszcze do tego obecność o trzydzieści wiorst od niego Kitty Szczerbaekiej, z którą pragnął się widzieć, lecz nie mógł się na to zdecydować. Daria Obłowska, gdy był w Jerguszowie, zapraszała go, by przyjechał i ponowił swoje oświadczenia, dając mu do zrozumienia, że obecnie siostra jej przyjmie je przychylnie. Sam Lewin, zobaczywszy Kitty Szczerbacką, zrozumiał, że nie przestał jej kochać, nie mógł wszelako jechać do Obłowskich wiedząc, że ona tam bawi. To, że się jej oświadczył i że ona go odrzuciła, wzniosło pomiędzy nimi przeszkodę nie do przewyciężenia. „Nie mogę jej prosić, by została moją żoną tylko dlatego, że ona nie mogła zostać żoną tego, za kogo sobie wyjść życzyła” — mówił w duchu. Myśl ta wzbudzała w nim chłód i niechęć do niej. „Nie będę w stanie z nią rozmawiać bez uczucia żalu ani patrzeć na nią bez gniewu, a ona wówczas, co jest całkiem naturalne, jeszcze bardziej będzie mnie nie cierpiała, A poza tym, jakże mogę jechać do nich teraz, po tym, co powiedziała mi Daria Aleksandrowna? Czy potrafię ukryć, że wiem o tym, co mi ona powiedziała... Przyjechałbym niby wspaniałomyślnie — by jej przebaczyć, ułaskawić ją. Jak bym ja wyglądał w roli przebaczonego, zaszczyczonego ją łaskawie moją miłością?! I po co mi Daria Aleksandrowna o tym mówiła?! Mógłbym ją przypadkiem spotkać i wtedy wszystko zrobiłoby się samo, ale teraz to niemożliwe, niemożliwe!”

Daria Aleksandrowna przysłała liścik z prośbą o siodło damskie dla Kitty. „Mówią mi, że pan ma takie siodło — pisała. — Mam nadzieję, że pan je przywiezie osobiście.”

To już było nie do zniesienia. Jak rozumna, taktowna kobieta mogła tak poniżyć siostrę?! Napisał w odpowiedzi z dziesięć listów, ale wszystkie podarł i posłał siodło bez żadnej odpowiedzi. Nie mógł napisać, że przyjedzie, bo przyjechać nie mógł, a napisać, że nie może przyjechać z powodu jakiejś przeszkody lub wyjazdu — byłoby jeszcze gorzej. Posłał siodło bez słowa odpowiedzi i ze świadomością, że zrobił coś, czego powinien się wstydzić. Na drugi dzień poruczył rządca całe obrzydłe mu już teraz gospodarstwo i wyjechał do odległego powiatu, do majątku swego przyjaciela Swiażskiego, gdzie w okolicy znajdowały się wspaniałe, rojące się od bekasów, bagna. Swiażski pisał niedawno, prosząc, aby wreszcie spełnił powzięty już kiedyś zamiar i przyjechał do niego na wieś. Bekasowe bagna w powiecie surowskim od dawna nęciły Lewina, wciąż jednak z przyczyn gospodarskich odkładał tę jazdę. Obecnie rad był uciec od sąsiedztwa Szczerbackich, a zwłaszcza od gospodarstwa, na polowanie, które we wszystkich zmartwieniach stanowiło dla niego najlepszą pociechę.

Do powiatu surowskiego nie było ani kolei, ani pocztowego gościńca, tak że Lewin jechał własnymi końmi i tarantasem.

W połowie drogi zatrzymał się u bogatego chłopa, żeby nakarmić konie. Wrota otworzył mu łysy, krzepki jeszcze, stary chłop z rozłożystą, rudą brodą posiwiąłą u policzków i aby przepuścić trojkę, przycisnął się do węgara. Pokazawszy stangretowi miejsce pod szopą na nowym, dużym, szerokim, czystym i uprzątniętym podwórzu, gdzie stały poopalane drewniane sochy, stary poprosił Lewina do izby gościnnej. Czysto ubrana młoda kobieta, w kaloszach włożonych na bosc nogi, schylona wycierała podłogę w nowej sieni. Złękła się zrazu psa, który wbiegł za Lewinem, i krzyknęła, lecz. Wnet roześmiała się ze swego przestrachu dowiedziawszy się, że pies nikogo nie rusza. Wskazawszy Lewinowi zakasaną ręką drzwi do izby, pochyliła się znowu, chowając urodziwą twarz, i szorowała w dalszym ciągu.

— Może podać samowar czy jak? — zapytała. — Proszę bardzo.

Izba była wielka z kaflowym piecem i przepierzeniem. Pod świętymi obrazami stał stół malowany we wzory, ławka i dwa krzesła. U wejścia była szafeczka z naczyniami. Okiennice trzymano zamknięte, much było mało i panowała taka czystość, że Lewin począł się niepokoić, czy łaska, która biegła za bryczką i kąpała się w kałużach, nie zawała podłogi, kazał jej więc leżeć w kącie u drzwi. Po obejrzeniu izby Lewin wyszedł na podwórko za chatą. Przystojna młoda kobieta w kaloszach, kołyszając na nosidłach puste wiadra, pobiegła, wyprzedzając go, po wodę do studni.

— A śpiesz się! — wesoło krzyknął za nią stary i podszedł do Lewina. — A co, panie, czy pan jedzie do Miskołaja Iwanowicza Swiażskiego? I on do nas czasami zajżdża — zaczął z widoczną ochotą do rozmowy i oparł się o balustradę ganku.

Pośród opowiadania starego o jego znajomości ze Swiażskim znów skrzypnęły wrota i na podwórze wjechali robotnicy z pola z sochami i bronami. Konie, zaprzężone do soch i bron, były wypasione i rosłe. Dwaj młodzi robotnicy w perkalowych koszulach i czapkach z daszkiem należeli wyraźnie do rodziny; dwaj pozostali, w zgrzebnych koszulach, to byli ludzie najemni: jeden człek w latach, drugi — młody chłopak. Gospodarz zeszedł z ganku, zbliżył się do koni i zaczął je wyprzęgać.

— A coście orali? — spytał Lewin.

— Obradlaliśmy kartofle. Dzierżawimy także trochę ziemi. Ty, Fiedot, zostaw wążacha, daj mu obrok, zaprzęgniemy innego...

— A co, tato? Kazałem posłać po lemieszce, czy je przyniesiono? — zapytał tęgi, wysokiego wzrostu chłopak, najwidoczniej syn starego.

— Ot tam... w sankach — odpowiedział, stary zwijając zdjęte lejce i rzucając je na ziemię. — Narządź je, a oni tymczasem zjedzą obiad.

Przystojna młoda kobieta z pełnymi wiadrami, ciężącymi jej na ramionach, weszła do sieni. Pojawiały się jeszcze skądś baby młode i ładne, baby w średnim wieku i baby stare i brzydkie — z dziećmi i bez dzieci.

W rurze samowaru poczęło huczeć; robotnicy i członkowie rodziny, uporawszy się z końmi, poszli na obiad. Lewin, który wyjął, z powozu swoje zapasy, zaprosił starego, żeby się z nim napił herbaty.

— Ależ po co, jużemy dzisiaj pili— powiedział stary, z widoczną przyjemnością przyjmując zaproszenie. — Chyba że dla kompanii.

Przy herbacie Lewin dowiedział się całej historii gospodarstwa starego chłopca. Dziesięć lat temu wydzierżawił on od dziedziczki sto dwadzieścia dziesięcin; a w roku ubiegłym kupił je i w dodatku wydzierżawił jeszcze trzysta od sąsiada ziemianina. Niewielką część ziemi, najgorszą, oddawał kawałkami w dzierżawę, a około czterdziestu dziesięcin pola obrabiał sam z rodziną i z dwoma najemnymi robotnikami. Stary skarżył się, że mu się nie wiedzie, lecz Lewin wyczuwał, że skarżył się tylko dla przyzwoitości i że gospodarstwo jego znajdowało się w stanie kwitującym. Gdyby naprawdę było źle, nie kupiłby ziemi po sto pięć rubli za dziesięcinę, nie ożeniłby trzech synów i bratanka, nie odbudowałby się dwa razy po pożarze, i to coraz dostatniej. Mimo skarg starego widać było, że jest nie bez facji dumny ze swego dobrobytu, ze swych synów, dumny z bratanka i synowych, z krów, koni, a zwłaszcza z tego, że całe gospodarstwo trzyma się kupy. Z rozmowy ze starym Lewin dowiedział się, że ten wcale nie był przeciwnikiem innowacji. Sadził dużo kartofli i jak Lewin widział w przejeździe, jego kartofle już przekwitły i poczynały się zawiązywać, podczas gdy u Lewina dopiero zakwitwały. Pod kartofle orał pługą, jak nazywał pożyczony od sąsiada ziemianina pług. Siał także i pszenicę. Drobnym szczegółem, to mianowicie, że stary, po wypieleniu żyta z pszenicy, wyrwanym żytem karmił konie, po prostu wstrząsnął Lewinem. Ileż to razy, widząc, jak u niego marnuje się ta doskonała pasza, chciał ją zbierać, lecz nigdy nie mógł do tego doprowadzić. U chłopca jednak robiono to i stary nie mógł się dosyć nachwalić tego karmu.

— A cóż innego babinki mają do roboty? Wyniosą to na drogę, a tam już wóz podjedzie.

— A my, ziemianie, nie możemy sobie dać rady z robotnikami — rzekł Lewin podając gospodarzowi szklanekę herbaty.

— Pięknie dziękuję — powiedział stary biorąc szklanekę; nie wziął jednak cukru, wskazując na resztę swego niedogryzionego kawałka. — Jakże można gospodarować z najemnymi robotnikami? — zauważył. — Nic, tylko ruina! Ot, choćby i U Swiażskiego. My tutaj dobrze wiemy, jaka tam dobra ziemia... Jak złoto! A i on także urodzajem pochwalić się nie może. Wszystko — z braku dozoru!

— A wy sami przecie z robotnikami gospodarujecie?

— My to co innego, my robimy po chłopsku. Wszystko sami. Jeśli się który nie nada, wyganiamy, bo i z samymi swoimi też mamy radę.

— Tato, Finogen kazał, żebyście dziegciu dali — powiedziała wchodząc kobieta w kaloszach.

— Tak to jest, proszę pana! — wyrzekł stary wstając Przeżegnał się z wolna, podziękował Lewinowi i wyszedł.

Gdy Lewin wszedł do izby mieszkalnej, aby wywołać stamtąd swego stangreta, ujrzał za stołem całą chłopską rodzinę. Baby usługiwały stojąc. Dorodny młody syn, z ustami pełnymi kaszy, opowiadał coś zabawnego i wszyscy śmieli się głośno, zwłaszcza śmiała się wesoło kobieta w kaloszach, dolewając kapuśniaku do misek.

Bardzo być może, że jej urodziwe liczko wiele się przyczyniło do wrażenia ładu i składu, jakie wywarł na Lewina ten chłopski dom. W każdym razie wrażenie było tak trwałe, że w żaden sposób nie mógł się go pozbyć i przez całą drogę od starego chłopa do Swiażskiego coraz to przypominało mu się owo gospodarstwo, jak gdyby w tym wrażeniu było coś, co domagało się jakiejś specjalnej uwagi.

Swiażski był marszałkiem szlachty swego powiatu. Był o pięć lat od Lewina starszy i już dawno żonaty. Z nimi razem mieszkała też młodsza siostra żony Swiażskiego, panienka bardzo Lewinowi sympatyczna. Lewin zdawał sobie sprawę, że przyjacieli i jego żona bardzo sobie życzą wydać ją za niego. Miał tę niezbitą pewność, jak zawsze młodzi ludzie, tak zwani do wzięcia, chociaż nigdy nie odważyłby się o tym mówić. Wiedział również, że mimo iż pragnął się ożenić i mimo że ta bardzo pociągająca dziewczyna zapewne byłaby doskonałą żoną, nie mógłby się z nią ożenić, nawet gdyby nie był zakochany w Kitty Szczerbackiej, podobnie jak nie mógłby ulecieć do nieba. To, czego się domyślał, zatruwało mu przyjemność, którą sobie obiecywał po odwiedzinach u Swiażskiego.

Po otrzymaniu od przyjaciela listu z zaproszeniem na polowanie Lewin natychmiast przypomniał sobie te komplikacje, lecz w końcu zdecydował, że podejrzenie Swiażskiego o takie zamiary jest na niczym nie opartym przypuszczeniem i że wobec tego jednak pojedzie. Poza tym w głębi duszy miał ochotę wypróbować siebie i raz jeszcze przyjrzeć się, jak by ta panna do niego pasowała. Życie w domu Swiażskich było nadzwyczaj miłe, a sam pan domu, najdoskonalszy typ działacza ziemstwa, jakiego Lewin znał bardzo go interesował.

Swiażski był to jeden z tych ludzi, którzy zawsze wprawiali Lewina w zdumienie, rozumowanie ich bowiem bardzo logiczne, chociaż nigdy nie samodzielne, szło swoją drogą, a życie, o bardzo wyraźnym i stałym kierunku — swoją, i to nie tylko całkowicie niezależnie od rozumowania, lecz zawsze niemal sprzecznie z rozumowaniem. Swiażski, był człowiekiem niezwykle liberalnym. Pogardzał szlachtą i uważał większość z nich za skrytych — ze strachu tylko trzymających to w tajemnicy — zwolenników pańszczyzny. Mniemał, że Rosja jest krajem zupełnie straconym, czymś w rodzaju Turcji, a rząd rosyjski — tak kiepski, że nigdy nawet nie pozwalał sobie na poważną krytykę jego działalności. Przy tym wszakże pełnił służbę rządową i był wzorowym marszałkiem szlachty, a na podróż wkładał zawsze czapkę z bączkiem i czerwonym otokiem. Uważał, że żyć po ludzku można tylko za granicą, dokąd też, gdy tylko mógł, wyjeżdżał na dłuższy pobyt a jednocześnie prowadził w Rosji bardzo skomplikowane i postępowe gospodarstwo i z nadzwyczajnym zainteresowaniem studiował wszystko i wiedział o wszystkim, co się dzieje w kraju. Był zdania, że chłop rosyjski znajduje się na stopniu rozwoju przejściowym pomiędzy małpą a człowiekiem, a jednak w czasie wyborów do ziemstwa chętniej od innych ścisłał rękę chłopom i wysłuchiwał ich zdania. Wreszcie, mimo że nie wierzył absolutnie w nic, troszczył się wielce o poprawę bytu duchowieństwa i o zmniejszenie rozległości parafii, zwłaszcza zaś dbał o to, aby cerkiew przy tym pozostawała w jego wsi.

Co do sprawy kobiecej, to stał po stronie skrajnych zwolenników zupełnej swobody kobiet, a specjalnie ich prawa do pracy, ale z żoną żył tak, że wszyscy zachwycali się ich — zgodnym, bezdzielnym, rodzinnym pożyciem, a jej egzystencję tak urządził, że nie robiła i nie mogła nic robić. Zajęta była jedynie wspólną z

mężem troską o to, by jak najprzyjemniej i najweselej spędzać czas.

Gdyby nie to, że Lewin miał zwyczaj doszukiwać się w ludziach . najlepszych stron, określenie charakteru Swiażskiego nie stanowiłoby dla niego żadnej trudności ani zagadnienia. Powiedziałby sobie: dureń albo łajdak, i wszystko byłoby jasne. Ale nie mógł powiedzieć dureń, Swiażski bowiem był człowiekiem nie tylko rozumnym, ale niewątpliwie bardzo wykształconym, choć nie obnosił się ze swym wykształceniem. Nie było tematu, którego by nie znał, wiedzę swą ujawniał wszakże tylko wówczas, gdy bywał do tego zmuszony. Jeszcze mniej zasługiwał na miano łajdaka, był bowiem niewątpliwie uczciwym, dobrym, inteligentnym człowiekiem, który wesoło, z temperamentem i konsekwentnie uprawiał działalność wysoce cenioną przez całe otoczenie i na pewno nigdy świadomie nie czynił i nie mógł uczynić nic złego.

Lewin starał się zrozumieć i nie rozumiał: toteż spoglądał zawsze na Swiażskiego i na jego życie jak na żywą zagadkę.

"Łączyła ich przyjaźń i dlatego pozwalał sobie na wypytywanie przyjaciela i dobieranie się aż do podstaw jego poglądu na życie, było to jednak zawsze daremne. Ile razy usiłował przeniknąć w duszy Swiażskiego poza obręb bawialnych pokoi; których drzwi stały dla wszystkich otworem, spostrzegął, że Swiażski bywał z lekka zakłopotany; spojrzenie jego zabarwiało się ledwo widocznym lękiem, jakby w obawie, że a nuż Lewin go zrozumie, i dobro- dusznie odpierał atak wesołym konceptem.

Obecnie, po rozczarowaniu, jakie go spotkało w gospodarstwie, Lewin cieszył się bardziej niż zwykle na pobyt u Swiażskiego. Już pomijając to, że go wprowadzał w dobry humor widok tych dwojga gołąbków szczęśliwych, zadowolonych z siebie i ze wszystkich ludzi, oraz widok ich wygodnie urządzonego gniazdka — miał teraz właśnie ochotę, sam tak bardzo niezadowolony ze swego życia, dotrzeć w Swiażskim do tajemnicy, która dawała życiu jego taką przejrzystość, pewność i pogodę. Poza tym Lewin wiedział, że spotka tu sąsiadów-ziemian, i rad był specjalnie w danej chwili pogadać i posłuchać rozmów o gospodarstwie, o urodzaju, o godzeniu robotników itp., rozmów, które oczywiście uchodzą za coś bardzo poziomego, lecz które teraz wydawały się Lewinowi czymś ważnym. „Być może, że za czasów pańszczyźnianych nie było to ważne i może nie jest ważne w Anglii. W obu tych wypadkach przynajmniej warunki są ustabilizowane, ale u nas obecnie, gdy dokonał się przewrót i wszystko zaledwie się organizuje, kwestia, jak się ułożą te warunki, jest jedyną, ważną kwestią w Rosji" — myślał Lewin.

Polowanie wypadło nie tak świetnie, jak się Lewin spodziewał. Bagno wyschło i bekasarew w ogóle nie było. Po całym dniu chodzenia upolował zaledwie trzy sztuki, ale za to, jak zawsze z polowania, przyniósł doskonały apetyt, świetny humor i to podniecenie intelektualne, które u niego szło zawsze w. parze z gwałtownym ruchem fizycznym. I na polowaniu, i w czasie, gdy zdawało się, że o niczym nie myślał, raz po raz przypominał mu się stary chłop z rodziną. Niedawne to wrażenie wymagało jakby nie tylko jego uwagi, lecz i rozstrzygnięcia czegoś, co się z nim samym wiązało.

Wieczorem przy herbatce z udziałem dwóch ziemian, którzy przyjechali w sprawie jakiegoś opiekuństwa, zaczęła się właśnie taka ciekawa rozmowa, jakiej Lewin oczekiwał.

Lewin siedział przy stole obok pani domu i musiał prowadzić rozmowę z nią i z jej siostrą, siedzącą naprzeciw niego. Pani Swiażska była to niewielkiego wzrostu blondynka z okrągłą twarzą, całą w dołeczkach i uśmiezkach. Lewin starał się za jej pośrednictwem uzyskać rozwiązanie tej tak ważnej zagadki, jaką był dla niego jej mąż; nie miał jednak całkowitej swobody myśli. Czuł się straszliwie zażenowany tym, że' naprzeciwko niego siedziała siostra pani domu w sukni, jak mu się zdawało, włożonej specjalnie na jego intencję, ze specjalnym, w kształcie trapezu, dekoltem na białej piersi. To czworokątne wycięcie, mimo że pierś była bardzo biała, a może właśnie dlatego, że była bardzo biała, pozbawiało Lewina swobody myśli. Wyobrażał sobie, zapewne niesłusznie, że wycięcie było zrobione na jego cześć, i uważał, że nie ma prawa na nie spoglądać. Starał się nie patrzeć w tę stronę, ale czuł się winnym, że to wycięcie w ogóle istnieje. Zdawało mu się, że kogoś jakby oszukuje, że powinien dać jakieś wyjaśnienie, ponieważ jednak nie mógł tego uczynić, nieustannie czerwienił się, był zdenerwowany i zaambarasowany. Zakłopotanie jego udzielało się także i ładniutkiej szwagierce. Za to pani domu, zdawało się, nic nie spostrzegła i umyślnie bawiła go konwersacją.

— Pan twierdzi — ciągnęła dalej zaczęłą rozmowę pani Swiażska — że niepodobna, by mój mąż mógł interesować się Czymś, co jest rosyjskie. Jest wręcz przeciwnie: ma on dobry humor i za granicą, ale nigdy tak dobry jak tutaj. Tutaj dopiero czuje się w swoim żywiole. Ma tyle roboty i posiada istny dar interesowania się wszystkim. Ach, pan nie był jeszcze w naszej szkole?

— Owszem, widziałem. To ten domek opleciony bluszczem?

— Tak, to dział Nasti — tu wskazała na siostrę.

— Czy pani sama uczy? — spytał Lewin usiłując omijać wzrokiem dekolt, ale czując, że gdziekolwiek spojrzy, będzie go jednak widział.

— Tak, uczyłam i uczę sama, ale mamy doskonałą nauczycielkę.

Wprowadziłyśmy także gimnastykę.

— Nie, dziękuję bardzo, nie będę pił więcej herbaty — i Lewin czując, że popełnia niegrzeczność, nie będąc jednak w stanie dalej prowadzić dyskursu, wstał czerwieniąc się. — Słyszę tam bardzo ciekawą rozmowę — dodał i podszedł do drugiego końca stołu, gdzie zasiadł pan domu z dwoma ziemianami. Swiażski siedział bokiem do stołu, na którym opierał łokieć; jedną ręką obracał filiżankę, drugą raz po raz ujmował w garść brodę i zbliżał ją do nosa, niby wachając, po czym znów wypuszczał ją z ręki. Błyszczącymi czarnymi oczyma patrzył wprost na gwałtownie rozprawiającego ziemianina o siwych wąsach; i widać było, że dostrzega coś zabawnego w jego słowach. Ziemianin skarżył się na chłopstwo. Lewin wnet poznał, że

Swiażski ma w zanadrzu taką odpowiedź na skargi swego rozmówcy, która od razu zbiłaby jego dowodzenia, lecz że ze względu na swoje stanowisko w powieście

nie może jej wypowiedzieć, a za to wysłuchuje z pewną satysfakcją komicznych wywodów swego gościa.

Siwowąsy obywatel był najwidoczniej zagorzałym zwolennikiem pańszczyzny, zasiedziałym szlagonem oraz zapalonym gospodarzem wiejskim. Oznaki tego Lewin dostrzegał także i w ubiorze (obywatel miał na sobie niemodny, wytarty surdut, w którym, znać było, że czuje się nieswojo), i w jego rozumnych, zasepionych oczach, i w płynnej rosyjskiej mowie, i w nabytym zapewne przez długoletnią wprawę rozkazującym tonie głosu, i w stanowczych ruchach jego dużych, kształtnych, opalonych rąk, z jedną tylko starą obrączką na serdecznym palcu.

Gdyby nie to, że szkoda rzucać, że tyle się w to włożyło wysiłku... machnąłbym na wszystko ręką, sprzedałbym i pojechał, ot, jak Mikołaj Iwanowicz... słuchać Pięknej Heleny — powiedział ziemianin i miły uśmiech rozjaśnił jego rozumną postarzałą twarz.

— A jednak pan go nie rzuca, więc. widocznie się opłaca — odrzekł Mikołaj Iwanowicz Swiażski.

— Tylko ta jedna z tego korzyść, że mieszkam na swoim i majątek nie z kupna i nie z dzierżawy. Ciągłe się człowiek zresztą spodziewa, że chłopstwo przecie nabierze rozumu. Tymczasem, nie uwierzy pan, co za pijaństwo, co za rozpusta! Podzielili wszystko tak, że teraz nie mają ani nawet marnego konika, ani nędznej krowiny. Zdycha toto z głodu, a jeśli się go najmie jako robotnika, tylko szuka okazji, żeby coś popsuć, a potem jeszcze ciąga człowieka po sądach pokoju.

— Może pan się odwzajemnić i jego również zaskarżyć przed sędzią pokoju.

— Ja miałbym skarżyć?! Za nic na świecie! To wywołałoby tyle gadania, że człowiek żałowałby potem, że z tym zaczął! Ot, na przykład w fabryce robotnicy pobrali- za- datki, a potem poszli sobie. I cóż robi sędzia pokoju? Uniewinnia ich. Wszystko trzyma się już tylko na sądzie gminnym i na władzy wójta: ten wychłosta takiego na starą modłę, i już. Gdyby tego nie było — to trzeba by wszystko rzucić i uciekać na koniec świata!

Najwidoczniej stary ziemianin rozmyślnie gadał na złość Swiażskiemu, lecz ten nie tylko się nie irytował, ale zdawał się szczerze ubawiony.

— A przecież my prowadzimy swoje gospodarstwa bez stosowania takich środków — rzekł z uśmiechem — ja, Lewin i pan.

Wskazał na drugiego ziemianina.

— Tak. U Michała Pietrowicza gospodarstwo idzie, ale niech się pan zapyta — jak? Czy to jest racjonalna gospodarka? — spytał stary ziemianin, wyraźnie popisując się słowem „racjonalna”.

— Moje gospodarstwo jest nieskomplikowane — wtrącił Michał Pietrowicz. — Chwała Bogu! Całe moje gospodarstwo ma na celu tylko jedno: przygotować na czas pieniądza na jesienne podatki. Przychodzą do mnie chłopi: „Ojczulku rodzony, wybaw ż kłopotu!” Ostatecznie, są to przecież swoi chłopi, sąsiedzi, więc żal ich człowiekowi. Da się im na pierwszą ratę, ale się im przy tym powiada: pamiętajcie, chłopcy, ja wam pomogłem, to teraz i wy tonie pomóżcie, gdy zajdzie potrzeba — czy przy siewie owsa, czy przy sianokosie, czy przy żniwie; i od razu zastrzega się sobie — po ilu z jednego gospodarstwa. Oczywiście, i pomiędzy nimi bywają ludzie nierzetelni, to prawda.

Lewin, który znał od dawna te patriarchalne sposoby, rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Swiażskiego i przerwał Michałowi Pietrowiczowi zwracając się znów do obywatelao siwych wąsach.

— Więc jak pan sądzi? — zapytał. — Jak należałoby obecnie prowadzić gospodarstwo?

— Właśnie tak jak Michał Pietrowicz: albo za pół plonu z chłopami, albo oddawać im ziemię w dzierżawę. Można tak robić, ale tym samym niszczy się ogólną zamożność państwa. Tam, gdzie jak u mnie ziemia przy pańszczyźnianej obróbce i dobrej gospodarce dawała dziewięciokrotny plon, przy gospodarce za pół plonu da zaledwie trzykrotny. Emancypacja chłopów zrujnowała Rosję!

Swiażski roześmianymi oczyma spojrział na Lewina dając mu ledwo dostrzegalny ironiczny znak; Lewin jednak nie znajdował, aby słowa ziemianina były śmieszne — rozumiał je lepiej, niż rozumiał Swiażskiego. A wiele spomiędzy argumentów wysuwanych przez ziemianina w dalszym ciągu, by wytłumaczyć, w jaki sposób emancypacja chłopów zrujnowała Rosję, wydawało mu się nawet bardzo słuszne. Były nowe i nie do obalenia. Ziemianin najwidoczniej wypowiadał — co tak nieczęsto się zdarza — swoją własną myśl, i to, taką, do której doszedł nie tylko dlatego, by znaleźć jakąś rozrywkę dla próżnującego umysłu, lecz taką, która wyrosła z warunków jego życia, wykuła się w wiejskim odosobnieniu i została ze wszech stron gruntownie przemyślana.

— Rzecz polega, uważa pan, na tym, że wszelki postęp może być przeprowadzony jedynie przez zwierzchność — prawil chcąc wyraźnie pokazać, że i jemu nie obce jest wykształcenie. — Weźcie, panowie, reformy Piotra, Katarzyny, Aleksandra. Weźcie historię Europy. A tym bardziej historię postępu w rolnictwie... Choćby na przykład kartofle — przecież je u nas także gwałtem wprowadzono. A nawet sochą nie zawsze orano i ją kiedyś wprowadzono — może za czasów książąt udzielnych — ale na pewno siłą. W nowszych czasach my, obywatele ziemscy, za pańszczyzny prowadziliśmy nasze gospodarstwa z różnymi ulepszeniami. Zarówno suszarki, jak wialnie, racjonalne nawożenie i wszystkie narzędzia — wszystko wprowadziliśmy, bośmy byli wtedy zwierzchnością, chłopci zaś z początku opierali się, a później zaczęli nas naśladować. Teraz, po zniesieniu pańszczyzny, władzę nam odjęto i gospodarstwo nasze tam, gdzie je podniesiono na wysoki poziom, musi znów spaść do najdzikszego, pierwotnego stanu. Ja to tak rozumiem.

— Ale dlaczego? Jeśli jest racjonalne, może pan je prowadzić siłami najemnymi — rzekł Swiażski.

— Nie mam po temu władzy. Przy pomocy jakich ludzi mam prowadzić gospodarkę?... Niech pan sam powie.

„Otóż to właśnie — siła robocza jako główny czynnik w gospodarstwie" — pomyślał Lewin.

— Przy pomocy robotników.

— Robotnicy nie chcą ani pracować porządnie, ani pracować dobrymi narzędziami. Robotnik nasz jedno tylko potrafi: upić się jak świnia i popsuć wszystko, co dostanie. Konie napoi, gdy są zgrzane, porządną uprząż porwie, koło okute wymieni i przepije, do młocarni wbije kołek, żeby ją złamać. Złość go bierze na wszystko, co jest nie na jego modłę. To jest powodem obniżenia poziomu gospodarstwa. Całe połacie roli leżą nie uprawione, zarosły chwastem lub rozdano

Je chłopom, i tam, gdzie produkowano milion ćwierci, dziś produkuje się zaledwie setki tysięcy. Ogólne bogactwo kraju zmniejszyło się. Gdyby zrobiono to samo, ale z planem...

Tu począł wykładać swój plan emancypacji chłopów, przy którym uniknięto by wszystkich tych niedogodności.

Lewina nie to interesowało i gdy tamten skończył, podjął znów pierwszą tezę swego rozmówcy i zwrócił się do Swiażskiego starając się doprowadzić go do tego, by się wypowiedział serio.

— To, że nasz poziom gospodarczy obniża się i że przy naszym stosunku do robotników nie można racjonalnie prowadzić gospodarstw tak, aby one przynosiły dochód, to zupełna prawda — oświadczył.

— Ja tego nie znajduję — zaproponował, tym razem już serio, Swiażski — widzę tylko, że nie umiemy gospodarować i że ten poziom gospodarstwa, jaki zaprowadziliśmy za pańszczyzny, był nie tylko nie zanadto wysoki, ale przeciwnie, zbyt niski: Nie mamy ani maszyn, ani dobrego inwentarza, ani porządnej administracji, ani też liczyć nie umiemy. Niech pan spyta gospodarza-ziemianina, co mu się opłaca, a co nie — okaże się, że on sam tego nie wie.

— Ach, ta włoska buchalteria — uśmiechnął się ironicznie stary obywatel. — Żeby człowiek nie wiem jak rachował, skoro mu wszystko popsują, to i tak nie będzie miał żadnego dochodu.

— Dlaczegoż by mieli popsuć? Lichą młocarnię, pański rosyjski deptaczek połamią, ale mojej parowej — nie. Rosyjskiego konika naszej, jak jej tam? taszczańskiej rasy, bo go trzeba za ogon taszczyć, - zmarnują, ale niech pan zaprowadzi u siebie perszerony lub choćby bitiugi — tych nie zmarnują. I tak ze wszystkim. Powinniśmy podnosić poziom gospodarki.

— Żeby tylko było za co! Panu łatwo gadać, ale ją muszę syna utrzymywać na uniwersytecie, a malców w gimnazjum, więc dla mnie mowy nie ma o perszeronach.

— Od tego są banki.

— Żeby mi resztę majątku puszczo pod młotek? Nie, dziękuję.

— Nie zgadzam się z tym, że trzeba i można podnieść poziom gospodarstwa jeszcze wyżej — wtrącił Lewin. — Pracuję nad tym i mam na to środki, ale nie mogłem nic zrobić. Nie wiem, komu banki przynoszą pożytek. Jeśli chodzi o mnie, to pieniądze, jakie wkładałem w gospodarstwo, zawsze przynosiły stratę by było dawało stratę, maszyna — to samo.

— To, to prawda — siwowąsy obywatel aż się roześmiał z uciechy.

— I nie o mnie jednego tu chodzi — ciągnął dalej Lewin — mogę się powołać na wszystkich właścicieli gospodarujących racjonalnie; wszyscy, z małymi wyjątkami, prowadzą gospodarstwa ze stratą. Powiedz no, jak stoi twoje własne gospodarstwo? Czy masz z niego dochód? — rzekł Lewin i natychmiast ujrzał w oczach Swiażskiego ten przelotny wyraz lęku, który zauważył, ilekroć chciał się zapuścić w umyśle przyjaciela dalej niż do bawialnych pokoi.

Poza tym pytanie to nie było ze strony Lewina całkiem lojalne. Pani Swiażska przed chwilą powiedziała mu przy herbacie, że mąż jej tego lata sprowadzał z Moskwy Niemca, specjalistę od buchalterii, który za pięćset rubli honorarium skontrolował ich gospodarstwo i stwierdził, że przy- nosi ono 3000 rubli z kopiejkami strat. Nie pamiętała, ile było tych kopiejek, ale zdawało się jej, że Niemiec obliczył je aż do ćwierci kopiejki włącznie.

Stary ziemianin na wspomnienie o dochodach z gospodarstwa Swiażskiego uśmiechnął się wiedząc najwidoczniej, jakie sąsiad, marszałek szlachty, mógł. mieć dochody

— Może i nie przynosi mi dochodu — przyznał Swiażski. — To tylko dowodziłoby, że albo jestem złym gospodarzem, albo też wkładam w gospodarkę kapitał, by uzyskać potem większą rentę.

— O Boże, rentę! — ze zgrozą wykrzyknął Lewin. — Może w Europie jest jakaś renta, tam gdzie ziemia już jest zmeliorowana na skutek włożonej w nią pracy, ale u nas im więcej wkłada się w nią pracy, tym ziemia staje się gorsza, to znaczy, że wycieńcza się przez uprawę; nie może więc być żadnej renty.

— Jak może nie być renty! Wszak to elementarne prawo ekonomiczne.

— W takim razie jesteście poza prawem. Pojęcie renty u nas nic nie tłumaczy, przeciwnie — gorzej zaciemniać. Powiedz no sam, jak może pojęcie renty...

— Czy nie zjedlibyście, panowie, zsiadłego mleka? Każ nam podać kwaśnego mleka albo malin, moja droga — zwrócił się do żony. — W tym roku maliny trwają niezwykle długo.

I Swiażski wstał w jak najlepszym humorze od stołu, widocznie uważając, że rozmowa się skończyła, i to właśnie w tym punkcie, gdzie dla Lewina właściwie się dopiero rozpoczęła.

Straciwszy w ten sposób rozmówcę Lewin dyskutował dalej ze starym ziemianinem, usiłując mu dowiedzieć, że -wszystkie trudności pochodzą stąd, że ignorujemy właściwości i przyzwyczajenia naszego robotnika. Ziemianin był wszelako, jak wszyscy ludzie samotni i myślący niezależnie, bardzo nieprzenikliwy dla cudzych myśli, za to niezmiernie przywiązany do własnych. Upierał się przy zdaniu, że chłop rosyjski jest świnią i kocha to swoje świństwo, że aby go z tego stanu świńskości wydobyć, potrzebna jest zwierzchność, której nie ma, potrzebny — kij, a myśmy się stali tak liberalni, że ustanowiliśmy zamiast tysiącletniego kija jakichś adwokatów i zorganizowaliśmy więzienia, w których niegodziwych, śmierdzących chłopów karmi się dobrą zupą i oblicza dla nich kubiczne metry powietrza.

— Dlaczego pan tak myśli? — dopytywał się Lewin starając się wrócić do kwestii, że niepodobna znaleźć takiego stosunku do siły roboczej, przy którym praca stałaby się produktywna.

— To się nigdy nie da zrobić z rosyjskim chłopem. Nie ma zwierzchności — odrzekł obywatel.

— Jakież to nowe warunki można by wynaleźć — wtrącił Swiażski, który

zjadłszy zsiadłe mleko zapalił papierosa i znów przyłączył się do dyskutujących. — Przecie wszystkie istniejące formy w stosunku do siły roboczej zostały już określone i zbadane. Pozostałość . czasów barbarzyńskich, pierwotna wspólnota ze zbiorową wzajemną odpowiedzialnością, sama przez się podupadła, pańszczyznę zniesiono, pozostaje tylko wolny najem, a. jego formy są już określone i gotowe; trzeba je tylko stosować. Parobek, podzienny robotnik i dzierżawca — poza to i my nie wyjdziemy.

— Ale Europa nie jest z tych form zadowolona.

— Wiem, jest niezadowolona i szuka nowych. Zapewne je znajdzie.

— O tym właśnie mówię — nastawa! Lewin. — Dlaczegoż byśmy i my nie mieli szukać z naszej strony?

— Dlatego, że moglibyśmy równie dobrze wynajdywać, na nowo sposoby budowania kolei. One są już gotowe, wynaleziono je.

— Ale skoro nie nadają się dla nas? Skoro są niemądre? — upierał się Lewin.

I znów spostrzegł w oczach Swiażskiego wyraz przestרחu.

— Ach to: że ich czapkami zarzucimy, że znajdziemy coś, czego cała Europa szuka! Znam to wszystko. Ale, przepraszam cię, czy wiesz o wszystkim, co zrobiono w Europie w sprawie organizacji robotników?

— Wiem bardzo mało.

— Kwestia ta zajmuje obecnie najtęższe umysły w Europie. Na przykład kierunek Schulze-Delitscha... A poza tym cała ta olbrzymia literatura w sprawie robotniczej o najliberalniejszej, lassalowskiej tendencji... A to, co zrobiono w Milhuzie, to już fakt — możecie, panowie, o tym słyszeli?

— Mam o tym pojęcie, ale bardzo niedokładne.

— Ach nie, tylko tak mówisz, a znasz to wszystko nie gorzej ode mnie.

Oczywiście, nie jestem profesorem socjologii, ale mnie to interesowało i naprawdę, jeśli to interesuje także i ciebie, to i ty się tym zajmij.

— Ale do czego oni doszli?

— Przepraszam...

Goście wstali, a Swiażski znów osadził w miejscu Lewina, który miał przykry zwyczaj zaglądania do jego duszy poza oficjalne pokoje — i poszedł odprowadzić gości.

Tego wieczoru Lewin nudził się niewymownie z paniami. Był jeszcze bardziej niż zwykle przejęty myślą, że to niezadowolenie z gospodarstwa, jakie sarn obecnie odczuwał, nie było niczym wyjątkowym, lecz pokrywało się z ogólnym stanem tej kwestii w Rosji. Zdał sobie sprawę, że stworzenie dla robotników takich jakichś warunków, przy których pracowaliby tak jak u starego chłopa na połowie drogi do Swiażskiego, to nie mrzonka, lecz zagadnienie, które należy rozstrzygnąć. I zdawało mu się, że zadanie to jest wykonalne i że należy spróbować.

Pożegnawszy panie obietnicą pozostania nazajutrz jeszcze cały dzień, by pojechać razem konno i obejrzeć ciekawe obsunięcie się ziemi w państwowym lesie, Lewin przed pójściem Spać zaszedł jeszcze do gabinetu gospodarza po książki o sprawie robotniczej, które mu proponował Swiażski. Gabinet był to olbrzymi pokój zastawiony szafami pełnymi książek. Stały tam dwa stoły: masywne biurko pośrodku pokoju i okrągły stół, na którym w kształt gwiazdy były poukładane dokoła lampy ostatnie numery gazet i czasopism w różnych językach. Obok biurka znajdowała się szafeczka do aktów ze złotymi napisami na szufladach głoszącymi ich zawartość.

Swiażski wy dostał książki i usiadł w fotelu na biegunach.

— Co tam oglądasz? — rzekł do Lewina, który stojąc przy okrągłym stole przeglądał czasopisma. — Ach, ale tam jest bardzo ciekawy artykuł — dodał mając na myśli czasopismo, które tamten trzymał w ręku. — Okazuję się, że głównym winowajcą rozbioru Polski był wcale nie Fryderyk — mówił wesoło z ożywieniem. — Okazuje się...

I z właściwą sobie jasnością wykładu opowiedział pokrótce o tych całkiem nowych, bardzo ważnych i interesujących odkryciach. Mimo że Lewina obecnie przede wszystkim zajmowała myśl o gospodarstwie, słuchał go zapytując siebie w duchu: „Co też w nim siedzi? Dlaczego interesuje go rozbiór Polski?” — Gdy Swiażski skończył, Lewin spytał machinalnie: „I cóż z tego?” — Ale nic innego nie było poza tym, że „okazywało się”. Swiażski nie wytłumaczył i nie uważał wcale za konieczne tłumaczyć, czemu go to interesowało.

— Tak. Ale mnie bardzo zaciekał rozsierdzony obywatel — westchnął Lewin. — To rozumny człowiek i pod wieloma względami mówił prawdę. .

— Dajże pokój! To zajadły skryty zwolennik pańszczyzny, jak oni wszyscy. — odrzekł Swiażski.

— A ty jesteś ich marszałkiem...

— Tak, ale ja im marszałkuję w innym kierunku — roześmiał się Swiażski.

— A mnie coś innego bardzo interesuje — rzekł Lewin. — On ma rację, że nasza sprawa, to jest sprawa racjonalnego gospodarowania, źle idzie, że tylko lichwiarskie gospodarstwo, jak u tego cichutkiego jegomościa, jako najprostsze, prosperuje. Ale kto temu winien?

— Oczywiście — my sami. A poza tym, to nieprawda, że gospodarstwo źle idzie. Wasilczykowi idzie dobrze.

— To fabryka.

— A ją jednak nie rozumiem, co cię w tym dziwi. Lud stoi na tak niskim stopniu materialnego i moralnego rozwoju, że oczywiście musi przeciwstawiać się wszystkiemu, co jest dla niego obce. W Europie racjonalna gospodarka idzie dobrze, ponieważ lud jest oświecony, więc i u nas należy dać ludowi oświatę — i tyle.

— Ale jak dać oświatę ludowi?

— Żeby dać ludowi oświatę, potrzeba trzech rzeczy: szkół, szkół i jeszcze raz szkół.

— Ale ty sam powiadasz, że lud znajduje się na niskim stopniu materialnego rozwoju. Co tu pomogą szkoły?

— Wiesz, przypominasz mi anegdotę o radach dawanych choremu: „Czyście próbowali dać choremu na przeczyszczenie?” — „Próbowaliśmy; jest gorzej.” — „Spróbujcie pijawek.” — „Jużeśmy próbowali. Zaszkoziły.” — „No, więc módlcie się.” — „Próbowaliśmy. Wciąż jest gorzej.” — Ja mówię o ekonomii politycznej; ty powiadasz — gorzej. Wspominam o socjalizmie; ty powiadasz, — gorzej. Wreszcie o oświacie — gorzej.

— Ale cóż tu mogą pomóc szkoły?

— Dadzą ludowi nowe potrzeby.

— Tego to już nigdy nie mogłem zrozumieć — gorąco. sprzeciwił się Lewin. — Jakim sposobem szkoły pomogą ludowi do polepszenia jego bytu materialnego? Mówisz, że szkoły, oświata stworzą mu nowe potrzeby. Tym gorzej, bo nie będzie miał środków na ich zaspokojenie. A jakim sposobem to, że będzie umiał dodawać i odejmować i będzie znał katechizm, pomoże mu do polepszenia bytu materialnego, nigdy nie mogłem pojąć. Dwa dni temu spotkałem babę z niemowlęciem i zapytałem ją dokąd idzie. Odpowiedziała mi: „Chodziłam do znachorki, chłopiec aż drygotki dostaje od krzyku, zaniostałam go na leczenie.”

Spytałem ją, jak znająca leczy ową „drygotkę”, jak się wyraziła kobiecina... „A sadza dzieciątko do kur na grzędę i coś przy tym powtarza.”

— No więc widzisz sam! Na to, żeby baba nie nosiła dziecka do kur na grzędę, należy... — wesoło mówił Swiażski.

— Ach, nie! — zirytował się Lewin. — Mnie taka kuracja przypomina właśnie leczenie braków u ludów przy pomocy szkół. Lud jest biedny i nieoświecony — widzimy to równie dobrze, jak baba widzi „drygotkę”, ponieważ dziecko krzyczy.. Ale w jaki sposób na tę biedę, nędzę

,i ciemnotę mają pomóc szkoły, jest tak samo niepojęte jak to, dlaczego na „drygotkę” mają pomóc kury na grzędzie? Trzeba szukać rady na to, co sprawia, że lud jest w nędzy.

— No więc przynajmniej w tym zgadzasz się ze Spencerem, którego tak- nie

lubisz: on również twierdzi, że wykształcenie jest raczej wynikiem większego dobrobytu i większych wygod życiowych, częstych obmywań — jak on to nazywa — niż umiejętności czytania i rachowania...

— Otóż to! Bardzo mi miło, a raczej bardzo żałuję, że się ze Spencerem zgadzamy, tylko że ja to wiem już od dawna. Nie szkoły tu pomogą, ale taki ustrój ekonomiczny, przy którym lud będzie zasobniejszy, będzie miał więcej wolnego czasu — a wtedy będą już i szkoły.

— Jednak w całej Europie szkoły są teraz obowiązkowe.

— A ty sam zgadzasz się w tym względzie ze Spencerem? — zapytał Lewin.

Ale w oczach Swiażskiego przemknął znów wyraz trwogi; rzekł z uśmiechem:

— Nie, ta „drygotka” jest wspaniała! Czyś to sam słyszał?

Lewin przekonał się już, że nie potrafi znaleźć związku pomiędzy życiem tego człowieka a tym, co on myślał.

Swiażskiemu było najwyraźniej zupełnie obojętne, do czego doprowadzi go rozumowanie; chodziło mu tylko o sam proces rozumowania. Nie lubił jednak, gdy ten proces wpędzał go w ślepy zaułek. Było mu to niemiłe i umyślnie zwracał tok rozmowy na coś wesołego i przyjemnego.

Wszystkie wrażenia tego dnia, poczynając od chłopa na połowie drogi, o którym wspomnienie było niejako podstawą całodziennych wrażeń i myśli, wielce wzburzyły Lewina. Ten miły Swiażski, który miał na podorędziu tylko myśli do ogólnego użytku, a poza tym posiadał jakieś inne, utajone przed Lewinem zasady życiowe, i ten sam Swiażski wraz z tłumem, któremu imię legion, kierujący opinią publiczną za pomocą myśli cudzych; ten rozzłoszczony ziemianin, który miał zupełną rację w swych wywodach przemyślanych wśród życiowej męki, a nie miał racji w swoim gniewie na całą klasę, i to najlepszą klasę społeczną w Rosji; własne jego, Lewina, niezadowolenie ze swej działalności i mglista nadzieja znalezienia na to rady — wszystko to zlewało się w nastrój, w którym przeważał wewnętrzny niepokój i oczekiwanie bliskiego rozstrzygnięcia.

Zostawszy sam w przeznaczonym dla siebie pokoju, na materacu sprężynowym, który za lada ruchem podrzuca? mu nieoczekiwanie ręce i nogi, Lewin długo nie spał. Ani jedna z rozmów ze Swiażskim, mimo że ten powiedział wiele rozumnych rzeczy, nie zainteresowała Lewina. Natomiast wywody ziemianina wymagały namysłu. Lewin mimo woli przypominał sobie każde jego słowo i wprowadzał w wyobraźni poprawki do tego, co mu sam wówczas odpowiedział.

„Tak! Powinienem był powiedzieć mu: pan twierdzi, że gospodarka nasza źle idzie, ponieważ chłop nienawidzi wszystkich udoskonaleń, tak że musi je wprowadzać zwierzchność. Miałyby pan rację, gdyby gospodarstwo bez tych wszystkich udoskonaleń wcale nie szło; tymczasem ono idzie, ale tylko tam, gdzie robotnik postępuje zgodnie ze swymi nawykami, jak u starego na połowie drogi. Pańskie — nasze wspólne — niezadowolenie z gospodarstwa dowodzi, że jesteśmy winni albo my, albo robotnicy. My już dawno idziemy przebojem naprzód po swojemu, po europejsku, nie troszcząc się o właściwości naszej siły roboczej.

Spróbujmy spojrzeć na siłę roboczą nie jak na oderwaną jakąś siłę, ale po prostu jak na rosyjskiego chłopca z właściwymi mu instynktami, i zorganizujmy podług tego gospodarstwo. Niech pan sobie wyobrazi (powinienem był mu powiedzieć), że gospodarstwo u pana tak jest prowadzone jak u tego starego chłopca, że znalazł pan sposób, by wzbudzić w robotnikach zainteresowanie i ochotę, by robota się udała, że utrafił pan w tę przeciętną udoskonalenie, którą oni uznają — wtedy, bez wyjątkowania roli, uzyska pan dwa, trzy razy większy plon niż dotychczas. A jeżeli go pan podzieli na pół i odda połowę sile roboczej, to i tak nadwyżka, która panu zostanie, będzie większa niż obecnie i robotnik również dostanie więcej. Żeby to wykonać, należy obniżyć poziom gospodarstwa i wzbudzić w robotnikach zainteresowanie wynikami gospodarki. Jak to zrobić, to już jest kwestia opracowania szczegółów, ale nie ma wątpliwości, że to możliwe."

Pomysł ten ogromnie poruszył Lewina; pół nocy nie spał obmyślając szczegółowo jego wykonanie. Nie miał zrazu zamiaru wyjeżdżać nazajutrz, lecz obecnie postanowił zaraz z samego rana wrócić do domu. Poza tym ta szwagierka z dekoltem u sukni wywoływała w nim uczucie podobne do zawstydzenia i skruchy, jakby popełnił jakiś bardzo zły uczynek. Co najważniejsze zaś — wiedział, że powinien jechać bez zwłoki: trzeba było przedstawić chłopom nowy projekt, zanim będą posiane oziminy, tak' aby siał już według nowych zasad. Postanowił przeobrazić całe swoje dotychczasowe gospodarstwo.

Wykonanie planu nastęczało wiele trudności. Lewin robił jednak szalone wysiłki i chociaż nie osiągnął tego, co zamierzał, to jednak bez okłamywania się mógł i nadal wierzyć, że sprawa jest warta zachodu. Jedną z głównych trudności stanowiła niemożność zatrzymania raz puszczonego w ruch gospodarstwa i zaczenia wszystkiego od początku. Trzeba było przestawiać maszynę w biegu.

Gdy, natychmiast po przyjeździe" do domu, tego samego wieczoru, zakomunikował rządcy o swoich planach, ten z najwyższym zadowoleniem zgodził się z tą częścią jego wywodów, które stwierdzały, że wszystko, co dotychczas robiono, było wierutnym głupstwem i przynosiło straty. Rządca oświadczył, że i on to dawno mówił, - tylko że go nie chciano słuchać, ale na propozycję Lewina, by na równi z robotnikami uczestniczył w charakterze udziałowca w całym gospodarskim przedsięwzięciu — zareagował tylko głęboką melancholią i nie wyrażając żadnego określonego zdania, zaczął zaraz o tym, że trzeba koniecznie zwieźć następnego dnia pozostałe snopy żyta i gdzieniegdzie przeorać, tali iż Lewin zdał sobie sprawę, że nie pora teraz na podobne z nim rozmowy.

Kiedy począł w tej samej sprawie zagadywać chłopów i proponował im ziemię na nowych warunkach, napotykał znów tę samą przeszkodę: byli. tak zajęci codzienną pracą, że nie mieli czasu zastanawiać się nad korzyściami czy złymi stronami takiego przedsięwzięcia.

Naiwny chłopina, Iwan skotarz, zdawało się, zrozumiał dokładnie propozycję Lewina, by z całą rodziną wziąć udział w zyskach, jakie przynosiła obora, i całkowicie to pochwalał. Kiedy Lewin jednak począł mu opisywać przyszłe korzyści, na twarzy Iwana odmalowywał się niepokój i żal, że nie może wszystkiego dosłuchać do końca, i spiesznie wynajdywał sobie jakąś nie cierpiącą zwłoki robotę: zabierał się albo do dorzucania siana widłami na okólnik, albo do nalewania wody, albo do uprzątania nawozu.

Druga przeszkoda polegała na tym, że chłopci żywili niczym nie zwalczoną nieufność, i nie można ich było przekonać, że ziemianin może mieć jakkolwiek inny cel niż ograbienie ich, na ile się tylko da. Byli przekonani, że jego prawdziwy cel (cokolwiek by im mówił) będzie zawsze leżał w czymś, czego im nie powie, bo i oni sami w swoich wywodach zwykli byli wiele mówić nie wypowiadając tego, co było istotnym ich celem. Poza tym (tu Lewin przekonał się, że ziemianin-tetryk miał rację) jako pierwszy i nieodzowny warunek jakiegokolwiek umowy chłopci stawiali, by nie zmuszano ich do stosowania nowych metod w gospodarstwie ani do nowych narzędzi rolniczych. Zgadzałi się, że pług orze lepiej i że kultywator pracuje prędzej, ale wynajdywali tysiące powodów, dla których nie mogli używać ani jednego, ani drugiego. Chociaż Lewin był przekonany o konieczności obniżenia poziomu gospodarstwa, żal mu było. wyrzekać się udogodnień tak niewątpliwie korzystnych. Wszakże mimo wszelkich przeszkód dopiął swego i na jesieni sprawa posunęła się naprzód, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Zrazu miał zamiar oddać całe gospodarstwo, tak jak było, robotnikom-chłopom i rządcy na nowych zasadach współnictwa, lecz bardzo prędko przekonał się, że to niemożliwe, i postanowił podzielić gospodarstwo. Obora, sad, ogród warzywny, sianokosy, pola podzielone na kilka działów miały stanowić osobne pozycje. Naiwny Iwan, skotarz, który, jak się Lewinowi zdawało, najlepiej rozumiał sprawę, dobrawszy sobie grupę wspólników, przeważnie z własnej rodziny, stał się udziałowcem obory. Odległe pole, które od ośmiu lat ugorowało, zostało wzięte we władanie na zasadach współnictwa przez sześć chłopskich rodzin pęd wodzą rozumnego cieśli Fiodora Riezunowa, a chłop Szurajew wziął na tych samych warunkach wszystkie ogrody warzywne. Reszta została po dawnemu, ale te trzy działki stanowiły początek nowego ustroju i całkowicie absorbowwały Lewina.

Prawda, że w oborach wszystko szło nie lepiej niż przedtem i że Iwan gorliwie zwalczał ciepłe pomieszczenie dla krów oraz masło śmietankowe, twierdząc, że krowy na zimnie potrzebują mniej paszy i że wyrabianie masła ze śmietany lepiej się opłaca. Poza tym żądał jak dawniej pensji i nic go nie obchodziło, że pieniądze, które otrzymywał, stanowiły nie pensję, ale część jego przyszłego dochodu.

Prawda, że kompania Fiodora Riezunowa nie przeorała po raz drugi roli pod siew, jak było umówione, tłumacząc się, że czasu na to nie starczyło. Prawda, że chłopci z tej kompanii, mimo że zgodzili się gospodarować na nowych warunkach, nazywali tę ziemię- nie wspólną, ale dzierżawną. Nieraz chłopci z tej kompanii, a nawet sam Riezunow, mówili do Lewina: „Lepiej by pan dziedzic brał pieniądze za ziemię; i panu dziedzicowi byłoby dogodniej, i my mielibyśmy większą swobodę.” Poza tym chłopci owi wciąż pod różnymi pretekstami odkładali umówioną budowę obory i stodoły na ich ziemi i marudzili z tym aż do zimy.

Prawda, że Szurajew umyślił oddane mu ogrody warzywne poddzierżawić po kawałku innym chłopom. Najwidoczniej zupełnie fałszywie — i jak się zdawało, z rozmysłem fałszywie — rozumiał warunki, na zasadzie których otrzymał ziemię.

- Prawda wreszcie, że Lewin, rozmawiając z chłopami i tłumacząc im wszystkie korzystne strony takiego przedsięwzięcia, nieraz wyczuwał, że ci słuchali niejako tylko melodii jego głosu, a właściwie byli zupełnie przekonani, że cokolwiek dziedzic będzie mówił, oni oszukać się nie dadzą. Czuł to zwłaszcza, gdy rozmawiał z najrozumniejszym spośród chłopów — Riezunowem. Zauważył w oczach tego ostatniego błyski, które wyraźnie wskazywały na kpiny z dziedzica. Chłop był pewien, że nie wiadomo jak inni, lecz on w żadnym razie oszukać się nie da.

Nie bacząc na to wszystko Lewin uważał, że robota idzie i że prowadząc ściśle rachunki i obstając przy swoim, dowiedzie im w przyszłości, że taka organizacja jest korzystna. A wówczas już wszystko potoczy się własnym rozpędem.

Te wszystkie sprawy wraz z resztą gospodarstwa, która mu pozostała, i z robotą przy biurku nad opracowaniem książki tak zajęły mu całe lato, że prawie wcale nie polował. W końcu sierpnia dowiedział się od pościanca, który mu odwiózł siodło, że Obłońscy wyjechali do Moskwy. Czuł, że przez swoją niegrzeczność — nieodpisanie na list Darii Aleksandrowny, o czym nie mógł wspomnieć bez rumieńca wstydu — spalił za sobą mosty i że już nigdy do Obłońskich nie pojedzie. Tak samo postąpił

ze Swiażskim wyjeżdżając wówczas bez pożegnania. Ale do nich także już się więcej nie wybierze. Było mu to obojętne. Nowa organizacja gospodarstwa zajmowała go tak jak jeszcze nigdy nic w życiu. Przeczytał książki dane mu przez Swiażskiego i sprowadził inne, których tamten nie posiadał. Przeczytał także polityczno-ekonomiczne i socjalistyczne książki na ten temat, ale jak tego zresztą oczekiwał, nie znalazł tam nic, co miałyby związek z dziełem przezeń rozpoczętym. W ekonomii politycznej, na przykład u J. S. Milla, którego przestudiował najpierw i z wielkim zapałem, ciągle spodziewając się znaleźć rozwiązanie zajmujących go kwestii — znalazł prawa oparte na stanie gospodarki w Europie, lecz nie mógł zrozumieć, dlaczego by te prawa, nie dające się zastosować w Rosji, miały być prawami ogólnymi. To samo napotkał w książkach socjalistycznych. Były to albo prześliczne, lecz nierealne fantazje, które pociągały go, gdy był studentem, albo poprawki, łatanina stanu rzeczy istniejącego w Europie, z którym jednak sprawa rolna w Rosji nie miała nic wspólnego. Ekonomia polityczna uczyła, że prawa, na zasadzie których rozwijał się i rozwija dobrobyt Europy, są prawami ogólnymi i niewątpliwymi. Socjalizm twierdził, że dalszy rozwój, według tych praw, prowadzi do zguby. Ani jedno, ani drugie nie dawało wszakże nie tylko odpowiedzi, ale nawet najłżejszej wskazówki na pytanie, co mają Lewin i wszyscy rosyjscy chłopcy i obywatele ziemscy począć ze swymi milionami rąk i dziesięcin, aby przez jak największą produkcję przyczynić się do ogólnego dobrobytu.

Skoro raz już się do tego zabrał, czytał sumiennie wszystko, co miało związek z jego tematem, i nawet zamierzał jesienią pojechać za granicę, aby rzecz zbadać na miejscu, tak by nie mogło mu się więcej zdarzyć w tej dziedzinie to, co go tak często spotykało w różnych innych.

Zaledwie zaczynał rozumieć myśl swego interlokutora i wyklądać mu swoją, gdy nagle pytano go: „A Kaufman? a Jones? a Dubois? a Mitchell? Pan ich nie czytał? Niechże pan przeczyta; oni to opracowali.”

Dziś jasno widział, że Kaufman i Mitchell nic mu nie mieli do powiedzenia. Wiedział, czego chce. Widział, że Rosja posiada doskonałe grunty, doskonałych robotników i że w niektórych wypadkach, jak u tego chłopca na połowie drogi, robotnicy i ziemia produkują dużo, w większości jednak wypadków, gdy na modłę europejską inwestuje się kapitał — produkują mało. Zrozumiał, skąd to . pochodzi: robotnicy chcieli pracować i pracowali dobrze tylko we właściwy sobie sposób, sprzeciw zaś ich nie był czymś przypadkowym, ale czymś stałym, wyływającym z ducha ludu. Myślał, że lud rosyjski, którego misją jest zaludnić i uprawiać olbrzymie nie zajęte przestrzenie, zupełnie świadomie, do czasu aż ziemi te nie będą wszystkie zajęte, trzyma się odpowiednich do tego metod i że metody te wcale nie są takie złe, za jakie ogólnie uchodzą. Zamierzał tego dowieść teoretycznie w swojej książce, a praktycznie w swoim gospodarstwie.

W końcu września zwieziono budulec dla postawienia zabudowań gospodarskich na ziemi oddanej wspólnocie, a także sprzedano masło z obór i podzielono dochód. Gospodarka w praktyce szła świetnie, tak się przynajmniej wydawało Lewinowi. Na to zaś, aby całą rzecz wyświecić teoretycznie i skończyć książkę, należało już tylko pojechać za granicę, by zbadać na miejscu, czego tam w tej dziedzinie dokonano, i wynaleźć przekonujące dowody, że wszystko to nie jest tym, czego potrzeba. W marzeniach Lewina dzieło jego miało nie tylko dokonać przewrotu w ekonomii politycznej, ale zupełnie unicestwić tę naukę, kładąc podwaliny nowej — o stosunku ludu do ziemi. Czekał już tylko na możliwość odstawienia swojej pszenicy, aby dostać pieniądze i wyjechać za granicę. Zaczęły się jednak deszcze i nie dały zwieźć pozostałego na polu zboża i kartofli; wszystkie roboty" i nawet dostawa pszenicy — utknęły. Nieprzebyte błoto leżało na drogach; nagły wylew po deszczu zniósł dwa młyny i pogoda z dnia na dzień stawała się gorsza.

30 września ód rana ukazało się słońce i Lewin, w nadziei na pogodę, począł przygotowywać się do podróży. Kazał ładować pszenicę, posłał rządcę do kupca po pieniądze, a sam wybrał się konno na objazd gospodarstwa, żeby wydać ostatnie dyspozycje przed drogą.

Mokry od strug wody, które lały rnu się po skórzanym płaszczu to za cholewy, to za kołnierz, ale w doskonałym, rześkim i podnieconym nastroju Lewin wracał wieczorem do domu załatwiwszy wszystkie interesy. Pod wieczór niepogoda rozhulała się jeszcze bardziej: krupy śnieżne tak boleśnie smagały zmokniętego, potrząsającego uszami i głową konia, że szedł zupełnie bokiem; Lewinowi jednak pod basztykiem było całkiem dobrze. Spoglądał wesoło wokół: to na mętne strugi płynące w koleinach, to na krople zwisające z każdego nagiego sęcicka, to na plamę nie rozstających krup śnieżnych bielejącą na deskach mostu, to na soczyste, dotychczas jeszcze nie uschłe listowie wąwozu, które osypało się gęstą warstwą dokoła ogołconego drzewa. Pomimo melancholii otaczającej go przyrody czuł się niezwykle podniecony. Rozmowy z chłopami w oddalonej wiosce dowiodły mu, że poczynają oni przywykać do nowych warunków. Stary zagrodnik, do którego zajechał, żeby się obsuszyć, wyraźnie pochwalił dzieło Lewina i sam miał zamiar przystąpić do wspólnoty dla skupu bydła.

„Trzeba tylko z uporem dążyć do celu, a dopnę swego — myślał Lewin — ten cel naprawdę wart jest pracy i wysiłku. To nie moja własna sprawa, tu chodzi o dobro ogółu. Cała gospodarka, a zwłaszcza położenie całego ludu powinno się zupełnie zmienić. Zamiast nędzy — ogólny dobrobyt; zamiast wrogości — zgoda i wspólność interesów. Słowem — bezkrwawa, ale największa w świecie rewolucja: najpierw w małym kółku naszego powiatu, potem w guberni, w Rosji, wreszcie na całym świecie. Jeśli idea jest słuszna, to nie może nie wydać owocu. Tak, to jest cel, dla którego warto pracować. I to, że ja jestem tylko Kostia Lewin, który w czarnym krawacie przyjechał na bal i któremu Szczerbacka dała kosza, Lewin, który sam

przez się jest nędznym i lichym człowiekiem — niczego nie dowodzi. Jestem pewien, że Franklin również czuł się nędzny i również nie ufał we własne siły, gdy zdawał sobie sprawę, czym jest. To nic nie znaczy. Na pewno miał i on także swoją starą Agafięktórej zwierzał się ze swych planów."

Z takimi myślami Lewin podjechał do domu już o zmroku.

Rządca, który jeździł do kupca, powrócił i przywiózł część pieniędzy za pszenicę. Umowa ze starym zagrodnikiem została zawarta, a po drodze rządca dowiedział się, że zboże wszędzie stoi na polu i że te nie zebrane 160 kop zboża u nich to jeszcze nic w porównaniu z tym, co się dzieje u innych.

Zjadłszy obiad Lewin usiadł jak zwykle z książką w fotelu i w dalszym ciągu myślał o swej podróży, łącząc ją z mającą powstać książką. Tego wieczoru znaczenie jego pracy wydawało mu się szczególnie jasne; w myśli układały mu się całe okresy wyrażające istotę jego teorii. „Trzeba to zapisać — pomyślał. — To będzie krótki wstęp, który poprzednio uważałem za niepotrzebny." Wstał, by podejść do biurka. Łaska, leżąca mu u nóg, także wstała przeciągając się i oglądała się na niego, jakby chciała się spytać, dokąd pójdą. Ale nie było czasu na zapisywanie, zjawili się bowiem gumienni po dyspozycje i Lewin wyszedł do nich do sieni. Po odprawie; czyli po wydaniu rozporządzeń na dzień następny, i przyjęciu wszystkich chłopów, mających do niego interesy, Lewin poszedł do gabinetu i zabrał się do roboty. Łaska położyła się pod stołem, a Agafia Michajłowna usiadła z pończochą na swoim miejscu.

Jakiś czas zeszedł mu na pisaniu, gdy wtem przypomniał sobie niesłychanie żywo Kitty, odkosza, jakiego od niej dostał, i ostatnie z nią spotkanie. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

— No i czego panicz się tutaj nudzi! — odezwała się Agafia Michajłowna. — Po co tak ciągle przesiadywać w domu? Niechże panicz jedzie do tych ciepłych wód, dokąd się wybierał.

— Pojutrze właśnie jadę, nianiu. Muszę skończyć robotę.

— Jaka tam panicza robota! Czy. mało panicz tych chłopów powynagradzał? I tak już powiadają: nasz dziedzic za to wielkiej łaski dozna od cesarza. Dziw mi tylko: czemu się panicz tyle o chłopów troszczy?

— Ja nie o nich się troszczę, ja dla siebie samego pracuję.

Agafia Michajłowna знаła wszystkie szczegóły planu gospodarczego Lewina, który nieraz wykładał jej swoje teorie ze wszystkimi subtelnościami. Nierzadko z nią dyskutował nie zgadzając się na jej komentarze. Obecnie wszakże niania całkiem inaczej rozumiała jego powiedzenie.

— O duszy swej, wiadomo, najwięcej myśleć należy — wyrzekła z westchnieniem. — Ot i Parfion Denisycz, mimo że czytać i pisać nie umiał, a. umarł tak, że daj Bóg każdemu. — Agafia Michajłowna miała na myśli zmarłego stróża podwórzowego. — Dostał komunię świętą i ostatnie namaszczenie.

— Nie o tym mówię — wyjaśnił. — Mówię, że robię to dla własnej korzyści. Jeśli chłopci lepiej pracują, to i ja mam z tego korzyść.

— Cokolwiek by panicz zrobił, to jeśli z chłopa leń, i tak nic nie pomoże. Ten, co ma sumienie, będzie pracował, a ten, co go nie ma, temu nikt nie da rady.

— Ale przecież Agafia sama mówiła, że Iwan zaczął lepiej chodzić około bydła.

— Ja jedno tylko mówię — ciągnęła dalej stara, najwidoczniej nie przypadkowo, ale z nieubłaganą konsekwencją — ożenić się panicz powinien,, ot co!

To, że Agafia wspomniała właśnie o tym, o czym i on sam w tej chwili pomyślał, zabolalo go i uraziło. Zmarszczył brwi i nic nie powiedziawszy zasiadł znów do swej pracy, powtarzając sobie wszystko, co sam o jej znaczeniu sądził. Ód czasu do czasu tylko przysłuchiwał się w ciszy dźwiękowi drutów niani i przypominając sobie to, o czym wspominać- nie chciał, znów marszczył brwi.

O dziewiątej posłyszał dzwoneczki i głuchy odgłos kołysania się pudła powozu na błotnistej drodze.

— No, otóż ma panicz i gości: nie będzie nudno — powiedziała Agafia Michajłowna i skierowała się ku drzwiom. Lewin ją szybko wyprzedził. Praca nie szła mu teraz i rad był każdemu gościowi.

Zbiegłszy do pół schodów Lewin postyszał znajome pokastywanie w przedpokoju, ale słyszał je niewyraźnie z powodu odgłosu własnych swoich kroków i miał nadzieję, że się omylił; za chwilę wszakże ujrzał całą długą kościstą znajomą postać. Zdawało się, że już nie można było się łudzić, lecz on jeszcze miał nadzieję, że to omyłka i że ten wysoki kaszlący człowiek, który zdejmował futro, to nie jego brat, nie Mikołaj.

Lewin brata kochał, ale przebywanie z nim razem było dla niego męką. Teraz, kiedy pod wrażeniem nagłych wspomnień oraz aluzji Agafii Michajłowny wpadł w jakiś mętny, powikłany nastrój, oczekujące go spotkanie z bratem wydało mu się szczególnie przykre. Zamiast wesołego, zdrowego, obcego człowieka, który by — jak się tego spodziewał — wniósł odprężenie w ten duchowy zamęt, miał zobaczyć się z bratem, który go na wskroś rozumiał, który poruszy w nim najskrytsze myśli i skłoni do całkowitego wypowiedzenia się. A na to Konstanty wcale nie miał ochoty.

Zły na siebie za te brzydkie uczucia, zbiegł do przedpokoju. Skoro tylko zobaczył brata z bliska, osobisty zawód, którego doznał, znikł, a zastąpiła go litość. Już dawniej Mikołaj przerażał swą chudością i chorobliwym wyglądem, obecnie jeszcze bardziej wychudł i osłabł. Był to pokryty skórą szkielet.

Stał w przedpokoju, konwulsyjnie szarpiąc długą, chudą szyję, z której ścigał szalik, przy czym uśmiechał się dziwnie żałośnie. Widząc ten uległy i pokorny uśmiech Lewin poczuł, jak mu skurcz ściska gardło.

— No i widzisz: przyjechałem do ciebie — rzekł Mikołaj głucho, ani na chwilę nie odwracając oczu od twarzy brata. — Dawno już chciałem to zrobić, ale byłem ciągle niezdrów. Teraz jest mi lepiej — dodał ocierając brodę wielkimi chudymi dłońmi.

— Tak, tak! — odrzekł Lewin i przeraził się jeszcze bardziej, gdy całując go poczuł pod wargami suchość jego ciała i ujrzał z bliska wielkie, dziwnie błyszczące oczy.

Parę tygodni przedtem Lewin pisał do brata, że po sprzedaży tej niewielkiej reszty, która pozostawała im jeszcze do podziału, ma obecnie do odebrania jako swoją część 2000 rubli.

Mikołaj oświadczył, że przyjechał, by odebrać te pieniądze, a zwłaszcza, aby pobyć trochę w swym gnieździe rodzinnym, dotknąć ziemi i nabrać, jak bohaterowie z legendy, siły do oczekującej go działalności. Minio jeszcze większego przygarbienia i uderzającego przy jego wzroście wychudzenia, ruchy miał szybkie i gwałtowne jak zawsze. Lewin zaprowadził go do gabinetu.

Mikołaj przebrał się niezwykle starannie, czego nie zwykł był czynić dawniej. Przygładził swe rzadkie, proste włosy i z uśmiechem wszedł na górę.

Był w nastroju jak najserdeczniejszym i najweselszym, takim, jakim go Lewin pamiętał z dzieciństwa. Nawet o Sergiuszu Iwanowiczu napomknął bez złości.

Ujrawszy Agafię Michajłownę pożartował z nią i zaczął rozpytywać o starą służbę. Wiadomość o śmierci Parfiona Denisycza zrobiła na nim przykre wrażenie.. Na twarzy jego odmalował się przestrah; lecz wnet się otrząsnął.

— To przecież był człowiek stary — rzekł i zmienił temat. — Pobędę u ciebie miesiąc, dwa, a potem pojedą do Moskwy. Wiesz, Miagkow obiecał mi posadę: będę urzędnikiem. Urządzę sobie teraz życie zupełnie inaczej — dodał. — Wiesz, oddaliłem tę kobietę.

— Marię Nikołajewnę? Jak to? Za co?

— Ach, to obrzydliwa osoba! Narobiła mi masę nieprzyjemności. — Ale jakie to były nieprzyjemności, nie powiedział, nie mógł bowiem przyznać się, że ją wygnał, ponieważ podała mu za słabą herbatę, a zwłaszcza za to, że obchodziła się z nim jak z chorym. — Poza tym w ogóle chcę zupełnie zmienić tryb życia. Robiłem, oczywiście, głupstwa, tak jak wszyscy, ale majątek to najmniejsza rzecz, nie żał mi go. Byleby zdrowie służyło, a z tym, chwała Bogu, teraz jest lepiej.

Lewin słuchał go, zastanawiał się i nie mógł wymyślić, co by powiedzieć. Na pewno Mikołaj czuł to samo. Zaczął rozpytywać brata o jego interesy i Lewin rad był opowiadać o sobie, bo wtedy mógł mówić bez obłudy. Opowiedział mu więc o swoich planach i poczynaniach.

Mikołaj słuchaj, lecz widać było, że go to zupełnie nie interesuje.

Ci dwaj ludzie byli przez pokrewieństwo i zażyłość tak sobie bliscy, że najmniejszy ruch czy ton głosu mówił im więcej niż wszystko, co można wyrazić słowami.

Teraz mieli obaj jedną myśl, która zagłuszała wszystko inne: myśl o chorobie Mikołaja i o zbliżającej się jego śmierci. Ani jeden, ani drugi wszakże nie śmiał o niej mówić i dlatego wszystko, o czym mówili, nie wypowiedając się o tej jedynej rzeczy, która ich obchodziła, było fałszem. Nigdy jeszcze Lewin nie był taki rad, gdy wieczór się skończył i trzeba było iść spać. Nigdy z nikim obcym ani na żadnej oficjalnej wizycie nie był tak nienaturalny i tak pełen hipokryzji jak tego dnia. Świadomość tej sztuczności i skrucha z jej powodu sprawiały, że stawał się coraz bardziej nienaturalny. Chciało mu się płakać nad umierającym ukochanym "bratem, a musiał słuchać, jak ten urządzi sobie życie, i podtrzymywać tę rozmowę.

Ponieważ w domu była wilgoć i opalano tylko jeden pokój, Lewin umieścił brata na noc w swoim własnym pokoju za przepierzeniem. .

Mikołaj położył się i — to spał, to nie spał — ale jak czynią ludzie chorzy, przewracał się na łóżku, kaszłał, a gdy nie mógł dobrze odchrząknąć, coś mruczał. Czasami, gdy go flegma dusiła, ze złością mówił: „A, do diabła!” Lewin długo nie mógł zasnąć słuchając brata. Różne myśli przychodziły mu do głowy, a na końcu każdej z nich była śmierć.

Nieunikniony koniec wszystkiego, śmierć — po raz pierwszy stanęła przed nim nieprzepatą siłą. I ta śmierć tutaj, w jego ukochanym bracie, jęczącym przez sen i przywołującym, ze zwyczaju; bez różnicy, to Boga, to diabła — była wcale nie tak daleka, jak mu się przedtem zdawało. Istniała przecież i w nim samym, czuł to. Nie

dziś — to jutro, nie jutro — to za lat trzydzieści, czy to nie wszystko jedno? A czym była ta nieunikniona śmierć — nie tylko, nie wiedział, nie tylko nigdy nawet o tym nie myślał, ale myśleć nie umiał i nie śmiał.

„Pracuję, chcę czegoś dokonać, a zapomniałem, że wszystko to się skończy, że istnieje śmierć.”

Siedział na łóżku, skurczony w ciemności, objął kolana, i — aż wstrzymując oddech z wysiłku myślowego — medytował. Im- bardziej wszelako myśl natężał, tym było dla niego jaśniejsze, że tak jest niewątpliwie: istotnie zapomniał, przeoczył tę drobną okoliczność, że przyjdzie śmierć i wszystko się skończy, zapomniał, że nawet nie warto było nic rozpoczynać i że nie ma na to rady. To straszne, ale tak jest.

„Ale przecie jeszcze jestem żywy. Więc co teraz robić, co robić?” — mówił sobie w duchu z rozpaczą. Zapalił świecę, ostrożnie wstał, podszedł do lustra i jął oglądać twarz i włosy. Tak. Na skroniach miał kilka siwych włosów. Otworzył usta: w tyle zęby trzonowe zaczynały się psuć. Obnażył swe muskularne ramiona. Tak, siłę miał. Ale Nikolińka, który tam oddycha resztkami płuc, też miał kiedyś zdrowe ciało. I nagle przypomniało mu się, jak się kładli razem spać jako dzieci i tylko czekali, żeby Fiodor Bogdanycz wyszedł, by zacząć rzucać w siebie poduszkami i zaśmiewać się, zaśmiewać niepowstrzymanym śmiechem, tak że nawet strach przed Fiodorem Bogdanyczem nie mógł powstrzymać tego przelewającego się przez brzegi, pieniającego się poczucia radości życia... „A teraz ta wpadnięta pusta pierś... i ja sam nie wiedzący, po co to wszystko i co ze mną będzie...”

— Kcha! Kcha! A, do diabła! czego się tam grzebiesz i nie śpisz? — odezwał się głos brata.

— Tak sobie. Nie wiem. Coś mi się nie śpi.

— A ja dobrze spałem. Już się teraz nie pocę. Zobacz no tylko, dotknij' koszuli. Nie ma potu, co?

Lewin przytknął palce do koszuli, po czym wyszedł z za przepierzenia, zgasił świecę, ale jeszcze długo nie spał. Zaledwie wyjaśnił sobie nieco pytanie, jak żyć, a tu już stało przed nim nowe nierozwiązalne zagadnienie — śmierć. „Tak, on umiera i na wiosnę na pewno umrze. Jakże mu tu pomóc, co ja mogę mu powiedzieć? Co ja o tym wiem? Zapomniałem w ogóle, że to istnieje.”

Lewin już od dawna zauważył, że kiedy zbyt uległość i pokora pewnych ludzi sprawia nam w zakłopotanie, to jest to oznaka, że wkrótce stosunki z nimi staną się nie do zniesienia na skutek ich nadmiernych wymagań i agresywności. Przeczynał, że tak będzie i z bratem; i rzeczywiście, nie na długo starczyło Mikołajowi łagodności. Już poczawszy od następnego ranka stał się podrażniony i uporczywie ją szukać zaczepki z Lewinem, usiłując dokuczyć mu w najdrażliwszych punktach. Lewin poczuwał się do winy, ale nie mógł w tym nic polepszyć. Czuł, że gdyby obaj przestali udawać i rozmawiali ze sobą — jak się to mówi: bez ogródek, czyli o tym co naprawdę myślą i czują, to patrzyliby tylko sobie wzajemnie w oczy i Konstancy mówiłby wciąż: „Umrzesz, umrzesz, umrzesz!” — a Mikołaj odpowiadałby: „Wiem o tym, ale boję się, boję się, boję!”... I o niczym więcej by nie rozmawiali, gdyby mówili naprawdę bez ogródek. Ale przecież tak nie można było żyć i dlatego Konstancy usiłował robić to, co przez całe życie próbował i "czego nie potrafił robić, coś, co według jego obserwacji tak doskonale robiło tylu innych, a bez czego żyć niepodobna: usiłował mówić nie to, co myślał. Ciągłe jednak czuł, że to brzmi fałszywie, że brat go na tym łapie i że to brata rozdrażnia.

Na trzeci dzień Mikołaj zażądał, by mu Konstancy na nowo wyłożył swój plan, i począł nie tylko potępiać go, ale rozmyślnie mylić go z komunizmem.

— Wzięłeś cudzą myśl, lecz ją okaleczyłeś i chcesz stosować tam, gdzie się jej zastosować nie da.

— Powiadam ci przecież, że to nie ma nic z tamtym wspólnego. Komunisci odrzucają własność, kapitał, dziedziczenie, a ja nie odrzucając tego głównego stimulu — (Lewin miał wstręt do używania takich słów, lecz od czasu gdy zapalił się do swojej książki, mimo woli zaczął coraz częściej używać słów nierosyjskich) — pragnę tylko regulować pracę.

— Otóż to właśnie: wzięłeś cudzą myśl, odciąłeś od niej wszystko, na czym polega jej siła, i teraz chcesz dowieść, że to coś nowego — rzekł Mikołaj i aż mu się krawat przekrzywił od gniewnego skurczu szyi.

— Ależ moja myśl nie ma nic wspólnego...

— Tam — ze złośliwym błyskiem oczu i ironicznym uśmiechem mówił dalej Mikołaj — tam przynajmniej jest urok, jakby to wyrazić, geometryczny urok, jaki wiąże się z przejrzystością, niewątpliwością... Może być, że to utopia. A jednak przypuśćmy, że dałoby się zrobić z całej przeszłości tabula rasa: nie ma własności, nie ma rodziny, wtedy kwestia pracy zostanie rozwiązana. Ale u ciebie nic z tego wszystkiego nie ma...

— Bo ty mylisz jedno z drugim. Nigdy nie byłem komunistą.

— A ja byłem i uważam, że to jest przedwcześnie, ale rozumne i ma przed sobą przyszłość, tak jak chrystianizm w pierwszych wiekach po Chrystusie.

— Ja sądzę, że siłę roboczą należy rozpatrywać z doświadczalno-przyrodniczego

punktu widzenia, to jest zbadać ją, rozpoznać jej właściwości i...

— Ależ to zupełnie daremny trud. Siła ta znajduje sama, zależnie od stopnia swego rozwoju, odpowiedni sposób działania. Najpierw byli wszędzie niewolnicy, potem metayers. I u nas także istnieje połownictwo, dzierżawa, -praca parobków. Czegóż ty jeszcze szukasz?

Słowa te nagle rozdrażniły Lewina, gdyż w głębi duszy obawiał się, że to może prawda — może on rzeczywiście usiłuje balansować między komunizmem a formami bardziej określonymi, a to zapewne nie jest możliwe.

— Szukam metod produktywnej pracy i dla siebie samego, i dla robotnika. Chcę zorganizować... — zaczął z zapalem.

— Nic nie chcesz zorganizować: po prostu, jak przez car ę życie, chce ci się być oryginalnym, wykazać, że nie wyzyskujesz chłopów normalnie, - ale ideowo.

— Dobrze więc, myśl, co chcesz, i zostaw to! — odparł Lewin czując, jak mu niepowstrzymanie drgać zaczyna mięsień w lewym policzku.

— Nie masz i nie miałeś nigdy przekonań, i chcesz tylko schlebiać własnej próżności.

— Niech i tak będzie, i zostaw mnie w spokoju!

— Z największą radością! Dawno na mnie czas. Niech cię diabli! Żałuję tylko, że przyjechałem!

Cokolwiek Lewin czynił potem, by uspokoić brata, ten o niczym nie: chciał słyszeć i mówić, że najlepiej będzie, gdy się rozstaną. Konstanty wiedział, że dla brata życie po prostu stało się nieznośne.

Mikołaj był już zupełnie gotów do drogi, gdy Konstanty znowu przyszedł do niego i sztucznym tonem prosił go o wybaczenie, jeśli go czymś obraził.

— Cóż za wspaniałomyślność! — uśmiechnął się Mikołaj. — Jeśli chcesz koniecznie mieć- rację, to przyznaję, żeby ci zrobić przyjemność, że ją miałaś. Masz rację, ale ja mimo to wyjadę!

Dopiero przed samym wyjazdem Mikołaj ucałował brata i rzekł spoglądając na niego z dziwną powagą:

— Mimo wszystko, nie wspominaj mnie źle, Kostia!. —głos mu zadrgał.

I to były jedyne słowa powiedziane szczerze. Lewin zrozumiał, że miały znaczyć: „Widzisz i wiesz, że ze mną jest źle, i być może nie zobaczymy się więcej.” Zrozumiał to i łzy trysnęły mu z oczu. Raz jeszcze ucałował brata, lecz nic mu nie mógł i nie potrafił powiedzieć.

Na trzeci dzień po jego wyjeździe Lewin wyjechał także — za granicę. W pociągu spotkał się ze Szczerbackim, kuzynem Kitty, którego bardzo zadziwił swym posępnym nastrojem. — Co ci jest? — spytał go Szczerbacki.

— A nic, tak... Mało wesołego na świecie.

— Jak to mało? Jedź ze mną do Paryża, zamiast do jakiejś tam Milhuzy. Zobaczysz, jak tam wesoło! Nie. Ze mną koniec. Czas już na mnie.

— To dopiero! .— roześmiał się Szczerbacki. — A ja właśnie przygotowałem się, żeby zacząć.

— Niedawno i ja tak myślałem, ale teraz wiem, że. nieza długo, umrę.

Lewin mówił to, co w ostatnich czasach istotnie myślał. We wszystkim widział śmierć lub zbliżanie się do niej. Zaczęte przezeń dzieło tym bardziej go wszakże pochłaniało; trzeba było przecie jakoś dociągnąć to życie, nim przyjdzie śmierć. Wszystko była dla niego zasnutę mrokiem, lecz właśnie na skutek tej ciemności czuł, że jedyną nicią przewodnią w mroku było jego dzieło, uchwycił się go tedy i trzymał ostatkiem sił.

CZĘŚĆ CZWARTA

Kareninowie, mąż i żona, mieszkali nadal w tym samym domu, spotykali się każdego dnia, lecz byli sobie zupełnie obcy. Aleksy Aleksandrowicz z reguły widywał się codziennie z żoną, tak aby służba nie miała podstaw do jakichkolwiek przypuszczeń, unikał wszakże obiadów w domu. Wroński nigdy nie bywał u Kareninów, lecz Anna widywała go poza domem i mąż jej o tym wiedział.

Dla każdego z nich trojga sytuacja ta była udręczeniem i żadne nie miałyby siły przeżyć ani jednego dnia w ten sposób, gdyby nie nadzieja, że to się zmieni i że jest to tylko chwilowa bolesna trudność, która przejdzie. Aleksy Aleksandrowicz spodziewał się, że namiętność przeminie, jak mija wszystko, że ludzie o tym zapomną i że nazwisko jego pozostanie nie zhańbione. Anna, od której wszystko zależało i która najbardziej cierpiała nad całą sytuacją, znosiła ją dlatego, że nie tylko spodziewała się, ale była pewna, że się wszystko bardzo prędko przesili i wyjaśni. Nie wiedziała absolutnie, co na to wpłynie, ale była niezłomnie przekonana, że to coś jest już teraz bardzo bliskie. Wroński mimo woli, pod jej wpływem, również oczekiwał czegoś, co niezależnie od niego miało usunąć wszystkie trudności.

W środku zimy Wroński przeżył tydzień bardzo nużący. Przydzielono go do zagranicznego księcia, który przyjechał do Petersburga i któremu pokazywać musiał osobliwości stolicy. Wroński nie tylko sam był reprezentacyjny, lecz posiadał sztukę obejścia łączącego godność z respektem. Przyzwyczajony był do obracania się w towarzystwie tego rodzaju osobistości, dlatego właśnie został przydzielony do osoby księcia. Obowiązki te jednak wydały mu się bardzo uciążliwe. Księżę życzył sobie nie pominąć niczego, o co by go potem mogli w ojczyźnie zapytać — czy widział to w Rosji, a zresztą z własnej ochoty pragnął, o ile ter było możliwe, użyć wszystkich rosyjskich przyjemności. Obowiązkiem Wrońskiego było objąć przewodnictwo zarówno w jednym, jak w drugim. Co rano jeździli oglądać osobliwości, wieczorami zaś brali udział w narodowych przyjemnościach. Księżę cieszył się niezwykłym, nawet wśród książąt, zdrowiem i za pomocą gimnastyki i właściwej pielęgnacji ciała doszedł do takiej siły, że mimo ekscesów, na jakie sobie pozwalał w używaniu przyjemności, zachował świeżość zielonego, lśniącego holenderskiego ogórka. Wiele podróżował i uważał, że udostępnienie rozrywek właściwych różnym narodom to jedno z najgłówniejszych osiągnięć obecnych ułatwień komunikacyjnych. Bywał w Hiszpanii, urządzał tam serenady i poznał bliżej grającą na mandolinie Hiszpankę; w Szwajcarii zabił giemzę; w Anglii galopował w czerwonym fraku, przesadzając płoty i — o zakład ustrzelił dwieście bażantów. W Turcji odwiedził harem; w Indiach jeździł na słoniu, a obecnie w Rosji pragnął zakosztować wszelkich specyficznie rosyjskich rozrywek.

Wroński był przy jego osobie niejako głównym, mistrzem ceremonii i miał dużo trudności z ułożeniem rozkładu wszystkich rosyjskich rozrywek, jakie proponowały księciu różne osoby. Były tam i kłusaki, i bliny, i polowanie na niedźwiedzie, i jazda trojką, i Cyganie, i hulanki z tłuczeniem naczyń na rosyjską modłę. Księżę z

niezwykłą łatwością przyswajał sobie rosyjskiego ducha: tłukł całe tace naczyń, sadzał sobie na kolanach Cyganekę i wyglądało, jakby zapytywał: I cóż jeszcze? Czy rosyjski duch . tylko na tym polega?

W gruncie rzeczy, ze wszystkich, rosyjskich rozrywek podobały się księciu najbardziej — francuskie aktorki, pewna baletnica oraz szampańskie z białą kapsla. Wroński był przyzwyczajony do książąt, lecz nie wiadomo, czy dlatego że sam się bardzo zmienił w ostatnich czasach, czy też że z tym księciem zanadto blisko obcował — ale tydzień ów wydał mu się nieopisanie ciężki do zniesienia. Przez cały tydzień miał bez ustanku uczucie człowieka, którego przydzielono do pilnowania niebezpiecznego wariata, a który zarówno boi się tego wariata, jak lęka się o własny rozum. Czuł, że aby nie doznać uchybienia, koniecznym było ani na sekundę nie porzucać tonu surowego, oficjalnego respektu. Sposób, w jaki księżę obchodził się z ludźmi, którzy — ku zdumieniu Wrońskiego — wyłazili ze skóry, by dostarczyć mu rosyjskich przyjemności, był pogardliwy. Jego sądy o rosyjskich kobietach, które pragnął studiować, nieraz wywoływały na twarz Wrońskiego rumieniec gniewu. Ale głównym powodem, dla którego księżę stanowił takie udręczenie dla Wrońskiego, była ta okoliczność, że chcąc nie chcąc widział w nim samego siebie. I to, co się w tym zwierciadle odbijało, nie pochlebiało jego próżności. Księżę był bardzo głupim i bardzo pewnym siebie, bardzo zdrowym i bardzo o fizyczną czystość dbającym człowiekiem i niczym więcej. Był dżentelmenem — to prawda, i Wroński nie mógł tego negować. Zachowywał rezerwę i nie ubiegał się o względy osób od niego znaczniejszych, był prosty i swobodny z równymi sobie, a pogardliwie dobroduszny z niższymi. Taki sam był Wroński i uważał to za wielką swoją zaletą. W porównaniu z księciem wszakże należał do sfery niższej i ten lekceważący, dobroduszny „stosunek, gdy o niego chodziło, oburzał go do głębi.

„Głupie bydlę! Czyżbym i ja był taki?!” — myślał.

Jakkolwiek tam było, gdy po sześciu dniach pobytu pożegnał księcia w chwili jego wyjazdu do Moskwy i usłyszał podziękowanie, był szczęśliwy, że pozbył się tej fałszywej sytuacji i tego niemiłego lustra. Żegnał go na stacji wracając z polowania na niedźwiedzie, gdzie przez noc całą odbywały się popisy rosyjskiej brawury.

Po powrocie do domu Wroński znalazł u siebie bilecik od Anny. Pisała: „Jestem chora i nieszczęśliwa. Nie mogę się oddalać z domu, ale nie mogę także dłużej Cię nie widzieć. Przyjedź wieczorem. O siódmej Aleksy Aleksandrowicz jedź na posiedzenie i będzie tam do dziesiątej.” Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego wzywa go wprost do siebie, mimo że mąż jej żądał, aby go nie przyjmowała, postanowił wszakże do niej pojechać.

Tej zimy Wroński otrzymał nominację na pułkownika, opuścił więc pułk i mieszkał sam jeden. Po śniadaniu położył się natychmiast na kanapie i nie minęło pięć minut, a już wspomnienia szkaradnych scen, których w ostatnich dniach był świadkiem, pogmatwały się i powiązały się z Anną, a także z chłopem-naganiaczem, który grał dużą rolę przy polowaniu na niedźwiedzie — i Wroński zasnął. Obudził się w ciemności, trzęsąc się ze strachu, i spiesznie zapalił świecę. „Co to było takiego? Co takiego? Co to ja widziałem tak straszego we śnie?... Tak, tak... Chłop-naganiacz, zdaje się, malutki, brudny, z najeżoną brodą, coś robił... pochylał się nad czymś... I nagle wyrzekł po francusku jakieś dziwne słowa... Tak, nic więcej nie było w tym śnie — powiedział sobie. — Ale dlaczego to było takie przerażające?” I znów ujrzał przed sobą chłopca i przypomniał sobie jego niezrozumiałe francuskie słowa i dreszcz grozy przebiegł mu po plecach.

„Co za nonsens!” — pomyślał i spojrzął na zegarek.

Było już wpół do dziewiątej. Zadzwonił na służącego, spiesznie się ubrał i wyszedł na ganek, zupełnie zapominając o śnie i zatroskany tylko o to, że się spóźni. Zajeżdżając przed ganek Kareninów spojrzął na zegarek i stwierdził, że była za dziesięć minut dziewiąta. Wysoka, wąziutka karetą zaprzężona w parę siwków czekała na dojeździe. Poznał karete Anny. „Wybiera się do mnie — pomyślał Wroński — i tak byłoby lepiej. Bardzo mi niemiło wchodzić do tego domu. Ale wszystko jedno; nie mogę się przecież ukrywać” — powiedział sobie i zachowując się w sposób od dzieciństwa przyswojony, jak człowiek, który nie ma się czego wstydzić — wyskoczył z sanek podszedł do drzwi. Drzwi otworzyły się i szwajcar z pledem na ręku zawołał na stangreta. Wroński, który nie miał zwyczaju zauważać drobiazgów, tym razem jednak spostrzegł zdziwiony wyraz, z jakim szwajcar na niego popatrzył. W samych drzwiach Wroński zderzył się prawie z Kareninem. Gazowy płomień świecił wprost na bezkrwistą, zapadniętą twarz pod czarnym kapeluszem i biały krawat błyszczący spoza bobrowego kołnierza u paltota. Nieruchome, bez blasku oczy Karenina skierowały się na twarz Wrońskiego; ten uklonił się. Karenin poruszył parę razy, ustami, jakby coś żuł, podniósł rękę do kapelusza i minął go. Wroński widział, jak wszedł nie oglądając się do karety, jak wziął przez okno pled i lornetkę i odjechał. Wroński wszedł do przedpokoju, brwi miał ściągnięte, a oczy błyszczały mu dumnie i groźnie. „A to sytuacja — myślał. — Gdyby chciał walczyć, bronić swej czci... Mógłbym wówczas działać, dać wyraz moim uczuciom. Ale ta słabość czy też podłość!... Każe mi grać rolę oszusta, którym być nie chciałem i nie chcę.”

Od czasu rozmowy z Anną w parku Wrede wiele się w nastawieniu Wrońskiego zmieniło. Ulegając bezwiednie słabości Anny, która oddawała mu się cała i tylko od niego oczekiwała rozstrzygnięcia swego losu, z góry mu się poddając, Wroński od dawna już przestał się spodziewać, by stosunek ten miał się skończyć tak, jak wówczas myślał. Jego ambitne projekty znów odeszły na dalszy plan i — zdając sobie sprawę, że znalazł się poza tym kręgiem czynności, w którym wszystko było określone — cały oddawał się swemu uczuciu, a uczucie coraz go silniej do niej przywiązywało.

Już w przedpokoju usłyszał jej oddalające się kroki. Zrozumiał, że oczekiwała go, nadśluchiwała, a teraz powróciła do salonu.

— Nie! — zawołała ujrzawszy go i zaraz przy pierwszym słowie oczy jej napełniły się łzami. — Nie, jeśli tak dalej będzie, to stanie się to znacznie, znacznie wcześniej!

— Co, moja miła?

— Co? Ja tu czekam, męczą się godzinę, dwie... Ach nie, już nie będę, nie mogę się z tobą kłócić. Zapewne nie mogłeś... Nie, już nie będę!

Położyła mu obie dłonie na ramionach i długo patrzyła na niego, głębokim, ekstatycznym, a zarazem badawczym spojrzeniem, wyszukując w jego twarzy zmian, które mogły zajść od czasu, gdy go nie widziała. Jak przy każdym spotkaniu, tak i tym razem zestawiała swoje wyobrażenie o nim (nieporównanie piękniejsze, niemożliwe w rzeczywistości) z nim samym, takim, jaki naprawdę był.

Czy go spotkałeś? — zapytała, gdy już siedzieli za stołem pod lampą. — Otóż i masz karę za spóźnienie.

— Tak... Ale jak to się stało? Miał przecież być na posiedzeniu.

— Był tam, wrócił i znów dokądś pojechał. Ale to nic. Nie mów o tym. Gdzie byłeś? Wciąż jeszcze z księciem?

Wiedziała o każdym szczególe jego życia. Chciał powiedzieć, że całą noc nie spał i że potem zasnął, ale wstyd mu się zrobiło patrząc na wzruszenie i radość malującą się na jej twarzy, powiedział tedy, że musiał pojechać z raportem o wyjeździe księcia.

— A więc już skończone? Wyjechał?

— Tak, dzięki Bogu, skończone! Nie uwierzysz, jakie to było dla mnie nieznośne.

— Czemu? Przecież to zwykłe życie młodych mężczyzn, wasze życie — powiedziała marszcząc brwi i biorąc szydełkową robótkę, która leżała na stole, poczęła nie patrząc na Wrońskiego wyplątywać z niej szydełko.

— Dawno już porzuciłem tego rodzaju życie — rzekł, zdziwiony zmianą, jaka zaszła w jej twarzy, i starając się dociec jej znaczenia. — Przyznam się — rzekł pokazując w uśmiechu zwarty rząd białych zębów — że w ciągu ostatniego tygodnia przeglądałem się jak w zwierciadle, patrząc na to życie, i było mi przykro.

Trzymała robótkę w rękach nie robiąc jej i patrzyła na niego dziwnym, błyszczącym i nieprzyjemnym spojrzeniem.

— Dziś rano wpadła do mnie Liza — jeszcze nie lękają się mnie odwiedzać, mimo hrabiny Lidii! — wtrąciła — i opowiadała o waszym wieczorze ateńskim. Co za obrzydliwość.

— Właśnie chciałem powiedzieć, że...

Ale mu przerwała.

— To była ta Thérèse, którą uprzednio znałeś?

— Chciałem powiedzieć...

— Jacyście wy, mężczyźni, obrzydliwi! Nie możecie zrozumieć, że kobieta o czymś podobnym nie zapomina — unosiła się coraz bardziej i w ten sposób ujawniała powód swego rozdrażnienia. — Zwłaszcza kobieta, która nie może znać twego życia. Cóż ja o tobie wiem? Co wiedziałam? — mówiła. — To, coś mi sam o sobie opowiadał. A skąd mogę wiedzieć, że mówiłeś prawdę?...

— Anno! Obrażasz mnie. Czyżbyś mi nie wierzyła? Czy nie mówiłem ci, że nie mam ani jednej, myśli, którą bym przed tobą zataił?

— Tak, tak — odrzekła, widocznie starając się odpędzić zazdrosne myśli. — Ale gdybyś wiedział, jak mi ciężko! Wierzę ci, wierzę... Więc co mówiłeś?

On jednak nie mógł sobie zrazu przypomniać, co jej chciał powiedzieć. Te paroksyzmy zazdrości zdarzały się u niej w ostatnich czasach coraz częściej i przerażały go. Jakkolwiek starał się to ukrywać, oziębially one jego uczucie, chociaż wiedział, że powodem jej zazdrości była miłość dla niego. Ileż to razy powtarzał sobie, że ta miłość jest jego szczęściem; i oto kochała go tak, jak może kochać kobieta, u której miłość przeważała wszystkie dobra na świecie — a przecież teraz był znacznie dalszy od szczęścia niż wówczas, kiedy jechał za nią z Moskwy do Petersburga. Wówczas uważał się za - nieszczęśliwego, choć szczęście było przed nim; teraz zaś czuł, że najlepsza część szczęścia leżała już poza nim. Anna była zupełnie inna od tej, którą pamiętał z pierwszych dni. I fizycznie, i moralnie zmieniła się na niekorzyść. Rozrosła się cała wszerek, a gdy mówiła o aktorce, twarz jej miała wyraz złości, który ją szpecił. Patrzył na nią jak człowiek, który zerwał kwiat i w zwiędłym kwiecie z trudem rozpoznaje to piękno, dla którego zerwał go i zniszczył. A mimo to czuł, że wówczas, gdy miłość jego była silniejsza, mógł być, gdyby tego mocno zapragnął, wyrwać ją ze swego serca; tymczasem obecnie, gdy — jak mu się w tej chwili zdawało — nie odczuwał dla niej żadnej miłości, wiedział, że jego związek z nią nie może być zerwany.

— No więc, co mi chciałeś powiedzieć o księciu? Już wypędziłam, wypędziłam biesa — dodała. Biesem nazywali między sobą zazdrość. — Więc co mi zacząłeś opowiadać o księciu? Dlaczego było ci z nim tak ciężko?

- Ach, było nie do wytrzymania! — starał się pochwycić nitkę przerwanej myśli. — Książę nie zyskuje przy bliższej znajomości. Gdyby się go chciało określić, to jest to doskonale odżywione zwierzę, z tych, jakie otrzymują pierwsze medale na wystawach, i nic więcej. — Mówił to ze złością, która ją zainteresowała.

— Jak to? — zaoponowała. — Przecież wiele widział, jest wykształcony.

— Ich wykształcenie — to zupełnie inne wykształcenie. Widać, że posiada wykształcenie tylko po to, by mieć prawo nim pogardzać, tak jak oni wszystkim pogardzają oprócz czysto zwierzęcych uciech.

— Przecież wy wszyscy lubicie te zwierzęce uciechy — zauważyła i znów Wroński spostrzegł, że chmurny jej wzrok poczyna go unikać.

— Dlaczego tak go bronisz? — uśmiechnął się.

— Nie bronię go wcale, jest mi zupełnie obojętny. Sądzę jednak, że gdybyś ty sam tych rozrywek nie lubił, to mógłbyś odmówić wzięcia w nich udziału. Tymczasem dla ciebie oglądać Thérèse w kostiumie. Ewy to przyjemność.

- Znowu, znowu bies! — Wroński wziął jej rękę leżącą na stole i pocałował ją.

— Tak... Ale ja tak nie mogę! Nie wiesz nawet, co wycierpiałam czekając na ciebie! Zdaje mi się, że nie jestem zazdrosna. Nie jestem zazdrosna i ufam ci, kiedy jesteś tutaj ze mną. Ale gdy sarn jeden, nie wiadomo gdzie, przeżywasz swoje niezrozumiałe dla mnie życie...

Odsunęła się od niego, wyplątała wreszcie szydełko z robótki i szybko, przy pomocy wskazującego palca, poczęły narastać oczka białej włóczki, lśniącej pod światłem lampy... I szczupła ręka szybko, nerwowo poczęła się obracać w

haftowanym mankieciku.

— No więc, jak to było? Gdzieżeś spotkał Aleksego Aleksandrowicza? — nagle głos jej zabrzmiał sztucznie.

— Zderzyliśmy się we drzwiach.

— Czy tak ci się ukłonił? Wydłużyła rysi, przymknęła oczy, prędko zmieniła wyraz, złożyła ręce i nagle w jej pięknej twarzy Wroński ujrzał dokładnie minę, z którą Karenin mu się odkłonił. Uśmiechnął się, a ona roześmiała się wesoło tym miłym głębokim śmiechem, który był jednym z jej największych powabów.

— Stanowczo nie rozumiem go — zauważył Wroński. — Gdyby po tym wyznaniu na letnisku zerwał z tobą, gdyby mnie był wyzwiał na pojedynek... Ale tego nie pojmuję: jak on może tolerować taki stan rzeczy? Przecież on cierpi i to po nim widać.

— On? — uśmiechnęła się. — On jest najzupełniej zadowolony.

— Po co my się wszyscy męczymy, kiedy mogłoby być tak dobrze?

— On się nie męczy. Czy ja go nie znam, czy nie znam tego fałszu, którym przesiąkł cały?... Czyż można, będąc zdolnym do jakiegokolwiek czucia, żyć tak jak on ze mną? On nic nie rozumie, nic nie czuje. Czy mógłby człowiek, który by cośkolwiek czuł, mieszkać w jednym domu ze swoją niewierną żoną? Czy mógłby z nią rozmawiać? Zwracać się do niej na per t y?

I znów mimo woli poczęła naśladować męża: „Ty, ma chère, ty, Anno!”

— To nie mężczyzna, nie człowiek, to — kukła! Nikt tego nie wie, tylko ja jedna. Ach, gdybym była na jego miejscu, dawno bym zabiła, rozdarła na strzępy tę żonę, taką żonę jak ja, a nie mówiłabym jej ty, ma chère, Anno. To nie człowiek, to maszyna z ministerstwa. On nie rozumie, że jestem żoną twoją, że tu on jest obcy, zbyteczny... Nie mówmy, nie mówmy o tym!

— Nie masz racji, moja miła, nie masz racji — starał się ją uspokoić Wroński.— Ale mniejsza o to, nie mówmy o nim. Opowiedz mi, coś robiła? Co ci jest? Co to za choroba i co powiedział doktor?

Patrzyła na niego z radością, w której była domieszka szyderstwa. Widocznie wynalazła jeszcze jakieś komiczne potworności w mężu i czekała na okazję, by je wyjawić.

Wroński jednak mówił dalej:

— Domyślam się, że to nie choroba, ale twój stan. Kiedyż to ma być?

Szyderstwo w jej oczach zgasło, a zastąpił je inny uśmiech świadomy czegoś, o czym on nie wiedział, i pełen cichego smutku.

— Niedługo już, niedługo. Powiedziałaś, że nasza sytuacja jest bolesna, że należy ją przeciąć. Gdybyś wiedział, jak mnie ona ciąży — i co bym za to dała, żeby cię kochać swobodnie i śmiało! I sama bym się nie zadręczała, i ciebie bym nie męczyła swoją zazdrością... I to się już stanie niebawem, ale nie w ten sposób, jakiego się spodziewamy.

I na wspomnienie o tym, jak to się stanie, zdała się sama sobie tak godna

litości, że łązy stanęły jej w oczach i nie mogła mówić dalej. Położyła dłoń, lśniąca w świetle lampy pierścionkami i własną białością, na jego rękawie.

— To nie będzie tak, jak myślimy... Nie chciałam ci. o tym mówić, ale zmuszasz mnie do tego. Niezadługo, wkrótce już wszystko będzie rozwikłane i wszyscy, wszyscy doznamy uspokojenia i nie będziemy się więcej męczyli.

— Nie rozumiem — odrzekł, rozumiejąc ją wszakże.

— Pytałeś — kiedy? Wkrótce. I ja tego nie przeżyję. Nie przerywaj rai! — I poczęła śpiesznie mówić: — Wiem; to wiem na pewno. Umrę i cieszę się, że umrę i wybawię siebie i was obu.

Łzy popłynęły z jej oczu. Pochylił się do jej ręki i począł ją całować starając się okryć wzruszenie, które — jak dobrze wiedział — było całkiem bezpodstawne, lecz którego nie mógł opanować.

— Tak, tak, tak lepiej — ścisnęła mocno jego rękę. — To jedno, jedyne, co nam pozostało.

Oprzytomniał i podniósł głowę. ..

— Co za absurd! Pleciesz głupstwa bez sensu! — Ach, nie! To prawda.

— Co? Co za prawda?

— To, że umrę. Miałam sen.

— Sen? — powtórzył Wroński i od razu przypomniał mu się chłop, o którym tylko co śnił.

— Tak, sen. Było to już dawno. Zdawało mi się, że wbiegłam do sypialni, że musiałam coś stamtąd wziąć, czegoś się dowiedzieć. Wiesz, jak to bywa we śnie — mówiła z lękiem, szeroko otwierając oczy. — A w sypialni 'w kącie coś stoi.

— Co za głupstwo! Jak można wierzyć...

Anna wszakże nie pozwoliła sobie przerwać. To, co opowiadała, zbyt było dla niej ważne.

— ...I to coś odwróciło się, i widzę, że to chłop ze zjeżoną brodą, malutki i straszny. Chciałam uciec, ale on pochylił się nad workiem i rękami po coś w nim gmera...

Pokazała, jak to on gmerał w worku. Na twarzy jej było przerażenie. I Wroński, któremu przypomniał się jego własny sen, poczuł, jak mu taki sam lęk napętnia duszę.

— ...Gmera i coraz to powtarza po francusku prędko, prędziutko i wiesz, grasejuje: „Il faut le battre le fer, le broyer, le pétrir... Ze strachu postanowiłam się obudzić i obudziłam się też, ale we śnie. Zaczęłam się zastanawiać, co by to miało znaczyć, a Korniej mi powiada: „W połogu umrzesz, matuchno, w połogu, w połogu!"... I obudziłam się...

— Co za brednie, co za brednie! — mówił Wroński, lecz sam wyczuwał, że ton jego głosu nie był wcale przekonywający.

— Dobrze, nie mówmy o tym. Zadzwoń, każę podać herbatę. Poczekaj, teraz już

niedługo...

Nagle umilkła. Wyraz jej twarzy momentalnie się zmienił: strach i wzburzenie ustąpiły miejsca cichemu, poważnemu i zachwyconemu skupieniu. Nie mógł pojąć przyczyny tej zmiany. Poczła w sobie drgnienie nowego życia.

IV

Karenin po spotkaniu z Wrońskim na ganku swego domu udał się, tak jak zamierzał, do włoskiej opery, przesiedział tam dwa akty i spotkał się ze wszystkimi, z kim się miał spotkać. Po powrocie do domu uważnie obejrzał wieszaki i zauważywszy, że nie było na nich wojskowego płaszcza, poszedł jak zwykle do siebie. Ale wbrew zwyczajowi nie położył się spać, lecz chodził tam i z powrotem po swym gabinecie do trzeciej w nocy. Gniew na żonę, która nie chciała zachować pozorów przyzwoitości i dotrzymać jedyne go warunku, jaki jej postawił, by nie przyjmowała kochanka u siebie, nie dawał mu spokoju. Nie spełniła jego żądania, musiał ją więc ukarać i wykonać swą groźbę: zażądać rozwodu i odebrać jej syna. Zdawał sobie sprawę ze wszystkich trudności z tym związanych, lecz skoro raz zapowiedział, że to uczyni, winien był groźbę urzeczywistnić. Hrabina Lidia już mu napomykała, że będzie to dla niego najlepsze wyjście z sytuacji, a w ostatnich czasach praktyka rozwodów doszła do takiej perfekcji, że Karenin uważał pokonanie formalnych trudności za możliwe. Poza tym, nieszczęścia nigdy nie chodzą w pojedynkę: sprawy organizacji obcoplemieńców oraz nawodnienia pól w zarańskiej guberni ściągnęły na Karenina tyle przykrości w służbie, że w ostatnich czasach stale bywał niesłychanie podrażniony.

Nie spał całą noc i gniew jego, narastający z jakąś olbrzymią progresją, rano osiągnął najwyższe nasilenie. Szybko ubrał się i niosąc niejako pełną krużę gniewu, a bojąc się ją rozlać; by razem z gniewem nie utracić energii potrzebnej do rozmowy z żoną.— wszedł do niej, gdy tylko dowiedział się, że już wstała.

Kiedy wszedł, Anna, której zdawało się, że tak dobrze zna męża, była zaskoczona jego wyglądem. Czoło miał zmarszczone; oczy posępnie patrzyły przed siebie unikając jej spojrzenia; usta były zaciśnięte stanowczo i wzgardliwie. W chodzie jego i ruchach, w dźwięku głosu była energia i zdecydowanie, jakich nigdy przedtem u niego nie widziała. Wszedł do pokoju i nie witając się z nią skierował się wprost do jej biurka, wziął klucze i otworzył szufladę.

— Czego pan szuka! — krzyknęła.

— Listów kochanka pani — odpowiedział.

— Nie ma ich tutaj — starała się zamknąć szufladę, lecz z tego ruchu wywnioskował, że domysł jego był trafny. Odepchnął brutalnie jej rękę i szybko pochwycił teczkę, w której, jak wiedział, przechowywała najważniejsze papiery. Chciała mu wyrwać teczkę, ale odepchnął ją.

— Niech pani siada! Muszę z panią pomówić — powiedział biorąc teczkę pod pachę i tak ją mocno przyciskając łokciem, że aż mu się ramię w górę uniosło.

Milcząc patrzyła na niego, zdziwiona i onieśmielona.

— Powiedziałem pani, że nie pozwolę na przyjmowanie kochanka w moim domu.

— Musiałam go widzieć, żeby... Zamilkła nie znajdując żadnego wybiegu.

— Nie zamierzam wnikać w szczegóły, po co kobieta musi widzieć się z kochankiem.

— Ja chciałam... Ja tylko... — zarumieniła się gwałtownie. Jego grubiaństwo rozdrażniło ją i dodało jej odwagi. — Czyż pan nie czuje, jaka to łatwa rzecz — obrażać mnie.

— Obrazić można tylko uczciwego człowieka i uczciwą kobietę. Nazywać złodzieja złodziejem to tylko *Za constatation d'un fait*.

— Nie znałam jeszcze w panu tej nowej cechy — okrucieństwa.

— Nazywa pani okrucieństwem to, że mąż pozostawia żonie swobodą i daje jej uczciwy dach nad głową pod jednym tylko warunkiem: zachowania pozorów przyzwoitości... To ma być okrucieństwo!

— To. więcej niż okrucieństwo, to podłość, jeśli już pan chce wiedzieć! — z wybuchem gniewu krzyknęła Anna i zerwawszy się z miejsca, chciała odejść.

— Nie! — zawołał swym piskliwym głosem, który w tej chwili podniósł się o jeden ton wyżej niż zwykle. Chwyciwszy ją swymi wielkimi palcami za rękę tak mocno, że na rękę został czerwony ślad od przyciśniętej bransoletki, zmusił ją, by usiadła. — Podłość? Jeśli już pani życzy sobie używać tego słowa, to podłością jest rzucić męża i syna dla kochanka i nadal jeść mężowski chleb.

Pochyliła głowę. Nie tylko nie powiedziała obecnie tego, co w przeddzień mówiła kochankowi: że o n jest jej mężem, a mąż jest kimś zbędnym, lecz nie przyszło jej to nawet na myśl. Uznała całą słusność jego słów, więc tylko rzekła cicho:

— Nie może pan określić w gorszy sposób mojego położenia, niż ja je sama odczuwam, lecz po co mi pan to wszystko mówi?

— Po co? Po co to mówię? — ciągnął dalej, równie rozjątrzony. — Po to, by pani wiedziała, że skoro nie dotrzymała pani warunku o zachowaniu pozorów przyzwoitości, poczynię kroki, by położyć kres tej sytuacji.

— Wkrótce, wkrótce i tak się to skończy — rzekła i znów oczy jej napełniły się łzami na myśl o bliskiej, teraz już pożądanej, śmierci.

— Skończy się prędzej, niż to pani z kochankiem obmyśliła! Pani potrzebne jest zaspokojenie zwierzęcej namiętności...

— Aleksy Aleksandrowiczu! Już mniejsza, że to nieszlachetnie, ale bić leżącego to — nieprzyzwoitość!

— Tak, pani tylko o sobie pamięta... Cierpienia człowieka, który był mężem pani, nie interesują panią. Panią to nie obchodzi, że całe jego życie rozpadło się w gruzy, nie obchodzi panią to, co on prze... trze... trzecierpiał.

Karenin mówił tak szybko, że język mu się zaplątał, i nie mógł wymówić ostatniego słowa. Wymówił je w końcu: trzecierpiał. Rozśmieszyło ją to, lecz natychmiast zawstydziała się, - że w takiej sytuacji cokolwiek może ją rozśmieszyć, i po raz pierwszy, na jedno mgnienie, wczuła się, przeniosła się niejako w niego i ogarnęła ją litość. Ale cóż mogła powiedzieć lub uczynić? Spuściła głowę i

milczała. On również przez chwilę milczał, po czym przemówił znowu, chłodnym już, mniej piskliwym głosem, podkreślając dowolnie niektóre przypadkowe słowa:

— Przeszedłem powiedzieć pani...

Spojrzała na niego. „Nie — pomyślała przypominając sobie wyraz jego twarzy, kiedy zaciął się na słowie trzecierpiał — nie, zdawało mi się tylko. Czyż. może człowiek z tymi mętnymi oczyma i tym pełnym zadowolenia z siebie spokojem cokolwiek odczuwać?”

— Nic nie mogę zmienić — szepnęła.

— Przeszedłem oznajmić pani, że jutro wyjeżdżam do Moskwy i nie wrócę więcej do tego domu. Wiadomość o mojej decyzji otrzyma pani przez adwokata, któremu poruczę sprawę rozwodową. Syn mój przeniesie się do mojej, siostry — oświadczył Karenin przypominając sobie z trudnością to, co zamierzał powiedzieć o synu.

— Panu potrzebny jest Sierioża tylko po to, żeby mnie zranić — spojrzała na niego nienawistnie. — Pan go nie kocha... Proszę mi zostawić Sieriożę!

— Tak. Straciłem nawet miłość do syna, ponieważ wiąże się z nim mój wstręt do pani. Mimo to zabiorę go. Żegnaj panią.

Chciał odejść, lecz zatrzymała go. — Aleksy Aleksandrowiczu, proszę zostawić mi Sieriożę! — szepnęła raz jeszcze.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Zostaw mi Sieriożę aż do mego... Wkrótce będę rodziła... Zostaw mi go do tego czasu!

Karenin zaczerwienił się gwałtownie, wyrwał jej swą rękę i wyszedł z pokoju bez słowa.

V

Poczekalnia znanego petersburskiego adwokata, gdy wszedł do niej Karenin, była przepełniona. Trzy panie: jedna stara, druga młoda oraz trzecia — kupcowa, i trzech panów: jeden — bankier Niemiec z pierścieniem na palcu, drugi — brodaty kupiec i trzeci — nasrożony urzędnik w mundurze i z orderem, najwidoczniej już od dawna wyczekiwali. Przy stołach dwóch dependentów pisało skrzypiąc piórami. Przybory do pisania, do których Karenin miał wielką słabość, były niezwykle wykwintne. Nie mógł tego nie zauważyć. Jeden z dependentów nie wstając przymrużył oczy i gniewnie zwrócił się do niego:

— Pan — w jakiej sprawie?

— Mam interes do mecenasa.

— Mecenas jest zajęty — surowo odpowiedział dependent wskazując piórem na czekających, po czym pisał dalej

— Czy nie mógłby jednak znaleźć chwilki czasu? — spytał Karenin.

— Pan mecenas nie dysponuje wolnym czasem, jest stale zajęty. Proszę zaczekać. .

— W takim razie może pan zechce wręczyć mu moją kartę wizytową — rzekł Karenin z godnością, widząc, że nie uda mu się zachować incognito.

Dependent wziął wizytówkę i — najwyraźniej nie aprobując jej treści — wyszedł z pokoju.

Karenin był w zasadzie zwolennikiem jawności rozpraw sądowych, lecz wobec pewnych wyższych względów, znanych mu w drodze służbowej, nie całkiem zgadzał się w praktyce z niektórymi szczegółami stosowania jej w Rosji, o ile mógł w ogóle potępiać coś, co było zatwierdzone przez najwyższe czynniki. Całe życie zeszło mu na działalności administracyjnej i dlatego, gdy z czymś się nie zgadzał, to ten brak aprobaty bywał u niego złagodzony uznaniem, że omyłki są nieuchronne i że w każdej sprawie istnieje możliwość ich naprawienia. Co do nowej organizacji sądownictwa, to Karenin nie pochwalał „warunków, w jakich postawiono adwokaturę. Dotąd wszakże nie miał z nią nic do czynienia, dlatego krytykował ją tylko' teoretycznie; obecnie krytyczne jego nastawienie wzrosło jeszcze z powodu niemiłego wrażenia, jakiego doznał w poczekalni adwokata.

— Zaraz pan mecenas wyjdzie — oznajmił dependent. Istotnie, po dwóch minutach ukazała się długa postać starego prawnika, który konferował z adwokatem, a za nim sam adwokat.

Był to mały, przysadzisty, łysy człowieczek z czarno-rudą brodą, jasnymi wydłużonymi brwiami i wystającym czołem. Wystrojony był jak pan młody, od krawata i podwójnej dewizki aż do lakierowanych trzewików. Twarz miał rozumną, chłopską, lecz ubiór fircykowaty i w złym guście.

— Niech pan pozwoli — rzekł adwokat, zwracając się do Karenina, i z ponurą miną puszczając go przodem zamknął za nim drzwi.

— Może pan będzie łaskaw — wskazał na fotel obok zavalonego papierami biurka, a sam usiadł na prezydialnym miejscu, zacierając małe, rączki o krótkich palcach obrośniętych białym włosem i przekrzywiając głowę. Zaledwie jednak zastygł w tej pozie, gdy nad stołem przeleciał mól. Mecenas z chyżością, o którą nikt by go nie posądził, rozpostarł ręce, złapał mola i znowu przybrał poprzednią" pozę.

— Zanim rozpoczną mówić o mojej sprawie — rzeki Karenin, który ze zdziwieniem wodził oczyma z ruchami adwokata — muszą się zastrzec, że to, o czym pragnę z panem mówić, winno pozostać w tajemnicy.

Ledwo dostrzegalny uśmiech rozsunał rudawe, nawisie wąsy mecenasa.

— Nie byłbym adwokatem, gdybym nie potrafił zachować powierzonej mi tajemnicy. Lecz skoro pan sobie życzy potwierdzenia...

Karenin spojrział na jego twarz i zobaczył, że rozumne szare oczy są tak roześmiane, jakby już o wszystkim wiedziały.

— Panu znane jest moje nazwisko — ciągnął -dalej Karenin.

— Znam pana i pańską pożyteczną działalność — tu znów mecenas złapał mola — jak każdy Rosjanin — tu skłonił się.

Karenin westchnął zbierając się z siłami, skoro się jednak wreszcie zdecydował, ciągnął dalej swym piskliwym głosem, bez zażenowania czy zacinania się, akcentując niektóre słowa.

— Mam nieszczęście — zaczął — być zdradzonym mężem i chciałbym drogą legalną zerwać mój związek z żoną, czyli rozwieść się, i to w taki sposób, żeby syn nie pozostał przy matce.

Szare oczy adwokata usiłowały zachować powagę, aż się jednak iskrzyły od niepohamowanej uciechy. Karenin widział, że nie była to wyłączna radość człowieka otrzymującego korzystne zamówienie; był w niej triumf i zachwyt, był blask podobny do złowieszczy blasku, który Karenin widywał w oczach żony.

— Pan życzy sobie zasięgnąć mojej porady w celu otrzymania rozwodu?

— Tak, właśnie. Lecz muszę pana uprzedzić, że być może nadużyję łaskawej pana uwagi, przyjechałem -bowiem tylko, by się przedwstępnie pana poradzić. Pragnę rozwodu, lecz formy, w ramach których byłby on możliwy do przeprowadzenia, są dla mnie nader ważne. Jest bardzo prawdopodobne, że gdyby owe formy nie zgadzały się z pewnymi postulatami, wyrzekłbym się przewidzianej prawem drogi.

— O, to zawsze tak bywa — rzekł adwokat — i zawsze będzie zależało tylko od pańskiego uznania.

Spuścił oczy i utkwiał wzrok w stopach Karenina, czując, że widok jego niepohamowanej uciechy może urazić klienta. Spojrzął na mola przelatującego tuż przed nosem i ręka jego drgnęła, nie złapał go jednak przez uszanowanie dla stanowiska Karenina.

— Chociaż nasze ustawodawstwo na ten temat jest mi znane w zasadzie —

mówił dalej Karenin — pragnąłbym poznać ogólnie te formy, które bywają w praktyce stosowane do takich spraw.

— Pragnie pan — nie podnosząc oczu odrzekł adwokat, z przyjemnością dostosowując się do tonu klienta — abym wskazał te sposoby, przy pomocy których spełnienie pańskiego życzenia jest możliwe.

I na twierdzące skinienie Karenina ciągnął dalej, niekiedy tylko rzucając okiem na twarz klienta, na której wystąpiły wypieki.

— Rozwód według naszego ustawodawstwa — wygłosił z lekkim odcieniem krytyki w stosunku do tego ustawodawstwa — jest, jak panu wiadomo, możliwy w następujących wypadkach... Proszę poczekać! — zwrócił się do zaglądnącego we drzwi dependenta, ale jednak wstał, powiedział mu kilka słów, po czym znów usiadł. — W następujących wypadkach; fizyczne braki małżonków, dalej — nieobecność w ciągu pięciu lat, bez dania o sobie, wieści — prawitł zginając owłosiony krótki palec — Areszcie cudzołóstwo (słowo to wymówił z wyraźnym zadowoleniem). Poddziały są następujące (w dalszym ciągu zginął swe grube palce, mimo że wypadków i poddziałów nie można było przecie razem klasyfikować): fizyczne braki męża lub żony i cudzołóstwo męża lub żony. — Ponieważ zabrakło mu palców, rozgiął wszystkie i ciągnął dalej: — To jest strona teoretyczna, ale przypuszczam, że zwrócił się pan do mnie, aby dowiedzieć się o praktycznym zastosowaniu ustaw, i dlatego na mocy precedensów muszę pana poinformować, że wszystkie wypadki rozwodów dadzą się właściwie sprowadzić do następujących: o braki fizyczne nie chodzi, prawda? ani o wyjazd bez dania o sobie wieści?...

Karenin skinął głową twierdząco.

— ...Dadzą się sprowadzić do następujących: cudzołóstwo jednego z małżonków z udowodnieniem za obopólną zgodą winy strony przestępczej albo — bez takiej zgody — z udowodnieniem przeprowadzonym wbrew woli winowajcy. Muszę zaznaczyć, że ten ostatni wypadek rzadko się zdarza w praktyce — dodał adwokat i rzuciwszy przelotnie okiem na Karenina zamilkł jak sprzedawca pistoletów, który opisawszy zalety dwóch rodzajów broni oczekuje na wybór klienta. Karenin jednak milczał, toteż mecenas ciągnął dalej: — Za najzwyczajniejsze i najprostsze, najbardziej rozsądne uważam cudzołóstwo za obopólną zgodą. Nie pozwoliłbym sobie tak tego nazywać, gdybym miał przed sobą człowieka niedojrzałego, ale przypuszczam, że pan to zrozumie, jak należy.

Karenin był wszakże w takim zamęcie, że nie od razu zrozumiał cały rozsądek cudzołóstwa za obopólną zgodą. Zakłopotanie to odbiło się w jego spojrzeniu; lecz mecenas przyszedł mu zaraz z pomocą:

— Bywają takie wypadki, że ludzie nie mogą żyć ze sobą. I jeśli oboje są na tym punkcie zgodni, to szczegóły i formalności stają się obojętne. A jednocześnie jest to najprostszy i najpewniejszy środek.

Karenin teraz rozumiał już rzecz całkowicie. Miał jednak zastrzeżenia natury religijnej, które przeszkadzały w zastosowaniu tego środka.

— W tym wypadku nie wchodzi to w rachubę — odrzekł. — Możliwy jest tylko

jeden sposób: dowody winy, bez zgody winowajcy, na podstawie listów, które posiadam.

Na wzmiankę o listach mecenas ściągnął wargi i wydał dźwięk subtelny, pełen pogardliwego współczucia.

— Proszę zważyć... — zaczął. — Tego rodzaju sprawy zależą, jak panu wiadomo, od decyzji władzy duchownej, a ojcowie protopopi są w tych rzeczach amatorami najdrobniejszych szczegółików — tu mecenas uśmiechnął się w sposób wyrażający zrozumienie dla gustu protopopów. — Listy mogą niewątpliwie posłużyć jako częściowe potwierdzenie winy, lecz dowody winy muszą być zdobyte drogą bezpośrednią, czyli przez świadków. W ogóle, o ile pan zaszczyci mnie swym zaufaniem, poproszę, aby pan pozostawił mi wybór kroków, które trzeba by przedsięwziąć. Kto chce osiągnąć rezultat, ten musi zgodzić się i na środki.

— Jeśli tak... — zaczął nagle Karenin i pobladł, lecz w tej chwili adwokat znów wstał i podszedł do drzwi, do przerywającego po raz drugi rozmowę dependenta.

— Niech pan jej powie, że tu nie handel starzyzną! — oświadczył i wrócił do Karenina.

Po drodze niepostrzeżenie znowu złapał mola: „ładnie będzie wyglądał mój rypś do lata!” — pomyślał i sponępniał.

— Pan raczył mówić... — zwrócił się do klienta.

Powiadomię pana o mojej decyzji listownie — powiedział Karenin wstając i opierając się o stół. Chwilę stał w milczeniu, po czym rzekł: — Z pana słów wnoszę, że przeprowadzenie rozwodu jest możliwe. Prosiłbym pana o powiadomienie mnie, jakie byłyby pańskie warunki.

— Wszystko da się zrobić, jeśli zostawi mi pan całkowitą swobodę działania — odparł mecenas nie odpowiadając na ostatnie pytanie. Kiedy mogę liczyć na wiadomość od pana? — zapytał posuwając się ku drzwiom i połykując oczyma i lakierkami.

— Za tydzień. Pan zaś zechce ze swej strony dać mi znać, czy podejmie się pan prowadzenia sprawy i na jakich warunkach.

— Doskonale.

Mecenas ukłonił się z szacunkiem, odprowadził do drzwi klienta i pozostawszy sam, oddał się całkowicie radości. Zrobiło mu się tak wesoło, że — wbrew swym zasadom — ustąpił z ceny damie, która się z, nim targowała, przestał łapać mole i powziął ostateczną decyzję, że na zimę należy obić meble aksamitem, jak u Sigonina.

W dniu siedemnastym sierpnia Karenin odniósł wspaniały triumf na posiedzeniu komisji; wszelako skutki tego zwycięstwa podcięły mu nogi. Nowa komisja, której celem było wszechstronne zbadanie życia obco plemieńców, została utworzona i wysłana z niezwykłą szybkością i energią, co spowodował sam Karenin. Po trzech miesiącach komisja złożyła raport. Zbadano warunki bytu obcoplemieńców od strony politycznej, administracyjnej, ekonomicznej, etnograficznej, materialnej i religijnej. Na wszystkie pytania komisja dała świetnie zredagowane odpowiedzi, i to odpowiedzi nie budzące wątpliwości, nie były one bowiem owocem wiecznie błędzącej myśli ludzkiej, lecz rezultatem czynności służbowej. Wszystkie odpowiedzi opierały się na danych oficjalnych, na meldunkach gubernatorów i archijerejów, które ze swej strony były oparte na doniesieniach powiatowych naczelników i dziekanów, a wynikały z kolei z informacji uzyskanych od kleru parafialnego i urzędów gminnych — stąd wszystkie odpowiedzi komisji były niewątpliwe.. Wszelkie takie kwestie, jak na przykład, dlaczego zdarzają się nieurodzaje, dlaczego mieszkańcy trzymają się swoich wierzeń itp., kwestie, które bez ułatwień, jakie daje machina urzędowa, są w ogóle nie do rozwiązania i których nawet całe stulecia rozwiązać nie są w stanie, doczekały się jasnego i nieomylnego rozstrzygnięcia. I rozstrzygnięcie to wypadło po myśli Karenina. Striemow wszakże, który na ostatnim posiedzeniu poczuł się wielce dotknięty, z chwilą złożenia przez komisję sprawozdania zastosował taktykę nieoczekiwaną dla Karenina. Pozyskawszy kilku innych członków komisji przeszedł nagle na jego stronę i z największym ferworem nie tylko bronił zarządzeń proponowanych przez Karenina, lecz wysuwał inne, skrajne, w tym samym duchu. Propozycje owe zostały uchwalone, a wtedy taktyka Striemowa. wyszła na jaw. Nazbyt krańcowe nowe zarządzenia okazały się tak absurdalne, że i mężowie stanu, i opinia publiczna, i damy intelektualistki, i prasa — wszyscy jednogłośnie je zaatakowali, wyrażając oburzenie i przeciwko samym zarządzeniom, i przeciwko uznanemu za ich twórcę Kareninowi. Striemow ze swej strony uchylił się udając, że szedł jedynie ślepo za projektem Karenina, a że obecnie sam jest zdumiony i oburzony tym, co uczyniono. To podcięło Karenina. Mimo złego stanu zdrowia, mimo rodzinnych nieszczęść nie skapitulował jednak. W komisji nastąpiło rozdwojenie. Jedni z jej członków, ze Striemowem na czele, usprawiedliwiali błąd swój tym, że zaufali komisji rewizyjnej kierowanej przez Karenina, która złożyła raport, i twierdzili, że raport ten to bzdura, plik zapisanego papieru i nic więcej. Karenin zaś wraz z grupą ludzi, zdających sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiego rewolucyjnego . stosunku do aktów, nadal obstawał przy danych opracowanych przez komisję. Na skutek tego i w wyższych sferach, i nawet w towarzystwie wszystko się poplątało i chociaż wszyscy interesowali się tym ogromnie, nikt nie mógł zrozumieć, czy istotnie obcoplemieńcy niszczą i giną, czy też znajdują się w rozkwicie. Sytuacja Karenina z powodu tego stanu rzeczy, a także na skutek pogardy, którą ściągnęła na niego niewierność żony — mocno się zachwiała. W tym momencie Karenin powziął ważną decyzję i ku zdumieniu komisji

oświadczył, że będzie się ubiegał o zezwolenie, by dla zbadania sprawy samemu pojechać na miejsce. Otrzymał zgodę, istotnie wyjechał do oddalonych guberni. Wyjazd ten narobił wiele hałasu, tym więcej że przed udaniem się w podróż Karenin oficjalnie zwrócił pieniądze przyznane mu na koszt dwunastu koni dla przejazdu na miejsce.

— Uważam, że to bardzo szlachetnie — odrzekła Betsy w rozmowie z księżną Miagką. — Po co płacić za konie pocztowe, skoro wszyscy wiedzą, że teraz wszędzie są koleje?!

Księżna wszakże nie zgadzała się z tym, a opinia Betsy Twerskiej nawet ją rozdrażniła.

— Dobrze księżnej gadać — odrzekła — skoro księżna dysponuje Bóg wie jakimi milionami. Co do mnie, to bardzo lubię, gdy mój mąż latem jeździ na inspekcje. Jemu to dobrze robi i taka przejażdżka jest miła, a ja już to tak zorganizowałam, że za te pieniądze trzymam sobie powóz i płacę dorożki.

Po drodze do dalekich guberni Karenin zatrzymał się na trzy dni w Moskwie.

Nazajutrz po przyjeździe pojechał z wizytą do generał-gubernatora. Na skrzyżowaniu ulic przy Gazietnym Zaułku, gdzie panuje zawsze tłok powozów i dorożek, nagle usłyszał, jak ktoś zawołał go po imieniu tak głośno i wesoło, że musiał się obejrzeć. Na skraju chodnika — w krótkim modnym palcie i modnym niskim kapeluszu na bakier, jaśniejąc w uśmiechu bielą zębów pośród czerwonych warg, wesoły, młody, promienny — stał Stiepan Arkadjicz- wykrzykując energicznie i uporczywie, by powóz Karenina stanął. Obłoński opierał się o drzwiczki stojącej na rogu karety, z której okna wyglądała kobieca głowa w aksamitnym kapeluszu i dwie główki dziecięce. Uśmiechał się i kiwał ręką na szwagra: Dama również uśmiechała się pełnym dobroci uśmiechem i także dawała ręką znaki Kareninowi. Była to Dolly z dziećmi.

Karenin nie chciał się w Moskwie z nikim widzieć, a już najmniej z bratem swej żony, uchylił tedy kapelusza i zamierzał minąć Obłońskiego, lecz Stiepan Arkadjicz kazał jego stangretowi zatrzymać się i podbiegł do szwagra brnąc w śniegu.

— To naprawdę grzech nas nie zawiadomić! Od dawna jesteś tutaj? A ja wczoraj byłem u Dussota i widzę na tablicy nazwisko „Karenin”, ale nie myślałem ani przez chwilę, że to ty! — mówił Obłoński wsuwając przez okienko głowę do wnętrza karety Karenina. — Inaczej, zaszedłbym. Jakże się cieszę, że cię widzę! — i przytupywał nogami, uderzając jedną o drugą, by je otrząsnąć ze śniegu.

— To naprawdę grzech, żeś nie dał nam znać! — powtórzył raz jeszcze.

— Nie miałem czasu; jestem bardzo zajęty — rzekł oschle Karenin.

— Chodźmy do żony, ona tak pragnie cię zobaczyć. Karenin odrzucił pled, którym okryte były jego łatwo ziębnące nogi, wysiadł z karety i dobrnął przez śnieg do Darii Aleksandrowny.

— Co to znaczy, Aleksy? Dlaczego nas unikasz? — zapytała Dolly z uśmiechem.

— Byłem bardzo zajęty. Cieszę się, że was oboje widzę — wyrzekł tonem, który mówił jasno, że przeciwnie, bardzo go to martwi. — Jak się miewacie?

— A co się dzieje z moją drogą Anną?

Karenin coś odmruknął i chciał odejść. Stiepan Arkadjicz go przytrzymał.

— Wiesz, co zrobimy jutro: Dolly, zaproś go na obiad! Poprosimy Koznyszewa i Piescowa, żeby mu zaprezentowali moskiewską inteligencję.

— Przyjdź, proszę, mój drogi — powiedziała Dolly — będziemy cię oczekiwali o piątej lub o szóstej, jeśli tak ci jest dogodniej. A cóż się dzieje z moją miłą Anną?

— Jest zdrowa — mruknął chmurnie Karenin. — Bardzo mi było miło — i skierował się ku swojej karecie.

— Przyjdiesz? — zawołała Dolly.

Karenin coś odpowiedział, czego nie dosłyszała wśród ulicznego ruchu.

— Jutro wpadnę do ciebie! — krzyknął za nim Obłoński.

Karenin wsiadł do karety i zagłębił się w niej tak, by nic nie widzieć i samemu nie być widzianym.

— Dziwak! — powiedział Stiwa do żony i spojrzawszy na zegarek podniósł rękę na wysokość twarzy, by pełnym serdeczności gestem pożegnać żonę i dzieci, i zuchowate odszedł trotuarem.

— Stiwa! Stiwa! — zawołała w ślad za nim Dolly i zarumieniła się.

Odwrócił się.

— Muszę przecie kupić palta, dla Griszy i Tani. Dajże mi pieniędzy!

— Drobiazg! Powiedz im, że sam zapłacę — i znikł, wesóło skinąwszy głową znajomemu, który właśnie przejeżdżał.

Następnego dnia była niedziela; Stiepan Arkadjicz zaszedł do Teatru Wielkiego na próbę baletu i wręczył Maszy Cibisow, ładniutkiej, świeżo za jego protekcją zaangażowanej baletniczce, obiecane w przeddzień korale. Za kulisami, w dziennym półmroku teatru zdążył pocałować jej ładniutką twarzyczkę, promieniejącą z radości na widok prezentu. Poza wręczeniem podarunku miał się z nią umówić co do spotkania po balecie. Uprzedziwszy ją, że nie może przyjść na początek przedstawienia, obiecał, że przybędzie na ostatni akt i zabierze ją na kolację. Z teatru Stiepan Arkadjicz pojechał na Ochotnyj Riad, gdzie sam wybrał ryby i szparagi na obiad, a o dwunastej był już u Dussota. Miał tam odwiedzić trzech znajomych, na szczęście w jednym hotelu: Lewina, który stanął tu po niedawnym powrocie z zagranicy; swego nowego szefa, który świeżo, objął ów wyższy urząd i przeprowadzał inspekcję w Moskwie, oraz szwagra Karenina, by koniecznie zabrać go ze sobą na obiad.

Stiepan Arkadjicz lubił dobrze zjeść, a jeszcze bardziej lubił wydać u siebie obiad niewielki, ale wykwintny — zarówno co do potraw i co do win, jak i pod" względem doboru biesiadników. Program obiadu bardzo mu się podobał: miały być okonie, zakupione żywe, szparagi i Ja pièce de résistance , cudowny, choć zwyczajny, rozbeef; do tego stosowne wina. Tyle co do jadła i napoju. A co się tyczy gości, mieli być Kitty i Lewin, i— dla niepoznaki — prócz nich kuzynka i młody Szczerbacki oraz la pièce de résistance śród gości: Sergiusz Koznyszew i Karenin, pierwszy z nich — moskwicz i filozof, drugi — petersbur-żanin i człowiek czynu. Miał być jeszcze znany dziwak i entuzjasta Piescow, liberał, gaduła, muzyk; historyk, najmilszy w świecie pięćdziesięcioletni młodzieniaszek, stanowiący niejako sos i garnirunek do Koznyszewa i Karenina. Miał ich obu podjudzać i szcuć do dyskusji.

Druga rata pieniędzy od kupca za las wpłynęła i jeszcze nie została wydana, Doiły była w ostatnich czasach bardzo dobra i miła, toteż myśl o tym obiedzie pod każdym względem cieszyła Stiepana Arkadjicza. Był w jak najlepszym humorze. Istniały dwie okoliczności nieco przykre, lecz obie tonęły w morzu dobroduszej wesołości, rozhuśtanym w duszy Stiepana Arkadjicza. Oto jakie: po pierwsze, dnia poprzedniego, przy spotkaniu Karenina na ulicy, Obłoński zauważył, że szwagier jest oschły i surowy, a gdy zestawił jego imię i fakt, że Karenin ich nie odwiedził i nie dał znać o sobie, z pogłoskami, jakie sam słyszał o Annie i Wrońskim, to mógł się łącno domyślić, że między mężem a żoną coś jest nie w porządku.

To była jedna przykreść. Drugą rzecz nie całkiem przyjemną stanowiło to, że nowy naczelnik, jak wszyscy nowi naczelnicy, miał już z góry reputację straszego człowieka, wstającego o szóstej rano, pracującego jak koń i wymagającego takiej samej pracy od podwładnych. Poza tym jeszcze nowy naczelnik uchodził za gbura oraz jak wieść niosła, był całkiem przeciwnych poglądów niż te, które wyznawał poprzedni naczelnik i jak dotychczas, sam Obłoński. W przeddzień Stiepan Arkadjicz meldował' się u niego służbowo w mundurze;' nowy naczelnik był bardzo uprzejmy i rozgadał się z nim jak ze znajomym, toteż Stiepan Arkadjicz uważał za

swój obowiązek złożyć mu obecnie wizytę w surducie. Myśl, że nowy naczelnik może go przyjąć nieuprzejmie, była tą drugą niemiłą okolicznością. Obłoński jednak czuł instynktownie, że się wszystko doskonale ukształtuje. „Wszyscy są ludźmi, tak jak i my grzeszni, po co się złościć i kłócić?” — myślał wchodząc do hotelu.

— Jak się masz, Wasilij — zaczepił znajomego lokaja idąc korytarzem w kapeluszu na bakier. — Widzę, że zapuściłeś bokobrody? Lewin — numer siódmy, nieprawdaż? Zaprowadź mnie, proszę. I dowiedz się, czy hrabia Aniczkin (był to nowy naczelnik) przyjmuje,

— Słucham — odpowiedział z uśmiechem Wasilij. — Dawnośmy księcia pana tu nie widzieli.

— Byłem wczoraj, ale innym wejściem. Czy to numer siódmy?

Lewin pośrodku swego numeru w towarzystwie twerskiego chłopca mierzył właśnie arszynem świeżą niedzwie dzią skórę, gdy wszedł Obłoński.

— Ach, zabiliście go? — zawołał Stiepan Arkadjicz. — Wspaniała sztuka! Więc to niedźwiedzica? Jak się masz, Archip!

Uścisnął rękę chłopca i usiadł na chwilę, nie zdejmując palta ani kapelusza.

— Rozbierzże się i siadaj! — powiedział Lewin zdejmując mu kapelusz.

— Nie, nie mam czasu... Ja tylko na sekundę — odrzekł Stiepan Arkadjicz. Rozpiął palto, ale później zdjął je i przesiedział u przyjaciela całą godzinę, gadając o polowaniu i o sprawach najbardziej intymnych.

— Powiedz mi, proszę, coś ty robił za granicą? Gdzie byłeś? — zapytał, gdy chłop wyszedł.

— Byłem w Niemczech, w Prusach, we Francji, w Anglii, ale nie w stolicach, tylko w miastach fabrycznych; widziałem dużo nowych rzeczy. I rad jestem, że tam byłem.

— Tak, znam twoją ideę o organizacji robotników.

— Ależ nie: w Rosji kwestia robotnicza powstać nie może. W Rosji istnieje kwestia stosunku ludu roboczego do ziemi, istnieje ona i tam, u nich, ale tam chodzi tylko o naprawę tego, co się popsuło, podczas gdy u nas... Obłoński słuchał Lewina z uwagą.

— Tak, tak! — potakiwał. — Bardzo możliwe, że masz rację. Cieszę się, że jesteś w tak dobrym nastroju: i uganiasz się za niedźwiedziami, i pracujesz, i entuzjazmujesz się. Bo mówił mi Szczerbacki — spotkał cię któregoś dnia — że jesteś jakiś przygnębiony, że wciąż mówisz o śmierci...

— No więc i cóż; nie przestaję myśleć o śmierci — odparł Lewin. — To prawda, że śmierć jest tuż i że wszystko jest marnością. Powiem ci szczerze: bardzo jestem przywiązany do moich pomysłów i do mojej roboty, ale w gruncie rzeczy — pomyśl tylko! Przecież nasz cały świat to odrobinka pleśni, wyrosła na malusieńkiej planecie, a my sądzymy, że możemy stworzyć coś wielkiego: idee, czyni! Toż to ziarnka piasku.

— Ależ, serce moje, prawisz rzeczy stare jak świat!

— Owszem, stare, Ale wiesz, gdy się je zrozumie jasno, to jakoś wszystko staje się znikome. Gdy człowiek zda sobie raz sprawę, że nie dziś, to jutro umrze i nic z nas nie pozostanie, to wszystko obraca się w nicość! Ja uważam na przykład, że moja idea jest ważna, tymczasem okazuje się, że jest ona równie czcza — nawet gdyby się ją urzeczywistniło. — jak podchodzenie tej niedźwiedzicy. Więc człowiek spędza życie szukając zapomnienia na polowaniu czy w pracy, byle tylko nie myśleć o śmierci.

Stiepan Arkadjicz słuchając Lewina uśmiechał się dowcipnie i życzliwie.

— No, oczywiście! Otóż i doszedłeś do tego samego, co i ja. Pamiętasz, jakieś na mnie napadał za to, że dążę w życiu do użycia?

Nie bądź tak srogi, moralisto!

— Mimo wszystko, to w życiu jest dobre, że... — Lewin zaciął się. — Sam zresztą nie wiem. Wiem tylko, że wkrótce umrzemy.

— Po co zaraz „wkrótce”?!

— I wiesz, życie ma mniej uroku, gdy się myśli o śmierci, ale jest się spokojniejszym.

— Przeciwnie, na ostatku jest jeszcze weselej. No, ale na mnie czas — rzekł Stiepan Arkadjicz wstając może po raz dziesiąty.

— Ależ nie, posiedź jeszcze! — zatrzymywał go Lewin. — Kiedyż się znowu spotkamy? Bo ja wyjeżdżam jutro.

— A to dobre sobie! Przecież po to przyszedłem tutaj... Przyjdź koniecznie dziś do nas na obiad. Będzie twój brat, mój szwagier Karenin.

— Czy on. tu jest? — Lewin miał ochotę zapytać o Kitty. Słyszał, że na początku zimy była w Petersburgu u siostry, żony dyplomaty, i nie wiedział, czy już wróciła, czy nie. Ale się rozmyślił. „Czy będzie tam, czy nie będzie — wszystko jedno.”

— Więc przyjedziesz? — Oczywiście.

— A zatem o piątej. W surducie.

Stiepan Arkadjicz wstał i poszedł na dół do nowego szefa.

Instynkt go nie zawiódł: okazało się, że nowy, straszny szef był człowiekiem nader przystępnym. Obłoński zjadł z nim śniadanie i tak się u niego zasiedział, że do Karenina zdążył zajść dopiero o trzeciej.

VIII

Karenin, powróciwszy ze mszy, spędził cały ranek w domu. Przed południem miał do załatwienia dwie sprawy. Po pierwsze — przyjąć i dać instrukcje delegacji obco-plemieńców znajdujące się właśnie w Moskwie i udającej się do Petersburga, po drugie — napisać obiecany list do adwokata. Delegacja, mimo że powołana z inicjatywy Karenina, była źródłem wielu trudności, a nawet niebezpieczeństw, i Karenin był wielce rad, że zastał ją jeszcze w Moskwie. Członkowie jej nie mieli najmniejszego pojęcia o swej roli ani o obowiązkach. Byli naiwnie przekonani, że zadaniem ich jest przedstawić potrzeby obcoplemieńców i opisać rzeczywisty stan rzeczy prosząc rząd o pomoc. Nie rozumieli absolutnie, że niektóre ich oświadczenia i żądania były na rękę partii przeciwnej i dlatego mogli całą sprawę pogrzebać. Karenin dobrze się nad delegatami napracował, nakreślił im program, poza który mieli nie wykraczać, a po odprawieniu ich napisał do Petersburga listy mające nimi pokierować. Prawą jego ręką w tej sprawie miała być Lidia Iwanowna. Była ona niejako specjalistką od deputacji: nikt nie umiał tak jak ona wytworzyć odpowiedniej atmosfery dokoła delegatów i odpowiednio nimi zadyrygować. Skończywszy z tą sprawą Karenin napisał również list do adwokata, w którym bez dalszych wahań dał mu polecenie, by działał według uznania. Do listu załączył trzy bileciki Wrońskiego do Anny, które znalazł wówczas w jej teczce.

Od dnia gdy Karenin wyjechał z domu z postanowieniem, że nie wróci do rodziny, od chwili gdy będąc u adwokata powiedział już — choćby tylko jednemu człowiekowi — o swych zamiarach, a zwłaszcza od chwili gdy ta życiowa sprawa została przezeń niejako przełożona na język aktów urzędowych, począł coraz bardziej oswajać się z tym zamiarem i widział już teraz wyraźnie możliwość jego wykonania.

Właśnie pieczętował list do adwokata, gdy usłyszał podniesiony ton głosu Obłońskiego, który dyskutował z jego służącym i domagał się, by ten go zameldował.

„Wszystko jedno — pomyślał Karenin — tym lepiej: od razu oznajmię mu, jak stoją sprawy pomiędzy mną a jego siostrą, i wyjaśnię, dlaczego nie mogę być u niego na obiedzie.”

— Prosić! — odezwał się głośno, zgarniając papiery i układając je w teczkę.

— Otóż.— widzisz, że zełgałeś, bo twój pan jest w domu! — odpowiedział głos Obłońskiego lokajowi, który go nie chciał wpuścić. Zdejmując po drodze palto Stiepan Arkadjicz wszedł do pokoju. — No, bardzo się cieszę, że cię zastałem! Więc mam nadzieję... — zaczął wesoło.

— Nie mogę przyjść — rzekł chłodno Karenin, który wstał i nie poprosił gościa, by ten usiadł.

Zamierzał od razu zmienić stosunki ze szwagrem na tak oziębłe, w jakich winno się pozostawać z bratem żony, z którą się wszczęło sprawę o rozwód, ale nie brał w rachubę morza dobroduszości w duszy Stiepana Arkadjicza, które aż przelewało

się poza brzegi.

Obłowski otworzył szeroko swe błyszczące jasne oczy.

— Czemu nie możesz? Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał ze zdumieniem po francusku. — Nie, przecie już obiecałeś i my wszyscy liczymy na ciebie.

— Chcę przez to powiedzieć, że nie mogę być u was, ponieważ te stosunki powinowactwa, które dotychczas nas łączyły, obecnie muszą ustać.

— Jak to? To jest niby jak? Dlaczego? — uśmiechał się wciąż jeszcze Stiepan Arkadjicz.

— Dlatego że wszcząłem sprawę o rozwód z pańską siostrą, a moją żoną. Musiałem...

Ale jeszcze nie zdążył dokończyć zdania, gdy Obłowski zareagował całkiem nie tak, jak Karenin tego oczekiwał. Jęknął i usiadł w fotelu.

— Ach nie, Aleksy, co ty gadasz! — krzyknął i na twarzy jego odmalowało się cierpienie.

— Tak jest.

— Przepraszam cię, nie mogę, nie mogę w to uwierzyć. Karenin usiadł. Czuł, że jego słowa działają nie tak, jak się tego spodziewał, i że będzie musiał dać wyjaśnienia. Poczł także, że jakkolwiek wypadną te wyjaśnienia, stosunek jego do szwagra nie ulegnie zmianie.

— Tak, to bolesna konieczność. Zmuszony jestem żądać rozwodu — powtórzył.

— Powiem ci tylko jedno, Aleksy; znam ciebie jako najlepszego, jako sprawiedliwego człowieka; znam Annę — wybac, ale nie mogę o niej zmienić zdania — wiem, że to cudowna, najlepsza kobieta, i dlatego, wybac, nie mogę w to uwierzyć. To jest jakieś nieporozumienie!

— O, gdyby to było tylko nieporozumienie!...

— Pozwól.;. Rozumiem — przerwał mu Obłowski. — Ale oczywiście... Jedno tylko: nie trzeba się śpieszyć. Nie trzeba, nie trzeba się śpieszyć!

— Ja się nie śpieszyłem — rzekł oziębło Karenin. — A w takiej sprawie radzić się z nikim nie można. Zdecydowałem się stanowczo.

— To okropne! — westchnął ciężko Obłowski. — Wiesz, Aleksy, ja zrobiłbym jedną rzecz. Błagam cię, zrób to! — mówił dalej. — Sprawa jest jeszcze, o ile dobrze rozumiem, nie wszczęta. Zanim ją rozpoczniesz, zobacz się z moją żoną, pogadaj z nią. Kocha ona Annę jak siostrą, kocha i ciebie, i w ogóle to niezwykła kobieta. Na miłość boską, pomów z nią! Zrób mi tę łaskę, błagam cię!

Karenin zamyślił się, a Stiepan Arkadjicz patrzył na niego ze współczuciem, nie przerywając milczenia.

— Pojedziesz do niej?

— Nie bardzo wiem. Właśnie dlatego nie byłem u was. Przypuszczam, że nasze stosunki powinny ulec zmianie.

— Czemu? Zupełnie tego nie pojmuję! Pozwól mi przypuszczać, że poza naszym powinowactwem masz dla mnie, choć w części, te przyjazne uczucia, które ja zawsze żywiłem dla ciebie... Oraz istotny szacunek — dodał ściskając rękę szwagra. — Gdyby nawet najgorsze twoje przypuszczenia okazały się słuszne — nie pozwalam i nie pozwolę sobie nigdy sądzić ani jednej, ani drugiej strony — nie widzę powodu, dla którego nasze stosunki miałyby się zmienić. A teraz zrób to dla mnie — przyjedź do mojej żony

— Patrzymy inaczej na te sprawy — rzekł oschle Karenin. — Zresztą, nie mówmy o tym.

— Ależ nie, dlaczegoż byś miał nie przyjechać? Choćby na przykład dzisiaj na obiad? Żona cię oczekuje... Proszę cię, przyjedź, a co najważniejsze, pogadaj z nią. To zdumiewająca kobieta. Na miłość boską, błagam cię na klęczkach!

— Jeśli chcesz tego koniecznie, to przyjadę — westchnął Karenin.

I chcąc zmienić temat rozmowy zapytał o coś, co ich obu interesowało: o nowego naczelnika Obłońskiego, człowieka jeszcze niestarego, który nagle otrzymał tak wysokie stanowisko.

Karenin i przedtem nie lubił hrabiego Aniczkina i zawsze różnił się z nim w poglądach, lecz obecnie nie mógł już pohamować, zrozumiałej dla każdego urzędnika, nienawiści człowieka, który poniósł klęskę służbową, do człowieka, którego spotkał awans.

— No i co, czyś go widział? — spytał Obłońskiego ze zjadliwym uśmiechem.

— A jakże: był u nas wczoraj w urzędzie. Zdaje się, że zna się doskonale na rzeczy i jest bardzo aktywny.

— Tak, ale ku czemu jest skierowana ta aktywność? — rzekł Karenin. — Ku rzeczowej robocie czy ku przeinaczaniu tego, co już jest zrobione? Nieszczęściem naszego państwa jest papierowa administracja, której on jest godnym przedstawicielem.

— Doprawdy nie wiem, co by mu zarzucić można. Nie znam jego poglądów, ale jedno jest pewne — że to przemiły chłop — odrzekł Stiepan Arkadjicz. — Byłem właśnie u niego i naprawdę jest przemiły! Jedliśmy razem śniadanie i nauczyłem go przyrządzać, wiesz, ten nowy trunek: wino z pomarańczami. To bardzo orzeźwiający. Dziwne, że dotąd tego nie znał. Bardzo mu to smakowało. Nie, naprawdę: zacny chłop!

Obłoński spojrział na zegarek.

— Mój Boże, już po czwartej, a ja jeszcze muszę wpaść do Dołgowuszyna. Więc proszę cię, przyjedź na obiad. Nie możesz sobie wyobrazić, jaka by to była przykrość dla mnie i dla żony.

Karenin odprowadził szwagra do drzwi już zupełnie inaczej, niż go był przywitał.

— Obiecałem i będę — odparł posępnie.

— Wierz mi, że cenię to i mam nadzieję, że nie będziesz żałował — rzekł z

uśmiechem Stiepan Arkadjicz.

I wkładając po drodze palto, lekko szturchnął lokaja w głowę, roześmiał się i już go nie było.

— O godzinie piątej, w surducie, proszę! — krzyknął raz jeszcze wracając ode drzwi.

Było już po piątej i niektórzy z gości już poprzyjeżdżali, gdy zjawił się sam pan domu. Wszedł jednocześnie z Koznyszewem i Piescowem, którzy spotkali się przy wejściu. Byli to najwybitniejsi przedstawiciele moskiewskiej inteligencji, jak ich nazywał Obłoński. Obaj dzięki zaletom charakteru i umysłu cieszyli się szacunkiem u ludzi. Mieli dla siebie wzajemne uznanie, ale prawie we wszystkim byli kompletnie i beznadziejnie innego zdania, nie dlatego, by należeli do przeciwnych, kierunków, ale właśnie dlatego, iż jako ludzie tego samego obozu (wrogowie ich nie rozróżniali), posiadali w jego obrębie każdy swój odcień. A ponieważ nic bardziej nie utrudnia zgody niż różnice opinii w rzeczach na wpół oderwanych, więc obaj nie tylko nigdy nie bywali jednego zdania, lecz przywykli już od dawna pokpiwać — bez złośliwości — każdy z niepoprawnych błędów drugiego.

Wchodzili właśnie obaj we drzwi rozmawiając o pogodzie, gdy dogonił ich Stiepan Arkadjicz. W salonie siedzieli już książę Aleksander Dmitriewicz, teść Obłońskiego, młody Szczerbacki, Turowcyn, Kitty i Karenin.

Obłoński natychmiast spostrzegł, że w salonie bez niego źle się dzieje. Daria Aleksandrowna, w swej odświętnej, popielatej jedwabnej sukni, wyraźnie zatroskana i o dzieci, które musiały same jeść w dziecinnym pokoju, i o to, że męża jeszcze nie było, nie potrafiła sama dobrze przetasować całego tego towarzystwa. Wszyscy siedzieli, jak się wyraził stary książę, jak popadianki na wizycie, najwidoczniej nie rozumiejąc, po co się tu znaleźli, i z trudem wyciskając z siebie słowa, byle tylko nie milczeć. Widać było, że dobroduszny, Turowcyn czuje się nie w swoim sosie, i uśmiech jego grubych warg, którym powitał Stiepana Arkadjicza, mówił nie gorzej od słów: „No, bratku, a toś mnie urządził z tymi uczonymi! Wypić albo pójść do «Château des Fleurs», oto co byłoby raczej w moim guście.” Stary książę siedział w milczeniu, raz po raz spoglądając z ukosa swymi błyszczącymi oczkami na Karenina. Stiepan Arkadjicz poznał, że książę już obmyślił jakieś słóweczko określające tego męża stanu, na którego spraszano ludzi jak na sterleta. Kitty patrzyła na drzwi zbierając siły, aby się nie zarumienić, gdy wejdzie Konstanty Lewin. Młody Szczerbacki, którego nie przedstawiono Kareninowi, usiłował zachowywać się tak, jakby go to nic a nic nie krępowało. Sam Karenin był — według petersburskiej mody, gdy chodziło o obiad z damami — we fraku i białym krawacie i Stiepan Arkadjicz poznał po jego minie, że szwagier przyjechał tylko, by dotrzymać słowa, i że przebywanie w tym towarzystwie było dla niego ciężkim obowiązkiem. On to był główną przyczyną chłodu mrozącego wszystkich aż do przyjazdu pana domu. Obłoński po wejściu do salonu przeprosił gości i wyjaśnił, że spóźnił się z winy pewnego księcia, który służył mu stale za kozła ofiarnego przy wszystkich opóźnieniach i niesłownościach. Uczyniwszy to, w jednej chwili pozaznajamiał obecnych i zetknąwszy Karenina z Koznyszewem, podsunął im temat zruszczenia Polski, na który natychmiast rzucili się obaj do spółki z Piescowem. Potem poklepał po ramieniu Turowcyna, szepnął mu coś zabawnego i posadził obok Darii Aleksandrowny i starego księcia. Powiedziawszy Kitty, że dziś

bardzo ładnie wygląda, przedstawił Szczerbackiego Kareninowi. Słowem, w parę minut tak przemiesił to towarzyskie ciasto, że salon Obłońskiego mógł służyć innym za wzór i że wszystkie głosy zadźwięczały ożywieniem. Brakowało tylko Konstantego Lewina, ale i to wyszło na dobre, gdyż w jadalnym pokoju Obłoński zauważył ze zgrozą, że portwein i sherry przyniesiono nie od Loewego, lecz od Despres, kazał więc posłać jak najszybciej stangreta do Loewego, po czym podążył z powrotem do salonu.

Po drodze spotkał wchodzącego Konstantego Lewina

— Czy spóźniłem się.

— Jakżebyś ty mógł się nie spóźnić? — rzekł Obłoński ujmując go pod ramię.

— Czy macie dużo osób? Kto właściwie jest? — zaczerwienił się mimo woli Lewin strzepując rękawiczką śnieg z czapki.

— Sami swoi. Jest też Kitty. Chodźmy, przedstawię cię Kareninowi.

Stiepan Arkadjicz mimo całego swego liberalizmu wiedział, że znajomość z Kareninem musi pochlebiać, i dlatego częstował nim najlepszych przyjaciół. W danej chwili wszelako Lewin nie był w stanie odczuć w pełni zadowolenia, jakie powinna mu być dać ta znajomość. Nie widział Kitty od owego pamiętnego wieczoru, kiedy spotkał Wrońskiego, o ile nie brać pod uwagę momentu, w którym ujrzał ją na gościńcu. W głębi duszy wiedział już, że ją tu dnia tego spotka, lecz chcąc mieć swobodną głowę, starał się wmówić sobie, że o tym nic nie wie. Obecnie jednak, gdy usłyszał, że Kitty tu jest, ogarnęła go nagle taka radość, a zarazem taki strach, że mu zabrakło tchu i nie mógł wypowiedzieć tego, co zamierzał. „Jaka, jaka ona teraz jest? Czy taka jak przedtem, czy taka jak w karecie? Kto wie, czy Daria Aleksandrowna nie mówiła wtedy prawdy? Dlaczego nie miałyby to być prawda?” — myślał.

— I owszem, bardzo proszę, przedstaw mnie Kareninowi — wymówił z trudem i desperacko energicznym krokiem wszedł do salonu. Ujrzał ją.

Nie była ani taka jak dawniej, ani taka jak w karecie; była zupełnie inna.

Była wystraszona, nieśmiała, zawstydzona, a przez to jeszcze bardziej urocza. Spostrzegła go natychmiast, gdy wszedł do pokoju. Oczekiwała go. Ucieszyła się i jednocześnie tak się zmieszała z radości, że była chwila — ta właśnie, kiedy podchodził do pani domu i- znów spojrzał na Kitty — gdy zdawało się i jej samej, i jemu, i Dolly, która wszystko widziała, że nie zapanuje nad sobą i rozpłacze się. Zarumieniła się, pobladła, znów się zarumieniła i wreszcie przycichła czekając na niego, z drgającymi lekko wargami. Podszedł, skłonił się i w milczeniu podał jej rękę. Gdyby nie leciutkie drżenie warg i wilgotny blask oczu, uśmiech jej byłby prawie spokojny, gdy się odezwała:

— Takeśmy się dawno nie widzieli! — i z desperacką decyzją uściśnęła jego dłoń swą zimną ręką.

— Pani mnie nie widziała, ale ja panią widziałem — rzekł Lewin z promiennym uśmiechem szczęścia. — Widziałem panią, gdy pani jechała z kolei do Jerguszowa.

— Kiedy? — zapytała ze zdziwieniem.

— Pani jechała do Jerguszowa — mówił Lewin czując, że dławi się z wezbranego w sercu szczęścia. „Jak śmiałem zestawić myśl o czymś nie całkiem niewinnym z tą wzruszającą istotą!... Tak, zdaje się, że to, co twierdziła Daria Aleksandrowna, jest prawdą” — myślał.

Obłoński wziął go za rękę i podszedł z nim do Karenina.

— Panowie pozwolą, że ich zapoznam — wymienił ich nazwiska.

— Bardzo mi miło spotkać pana znowu — chłodno rzekł Karenin ściskając rękę Lewina.

— Panowie się znają? — zdziwił się Obłoński.

— Spędziliśmy razem trzy godziny w wagonie — uśmiechnął się Lewin — a rozstaliśmy się jak po maskaradzie, zaintrygowani, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

— To dopiero! Prosimy bardzo — rzekł Stiwa wskazując ręką w kierunku jadalni.

Mężczyźni przeszli do jadalni i otoczyli stół z zakąskami, na którym stało sześć gatunków wódek i tyle samo rodzajów sera, ze srebrnymi łoPATkami i bez łoPATek, kawior, śledzie, konserwy różnego rodzaju i talerzyki z pokrajaną bułką.

Mężczyźni stanęli dokoła wonnych wódek i zakąsek, a rozmowa między Koznyszewem, Kareninem i Piescowem o zruszczeniu Polski przycichła w oczekiwaniu obiadu.

Koznyszew, który celem zakończenia najbardziej abstrakcyjnej i najpoważniejszej dyskusji potrafił jak nikt inny nieoczekiwanie sypnąć garsteczką soli attyckiej i w ten sposób zmienić nastrój rozmawiających — uczynił to i teraz.

Karenin dowodził, że zniszczenie Polski może się dokonać jedynie po zastosowaniu wyższych zasad, które wprowadzić winna rosyjska administracja. Piescow upierał się, że jeden naród zasymiluje drugi tylko wówczas, gdy ma większą gęstość zaludnienia.

Koznyszew godził się na jedno i na drugie, lecz z pewnymi zastrzeżeniami. Kiedy opuszczano salon, oświadczył z uśmiechem, chcąc zakończyć rozmowę:

— Dlatego istnieje tylko jeden sposób mszczenia obco-plemieńców, oto — mieć jak najwięcej dzieci. Pod tym względem my z bratem jesteśmy najmniej w porządku... A wy, panowie żonaci, zwłaszcza nasz miły gospodarz, działacie całkiem patriotycznie. Ile książę ma dzieci? — zwrócił się z przyjacielskim uśmiechem do pana domu nadstawiając swój malutki kieliszek. Wszyscy roześmieli się, a najweselej — Stiepan Arkadjicz.

— Tak, to najlepszy sposób! — odrzekł żując ser i nalewając w podawany mu kieliszek wódkę jakiegoś specjalnego gatunku. Rozmowa istotnie urwała się na tym żarciku.

— Ten ser jest niezły. Czy pan pozwoli? — zapraszał. Czyś ty znowu uprawiał gimnastykę? — zwrócił się do Lewina, lewą ręką próbując jego mięśni; Lewin z uśmiechem napiął ramię i pod palcami Stiepana Arkadjicza wzniósł się pod cienkim

suknem surduta stalowy kłębek, okrągły jak ser.

— To dopiero bicepsy! Samson z ciebie!

— Sądzę, że polowanie na niedźwiedzie wymaga wielkiej siły — powiedział mający jak najbardziej mgliste pojęcie o myślistwie Karenin smarując chleb serem, przy czym przerwał cienki jak pajęczyna mięksiz kromki.

Lewin uśmiechnął się.

— Wcale. nie. Przeciwnie, nawet dziecko może zabić niedźwiedzia — wyjaśnił usuwając się z lekkim ukłonem przed damami, które z kolei wraz z panią domu zbliżały się do stołu zakąsek.

— A pan, jak mi mówiono, zabił niedźwiedzia? — spytała Kitty, daremnie usiłując złapać na widelec niesforny) wyslizgujący się grzybek i wstrząsając koronką, poprzez którą biała jej ręka. — Czy tam u pana są niedźwiedzie? — dodała zwracając ku niemu w pół obrotu swą prześliczną główkę i uśmiechając się.

Zdawałoby się, że nie było w jej pytaniu nic niezwykłego, ale jakież niemożliwe do wyrażenia w słowach znaczenie posiadał dla niego każdy dźwięk, każde poruszenie jej warg, oczu i ręki, gdy to mówiła. Była tam i prośba o przebaczenie, i ufność do niego, i pieśczoła, delikatna, nieśmiała pieśczoła, i obietnica, i nadzieja, i miłość, w którą nie mógł nie uwierzyć i od której zachłystywał się ze szczęścia.

— Nie, jeździliśmy do twerskiej guberni. Wracając stamtąd, spotkałem w wagonie pani beau frère'a , a raczej szwagra pani beau frère'a — odrzekł z uśmiechem. — Było to komiczne spotkanie.

I opowiedział wesoło i zabawnie, jak po nieprzespanej nocy wdarł się w półkożuszku do przedziału Karenina.

— Konduktor, wbrew przysłowiu, sądząc po ubraniu chciał mnie wyrzucić, ale wówczas począłem używać wzniosłego stylu. A i pan również — zwrócił się do Karenina nie pamiętając jego imienia i patronimiku — zrazu chciał mnie wygnać z powodu mego kożucha, ale później stanął pan w mojej obronie, za co jestem bardzo wdzięczny.

— Na ogół prawo pasażerów do wyboru miejsca jest bardzo nieokreślone. — rzekł Karenin wycierając chusteczką końce palców.

— Widziałem, że znajdował się pan w niepewności co do mojej osoby — uśmiechnął się Lewin dobrodusznie — więc pośpieszyłem rozpocząć inteligentną rozmowę, żeby okupić mój półkożuszek.

Koznyszew, nadal rozmawiając z panią domu i słuchając brata jednym uchem, spojrział na niego z ukosa. „Co się z nim dzisiaj dzieje? Wygląda jak triumfator” — pomyślał. Nie wiedział, że Konstanty czuł, jak u ramion wyrastają mu skrzydła. Kitty słuchała jego słów i widać było, że sprawiają jej one przyjemność. Tylko to jedno go zajmowało. Już nie mówiąc o tym pokoju, ale na całym świecie istnieli dla niego jedynie — on sam, nagle ogromnie we własnych oczach ważny, i ona. Czuł, że znajduje się na wyżynie, od której w głowie się kręci, a hen, tam daleko w dole, byli ci wszyscy poczciwi — Kareninowie, Obłońscy i cały świat.

Całkiem niepostrzeżenie, nawet nie spojrzawszy na nich, lecz w taki sposób, jakby innego miejsca w ogóle nie było, Stiwa posadził Lewina obok Kitty,

— No, więc siadaj choćby tutaj — rzekł do Konstantego.

Obiad był równie dobry jak serwis stołowy, jako że Obłoński był amatorem pięknej porcelany. Zupa Marie-Louise udała się wyśmienicie; malusienieczkie paszteciki topniały w ustach, były bez zarzutu. Dwóch lokai i Matwiej, w białych krawatach, uwijali się z potrawami i winem nieznacznie, cicho i zręcznie. Obiad z punktu widzenia materialnego był udany, niemniej wszakże udał się i od strony niematerialnej. Rozmowa, to ogólna, to rozbita na osobne rozmowy, nie milkła, a pod koniec obiadu tak się ożywiła, że mężczyźni wstali od stołu nie przerywając jej i nawet Karenin nabrał życia.

Piescow lubił doprowadzać swe wywody do końca i słowa Sergiusza Koznyszewa nie zadowolily go, tym bardziej gdy zdał sobie sprawę, że jego własna opinia nie była słuszna.

— Nigdy nie miałem na myśli — zwrócił się przy zupie do Karenina — że decyduje wyłącznie gęstość zaludnienia, lecz gęstość zaludnienia w połączeniu z pewnymi założeniami, a nie z zasadami, którymi będzie się kierowała administracja.

— Zdaje mi się — bez pośpiechu, apatycznie odrzekł Karenin — że to na jedno wychodzi. Według mego zdania, oddziaływać na inny naród może tylko ten, kto stoi na wyższym stopniu rozwoju, kto...

— Ale chodzi właśnie o to — przerwał mu swym basem Piescow, któremu zawsze było pilno się wypowiedzieć i który zdawał się zawsze całą duszę kłaść w to, co mówił — na czym ma polegać ów wyższy rozwój? Anglicy, Francuzi, Niemcy, kto z nich stoi na wyższym stopniu rozwoju? Kto kogo ma, asymilować? Widzimy, że Ren się sfrancuził, a przecież Niemcy nie stoją niżej! — krzyczał. — Nie, tutaj działa jakieś inne prawo!

— Zdaje mi się, że wpływ będzie zawsze po stronie prawdziwego wykształcenia — rzekł Karenin podnosząc z lekka brwi.

— Ale na czym mają polegać cechy prawdziwego wykształcenia? — spytał Piescow.

— Przypuszczam, że cechy te są ogólnie znane — odrzekł Karenin.

— Ale czy są naprawdę znane? — z finezyjnym uśmiechem wtrącił Koznyszew. — Obecnie panuje pogląd, że prawdziwe wykształcenie może być tylko czysto klasyczne; tymczasem jesteśmy świadkami zażartych sporów jednej i drugiej strony i nie da się zaprzeczyć, że i przeciwny obóz ma wiele ważkich argumentów na swoją korzyść.

— Pan sam jest klasykiem. A może czerwonego wina? — zaproponował Obłoński.

— Nie wypowiadam się ani za jednym, ani za drugim rodzajem wykształcenia — z uśmiechem pobłażania, jak dziecku, odpowiedział Koznyszew nadstawiając swoją szklankę — powiadam tylko, że obie strony mają za sobą ważne argumenty — ciągnął dalej, zwracając się tym razem do Karenina. — Jestem klasykiem z wykształcenia, ale w tej dyskusji ja osobiście nie mogę znaleźć dla siebie odpowiedniego stanowiska. Nie widzę decydujących momentów, dla których daje się naukom klasycznym pierwszeństwo przed realnymi.

— Nauki przyrodnicze mają również wychowawczy wpływ na rozwój człowieka — wtrącił Piescow. — Weźmy choćby astronomię, weźmy botanikę, zoologię, z jej systemem praw ogólnych.

-- Nie mogę się z tym całkowicie zgodzić — odrzekł Karenin, — Według mnie,

nie można zaprzeczyć, że już sam proces studiowania form językowych działa dobroczynnie na rozwój ducha. Poza tym trudno negować, że wpływ pisarzy klasycznych jest w najwyższym stopniu umoralniający, podczas gdy, niestety, z wykładem nauk przyrodniczych łączą się te szkodliwe i fałszywe idee, które stanowią plagę naszych czasów.

Koznyszew chciał coś rzec, lecz uprzedził go dźwięcznym basem Piescow, który począł gorąco dowodzić niesłuszności tego poglądu. Koznyszew czekał spokojnie swojej kolei mając najwidoczniej w pogotowiu zwycięską replikę.

— Trzeba wszelako się zgodzić — odezwał się z lekkim uśmiechem do Karenina — że niełatwo jest zważyć wszystkie korzyści i braki tych i tamtych gałęzi wiedzy. Kwestia — które z nich obrać należy, nie została by rozstrzygnięta tak szybko i bezapelacyjnie, gdyby klasyczne wykształcenie nie miało tej przewagi, którą pan tylko co wymienił: moralnego — disons le mot — wpływu przeciwnihilistycznego.

— Bez wątpienia.

— Gdyby nie było po stronie nauk klasycznych przewagi, którą im daje wpływ antynihilistyczny, więcej byśmy się namyślali, zważylibyśmy argumenty stron obu — z lekkim uśmiechem prawił Koznyszew — dalibyśmy równe szansę obu kierunkom. Obecnie wszakże wiemy, że w pigułkach klasycznego wykształcenia zawarta jest lecznicza siła antymhilizmu, i śmiało proponujemy je naszym pacjentom. A co — jeśli one wcale tej leczniczej siły nie posiadają? — zakończył szczyptą attyckiej soli. Pigułki Sergiusza Iwanowicza rozśmieszyły wszystkich, a zwłaszcza głośno i wesoło śmiał się Turowcyn, który wreszcie doczekał się czegoś zabawnego, na co jedynie czekał słuchając rozmowy.

Obłoński zapraszając Piescowa nie przeliczył się: przy jego udziale intelektualna rozmowa nie mogła ani na chwilę ustać. Zaledwie Koznyszew żartem swoim zakończył jedną dyskusję, gdy Piescow natychmiast podjął nową.

— Nie można nawet twierdzić, by rząd to właśnie miał na celu. Rząd najwidoczniej kieruje się ogólnymi założeniami i pozostaje obojętny na wpływ, który mogą wyrzucić stosowane przezeń środki. Na przykład, zasada kształcenia kobiet powinna by być uważana za wręcz szkodliwą, tymczasem rząd otwiera żeńskie kursy i uniwersytety.

I rozmowa natychmiast przeskoczyła na nowy temat — wykształcenia kobiet.

Karenin wyraził zdanie, że zwykle miesza się kształcenie kobiet z kwestią ich niezależności i że tylko dlatego kształcenie kobiet można uważać za szkodliwe.

— Ja, przeciwnie, uważam, że te dwie kwestie najściślej się wiążą — orzekł Piescow — to błędne koło. Kobieta jest pozbawiona praw z powodu braku wykształcenia, a jej brak wykształcenia wynika stąd, że nie posiada praw. Nie należy zapominać, że uciemnienie jej jest tak rozpowszechnione i tak dawne, że nieraz wolimy nie uprzytamniać sobie, jaka otchłań dzieli kobiety od nas.

— Pan użył słowa „prawa” — powiedział Koznyszew wyczekawszy, aż Piescow zamilkł — a więc prawo zajmowania stanowisk przysięgłych, członków rad miejskich, ich przewodniczących, prawo urzędnika, członka parlamentu...

— Niewątpliwie.

— Lecz jeśli nawet kobiety, w drodze rzadkiego wyjątku, istotnie są zdolne do zajmowania takich stanowisk, to zdaje mi się jednak, że pan niesłusznie użył wyrazu „prawa”. Ściślej byłoby powiedzieć: obowiązki. Każdy się zgodzi, że my, pełniąc służbę przysięgłego, członka rady miejskiej czy telegrafisty, uważamy, że pełnimy obowiązek. I dlatego byłoby poprawniej określić, że kobiety pragną pełnić obowiązki, zupełnie zresztą słusznie. Można jedynie przyklasnąć temu ich pragnieniu pomagania mężczyznom w ogólnej pracy.

— Ma pan zupełną rację — zgodził się Karenin. — Zagadnienie, sędzę, polega tylko na tym, czy kobiety są zdolne pełnić te obowiązki.

— Zapewne okaże się, że są nawet bardzo utalentowane — wtrącił Stiepan Arkadjicz — kiedy się wśród nich rozpowszechni wykształcenie. Widzimy to...

— A co z przysłowiem? — wtrącił od dawna przysłuchujący się rozmowie stary książę łyskając małymi, kpiącymi oczkami. — Przy córkach wolno mi zacytować: gdzie włos długi, tam:..

— To samo myślano o Murzynach przed ich emancypacją — gniewnie rzucił Piescow.

— Wydaje mi się tylko dziwne, że kobiety szukają nowych obowiązków — wtrącił Koznyszew — podczas gdy, niestety, widzimy, że mężczyźni zazwyczaj od nich stronią

— Z obowiązkami łączą się prawa — władza, pieniądze, zaszczyty; kobiety o to walczą — powiedział Piescow.

— To tak, jakbym ja walczył o prawo zostania mamką i czuł się urażony, że mi go nie chcą przyznać — rzekł stary książę.

Turowcyn wybuchnął głośnym śmiechem, a Koznyszewowi żal się zrobiło, że nie on to powiedział. Uśmiechnął się nawet Karenin.

— Tak, ale mężczyzna nie jest zdolny dawać piersi dziecku — przerwał Piescow — podczas gdy kobieta...

— O, przepraszam, pewien Anglik na statku wykarmił swoje dziecko — rzekł znowu stary książę pozwalając sobie w obecności własnych córek na pewną swobodę w rozmowie.

— Tyle będzie urzędników kobiet, ilu było takich Anglików — pośpieszył z dowcipem Koznyszew.

— Dobrze, ale co ma robić dziewczyna bez rodziny? — ujął się Obłoński pamiętając o Maszy Czibisow, którą stale miał na myśli, gdy podzielał poglądy Piescowa i podtrzymywał go.

— Gdybyśmy gruntownie zbadali historię takiej dziewczyny, to okazałoby się, że porzuciła ona albo swoją rodzinę, albo rodzinę siostry, gdzie mogła być pełnić pracę kobiecą — nieoczekiwanie wmieszała się z rozdrażnieniem do rozmowy Daria Aleksandrowna, odgadując zapewne, o jakiej to dziewczynie myślał Stiepan Arkadjicz.

— Ależ my bronimy zasady, idei! — dźwięcznym basem replikował Piescow. — Kobieta żąda prawa do niezależności, do wykształcenia. Jest skrepowana, przytłoczona poczuciem, że to niemożliwe.

— A ja jestem skrepowany i przytłoczony tym, że mnie nie przyjmą do Domu Wychowawczego za mamkę — znów wtrącił stary książę, ku wielkiej uciechu Turowcyna, który ze śmiechu aż upuścił szparag do sosu grubszym końcem.

Wszyscy brali udział w ogólnej rozmowie prócz Lewina i Kitty. Zrazu, gdy była mowa o wpływie jednego narodu na drugi, Lewinowi mimo woli przychodziło na myśl, co mógłby na ten temat powiedzieć, lecz myśli te, dotąd dla niego tak ważne, teraz tylko przelatowały mu przez głowę, jak we śnie, i nie interesowały go ani trochę. Wydawało mu się nawet dziwne, że inni starają się tyle gadać o rzeczach zupełnie zbędnych. I dla Kitty ta rozmowa o prawach i o wykształceniu kobiet, zdawałoby się, powinna być ciekawa. Ileż to razy myślała o tym wspominając swą zagraniczną przyjaciółkę Warieńkę i jej ciężką zależność; ile razy, myśląc o sobie, zastanawiała się, co się z nią stanie, jeśli nie wyjdzie za mąż; ile razy dyskutowała na ten temat z siostrą! Teraz jednak zupełnie ją to nie interesowało. Pomiedzy nią a Lewinem trwała ich własna rozmowa, nie rozmowa, a raczej jakaś tajemna łączność, która z każdą minutą wiązała ich coraz ściślej i wywoływała u obojga uczucie radosnego lęku przed tym czymś nieznanym, do którego wkraczali.

Najpierw Lewin na zapytanie Kitty, w jaki sposób mógł ją w ubiegłym roku widzieć w karecie, opowiedział jej, jak ją spotkał na gościńcu wracając z sianokosu.

— To było wcześniej, raniutko rano. Pani zapewne dopiero się obudziła. Mamon pani spała w swoim kąciku. Ranek był cudowny. Idę sobie i myślę: kto tam jedzie czwórką w karecie? Dobra czwórka z janczarami... I na chwilę pani się ukazała: widzę w oknie, jak pani sobie siedzi — ot tak, i oburącz trzyma wstążki od czepeczka. Pani o czymś strasznie się zamyśliła — opowiadał z uśmiechem. — Tak bym chciał wiedzieć, o czym też pani wtedy myślała. O czymś ważnym?

„Czy tylko nie byłam potargana?” — przeleciało jej przez głowę; lecz widząc uśmiech zachwytu, jaki wspomnienie tych szczegółów u niego wywołało, wyczuła, że przeciwnie, wrażenie, które wywarła, było korzystne. Zarumieniona, roześmiała się radośnie.

— Doprawdy, już nie pamiętam.

— Jak pysznie śmieje się Turowcyn — zauważył Lewin, z upodobaniem patrząc na jego wilgotne oczy i wstrząsane śmiechem ciało.

— Czy pan go dawno zna? — spytała Kitty.

— Któż by go nie znał!

— Widzę, że pan go ma za złego człowieka.

— Nie jest zły, tylko nijaki.

— Właśnie że to nieprawda! Niech pan czym prędzej przestanie tak myśleć! — zawołała Kitty. — I ja również lekceważyłam go, ale to... to przemiły i zdumiewająco dobry człowiek. Ma złote serce.

— W jaki sposób mogła się pani o tym przekonać?

— Jesteśmy w wielkiej przyjaźni. Znam go bardzo dobrze. Zeszłej zimy, wkrótce po tym, kiedy... kiedy pan był u nas — wypowiedziała to z uśmiechem skruszonym, a jednocześnie ufnym — wszystkie dzieci Dolly miały szkarlatynę i tak się zdarzyło,

że Turowcyn zaszedł do niej. I niech pan sobie wyobrazi — powiedziała szeptem — taka go zdjęła nad nią litość, że został i zaczął jej pomagać w pielęgnowaniu dzieci. — Tak... I przez całe trzy tygodnie mieszkał u nich w domu, pielęgnował dzieci jak niańka.

— Opowiadam właśnie Konstantemu Dmitryczowi o Turowcynie podczas szkarlatyny — powiedziała przechylając się w stronę siostry.

— Tak, to nadzwyczajne, urocze! — rzekła Dolly patrząc na Turowcyna, który czuł, że o nim mowa, i uśmiechnęła się do niego łagodnie. Lewin ponownie spojrział na Turowcyna i zdziwił się, że mógł uprzednio nie doceniać całego uroku tego człowieka.

— Przepraszam, przepraszam, już nigdy więcej nie będę źle myślał o ludziach! — obiecał id="filepos1015006"> wesoło i całkiem szczerze, tak bowiem czuł w tej chwili.

Rozpoczęta dyskusja o prawach kobiet nastroczała drażliwe w obecności dam kwestie dotyczące nierówności praw w małżeństwie. W czasie obiadu Piescow parę razy potrącił o te zagadnienia, lecz Koznyszew i Obłoński delikatnie go od nich odwodzili. Kiedy jednak wstano od stołu i damy wyszły, Piescow nie poszedł za nimi, lecz zwrócił się do Karenina i począł wyłuszczać główną przyczynę nierówności. Nierówność małżonków, jego zdaniem, polegała na tym, że niewierność żony i niewierność męża bywają karane w nierówny sposób i przez prawo, i przez opinię publiczną.

Stiepan Arkadjicz z pośpiechem podszedł do Karenina i zaproponował mu papierosa.

— Nie, dziękuję, nie palę — spokojnie odparł Karenin ł jakby chcąc umyślnie okazać, że nie boi się tej rozmowy, zwrócił się z chłodnym uśmiechem do Piescowa:

— Przypuszczam, że podstawy takiego poglądu leżą w samej istocie rzeczy — i chciał przejść do salonu, lecz w tej chwili nagle zagadnął go Turowcyn.

— A czy pan słyszał o Priacznikowie? — zapytał podniecony wypitym szampanem. Od dawna czekał okazji, by przerwać ciężące mu milczenie. — Wasia Priacznikow — z dobrotliwym uśmiechem wilgotnych, czerwonych warg zwrócił się przede wszystkim do głównego gościa, Karenina — opowiadano mi dzisiaj, miał w Twerze pojedynek z Kwyckim i zabił go.

Człowiek ma zawsze wrażenie, że ciągle uraża się jakby umyślnie w bolące miejsce, więc i teraz Obłoński czuł, że jak na złość rozmowa co chwila godziła w bolesny dla Karenina punkt. Znowu chciał odciągnąć szwagra, lecz ten zapytał sam z ciekawością:

— O co bił się Priacznikow?.

— O żonę. Zuch z niego: wyzwiał i zabił.

— Ach tak! — obojętnie rzekł Karenin podnosząc brwi i przeszedł do salonu.

— Jakże się cieszę, żeś przyszedł — z lęklwym uśmiechem powiedziała Doiły spotykając go w przechodnim saloniku. — Muszę z tobą pomówić. Usiądźmy tutaj.

Karenin z' wyrazem obojętności, który nadawały mu uniesione do góry brwi, usiadł obok Dolly i uśmiechnął się z przymusem.

— Tym lepiej — powiedział — właśnie bowiem pragnąłem cię przeprosić i zarazem pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Daria Aleksandrowna była mocno przekonana o niewinności Anny. Czuła, jak blednie i jak wargi jej drżą z gniewu na tego chłodnego, obojętnego człowieka, który z takim spokojem zamierzał wtrącić w nieszczęście jej niewinną przyjaciółkę.

— Aleksy — powiedziała patrząc mu w oczy z desperacką stanowczością. — Pytałam cię o Annę i nie odpowiedziałeś mi. Co się z nią dzieje?

— Zdaje mi się, że jest zdrowa — nie patrząc na Darię Aleksandrownę odrzekł

Karenin.

— Wybacz mi, Aleksy... Nie mam prawa... Ale Kocham i szanuję Annę jak siostrę. Proszę, błagam, powiedz mi, co zaszło między wami? Co jej zarzucasz?

Aleksy Aleksandrowicz ściągnął brwi, zamknął prawie zupełnie oczy i spuścił głowę.

— Sądzę, że mąż ci opowiedział o powodach, dla których uważam za konieczne zmienić mój dotychczasowy stosunek do Anny Arkadiewny — wyrzekł nie patrząc jej w oczy i z niezadowoleniem przyglądając się Szčerbackiemu, który przechodził właśnie przez salon.

— Nie wierzę, nie wierzę, nie mogę temu uwierzyć! — zawołała Dolly z energicznym gestem kościstych dłoni, które trzymała zaciśnięte przed sobą. Szybko wstała i położyła rękę na rękawie Karenina. — Tu nam będą przeszkadzali. Chodźmy tutaj, proszę.

Wzburzenie Dolly podziałało na Aleksego Aleksandrowicza: wstał i posłusznie poszedł za nią do pokoju szkolnego Siedli za stołem pokrytym czarną ceratą pociętą scyzorykami.

— Nie wierzę, nie wierzę! — powtarzała Dolly starając się pochwycić jego unikające jej oczu spojrzenie.

— Nie można nie wierzyć faktom, moja droga — rzekł z naciskiem na słowo: faktom.

— Ale cóż ona takiego zrobiła? — spytała. — Co mianowicie?

— Zlekceważyła swoje obowiązki i zdradziła męża Oto — co uczyniła.

— Nie, nie, to być nie może! Nie, na. miłość boską, omyliłeś się — Dolly dotknęła dłońmi skroni i zamknęła oczy.

Chłodnym uśmiechem samych tylko warg Karenin zamierzał okazać jej i sobie, że jest pewien swego. Jednak ta gorąca obrona, mimo że go nie zachwiała, rozjątrzyła mu ranę. Począł mówić z większym ożywieniem.

— Bardzo trudno o omyłkę, gdy żona sama oznajmia to mężowi. Oświadczając, że osiem lat wspólnego pożycia i syn, że wszystko to jest pomyłką i że pragnie rozpocząć życie od nowa — powiedział ze złości, ciężko oddychając nosem.

— Anna i występki — nie mogę się z tym pogodzić, nie mogę temu uwierzyć.

— Moja droga! — rzekł i spojrzał teraz prosto w pocziwą, wzburzoną twarz Dolly, czując, że mu się język poczyna rozwiązywać. — Dużo bym za to dał, żeby wątpliwość była jeszcze możliwa. Kiedy wątpiłem, było mi ciężko, lżej jednak niż teraz. Kiedy wątpiłem, miałem jeszcze nadzieję; ale teraz nadziei nie ma, a mimo to wątpię dalej we wszystko. Do tego stopnia wątpię, że nienawidzę syna i czasami nie wierzę, że to mój syn. Jestem bardzo nieszczęśliwy.

Nie potrzebował tego mówić. Daria Aleksandrowna zrozumiała to, gdy tylko spojrzał jej w twarz; zrobiło się jej go żal i zachwiała się w niej wiara w niewinność przyjaciółki.

— Ach, to straszne, straszne! Ale czy to prawda, że zdecydowałeś się na

rozwód?

—Zdecydowałem się na krok ostateczny. Już nic" więcej zrobić nie mogę.

— Nic więcej, nic więcej... — powtórzyła ze łzami w oczach. — Nie, nie wolno ci tak mówić!

— To jest właśnie takie okropne w nieszczęściu tego rodzaju, że nie można, jak w każdym innym wypadku — jakiejś straty, czyjejś śmierci — nieść swego krzyża, bo tu trzeba działać — rzekł, jakby odgadując jej myśl — Trzeba wyjść z tej poniżającej sytuacji, w której się człowiek znajduje; nie można być we troje.

— Rozumiem to, dobrze to rozumiem — powiedziała Dolly i spuściła głowę. Zamilkła myśląc o sobie, o swoich rodzinnych frasunkach i nagle energicznym ruchem podniosła głowę i złożyła błagalnie ręce. — Ale poczekaj! Przecież jesteś chrześcijaninem. Pomyśl o niej! Co się z nią stanie, jeśli ją rzucisz?

— Myślałem o tym, wiele myślałem — powiedział. Czerwone plamy wystąpiły mu na twarz, a zmacony wzrok patrzył wprost na nią. Dolly już teraz litowała się nad nim z całej duszy. — Tak właśnie postąpiłem wtenczas, kiedy ona sama oznajmiła mi o mojej hańbie: pozostawiłem wszystko, jak było. Dałem jej możliwość poprawy, starałem się ją ratować. I cóż?! Nie spełniła mego — tak łatwego przecie do spełnienia — żądania, by zachować pozory przyzwoitości — mówił, wzburzony. — Ratować można człowieka, który nie chce ginąć; lecz jeśli ktoś z natury jest tak zepsuty, tak rozpustny, że własna zguba zdaje mu się zbawieniem, to co począć?

— Wszystko, tylko nie rozwód!

— Co znaczy „wszystko“?

— Ach, jakie to przerażające! Będzie wtedy niczyją żoną. Zginie!

— Cóż ja tu poradzę?! — Karenin wzruszył ramionami i podniósł brwi. Wspomnienie ostatniego przestępstwa żony tak go rozdrażniło, że znowu stał się chłodny jak na początku rozmowy. — Dziękuję ci bardzo za współczucie, ale na mnie już czas.

— Nie, zaczekaj! Nie wolno ci jej gubić... Czekał: powiem ci coś o sobie. Wysłałam za mąż i mąż mnie zdradzał: powodowana gniewem i zazdrością, chciałam wszystko rzucić, a sama chciałam... Ale opamiętałam się. A kto mnie wówczas uratował? Anna. I oto żyję, dzieci rosną, mąż wraca do rodziny i czuje, że źle postąpił, staje się czystszy, lepszy... A ja żyję... Przebaczyłam. I ty powinienesz przebaczyć! — Karenin słuchał, lecz słowa jej nie miały już na niego wpływu. W duszy znów mu zawrzała cała wściekłość owego dnia, gdy zdecydował się na rozwód. Otrząsnął się i przemówił ostrym, donośnym głosem:

— Nie mogę i nie chcę przebaczyć. Uważałbym to za niesłuszne. Uczyniłem dla tej kobiety wszystko, a ona wdeptała to wszystko w błoto, które jest jej żywiołem. Nie jestem człowiekiem złym i nikogo nigdy nie nienawidziłem, lecz jej nienawidzę z całej duszy i nie mogę jej; przebaczyć, gdyż jest ---mi zbyt nienawistna za to całe zło jakie mi wyrządziła! — W głosie jego były łzy wściekłości.

— Kochajcie tych, którzy was nienawidzą... — jakby ze wstydem szepnęła Daria Aleksandrowna.

Karenin uśmiechnął się wzgardliwie. Znał to od dawna. ale nie mogło się to stosować do jego wypadku.

— Owszem, kochajcie tych, którzy was nienawidzą, ale kochać tych, których się samemu nienawidzi — niepodobna. Wybaczcie, że was oboje zmartwił. Każdy ma dość własnych bied! — I już zupełnie opanowany, z całym spokojem pożegnał się i odjechał.

XIII

Gdy wstano od stołu, Lewin miał ochotę przejść za Kitty do salonu, obawiał się jednak, czy nie sprawi jej to przykrości, jako nazbyt widoczne asystowanie. Został więc w kółku mężczyzn, biorąc udział w ogólnej rozmowie. Nie patrzył wprawdzie na Kitty, lecz był świadomy jej ruchów, jej spojrzeń i nawet miejsca, gdzie się znajdowała w salonie. Od razu już, i to bez najmniejszego wysiłku, począł spełniać daną jej obietnicę, by zawsze myśleć życzliwie o wszystkich ludziach i zawsze wszystkich lubić. Rozmowa toczyła się dokoła spółnoty, w której Piescow widział jakiś specjalny pierwiastek zwany przezeń „chórowym”. Lewin nie podzielał zdania ani Piescowa, ani swego brata, który — po swojemu — i zgadzał się, i nie zgadzał na specjalne znaczenie rosyjskiej spółnoty. Konstanty nie dyskutował z nimi, lecz starał się w rozmowie pogodzić ich i złagodzić ich sprzeczki. Nie czuł żadnego zainteresowania dla własnych słów, a jeszcze mniej dla wywodów rozmówców i pragnął tylko jednej rzeczy — aby im obu i wszystkim pozostałym było miło i dobrze. Teraz już wiedział, że tylko jedno jedyne jest ważne. I to jedyne zrazu znajdowało się tam, w salonie, a potem jęło się posuwać naprzód i zatrzymało się u drzwi. Nie odwracając się czuł skierowany na siebie wzrok i uśmiech i był zniewolony się obejrzeć. Stała ze Szczerbackim we drzwiach i spoglądała na niego.

— Myślałem, że pani idzie do fortepianu... — rzekł podążając ku niej. — Oto, czego mi na wsi brak — muzyki.

— Nie, przyszliśmy tylko wywołać pana. Dziękuję — tu nagrodziła go uśmiechem jak podarunkiem — że pan podszedł... Że też chce im się spierać! Przecie nikt nigdy drugiego nie przekona.

— Tak, to prawda — zgodził się Lewin. — przeważnie tak bywa, że człowiek spiera się gorąco tylko dlatego, że nie może całkowicie zrozumieć, czego właściwie chce dowieść przeciwnik.

Lewin często zauważał w czasie dyskusji pomiędzy najinteligentniejszymi nawet ludźmi, że po ogromnych wysiłkach, po użyciu olbrzymiej ilości słów i logicznych subtelnostek — spierający się dochodzili wreszcie do wniosku, że to, czego ze wszystkich sił starali się sobie wzajemnie dowieść, od dawien dawna, od samego początku sporu, było im wiadome. Ponieważ jednak każdy z nich do czego innego był przywiązany, żaden nie chciał wymienić tego, co mu było drogie, obawiając się, by to właśnie nie stało się przedmiotem sporu. Lewin często doświadczał, że czasami w toku dyskusji odgadywało się to coś, co przeciwnik kochał, wtedy sam człowiek nagle nabierał również do tego serca, od razu dochodziło do zgody i wszystkie argumenty, jako niepotrzebne, odpadały.. Kiedy indziej zaś doświadczenie było odwrotne: sam człowiek zdradzał się z tym, co mu było drogie i co było powodem, że wynajdywał te wszystkie argumenty — i jeśli udało mu się to wypowiedzieć dobrze i szczerze, to przeciwnik nagle składał broń i zaprzestawał sporu. To właśnie chciał Lewin . teraz powiedzieć Kitty.

Zmarszczyła czoło starając się zrozumieć, zaledwie jednak zaczął objaśniać, już

pojęła:

— Rozumiem: trzeba się dowiedzieć, w imię czego właściwie tamten dyskutuje, co on kocha, wtedy można...

Odgadła w zupełności i wyraziła myśl przez niego samego wyrażoną źle. Lewin uśmiechnął się radośnie: tak uderzające było dla niego przejście od zagmatwanego, rozwlekłego sporu z Piescowem i bratem do tego lakonicznego i jasnego wypowiedzenia, prawie bez słów, najbardziej złożonych myśli..

Szczerbacki ich opuścił, Kitty podeszła do rozstawionego stolika do kart, usiadła i wzięwszy do ręki kredkę poczęła nią kreślić na nowym zielonym suknie rozbieżne koła.

Podjęli znów rozmowę zaczęłą przy obiedzie: o swobodzie i o zajęciach kobiet. Lewin zgadzał się z opinią Darii Aleksandrowny, że dziewczyna, która nie wyszła za mąż, winna znaleźć odpowiednie dla kobiety zajęcie w rodzinie. Jako argument przytaczał, że żadna rodzina nie może się obejść bez pomocnicy, że w każdej biednej czy bogatej rodzinie są i muszą być niańki — najemnice lub krewne.

— Nie — rzekła Kitty rumieniąc się, lecz tym odważniej spoglądając na niego swymi szczerymi oczyma — dziewczyna może być w takiej sytuacji, że nie można bez poniżenia wejść do rodziny, lecz musi sama...

Zrozumiał ją od pierwszego słowa.

— O tak! Tak! — potwierdził

- Tak, tak, tak, pani ma rację, pani ma rację!

I zrozumiał obecnie wszystko, czego w czasie obiadu dowodził Piescow o wolności kobiet, tylko dlatego, że dojrzał w sercu Kitty lęk przed staropanieństwem i poniżeniem, i — kochając ją. — odczuł ten lęk i to poniżenie, więc od razu wyrzekł się swych argumentów.

Nastało milczenie. Kitty wciąż rysowała kredą na stole; oczy jej jaśniały łagodnym blaskiem. Poddając się jej nastrojowi czuł w całym swym jestestwie rosnący napór szczęścia.

— Ach! zarysowałam cały stół! — powiedziała i położywszy kredę uczyniła ruch, jakby chciała wstać.

„Jakże będę mógł pozostać sam bez niej?" — pomyślał ze zgrozą i chwycił kredę. — Niech pani zaczeka — powiedział siadając przy stole. — Już dawno chciałem panią o coś zapytać.

Patrzył jej prosto w przyjazne, lecz zalęknione oczy..

— Proszę, niech pan pyta.

— A więc — i napisał początkowe litery: k. p. m. o. t. b. n. m. c. t. z. n. c. w. ? Litery owe miały znaczyć: „Kiedy pani mi odpowiedziała: to być nie może, czy to znaczyło — nigdy, czy wtedy?" Nie było żadnego "prawdopodobieństwa, by Kitty mogła odgadnąć to skomplikowane zdanie; Lewki wszakże spojrział na nią tak, jakby życie jego zależało od tego, czy ona te słowa zrozumie.

Popatrzyła na niego z powagą, po czym w zamyśleniu oparła czoło na rękę i

zaczęła czytać. Z rzadka spoglądała na Lewina pytając go spojrzeniem: „Czy to znaczy to, co ja myślę?”

— Zrozumiałam — rzekła wreszcie, zarumieniona.

— Co to za słowo — spytał wskazując na „n”, które oznaczało słowo nigdy.

— To słowo oznacza nigdy — odrzekła — ale to nieprawda.

Szybko startł to, co było napisane, podał jej kredę i wstał. Napisała: w. j. n. m. i. o.

Dolly pocieszyła się całkowicie po zmartwieniu, jakie jej sprawiła rozmowa z Aleksym Aleksandrowiczem, gdy ujrzała tych dwoje: Kitty, z kredą w ręku i nieśmiałym uśmiechem szczęścia, podnoszącą oczy ku Lewinowi, oraz jego dorodną postać schyloną nad stołem i płonące oczy wpatrzone to w stół, to w Kitty. Nagle rozpromienił się: zrozumiał. To znaczyło: „Wówczas ja nie mogłam” inaczej odpowiedzieć.” Spojrzał na nią pytająco, nieśmiało.

— Tylko wówczas?

— Tak — odpowiedział jej uśmiech.

— A t... teraz? — zapytał.

— No więc, niech pan czyta. Powiem, czego bym pragnęła. Czego bym bardzo pragnęła! — Napisała początkowe litery: ż. p. m.. z. i. p. t. c. b. To znaczyło: „Żeby pan mógł zapomnieć i przebaczyć to, co było.”

Sztywnymi z emocji drżącymi palcami chwycił kredę i łamiąc ją napisał początkowe litery następującego zdania: „Nie mam nic do zapomnienia i przebaczenia; nigdy nie przestałem pani kochać.”

Spojrzała na niego nie przestając się uśmiechać.

— Zrozumiałam — rzekła szeptem.

Usiadł i napisał długie zdanie. Zrozumiała wszystko i nie pytając: czy tak? wzięła kredę i natychmiast odpowiedziała.

Lewin długo nie mógł zrozumieć tego, co napisała, i coraz to zaglądał jej w oczy. Ze szczęścia ogarnęło go jakieś zamroczenie. Nie mógł absolutnie odcyfrować słów, które Kitty miała na myśli, ale ze ślicznych jej oczu, jaśniejących rozradowaniem, pojął wszystko, o co mu chodziło. Napisał trzy litery, ale jeszcze nie skończył pisać, gdy je. już w ślad za jego ręką przeczytała i napisała w odpowiedzi: tak.

— Czy gracie w sekretarza? — zapytał stary ksiązę podchodząc do nich. — No, ale jedźmy, jeśli chcesz zdążyć do teatru.

Lewin wstał i odprowadził Kitty do drzwi. W tej rozmowie powiedzieli sobie wszystko: że ona go kocha i że zapowie ojcu i matce jego wizytę na jutro rano.

XIV

Kitty odjechała i Lewin pozostał sam, poczuł bez niej tak straszliwy niepokój i taką tęsknotę, by dożyć czym prędzej następnego ranka, gdy miał ją ujrzeć znowu i na zawsze się z nią połączyć — że przeraził się jak śmierci tych czternastu godzin, które trzeba było przepędzić bez niej. Czuł potrzebę przebywania i rozmawiania z kimkolwiek, byleby nie pozostawać w samotności, byle jakoś oszukać czas. Najprzyjemniejszym rozmówcą byłby dlań Obłoński, który jednak, jak uprzednio wspominał, wybierał się na przyjęcie, w rzeczywistości zaś na balet. Lewin zaledwie zdążył mu powiedzieć, że jest szczęśliwy, że kocha go i nigdy nie zapomni mu tej przysługi. Spojrzenie i uśmiech Obłońskiego dowiodły mu, że ten rozumiał jego uczucie, jak należało.

— I cóż, teraz już nie czas na śmierć? — powiedział ściskając mu rękę z rozrzewnieniem.

— Nnniee — zgodził się Lewin.

Daria Aleksandrowna, żegnając go, też jakby mu wieszowała mówiąc:

— Jakże się cieszę, żeście się znów z Kitty spotkali; należy dbać o starą przyjaźń.

Słowa te wszakże nie podobały się Lewinowi. Daria Aleksandrowna, jego zdaniem, nie była w stanie pojąć, jakie to wszystko było podniosłe i dla niej niedostępne. Nie powinna była pozwolić sobie na tę pobieżną wzmiankę. Lewin pożegnał się z Obłońskimi, lecz aby nie pozostać sam, uczeplił się brata.

— Dokąd jedziesz?

— Na posiedzenie.

— To i ja z tobą. Czy można?

— Czemuż by nie? Pojedziemy razem.— uśmiechnął się Sergiusz. — Co się dziś z tobą dzieje?

— Co się ze mną dzieje? Szczęście jest ze mną! — odrzekł Lewin spuszcżając szybko karety, w której jechali. — Nic nie masz przeciwko temu? Bo duszno. Szczęście jest ze mną! Dlaczegoś ty się nigdy nie ożenił?

Sergiusz Iwanowicz uśmiechnął się.

— Bardzo się cieszę, zdaje się, że to dobra dziew... — zaczął.

— Nic nie mów, nic nie mów, nie mów! — krzyknął Lewin chwytając brata oburącz za kołnierz u futra i mocniej je zaciskając. „Dobra dziewczyna” to były takie pospolite, banalne słowa, nie licujące zupełnie z jego uczuciem.

Sergiusz Iwanowicz roześmiał się nader rzadkim u niego śmiechem — naprawdę wesołym.

— No, ale wolno mi przecież powiedzieć, że jestem z tego rad?

— To ci wolno jutro, jutro, ale nic więcej! Nic, nic... Teraz milcz! — rzekł Lewin i znów ciaśniej zatulając na bracie futro dodał: — Bardzo cię lubię! I cóż, czy wolno

mi być na posiedzeniu?

— Oczywiście, że tak.

— O czym będziecie dziś mówili? — wypytywał Lewin nie przestając się uśmiechać.

Przyjechali na posiedzenie. Lewin wysłuchał, jak sekretarz jękając się przeczytał protokół, którego najwidoczniej sam nie rozumiał; Lewin wszakże poznał po jego twarzy, jaki z tego sekretarza był sympatyczny, dobry i zacny człowiek. Widać to było ze zmieszania i zakłopotania, z jakim czytał ów protokół. Potem zaczęły się przemówienia. Spierano się o skreślenie jakichś sum oraz o przeprowadzenie jakichś rur, przy czym Koznyszew dał się boleśnie we znaki dwóm członkom i przemawiał o czymś długo i zwycięsko. Inny z członków natomiast, który coś zanotował na papierku, zrazu był onieśmielony, ale później odpowiedział Koznyszewowi bardzo uprzejmie, choć zjadliwie. Wreszcie Swiażski (który też tam był) również się wypowiedział, i to tak pięknie i szlachetnie! Lewin słuchał ich i widział wyraźnie, że właściwie nie było ani tych skreślonych sum, ani rur, ani w ogóle nic w tym rodzaju i że wszyscy oni wcale się nie złościли, tylko że byli to tacy przemili, zacni ludzie i wszystko pomiędzy nimi odbywało się tak pięknie i sympatycznie. Nikt nikomu nie wchodził w drogę i wszystkim było przyjemnie. Dla Lewina jedna rzecz była godna uwagi: oto dnia tego wszyscy oni byli dla niego całkiem przezroczyści, a on z drobnych, dawniej niedostrzegalnych oznak rozpoznawał duszę każdego — i widział jasno, że wszyscy byli dobrzy. A zwłaszcza wszyscy oni lubili Lewina tego dnia. Widać to było ze sposobu, w jaki z nim rozmawiali, jak serdecznie, z jaką miłością nań patrzyli — ci nawet, którzy go nie znali.

— No i cóż? Kontent jesteś? — zapytał go brat.

— Bardzo. Pojęcia nie miałem, że to takie interesujące! Świetnie, znakomicie!

Swiażski zbliżył się do Lewina i zaprosił go do siebie na herbatę. Lewin w żaden sposób nie mógł zrozumieć ani sobie przypomnieć, co mu się kiedyś w Swiażskim nie podobało, czego właściwie od niego chciał. Przecie to był rozumny i zdumiewająco dobry człowiek. — Bardzo chętnie — odrzekł i zapytał go o żonę i szwagierkę. I na mocy dziwnego skojarzenia myśli, ponieważ w- jego wyobraźni wspomnienie o szwagierce Swiażskiego wiązało się z małżeństwem, wydało mu się, że nie może być właściwszego audytorium dla opowieści o jego szczęściu niż pani Swiażska i jej siostra; był więc . bardzo rad z zaproszenia.

Swiażski rozpytywał go o jego dzieło nowatorskie na wsi i jak zwykle nie przypuszczał, by można było wynaleźć coś nie wynalezionego w Europie, ale. tym razem nie sprawiało to bynajmniej Lewinowi przykrości. Przeciwnie, czuł, iż Swiażski ma rację, że cała ta sprawa jest nieważna, i oceniał zadziwiającą miękkość i delikatność, z jaką ten unikał podkreślania swej słuszności. Panie Swiażskiego były niezwykle jakoś miłe. Lewinowi zdawało się, że one już- o wszystkim wiedzą i cieszą się z nim razem, ale że przez delikatność tego nie mówią.. Przesiedział u nich godzinę, drugą, trzecią, rozmawiając na najróżnorodniejsze tematy, ale mając na myśli tylko to jedno, napełniające mu duszę, i nie spostrzegając się, że mieli go

straszliwie dosyć i że od dawna chcieli iść spać. Swiażski, odprowadzając go do przedpokoju, ziewał i dziwił się, co za szczególny nastrój opanował tego dnia jego przyjaciela. Było po pierwszej. Lewin wrócił do hotelu i przeraził się na myśl, jak zdoła spędzić sam jeden, oddany na pastwę własnej niecierpliwości, pozostałe jeszcze dziesięć godzin. Dyżurny lokaj, który nie spał, zapalił świecę i chciał odejść, Lewin go jednak zatrzymał.. Ów lokaj, imieniem Jegor, na którego Lewin przedtem nie zwracał uwagi, był, jak się okazało, bardzo rozumnym i zacnym, a zwłaszcza poczciwym człowiekiem.

— Cóż, Jegor, czy to trudno tak całą noc nie spać?

— Cóż robić! Taka nasza służba. U państwa jest spokojniej, ale za to tutaj zarobek jest większy.

Okazało się, że Jegor ma rodzinę: trzech chłopczyków i córkę szwaczkę, którą chce wydać za subiekta w sklepie siodlarskim.

Przy tej okazji Lewin podzielił się z Jegorem myślą, że główna rzecz w małżeństwie to miłość i że z miłością będzie się zawsze szczęśliwym, ponieważ szczęście leży tylko w nas samych.

Jegor wysłuchał uważnie i zdawałoby się — w zupełności zrozumiał myśl Lewina, lecz na jej poparcie zrobił nieoczekiwaną uwagę, że kiedy służył u dobrych państwa, to zawsze bywał z nich zadowolony, a i teraz jest zupełnie zadowolony ze swego gospodarza, mimo że to Francuz.

„Co za zdumiewająco poczciwy człowiek" — myślał Lewin.

— No, a ty sam, Jegor, kochałeś żonę, kiedyś się z nią żenił?

— Dlaczego miałbym nie kochać — odparł Jegor.

I Lewin spostrzegł, że Jegor jest także w nastroju ekstatycznym i że zamierza wyznać wszystkie swe najskrytsze uczucia.

— Życie moje również jest niezwykle. Już od maleńkości...— rozpoczął z błyszczącymi oczyma. Najwidoczniej udzieliło mu się uniesienie Lewina, podobnie jak się ludziom udziela skłonność do ziewania. W tej chwili wszakże ktoś zadzwonił; Jegor wyszedł i Lewin pozostał sam. Na obiedzie u Obłońskich nic prawie nie jadł, odmówił herbaty i kolacji u Swiażskich, a mimo to nie mógł znieść myśli o kolacji. Ubiegłej nocy nie spał, ale i o śnie również nie mógł nawet marzyć. W pokoju było chłodnawo, Lewin "jednak dusił się z gorąca. Otworzył oba lufciki i usiadł za stołem naprzeciw okna. Spoza pokrytego śniegiem dachu widać było rzeźbiony we wzory krzyż z jego łańcuchami, a ponad nim wschodzący trójkąt gwiazdozbioru Woźnicy, z jaskrawo żółtą Kapellą. Spoglądał na krzyż, to na gwiazdę, wciągał w siebie napływające równomiernie do pokoju świeże, mroźne powietrze i jak we śnie wpatrywał się w obrazy i wspomnienia powstające w wyobraźni. Po trzeciej usłyszał na korytarzu kroki i wyjrzał przez drzwi. To znajomy, gracz Miaskin, powracał z klubu. Szedł, posępnie nasrożony i kaszlący. „Biedny, nieszczęsny!" — pomyślał Lewin i aż łzy mu się zakręciły w oczach z miłości i współczucia dla tego człowieka. Chciał z nim pogadać, pocieszyć go; ale spostrzegłszy się, że jest w jednej koszuli, rozmyślił się i znów usiadł przy lufciku, by się kąpać w zimnym powietrzu i

spoglądać na ów milczący, pełen dla niego znaczenia krzyż o cudownym kształcie i na wznoszącą się coraz wyżej jaskrawo żółtą gwiazdę. Po godzinie szóstej poczęli hałasować froterzy, rozległy się dzwony na jakieś nabożeństwo i Lewin poczuł, że marznie. Zamknął lufcik, umył się, ubrał i wyszedł na ulicę.

Na ulicach było jeszcze pusto. Lewin poszedł ku domowi Szczerbackich. Drzwi frontowe były zamknięte i wszystko spało. Wrócił do hotelu, wszedł do numeru i zażądał kawy. Przyniósł mu ją dzienny lokaj, już nie Jegor. Lewin chciał się z nim wdać w rozmowę, lecz ktoś zadzwonił na lokaja i ten wyszedł. Lewin spróbował wypić trochę kawy i włożył do ust kawałek rogała, lecz usta jego stanowczo nie wiedziały, co począć z tym rogalem. Wypluł go, włożył palto i znów wyszedł, aby się przejść. Było po dziewiątej, kiedy po raz drugi zjawił się pod gankiem Szczerbackich. W domu ledwo zaczęto wstawać i kucharz szedł właśnie po zakupy. Trzeba było przeżyć jeszcze co najmniej dwie godziny.

Przez całą ową noc i rano Lewin żył zupełnie nieświadomie i czuł się całkowicie oderwany od warunków materialnego bytu. Przez cały dzień nie jadł, dwie noce nie spał, spędził rozebrany kilka godzin na mrozie, a czuł się nie tylko wypoczęty i zdrów jak nigdy, lecz zupełnie niezależny od ciała: poruszał się bez wysiłku mięśni i czuł, że wszystkiego może dokazać. Był pewien, że mógłby w razie potrzeby wznieść się i ulecieć albo zepchnąć z miejsca węgiel domu. Resztę czasu przespacerował po ulicach, wciąż patrząc na zegarek i rozglądając się na wszystkie strony;

Nigdy już później nie widział tego, co wówczas danym mu było zobaczyć. Zwłaszcza wzruszyły go idące do szkoły dzieci, siwe gołębie sfruwające z dachu na chodnik i pszenne chlebki posypane mąką, które powystawiała niewidzialna ręka. Te chlebki, te gołębie i ci dwaj mali chłopcy — to były istoty nieziemskie... Wszystko stało się jednocześnie: chłopczyk podbiegł do gołębia i z uśmiechem spojrzał na Lewina; gołąb zafurkotał skrzydełkami i odfrunął świecąc w słońcu wśród drżących w powietrzu śniegowych pyłków, a z okna wionęło zapachem pieczonego chleba i wysunęły się na zewnątrz małe bochenki. To wszystko było tak niezwykle piękne, że Lewin roześmiał się i zapłakał z radości. Wykonawszy wielki krąg przez Gazietny Zaułek i Kiszówkę wrócił znów do hotelu, położył przed sobą zegarek i usiadł, by oczekiwać godziny dwunastej. W sąsiednim numerze mówiono coś o maszynach i oszustwie; rozległ się poranny kaszel. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że strzałka zegara zbliża się już do godziny dwunastej. Strzałka doszła do mety. Lewin wyszedł na ganek. Dorożkarze najwidoczniej wszystko już wiedzieli. Kłócąc się między sobą i ofiarowując swoje usługi otoczyli Lewina z uszczęśliwionymi minami. Starając się nie urazić innych dorożkarzy i obiecując im, że i z nimi także pojedzie, Lewin najął jednego z nich i kazał jechać do Szczerbackich. Dorożkarz był czarujący w wywiniętym spod kaftana obcisłym białym kołnierzu od koszuli na grubej, czerwonej, mocnej szyi. Sanie miał wysokie, zgrabne, takie, jakimi Lewin już później nigdy nie jeździł, a i koń był dobry, i starał się wprowadzić biec, lecz właściwie nie ruszał się z miejsca. Dorożkarz znał dom Szczerbackich, na znak specjalnego szacunku dla pasażera okrążył gestem uniósł łokcie, powiedział: „prr!”, i osadził konia na dojeździe. Szwajcar Szczerbackich na pewno wiedział o wszystkim: widać to było po jego

uśmiechniętych oczach i po sposobie, w jaki przywitał Lewina.

— Ale dawno jaśnie pana nie było!

Nie tylko, że wszystko wiedział, ale widać było, że nie posiada się z uciechy i robi wysiłki, by ukryć tę radość. Lewin, spojrzawszy w jego miłe starcze oczy, odkrył w swym szczęściu jeszcze coś nowego.

— Czy państwo już wstali?

— Jaśnie pan pozwoli! A to proszę tutaj zostawić — rzekł z uśmiechem, gdy Lewin zawrócił z drogi, by wziąć czapkę. To musiało mieć jakieś znaczenie.

— Komu mam zaanonsować? — spytał lokaj. Lokaj, młody i nowoczesny, istny frant, był jednak dobrym, poczciwym człowiekiem i również wszystko rozumiał.

— Księżnej pani... Księciu panu... Księżniczce... — odrzekł Lewin.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, była m-lle Linon. Przechodziła przez salę: i loczki, i twarz jej promieniały. Za ledwie zamienił z nią kilka słów; gdy nagle za drzwiami zaszeleściła suknia, m-lle Linon znikła z oczu Lewina, jemu zaś udzielił się radosny lęk przed bliskością szczęścia. Spłoszona Francuzka, zostawiając go samego, wyszła innymi drzwiami. Ledwo zdążyła wyjść, a już szybkie, szybkie leciutkie kroki zastukały po parkiecie i jego szczęście, jego życie, on sam (ale lepszy niż on sam), to, czego tak długo szukał i tak długo pragnął, szybko, szybko zbliżało się do niego. Nie szła, lecz sunęła ku niemu niesiona jakąś niewidzialną siłą.

Widział tylko jej jasne szczere oczy, przestraszone rozradowaniem, jakie niesie ze sobą miłość, rozradowaniem, którego i on był pełen. Oczy te jaśniały coraz bliżej i bliżej, oślepiając go miłosnym światłem. Zatrzymała się tuż przy nim, dotykając go; ręce jej uniosły się i spoczęły na jego ramionach.

Uczyniła wszystko, co mogła: podbiegła do niego i podarowała mu się całą, onieśmielona i radosna. Objął ją i przycisnął wargi do jej ust szukających jego pocałunku.

I ona również całą noc nie spała i czekała na niego przez cały ranek. Matka i ojciec zgodzili się bez sprzeciwu i byli uszczęśliwieni jej szczęściem. Oczekiwała go. Chciała pierwsza oznajmić mu o jego i swoim szczęściu. Przygotowywała się do spotkania z nim i sama nie wiedziała, co uczyni. Posłyszała jego kroki i głos i czekała za drzwiami, aż m-lle Linon wyjdzie. M-lle Linon wyszła. Nie myśląc, nie zadając sobie pytania — co i jak — podeszła do niego i uczyniła to właśnie, co uczyniła.

— Chodźmy do mamy! — powiedziała biorąc go za rękę. Lewin długo nic nie mógł powiedzieć, nie tyle dlatego, że obawiał się zepsuć słowem podniosłość swych, uczuć, ale raczej dlatego, że ilekroć chciał coś rzec, czuł, że mu zamiast słów popłyną łzy radości. Wziął jej rękę i pocałował.

— Czy to może być prawda? — głos jego był bezdźwięczny. — Nie mogę uwierzyć, że mnie kochasz!

Uśmiechnęła się na słowo „ty” i nad nieśmiałością, z jaką spojrzał na nią.

— Tak! — wyrzekła powoli, z przekonaniem. — Taka jestem szczęśliwa.

Nie puszcżając jego ręki przeszła do salonu. Księżna na ich widok poczęła szybko dyszeć, potem wnet rozplakała się i zaraz znów roześmiała, wreszcie podbiegła do nich krokiem tak energicznym, jakiego się Lewin po niej nie spodziewał, i objąwszy jego głowę pocałowała go, zwilżając mu policzki łzami.

— A więc wszystko skończone! Cieszę się. Kochaj ją!... Cieszę się... Kitty!

— Prędkoście to załatwili! — rzeki stary książę usiłując pozostać obojętnym; Lewin jednak zauważył, że gdy zwrócił się ku niemu, oczy miał wilgotne.

— Od dawna, zawsze pragnąłem tego! — wziął rękę Lewina i przyciągnął go ku sobie. — Jeszcze wtedy, kiedy tej zbytnicy strzeliło do głowy...

— Papo! — krzyknęła Kitty i zasłoniła mu usta dłońmi,

— Już nie będę! — obiecywał. — Bardzo, bardzo... się cie... Ach, jakież ze mnie głupiec!...

Objął Kitty, ucałował jej twarz, rękę, znowu twarz i przeżegnał ją znakiem krzyża.

Lewina ogarnęło nowe uczucie miłości do tego dotychczas obcego człowieka, gdy patrzył, jak Kitty długo i z czułością całowała mięsistą rękę starego księcia.

Księżna siedziała w fotelu i uśmiechała się w milczeniu, ksiązę usiadł przy niej. Kitty stała obok fotela ojca. Wszyscy milczeli.

Księżna pierwsza wszystko ujęła w słowa i niejako przełożyła wszystkie myśli i uczucia na język zagadnień życiowych. I w pierwszej chwili wydało się to wszystkim jednakowo dziwaczne, a nawet bolesne.

— Więc kiedy? Trzeba pobłogosławić i ogłosić. A kiedy ślub? Jak myślisz, Alexaridre?

— Oto, kto decyduje — odparł stary ksiązę wskazując na Lewina — on tu jest główną osobą.

— Kiedy?... — zaczerwienił się Lewin. — Jutro. Jeśli mnie państwo pytacie, to, moim zdaniem, dzisiaj niech będzie błogosławieństwo, a jutro ślub.

— Daj pokój, mon cher, co za głupstwa!

— No więc za tydzień.

— Wariat!

— Ależ dlaczego?

— Zmiłuj się! — radośnie uśmiechnęła się z tego pośpiechu matka. — A wyprawa?

„Czyż doprawdy będzie i wyprawa, i to wszystko? — przeraził się Lewin. — A zresztą, czy może wyprawa i błogosławieństwo, i to wszystko — czy to może zepsuć moje szczęście? Nic go zepsuć nie może.!” Spojrzał na Kitty i zauważył, że jej myśl o wyprawie wcale, ale to wcale nie uraziła... „To jest widocznie potrzebne” — pomyślał.

— Ja przecież na niczym się nie znam, wypowiedziałem tylko, czego bym pragnął — tłumaczył się.

— A więc my zadecydujemy. Obecnie można pobłogosławić i ogłosić.

Księżna podeszła do męża, pocałowała go i chciała odejść, lecz ten ją przytrzymał, objął i czule, jak zakochany młodzieniec, kilka razy ucałował z uśmiechem. Starzy najwidoczniej stracili na chwilę orientację i nie wiedzieli dobrze, czy to oni sami są znowu zakochani, czy tylko ich córka. Gdy ksiązę z księżną wyszli, Lewin podszedł do narzeczonej i wziął ją za rękę. Już teraz panował nad sobą i mógł mówić, a miał jej wiele do powiedzenia. Powiedział jednak nie to, co było potrzeba.

— Dobrze wiedziałem, że tak właśnie będzie! Nigdy nie miałem nadziei, ale w duszy zawsze była ta pewność — rzekł. — Wierzę, że to przeznaczenie.

— A cóż dopiero ja! — rzekła.. — Nawet wtedy... — zatrzymała się, lecz zaraz ciągnęła dalej, patrząc nań odważnie swymi prawdomównymi oczyma — nawet wtedy, kiedy odepchnęłam od siebie moje szczęście. Kochałam zawsze tylko pana, ale straciłam głowę. Muszę to powiedzieć... Czy może pan o tym zapomnieć!?

— Może to nawet i lepiej. I mnie pani musi wybaczyć. Muszę pani powiedzieć...

Chodziło o jedno z dwóch wyznań, które miał zamiar jej uczynić. Postanowił zaraz pierwszego dnia powiedzieć jej dwie rzeczy — to, że nie jest tak czysty jak ona, a po drugie, że jest niewierzący. Było to bolesne, lecz uważał, że należy wyznać i jedno, i drugie.

— Nie, nie teraz, później! — zdecydował.

— Dobrze, później, ale nich pan koniecznie powie. Niczego się nie boję. Muszę wszystko wiedzieć. Teraz już koniec.

Lewin dopowiedział:

— Koniec jest taki, że pani mnie weźmie, jakikolwiek bym był? Nie wyrzeknie się mnie pani? Czy tak?

— Tak.

Rozmowę ich przerwała m-lle Linon, która choć z pewnym przymusem, lecz czule uśmiechnięta, przyszła wieszować swej ukochanej wychowawicy. Nim odeszła, już zjawiała się z życzeniami służba. Potem przyjechali krewni i zaczął się ten rajski chaos, z którego Lewin miał się wynurzyć dopiero nazajutrz po ślubie. Czuł się ustawicznie nieswój, nudził się, lecz natężenie szczęścia narastało z coraz większą mocą. Stale odczuwał, że żądają od niego wielu rzeczy, których nie umiał, robił jednak wszystko, co mu powiedziano, i wszystko go uszczęśliwiała. Myślał, że jego konkury nie będą podobne do żadnych innych, że okoliczności zwykle towarzyszące narzeczeństwu zepsują jego całkiem specjalne szczęście, ale skończyło się na tym, że robił to, co wszyscy, a szczęście jego od tego rośnie coraz, bardziej i stawało się coraz, bardziej osobliwe, nie mające ani w przeszłości, ani w przyszłości nic sobie równego.

— Teraz zjedzmy cukierków — mówiła m-lle Linon i Lewin jechał kupować cukierki.

— Bardzo się cieszę — rzekł Swiażski. — Bukiety radzę ci brać u Fomina.

— Co? Bukiety? — i Lewin jechał do Fomina.

Brat mówił mu, że powinien zaciągnąć pożyczkę, ponieważ będzie miał duże wydatki na prezenty...

— To potrzebne są prezenty? — I pędził do Fuldy.

I u cukiernika, i u Fomina, i u Fuldy spostrzegął, że go oczekiwano, że są mu radzi i że celebrowają jego szczęście tak jak wszyscy, z którymi w owym czasie miał do czynienia. Niezwykłe było to, że nie tylko go lubiono, lecz że wszyscy przedtem niesympatyczni, zimni, obojętni ludzie byli nim zachwyceni, ustępowali mu we wszystkim, obchodzili się z jego uczuciem z czułością i delikatnością i dzielili z nim przekonanie, iż jest najszczęśliwszym, w świecie człowiekiem, ponieważ, narzeczona jego jest szczytem doskonałości. To samo czuła i Kitty. Gdy pani Nordston pozwoliła sobie napomknąć, że byłaby pragnęła dla niej czegoś lepszego, Kitty tak się uniosła i tak przekonywająco dowiodła, że nie może być w świecie nic lepszego od Lewina, że przyjaciółka musiała to uznać i nigdy więcej w obecności Kitty nie witała Lewina inaczej jak z uśmiechem zachwyty.

Jedynym smutnym przeżyciem w owym okresie było wyznanie, które zapowiadał narzeczonej. Poradził się starego księcia i otrzymał jego zezwolenie na oddanie jej swego pamiętnika, gdzie to, co go męczyło, było napisane. Pisał w swoim czasie te pamiętniki z myślą o przyszłej narzeczonej. Dręczyły go dwie rzeczy: utrata niewinności i brak wiary. Jego przyznanie się do niewiary przeszło bez wrażenia. Kitty była religijna, nigdy nie miała wątpliwości co do zasad wiary, mimo to jego zewnętrzna niereligijność zupełnie jej nie obeszła. Kochając go, znała całą jego duszę i widziała w niej to, czego pragnęła; było jej obojętne, że taki stan duszy nazywa się niewiarą.

Drugie wyznanie wszelako wycisnęło jej gorzkie łyż.

Lewin oddał jej swój dziennik po pewnej walce wewnętrznej. Wiedział, że między nimi nie powinno być tajemnic, i dlatego postanowił, że tak należy uczynić; lecz nie zdał sobie sprawy, jak to może na nią podziałać, nie postawił się na jej miejscu. Dopiero kiedy tego wieczora przyjechał do nich przed teatrem, wszedł do jej pokoju i zobaczył zapłakaną, zasmuconą twarzyczkę, tak żalowaną na skutek zmartwienia, którego on był przyczyną i którego naprawić się nie dało — zrozumiał tę przepaść, która dzieliła jego haniebną przeszłość od jej głębokiej czystości, i przeraził się tym, co uczynił.

— Niech pan zabierze, niech pan zabierze te okropności! — zawołała odpychając leżące przed nią na stole zeszyty. — Po co mi pan je dał!... Ach, nie, to lepiej mimo wszystko — dodała litując się nad jego zdesperowaną miną. — Ale to straszne, straszne!

Spuścił w milczeniu głowę. Nic nie miał do powiedzenia.

— Pani mi nie przebaczy — wyszeptał.

— Ach nie, już przebaczyłam, ale to okropne!

Mimo to szczęście jego było tak wielkie, że wyznanie to nie nadwerężyło go, tylko nadało mu nowy odcień. Przebaczyła mu; ale od tej chwili uważał się za jeszcze bardziej niegodnego jej, jeszcze głębiej korzył się przed nią moralnie i jeszcze wyżej cenił swoje niezasłużone szczęście.

Aleksy Aleksandrowicz wracał do swego samotnego numeru hotelowego snując machinalnie w pamięci wrażenia rozmów prowadzonych w czasie obiadu i później. Słowa księżnej Darii o przebaczeniu wzbudziły w nim tylko niechęć. Zastosowanie lub niezastosowanie chrześcijańskiego nakazu we własnym wypadku było zagadnieniem nazbyt trudnym, o którym nie można było mówić mimochodem; zresztą zagadnienie to było dawno rozwiązane przez Karenina w sposób negatywny. Ze wszystkiego, o czym mówiono, najsilniej podziały na jego wyobraźnię słowa głupiego, pocziwego Turowcyna: postąpił jak zuch; wyzwał na pojedynek i zabił. Wszyscy najwidoczniej to pochwalali, chociaż byli zbyt taktowni, by się wypowiadać.

„Zresztą ta sprawa jest już skończona, nie ma nad czym rozmyślać” — rzekł sobie w duchu Karenin. Zajęty wyłącznie mającym nastąpić wyjazdem oraz inspekcją, wszedł do numeru i zapytał towarzyszącego mu portiera o swego lokaja; portier poinformował go, że ten właśnie wyszedł.. Karenin kazał podać sobie herbatę, usiadł przy stole i wzięwszy do ręki przewodnik kolejowy Fruma począł układać marszrutę podróży.

— Oto dwie depesze — powiedział wchodząc do pokoju służący. — Przepraszam waszą ekscelencję, przed chwilą dopiero wyszedłem.

Karenin wziął depesze i rozerwał je. Pierwsza zawierała wiadomość o nominacji Striemowa na stanowisko, którego sobie życzył Karenin. Rzucił depeszę, zaczerwienił się i ją przechadzać się po pokoju. „Quos vult per dere, dementat” — wyrzekł mając na myśli pod „quos” osobistości, które spowodowały tę nominację. Nie gniewało go to, że nie on sam dostał to stanowisko, że go najwidoczniej pominięto, lecz nie pojmował, był zdumiony, jak można było nie spostrzegać, że gaduła i blagier Striemow mniej niż ktokolwiek inny zdatny jest na to miejsce. Jak mogli ci ludzie nie wiedzieć, że przez tę nominację podkopywali samych siebie, swój własny prestiż.

„To znowu będzie coś w tym samym rodzaju” — powiedział sobie zgryźliwie, rozpieczętowując drugą depeszę. Telegram był od żony. Jej podpis niebieskim ołówkiem: „Anna”, najpierw rzucił mu się w oczy. „Umieram, proszę, błagam, przyjeźdź. Z twoim przebaczeniem umrę spokojniej” — przeczytał. Uśmiechnął się wzgardliwie i odrzucił telegram. Nie mogło być wątpliwości, że było to oszustwo i podstęp; tak mu się wydało w pierwszej chwili.

„Ona nie cofnie się przed żadnym oszustwem. Ma odbyć połóg. Może to choroba połogowa? Ale jakież mogą mieć w tym cel? Zalegalizować dziecko, mnie skompromitować i przeszkodzić rozwodowi? — myślał. — Lecz tam jest powiedziane: «umieram»... — Przeczytał znów depeszę i nagle uderzył go bezpośredni sens tego, co tam było powiedziane. — A jeśli to prawda? — rzekł do siebie. — Jeśli to prawda, że w chwili cierpień i zbliżania się śmierci żałuje szczerze, a ja, uważając to za kłamstwo, odmówię przyjazdu? To będzie nie tylko okrutne i

wszyscy mnie za to potępiają, to będzie głupie z mej strony."

— Piotrze, proszę sprowadzić karetę. Jadę do Petersburga — rzekł do służącego.

Karenin postanowił, że pojedzie do Petersburga i zobaczy się z żoną: o ile choroba jest tylko udawaniem, to nie powie nic i wyjedzie. Jeśli istotnie Anna jest śmiertelnie chora, to o ile zostanie ją przy życiu, przebaczy jej, a o ile przybędzie za późno, odda jej ostatnią posługę.

I już przez całą drogę nie myślał więcej nad tym, co ma uczynić. Z uczuciem zmęczenia i brudu, wynikającym ze spędzenia nocy w wagonie, Karenin jechał w rannej petersburskiej mgłę wzdłuż pustego Newskiego Prospektu i patrzył przed siebie, nie myśląc o tym, co go oczekiwało w domu. Nie chciał o tym myśleć, wyobrażając bowiem sobie, co zostanie, nie mógł się opędzić myśli, że śmierć Anny rozwikłałaby od razu całą trudność jego sytuacji. Piekarnie, pozamykane sklepy, nocni dorożkarze, dozorczy zamiatający chodniki — przesuwali mu się przed oczyma, on zaś przypatrywał się wszystkiemu starając się zagłuszyć w sobie myśl o tym, co zostanie i czego pragnąć nie śmiał, a jednak pragnął. Zajechał przed ganek. Dorożka i karetą ze śpiącym stangretem czekały na dojeżdżie. Wchodząc do sieni Karenin jakby wyjął z odległego kąta mózgu gotową decyzję i zasięgnął u niej informacji. Było tam zanotowane: „Jeśli to kłamstwo — wyjechać; jeśli prawda — zachować przyzwoite pozory."

Szwajcar otworzył drzwi, jeszcze zanim Karenin zadzwonił. Szwajcar Pietrow, inaczej zwany Kapitonycz, wyglądał dziwnie w starym surducie, bez krawata i w pantoflach.

— Jak się ma jaśnie pani?

— Wczoraj szczęśliwie urodziła.

Karenin zatrzymał się i pobladł: teraz dopiero jasno zrozumiał, z jaką siłą pragnął jej śmierci.

— A jak się miewa?

Ze schodów zbiegł w porannym fartuchu Korniej.

— Jaśnie pani ma się bardzo źle — odpowiedział. — Wczoraj zjechali się doktorzy, a i teraz doktor jest tutaj.

— Weź rzeczy — rzekł Karenin i czując pewną ulgę na wiadomość, że jednak fest jeszcze nadzieja zgonu, wszedł do przedpokoju.

Na wieszadle wisiał płaszcz wojskowy; Karenin zauważył to i zapytał:

— Kto tu jest?

— Doktor, akuszerka i pan hrabia Wroński. Karenin przeszedł do dalszych pokoi.

W salonie nie było nikogo; z gabinetu Anny wyszła na dźwięk jego kroków akuszerka w czepcu z lila wstążkami.

Zbliżyła się do niego z poufałością, jaką wywołuje bliskość śmierci, wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

— Bogu dzięki, że pan przyjechał! Tylko o panu i o panu ciągle mówi — powiedziała.

— Proszę prędeej o lód — odezwał się z sypialni głos doktora.

Karenin wszedł do gabinetu żony; przy jej biurczku, bokiem do oparcia, siedział na niskim krześle Wroński i płakał z twarzą ukrytą w dłoniach. Zerwał się usłyszawszy głos doktora, odjął ręce od twarzy i ujrzał Karenina. Na jego widok zmieszał się tak dalece, że znów usiadł, wtulił głowę w ramiona, jakby chciał w ten sposób zniknąć, opanował się jednak, wstał i rzekł:

— Ona umiera. Doktorzy powiedzieli, że nie ma nadziei. Jestem zdany na pańską łaskę i niełaskę, ale niech mi pan pozwoli zostać tutaj... Zresztą jestem całkiem w pana mocy, ja...

Karenin ujrawszy łzy Wrońskiego poczuł falę tej duchowej rozterki, która go ogarniała na widok cierpień innych ludzi; odwróciwszy twarz i nie wysłuchawszy go do końca, wszedł szybko we drzwi sypialni. Było stamtąd słyhać głos Anny, która coś mówiła. Był to głos wesoły, ożywiony, o niezwykle wyraźnej intonacji. Karenin wszedł do sypialni i zbliżył się do łóżka. Anna leżała zwrócona ku niemu twarzą: policzki jej gorzały rumieńcem, oczy błyszczały, małe białe ręce, wysunięte z mankietów kaftanika, bawiły się rogiem kołdry zwijając go. Zdawała się nie tylko zdrowa i wypoczęta, ale w doskonałym humorze. Mówiła szybko, dźwięcznie, niezwykle prawidłowo i z wyczuciem akcentując słowa:

— Dlatego że Aleksy, mówię o Aleksym Aleksandrowiczu (jaki to dziwny, straszny los, że obaj mają na imię „Aleksy”, prawda?), nie odmówiłby mi. Zapomniałabym, a on by przebaczył... Ale czemu on nie przyjeżdża? On jest dobry, sam nie wie nawet, jak bardzo dobry... Ach, mój Boże, co to za udręczenie! Dajcie, mi" czym prędeej wody!. Ach, to dla niej dla mojej dziewczyneczki będzie szkodliwe?! No więc dobrze, sprowadźcie jej mamkę, Już się zgadzam, tak nawet będzie lepiej. On przyjedzie i widok jej sprawi mu ból. Oddajcie ją mamce.

— Proszę pani, już przyjechał. Oto jest — mówiła akuszerka starając się zwrócić jej uwagę na Karenina.

— Co za głupstwo! — mówiła Anna dalej, nie spostrzegając męża. — Tak, dajcie mi ją, moją małą dziewczynkę, dajcie. On jeszcze nie przyjechał. Mówicie, że on nie przebaczy, ponieważ go nie znacie. Nikt go nie zna, tylko ja jedna. A nawet dla mnie było to za ciężkie. Trzeba znać jego oczy: Sierioża ma takie same i dlatego nie mogę na nie patrzeć... Czyście dali Sierioży obiad?. Przecie wiem, że zapomną. On by nie zapomniał. Trzeba Sieriożę przenieść do pokoju narożnego i poprosić, żeby Mariette z nim spała.

Nagle skuliła się, przycichła ze strachu, jakby oczekując uderzenia, i jak w obronie podniosła do twarzy obie ręce. Spostrzegła męża.

— Nie, nie — poczęła znów mówić. — Nie boję się go. Boję się śmierci. Aleksy, pójdź tutaj. Spieszę się dlatego, że nie mam czasu, zostało mi niewiele życia; zaraz zacznę się gorączka i wtedy już nic nie będę rozumiała. Teraz, rozumiem, wszystko rozumiem, wszystko widzę.

Ściągnięta twarz Karenina nabrała bolesnego wyrazu; wziął jej rękę, chciał coś powiedzieć, nie mógł tego jednak w żaden sposób wymówić; dolna warga mu drżała, wciąż jeszcze walczył ze wzruszeniem i tylko chwilami podnosił na nią wzrok. A za każdym razem, gdy na nią spojrzał, widział jej oczy wlepione w siebie z taką wzruszającą, ekstatyczną czułością, jakiej nigdy w nich nie widywał.

— Poczekaj, bo ty nie wiesz... Czekaście, czekaście... — zatrzymała się, jakby zbierając myśli. — Tak — zaczęła znowu. — Tak, tak, tak. Oto, co chciałam powiedzieć. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Jestem zawsze ta sama... Ale jest we mnie inna; boję się jej — ta ona pokochała tamtego; więc musiałam cię nienawidzić, " ale nie mogłam zapomnieć siebie tej, którą przedtem byłam. Ona — to nie ja. Teraz ja jestem tą prawdziwą, cała nią jestem. I umieram, wiem, że umrę, spytaj się jego. Czuję to i teraz: pudy całe ciążą mi u rąk, u nóg, u palców. Palce są ot takie — ogromne. Ale to wszystko prędko się skończy... Jednego mi tylko potrzeba: przebac mi, zupełnie mi przebac! Jestem ohydna, ale niania mówiła mi, że święta męczennica — jakże jej było na imię? — ta była jeszcze gorsza.. I pojedę do Rzymu, tam jest gdzieś pustelnia, i wtedy nikomu nie będę zawadzała; wezmę ze sobą tylko Sieriożę i córeczkę... Nie, ty mi nie możesz przebaczyć! Wiem, że tego przebaczyć nie można! Nie, nie, odejź, zbyt jesteś dobry! — Trzymała go jedną rozpaloną dłońią za rękę, a odpychała drugą.

Rozprężenie wewnętrzne Karenina rosnęło z każdą chwilą i doszło do takiego stopnia, że już zaprzestał z nim walczyć. Poczuł nagle, że to, co uważał za wewnętrzny zamęt, było, przeciwnie, błogim stanem duszy dającym mu niespodzianie nigdy dotąd przezeń nie doznawane szczęście. Nie myślał o tym, że zasada chrześcijańska, którą przez całe życie pragnął stosować, nakazywała mu przebaczyć nieprzyjaciołom i kochać ich, a mimo to radosne uczucie miłości i przebaczenia wrogom napełniało mu duszę. Klęczał i oparłszy głowę na przegubie jej ręki, która przez kaftanik paliła go ogniem, szlochał jak dziecko. Anna objęła jego łysiejącą głowę, przysunęła się i z dumnym wyzwaniem podniosła wzrok ku, górze:

— Oto, jaki on jest! Wiedziałam! Teraz żegnajcie wszyscy, żegnajcie!..., Znowu tu przyszli; dlaczego sobie nie idą?... Zdejmcież raz ze mnie te futra.

Doktor odjął jej rękę, ostrożnie złożył ją na poduszce i nakrył po szyję. Posłusznie położyła się na wznak i patrzyła przed siebie promiennym spojrzeniem.

— Zapamiętaj jedno, że trzeba mi było od ciebie tylko przebaczenia, nic więcej nie chcę... Czemu on nie przychodzi? — spytała zwracając się w stronę drzwi ku Wrońskiemu. — Pójdź bliżej, pójdź! podaj mu rękę.

Wroński podszedł aż do brzegu łóżka i spojrzawszy na nią, znów ukrył twarz w dłoniach

— Odstoń twarz i popatrz na niego To święty — powiedziała. — No, odstłońże! — wyrzekła z gniewem — Aleksy, odstoń mu twarz! Chcę go widzieć.

Karenin ujął dłonie Wrońskiego i odsunął mu je od twarzy, przerażającej-wyrazem bólu i zawstydzienia, jakie się na niej malowały.

— Podaj mu rękę. Przebac mu.

Karenin podał mu rękę nie starając się nawet powstrzymać łez płynących z oczu.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu — powiedziała — teraz wszystko gotowe. Muszę tylko trochę wyprostować nogi. Ot tak, teraz jest doskonale... Jak te kwiaty są zrobione! Zupełnie bez gustu, wcale niepodobne do fiołków — i wskazała na tapety. — Boże mój! Boże mój! Kiedy się to skończy?! Dajcie mi morfiny. Doktorze! Niechże mi pan da morfiny. O, Boże mój, Boże mój!

I poczęła się miotać na pościeli.

Doktor specjalista a z nim reszta doktorów orzekli, że to gorączka połogowa, która w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto kończy się śmiercią. Przez cały dzień trwała gorączka, maligna i nieprzytomność. Około północy chora leżała bez czucia i prawie bez pulsu.

Z minuty na minutę, oczekiwano zgonu. Wroński pojechał do domu, rano jednak wrócił po wiadomości. Karenin spotkał go w przedpokoju i rzekł mu:.

— Niech pan zostanie, może o pana zapyta — i sam zaprowadził go do gabinetu żony.

Nad ranem znów zaczęło się podniecenie, ożywienie i szybki bieg myśli i słów, a skończyło się to znowu utratą przytomności. Na trzeci dzień powtórzyło się to samo i doktorzy orzekli, że jest nadzieja. Tego dnia Karenin wszedł do gabinetu, gdzie przesiadywał Wroński, zamknął drzwi za sobą i usiadł naprzeciw niego.

— Proszę pana — rzekł Wroński czując, że zbliża się chwila wyjaśnień — nie mogę mówić, nie jestem, nawet w stanie rozumieć. Niech mi pan tego oszczędzi. Wiem, jak panu jest ciężko, ale niech mi pan wierzy, że mnie jest jeszcze gorzej.

Chciał wstać, lecz Karenin wziął go za rękę i powiedział:

— Proszę, niech pan mnie posłucha, panie pułkowniku, jest to konieczne. Muszę panu wyjaśnić uczucia, którymi się kierowałem i nadal kierować będę, tak by pan mnie fałszywie nie rozumiał. Pan wie, że zdecydowałem się na rozwód i nawet wszcząłem już sprawę. Nie taję, że wszczynając ją byłem niezdecydowany i udręczony; wyznaję, że powodowała mną chęć zemsty na panu i na niej. Gdy otrzymałem depeszę, jechałem tutaj z tymi samymi uczuciami, powiem nawet więcej: pragnąłem jej śmierci. Ale... — tu zamilkł i namyślał się, czy odstąpić mu swe uczucia, czy nie. — Ale ujrzałem ją i przebaczyłem. Wówczas szczęście, wynikłe z przebaczenia, wskazało mi mój obowiązek i przebaczyłem całkowicie. Chcę nadstawić drugi policzek, oddać koszulę, gdy mi zabierają kaftan,

i tylko błagam Boga, by nie odjął mi szczęścia, które wypływa z przebaczenia! — Miał łzy w oczach i jego jasne, spokojne wejrzenie wstrząsnęło Wrońskim. — Oto, jak rzeczy stoją. Może mnie pan wdeptać w błoto, zrobić ze mnie pośmiewisko ludzkie, lecz ja jej nie opuszczę i nigdy nie powiem panu ani słowa wyrzutu — ciągnął dalej. — Mój obowiązek rysuje się przede mną wyraźnie: winienem stać przy niej i uczynię to. Jeśli zapragnie pana widzieć, dam panu znać, ale teraz sądzę, że byłoby lepiej, by pan się oddalił.

Wstał i łkanie mu przerwało mowę. Wroński podniósł się również i pochylony, w

przygarbionej postawie, patrzył na niego spód ściągniętych brwi. Nie rozumiał uczuć Karenina, ale czuł, że jest to coś wzniosłego, coś, co dla niego przy jego światopoglądzie było niedostępne.

Po tej rozmowie Wroński wyszedł na ganek domu Kareninów i zatrzymał się, z trudem przypominając sobie, gdzie jest i dokąd" mu wypada iść czy jechać. Czuł się zawstydzony, poniżony, winny i pozbawiony możliwości zmycia z siebie poniżenia. Czuł się wytracony z toru, po którym tak dumnie i łatwo dotychczas kroczył. Okazało się, że wszystkie jego życiowe, zdawałoby się tak niewzruszone, przyzwyczajenia i zasady są fałszywe i nieprzydatne. Zdradzony mąż, którego dotychczas wyobrażał sobie jako żalostną figurę stojącą — w sposób przypadkowy i nieco komiczny — na przeszkodzie jego, Wrońskiego, szczęściu, nagle został przez samą Annę wezwany i wyniesiony na wyżynę wzbudzającą cześć. A na tej wyżynie zdradzony mąż nie był ani zły, ani sztuczny, ani śmieszny, lecz dobry, pełen prostoty i wielkości. Wroński nie mógł tego nie wyczuwać. Niespodzianie role się zmieniły: Wroński czuł jego wywyższenie i swoje poniżenie; słusność była po stronie męża, a on sam nie miał racji. Odczuł, że mąż nawet w swym bólu był wspaniałomyślny, on zaś nikczemny i małostkowy w swym oszukaństwie. Wszelako świadomość małości wobec człowieka, którym dotychczas niesłusznie pogardzał, była tylko drobną częścią jego cierpienia. Czuł się w tej chwili niewymownie nieszczęśliwy, ponieważ jego namiętność, która, jak mu się zdawało, w ostatnich czasach była już ochłodła, teraz gdy wiedział, że Annę. utracił na zawsze, stała się silniejsza niż kiedykolwiek. W czasie choroby poznał ją całkowicie, poznał jej duszę i zdawało mu się, że dotychczas nigdy Anny nie kochał. I właśnie teraz, gdy ją poznał i pokochał tak, jak kochać należało, został wobec niej poniżony i utracił ją na zawsze, pozostawiając jej o sobie jedynie zawstydzające wspomnienie. A najstraszniejszy ze wszystkiego był ten śmieszny i haniebny moment, gdy Karenin odrywał mu ręce od zawstydzonej twarzy. Stał na ganku Kareninów jak nieprzytomny i nie wiedział, co począć.

— Może zawołać, dorożkę? — zapytał szwajcar.

— Tak, poproszę o dorożkę.

Powróciwszy do domu po trzech nie spanych nocach Wroński upadł w ubraniu twarzą na sofę, opierając na złożonych rękach głowę, która mu potwornie ciążyła. Obrazy, wspomnienia i najdziwaczniejsze myśli kolejno z nadzwyczajną szybkością i jasnością następowały po sobie. To widział, jak podając chorej lekarstwo, wylewa je z łyżki, to migały mu białe ręce akuszerki, to stawała przed oczyma dziwna poza Karenina na podłodze przy łóżku.

„Zasnąć! Zapomnieć!” — rzekł do siebie ze spokojną pewnością zdrowego człowieka, że skoro się zmęczył i chce mu się spać, natychmiast zaśnie. I rzeczywiście, w jednej chwili myśli jeły mu się plątać w głowie i począł zapadać w otchłań niepamięci. Fale morza podświadomości już, już miały mu się zamknąć nad głową, gdy nagle — niby trafiony najsilniejszym ładunkiem elektrycznym — drgnął tak mocno, że podskoczył całym ciałem na sprężynach sofy, i wsparłszy się na rękach, ukląkł przerażony. Oczy miał szeroko otwarte, jakby nigdy nie spał. Ciężar głowy i bezsilność członków, które odczuwał przed chwilą, raptem znikły.

„Może pan mnie wdeptać w błoto" — usłyszał słowa Karenina. i zobaczył go przed sobą; widział także twarz Anny z gorączkowym rumieńcem i błyszczącymi oczami zwróconymi z najczulszą miłością nie na niego, lecz na Karenina; widział i swoją, jak mu się zdawało, głupią i śmieszna postać, gdy Karenin odjął mu rękę od twarzy. Znow wyprostował nogi, rzucił się na sofę w poprzedniej pozie i zamknął oczy.

„Zasnąć! Zasnąć!" — powtarzał, lecz z oczyma zamkniętymi widział jeszcze wyraźniej twarz Anny taką, jaka była w ów pamiętny dla niego wieczór przed wyścigami.

— Tego już nie ma i nie będzie: Anna chce to zetrzeć z pamięci. A ja nie mogę bez tego żyć. Jakże się pogodzimy? Jak my się pogodzimy? — rzekł głośno i począł nieświadomie powtarzać te słowa. Powtarzając je zapobiegał pojawieniu się nowych obrazów i wspomnień, kłębiących mu się w głowie. Powtarzanie słów nie na długo jednak powstrzymało wyobraźnię. Znow — jedna za drugą — poczęły się ukazywać z niesłychaną szybkością najlepsze ich wspólne chwile, a tuż za nimi — niedawne upokorzenie. „Odejź rękę" — powiada głos Anny. Wroński opuszcza rękę i czuje, jaką ma zawstydzoną i głupią minę.

Wciąż leżał starając się zasnąć, choć czuł, że nie było na to najmniejszej nadziei, i wciąż powtarzał szeptem przypadkowe słowa — urywki jakiejś myśli — usiłując w ten sposób przeszkodzić powstawaniu nowych obrazów. Począł nad słuchiwać i usłyszał wyrazy powtarzane dziwnym, wariackim szeptem: „Nie umiałem ocenić, nie potrafiłem skorzystać" i „nie potrafiłem ocenić, nie umiałem skorzystać".

„Co to jest? Czy zwariowałem? — rzekł do siebie. — To możliwe. Czyż nie od tego właśnie się wariuje? Czy nie z takich powodów ludzie palą sobie w łeb?" — odpowiedział w duchu i otworzywszy oczy, ze zdziwieniem spostrzegł tuż obok swej głowy haftowaną poduszkę roboty Wari, swej. bratowej. Dotknął chwastu poduszki próbując przypomnieć sobie Warię i ostatnie z nią spotkanie. Myśl o czymś ubocznym była wszelako męką. „Nie... Trzeba zasnąć!" — posunął poduszkę i przywarł do niej głową, lecz musiał robić świadomy wysiłek, by oczy mieć zamknięte. Zerwał się i usiadł. „To się dla mnie skończyło — powiedział sobie.. — Trzeba się zastanowić, co począć. Co mi pozostało!" Myśl Wrońskiego obiegała szybko całe jego życie poza miłością dla Anny.

„Ambicja? Sierpuchowski? Świat? Dwór?" Na niczym nie mógł się zatrzymać. Wszystko to miało kiedyś sens, ale teraz nic z tego nie zostało. Wstał z kanapy, zdjął mundur, odpiął pas i odsłoniwszy włochatą pierś, aby odetchnąć swobodnie, przeszedł się po pokoju. „Tak się dostaje pomieszania zmysłów — powtórzył. — I w takich okolicznościach ludzie palą sobie w łeb... żeby uniknąć wstydu" — dodał z wolna.

Podszedł do drzwi i zamknął je; potem wpatrzony w jeden punkt, zacisnąwszy mocno zęby podszedł do stołu, wziął rewolwer, obejrzał go, odbezpieczył i zamyślił się. Przez dwie minuty stał nieruchomo z wyrazem wytężonego namysłu: rewolwer miał w ręku i medytował ze spuszczoną głową. „To się samo przez się rozumie" —

rzekł do siebie, jak gdyby logiczny, długotrwały i wyraźny nurt myśli doprowadził go do niezbitnej konkluzji. W rzeczywistości jednak owo dla niego tak przekonywające „to się rozumie” — było tylko rezultatem powtórzenia identycznego kręgu wspomnień i wyobrażeń, jaki przebył już dziesiątki razy w ciągu ostatniej godziny. Były tam te same wspomnienia na zawsze utraconego szczęścia, to samo przeświadczenie o bezsensie wszystkiego, co mu życie przynieść mogło, ta sama świadomość upokorzenia. Identyczna była również kolejność owych uczuć i wyobrażeń.

„To się rozumie” — powtórzył, gdy po raz trzeci myśl rozpoczęła bieg po tym samym zaczarowanym kole wspomnień i rozumowań, i — przyłożywszy rewolwer do lewej strony piersi i mocno targnąwszy całą ręką, tak jakby ją nagle ścisnął w pięść — pociągnął za cyngiel. Nie słyszał dźwięku wystrzału, lecz silne uderzenie w pierś podcięło mu nogi. Chciał uchwycić się za brzeg stołu, upuścić rewolwer, zachwiać się i usiadł na ziemi oglądając się ze zdziwieniem dokoła. Patrząc z dołu na wygięte nóżki stolika, na kosz do papierów i tygrysią skórę, nie poznawał swego pokoju. Szybkie, skrzypiące kroki służącego w salonie sprawiły, że oprzytomniał. Zmusił się z wysiłkiem do myślenia i zdał sobie sprawę, że znajduje się na podłodze, a zobaczywszy na tygrysiej skórze i na ręku krew, zrozumiał, że strzelił do siebie;

— Głupia historia! Chybiłem — wyrzekł szukając po omacku ręką rewolweru. Rewolwer leżał tuż obok, on zaś szukał go dalej, W trakcie tych poszukiwań przechylił się w drugą stronę i — nie mając sił, by zachować równowagę — runął zalany krwią.

Elegancki służący z bokobrodami, który nieraz uskarżał się przed znajomymi na swoje słabe nerwy, tak się przeraził zobaczywszy pana leżącego na podłodze, że pozostawił go spływającego krwią i pobiegł szukać pomocy. W godzinę później przyjechała bratowa Wrońskiego, Waria, i z pomocą wezwanych trzech doktorów, po których posłała na wszystkie strony i którzy zjawili się jednocześnie, poa id="filepos1084129">ożyła rannego na łóżku i pozostała przy nim, aby go pielęgnować.

Karenin popełnił omyłkę, gdy gotując się do spotkania z żoną nie przewidział wypadku, że skrucza jej będzie szczerą i że on jej przebaczy, ale że ona nie umrze. W dwa miesiące po powrocie z Moskwy odstąpił rnu się cały ogrom tej omyłki. Omyłka, którą popełnił, wynikała jednak nie tylko stąd, że nie przewidział tej możliwości, ale także stąd, że do dnia swego widzenia z umierającą żoną sam nie znał własnego serca. U łóża chorej żony po raz pierwszy w życiu poddał się temu rzewnemu współczuciu, które wywoływały w nim cierpienia innych, a którego przedtem wstydział się, jako szkodliwej słabości. Litość nad Anną, skrucza, że pragnął jej śmierci, i już sama radość płynąca z przebaczenia — sprawiły, że nagle zstąpiło na niego nie tylko ukojenie cierpień, ale spokój ducha, którego nigdy przedtem nie doznawał. Poczł niespodzianie, że właśnie to, co było przyczyną jego nieszczęścia, stało się źródłem duchowej radości, że to, co zdawało się nie do rozstrzygnięcia, kiedy potępiął, stawiał zarzuty i nienawidził — stało się proste i jasne z chwilą, gdy przebaczał i kochał.

Przebaczył żonie i litował się nad nią z powodu jej cierpień i skruchy, przebaczył Wrońskiemu i litował się nad nim, zwłaszcza gdy doszły doń pogłoski o jego desperackim czynie. Żal mu było także o wiele bardziej niż przedtem synka i wyrzucał sobie teraz, że zbyt się mało dawniej nim zajmował. A do nowo narodzonej dziewczyneczki żywił jakiś szczególny sentyment: nie tylko litość, ale nawet tkliwość. Zrazu jedynie ze współczucia zajął się słabiutkim niemowlęciem, które nie było jego dzieckiem i które tak zaniedbano w czasie choroby matki, że gdyby on się o nią nie był zatroszczył, byłoby umarło. Sam się nie spostrzegł, jak ją pokochał. Po kilka razy na dzień chodził do pokoju dziecinnego i długo tam przesiadywał, tak że mamka i niania, zrazu onieśmielone, przyzwyczały się do niego. Czasami potrafił pół godziny wpatrywać się milcząc w śpiącą szafranowoczerwoną, puszystą, całą w bruzdach twarzyczkę dziecka i obserwować ruchy marszczącego się czółka i pulchnych rączyn z podwiniętymi palcami, które pocierały oczęta i grzbiet nosa odwróconą stroną dłoni. W takich chwilach Karenin czuł się szczególnie spokojny, w zgodzie ze sobą samym i nie widział w swym położeniu nic nadzwyczajnego, nic takiego, co by należało zmienić.

Im więcej wszelako upływało czasu, tym wyraźniej spostrzegał, że bez względu na to, jak dalece naturalną sytuacja ta była w jego własnych oczach, nie dadzą mu jednak przy tym pozostać. Czuł, że poza dobrą duchową siłą, kierującą jego duszą, istniała inna brutalna, równie potężna lub jeszcze potężniejsza — kierująca jego życiem, i że siła ta nie da mu tego zrezygnowanego spokoju, którego pragnął. Wyczuwał, że wszyscy patrzyli na niego pytająco i ze zdziwieniem, że go nie rozumieli i czegoś po nim się spodziewali. Czuł zwłaszcza, jak nietrwałe i sztuczne są jego stosunki z żoną.

Kiedy minęło roztkliwienie wywołane u niej bliskością śmierci, Aleksy Aleksandrowicz poczał spostrzegać, że Anna bała się go, że obecność jego ciążyła jej, że nie była zdolna spojrzeć mu w oczy. Wyglądało, że pragnęła mu coś

powiedzieć i nie mogła się na to zdecydować, jakby — przeczuwając, że stosunki ich nie mogą być trwałe — i ona również czegoś od niego oczekiwała.

W końcu lutego zdarzyło się, że nowo narodzona córeczka Anny, nazwana również Anną, zachorowała. Aleksy Aleksandrowicz był rano w dzieciennym pokoju, polecił, by posłano po doktora, po czym pojechał do ministerstwa. Po załatwieniu swoich spraw wrócił około czwartej do domu. Wchodząc do przedpokoju zobaczył pięknie ubranego lokaja w wygalowanej liberii z niedźwiedzią pelerynką, trzymającego białą rotundą na pieścach.

— Kto przyjechał? — zapytał Karenin.

— Księżna Elżbieta Fiodorowna Twerska — odrzekł lokaj i jak się wydawało Kareninowi, uśmiechnął się.

Przez cały ten ciężki okres czasu Karenin spostrzegał, że znajomi z towarzystwa, a zwłaszcza kobiety, darzyli i jego, i Annę specjalnym zainteresowaniem. Zauważył u tych wszystkich znajomych z trudem ukrywaną uciechę z czegoś, tę samą uciechę, którą zobaczył w oczach adwokata, a obecnie w oczach lokaja. Wszyscy byli w takim jakimś zachwycie, jakby kogoś za mąż wydawali. Gdy go spotykali, pytali o zdrowie żony z ledwo ukrywaną wesołością.

Obecność księżny Twerskiej była niemiła Kareninowi, zarówno ze względu na związane z jej osobą wspomnienia, jak i dlatego, że jej w ogóle nie lubił, toteż poszedł wprost do dzieciennego pokoju. W pierwszym pokoju Sierioża leżąc piersią na stole, z nogami na krześle, coś rysował gwarząc wesoło do siebie. Angielka, która w czasie choroby Anny zajęła miejsce Francuzki, siedząc obok chłopczyka robiła szydełkiem miniardyzy. Wstała teraz z pośpiechem, dygnęła i pociągnęła Sieriożę za rękaw.

Karenin pogładził synka po włosach, odpowiedział na pytanie Angielki o zdrowie żony i zapytał, co doktor mówił o baby .

— Doktor, proszę pana, powiedział, że nie ma nic niebezpiecznego, i przepisał kąpiele.

— Ależ ona ciągle jeszcze cierpi — rzeki Karenin nad słuchając, jak dziecko krzyczy w sąsiednim pokoju.

— Ja myślę, że mamka jest nieodpowiednia, proszę pana — powiedziała stanowczo Angielka.

— Dlaczego pani tak myśli? — przystanął na chwilę.

— Tak było u hrabiny Pol, proszę pana. Dziecko leczono, a okazało się, że było po prostu głodne; mamka nie miała mleka, proszę pana.

Karenin zamyślił się, postać chwilę w miejscu i wszedł do drugiego pokoju. Dziewczynka leżała z odrzuconą w tył główką, kurcząc się na ręku mamki, i nie chciała ani wziąć do ust podawanej jej pulchnej piersi, ani zamilknąć mimo podwójnego „pst” zarówno mamki, jak i pochylonej nad nią niani.

— Więc dziecku wciąż nie lepiej? — spytał Karenin

— Bardzo jest niespokojna — szepnęła niania.

— Miss Edward mówi, że może mamka nie ma pokarmu — zauważył.

— I ja tak myślę, proszę jaśnie pana.

— Więc czemu niania nic nie mówi?!

— Komu mam mówić? Anna Arkadiewna wciąż chora — z niezadowoleniem powiedziała niańka.

Niańką, stara sługa, była od dawna w domu i jej proste słowa wydały się Kareninowi również aluzją do jego sytuacji.

Dziecko krzyczało coraz głośniej, zanosząc się i chrypiąc; niańka machnęła, ręką, podeszła, wzięła je z rąk mamki i jęła kołysać chodząc z nim po pokoju.

— Trzeba poprosić doktora, aby obejrzał mamkę — powiedział Karenin.

Zdrowa z wyglądu, strojna mamka, w strachu, że utraci miejsce, coś mruknęła pod nosem i upychając do stanika wielką pierś uśmiechała się pogardliwie, że można powątpiewać o jej mleczości. I w tym jej uśmiechu Karenin również wyczytał szyderstwo z jego sytuacji.

— Nieszczęsne dziecko! — rzekła niańka uciszając je i przechadzając się w dalszym ciągu.

Karenin usiadł na krześle i z ponurym wyrazem cierpienia patrzył na chodzącą tam i z powrotem niańkę.

Gdy położono uciszone wreszcie niemowlę do głębokiego łóżeczka i niania poprawiwszy poduszkę odeszła, Karenin. wstał i z trudem stąpając na palcach zbliżył się do dziecka. Około minuty milczał i z tą samą posępną miną patrzył na nie, nagle jednak uśmiech poruszył mu włosy i skórę na czole i spłynął na twarz. Wszedł z pokoju równie cicho, jak wszedł.

W jadalnym zadzwonił i kazał służącemu, który zjawił się na dzwonek, posłać znów po doktora. Był niekontent, że żona nie troszczy się o to. prześliczne dziecko, i nie chciał iść do niej w tym nastroju irytacji. Nie miał również ochoty widzieć księżnej Betsy. Anna wszakże mogła być zdziwiona, że nie zajrzał do niej jak zwykle, przewyciężył się więc i poszedł do sypialni. Zbliżając się do drzwi po miękkim dywanie, usłyszał niechcący rozmowę, której słyszeć nie pragnął.

— Gdyby on nie wyjeżdżał, rozumiałabym twoją i jego odmowę. Ale mąż twój winien być wyższy ponad to — nalegała Betsy.

— Nie ze względu na męża. To ja sama nie chcę. Nie mów tak! — głos Anny był wzburzony.

— Tak, ale niepodobna, kuzynko, byś nie chciała pożegnać człowieka, który strzelał do siebie z twego powodu.

— Właśnie dlatego nie chcę. Karenin zatrzymał się, wystraszony, jakby poczuwając się do winy, i chciał odejść niepostrzeżenie. Rozmyślił się wszelako, uważając, że byłoby to dowodem braku godności, zawrócił więc znowu i kaszlnąwszy zbliżył się do drzwi sypialni. Głosy umilkły i wszedł do pokoju, Anna siedziała na sofce w popielatym szlafroku. Czarne, gęste włosy, krótko ostrzyżone, odrastały na kształt szczotki na jej krągłej głowie. Jak zawsze na widok męża

ożywienie znikło z jej twarzy; spuściła głowę i nerwowo obejrzała się na Betsy. Księżna Twerska, ubrana według ostatniej mody, w kapeluszu unoszącym się gdzieś ponad jej głową, jak daszek nad lampą, i w perłowej sukni w ukośne, jaskrawe pasy biegnące na staniku w jedną stronę, a na spódnicy w drugą — siedziała obok Anny, prosto trzymając swą płaską, wysoką figurą. Powitała Karenina skinieniem głowy i drwiącym uśmiechem.

— A! — wyrzekła jakby ze zdziwieniem. — Cieszę się bardzo, że pan jest w domu. Pan się nigdzie nie pokazuje i nie widziałam pana wcale od czasu choroby Anny. Słyszałam o wszystkim, o pana troskliwości... Tak, jest pan nadzwyczajnym mężem! — powiedziała znacząco i przyjaźnie, jakby nadając mu order wspaniałomyślności za jego postępowanie z żoną.

Karenin ukłonił się oziębło i całując żonę w rękę zapytał ją o zdrowie.

— Zdaje się, że jest mi lepiej — odrzekła unikając jego wzroku.

— Ale masz jakby gorączkowe wypieki — położył nacisk na słowie „gorączkowe”.

— Zanadtośmy się z nią rozgadały — wtrąciła Betsy. — Czuję, że to z mej strony egoizm, i uciekam.

Wstała, lecz Anna nagle zarumieniła się i chwyciła ją szybko za rękę:

— Nie, proszę cię, zostań jeszcze chwilę. Muszę ci powiedzieć... Nie, tobie muszę powiedzieć — tu zwróciła się do Karenina i rumieniec oblał jej szyję i czoło. — Nie chcę i nie mogę nic przed tobą tać — wyrzekła wreszcie.

Karenin począł trzaskać w palce i pochylił głowę.

— Betsy mówiła, że pułkownik Wroński chciał być u nas, żeby się pożegnać przed swoim wyjazdem do Taszkientu. — Nie patrzyła na męża i najwidoczniej starała się wszystko mu opowiedzieć, mimo że przychodziło jej to z wielką trudnością. — Odpowiedziałam, że nie mogę go przyjąć.

— Powiedziałaś, najdroższa, że to będzie zależało od Aleksego Aleksandrowicza — poprawiła Betsy.

— Ależ nie, nie mogę przyjąć, to do niczego nie... — Nagle zatrzymała się i spojrzała pytająco na męża (Karenin nie patrzył na nią). — Po prostu nie chcę...

Karenin zrobił ruch, jakby chciał wziąć ją za rękę.

W pierwszym odruchu usunęła gwałtownie dłoń spod jego ręki — wilgotnej, o grubych, nabrzmiątych żyłach — która wyciągnęła się ku niej, lecz opanowawszy się z widocznym wysiłkiem, uściśnęła ją.

— Dziękuję ci, droga moja, za zaufanie, ale... — urwał zakłopotany. Czuł z przykrością, że nie może tego, co sam ze sobą rozstrzygał tak łatwo i tak zdecydowanie, roztrząsać w obecności księżnej Twerskiej, ponieważ ta była dla niego uosobieniem owej brutalnej siły, do której dyrektyw musiał stosować swe życie w oczach świata i która nie pozwalała mu oddawać się uczuciom miłości i przebaczenia. Urwał i spojrzał na księżnę.

— No, bywaj zdrowa, śliczna moja — rzekła Betsy wstając. Pocałowała Annę i

wyszła, odprowadzana przez: Karenina.

— Proszę pana Znam pana i wiem, że jest pan człowiekiem prawdziwie wspaniałomyślnym — Betsy zatrzymała się w małym salonie i uścisnęła mu raz jeszcze rękę. — Nie należę do bliższej rodziny, lecz tak bardzo lubię i poważam pana, że pozwalam sobie udzielić panu rady: niech pan go przyjmie. Aleksy Wroński jest uosobieniem: honoru i — wyjeżdża do Taszkientu.

— Dziękuję księżnej za jej sympatię i za rady, lecz zagadnienie, czy moja żona może, czy nie może kogoś przyjąć, rozstrzygnie ona sama.

Powiedział to, z przyzwyczajenia unosząc z godnością brwi do góry, lecz zaraz przyszło mu na myśl, że jakichkolwiek słów by użył -- o godności w jego sytuacji niemogło być mowy. I znalazł potwierdzenie swej myśli w hamowanym złośliwym i szyderczym uśmiechu, z którym Betsy nań spojrzała, gdy wypowiedział to zdanie.

W dużym salonie Karenin skłonił się księżnej na pożegnanie i wrócił do żony. Anna leżała, lecz słysząc jego kroki, szybko usiadła jak uprzednio i spojrzała na niego bojaźliwie. Spostrzegł, że płakała.

— Dziękuję ci bardzo za twoje zaufanie do mnie — powtórzył łagodnie po rosyjsku słowa powiedziane po francusku przy Betsy i usiadł obok Anny. Kiedy używał języka rosyjskiego i mówił jej „ty”, wyraz „ty” drażnił Annę nie do wytrzymania. — Jestem ci bardzo wdzięczny za twoją decyzję. I ja także sądzę, że nie ma żadnej potrzeby, aby pułkownik Wroński tu się zjawiał, tym bardziej że wyjeżdża. Zresztą;

— Przecie już powiedziałam; po co to powtarzać?! — przerwała mu nagle Anna z rozdrażnieniem, nad którym

nie potrafiła zapanować. „Żadnej potrzeby! — powiedziała sobie w duchu. — Żadnej potrzeby, aby człowiek przyszedł pożegnać się z kobietą, którą kocha, z powodu której chciał zginąć i zostać potępionym i która żyć bez niego nie może, Nie ma żadnej potrzeby!” Zacięła wargi i spuściła błyszczące oczy, patrząc na jego ręce o nabrzmiałych żyłach, ręce, które z wolna pocierał jedną o drugą. — Nie mówmy o tym nigdy — dodała spokojnie.

— Pozostawiłem ci decyzję w tej kwestii — zaczął Aleksy Aleksandrowicz — i cieszę się widząc...

— Że moje życzenia są zgodne z twoimi — szybko dokończyła, zirytowana, że mówił tak powoli, gdy i tak już naprzód wiedziała, co powie.

— Tak — potwierdził — a księżna Twerska wielce nietaktownie wtrąca się do bardzo skomplikowanych spraw rodzinnych. I to właśnie ona...

— Nie wierzę ani jednej z tych rzeczy, które o niej opowiadają. — szybko zaoponowała Anna — i wiem, że mnie szczerze kocha.

Karenin westchnął i zmilczał. Anna nerwowo bawiła.. się chwastami szlafroka, spoglądając na męża z tym dręczącym uczuciem fizycznego wstrętu, z powodu którego robiła sobie wyrzuty, ale którego nie mogła, opanować. Obecnie pragnęła tylko jednej rzeczy — by ją uwolnił od swej nieznośnej obecności.

— A ja właśnie posłałem do doktora — rzekł Kalenin.

— Jestem zdrowa; po co mi doktorzy?

— Wiem. To chodzi o malutką: krzyczy. Podobno mamka nie ma dosyć mleka.

— Czemu nie pozwoliłeś mi karmić, gdy o to błagałam? Tak czy owak (Karenin zrozumiał, co oznaczało to „tak czy owak”), to tylko dziecko, więc je zamorzą. — Zadzwoń i kazała przynieść sobie niemowlę. — Prosiłam, żeby mi dano karmić, nie pozwolono na to, a teraz muszę wysłuchiwać wyrzutów.

— Wcale ci tego nie wyrzucam.

— Owszem, wyrzucasz! O mój Boże, czemu ja nie umarłam! — I zaczęła

szlochać. — Wybacz mi, jestem podrażniona, niesprawiedliwa — rzekła opanowując się. —

Ale, proszę, idź już...

„Nie, to nie może tak dalej trwać” — rzekł do siebie stanowczo Karenin po wyjściu od żony.

Nigdy jeszcze nie zarysowało się przed nim z taką wyrazistością, jak niedopuszczalne w oczach świata jest jego położenie i jaką nienawiść żywi do niego żona. Nigdy nie odczuł równie dotkliwie potęgi tej okrutnej a tajemniczej siły, która wbrew jego wewnętrznej postawie nadawała kierunek jego życiu i żądała, aby spełnił jej wolę i zmienił swój stosunek do żony. Widział doskonale, że cały świat, nie wyłączając żony, czegoś od niego żąda, ale czego — tego zrozumieć nie mógł. Czuł, że w odpowiedzi na to gniew mu powstawał w duszy, gniew, który mącił jego spokój i niszczył całą zasługę płynącą z ofiary. Uważał, że dla Anny byłoby lepiej, gdyby zerwała z Wrońskim, lecz skoro wszyscy znajdowali, że to jest niemożliwe, gotów był nawet zgodzić się na wznowienie tego stosunku, byleby hańba nie spadła na dzieci, byleby ich nie utracić i nic w sytuacji nie zmieniać. Jakkolwiek było to złe, lepsze jednak było niż zerwanie, po którym położenie Anny stawało się poniżające i bez wyjścia, a on sam zostałby pozbawiony wszystkiego, co kochał. Czuł się wszelako bezsilny, wiedział już z góry, że wszyscy są przeciw niemu i że nie pozwolą mu uczynić tego, co obecnie zdawało mu się naturalne i dobre, a zmuszą do zrobienia czegoś, co będzie złe, ale co oni będą uważali za słuszne.

Betsy jeszcze nie zdążyła wyjść z salonu, gdy we drzwiach spotkał ją Obłoński, który przyjechał prosto od Jelisiejewa, gdzie właśnie nadeszły świeże ostrzygi.

— A, księżna! Co za miłe spotkanie! — powitał ją. — Byłem tylko co u księżnej.

— Spotkanie jednominutowe, bo właśnie wychodzą — rzekła z uśmiechem Betsy wkładając rękawiczkę.

— Niechże księżna zechce zaczekać z wkładaniem rękawiczki i pozwoli ucałować swą rączkę. Za nic nie jestem tak wdzięczny nawrotowi dawnego zwyczaju, jak za modę całowania rączek. — Tu pocałował rękę Betsy. — Kiedyż się zobaczymy?

— Książę wcale nie jest tego wart — uśmiechnęła się Betsy.

— Przeciwnie, bardzo jestem wart: stałem się najpoważniejszym z ludzi. Doprowadzam do porządku nie tylko własne rodzinne sprawy, ale i cudze — tłumaczył ze znaczącą miną.

— Ach, jak to dobrze! — Betsy natychmiast odgadła, że mowa o Annie. Powrócili do salonu i zatrzymali się w rogu. — On ją zadreńczy na śmierć — szepnęła porozumiewawczo. — To niemożliwe, niemożliwe.

— Bardzo się cieszę, że księżna tak sądzi — rzekł Stiepan Arkadjicz kiwając głową z miną bolesną i współczującą — dlatego właśnie przyjechałem do Petersburga.

— Całe miasto o tym mówi — ciągnęła dalej.. — To sytuacja nie do zniesienia. Ona po prostu niknie w oczach. a on nie rozumie, że Anna to jedna z tych kobiet, które nie potrafią igrac swym uczuciem. Jedno z dwojga: albo powinien był ją stąd wywieźć, postąpić energicznie, albo dać jej rozwód. Ale tak jak rzeczy stoją — przygniata ją to.

— Tak... Właśnie, właśnie... — wzdychał Obłoński. — Dlatego przyjechałem. Właściwie nie wyłącznie dlatego. Zostałem szambelanem, no więc musiałem podziękować. Ale przede wszystkim trzeba z tym zrobić porządek.

— No więc — Boże dopomóż!

Odprowdziwszy księżną Betsy aż do sieni Stiepan Arkadjicz raz jeszcze pocałował jej rękę powyżej rękawiczki, tam, gdzie bije puls, nagadał jej tyle nieprzyzwoitych głupstw, że nie wiedziała już, czy śmiać się, czy się gniewać, po czym wszedł do siostry. Zastał ją we łzach.

Mimo że był w nastroju aż piniącym się od wesołości, natychmiast, bez żadnego przymusu, przeszedł na współczujący, poetycko-egzaltowany ton licujący ze stanem Anny. Zapytał ją o zdrowie i — jak spędziła ranek.

— Bardzo, bardzo źle. I dzień, i rano, i wszystkie przeszłe, i wszystkie przyszłe dni!

— Widzę, że się poddajesz posępnemu nastrojowi. Trzeba się otrząsnąć, trzeba

spojrzeć życiu prosto w oczy. Wiem, że to trudno, ale...

— Słyszałam, że kobiety potrafią kochać mężczyzn nawet za ich wady — nagle zaczęła Anna — lecz ja go nienawidzę za jego cnotę. Nie mogę z nim żyć. Zrozum, że już sam jego widok mnie wprost fizycznie odstręcza, tracę panowanie nad sobą. Nie mogę, nie mogę z nim żyć! Co mam więc począć? Byłam nieszczęśliwa i myślałam, że już gorzej być nie może, ale nie wyobrażałam sobie nawet takiego straszego stanu, jakiego obecnie doświadczam. Czy ty uwierzysz, że wiedząc, jaki to dobry, jaki przezacny człowiek, i że niewarta jestem nawet tyle, co jeden jego paznokieć — mimo to nienawidzę go. Nienawidzę za jego wspaniałomyślność! I nic mi nie pozostaje, chyba...

Chciała powiedzieć „śmierć”, lecz brat nie dał jej dokończyć.

— Jesteś chora i, podrażniona — rzekł — wierzaj mi, że okropnie przesadzasz. Tu nie ma nic aż tak straszego.

I Stiepan Arkadjicz uśmiechnął się. Na jego miejscu i mając do czynienia z taką desperacją, nikt by sobie nie pozwolił na uśmiech (wydałoby się to brutalne), ale w uśmiechu Stiepana Arkadjicza tyle było dobroci i prawie kobiecej tkliwości, że uśmiech ten nie uraził, lecz łagodził i uspokajał. Jego ciche, pocieszające słowa i ten uśmiech działały odprężająco i kojąco jak olejek migdałowy. Anna to zaraz odczuła.

— Nie, Stiwa — mówiła dalej. — Ze mną jest koniec, koniec! Gorzej niż koniec. Jeszcze nie całkiem zginęłam; jeszcze nie mogę powiedzieć, że wszystko się skończyło; przeciwnie, czuję, że się nie skończyło. Jestem jak napięta struna, która musi pęknąć. Ale to jeszcze nie koniec... I koniec będzie okropny.

— To nic, strunę można powolutku obluźować. Nie ma sytuacji bez wyjścia.

— Myślałam i myślałam. Tylko jedno...

Znów z jej wylęknętego wejrzenia zrozumiał, że jej zdaniem, jedyne wyjście — to śmierć, i nie dał jej dokończyć.

— Ani trochę — rzekł. — Pozwól tylko. Nie możesz ocenić swego położenia tak, jak to mogę ja. Pozwól mi szczerze wypowiedzieć moje zdanie — tu znów uśmiechnął się delikatnie swym migdałowym uśmiechem. — Zacznę od początku: wyszłaś za męża za człowieka starszego od siebie o lat dwadzieścia. Wyszłaś za męża bez miłości lub też nic o miłości nie wiedząc. Dajmy na to, że to był błąd.

— Okropny błąd! — szepnęła Anna.

— Ale powtarzam: to jest fakt. Później — powiedzmy nieszczęściem — pokochałaś kogoś, kto nie był twoim mężem. Jest to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale i to również fakt już dokonany. I mąż twój uznał to i przebaczył. — Stiepan Arkadjicz zatrzymywał się po każdym zdaniu, oczekując na odpowiedź, lecz Anna milczała. — Tak rzeczy stoją. Obecnie kwestia polega na tym: czy możesz żyć w dalszym ciągu ze swoim mężem? Czy tego pragniesz? Czy on sobie tego życzy?

— Nic nie wiem, nic, nic nie wiem.

— Przecie powiedziałaś sama, że nie możesz go znieść. — Nie, tego nie powiedziałam. Cofam to. Nic nie wiem i nic nie rozumiem.

— Tak, ale pozwól...

— Nie zrozumiesz tego. Czuję, że spadam głową na dół w jakąś przepaść, ale że nie powinnam się ratować. I nawet bym nie potrafiła.

— To nic, podstawimy coś i złapiemy cię w powietrzu. Rozumiem cię, rozumiem, że nie możesz zdobyć się na wypowiedzenie swoich chęci, swoich uczuć.

— Nic, nic nie pragnę... Tylko żeby już był koniec.

— Ale on to widzi i wie o tym. Czy myślisz, że jest mniej od ciebie udęczony? Ty się męczysz, on się męczy i do czego to ma doprowadzić? A tymczasem rozwód całą rzecz by rozstrzygnął — Stiepan Arkadjicz z pewnym wysiłkiem wypowiedział swą myśl przewodnią i spojrzał na siostrę.

Anna nic nie odrzekła i przecząco potrząsnęła swą ostrzyżoną głową, lecz z wyrazu jej twarzy, nagle znów jaśniejącej pięknnością, poznał, iż nie pragnęła rozwodu tylko dlatego, że jej się to wydawało niemożliwym do ziszczenia szczęściem.

— Strasznie mi was żal. Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi się udało to przeprowadzić — Obłoński uśmiechnął się już nieco śmieiej. — Nic nie mów! Żeby mi tylko Bóg pozwolił wypowiedzieć to tak, jak czuję. Idę do niego.

Anna bez słowa spojrzała na brata zamyślonymi, błyszczącymi oczyma.

Stiepan Arkadjicz wszedł do gabinetu Karenina z tą uroczystą miną, z jaką zasiadał na prezydjalnym fotelu w swym biurze. Karenin chodził po pokoju z założonymi w tył rękami i myślał o tym właśnie, o czym szwagier rozmawiał z jego żoną.

— Czy ci nie przeszkadzam? — spytał Stiepan Arkadjicz. Na widok szwagra poczuł niechęsto ogarniające go zakłopotanie. Aby je ukryć, wydobyl świezo kupioną papierośnicę otwierającą się w specjalny sposób, powąchał skórę i wyjął papierosa.

— Nie. Czy masz do mnie jaki interes? — niechętnie odparł Karenin.

— Tak, chciałem... muszę po... tak, muszę z tobą pomówić — rzeki Obłoński, sam zdumiony swą niezwykłą nieśmiałością.

Uczucie to było tak nieoczekiwane i dziwne, że Stiwa nie uwierzył głosowi sumienia mówiącego mu: „To co masz zamiar uczynić, jest złe” — i z wysiłkiem opanował ogarniające go zakłopotanie.

— Mam nadzieję, że wierzysz w miłość moją dla siostry, a szczere przywiązanie i szacunek dla ciebie — rzekł czerwieniąc się.

Karenin zatrzymał się, ale nic nie odpowiedział; Obłońskiego uderzył wyraz bezbronności, który malował się na jego twarzy.

— Miałem zamiar, chciałem pomówić z tobą o siostrze i o waszym wzajemnym stosunku — ciągnął dalej Stiepan Arkadjicz wciąż borykając się z niezwykłą nieśmiałością.

Karenin uśmiechnął się smutnie, spojrzal na szwagra, bez słowa podszedł do stołu, wziął stamtąd rozpoczęty list i podał go szwagrowi.

— Myślałem i ja o tym bez ustanku. I oto, co zacząłem pisać sądząc, że lepiej wypowiem rzecz na piśmie, i wiedząc że ją moja obecność drażni — rzekł podając mu list.

Stiepan Arkadjicz wziął list, z pełnym zdumienia niezdecydowaniem spojrzal w matowe oczy, nieruchomo w nim utkwione, i począł czytać:

„Widzę, że Ci obecność moja ciąży. Jakkolwiek przekonanie się o tym sprawiło mi wielką boleść, widzę jednak, że tak jest i że inaczej być nie może. Nie obwiniam Cię i Bóg mi świadkiem, że gdy zobaczyłem Cię podczas choroby, z całej duszy postanowiłem zapomnieć o wszystkim, co pomiędzy nami zaszło, i rozpocząć nowe życie. Nie żałuję i nigdy nie będę tego żałował; ale ja pragnąłem tylko jednej rzeczy — Twojego dobra, dobra Twojej duszy, a teraz widzę, że tego nie osiągnąłem. Powiedz mi samą, co da Ci prawdziwe szczęście, a Twojej duszy — spokój. Zdaję się całkiem na Twoją wolę i Twoje poczucie tego, co słuszne.”

Stiepan Arkadjicz zwrócił list i z tym samym pełnym niezrozumienia zdziwieniem patrzył dalej na szwagra nie wiedząc, co rzec. Milczenie to było dla obu tak kłopotliwe, że wargi Obłońskiego poczęły drgać nerwowo. Milczał nie

spuszczając wzroku z Karenina.

— Oto, co chciałem jej powiedzieć — rzekł Karenin i odwrócił się.

— Tak, tak... — Stiepan Arkadjicz niezdolny był do żadnej odpowiedzi, gdyż łyżcisnęły mu gardło. — Tak, tak... Rozumiem cię — udało mu się w końcu wymówić.

— Pragnę wiedzieć, czego ona sobie życzy — rzekł Karenin.

— Obawiam się, że ona nie rozumie swojej sytuacji. Nie może sama być jej sędzią — opanowując się mówił Obłóński. — Jest zdruzgotana, tak właśnie, zdruzgotana twoją wspaniałomyślnością. Jeśli przeczyta ten list, nic nie będzie mogła odpowiedzieć, tylko schyli czoło jeszcze niżej.

— Dobrze, ale w takim razie, co będzie? Jak wyjaśnić... jak się dowiedzieć, czego ona pragnie?

— Jeśli mi wolno wypowiedzieć moje zdanie, to sądzę, że to od ciebie zależy: powinienes wprost wskazać kroki, jakie zamierzasz przedsięwziąć, by położyć kres tej sytuacji.

— A więc znajdujesz, że należy jej położyć kres? — przerwał mu Karenin. — Ale w jaki sposób? — dodał podnosząc nagle ręce do oczu. — Nie widzę żadnego możliwego wyjścia.

— Z każdej sytuacji jest wyjście — żywo odpowiedział Stiepan Arkadjicz wstając. — Był czas, kiedy chciałeś zerwać... Obecnie, jeśli dojdiesz do przekonania, że nie możecie dać sobie wzajemnie szczęścia...

— Szczęście rozmaicie można rozumieć. Ale przypuśćmy że zgodzę się na wszystko, że nic dla siebie nie pragnę — jakież jest wyjście z naszej sytuacji?

— Jeśli chodzi o moje zdanie — rzekł Stiepan Arkadjicz z tym samym łagodzącym, migdałowo-czułym uśmiechem, z którym uprzednio mówił do Anny (ten pocziwy uśmiech był tak przekonujący, że Karenin mimo woli, czując swą słabość i poddając się jej, gotów był uwierzyć jego słowom) — to ona nigdy tego nie powie. Jest tylko jedna możliwość; Anna może pragnąć tylko jednej rzeczy — ciągnął Stiepan Arkadjicz dalej — zerwania wszelkich stosunków i związanych z nimi wspomnień. Moim zdaniem, w waszej sytuacji konieczne jest wyklarowanie nowego stanu rzeczy; ten nowy stan rzeczy może się ustalić tylko, o ile obie strony będą wolne.

— A więc rozwód — przerwał ze wstrętem Karenin.

— Tak, sądzę, że rozwód — powtórzył czerwieniąc się Obłóński. — To jest pod każdym względem najrozsądniejsze wyjście dla małżonków w takiej sytuacji jak wasza. Co począć, gdy małżonkowie dojdą do przekonania, że wspólne życie jest dla nich niemożliwe? To się zawsze może zdarzyć. — Karenin ciężko westchnął i przymknął oczy. — Tylko jeden wzgląd może tu jeszcze grać pewną rolę: oto, czy jedno z małżonków nie życzyłoby sobie wejść powtórnie w związki małżeńskie? Jeśli nie, to sprawa jest całkiem prosta — dokończył Stiepan Arkadjicz, coraz bardziej pozbywając się nieśmiałości.

Karenin, z brwiami ściągniętymi ze wzburzenia, bąknął coś pod nosem i nic nie odpowiedział. To wszystko, co Obłóńskiemu wydawało się takie proste, przemyślał

już był tysiąc razy i wszystko wydawało mu się nie tylko nie całkiem proste, lecz zupełnie niemożliwe. Rozwód, którego szczegóły już znał, zdawał mu się obecnie niemożliwy, gdyż zarówno godność osobista, jak i szacunek dla religii nie pozwalały mu wziąć na siebie winy fikcyjnego cudzołóstwa, a tym mniej pozwalały na to, by żona, którą kochał i której przebaczył, miała być schwyтана na gorącym uczynku i okryta hańbą. Ale rozwód był niemożliwy z innych, jeszcze ważniejszych przyczyn.

Na wypadek rozwodu co by się stało z synkiem? Niemożna go było zostawić z matką. Rozwiedziona matka będzie miała swoją nieślubną rodzinę, pośród której sytuacja pasierba i jego wychowanie byłoby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, niepomyślne. Zostawić go przy sobie? Wiedział, że z jego strony byłaby to zemsta; tego niechciał. Ale poza tym rozwód wydawał się Kareninowi najbardziej niedopuszczalnym dlatego, że zgadzając się nań przyczyniłby się do zguby Anny. Słowa wypowiedziane w Moskwie przez Darię Aleksandrownę wyryły w jego duszy głęboki ślad; powiedziała wówczas, że decydując się na rozwód myśli tylko o sobie, nie biorąc pod uwagę, że przez to bezpowrotnie gubi Annę. Karenin powiązał te pamiętne słowa ze swym przebaczeniem, ze swym przywiązaniem do dzieci i teraz rozumiał je na swój sposób. Teraz w jego pojęciu zgoda na rozwód, darowanie Annie wolności były równoznaczne z jego strony z zrzeczeniem się ostatniej spójni z dziećmi, które kochał, a dla Anny równało się to utracie ostatniego punktu oparcia na dobrej drodze, było to tyle samo, co oddać ją na zatracenie. Wiedział, że jeśli będzie rozwódką, to połączy się z Wrońskim, a związek ten byłby nielegalny i występny, ba żona — w pojęciu prawa kościelnego — nie może otrzymać ślubu, dokąd jej mąż żyje. „Połączy się z nim, a po roku czy dwóch latach albo on ją porzuci, albo ona nawiąże nowy romans — myślał Karenin. — I ja, zgodziwszy się na nielegalny rozwód, będę sprawcą jej zguby.” Setki razy zastanawiał się nad tym i był pewien, że rozwód nie tylko nie jest sprawą całkiem prostą, jak twierdził jego szwagier, lecz że jest w ogóle niedopuszczalny. Nie wierzył ani jednemu słowu Stiepana Arkadjicza, miał tysiąc argumentów na każde z nich, słuchał wszelako szwagra z przeświadczeniem, że przez usta jego przemawia ta potężna, brutalna siła, która kieruje jego, Karenina, życiem i której będzie zmuszony się poddać.

— Chodzi tylko o to, na jakich warunkach, zgodziłbyś się przeprowadzić rozwód. Ona nic nie żąda, nie śmie cię o nic prosić; pozostawia wszystko twojej wspaniałomyślności.

„Mój Boże! Mój Boże! Za co mnie to spotyka?” — pomyślał Karenin i przypominając sobie szczegóły takiej sprawy rozwodowej, w której mąż brał na siebie winę, ukrył ze wstydu twarz w dłoniach tym samym gestem, jakim niedawno zasłonił się Wroński.

— Rozumiem, że jesteś wzburzony. Ale jeśli rozważysz...

„Temu, kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw lewy, a temu, kto ci zabiera kaftan, oddaj i koszulę” — pomyślał Karenin.

— Tak, tak! — wykrzyknął piskliwym głosem — biorę na siebie tę hańbę,

oddam nawet syna, ale... czyż nie lepiej byłoby dać temu pokój? Zresztą, rób, co chcesz...

I odwrócony od szwagra, tak by ten nie mógł widzieć jego twarzy, usiadł na krześle przy oknie. Pełen był goryczy i wstydu, ale obok smutku i wstydu czuł radość i rozrzewnienie wobec wielkości własnej ofiary.

Obłoński był wzruszony. Przez chwilę milczał.

— Wierzaj mi, Aleksy — powiedział wreszcie — że Anna oceni twoją wspaniałość. Widocznie taka już była wola boska — dodał. Wypowiedziawszy to, zdał sobie sprawę, że powiedział głupstwo, i z trudnością powściągnął uśmiech nad własną głupotą.

Karenin chciał coś odpowiedzieć, lecz łzy mu przeszkodziły.

— Jest to nieszczęście zesłane przez los i trzeba się tak do niego ustosunkować. Co do mnie, stwierdzam, że nieszczęście to jest faktem dokonanym, i staram się dopomóc i jej, i tobie — zakończył Stiepan Arkadjicz.

Wychodząc z pokoju szwagra był wzruszony, co nie przeszkadzało mu cieszyć się z pomyślnego załatwienia sprawy, był bowiem pewien, że Karenin słowa swego nie cofnie. W zadowoleniu jego nie brakło pewnej domieszki; oto układał sobie już z góry, że gdy rzecz cała się zakończy, będzie mógł żonie i bliskim znajomym zadawać pytanie: „Jaka jest różnica pomiędzy mną a Najjaśniejszym Panem? — Kiedy Najjaśniejszy Pan zarządza zmianę warty, to nikt nie ma z tego pożytku, a kiedy ja to zrobiłem, aż trzy osoby na tym skorzystały... Albo: jakie jest podobieństwo pomiędzy mną a Najjaśniejszym Panem? Kiedy... Zresztą, lepiej to jeszcze obmyśle” — rzekł sobie w duchu z uśmiechem.

Rana Wrońskiego była niebezpieczna, mimo że kula przeszła obok serca. Dni kilka przeleżał pomiędzy życiem a śmiercią. Kiedy po raz pierwszy był w stanie mówić, tylko bratowa jego, Waria, była obecna w pokoju.

— Waria! — powiedział patrząc na nią surowo. — Strzeliłem do siebie przypadkiem. I proszę cię, nie mów mi nigdy o tym, a innym także zapowiedz. Bo inaczej to za głupio!

Nie odpowiadając mu wręcz, Waria nachyliła się nad nim i zajrzała mu w twarz z radosnym uśmiechem: oczy miał przejrzyste, nie rozgorączkowane, ale wyraz ich był surowy.

— No, dzięki Bogu! — rzekła. — Czy cię już nie boli?

— Trochę tutaj. — Wskazał na pierś.

— Pozwól, że ci zrobię opatrunek.

Spoglądał na nią w milczeniu, podczas gdy go opatrywała, i zaciskał szczęki pod szerokimi kośćmi policzkowymi. Gdy skończyła, dodał jeszcze:

— Jestem przytomny. Proszę cię, postaraj się, by nie gadano, że umyślnie do siebie strzeliłem.

— Nikt tego nie twierdzi. Tylko mam nadzieję, że już nie będziesz więcej strzelał nieumyślnie — uśmiechnęła się do niego pytająco.

— Może i nie będę, a byłoby lepiej... Uśmiechnął się posepnie.

Mimo uśmiechu i tych słów, które mocno nastraszyły Warię, gdy zapalenie minęło i Wroński zaczął przychodzić do siebie, poczuł, że uwolnił się przynajmniej od części swego cierpienia, postępkim swym bowiem jak gdyby zmył z siebie wstyd i poniżenie, których poprzednio doznawał. Mógł teraz myśleć spokojnie o Kareninie. Uznawał całą jego wspaniałomyślność, ale już się nie czuł nią upokorzony. Poza tym wszedł znowu w dawny nurt życia. Uważał, że ma prawo patrzeć bez zawstyżenia ludziom w oczy, i był w stanie żyć kierując się dawnymi nawykami. Jednego tylko nie mógł wyrwać z serca, mimo ustawicznej walki wewnętrznej: żalu graniczącego z rozpaczą, że na zawsze utracił Annę. W sercu swym niezłomnie postanowił, że teraz, po okupieniu swej winy wobec męża, powinien się jej wyrzec i nigdy więcej nie stawać pomiędzy Anną — z jej skrucą — a Kareninem. Nie mógł wszelako wydrzeć sobie z serca żalu, że utracił jej miłość, nie mógł zatrzeć w pamięci tych chwil szczęścia, których z nią zaznał, które wówczas tak mało sobie cenił, a których niezapomniany urok nie dawał mu dziś spokoju.

Sierpuchowski wykoncypował dla niego misję do Taszkientu i Wroński zgodził się na tę propozycję bez wahania, lecz im bliższa była chwila wyjazdu, tym cięższa wydawała mu się ofiara, którą składał temu, co uważał za słuszne.

Rana mu się zgoiła i już jeździł po mieście, przygotowując się na wyjazd do Taszkientu.

„Raz tylko ją zobaczyć, a potem zagrzebać się tam... umrzeć...” — myślał i na jednej z wizyt pożegnalnych powiedział to spotkanej tam Betsy. Z tą misją Betsy pojechała do Anny i przywiozła mu odmowę.

„Tym lepiej — pomyślał Wroński po otrzymaniu tej wiadomości.

— To była słabość i wyczerpałoby to resztę moich sił.”

Na drugi dzień rano sama Betsy przyjechała do niego z oznajmieniem, że otrzymała przez Obłońskiego zupełnie pewną wiadomość, jakoby Karenin zgadzał się na rozwód, że więc Wroński może się z Anną widzieć.

Wroński zapomniał nawet odprowadzić Betsy do drzwi, zapomniał o wszystkich swych postanowieniach, nie zapytał, kiedy można i gdzie jest mąż. Natychmiast pojechał do domu Kareninów. Wpadł na schody nic i nikogo nie widząc i szybkim krokiem, z trudem opanowując się, by nie biec, wszedł do jej pokoju. I nie myśląc, nie uważając — czy jest kto u niej, czy nie, objął ją i począł obsypywać pocałunkami jej twarz, ręce i szyję.

Anna przygotowywała się na to widzenie, myślała o tym, co mu powie, lecz nic z tego powiedzieć nie zdążyła: namiętność jego ogarnęła także i ją. Chciała go uspokoić i uciszyć się sama, ale było za późno. Uczucie jego udzieliło się i jej. Usta jej tak drżały, że nie mogła wymówić ani słowa.

— Tak, o władnąłeś mną zupełnie. Jestem twoja — wyrzekła wreszcie, przyciskając jego rękę do piersi.

— Tak być powinno! — rzekł. — Pokąd jesteśmy żywi, tak być powinno. Wiem to teraz.

— To prawda — mówiła blednąc coraz bardziej i ujmując w swe ręce jego głowę. — A jednak czy to nie przerażające, że po tym wszystkim, co zaszło?...

— To wszystko przejdzie, przejdzie i będziemy tacy szczęśliwi! Nasza miłość — gdyby to było, w ogóle możliwe — od tego czegoś przerażającego bardziej by jeszcze wzrosła — podniósł głowę ukazując w uśmiechu mocne zęby.

Nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem — nie na słowa, lecz na zakochane spojrzenie Wrońskiego. Wzięła jego rękę i gładziła nią swe ziębne policzki i ostrzyżone włosy.

— Nie poznaję cię w tych krótkich włosach. Jakaś ty wypiękniała. Wyglądasz jak chłopiec. Ale taka jesteś blada!

— Tak, jestem bardzo słaba — uśmiechnęła się i wargi jej znowu poczęły drżeć.

— Pojedziemy do Włoch, tam wyzdrowiejesz — pocieszał ją.

— Czy to możliwe, że będziemy jak mąż z żoną, sami we dwoje, jak rodzina? — powiedziała patrząc mu z bliska w oczy.

— Zawsze mnie to tylko dziwiło, że kiedykolwiek mogło być inaczej.

— Stiwa powiada, że on na wszystko się zgadza, lecz ja nie mogę przyjąć tej jego wspaniałomyślności — mówiła patrząc w przestrzeń, nie na twarz Wrońskiego. — Nie chcę już rozwodu, jest mi teraz wszystko jedno. Nie wiem tylko, co on postanowi o Sierioży.

Wroński nie mógł pojąć, jak mogła w tym momencie ich widzenia myśleć, pamiętać o synku, o rozwodzie. Czy to nie było obojętne?

— Nie mów o tym, nie myśl — pieścił rękę Anny starając się zwrócić jej uwagę na siebie, bo wzrok jej wciąż go omijał.

— Ach, czemuż nie umarłam, tak byłoby lepiej! — rzekła i łzy bez szlochu popłynęły po jej policzkach, choć usiłowała uśmiechać się, by go nie martwić.

Według dawnych pojęć Wrońskiego ,byłoby rzeczą hańbiącą i niedopuszczalną odmówić zaszczytnej i niebezpiecznej misji w Taszkencie Teraz wszakże zrzekł się jej bez chwili namysłu, a stwierdziwszy w wysokich sferach dezaprobatę swego postępuku, niezwłocznie podał się do dymisji.

W Miesiąc później Karenin pozostał w swym mieszkaniu sam jeden z synkiem. Anna zaś wyjechała z Wrońskim za granicę. Nie otrzymała rozwodu i stanowczo się go zrzekła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).